



Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Krasnosielckiej

Krasnosielcki Zeszyt Historyczny Nr 36

ISSN 2080-024X

październik 2018 rok



dodatek specjalny do miesięcznika

„Wieści znad Orzycza” Nr 10 (138)

www.tpz.k.pl

www.naszkrasnosielc.tpz.k.pl

Wprowadzenie

Szanowny Czytelniku!

Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Krasnosielckiej wpisując się w obchody 100. rocznicy odzyskania przez Rzeczpospolitą niepodległości, wydaje kolejny Krasnosielcki Zeszyt Historyczny.

Dzięki niezwyklej pasji i pracy autorów tekstów oraz całego zespołu redakcyjnego, przekazujemy państwu 140 stron nigdzie wcześniej nie publikowanych tekstów o Polakach i o Polsce. Niech ta nasza praca będzie dowodem patriotyzmu i oddania Ojczyźnie.

*Sławomir Rutkowski
oraz Maria Weronika Kmoch
Redaktorzy Wydania*

Niniejsze wydanie „Krasnosielckiego Zeszytu Historycznego” ukazało się drukiem dzięki wsparciu finansowemu samorządu gminy Krasnosielc - szczególnie dziękuję za zrozumienie panu wójtowi Pawłowi Ruszczyńskiemu oraz prywatnych darczyńców, których znajdziecie na ostatniej stronie niniejszego opracowania.



Lista ofiar II wojny światowej cz. 3 s. 7

(...) Pamiętnik z II wojny światowej... s. 16

Życie (...) wsi kurpiowskich... s. 77

Działalność antykomunistycznego podziemia... s. 90

(...) jak Franek z niewoli wracał s. 102

Siostra (...) Majkowska... s. 105

Wspomnienie o M. Napiórkowskim s. 106

(...) przemarsz (...) przez Krasnosielc s. 109

Komplety nakryć stołu (...) 1967 r.... s. 113

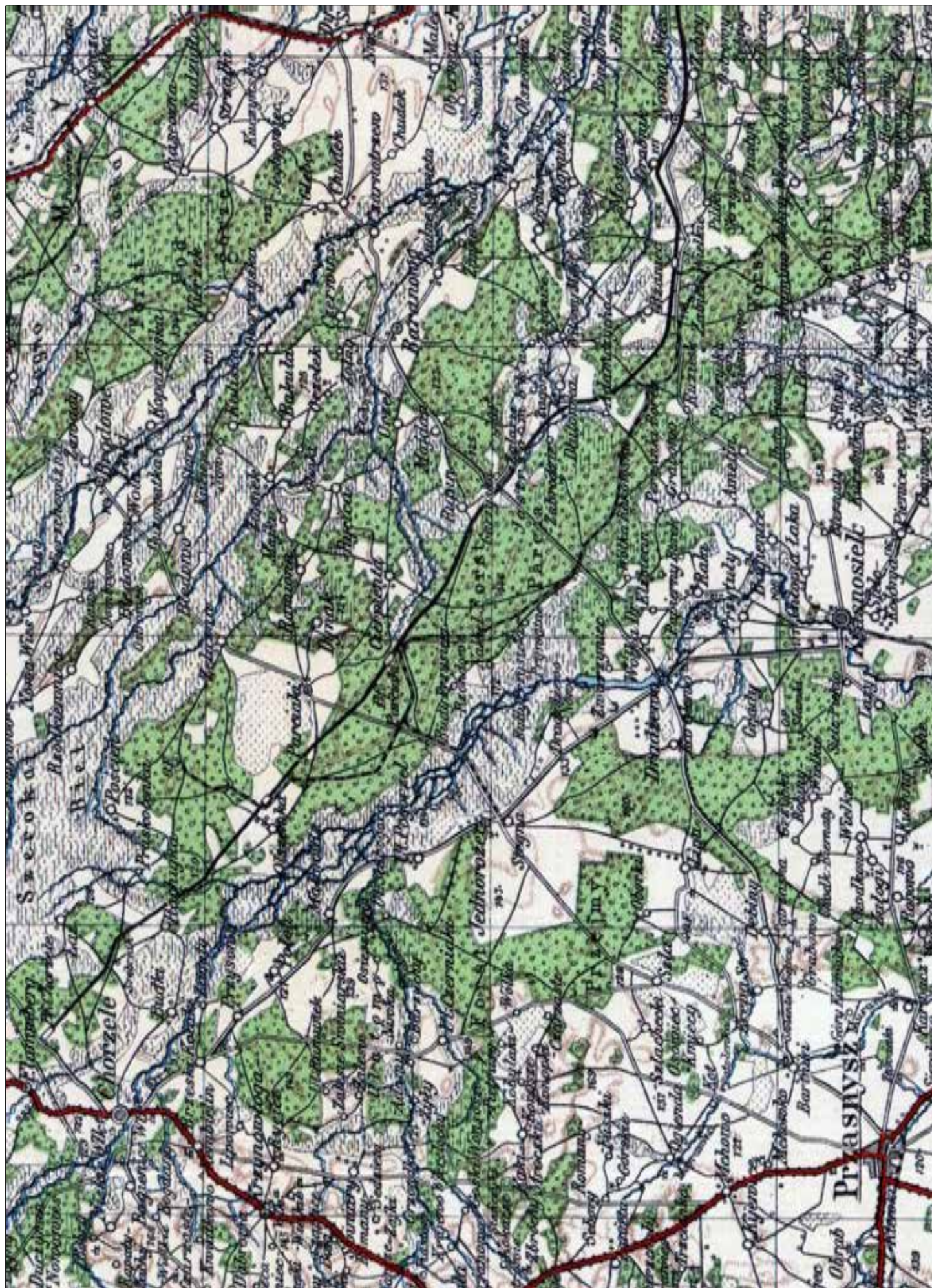
Gawędy o sześciu epokach... s. 121

Nasza Polska Pani z Gietrzwałdu s. 123

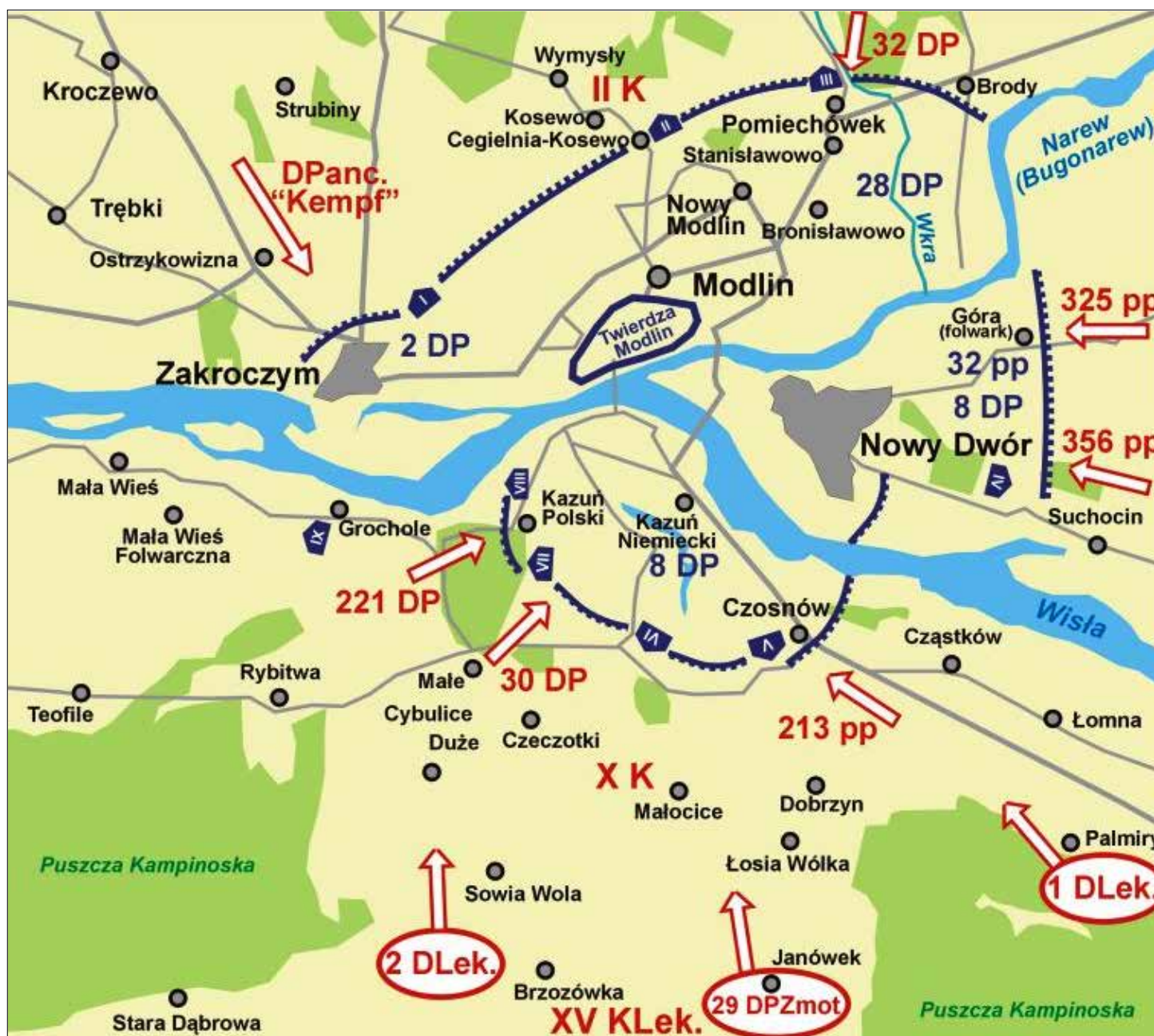
Zarys dziejów Chłopej Łąki cz. 1 s. 125

Urodziłam się w Polsce.... s. 134





Do artykułu na s. 16: Teren wspomniany w zapiskach S. Wilgi na niemieckiej mapie z 1938 r. Źródło:
http://maps.mapywig.org/m/German_maps/series/300K_UvM/R54_Allenstein_1942.jpg (dostęp 30 IX 2018 r.).



OBRONA MODLINA 1939

POŁOŻENIE WYBRANYCH JEDNOSTEK

(24-09-1939)

— jednostki polskie

— jednostki niemieckie

🏰 forty

Do artykułu na s. 16: Obrona Modlina. Źródło: https://pl.wikipedia.org/wiki/Obrona_Modlina_1939 (dostęp 30 IX 2018 r.).



1



4



2



5



3



6

Do artykułu na s. 106: 1. 1968 r., portret ślubny. 2. Legitymacja Związku Nauczycielstwa Polskiego. 3. Lata 90. XX w., w gabinecie dyrektora Szkoły Podstawowej w Krasnosielcu. 4. Lata 70. XX w., od lewej stoją Mieczysław Napiórkowski z żoną. 5. Legitymacja Radnego Wojewódzkiej Rady Narodowej. 6. 1992 r., zakończenie roku szkolnego w Szkole Podstawowej w Krasnosielcu, córka Agnieszka otrzymuje nagrodę z rąk dyrektora M. Napiórkowskiego.



7



8



9



10



11



12

Do artykułu na s. 106:

7. 29 V 1994 r., Święto Ludowe w Krasnosielcu. Mieczysław Napiórkowski otrzymuje Medal Komisji Edukacji Narodowej z rąk Ministra Edukacji Narodowej prof. Aleksandra Łuczaka.

8. 21 IX 1996 r., wesele syna Wojtka.

9. 1998 r., syn Wojtek otrzymuje dyplom lekarza. Stoją od lewej Zenobia, Wojciech, Agnieszka i Mieczysław Napiórkowski.

10. 2000 r., kościół parafialny w Krasnosielcu. Powitanie Biskupa.

11. Mieczysław Napiórkowski (1946–2018).

12. 2002 r., urlop na Helu. Stoją od lewej: Stefan Ostaszewski (szwagier), córka Agnieszka, żona Zenobia i Mieczysław Napiórkowski.



GMINA KRASNOSIELC - LICZBA OSÓB, KTÓRE ZGINĘŁY NA SKUTEK II WOJNY ŚWIATOWEJ, W PODZIALE NA MIEJSCOWOŚCI.

Nie jest to pełen wykaz - mapa ilustruje spis ofiar, zebranych w artykule obok.



liczba zabitych
Polaków

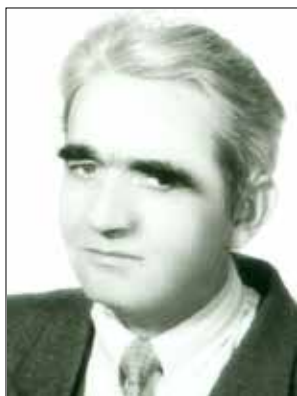


liczba zabitych
Żydów



zlikwidowane
miejscowości

opracowanie graficzne mapy: Emilia Klimczak



O Nich trzeba pamiętać. Lista ofiar II wojny światowej spośród mieszkańców gminy Krasnosielc cz. 3 – aktualizacja

O Wojno, najpodlejsze zło
Zrodzone w bezrozumie,
Depcące jak brutalny gniot,
Po ludzkich istot tłumie,
Podobańś rodnym siostróm swym:
Trądowi, ospie, dżumie!
Leopold Staff

Apolinary ZAPISEK

W nawiązaniu do tekstu i tabeli zamieszczonych w numerach 16 i 32–35 „Krasnosielckiego Zeszytu Historycznego” po raz kolejny podejmuję próbę aktualizacji listy ofiar II wojny światowej i bezpośrednio po jej zakończeniu spośród mieszkańców gm. Krasnosielc. Obecna lista zawiera 168 pozycji, w tym 24 oznaczone jako NN. Te ostatnie dotyczą Żydów, o których wiemy, że zostali w Krasnosielcu zamordowani, ale niestety nie znamy ich nazwisk. Listę nazwisk udało się uzupełnić o 17 nowych. Zgłoszone one zostały przez czytelników naszego pisma, krewnych poległych osób, a także przez moich przyjaciół. Wśród nich znalazł się m.in.:

Stanisław Szczepański, lat 28 z Drażdżewa (poz. 152). We wrześniu 1939 r. był żołnierzem i kierowcą ciężarówki w 3 Batalionie Pancernym. Walczył w obronie Warszawy. Ciężko ranny, zmarł po przyniesieniu do kościoła św. Aleksandra przy placu Trzech Krzyży.

Stanisław Dzik, lat 23 z Bud Rządowych. (poz. 153). Zmarł 28 listopada 1943 r. w KL Mathausen. Aresztowany w 1942 r. za ucieczkę z robót przymusowych w Niemczech i osadzony w obozie karnym w Makowie Mazowieckim. Po ponownej ucieczce znów aresztowany w styczniu 1943 r. w ramach zbiorowej represji po zabiciu żandarma.



Donata Zapisek, lat 17. Zmarła w listopadzie 1943 r. w obozie pracy przymusowej w Berlinie, poz. w tabeli 83.

Wita Aronowicz, lat około 40 (poz. 154), oraz jej mąż, **Mojżesz Aronowicz** (poz. 155) z Krasnosielca.



Hipolit Płuciennik, żołnierz WP, zginął we wrześniu 1939 r. walcząc w obronie twierdzy Modlin, poz. w tabeli 159.



Dominik Pawłowski, lat 29. Walczył w kampanii wrześniowej 1939 r., a w latach okupacji w AK. Aresztowany jesienią 1944 r., wieszony do obozu karnego w Działdowie. Zamordowany w styczniu 1945 r. w Żabikowie k. Poznania.

Lista ofiar II wojny światowej wg. miejscowości zamieszkania stan listy na 16-10-2018r.

Lp.	Miejscowość	Liczba ofiar
1	- bez podanej miejscowości	1
2	Amelin	1
3	Bagienice	3
4	Budy Prywatne Przysieki	1
5	Chłopia Łąka	1
6	Drażdżewo	5
7	Drażdżewo Małe	3
8	Elzbiecin	2
9	Grabowo	6
10	Karolewo	3
11	Krasnosielc	30
12	Krasnosielc /żydzi/	59
13	Krasnosielc Leśny	12
14	Łazy	1
15	Nowy Sielc	11
16	Papierny Borek	1
17	Pienice	7
18	Przytuły	5
19	Raki	7
20	Wola Józefowo	1
21	Wólka Drażdżewska	8
Razem:		168

snosielca. Rodzina wraz z 3-letnią córką Frydą 28 IX 1939 r. została wysiedlona z Krasnosielca razem z całą społecznością żydowską. Aronowiczowie wraz z córką udali się do Białegostoku, będącego pod okupacją radziecką. W lutym 1940 r. zostali deportowani do republiki Komi w ZSRR, gdzie w 1943 r. zmarli z powodu głodu i ciężkich warunków. Fryda Aronowicz¹ (ur. 1936 r.) mająca wtedy 7 lat była jedynym świadkiem śmierci ojca. Po wojnie wróciła do Polski i zamieszkała w Krakowie. Dodajmy jednocześnie, że w czasie wojny najwięcej polskich Żydów, bo około 200 tys. przeżyło w ZSRR². Po wojnie w dużej części wrócili oni do Polski, a dalsze ich losy były różne.

¹ Zob. Wspomnienia Frydy Aronowicz, spisał i oprac. S. Pastuszka, „Krasnosielcki Zeszyt Historyczny” [dalej: KZH], 8 (2017), 32–35, s. 65–66.

² Ilu naprawdę Żydów przeżyło Holocaust wśród Polaków: <http://blogpublika.com/2016/04/21/ilu-naprawde-zydow-przezylo-holocaust-wsrod-polakow/> (dostęp 15 X 2018 r.).



Fryda Aronowicz, ur. 1936 r.

Znakomity znawca historii Krasnosielca Lesnego Leszek Myślak przysłał listę 6 osób (poz. 159–165)) poległych w tym okresie, pochodzących z tej wsi. Dzięki wyżej wspomnianemu lista osobowych strat wojennych tej miejscowości może być w zasadzie kompletna. Jak na niewielką wieś jest ona spora (12 osób), nie licząc strat pośrednich np. z powodu zwiększenia liczby zgonów z powodów znaczącego pogorszenia warunków życia.

Inny kolega przypomniał mi też zabicie 3

Maria Weronika Knoch na podstawie literatury oraz przedwojennej prasy poprawiła nazwiska krasnosieleckich Żydów, zamordowanych w 1939 r., dodając informacje o zajęciach, jakimi się trudnili, oraz skorygowała nazwiska zabitych w Starych Jabłonkach w 1945 r.³ Zauważyła też, że umieszczony dotychczas na liście (poz. 143) Władysław Dawid, który zginął w Starych Jabłonkach, to tak naprawdę Walenty Dawid, który nie pochodził z Drążdżewa w gm. Krasnosielc, a Drążdżewa Nowego w gm. Jednorzec, więc nie powinien znaleźć się na liście. Podobnie Stanisław Dzik z Bud Rządowych (poz. 153) to postać z gm. Jednorzec, więc nie powinna być umieszczona na liście. Ta nazwiska zastąpiono dwoma nazwiskami zamordowanych w Starych Jabłonkach mieszkańców gm. Krasnosielc, których do tej pory nie było na liście. Do listy dopisała też informacje na temat trzech Żydów z Krasnosielca, którzy zginęli w inny sposób niż podczas zabójstwa w miejscowej synagodze, oraz informacje o grupie Żydów zabitych w Pienicach 6 IX 1939 r. (poz. 166–169)⁴.

Rozpatrując niżej załączoną tabelę nasuwa się kilka uwag, szczególnie dotyczących niektórych grup poległych. Najpierw jednak obraz ogólny.

Rozmiar ludzkich strat gminy Krasnosielc

Ile osób spośród mieszkańców naszej gminy, mówiąc słowami poety, *oddech śmierci dotknął* w tym największym kataklizmie XX w.?

wojennego. Daje to liczbę ok. 200 pochówków w tej parafii, które w widoczny sposób wynikały z tej wojny - obrazuje to zamieszczone poniżej graficzne zestawienie.

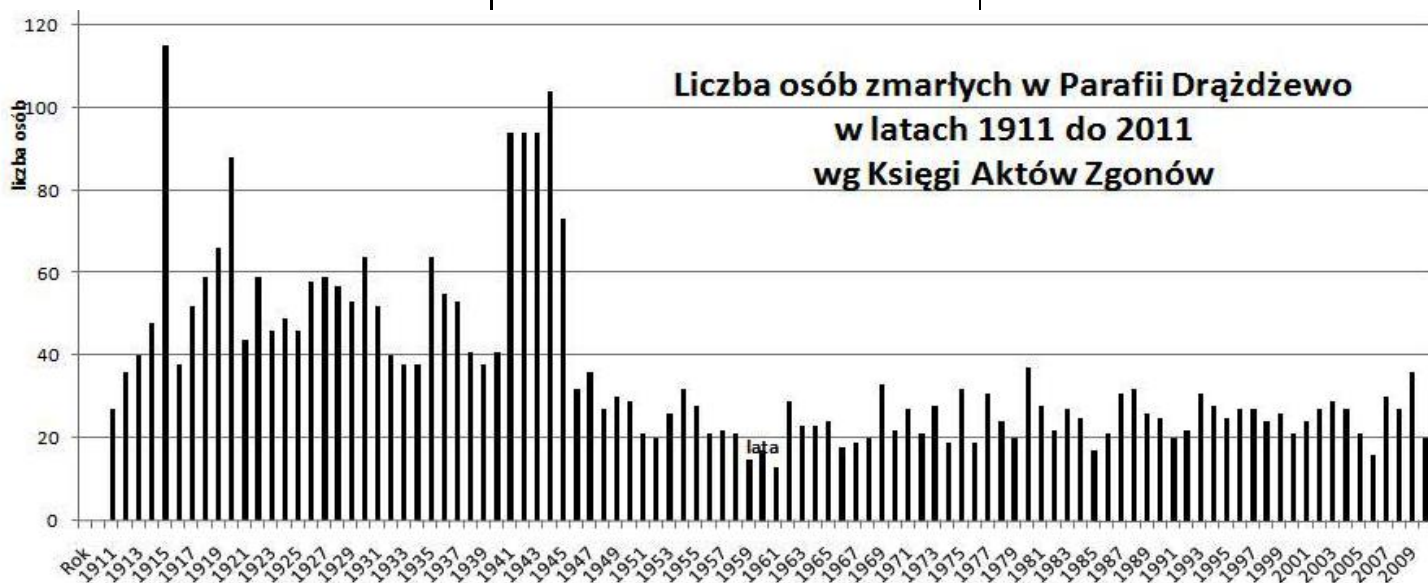
Odnosząc te dane do całej gminy szacuję, że śmiertelność na tym terenie mogła objąć dodatkowo 600–800 osób. Wiązało się to nie tylko ze skutkami działań wojennych i okupacyjnej represji. Materialne i psychiczne warunki czasu wojny i okupacji powodowały też znacznie wyższą naturalną śmiertelność.

Przyczyny pozbawiania ludzi życia przez okupantów i w działaniach zbrojnych po wojnie były bardzo często błahе, a nierzadko wręcz banalne. Głównie jednak działania te miały charakter polityczny. Sprawcami byli przede wszystkim Niemcy, ale również sowieckie NKWD jest odpowiedzialne za wywiezienie w styczniu 1945 r. z Krasnosielca w głąb ZSRR kilkudziesięciu osób, z których co najmniej 9 (poz. 109–117) nigdy nie powróciło.

Początek Holocaustu na ziemiach polskich

Największe biologiczne straty poniosła mieszkająca w Krasnosielcu społeczność żydowska. W 1939 r. Żydzi stanowili około 60% mieszkańców Krasnosielca, M. Bondarczuk szacuje liczebność Żydów w Krasnosielcu przed II wojną światową na ok. 2000 osób⁶.

Zachowały się relacje prasowe – informacje na temat rejestracji konkretnych zakładów rzemieślniczych oraz działalności gospodarczej



mężczyzn w Pienicach pewnej czerwcowej nocy 1946 r. (poz. 156–158) przez partyzantów NSZ pochodzących z krasnosieleckiej i sąsiedniej gminy. Pamiętamy, że prowadzący wówczas uroczystość pogrzebową proboszcz krasnosieleckiej parafii ks. Stanisław Bobiński bardzo nawoływał do przestrzegania 5-tego przykazania Dekalogu i zaniechania zabójstw. Nie wdając się w, wprost błagał, aby zaniechać zabójstw. był Dodajmy, że nie politykę on zwolennikiem władzy ludowej i tego nie ukrywał, zdawał sobie jednak sprawę, że w ówczesnych warunkach walka ta nie ma sensu i jedynie powoduje narastanie wrogości po obu stronach, nawet wśród sąsiadów, i dalsze biologiczne straty Polaków.

Ustalenie tego dziś jest bardzo trudne. Przyjmijmy zatem dane szacunkowe. Z opracowania Tadeusz Kruka⁵ wynika, że w latach 1939–1945 w latach II wojny światowej umierało w parafii Drążdżewo corocznie więcej o ok. 40 osób w stosunku do średniej z okresu między-

z gm. Krasnosielc z „Tygodnika Handlowego”. Możliwe, że są to nazwiska osób zamordowanych w Krasnosielcu, kiedy to Niemcy dokonali pierwszej w Polsce masowej zbrodni na ludności żydowskiej.

Już 4 IX 1939r. specjalne grupy Niemców wywoziły młodych Żydów do Różana, następnie do Zambrowa. Starszych przetransportowano do Krasnosielca. Zwieziono tu Żydów z okolicy⁷. Schwytanym kazano modlić się pod ścianą wschodnią synagogi, a w tym czasie rozstrzelano wszystkich z karabinów maszynowych. Zbrodnia w synagodze

³ Obwieszczenia, „Tygodnik Handlowy”, 11 (1929), 11, s. 12–16; M. Bondarczuk, *Piątego dnia. Rzecz o życiu i zagładzie Żydów krasnosieleckich*, Przasnysz 1996, s. 5; A. Drwęcki, *Zbrodnia w Starych Jabłonkach pod Ostródą*, Przasnysz 1994, s. 28–30.

⁴ M. Bondarczuk, *Piątego dnia...*, s. 29.

⁵ T. Kruk, *Jubileusz 100-lecia parafii pw. św. Izydora w Drążdżewie 1911–2011*, cz. 2, KZH, 2 (2011), 8, s. 2–40.

⁶ M. Bondarczuk, *Piątego dnia...*, s. 29.

⁷ Patrz artykuł na stronie 16.

została dokonana 5 września, bowiem wedle kalendarza żydowskiego czas po zmroku liczy się jako kolejny dzień. Ciała zamordowanych spalono (ok. 80 osób)⁸. Inne opracowania mówią o 50 zamordowanych⁹. J. Sapelewski z Jednorozca wspominał też, że *W Krasnosielcu takich starych Żydów, którzy nie chcieli uciec, Niemcy żywcem wrzucili do wapna*¹⁰.

Wydarzenie to było zaskoczeniem nawet dla wyższych dowódców Wehrmachtu w Berlinie, którzy polecieli ukarać autorów zbrodni. W rezultacie już 6 IX 1939r. stanęli oni przed sądem polowym. Wiadomo natomiast, że 6 lub 7 mężczyzn przeżyło dzięki interwencji oddziału Wehrmachtu. Towarzyszący jednostce sanitariusz opatrzył rany ocalałych, którzy zostali zabrani do szpitala wojskowego w Olsztynie, gdzie udzielono im fachowej pomocy lekarskiej i dobrze traktowano. Udało im się prawdopodobnie potem dostać na teren okupowany przez ZSRR¹¹.

A oto wspomniane nazwiska Żydów z Krasnosielca, którzy w okresie międzywojennym prowadzili jakąś działalność gospodarczą, zarejestrowaną w Sądzie Okręgowym. Niewykluczone, że oni i/lub ich rodziny zamordowani zostali we wrześniu 1939r. w Krasnosielcu:

1. Pinkus Kassel – 13 VII 1928 r. zarejestrował w Krasnosielcu siedzibę firmy komunikacyjnej dla samochodów ciężarowych na trasie Chorzele-Warszawa, kawaler.
2. Rojza Szkop – od 1920 r. prowadziła sprzedaż wyrobów masarskich i piwa, panna.
3. Ruchla Hercberg – od 28 XII 1927 r. prowadziła sklep bławatny, panna.
4. Sura Bajla Dębska – od 1923 r. prowadziła sklep kolonialno-galanteryjny, zamężna, nie zawarła intercyzy.
5. Jankiel Lipser – 4 VII 1928 r. zarejestrował sprzedaż wyrobów mechanicznych, kawaler.
6. Hinda Brajna Milsztejn – w 1923 r. rozpoczęła prowadzenie sklepu kolonialno-galanteryjnego, wdowa.
7. Wiemy również, że piwiarnia Chaima Goldkranca, wymienionego w tabeli na poz. 7., należała pierwotnie do Fajgi Lei Goldkranca, żonatego, który nie zawarł intercyzy.
8. Sklep sprzedający skóry, przybory szewskie i towary kolonialno-spożywcze był pierwotnie zarejestrowany na Jankiela Kotlarza, zaś wedle informacji z 1929 r. należał wówczas do Chai Sury Zabłudowicz, zamężnej, która nie zawarła intercyzy.
9. Właścicielem sklepu, który od 1929 r. należał do Pinkusa Zalka Rozental (żonaty, bez intercyzy), wymienionego w tabeli pod poz. 30., był pierwotnie Szmul Rozental¹².
10. Majer-Gdalia Kac – od 1 I 1929 r. prowadził sklep kolonialno-spożywczy, żonaty, bez intercyzy.

11. Chil-Majer Klejman – od 1 VII 1928 r. prowadził sprzedaż materiałów pisarskich, żonaty, nie zawarł intercyzy.
12. Berek Błękitny – od 1 I 1929 r. zarejestrował na siebie przewóz towarów samochodem, żonaty, bez intercyzy.
13. Chaja Kassel – od 1916 r. prowadziła sprzedaż win, wódek i towarów kolonialno-spożywczych, zamężna, bez intercyzy¹³.
14. Fiszel Saga(i)/Segal – od 1 XII 1928 r. zarejestrował komunikację autobusowo-osobową na trasie Krasnosielc-Warszawa, siedziba firmy mieściła się przy ul. Mostowej, żonaty, bez intercyzy¹⁴.

Pewnych informacji na temat ludności żydowskiej w Krasnosielcu w okresie międzywojennym dostarcza *Księga Adresowa Polski (wraz z w.m. Gdańskiem) dla handlu, przemysłu, rzemiosł i rolnictwa z 1928 r.* W niej również znajdziemy nazwiska rzemieślników, właścicieli różnych zakładów, z których część mogła nie przeżyć jesieni 1939 r. Warto wspomnieć ich nazwiska:

1. Izrael Ajzenstein – dentysta.
2. D. Glandbard – sklep bławatny. Na liście (poz. 6) mamy Dawida, ale młynarza.
3. B. Hercberg – sklep bławatny.
4. M. Rabinowicz – sklep bławatny.
5. A. Taubenflieger – sklep bławatny.
6. M. Pinkwaser – drób.
7. I. Lewiner – drzewo.
8. Sz. Dybner – farbiarnia.
9. G. Laubsztejn – fryzjer.
10. A. Borensztajn – galanteria.
11. A. Gliksberg – galanteria.
12. H. Grynberg – galanteria.
13. Sz. Klejman – galanteria.
14. Sz. Lachower – galanteria.
15. A. Frejman – garbiarnia.
16. Z. Gerlic – artykuły kolonialne.
17. S. Grynspan – artykuły kolonialne.
18. Z. Holckerner – artykuły kolonialne.
19. Z. Kasel – artykuły kolonialne.
20. J. Lichtensztajn – artykuły kolonialne.
21. H. Milsztejn – artykuły kolonialne.
22. M. Perelberg – artykuły kolonialne.
23. Ch. Ring – artykuły kolonialne.
24. S. Rozenberg – artykuły kolonialne.
25. T. Fajngold – krawiec.
26. I. Lewkowicz – krawiec.
27. I. Ring i S-ka – młyn parowy.
28. L. Sagal – młyn.
29. A. Galbart – piekarz.
30. R. Holcman – rymarz.
31. I. Batogader – rzeźnik.
32. Sz. Ungier – sklep skórzany.
33. A. Błękitny – szewc.
34. M. Bruksztejn – szewc.
35. L. Zylberberg – zegarmistrz¹⁵.

Kończąc temat tragedii ludności żydowskiej w naszej gminie, można dorzucić jedno spostrzeżenie. Nie słyszałem, aby w naszej gminie i najbliższej okolicy zarówno w czasie okupa-

cji, jak i po wojnie, ktoś z naszych rodaków uczestniczył w prześladowaniu ludności żydowskiej, czego niestety nie można powiedzieć o mieszkańcach wielu innych miejscowości naszego kraju. Żydowskim współobywatelom nie byliśmy w stanie pomóc. Ale nasi ojcowie, dziadowie i starsi bracia nie mieli też rąk splemionych ich krwią, mimo że przed wojną hasła antysemickie były głoszone przez środowiska endeckie również w Krasnosielcu. Środowiska te w naszej społeczności były jednak słabe i nieliczne.

Tragiczne echa Powstania Warszawskiego

Po rozpoczęciu w sierpniu 1944 r. w Warszawie tego wyjątkowo tragicznego epizodu w dziejach naszego kraju, również w naszej okolicy nastąpiło ożywienie istniejącego podziemia. Wywołało to istne „polowanie” Niemców na Polaków związanych z ruchem oporu. Osoby wymienione w tabeli w pozycjach 84–102 to ofiary tych działań. W zasadzie powinny zostać zaliczone w poczet olbrzymich strat ludzkich Powstania Warszawskiego i tylko jeden z poległych, Alfons Kocot (poz. 88) zginął w partyzanckiej bitwie pod Szlą 17 X 1944 r. Pozostałych bestialsko zamordowano w Krasnosielcu, Żabikowie i Starych Jabłonkach. Myślę, że ta grupa szczególnie zasługuje na upamiętnienie w Krasnosielcu lub najbliższej okolicy. Nie zostali żołnierzami „wyklętymi” i dlatego pewnie nikt długo o tym nie pomyśli. Zwykły przypadek sprawił, że mogli niektórych (poz. 84–88) znajdują się na krasnosielckim cmentarzu w pobliżu odnowionego Grobu Nieznanego Żołnierza. To dobrze, że pamiętają o nich nie tylko ich rodziny, ale również nawet osoby, które ich nie znały, zapalają znicze na ich mogiłach.

Walki bratobójcze

Krwawe żniwo nie zakończyło się z ostatnim dniem wojny. Jeszcze w czasie jej trwania rozpoczęły się tragiczne walki bratobójcze, nazywane dziś przez jednych wojną domową, przez innych antykomunistycznym narodowym powstaniem. Ze strony podziemia działania bojowe i propagandowe prowadzone były przez kilka niezależnych formacji, a do ferowania wyroków, również tych najwyższych i rekwirowania dóbr materialnych np. żywego inwentarza od rolników czuł się upoważniony nawet dowódca niewielkiego oddziału. Dziwne to zatem było powstanie. Wydaje się, że walki te miały sens, ale tylko wtedy, gdy przeciwstawiały się wywożeniu Polaków do ZSRR. Po ustaleniu Wielkiej Trójki w Jalcie i Poczdamie walki w sprawach ustrojowych i powrotu do wschodniej granicy II RP były bezsensowne i przyczyniały się jedynie do podniesienia liczby ofiar. Szanse rozpoczęcia III wojny światowej, na którą niektórzy liczyli, były zerowe. Nie do uniknięcia była jednak wówczas walka z nacjonalistycznym podziemiem ukraińskim.

⁸ M. Bondarczuk, *Piątego dnia...*, s. 26.

⁹ J. Böchler, *Najazd 1939. Niemcy przeciw Polsce*, Kraków 2011, s. 245.

¹⁰ Z. Lorenc, *Wspomnienia wojenne Jana Sapelewskiego z lat 1939–1945*, [w:] *Zapiski Ziemi Jednorozkiej*, red. M. Dworniczak i in., Jednorozec 2011, s. 123.

¹¹ *Masakra w Krasnosielcu (1939)*: [https://pl.wikipedia.org/wiki/Masakra_w_Krasnosielcu_\(1939\)](https://pl.wikipedia.org/wiki/Masakra_w_Krasnosielcu_(1939)) (dostęp 15 X 2018 r.).

¹² *Obwieszczenia*, „Tygodnik Handlowy”, 11 (1929), 11, s. 12–16.

¹³ *Obwieszczenia*, „Tygodnik Handlowy”, 12 (1930), 51, s. 18–20.

¹⁴ *Obwieszczenia*, „Tygodnik Handlowy”, 13 (1931), 1, s. 12.

¹⁵ W księdze są inne nazwiska, które mogą być żydowskie, ale pewności nie ma, bo źródło podaje tylko inicjały imion, których pełne wersje mogłyby pomóc określić pochodzenie danej osoby. *Księga Adresowa Polski (wraz z w.m. Gdańskiem) dla handlu, przemysłu, rzemiosł i rolnictwa*, Warszawa 1928, s. 2003.

Niedawno dowiedziałem się o wzruszającej wyprawie Wiktora Czarneckiego z Chłopiej Łąki w 1946 r. wożem konnym do Zamościa, woj. lubelskie (ponad 400 km), po ciało syna Franciszka Czarneckiego (poz. 126), żołnierza Wojska Polskiego poległego w walce z UPA. Ta podróż była w dodatku na próżno, bo gdy dojechał, syn już został pochowany w zbiorowej mogile żołnierskiej wraz z czterema poległymi kolegami.

Dziś trudno jest ustalić, ile dokładnie osób z terenu naszej gminy oddało życie w tej rodzimej awanturze w latach 1945–1951. Ustalono nazwiska 2 partyzantów, 3 milicjantów (dwaj z nich byli oddelegowani z wojska, być może wbrew ich woli), 4 funkcjonariuszy UB, 4 cywilów i 1 żołnierz WP. Prawdopodobnie poległo ich więcej, gdyż w całym kraju zginęło ok. 24–25 tys. ludzi. Oprócz walczących zginęło 5143 osób cywilnych, w tym 187 dzieci do lat 14¹⁶. Pozostałe po ówczesnych ranach blizny, szczególnie te moralne, istnieją do dziś i nierzadko rozdrapywanie przekazywane są następcom.

Wśród nazwanych „żołnierzami wyklętymi” zdarzali się autentyczni bohaterowie, ale byli też bandyci. Osobiście za bohatera uważam jednego z moich nauczycieli, którego trochę poznałem. Był to mjr Paweł Nowakowski (1900–1991). Największe jego zasługi dotyczą okresu okupacji, gdy był komendantem obwodu AK Działdowo-Mława działającym na północnym Mazowszu, a także w Prusach Wschodnich. Od jesieni 1945 r. do 24 II 1947 r. dowodził Batalionem „Znicz” Ruchu Oporu Armii Krajowej (ROAK), działającym m.in. na terenie północnego Mazowsza, Pomorza i Mazur (ok. 8 powiatów). Po ogłoszeniu amnestii ujawnił się w marcu 1947 r., rozwiązując jednocześnie oddział, którym dowodził.

Od września 1947 r. został nauczycielem matematyki i kierownikiem internatu w Gimnazjum Ogólnokształcącym w Szczytnie. To był wspaniały człowiek i wybitny nauczyciel. Warto przeczytać jego życiorys w internecie¹⁷.

Każda wojna osłabia, a czasem wręcz wyłącza hamulce moralne u wielu ludzi i ułatwia podejmowanie zbrodniczych działań. Również w tych bratobójczych walkach jedni i drudzy zabijali i torturowali ludzi z różnych, czasami wręcz banalnych powodów. Kazimierz Orzoł opisał takie sytuacje w sąsiedniej gminie Baranowo¹⁸. Powodem zabójstw była np. obawa, że sprawcy zostaną rozpoznani i zapamiętani przez przypadkowego świadka, więc go „profilaktycznie” likwidowano.

Niekiedy wystarczyło tylko podejrzenie, że ktoś może dostać do władz, bo ma „długi język”. Słowem, stosowano swoiste działania prewencyjne. Jak nisko ceniony było ludzkie życie. Załatwiano też w ten sposób czasami prywatne porachunki. W lipcu 1946 r. 22-letniego Ryszarda Pawłowskiego (poz. 126) z Nowego Sielca zabił równoleciek, jego kolega z sąsiedniej wsi – być może z zazdrości o dziewczynę, a może tylko dlatego, że w oko-



Mogila żołnierzy Wojska Polskiego poległych 20 V 1946 r. pod Zamościem w walce z UPA. Wśród nich kpr. Franciszek Czarnecki (lat ok. 20) z Chłopiej Łąki, poz. w tabeli 126.

licy wsi Gołoniwy /4 km na południowy-wschód od Podosia/ w sąsiedniej gminie Płoniawy-Bramura spotkał go przypadkowo wśród innych partyzantów z bronią w ręku i ten obawiał o się, że może go wydać, albo tylko poinformować o nim kogoś innego, kto również, nawet przypadkowo, może przekazać informację, która również przypadkowo może dotrzeć do władz. Partyzant ten kilka lat potem został skazany na karę śmierci. Obu żał. Przed jednym i drugim było kilkadziesiąt lat życia, które brutalnie zostało przerwane. Zabójca ten uważany jest dziś za bohatera walczącego wyłącznie o wolność. Aby nie sprawiać przykrości jego krewnym, będącym zapewne już trzecim pokoleniem w jego rodzinie, nie ujawniam jego nazwiska.

W wyniku ogłoszonej w 1947 r. amnestii ujawniło się w skali kraju ponad 53 tys. ludzi związanych z powojennym podziemiem. Sytuacja ich bardzo często nie była łatwa. Wielu groziła śmierć z rąk wcześniejszych towarzyszy broni przeciwnych ujawnianiu się, a także zemsta krewnych ich ofiar. Z tych powodów wielu wyjeżdżało na Ziemie Odzyskane, gdzie podejmowali pracę, a młodszy wstępował do szkół średnich. Niektórzy z nich z naszego terenu byli moimi starszymi kolegami w szkole. Zdarzali się też wśród moich nauczycieli w szkole średniej. Zrozumiałe, że ze swojej przeszłości zwracali się tylko najbardziej zaufanym.

Można powiedzieć, że wszystko to sporo kosztowało nas jako społeczeństwo, a także wiele pojedynczych osób i ich rodzin, i mam poważne wątpliwości, czy uzasadnione jest dziś budowanie mitów i legend wokół tych rodzimych zmagania, przy równoczesnym zapominaniu np. o Batalionach Chłopskich, Armii Ludowej, czy też I i II Armii WP. Nierzadko odsuwalna jest cień nawet Armia Krajowa na rzecz gloryfikowania „Żołnierzy Wyklętych”.



Ryszard Pawłowski, lat 22. Zastrzelony w lipcu 1946 r. przez partyzanta NSZ pochodzącego z sąsiedniej wsi w okolicy miejscowości Gołówny gm. Płoniawy-Bramura, prawdopodobnie z powodu zazdrości o dziewczynę lub obawy, że go wyda.

Ofiary „zardzewiałej śmierci”

Następną grupą osób, których śmierć miała miejsce już po wojnie, ale to wojna była jej przyczyną, są osoby pozbawione życia wskutek eksplozji niewybuchów. Z naszej gminy znamy nazwiska tylko 9 osób, w tym aż 6 to dzieci w wieku od 4 do 13 lat (poz. 123, 130, 131, 132, 151 i 165). W moim rodzinnym Nowym Sielcu zginęły w ten sposób 3 osoby, a 2 odniosły trwałe uszczerbek na zdrowiu, w tym również piszący te słowa.

Godzi się też przypomnieć, że 75% powierzchni naszego kraju i tysiące miejscowości naszpikowane zostały śmiercionośnymi minami. Niektóre np. w obudowie szklanej były szczególnie trudne do wykrycia. W latach 1945–1956 wykryto i zniszczono prawie 15 mln min różnego typu oraz prawie 60 mln wybuchowych niebezpiecznych przedmiotów (pociski różnego typu, bomby lotnicze itp.). Zresztą do dzisiejszego dnia codziennie saperzy wojska polskiego podejmują i unieszkodliwiają po kilka niewypałów z okresu II wojny światowej – od amunicji strzeleckiej poprzez granaty po kilkusetkilogramowe bomby lotnicze.

Na terenie północnego Mazowsza pracy te prowadziła głównie 5 Brygada Saperów pod dowództwem ppłk. Andrzeja Stonogi, której sztab zlokalizowany był w Pułtusku. W tej trwającej już po wojnie kilkuletniej batalii życie oddało 627 saperów, 674 zostało rannych¹⁹.

¹⁶ P. Dybicz, „Wyklęci”. *Mało święci*, „Przegląd”, 2014, 9.

¹⁷ Paweł Nowakowski: <http://zolnierzeniezlomni.com.pl/niezlomni/pawel-nowakowski> (dostęp 15 X 2018 r.).

¹⁸ K. Orzoł, *Historia samorządu gminy Baranowo*, KZH, 7 (2016), 27, s. 117–118.

¹⁹ *Operacja rozminowania Polski po 1944*: https://pl.wikipedia.org/wiki/Operacja_rozminowania_Polski_po_1944 (dostęp 15 X 2018 r.).



mjr Paweł Nowakowski (1900–1991).
Komendant obwodu AK Dziadów-Mława, po
wojnie nauczyciel matematyki w Szczytnie.

O żołnierzach tych trzeba dziś również pamiętać. W Elk dla uczczenia i upamiętnienia ich ofiarności funkcjonował Plac Saperów. Dziś już go nie ma. W ramach dekomunizacji nazywa została zmieniona. I kto by pomyślał, że komuś słowo „saperzy” mogą kojarzyć z komunizmem!

Kilka uwag końcowych

Od zakończenia wojny minęło już prawie trzy czwarte wieku. Przed jej rozpoczęciem zapewne nikt z żyjących wówczas naszych rodaków nie przewidywał, że może ona pochłonąć tyle ofiar. Skutki wojny odczuła w zasadzie każda rodzina. Bolesny żal po stracie najbliższych dotknął dużą część naszych rodaków, a szczególnie rodziców po stracie dzieci, albo dzieci po stracie rodziców. W licznych rodzinach zginęło więcej niż jedna osoba. W naszym zestawieniu dotyczy to np. rodziny Dudków (poz. 119, 122) i Pawłowskich (poz. 99, 125) z Nowego Sielca, Kołodziejczaków z Krasnosielca Leśnego (poz. 79 i 80), Kuplickich z Krasnosielca (poz. 109 i 110), Parciaków z Karolewa (poz. 163 i 164), Grabowskich i Nakielskich z Grabowa (poz. 77 i 76), Aramowiczów z Krasnosielca (poz. 154 i 155) i zapewne całe rodziny żydowskie²⁰. Rodzin takich w naszej gminie na pewno było znacznie więcej, a w skali kraju tysiące. Ginęły też (i to nie tylko żydowskie) całe wieloosobowe rodziny.

Zmieniony w ostatniej dekadzie dwudziestego wieku ustrój był również rezultatem wielkiej wojny. Gdy dziś niektórzy urodzeni po wojnie politycy wyrażają głośny żal, że w 1989 r. w Polsce nie było krwawej rewolucji, albo kłamliwie usiłują przypisać sobie nieswoje zasługi w jego obaleniu, ogarnia człowieka „śmiesz pusty, a potem litość i trwoga”. Przychodzą wtedy na myśl słowa Juliana Tuwima z jego „Modlitwy”:

*Daj rządy mądrych i dobrych ludzi,
Mocnych w mądrości i dobroci.*

Co najmniej od czasów Wazów Historia i Niebiosa nie obdarzały Polski nadmiarem mądrych i dobrych władców, co nie znaczy, że tacy się nie zdarzali. Niestety, staropolskim obyczajem, przywódcy państwowi nie zawsze byli doceniani, słuchani i szanowani. Odwrotnie. Zdarzało się, że byli też prześladowani. Takiego losu doświadczył choćby Wincenty Witos czy generał Tadeusz Rozwadowski. Publicysta i polityk Stanisław Cat Mackiewicz (1896–1966), analizując przyczyny naszej klęski wrześniowej na początku wojny, pisał: *Polacy są jak piękna kobieta kochająca się w durniach. Człowiek inteligentny jest u nas z reguły nielubiany i nie budzi zaufania. Natomiast iluż ludzi zupełnie niemądrych korzystało w Polsce z ogromnego autorytetu osobistego*²¹. Czy powyższej uwagi nie powinniśmy odnieść również do czasów obecnych?

Apolinary Zapisek
współpraca Sławomir Rutkowski
oraz Maria Weronika Kmoch

Komentarz oraz apel

W XX w. przez naszą polską ziemię przetoczyły się dwie straszne wojny i wiele pomniejszych konfliktów. Ofiar I wojny światowej i kolejnej polsko-bolszewickiej, pochodzących z naszej gminy, prawie nie znamy – i niezmiennie trudno będzie nam naprawić ten błąd zapomnienia. Poległych w II wojnie światowej znamy tylko częściowo. Wskrzeszając pamięć o nich, w pewnym stopniu przywracamy ich do życia, do nieprzemijającej wspólnoty pokoleń – uczynimy to skutecznie!

Żmudnie sporządzana przez pana Apolinarego Zapiska lista ofiar II wojny światowej jest próbą ocalenia tej pamięci oraz dowodem krzywd na Narodzie Polskim w czasie tych strasznych lat. Niestety wiele nieszczęść, strat, upokorzeń, chorób i śmierci, pozostanie nieopisanych i nie nazwanych. Tym bardziej warto więc oddać hołd tym, których nieszczęścia, a szczególnie ofiarę życia możemy nazwać i opisać. Warto uzupełnić tę listę o wiedzę, którą wielu mieszkańców Ziemi Krasnosielckiej oraz innych osób jeszcze posiada. Jeszcze, ... bo niebawem czas zabierze świadków, a u nielicznych żyjących zatrze pamięć.

Spojrzenie statystyczne na pochówki zapisane w księgach zgonów parafii Drążdzewo w okresie 1911–2011²² są wskazówką, jakie straty poniosło społeczeństwo katolickiej ludności II Rzeczypospolitej tej parafii oraz przez analogię, jakie straty poniosła społeczność katolicka całej gminy Krasnosielc. Okres objęty tym zestawieniem – patrz wykres słupkowy na wcześniejszej stronie – pokazuje tragedię I wojny światowej, podczas której w parafii Drążdzewo w roku 1915 pochowano 118 osób, podczas gdy we wcześniejszych latach

przedwojennych grzebano średnio w roku ok. 40 osób. Widoczny wzrost liczby pogrzebów w czasie tej, i kolejnej wojny roku 1920, wskazuje na pogorszenie warunków życia oraz choroby. Kulminacja zgonów, odnotowana w 1919 r., obrazuje zapewne skutki szalejącej w Europie epidemii grypy tzw. *hiszpanki*.

Kolejne lata okresu międzywojennego charakteryzują się spadkiem liczby pogrzebów do średnio 42 rocznie. Gwałtowny wzrost ich liczby widoczny jest w statystykach od roku 1940 i trwa do roku 1946. W tych 6 latach w ciągu każdego roku grzebano średnio 90 osób. Bezpośrednio po II wojnie światowej liczba pogrzebów spada, kształtując się do roku 2011 z niewielkimi wahaniami na poziomie 22 rocznie.

Udokumentowany w księdze zgonów parafii Drążdzewo wzrost śmiertelności w okresie II wojny światowej wynosi średnio 40 osób rocznie, zatem skutki śmiertelności wśród ludności katolickiej w całym okresie II wojny światowej dla parafii Drążdzewo można określić na ok. 200 osób. Ponieważ parafia krasnosielcka wedle danych z wydanego w 1938 r. schematyzmu płockiego liczyła 6240 osób, czyli blisko trzykrotnie więcej parafian niż drążdżewska (2240 osób), więc można wstępnie założyć przez analogię, że łączny wzrost śmiertelności wśród ludności katolickiej w całej gminie Krasnosielc na skutek II wojny światowej wynosi ok. 800 osób.

Doliczyć tu trzeba również eksterminację Żydów mieszkających przed II wojną światową na terenie gminy, a którą M. Bondarczuk szacuje na ok. 2 tysiące. Zostali oni już od pierwszych dniach września roku 1939 poddani eksterminacji. Najpierw dokonano na nich zbrodni ludobójstwa w dniu 4 września, zabijając w krasnosielckiej synagodze ok. 50 Żydów, a potem wywożąc lub wypędzając resztę tej społeczności żydowskiej z terenu gm. Krasnosielc. Dość powiedzieć, że po II wojnie światowej nie odnotowano powrotu żadnej spośród osób narodowości żydowskiej na teren gm. Krasnosielc.

Całościowe zatem straty obywateli państwa polskiego dla gm. Krasnosielc w okresie okupacji hitlerowskiej i następującego bezpośrednio po nich latach terroru można szacować na 2–3 tysiąca mieszkańców, w tym ok. 800 osób wyznania katolickiego.

Celem lepszego udokumentowania tych nadzwyczajnych strat, proszę o nadsyłanie informacji, które mogą uzupełnić dane zamieszczone w *Liście ofiar II wojny światowej* autorstwa pana Apolinarego Zapiska.

Informacje można przysyłać na adres:

zapisek@icloud.com
lub **rutkowski.plus@gmail.com**

Sławomir Rutkowski
Redaktor Wydania
tel. kom. 796 030 115

²¹ Stanisław Mackiewicz: https://pl.wikiquote.org/wiki/Stanisław_Mackiewicz (dostęp 15 X 2018 r.).

²² T. Kruk, *Jubileusz 100-lecia parafii pw. św. Izidora w Drążdzewie 1911–2011*, cz. 2, KZH, 2 (2011), 8, s. 2–40.

²⁰ K. Olzacka, *Krasnosielc*: <http://www.kirkuty.xip.pl/krasnosielc.htm> (dostęp 15 X 2018 r.).



1. Organizacja kulturalna krasnosielckich Żydów „Tarbut”, 1933 r.
2. Syjoniści z Krasnosielca (1929–1939).
3. Członkowie organizacji syjonistycznych z Krasnosielca, 1933 r.
4. Żydowscy skauci z Krasnosielca - grupa „Haszomer Hacair”, 1922 r.
5. Pinchas Kassel z Krasnosielca, zamordowany 5 IX 1939 r. w Krasnosielcu.
6. Zechevia Karmeli z Krasnosielca, 1929 r.

Wszystkie zdjęcia pochodzą z książki M. Bondarczuka, *Piątego dnia. Rzecz o życiu i zagładzie Żydów krasnosielckich*, Przasnysz 1996.

Spis ofiar II wojny światowej spośród mieszkańców gminy Krasnosielc stan wiedzy na dzień 23 X 2018 r.

Lp.	Imię i nazwisko, wiek	Miejscowość zamieszkania	Okoliczności śmierci
1.	Akiwa Anachowicz	Krasnosielc	Pierwszą zbiorową zbrodnią w naszej gminie było zamordowanie w nocy z 5 na 6 IX 1939 r. w bożnicy ok. 50 Żydów. 31 z nich zidentyfikowano. Są wymienieni obok. Z mieszkających przed wojną w Krasnosielcu Żydów wojnę przeżyło zaledwie kilka osób. Wikipedia podaje, że „28 września 1939 r. z Krasnosielca wypędzono wszystkich Żydów, zmuszając ich wcześniej do podpisania oświadczenia, iż opuszczają miejscowość dobrowolnie. Wysiedleni Żydzi trafili do Różana i Ostrowi Mazowieckiej. Część z nich wyjechała stamtąd do Białegostoku i innych miejscowości w strefie sowieckiej, pozostali osiedlili się w różnych miastach Mazowsza znajdujących się pod niemiecką okupacją (Ciechanów, Maków Mazowiecki, Mława i Węgrów)”. Tych którzy przeżyli, wymordowano w obozach koncentracyjnych w listopadzie 1942 r. (dane uzupełnione).
2.	Abraham Babczyk, rzeźnik		
3.	Noach Czerwin, kowal		
4.	Samuel (Szmuel) Dubner, młynarz		
5.	Jechuda Frenkl, handlarz zbożem		
6.	Dawid Glandbard, młynarz		
7.	Chaim Goldkranc, melameda w chederze, właściciel piwiarni		
8.	Israel Hersz Golobrodz, handlarz żyłazem		
9.	Ichiel Meir Hendel, młynarz		
10.	Chaim Himelfarb, rzeźak i kantor		
11.	Chaim Aaron Hochman, właściciel sklepu spożywczego		
12.	Szmuel, zięć Chaima Aarona Hochmana		
13.	Szlomo Israel, rzeźnik		
14.	Zelig Kafka, melameda		
15.	Jechuda Kamiński, szewc		
16.	Jehoszua Klaiman, sprzedawca tekstyliów		
17.	Jakob Mosze Kotlas, sprzedawca galanterii skórzanej		
18.	Abraham Mosze Kozic, handlarz zbożem		
19.	Arie Lichtenstein, właściciel sklepu galanteryjnego		
20.	Jakob Mławer, handlarz zbożem		
21.	Berl Mglä, handlarz drewnem		
22.	Mosze Aaron Moszkowicz, właściciel sklepu galanterii skórzanej		
23.	Jehos(z)ua Muszkat, właściciel sklepu spożywczego		
24.	Abraham Olbryś, rzeźnik		
25.	Perec Orliński, handlarz		
26.	Jakub Ostroziński, handlarz zbożem		
27.	Meir Rabinowicz, sprzedawca ryb		
28.	Samuel (Szmuel) Josef Rabinowicz, handlowiec		
29.	Leibl Rozental, handlarz zbożem		
30.	Pincze (Pinkus Zele) Rozental, handlarz zbożem		
31.	Baruch Wilson, melameda		
32.	NN		
33.	NN		
34.	NN		
35.	NN		
36.	NN		
37.	NN		
38.	NN		
39.	NN		
40.	NN		
41.	NN		
42.	NN		
43.	NN		
44.	NN		
45.	NN		
46.	NN		
47.	NN		
48.	NN		
49.	NN		
50.	NN		
51.	NN		
52.	NN		Pełniący funkcję rzeźaka Żyd z został zabity przez SS-manów we własnym domu.
53.	NN		Zabity 5 IX 1939 r. w trakcie pracy przy porządkowaniu zniszczonego mostu. Wrzucony do bagna i przywalony belkami.
54.	NN		Zabici w trakcie pracy przy porządkowaniu zniszczonego mostu.
55.	Ignacy Jakubiak, lat 42	Elżbiecin	6 IX 1939 r. wystawiony w Pienicach przy drodze posterunek Wehrmachtu zatrzymywał przejeżdżających Polaków – każdego zabijano na polu pod pobliską gruszą.
56.	Czesław Ostrowski		
57.	Tomasz Kuciej, lat 39	Drażdzewo Małe	
58.	Stanisław Pukas, lat 32	Papierny Borek	
59.	Stanisław Stancel		
60.	Paweł Zega, lat 40	Raki	
61.	Władysław Wronowski	Przytuły	
62.	Franciszek Galecki, lat 39		
63.	Jan Mamiński, lat 45	Pienice	

64.	Antoni Kędzierski	Krasnosielc	Aresztowani 10 XI 1939 r., kierownik szkoły i nauczyciel, zamordowani w obozie
65.	Zygmunt Kobyliński	Krasnosielc	koncentracyjnym w Dachau.
66.	Bolesław Brusewicz	Nowy Sielc	Zabity w 1940 r. w czasie likwidacji osób niepełnosprawnych (dane uaktualnione)
67.	Adam Mikulak, lat 24	Przytuły	Zastrzelony w Pienicach 18 III 1942 r. podczas próby ucieczki z transportu na roboty przymusowe do Prus.
68.	Stanisław Lipka	Wólka Dąrdżewska	Zaginął w czasie ucieczki z więzienia w Ostrołęce w styczniu 1942 r.
69.	Bolesław Ptak	Wólka Dąrdżewska	Zamordowany przez Gestapo za przynależność do organizacji podziemnej.
70.	Józefa Koziołek	Wólka Dąrdżewska	Zginęła w obozie za uchylenie się od wywózki na roboty przymusowe.
71.	Czesław Matyjasik	Raki	Zastrzelony w 1943 r. w okolicy Bud Prywatnych. S. Lipka i Cz. Matyjasik byli członkami Komendy Obrońców Polski.
72.	Wiktor Perzanowski, lat 50	Grabowo	Zamordowani 9 I 1942 r. w Grabowie na skutek donosu o pobycie partyzanta w jednym z domów. Wtedy zabity został też Wacław Olender, lat 30, z Gaczysk, będący w tej wsi przypadkowo. Po 7 miesiącach zmarł 11-letni syn Grabowskiego, Paweł i półtoraroczny syn Nakielskiego Jerzy.
73.	Czesław Mączyński, lat 40		
74.	Adolf Dąbkowski, lat 39		
75.	Bogusław Gałazewski, lat 17		
76.	Władysław Nakielski, lat 27		
77.	Hipolit Grabowski, lat 47		
78.	Zygmunt Zuzelski, lat 37	Bagienice	Zastrzelony 9 II 1943 r. w Bagienicach (dane uzupełnione).
79.	Błażej Kołodziejczak, lat 43	Krasnosielc Leśny	Zabici 14 VI 1943 r. w skutek donosu.
80.	Jan Kołodziejczak		
81.	Tomasz Lipiński, lat 36		
82.	Rozalia Kukawka	Wólka Dąrdżewska	Zmarła w obozie, odbywając karę, którą przyjęła na siebie za syna, za nielegalny ubój świń.
83.	Donata Zapisek, lat 17	Nowy Sielc	Zmarła w listopadzie 1943 r. w obozie pracy w Berlinie.
84.	Jerzy Mączyński, lat 20	Krasnosielc	Zamordowani 19 IX 1944 r. w Krasnosielcu, aresztowani po wybuchu Powstania Warszawskiego.
85.	Janina Sokołowska, lat 29	Krasnosielc Leśny	
86.	Walery Krzesiński, lat 31	Krasnosielc Leśny	
87.	Stefan Piętka, lat 40	Krasnosielc Leśny	
88.	Alfons Kocot, lat 21	Krasnosielc	Zginął 17 X 1944 r. w bitwie partyzantów z oddziału AK "Łowcy" z Niemcami pod Szlą koło Jednorozca, powiat przasnyski.
89.	Józef Lenda, lat 42	Raki	Wszyscy od pozycji 89 do 103 rozstrzelani 22 I 1945 r. w Żabikowie k/Poznań. Byli więźniami obozu karnego w Działdowie. Aresztowani w listopadzie 1944 r. w wyniku ujawnienia organizacji AK przez jednego z zatrzymanych członków. Gdy w styczniu 1945 r. zbliżał się front, usiłowano ich wywieźć do obozu w Szutowie jako więźniów politycznych. Gdy okazało się to niemożliwe, zastrzelono ich na cmentarzu w Żabikowie.
90.	Jan Skrobecki, lat 41	Raki	
91.	Stanisław Wąsowicz, lat 55	Krasnosielc	
92.	Piotr Krajewski, lat 54	Krasnosielc	
93.	Bronisław Kaczorek, lat 33	Krasnosielc	
94.	Mieczysław Grabowski, lat 43	Pienice	
95.	Hieronim Kaczyński, lat 39	Krasnosielc	
96.	Władysław Chrzanowski, lat 47	Pienice	
97.	Mieczysław Borkiewicz, lat 34	Nowy Sielc	
98.	Albin Fabisiak, lat 39	Krasnosielc	
99.	Dominik Pawłowski, lat 29	Nowy Sielc	
100.	Stefan Zakrzewski, lat 38	Krasnosielc	
101.	Bolesław Fęski, lat 26	Krasnosielc	
102.	Czesław Kaczorek	Nowy Sielc - Wypędzicha	
103.	Zofia Ferenc, lat 37	Krasnosielc	Zamordowana 14 I 1945 r. przez żołnierza Wehrmachtu.
104.	Eleonora Szewczak, lat 49	Dąrdżewo	Zabita 19 I 1945 r. wrzuconym do schronu granatem.
105.	Antoni Szewczak, lat 36	Dąrdżewo Małe	Zginęli 20 I 1945 r. od pozostawionej przez wycofujących się Niemców miny pułapki.
106.	Roman Michalak, lat 32		
107.	Antoni Cymerman, lat 26	Łazy	Zmarł 29 V 1945 r. w wyniku pobicia przez Niemca w styczniu 1945 r. (uszkodzenie narządów wewnętrznych).
108.	Wacław Kuplicki	Krasnosielc	Aresztowani przez NKWD 21 I 1945 r. w dużej grupie kilkudziesięcioosobowej i wywiezieni do ZSRR. Część wróciła. Wykazani obok zmarli na zesłaniu. Jest to lista niepełna.
109.	Wincenty Kuplicki		
110.	Stanisław Kalinowski		
111.	Franciszek Pogorzelski, lat 40		
112.	Stefan Grądzki, lat 44		
113.	Aleksander Gajewski		
114.	Zalęski		
115.	Antoni Koziołek, lat 37	Wólka Dąrdżewska	
116.	Stanisław Świtalski		
117.	Waszkowicz Roman	Krasnosielc	Zastrzelony w listopadzie 1944 r. wraz z 2 kolegami w miejscowości Pełty za ucieczkę od kopania okopów – egzekucja pokazowa (dane poprawione).
118.	Czesław Dudek, lat 17	Nowy Sielc	Zginął 11 IV 1945 r. od niewybuchu.
119.	Józef Talma, lat 35	Nowy Sielc	Zginął 1 VI 1945 r. od niewybuchu.
120.	Królikowski Władysław, lat 45	Bagienice	Zmarł w Bagienicach 2 V 1949 w wyniku utraty 95% zdrowia na wojnie we Francji.
121.	Aleksander Dudek, lat 22	Nowy Sielc	Zmarł w 1946 r. na gruźlicę po powrocie z obozu koncentracyjnego.
122.	Adam Chrzanowski, lat 10	Nowy Sielc	Rozerwany przez granat w 1946 r.
123.	Hipolit Kowalczyk	Wólka Dąrdżewska	Zginął w 1945 r. w niewyjaśnionych okolicznościach.
124.	Ryszard Pawłowski	Nowy Sielc	Zastrzelony w lipcu 1944 r. przez partyzanta NSZ pochodzącego z sąsiedniej wsi w okolicy miejscowości Gołowiny, prawdopodobnie z powodu zazdrości o dziewczynę.
125.	Franciszek Czarnecki, lat ok. 20	Chłopia Łąka	Jako żołnierz Wojska Polskiego zginął w walce z UPA w 1945 r.

126.	Jan Kaczorek	Przytuły	Zastrzelony 23 IX 1944 r. z powodu podejrzenia, że nie wykonał polecenia żandarma (faktycznie wrócił z podwoły z Jastrąbki).
127.	Stefan Mackiewicz	Przytuły	Funkcjonariusz UB zabity 1 V 1945 r. w czasie akcji Oddziału NSZ na Urząd Bezpieczeństwa.
128.	Bolesław Czajkowski, lat 49	Krasnosielc	Woźnica wynajmowany przez UB zabity 14 II 1946 r. w Krzyżewach przez oddział partyzancki.
129.	Kazimierz Sawicki, lat 13	Krasnosielc	Zginęli 28 X 1951 r. od niewybuchu.
130.	Tadeusz Ogrodowicz, lat 10		
131.	Daniel Górski, lat 10		
132.	Józef Skóra	Amelin	Zastrzelony 28 VII 1943 r. za ucieczkę z aresztu.
133.	Jan Gacloch	Budy Przysieki	Zastrzelony w Biernatach w 1939 r.
134.	Wacław Kacprzyński, lat 38	Drądzewo	Zmarł w czasie aresztowania.
135.	Stefan Piekut, lat 28	-	Powieszony w lutym 1943 r.
136.	Józef Jeznach, lat 21	Bagienice	Zastrzelony w Przytułach wiosną 1944 r.
137.	Mróz, imię nieustalone	Wólka Drądzewska	Poległ we wrześniu 1939 r., żołnierz.
138.	Dudek, imię nieustalone	Krasnosielc	Zastrzelony w styczniu 1943 r.
139.	Cząstkiewicz Damazy	Raki	Zastrzelony przy pasieniu krów w lipcu 1943 r. (imię ustalił Antoni Cząstkiewicz)
140.	Wiśniewski, imienia nie ustalono	Nowy Sielc - Wypędzicha	Zastrzelony w 1942 lub 1943 r. za ucieczkę z robót przymusowych w Niemczech.
141.	Ciak Marian, lat 36	Drądzewo	Wszyscy zostali zamordowani 20 I 1945 r. w Starych Jabłonkach koło Ostródy.
142.	Wincenty Srokosz	Niesułowo	
143.	Skowroński Kazimierz, lat 37	Drądzewo	
144.	Hubert Gołębic, lat 20	Krasnosielc	
145.	Lisowski Władysław	Krasnosielc	Zastrzelony w Krasnosielcu 3 I 1948 r. przez part. NSZ należących do oddziału "Roja".
146.	Częściak Władysław, lat 27	Wola Józefowo	Partyzant NSZ, Pogotowie Akcji Specjalnej rozstrzelany w Warszawie w lipcu 1951 r. z wyroku Sądu Wojskowego.
147.	Stanisław Brzozowski, lat 40	Krasnosielc	Rozstrzelany.
148.	Julian Więcek, lat 21	Karolewo	Zginął 19 IX 1949 r. w Krasnosielcu.
149.	Parciak Jan, lat ok. 40	Karolewo	Wybuch niewypału, w czerwcu 1977 r.
150.	Parciak Elżbieta, lat ok. 4	Karolewo	Wybuch niewypału, w czerwcu 1977 r. Elżbieta była córką Jana (pozycja 130). Ponadto siostra Jana – Sabina, straciła całkowicie słuch.
151.	Stanisław Szczepański, lat 28	Drądzewo	Żołnierz kierowca ciężarówki 3 Bat. Panc. stacjonującego przy ul. Jagiellońskiej w Warszawie. Pod koniec września 1939 r. ranny w czasie nalotu lotniczego, zmarł przeniesiony do kościoła św. Aleksandra przy pl. Trzech Krzyży.
152.	Stanisław Róziecki (Ruziecki)	Krasnosielc	Zamordowany 20 I 1945 r. w Starych Jabłonkach koło Ostródy.
153.	Wita Aronowicz, ok. 40 lat	Krasnosielc	Polacy żydowskiego pochodzenia. Wyszli z Białegostoku. W lutym 1940 r. deportowani przez NKWD do Republiki Komi w ZSRR, gdzie z powodu głodu, ciężkich warunków i głodu zmarli w 1943 r.
154.	Mojżesz Aronowicz, ok. 40 lat	Krasnosielc	Przeżyła urodzona w 1936 r. córka. Po wojnie wróciła do Polski i zamieszkała w Krakowie.
155.	Józef Zabielski	Pienice	Funkcjonariusz MO zabity w czerwcu 1946 r. w swoim domu, prawdopodobnie przez partyzantów NSZ pochodzących z sąsiednich wsi.
156.	Stefan Markowski	Pienice	Funkcjonariusz UB zabity w czerwcu 1946 r. tej samej nocy, co wymieniony powyżej Józef Zabielski, którego był szwagrem, prawdopodobnie przez partyzantów NSZ pochodzących z sąsiednich wsi.
157.	Franciszek Iwanowicz	Pienice	Podobnie jak dwaj poprzedni został zabity w czerwcu 1946 r. przez partyzantów NSZ Pogotowie Akcji Specjalnej. Przyczyną zabójstwa była jego przynależność do PPS.
158.	Hipolit Pluciennik, lat ok. 30	Krasnosielc Leśny	Żołnierz WP, zginął we wrześniu 1939 r. walcząc w obronie twierdzy Modlin.
159.	Józef Rumiński	Krasnosielc Leśny przysiółek Kogutkowo	Aresztowani wraz z żonami za prowadzenie drobnego handlu. Zmarli lub zostali zabici w obozie karnym.
160.	Bolesław Kupis		Zabity w styczniu 1945 r. w Krasnosielcu, dokąd wybrał się na poszukiwanie żywności już po opuszczeniu miejscowości przez Niemców. Zabójca niezany.
161.	Władysław Rumiński lat ok. 18	Krasnosielc Leśny	Zastrzelona w styczniu 1945 r. przez żołnierza radzieckiego, który strzelał do piwnicy przekonany, że ukrywają się tam Niemcy.
162.	Zofia Bojarska, lat 18		Jako niejedyny w tej okolicy nielegalnie dostarczał w czasie okupacji mięso do Warszawy (tzw. szmugiel). W jednej z takich wypraw w roku 1942 lub 1943 zginął. Być może został zastrzelony przez Niemców.
163.	Edward Piętka	Krasnosielc Leśny	Zginął od wybuchu granatu, który przyniósł do domu. Razem z nim zginęła przyjezdna dziewczynka z Warszawy o nazwisku Bystrzak.
164.	Antoni Skrobecki, lat 13 lub 14	Raki	Uratował się z masakry Żydów w Krasnosielcu na początku września 1939 r. Po otrzymaniu pomocy od rodziny Euzebiusza Zielińskiego, wspominającego ten fakt (podarowanie ubrań), miał uciekać w stronę Ostrołęki, ale podobno go zastrzelono.
165.	Hersz Batogower	Krasnosielc	Kilku Żydów z Krasnosielca zabitych 6 IX 1939 r. w Pienicach przez żołnierzy Wehrmachtu.
166.	NN	Krasnosielc	Zamęczony przez Niemców, przywiązany do koni i wkleczony po ziemi, aż zginął.
167.	Zilberger, rabin	Krasnosielc	1 IX 1939 r. wziął ślub z córką rabina Zilbergera. Zginął w okolicy Serocka. Grób wykopała zmuszona do tego żona.
168.	zięc Zilbergera	Krasnosielc	

Uzupełnienie:

W akcji NŻS w dniu 1 V 1945 r. poległ Julian Pszczółkowski dowódca plutonu Oddziału NSZ i funkcjonariusze UB: Marian Ostrowski, Tomasz Stolarczyk, Tadeusz Szwejkowski, Józef Wojciechowski, po akcji zastrzelono milicjantów: Ignacego Boczara i Czesława Kuczyńskiego. Nie pochodzili z naszej ziemi, ale tutaj zginęli.

Autor spisu: **Apolinary ZAPISEK**

współpraca: Sławomir Rutkowski, Maria Weronika Knoch



Wspomnienia

Cz. 1: Pamiętnik z II wojny światowej

Cz. 2 Powrót z niewoli

Cz. 3 Krótka historia przeżyć Furmana Henryka

Stefan WILGA

O Autorze²³

Stefan Wilga, autor prezentowanych wspomnień, był synem Tomasza Wilgi i Katarzyny z Bakulów. Urodził się 4 IX 1911 r. w Jednorozcu. Ochrzczony został 10 IX 1911 r. przez ks. Józefa Ciesielskiego, w latach 1911–1916 administratorem filii parafii Chorzele z siedzibą w Jednorozcu.

Stefan był najmłodszym z dziewięciorga dzieci małżeństwa Wilgów (Bronisław, ur. 1892 r., Władysław, ur. 1893 r., Aleksander, ur. 1896, Jan, ur. 1897 r., Teodor, ur. 1902 r., Julianna, ur. 1904 r., Stanisław, ur. 1906 r., Ignacy, ur. 1910 r.), z czego czwórka nie dożyła wieku dorosłego (Bronisław, zm. 1892 r., Ignacy, zm. 1910 r., Jan, zm. 1898 r., Stanisław, zm. 1907 r., Teodor, zm. 1916 r.).

W dniu 1 VI 1940 r. został wywieziony na roboty przymusowe do Prus Wschodnich. Pracował w Szczytnie w stolarni kolejowej. Następnie przeniesiono go do Pisz, skąd 15 XII 1940 r. trafił do Królewca.

Stefan Wilga w okresie II wojny światowej służył w Armii Krajowej. Nosił pseudonim „Pokrzywka”. Był zastępcą dowódcy I Plutonu Jednorzec ps. „Wrzos”, należącego do Ośrodka Jednorzec, jednego z dwóch jednostek AK w obwodzie przasnyskim.

Po zakończeniu II wojny światowej wstąpił do Milicji Obywatelskiej. Od 5 XI 1970 r. należał do Związku Bojowników o Wolność i Demokrację (ZBOWiD), od 20 II 1975 r. pracował w zarządzie regionalnym. Uchwałą Rady Państwa z 29 VII 1987 r. oznaczony Złotym Krzyżem Zasługi.

Ożenił się z Czesławą Obrębską. Nie mieli dzieci. Mieszkali w Jednorozcu przy ul. Zielonej 4 (obecnie posesja nr 8). Prowadzili trzyhektarowe gospodarstwo rolne.

Stefan Wilga zmarł 26 III 1994 r. w Jednorozcu. W 1997 r. żona ufundowała przed ich domem kapliczkę. Na tablicy fundacyjnej umieszczono nazwiska obojga

małżonków.

Wilgowie przepisali majątek na spokrewnioną z nimi rodzinę Sokołowskich. Obecnie na posesji, gdzie mieszkali Wilgowie, ma siedzibę centrum ogrodnicze „Bajka” Mirosławy Klimczak.

Stefan Wilga znany jest badaczom historii pow. przasnyskiego, I wojny światowej na północnym Mazowszu oraz czytelnikom „Krasnosielckiego Zeszytu Historycznego” jako autor wspomnień z okresu Wielkiej Wojny. Tekst pt. *Smutna Dola Wioski Jednorzec* opublikowaliśmy w „Krasnosielckim Zeszycie Historycznym” w 2016 r. (nr 27, s. 3–44).

O źródle

Prezentowane wspomnienia Stefana Wilgi z okresu II wojny światowej to dwa oddzielne maszynopisy, stanowiące jednak całość. Maszynopis *Pamiętnik z II wojny światowej* liczy 155 stron, zaś *Powrót z niewoli* – 79 stron. Przechowywane są w Archiwum Muzeum Historycznego w Przasnyszu pod sygn. 78 i 79.

Częścią maszynopisu *Powrót z niewoli* jest relacja wówczas 17-letniego Henryka Furmana z Jednorzecz, mówiąca o okresie II wojny światowej. Wspomina on o okupacji w Jednorozcu, o bitwie pod Szlą, represjach po bitwie, a także więzieniu w Przasnyszu oraz ucieczce z Działdowa w styczniu 1945 r.

Prezentowany maszynopis to interesujące studium życia w czasie II wojny światowej, a także zapis losów człowieka, którego drogę życiową ukształtowały działania wojenne. Wraz ze Stefanem Wilgą oraz Henrykiem Furmanem przenosimy się do Prus Wschodnich, na stacje kolejowe na linii Szczytno-Ostrołęka, a nawet do Johannesburga. Poznajemy codzienność okupacyjną, troski i radości mieszkańców gm. Jednorzec, a także najważniejsze wydarzenia związane z ruchem oporu na tym terenie.

Zasady edycji

Podobnie jak w przypadku *Smutnej Doli Wioski Jednorzec*, w edycji prezentowanych źródeł zastosowano następujące rozwiązania, mające na celu redakcję tekstu i ułatwienie jego

odbioru czytelnikom:

- wprowadzono interpunkcję, która w oryginale nie zawsze występowała, a jeśli istniała, to nierzadko była wprowadzona błędnie;
- dialogi wydzielono myślnikami;
- usunięto ewidentne błędy ortograficzne i literówki;
- słowa uzupełniono o brakujące litery, co zaznaczono nawiasem kwadratowym;
- zachowano zapis gwarowy, który stanowi doskonale źródło językoznawstwa kurpiowskiego. Autor rejestrował swoje wspomnienia używając zapisu fonetycznego, którym posługiwali się ówczesni mieszkańcy. W sposób szczególny należy zwrócić uwagę na eliminację samogłosek znajdujących się początkowo wyrazów, np. „jch” – kurp. *jich* zamiast „ich”, „jzba” – kurp. *jizba* zamiast „izba”; ograniczanie występowania samogłoski „i”, którą w wielu przypadkach zastępowaną samogłoską „y”, np. „wiosky” zamiast „wioski” i dalej: namy (nami), latamy (latami), końmy (końmi), ciotky (ciotki), placky (placki), piekly (piekli) itd. Kolejnym ciekawym użyciem zapisu gwarowego jest zamiana samogłosek „y” na „e”, charakterystyczna dla gwary kurpiowskiej, np. w słowach: własnem – kurp. *własněm* (własnym), ciasnem – kurp. *časněm* (ciasnym), parafialnem – kurp. *paraśalněm* (parafialnym), samem – kurp. *saměm* (samym), naszym – kurp. *nasěm* (naszym), prostem – kurp. *prostěm* (prostym) itd. Kolejną cechą wspólną mowy Kurpiów była całkowita eliminacja samogłoski „i”, np.: Stegen (Stegien), drugiego (drugiego), itp. Dokładna analiza całości materiału pod względem zapisu kurpiowskiego dialektu literackiego w niniejszym wstępie byłaby zbyt obszerna, dlatego też zainteresowanych odsyłamy do literatury²⁴.
- wprowadzono przypisy w miejscach wymagających wyjaśnienia, np. wytłumaczono pojawiające się w tekście nazwy miejscowe czy wyrazy już nieużywane lub mogące stanowić zagadkę dla współczesnego czytelnika, a także fonetycznie podane sformułowania z j. niemieckiego czy gwary mazurskiej;
- usunięto nagminnie występujące wielkie litery rozpoczynające słowa, zaś nazwy miejscowe oraz osobowe zapisano wielką

²³ Życiorys autora opracowano na podstawie prywatnych dokumentów oraz listów S. Wilgi i A. Drwęckiego, przekazanych przez rodzinę Klimczaków z Jednorzecz, akt metrykalnych parafii Jednorzec oraz literatury (A. Drwęcki, *Ruch oporu w gminie Jednorzec 1939–1945*, Jednorzec 2011; T. Wojciechowska, *Jednorzec. Historia wsi*, Jednorzec 2015).

²⁴ J. Rubach, *Zasady pisowni kurpiowskiego dialektu literackiego*, Ostrołęka 2009.

literą, jeśli taka nie występowała w oryginale;
 - w nawiasach kwadratowych zamieszczono dopiski redaktorki, np. uzupełnienia zdań o słowa, bez których można by nie zrozumieć ich sensu;
 - zbitki słów z przyimkiem „z” zostały rozdzielone, „s” zamienione na „z”, np. „smieszkania” zamieniono na „z mieszkania” itp.;
 - usunięto powtórzenia słów nie wnoszące nic do tekstu;
 - w celu sprawniejszego łączenia opisów dodano spójniki lub je usunięto.

Tekst opatrzyłam materiałami ilustracyjnymi. Składają się na nie: fotografie ze zbiorów rodziny Klimczaków oraz zdjęcia dotyczące II wojny światowej na omawianym terenie, zgromadzone przez redaktorkę. Tekst uzupełniają archiwalne mapy. W przypisach podano też informacje uzupełniające nakreślony przez pamiętnikarzy obraz okupacji niemieckiej, oparty na literaturze przedmiotu oraz wspomnieniach mieszkańców gm. Jednorzec²⁵.

Życzę pożytecznej lektury!

Redaktorka tekstu: Maria Weronika Knoch

Tekst przepisałi:

Olga Smolec-Knoch

Sylvia Kubik

Ryszard Lemański

Anna Sobieraj

Łucja Świerszcz

Natalia Wierzbńska

Anna Ziółkowska

Pamiętnik z II wojny światowej

Szóstego sierpnia 1939 r. dostałem kartę powołania do 32 P.P. do Modlina i wielu innych żołnierzy rezerwy z naszej wioski [taką dostało]. W naszej wiosce powstał zamęt i podniecenie. Chłopy zbierali się do kupy i wszyscy gadali o wojnie, a ja nie miałem dużo czasu, bo się liczyło na minuty. Zabiło me żołnierskie serce. Pożegnałem swoją siostrę i poszedłem pożegnać swoją narzeczoną Czesławę, która powiedziała ze łzami w oczach:

²⁵ J. Chmielewski, *Powiesili ich przed Wigilią*, Przasnysz 2017; A. Drwęcki, *Bitwa oddziału partyzanckiego AK „Łowcy” pod Szlą*, Przasnysz 1995; tenże, *Ruch oporu w gminie Jednorzec 1939–1945*, Jednorzec 2011; tenże, *Zbrodnia w Starych Jablonkach pod Ostródą*, Przasnysz 1994; tenże, *Związek Walki Zbrojnej i Armia Krajowa w Przasnyskim*, Przasnysz 2009; R. Juszkiewicz, *Czas walki, cierpienia i bohaterstwa. Powiat przasnyski w latach 1939–1945*, Przasnysz 1993; W. Łukaszewski, *Żelazna Prywatna, Żelazna Rządowa, Żelazna Rządowa-Gutocha*, [w:] *Zapiski Ziemi Jednorzeckiej*, red. M. Dworniczak i in., Jednorzec 2011, s. 62–66; tenże, *Tradycje niepodległościowe w gminie Jednorzec*, [w:] tamże, s. 69–72; J. Soplewski, *Wspomnienia wojenne 1939–1945*, „Rocznik Przasnyski”, 1 (2014), s. 265–271; T. Wojciechowska, *Jednorzec. Historia wsi, Jednorzec 2015*; Cz. Wojciechowski, *Trudne lata*, [w:] *Zapiski Ziemi Jednorzeckiej...*, s. 129–130; *Wybuch II wojny światowej we wspomnieniach mieszkańców gminy*, oprac. M. Dworniczak, Z. Lorenc, [w:] *Zapiski Ziemi Jednorzeckiej...*, s. 116–120.



Stefan Wilga (1911–1994) w młodości, prawdopodobnie okres międzywojenny. Zbiory rodziny Klimczaków.

- Jdź, Stefanie, nadszedł czas, żebyś zdał egzamin z tego, czego Ojczyzna Ci powierzyła: bronić granic naszej Polski. Jest my bardzo przykro, że odchodzisz na wojnę. Żegnaj, Stefanie, może się więcej nie zobaczem, niech Cię Bóg ma w swojej opiece.

W tem czasie zaturkotał wóz[, który] stanął przed domkiem Czesławy. Wpadli do mieszkania koledzy, Grabowski Franciszek i Mordwa Stanisław, kapral rezerwowy. Już w progu krzyczą:

- Zbieraj się, bo mało mamy czasu, żebyśmy zdążyli na pociąg.

Jeszcze raz pożegnałem Czesię i zacząłem śpiewać piosenkę wojskową:

Nie płacz, dziewczę drogie

Ojczyzna mnie woła

Jadę za kraj walczyć

Wśród rodaków kola.

Wszyscy wyszliśmy z mieszkania, weszliśmy na wóz. Furman dał koniom po bacie i ruszyliśmy w kierunku stacji Parciaki. Przejeżdżając ostatnie domki Jednorzecz, zaczęliśmy śpiewać „Jeszcze Polska nie zginęła” i różne piosenki wojskowe. Po drodze spotykałem znajomych, żegnając ich machaniem chusteczki. „Do widzenia, do widzenia” - wołaliśmy jeden przez drugiego. Przechodnie nam odpowiadali:

- Wracajcie zdrowo po skończonej wojnie.

Minęliśmy tereny naszej wioski i zaczął się las. Siedząc na furmance, zaczęliśmy rozmawiać [o] rzeczach wojskowych. Wtem nagle zaszumiał las. Zerwał się złowrogi wichur wprost na naszą furmankę. Konie skrzyły w zagajnik, zaczęły parskać. Naraz zagrzmięło i poleciały grube krople deszczu. Koledzy mówią:

- To zła wróżba.

Grabowski przeciągnął się na siedzeniu i zaczął mówić:

- Ja to ostatni raz w tym lesie [jestem], bo to naprawdę jakaś przestroga, ja już nie wrócę do domu.

- Nie [jest] tak źle, jedziemy dalej, nic się nie

stało - poklepałem po ramieniu Franka. - Skończ te przypuszczenia, lepiej zaśpiewamy jaką wojskową piosenkę.

I zacząłem sobie nucić pod nosem „Naprzód, drużyno strzelecka, sztandar do góry swój wnieś”. Stasiek i Franek zaczęli mi pomagać i rozległ się śpiew na dobre. Koledzy zapomnieli o domu i byli gotowi oddać życie w obronie kochanej Ojczyzny.

Zbliżając się do stacji Parciaki, słychać było łoskot gatrów²⁶ i maszyn bliskiego tartaku. Bliżej tego tartaku robotnicy znajomi zaczęli machać chusteczkami na pożegnanie, [a] niektórzy z pobliza wołali:

- Do widzenia, Stefanie, a wojujcie dobrze, wkrótce i my wam pomożem.

Z powagą odpowiedział Grabowski:

- Zabijemy po trzech szwabów i wrócimy do domu, bo tak wypada na każdego Polaka.

Tylko kapral Mordwa spochmurniał, bo zostawił w domu żonę i jakiś go żal ścisnął i nie mógł się opanować. Wóznica pognał konie w kierunku stacji. A ja zdążyłem krzyknąć:

- Do widzenia, chłopaki!

I znaleźliśmy się przy stacji. Zaczęliśmy się rozglądać dookoła. Zaczęły się pojawiać furmanki z różnych wiosek, wioząc rezerwistów; były to znajomi i nieznajomi. Na poczekalni było paru rezerwistów. Zaczęli rozmawiać o wojnie. Zaczęło m[n]ie się nudzić i spojrzałem na zegar kolejowy – miałem jeszcze 30 minut czasu. Zwróciłem się do swoich chłopaków i powiedziałem:

- Chodźcie ze mną tam, gdzie ja robiłem, tam niedaleko do tego czworaka, co go widać.

I zaszliśmy do moich współpracowników na pożegnanie. Po krótkiej rozmowie pożegnaliśmy się na wesoło. Zostawiając starą brać i czworaki, udaliśmy się z powrotem do stacji.

W tem czasie rozległ się gwizd zbliżającego się pociągu od strony Chorzel i stanął jak wryty przy peronie. Wsiadłem do wagonu, zajęłem miejsce. Było paru rezerwistów z Chorzel i z [po]bliskich wiosek. Pierwsi się odezwali:

- Cześć, chłopcy, dokąd jedziecie?

Odpowiedzieli:

- Do Modlina, do twierdzy.

- I my do Modlina. To będzie nam weseli jechać.

I wszyscy zaczęli wyglądać oknami na stację i na tartak. Na peronie żegnali się rezerwiści ze swoimi krewnymi, z żonami, narzeczonymi. Kobiety niektóre płakały, wycierając oczy chusteczką. Pomiędzy nimi kręcił się głupi Tadek. Wołali na niego Kowalski. I dopytywał się:

- Czego płaczecie?

Jedna z kobiet odwróciła się do Tadka i powiedziała:

- Chłopa mi zabierają na wojnę.

A Tadek długo się nie namyślał, doleciał do parowozu z kijem w rękę i przyłapał przez parowóz dwa kije, i zaczął wytrząsać maszyniście kijem w rękę:

- Ja ci dam! Bedziesz zabierał naszych chłopów na wojnę?!

Zawiałowca odsunął głupiego Tadka od pociągu i podał ruch odjazdu. Stara maszyna sapiała jak z przemęczenia. Zgwizdała żałośnie

²⁶ Gatry – maszyna służąca do przecierania kłód drzewnych na tarcicę i elementy drewniane; trak; tracznica.



Jednorzec po zniszczeniach w 1915 r. Zbiory Mirosława Krejpowicza.

i potoczyły się koła w stronę Ostrołki. W wagonie powstał śmiech. Jeden mówi:

- Tadek pognął parowóz, [więc] dobrze jdzie.

A my - Grabo[w]ski, Mordwa i ja - patrzyliśmy przez okno na tartak. Robotnicy tartaczni machali chusteczkami na pożegnanie. W tym czasie zawyla syrena tartaczna żalosnym głosem, jakby nas żegnała. W wagonie panowała cisza, nikt nic nie mówił. Słysząc było łoskot kół pędzącego pociągu. Słońce chyliło ku zachodowi, promienie słoneczne przedzierały się przez okna do wagonów. Odezwał się cicho Grabowski:

- Może już ostatni raz żegnamy się z tą stacją, może już nie wrócimy - mówił bardzo zatrwożony.

- Kto wie, co się stanie, ale przestań tchórzyć i nie desperuj zawczasu - odezwałem się do Grabowskiego. - Przecież mamy po co jechać, musimy Niemcom wynagrodzić kulą i bagnetem za naszych ojców, którzy byli u nich w niewoli. Zabrali ich z własnych domów i poczytali ich za śpiegów. Trzymali ich w zimnych barakach całą zimą, a na wiosnę zakładali ich do pługa, dwudziestu czterech ciągnęło pług, a jeden trzymał za rączki. A Niemiec ich poganiał batem i zgrywał się z nich jak łotr z Chrystusa. Pamiętasz, jak u nas mówił twój ojciec i mój stryj: „Chłopcy, jak dorośnięcie, to nie darujcie żadnemu Niemcowi za nasze znęcanie, głód i niewolę, bo wy doczekacie z nim wojować”. I nadszedł czas się z nimi rozprawić.

Odezwał się Grabo[w]ski:

- Stefanie, masz dobrą pamięć, teraz to my wszystko stanęło przed oczami po prostu, jakbym patrzył na to wszystko. A pamiętasz naszą wieś, jak wyglądała po pierwszej wojnie światowej? Gdzieśniedzie sterczał komin.

Z naszej całej wioski Jednoróżca zostały tylko ściany naszego mieszkania i u Kaczyńskich śpichrz. Ludzie, gdy powracali do wsi, to nie mogli trafić na swoje podwórko, bo wszystko było skopane okopami i zarośnięte pokrzywami. Tylko się unosiły ruje much różnego gatunku nad ludzkie ciała i spalonymi dobytami.

Wszyscy m[n]ie wkoło obstąpili i słuchali, jak[by mówił] proboszcz z ambony. W tym czasie rozległ się gwizd pociągu. Wszyscy zaczęliśmy wyglądać oknami z wagonu. Pociąg zaczął hamować, nareszcie stanął. Stara lokomotywa poniemiecka sapiała od przemęczenia i starości. Ukazała się stacja Jastrząbka, rozległ się głos konduktora:

- Jastrząbka! Wsiadać!

Na peronie stało dwóch rezerwistów, którzy wsiadli do wagonu. Zawiadowca dał znak odjazdu. Stara maszyna ciężko zasapiała i pociąg ruszył w kierunku Ostrołki. Po drodze coraz więcej przybywało chłopów wojskowych. Zapanował gwar i różne dochcipy zgrywał jeden z drugiego.

Nareszcie dojechalim do Ostrołki. Pociąg zaczął folgować i stanął przy peronie. Zaczęliśmy wysiadać, poszlim od poczekalni. Prawie zaczął zapadać zmrok, ale na drugim peronie był podstawiony pociąg, który za pół godziny miał odejść w kierunku Warszawy. Postanowiliśmy wsiąść na podstawione wagony. Paru rezerwistów i nas we trzech zajęliśmy miejsca, wsiadli do wagonów, posiadaliśmy na siedzenia. Zaczął mówić kapral Mordwa:

- [Gdy] słuchałem twojego opowiadania, Stefanie, to zapomniałem o własnej żonie. Tak, nadszedł czas bronić naszej Ojczyzny. Nie wiem, jak ta operacja uda się nam z Niemcami, bo ich jest więcej jak nas, prawie na każdego

Polaka wypada trzech Niemców, to musimy się dobrze bronić i celnie strzelać do szwabów. Będziemy [walczyć] w obronie własnego kraju.

W tym czasie lokomotywa stuknęła w wagony, aż się cofnęły się do tyłu i pociąg się zatrzymał naprzeciw stacji. Wyszli z poczekalni ludzie [i] powiadali do wagonów. Rezerwiści na odjazd zaczęli śpiewać piosenki wojskowe. Zawiadowca podał rozkaz wyjazdu [i] pociąg ruszył w kierunku Warszawy. Dziewczyny machały na pożegnanie chusteczkami. Pociąg oddalał się coraz dalej i dalej, było słyszeć łoskot kół i pieśni żołnierskie. Po drodze przybywało coraz więcej pasażerów. W wagonach robiło się coraz ciśnień.

W krótkim czasie zajechaliśmy do Warszawy na Dworzec Wileński. Wsiadli z wagonów, przeszlim przez dworzec kolejowy, wsiadli do tramwaju i dojechalim na Dworzec Główny. Wszyscy wysiedli z tramwaju, poszlim na dworzec kolejowy, weszlim do poczekalni, posiadaliśmy na ławki. Mordwa się podniósł z ławki i zaczął patrzeć na rozkład, o której godzinie odchodzi pociąg do Modlina. Odezwał się Mordwa:

- Chłopcy, mamy pociąg o godzinie 3:15, możemy się troszkę przespać.

- Tak, ale musimy wystawić wartę, żeby nas nie okradli, bo pełno jest włóczęgów.

- A przeważnie na dworach to oni grasują - powiedziałem z cicha do Mordwy.

Naraz ukazał się jakiś kolejarz w mundurze i ogłosił:

- Poczekalnię zamykam do godziny [w]pół do trzeciej. Za kradzież nie odpowiadam, kto chce, może czekać na ranne pociągi.

Kolejarz podkręcił swoje czarne wąsiki i się oddalił do drzwi. Zachrobał zamek, zaparł

jedne i drugie drzwi poczekalni. Zostalim sami wojskowi i piętnaście młodych kobiet, które przywoziły obrusy swojej roboty na sprzedanie.

Zaczęła się zbliżać godzina 23. Wszyscy byli pogrążeni snem. Rezerwiści drzemali w ławkach na jednej stronie, a kobiety na drugiej stronie. Naraz odtworzyły się drzwi poczekalni. Kolejarz wpuścił paru mężczyzn i trzy kobiety. Słychać było zamknięcie drzwi i z powrotem zachrobotał klucz w zamku. Przybysze się rozeszli po poczekalni. Jeden z nich przyszedł do nas i zaczął się wypytwać nas, dokąd jedziemy, a reszta się włączyła po poczekalni. Najpierw usiadły trzy przybysze przy kobietach, a później stopniowo siadali mężczyźni. W krótkim czasie było słychać śmiechy kobiet coraz to głośniejsze. Przeprosił nas nieznaną mężczyznę i poszedł do swoich kumpli.

Dochodziła godzina 2 po północy. Nocni przybysze wymkli się – nie wiadomo, kiedy. Za parę minut zaczęła jedna kobieta krzyczeć, że ją okradli. I druga krzyczy, że ją okradziono. I zaczął się płacz, i narzekanie. Odezwała się jakaś starsza kobieta:

- Dobrze wam zrobili, że was okradli, nie będziecie się zadawać z byle oprychami.

Zapanował ruch między kobietami, wszystkie ocierzwały ze snu. Słychać było śmiech i i płacz na przeplatankę. Wszyscy rezerwiści tworzyli jedną rodzinę, znajomi i nieznajomi.

Po alarmie kobiet zaczęliśmy spoglądać na zegar, czy mamy jeszcze długo czekać na odjazd. Odezwał się Grabo[w]ski:

- Jak tam nasze dziewczyny się czują po naszym odejście?

Przerwał Grabo[w]skiemu Mordwa:

- Dziewuchy to mać je koza, ale ja zostawiłem w domu żonę i syna małego, i co mam robić? Dostałem kartę powołania i ten papier jest mocniejszy jak moja własna żona. Jedziemy wojować za Ojczyznę i wszystko trzeba odrzucić na bok. Trzeba nam odrzucić wszystkie kłopoty domowe, a ścisnąć mocno karabin w swe dłonie i bronić każdego kawałka ziemi polskiej. Skończyły się zabawy i ładne dziewczyny. Wzywa nas Ojczyzna, by potańcować z Niemcami.

A ja, słuchając opowiadania kaprała Stanisława Mordawy, złapałem go za rękę i ucisnąłem. Nawzajem ściskałem się za ręce i powiedziałem:

- Dobrze, chłopaki, mamy niezłomnego ducha. Ale nie wiemy, jak to się skończy, czyje będzie zwycięstwo, czy Niemców niewola, czy nasza.

W tem czasie zachrobotał klucz we drzwiach. Drzwi się roztworzyły szeroko i ukazał się jakiś kolejarz, a za nim weszło ze dwudziestu chłopów. Widać było, że to byli warszawiacy. Niektórzy byli pijani, grali na mandolinie i na skrzypcach. Zegar wybił godzinę 3 nad ranem. Franek się zwrócił do nas i mówi:

- Chłopaki, niedługo odjazd.

Na poczekalni zaczęło się kręcić coraz to więcej ludzi, coraz większy to ruch. Zjawiały się kobiety z koszami i nawoływały:

- Pierożki na sprzedanie, pierożki!

Druga kobieta krzyczy:

- Panowie, lemoniada wyborowa, kupujcie!

A powoli nadchodził czas na odjazd. Wszyscy wyszli na peron. Na peronie czekało już paru rezerwistów. Na szybach stały wagony osobowe, do wagonów zbliżała



Rok 1939, czerwiec. Uczestniczki kursu przysposobienia obronnego dziewcząt w Spale-Borkach (woj. łódzkie), wśród nich Czesława Chudzik z Jednorozca. Zbiory rodziny Lesińskich.

się lokomotywa. Naraz gwizdek i czas siadać do wagonów. Wsiadłem do wagonu, zajęłem miejsce i zaczęłem wyglądać przez okno na peron. Na peronie warszawiacy zaczęli się żegnać na wesoło. Jeden mówi:

- Mańka, czego płaczesz, ty w dziąsło szarpana? Myślisz, że ja głupi, żebym dał się Niemcom zabić? Niedługo się zobaczymy. Pa pa, do widzenia.

Sam skoczył na stopnie wagonu. Pociąg dał sygnał odjazdu i ruszył w kierunku Modlina. Czas zlatał prędko. Zaczęło się rozwidniać, w wagonie było wesoło. Warszawiacy grali i śpiewali. Opowiadali różne kawały. Kapral Mordwa trochę się zdziwnął, a my obydwa z Grabo[w]skiem rozmawiali o sprawach wojskowych. Odezwał się Grabo[w]ski:

- Żeby nas przedzielili do jednej kompanii, to bym razem byli jak w służbie czynnej.

- Tak, Franek, masz rację, bo to się zbliża wojna. Jak bym byli razem, to bym sobie jakoś radzili, lepiej, jak każdy sam. W służbie czynnej bylim razem, to może i na wojnie będziemy razem.

Kapral Mordwa sobie smacznie chrapał, przeciągał się na siedzeniu i wyciągał obydwie nogi. W tem czasie nadszedł Feluś warszawiak i przez nogi Mordwy przewrócił się na podłogę wagonu. Jak nie wrzaśnie:

- Mańka, ty w dziąsło szarpana, gdzie jesteś?! Precz będę cię szukał!

Mordwa zerwał się na równe nogi i się patrzy, co się stało. Feluś się pomału zgramolił na nogi i powiedział:

- Przepraszam pana, ja szukam Mańki, gdzieś się podziała, ta w dziąsło szarpana. Gdzie ona jest, ta uszczana owiecka? Precz będę jej szukał.

Feluś poszedł dalej, mamrocząc sobie pod nosem, a my zaczęliśmy się śmiać z tego Felusia.

Wtem rozległ się gwizd lokomotywy. Mordwa wyjarzał oknem i powiedział:

- Chłopaki, mamy Nowy Dwór [Mazowiecki], zaraz będzie Modlin. Będziemy wysiadać po

paru minutach.

Pociąg ruszył dalej w kierunku Modlina. Zaczęliśmy wyglądać oknami, pełni nastroju. Słychać było łoskot kół i trzask wagonów, i śpiew warszawiaków. Pociąg zaczął powoli zwalniać i wpadł na rozjazd.

- Mamy Modlin - odezwał się Mordwa.

Pociąg stanął i zaczęliśmy wysiadać z wagonów. Rozejrzałem się w prawo i w lewo, a tam nasz Feluś. Oczy ma podbite, marynarkę podartą, niepodobny do człowieka. Ja się zapytałem:

- Co miał pan za przygody, że pan tak wygląda, jak z cyrku?

Feluś zaczął mówić:

- Przepraszam panów, koledzy my to zrobili. Panowie, ja pójdę razem z wami się zameldować.

Wszyscy ruszlim w stronę koszar. Słońce było już wysoko na niebie, przeplatały się kłębiaste chmury na zachodnim horyzoncie. Minęliśmy domy oficerskie, powoli zbliżając się do koszar. Zatrzymała nas warta. Spytała się:

- Czy panowie do rezerwy?

- Tak jest.

Przepuścili nas przez bramę. Jeden z wartowników powiedział:

- Proszę się zameldować w 3 batalionie.

Godzina dochodziła 6 rano [fragment opuszczonej, data niezapisana] sierpnia 1939 r. Zostawiając wartowników, całą farajną weszliśmy na korytarz, gdzie się znajdowała kancelaria 3 batalionu 32 P.P. Drzwi były otwarte szeroko, przy stole siedział starszy sierżant [i] trzymał słuchawkę w ręku. Si[e]rżant zerwał się na równe nogi, zwrócił się do nas z uśmiechniętą twarzą i się zapytał:

- Panowie rezerwiści przybyli do nas?

Sam stanął na baczność. Mordwa odpowiedział:

- Tak jest, panie sierżancie.

Sierżant zasalutował i powiedział:

- Cześć, żołnierze rezerwy.

Usiadł za biurkiem, rozwinął grubą

książkę i zaczął wyczytywać, kto gdzie ma przedział i do jakiej kompanij. Nam z Grabo[w]skiem trafiło się do 3 kompanij C.K.M.²⁷, do 3 drużyny. Nareszcie marzenia się spełniły. Kapral Mordwa został przedzielony do pierwszej kompanij[i] strzeleckiej i do 3 bataljonu 32 P.P.

Po zameldowaniu opanowała nas radość, zaczęliśmy się ścisnąć za ręce, [bo] nasze marzenia spełniły się pomyślnie. Wszyscy bylim zadowoleni, że podczas wojny będziemy razem w jednym bataljonie. Wydano nam umundurowanie, menażki, tornistry, kocy i karabiny. Podoficer służbowy zameldował:

- Panowie rezerwiści, może zjecie śniadanie?

Odezwał się do kaprała służbowego:

Stanęlim jak wryci na baczność. Porucznik miał wesołą i uśmiechniętą twarz. Porucznik się zwrócił do mnie, dał rozkaz „Spocznij” i się zapytał:

- Co wam tak przypiliło, że nie zdążyliście włożyć koszul na siebie?

Ja poderwałem się na baczność i zacząłem meldować:

- Panie Poruczniku, melduję posłusznie: za 4 lata²⁸ zobaczylim dwóch najbliższych kolegów, z którymi służylim w jednej drużynie i w jednej kompanij, i w jednym Pułku 34 w Białej Podlasce. Bylim gotowi wyskoczyć przez kaleson do swoich kolegów.

Porucznik się roześmiał i powiedział:

- Spocznij. To bardzo mnie cieszy te wasze



Rok 1939, czerwiec. Uczestniczki kursu przysposobienia obronnego dziewcząt w Spale-Borkach (woj. łódzkie), wśród nich Czesława Chudzik z Jednoróżca. Zbiory rodziny Lesińskich.

- Dobrze, panie kapralu, [w]pierw się ubierzemy po żołniersku, a później zjemy śniadanie, bo po cywilnemu to grzech jeść wojskowy chleb.

Kapral się roześmiał i powiedział:

- Bardzo mnie to cieszy, że poprowadzę do kuchni panów w mundurach.

Zaczęlim się rozbierać z cywilnych garniturów i oblućmy wojskowe ubranie. Ledwie założylim spodnie i buty, jak nie wrzaśnie Grabo[w]ski:

- Stefan, patrz! Przyjechali nasi koledzy, Wierszeski i Podleski, stoją przed koszarami! W Białej Podlasce służylim razem w jednej kompanij, nawet w jednej drużynie.

Wyskoczylim z koszar, żeby się przywitać ze znajomymi kolegami prawie do pasa ubrani bez koszul. Zaczęlim wołać:

- Podleski, jak się masz?

- Władzio, jak żyjesz? Znow bedziem razem wojować!

Zamienilim parę słów w radosnym uśmiechu, ściskając się nawzajem. Nie wiadomo skąd zjawił się oficer służbowy. Jak nie wrzaśnie:

- A to co za wojsko św. Agaty, przez mundurów i bez koszul?! To są godziny służbowe. Nie wolno się opalać!

związanie żołnierskie. Wiem, że macie żołnierską duszę, bo tak powinno być, że jeden za drugim powinien w ogień skoczyć, jak zajdzie potrzeba.

Ja powiedziałem:

- Tak jest, panie poruczniku.

Porucznik zasalutował i odszedł od nas. A my porozmawialim trochę i odeszlim do koszar. Na korytarzu zaczęlim się śmiać, że jeszcze nie wojna i już mielim nalot. Poubieralim się do reszty i poszlim po śniadanie.

Odezwał się kapral służbowy:

- Kto z panów rezerwistów nie brał śniadania, to za mną do kuchni.

Wkrótce wrócilim z gorącą kawą i z chlebem, usiedlim przy stole i zaczęlim jeść śniadanie. Odezwał się kapral służbowy:

- Panowie, jak wam smakuje chleb wojskowy? Dawno żeście nie jedli wojskowego chleba.

Odpowiedział Grabo[w]ski:

- Dziękuję, bardzo smaczna kawa i chleb świeży.

Skończylim śniadanie. Po śniadaniu zdalim cywilne ubranie do magazynu. Na placu koszarowym zaczęło przybywać coraz to więcej rezerwistów. Wrócilim z magazynu na

salę, [gdzie] zobaczylim swoich kolegów: Podleskiego, Wiersze[w]skiego. Zostali przydzieleni do naszej kompanij. Ucieszeni we czwórkie zaczęlim rozmawiać o przeszłych czasach i o służbie czynnej, i [omawiać] różne rzeczy cywilne. W niedługim czasie napełniła się sala rezerwistami. Do godziny 13 wszyscy byli umundurowani. Po obiad poszlim całą kompanją.

Po obiedzie zjawił się dowódca kompanij. Szef kompanij zrobił zbiórkę i oddał raport dowódcy kompanij. Był to porucznik rezerwy. Dowódca wydał rozkaz „Krok naprzód!”. Przejrzał swoje wojsko, dał rozkaz „Krok w tył. Spocznij” i powiedział łagodnym głosem:

- Panowie rezerwiści, proszę wszyscy na świetlicę, proszę siadać w ławki.

Wkrótce ucich[!] szum siadających żołnierzy. Odezwał się porucznik:

- Panowie rezerwiści, na wstępie chcę wam przypomnieć, co następuje. Zostaliście oderwani od swoich rodzin, od żon i dzieci, niektórzy zostawili narzeczone. Niektórzy oderwani od pług i od pracy fachowej, od biur i różnych warsztatów. Chciałbym wam powiedzieć, po coście tu przybyli. Czy ten kawałek papieru jest mocniejszy od was? Nie, kochani rodacy, to nie papier jest mocny. To wasze polskie serca krzepią wasze siły, bo w was płynie polska krew. Przybyliście po to, aby zdać egzamin [z tego], czego od was żąda Rzeczpospolita i wymaga. Zbliża się czas, żeby stanąć w obronie Ojczyzny. Wiecie sami, że Niemcy zabierają kraj po kraju. Zabrali Austriję, zabrali Czechosłowację. Niemcy wyciągają swoje drapieżne pazury po naszą ukochaną Polskę, która się nie tak dawno wyrwała z rąk Rosj[i] carskiej.

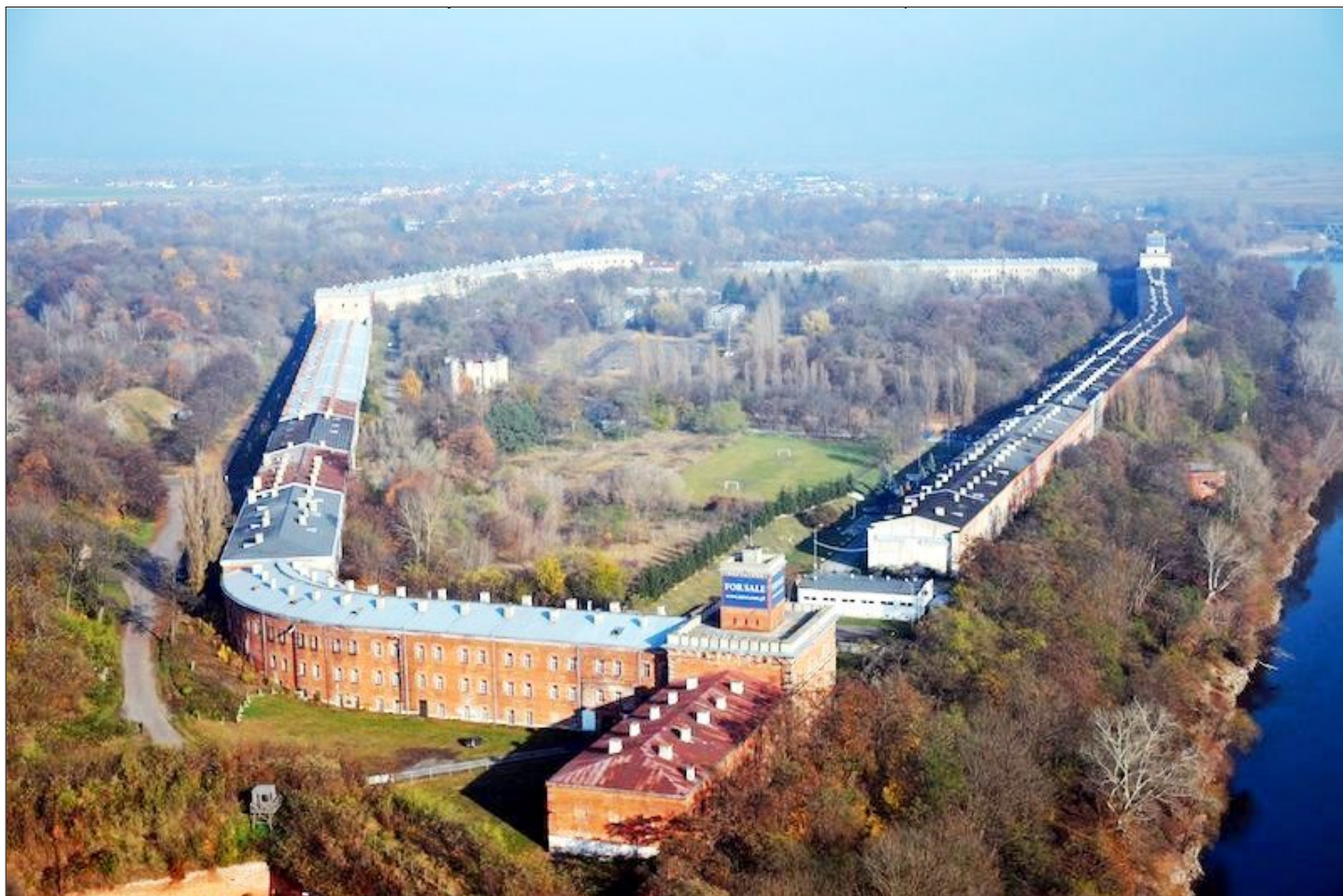
Wiele jeszcze Polaków jest pod niemieckim zaborem na Górnem Śląsku i we wschodnich Prusach. Oni czekają, żeby jem podać rękę. Sto pięćdziesiąt lat zaczęła Polska w niewoli rosyjskiej i niemieckiej. Polacy się zrywali do walki z caratem i z Niemcami. Nie mieli broni palnej, formowali pułki kosynierów. Moskale zwyciężali słabe polskie oddziały, męcząc naszych ojców i naszych pradziadów. W Cytadeli i w jnych więzieniach rosyjskich, [w] Petersburgu, w Moskwie, po całej Rosj[i] carskiej, na Syberji też nie zabrakło polskiej ludności. Byli zakuci w kajdany nasi pradziady przez całe 150 lat. Naród polski nie znał wolności. Po całej polskiej ziemi sterczą krzyże męczeństwa i waleczności naszych ojców i pradziadów. Nie było państwa, żeby się za namy wstawiło.

Nareszcie zaczęła się Polska wylaniać spod jarzma carskiej Rosj[i] i zaborców niemieckich. Nareszcie w roku 191[8] odzyskała Polska wolność, przypłacając [to] krwią naszych braci.

Zaledwie upłynęło 25 lat, znow zbrodnicza łapa Hytlera sięga po naszą ziemię kochaną, po Polskę i po naszą wolność. Chce nam założyć kajdany na ręce. Nasza Polska nie jest krajem osamotnionym, za nami pójdzie cały świat. Nigdy nie przegramy wojny. Mamy za granicą Polaków, którzy są rozpruszeni po całym świecie. Jak zajdzie potrzeba, to staną do walki o wolność naszej Ojczyzny. Mamy [s]przymierzone państwa Francję i Angliję, które nam przyjdą z pomocą.

²⁷ C.K.M. – ciężki karabin maszynowy.

²⁸ W znaczeniu: po czterech latach.



Twierdza Modlin współcześnie. Źródło: <http://www.newsweek.pl/polska/mazowieckie--modlin---bastion-atrakcji,104007,1,1.html> (dostęp 30 IX 2018 r.).

Więc żołnierze, rodacy, nie łamcie ducha, że jest przewaga Niemców w ludności. Jesteśmy narodem rycerskim, [jesteśmy] zdolni do walki, nigdy nie żądamy niczyjej ziemi. Nadchodzi czas, żeby odzyskać podbite ziemie, stare, polskie, zagrabione przez Niemców – Wschodnie Prusy i Śląsk.

Kochani żołnierze, mamy przed sobą trudne zadanie. Musimy stanąć w obronie własnej Ojczyzny, w obronie naszych żon, dzieci i starców. Musimy bronić każdego osiedla, każdej wioski, każdego skrawka naszej ziemi. Spodziewam się, że Polska nie przegra wojny.

Skończył porucznik swoje przemówienie, na końcu zasalutował. Wszyscy stanęli na baczność. Odchodząc, powiedział:

- Cześć, kochani żołnierze.

Rezerwiści zaczęli opuszczać salę wykładową. Wszyscy byli podnieceni. Wracając do koszar, [słyszałem] różne rozmowy, co się obijały o moje uszy. Jeden mówi, że zostawił żonę z małymi i starego ojca.

- Co ona da za radę? Została w niedostatku.

Różne narzekania dało się słyszeć pomiędzy rezerwistami. Ja, nie zważając na różną gadaninę pomiędzy rezerwistami, opuściłem koszarę 3 kompanii i poszedłem do kaprała Mordwy do pierwszej kompanii. Mordwę zastałem drzemającego na taborku. Odezwałem się:

- Stachu, nie śpij, chodź, lepiej się przejdziemy trochę, bo ja to nie znam Modlina.

Stach zerwał się bez namysłu, obciągnął mundur, poprawił pas i wyszliśmy na przechadzkę. Słońce zbierało ostatnie promienie z ziemi, powoli zaczął zapadać

zmrok. Żołnierze kręcili się po placu koszarowym. Z Nowego Dworu [Mazowieckiego] dolatywał głos dzwonów, a z drugiej strony dolatywały głosy rozkrakanych wron. Zlewały się głosy dzwonów i krakających wron jakby na jaką trwogę. Te dwa głosy były dość przerażające. Odezwał się Mordwa:

- Słuchaj, Stefanie, to chyba na tą wojnę te wrony tak kraczą przeraźliwie.

- Nie bojaż, kapralu - odezwałem się do Mordwy.

- One mają swoje mowę.

Roześmiałem się z tego.

- Jdziemy dalej obejrzeć koszary. - odezwałem się do Mordwy.

Ładny ten Modlin. Kościół na środku, wkoło koszary. Spodobało mi się w tem Modlinie. Roześmiał się Mordwa i powiedział:

- Ale taka dziura! Ja go znam dobrze, bo służyłem [tu] całą czynną służbę. Do miasta daleko, choćbyś chciał co kupić, to trzeba dużo czasu. Bo to jest twierdza.

Słowo za słowem, a czas uciekał. Już niedaleko nasze koszary i dobrze się ściemniło. Roześlim się do swoich koszar. Ja weszłem do sali. Służbowy zapowiadał zbiórki do modlitwy. Po modlitwie zaczął się pytać Grabo[w]ski:

- Gdzieś się podział, Stefanie? Nie mogliśmy cię znaleźć.

Roześmiałem się i powiedziałem do panów:

- Poszlim z kapralem Mordwą.

W tym czasie się rozległ głos podoficera służbowego:

- Panowie rezerwiści, nie gniewajcie się na m[n]je, liczę do trzech i wszystko śpi! Raz..

dwa.. trzy.

Rozległ się śmiech, a każdy się rozbierał jak w cywilu.

Po przespanej nocy dnia 8 sierpnia po śniadaniu podzielili nas na plutony i wszystko do roboty. Jedni kopali rowy strzeleckie, drudzy czyścili broń magazynową, a nasz pluton odmaszerował do Bramy Zakroc[z]imskiej. Za bramą znajdowała się kolejka elektryczna. Przedzielono nam dwa wagony, wydano nam siekiery. Wsiadliśmy na wagony i pojechalim do lasu. Wycinalim żerdzie i jednocześnie robilim linje obstrzału.

Mijał dzień po dniu, czas leciał prędko, bo zawsze tak bywa – jak w gromadzie, to czas prędko złata. Nie było tak wesoło jak w podróży. Zgynęły pieśni żołnierskie i dochcipy. W każdym panował jakiś niespokój i zadumanie. Nasz pluton co dzień o 7 rano odjeżdżał do lasu.

Jednego dnia zajechaliśmy do lasu. Plutonowy wyznaczył nam działkę na trzech. Zaczęli ścinać drągi. Stanelim, żeby trochę odpocząć. Zaczął dolatywać do nas śpiew – jakaś dziewczyna sobie nuciła piosenkę „Wojenko, wojenko, coś żeś ty za pani”. Słyszac tak śliczny głos kobiecy, stanelim nieruchomo, zaczęlim nad słuchywać, w której stronie. Było nas trzech: Grab[ow]ski, Podleski, a tem trzeciem to byłem ja. Nie zamyślałim się długo, postanowilim jść na wabiony głos kobiecy. Skręciliłim w prawo.

Po paru minutach na małej polance ujrzeliłim przesliczne dwie dziewczyny zbierające leśne kwiaty. Dziewczyny stanęły nieruchomo, zaskoczone niespodzianką przez nas. Z początku dostały tremy. Po paru minutach

rozsjaśniały się twarze dziewcząt. Skierowały swoje oczy w stronę przybyszów. Jedna z dziewcząt odezwała się:

- To nasi żołnierze, usłyszeli nasz śpiew.

I zaczęliśmy rozmowę. Odezwał się Podleski do dziewcząt stojących na polance:

- Dzień dobry, panienki.

Dziewczyny odezwały się powtórnie:

- Dzień dobry, żołnierze.

Ja odwróciłem się do Grab[ow]skiego i powiedziałem:

- Adam w Raju znalazł Ewę, to i my w lesie znaleźliśmy panienki.

Roześmiał się Grabo[w]ski:

- Mamę szczęście.

Jedna z dziewcząt z uśmiechniętą twarzą powiedziała:

- Nie wszyscy, panowie, bo nas jest dwie, a panów trzech, to jeden musi być wdowcem.

Zacząłem dalej rozmawiać różnie dochcipy. Naraz słyhać gwizdek plutonowego.

- Już nas wołają. Dalej, chłopaki, musimy się zbierać – odezwał się Grabo[w]ski. – Wojsko to wojsko, nie granda.

Całą trójką powiedzieliśmy:

- Do widzenia, do miłego zobaczenia.

My całą trójką zaczęliśmy się oddalać od dziewczyn. Dziewczyny machały chusteczkami na pożegnanie.

Nasza trójka znikła w gąszczach leśnych. Nareszcie stanęliśmy na swoim miejscu. Odezwał się plutonowy:

- Coście za wymarsze zrobili, że was zabrakło przy robocie i przez meldowania? Niech się drugi raz to powtórzy, to do raportu was zapiszę. A jakby się cały pluton rozszedł po lesie, to jak ja bym wyglądał?

Przestał wrzeszczeć plutonowy, a my dalej wycinalim drogę po drągu.

Powoli zbliżało się południe. Sierpniowe słońce przez chmury przygrzewało. Zaturkotały wózki elektrycznej kolejki i stanęły przy zrębie. Rozległ się głos plutonowego:

- Panowie rezerwiści, załadujemy te wozy i pojedziemy do koszar.

Po paru minutach wozy były gotowe do odjazdu. Znów podał rozkaz plutonowy:

- W dwuszeręgu zbiórka! Wszyscy macie siekiery?

- Tak jest!

- Do broni, za broń, siadać na wozy.

Zaśtukały koła kolejki i ruszyliśmy w stronę koszar. W krótkim czasie stanęliśmy przy Branie Zakroc[zi]mskiej. Zeszliśmy z wozów. Odezwał się plutonowy:

- Panowie, zbiórka w dwuszeręgu, [w] prawo zwrot, ki[e]runek koszary, naprzód marsz.

„Spocznij” odrąbiono. Po paru minutach stanęliśmy przed koszarą. Plutonowy zapowiedział:

- Umyć się, poczyścić buty i po obiad. Po obiedzie wykład i gymnastyka, i rozkaz na jutrzejszy dzień, i wolne.

I tak mijął pierwszy dzień zajęć wojskowych. Nie przykryło się nam, bo było paru znajomych rezerwistów i dwóch znajomych odbywali służbę czynną z naszej wioski. Spotkałem się z nimi, po kolacji[i] zaczęli się wypytwać, co w naszej wiosce słychać. Niedługo trwała rozmowa, zbliżała się godzina 20:30. Czas nadchodził do modlitwy. Po modlitwie czas nadchodził do spania.

Po przespanej nocy pobudka, śniadanie, zbiórka i do zajęć. Czas płynął dzień po dniu,

zbliżała się niedziela wolna od zajęć. Zbiórka całego batalionu, przegląd i odmarsz do kościoła na mszę. Po nabożeństwie powróciliśmy do koszar. Szef zatrzymał kompanię i oznajmił:

- Mała przerwa, godzinę wykładu. Obiad, po obiedzie wolne. Dziś przyjeżdża radio nadawcze z Warszawy. Chto ma chęć, może dowolnie posłuchać.

Szef wydał komendę „Baczność, rozejść się”.

Po paru minutach zjawił się jakiś porucznik na świetlicę. Służbowy krzyknął „Baczność!”. Rezerwiści się poderwali jak stado żurawi spłoszonych. Służbowy powiedział:

- Spocznij! Proszę przechodzić na świetlicę.

Porucznik zasalutował i powiedział:

- Siadajcie, panowie rezerwiści.

Sam usiadł za stołem, twarz miał uśmiechniętą i dość pogodną. Był to człowiek około 60 lat, na głowie [miał] włosy siwizną przeplatane. Na wstępie zaczął pogadankę [o tym,] jak ma się zachować każdy z żołnierzy w czasie wojny, jak powinien dbać o swój honor, żeby nie splamić swojej godności. I dalej potoczyły się słowa z ust porucznika. Był to wykład wychowawczy i wojenny, jak się zachować w czasie wojny.

Po zakończeniu wykładu każdy się rozszedł w swoją stronę. Wyszliśmy ze świetlicy całą trójką: Podleski, Grabowski i ja trzeci. Odezwał się Podleski:

- Oni wszyscy ładnie gadają, bo mają Piotra²⁹, to nas tak zachęcają, żeby ich bronili.

Roześmiał się Grabowski:

- To pewnie Stasiu podczas wojny to będzie dezertorem?

- No nie, do tego nie dojdzie. Ale bujać to oni potrafią.

Ja odezwałem się do Podleskiego:

- Słuchaj, Stasiu, co ci powiem. Kiedyś w służbie czynnej byłeś rąbała i się nic nie zmieniłeś. Lepiej weźmiem menażki i pójdziem po obiad. Zjemy obiad, to trochę obstygniesz.

Wziłem menażki i stanęliśmy w ogonku po obiad. Szczękały menażki, żołnierze odchodzili od okienka z gorącą zupą fasolową i ziemniakami, na deser [mieliśmy] marchewkę i kotlet. Siadając na świetlicy za stoły, zaczęliśmy jeść obiad.

Szef przy obiedzie ogłosił, że Polskie Radio zostało odwołane. Grabowski roześmiał się, Podlaski spojrział na Grabowskiego i powiedział:

- Ty się ze mnie śmiesz?

- Tak, z ciebie, bo ja nie dałbym ci obiadu za te słowa, coś ty powiedział.

Odezwał się Podleski do Grabowskiego i zaczął z cicha mówić:

- Co ty myślisz, że ja nie jestem żołnierzem? Tak samo m[n]ie powołali, jak i ciebie.

Na tę sprzeczkę odezwałem się ja:

- Uspokójcie się, przestańcie się sprzeczać, to wam nic nie da. Kończem obiad i pójdziem na przechadzkę.

Odezwał się Podlaski:

- Stefan to zawsze równo stoi na nogach, a ty, Franek, to zawsze jesteś przeciętny.

Podleski przyłał Grabowskiemu, machnął w kark i powiedział:

- Jdziemy umyć menażki.

- Jak mamy jść, to jdziemy.

Ze śmiechem poszliśmy do umywalni.

²⁹ W znaczeniu: mieć pietra, bać się.

Wychodząc na korytarz, zobaczyłem kaprała Mordwę. Twarz miał uśmiechniętą i wesołą.

- Cześć, chłopaki.

Przywitalim się, weszliśmy do koszar. W koszarach zastaliśmy Wierszewskiego leżącego na łóżku, pijanego w dechę. Śpiewał sobie pod nosem jakieś piosenki, że się nie dało rozebrać³⁰, co on plecie. Wkrótce się zjawił służbowy i powiedział:

- Nie ruszajcie jego, może uśnie, bo ja go nie wypuszczę z koszar.

Podleski nasz dogonił. Odezwał się Mordwa:

- Chodźcie, pójdziemy chłopaki dalej, to zwiedzicie Modlin.

I poszliśmy dalej w kierunku domów oficerkich. Niektóre budynki wyglądały wspaniale, były parapiętrowe. Od słońca iskrzyło się szkło, różne kolory iskrzyły się na zewnątrz stojących kamienic. Obok kamienic były starannie pielęgnowane kwiaty różnego typu. Pomiędzy małymi [kwiatami] z ogonkami stały ławki pomalowane na zielono w pewnych odstępach. Stojąco parę lip z opuszczonymi gałęziami do dołu. Ja zwróciłem się do Mordwy i powiedziałem:

- Ładne te budynki, muszą być nowe, bo ładnie [się] prezentują.

- A, tak. - powiedział Mordwa - W 1934 r. jeszcze je wykończyli, [gdy] ja odbywałem służbę czynną.

Odezwał się Mordwa:

- Chodźcie, chłopaki, pójdziemy nad Wisłę.

I noga za nogą, wolnem spacerem, posuwaliśmy się w kierunku Wisły. Obejrzał się do tyłu Mordwa i powiedział:

- Patrzcie, za nami idą Niemcy.

- A skąd wiesz, że to Niemcy?

- Skąd? W mojej kompanii się znajdują [we] trzech, a czwartego przybrali do siebie.

Ja odezwałem się do Mordwy:

- Oni coś sobie planują. Żeby można [było] ich podsłuchać, co oni mówią o tej wojnie...

Roześmiał się Mordwa:

- Co myślisz, że oni to frajerzy, żeby się zawczasu wyspali?

Zatrzymaliśmy się na małą chwilę, nadstawiając uszy. Słuchać było coś po niemiecku. Rozmawiali do siebie półgłosem. Zobaczyli nas stojących, zrobili w tył zwrot i odeszli w odwrotnym kierunku. Odezwał się kapral Mordwa:

- I com się dowiedzieli? Choćby poszli za nimi, to nic z tego nie wyjdzie. Ale oni będą pod obserwacją w czasie wojny.

Powoli odeszliśmy nad Wisłę. Na małym wysepce stały małe budynki otoczone wokół wodą. Zapytałem się Mordwy:

- Słuchaj, Stachu, dlaczego te budynki stoją na środku Wisły? Mogłyby stać na miejscu suchym.

- Tak - odezwał się Mordwa - ale posłuchajcie, co wam powiem. Kiedyś te budynki służyły jako więzienie dla Polaków. A teraz służą jako magazyny wojskowe.

Wszyscy usiedliśmy, kapral Mordwa dalej nam opowiadał, co wiedział o Modlinie. Posiedzieli[m] z pół godziny nad Wisłą i powoli spacerem odeszliśmy od koszar. Przyszliśmy przed koszarę, pożegnaliśmy się z kapralem, sami weszliśmy do koszar. I tak zlała dzień po dniu. Pędzono nas do roboty, co parę dni to nam zmienili inną robotę.

³⁰ W znaczeniu: rozeznaczyć, poznać.

Nareszcie koło dwudziestego sierpnia zaczęło przybywać coraz więcej rezerwistów. W sobotę szef przeczytał rozkaz i powiedział, że jutro przyjeżdża Polskie Radio nadawcze, od godziny 10 będą nadawane programy. Niedziela jest wolna od zajęć.

Po przespanej nocy jak zawsze bywa pobudka i śniadanie. Po śniadaniu nasi rezerwiści rozchodzili się, gdzie komu pasowało. Do nas przyszedł kapral Mordwa i wszyscy poszliśmy na plac, gdzie się znajdowało Polskie Radio nadawcze. Na placu dużo chodziło żołnierzy i rezerwistów w cywilnym ubraniu. Saperzy znosili krzesła i ławki, wszyscy chodzili na ograbiono. Na placu była postawiona scena z dachem jednospadowym. Na ławkach siedziała orkiestra Polskiego Radia, wkoło stołów były ustawione krzesła, na których zasiadali kapitanowie, majorzy, porucznicy i wyższa szarża. Niedaleko sceny znajdowało się radio nadawcze. Przy nadajnikach radiowych stanęło dwoje ludzi: chłop i kobieta. Mężczyzna był już w podeszłym wieku. Był pokryty siwizną. Kobieta też koło pięćdziesiątki, była nieurodna, chuda, podobna do wiejskiej kobiety zapracowanej.

Wszyscy artyści stanęli, kłaniając się nisko. Orkiestra zagrała „Jeszcze Polska nie zginęła”. Gdzie kto się znajdował, tam stanął na baczność. Oficerowie salutowali. Po odegraniu parę sekund panowała cisza, po krótkiej przerwie zaczęła śpiewać ta nieurodna kobieta. Z jej ust wydobywał się śliczny głos, zachwycał każdego z żołnierzy. Artyści odśpiewywali parę piosenek, a dalej zaczęła się propaganda przez radio nadawcze przeciw Niemcom. Stanął przy radio staruszek i zaczął mówić:

- My, Polacy, nie damy nawet jednej piędzi ziemi polskiej. Pragniemy zwrotów naszych terenów zaborczych: Wschodnich Prus i Gdańska, i granic na Odrze i Nysie. Nie poddamy się przez boj, staniemy w obronie własnej Ojczyzny. Będziemy [się] bronić do ostatniej kropelki krwi, do ostatniego żołnierza. Powołałem ponad sto tysięcy rezerwistów do Modlina. Spodziewamy się, że wojny nie przegramy, za nami pójdzie cały świat.

I dalej ciągnął swoje przemówienie ten pocdywy staruszek. Naraz odezwał się Mordwa:

- Chodź, Stefanie, przejedźmy się trochę.

Odeszliśmy z placu, gdzie się znajdowało radio nadawcze. Obeślim wkoło koszar. Mordwa pokazywał, w których koszarach zamieszkują łączność, saperzy, altyrzerzyści... Zeszło nam lepiej [niż] pół godziny. Odezwał [się] Mordwa:

- Teraz pójdziemy na plac, posłuchamy, co te stare ludzie nadają przeciw tej wojnie.

Nie namyślając się długo, ruszyliśmy w kierunku, gdzie się znajdowało Polskie Radio nadawcze. Wkrótce stanęliśmy na placu. Orkiestra grała oberka. Niektórzy żołnierze tańczyli jeden z drugim. Odezwał się Mordwa:

- Patrz, Stefan, na ten drugie krzesło to siedzi pułkownik altylerj[i], to jest Niemiec.

- Słuchaj, Stasiu, to jak my będziemy wojować, jak namy będą dowodzić Niemcy?

Mordwa się roześmiał i powiedział:

- Poza Modlinem to są całe wioski niemieckie. - i rozłożył szeroko ręce - Niedługo zobaczem, jak się nam uda ta wojna. Ale patrz, Stefanie, Grabo[w]ski z Podlaskiem też tańczy.

Siedząca szarża na krzesłach śmiał się z tego dochcipu. Po paru minutach orkiestra skończyła granie.

Zaczęło się zbliżać południe. Żołnierze zaczęli się powoli rozchodzić do koszar, na placu coraz to m[n]iej wojska się kręciło. Orkiestra zagrała „Jeszcze Polska nie zginęła”, [a] po odegraniu hymnu zagrali marsza. Powstali z krzesel pułkownicy, generałowie, kapitanowie i majorzy, porucznicy i zaczęli się rozchodzić. Plac opustoszał. Orkiestra opuściła krzesła i stoły, za którymi siedzieli. Na placu się kręciło paru żołnierzy i my z Mordwą odeszliśmy do koszar.

Szliśmy spacerem po chodniku. Nareszcie doszliśmy do dwi korytarza, gdzie się mieściła trzecia C.K.M. Na korytarzu pożegnaliśmy się z Mordwą. Ja weszłem do sali, zastałem Grabo[w]skiego i Podleskiego siedzącego na taborku. Coś sobie rozmawiali. Zobaczyłem m[n]ie Grabo[w]ski i się zapytał:

- Gdzieście się podzieli z Mordwą?

Odezwał się do Grabo[w]skiego:

- Tak chodziłem wkoło koszar - i usiadłem na taborku.

Służbowy zapowiadał zbiórkę po obiad. Wziąłem menachy i poszliśmy na zbiórkę, pobralim obiad, a po obiedzie wolne było do wieczora. Usiedliśmy na taborkach całą trójką. Odezwał się Podleski:

- Ciekawe, kiedy się zacznie ta wojna?

- Co, Stasiu, tak pragniesz ty wojny? Zawsze się [pytasz,] kiedy [się wojna] zacznie i długo nie utrwa przez [tematu] wojny.

- Nie na darmo nas powołali do wojska - odezwał się do siedzących kolegów. - Nie na próżno budują do ceka[e]mów stanowiska betonowe, nie na próżno kopią rowy strzeleckie. Niedługo powąchamy niemieckiego prochu. Niejeden z naszej kompanji[i] dostanie krzyż drzewiany. W wojnie nie ma żartów, jeden na drugim się mści, a Niemcy to jest podły naród - i dalej osiągnąłem pogadanki.

Podniosłem się z taborka, uśmiełem się i podałem komendę „Baczność. Spocznij. Rozejść się”. Słuchających uzbierało się koło 10 rezerwistów. Ze śmiechem rozeszli się po sali.

Przy naszych łózkach zostało nas trzech: Grabo[w]ski, Podleski i ja z nim na trzeciaka. Pociągnął m[n]ie Podleski za mundur i poszliśmy za łóżko. Odezwał się Podleski:

- Myślisz, Stefan, że m[n]ie w cywilu było dobrze? Trzeba było pracować od wschodu słońca do ciemnej nocy i to we dworze za parobka, bo tak to jnych robót nie było w naszej Polsce, a jak się pojawi jaka robota, to więcej robotników, jak roboty. Wszędzie panuje bezrobocie i i biedy a biedy wiele, tylko ci dusza wytrzyma.

Ja uściśnłem Podleskiego za rękę i powiedziałem:

- Jesteśmy bracia robotnicy. Zobaczę, jak się ułożą nasze losy.

Obydwa wzięliśmy menażki i poszliśmy po kawę. Stanęliśmy jak zwykle w ogonku po kawę. Wróciłem z gorącą kawą do koszar, zjedliśmy skromną kolację. Zaczął zapadać zmrok. Zapalono światła na sali. Czas zlałał prędko, nadchodziła godzina 21, czas był modlitwy i służbowy zapowiedział zbiórkę [i] po modlitwie spać.

Po przespanej nocy nastąpił poniedziałek: rano pobudka, modlitwa, śniadanie i zbiórka

kompanj[i], i odmarsz do pracy. Zostaliśmy skierowani do kopania rowów strzeleckich w kierunku Starego Modlina, za cmentarz prawosławny. Cmentarz znajdował się w krytycznym stanie. Ogródzenie zostało zabrane, wszystkie groby porozwalane, prócz jednego grobu, w którym się znajdowały zwłoki generała. Postać jego i jego żony była wyrobiona z marmuru białego. Na pom[n]iku był napis po rosyjsku i po polsku: „Proszę, nie ruszajcie prochów mojego męża, ja jestem Polką”.

Mijały dzień po dniu, czas pręko leciał, jak [to] w wojsku bywa, jeszcze przy robocie. I nadszedł dzień 26 sierpnia 1939 r. Zaczęło się pojawiać coraz to więcej rezerwistów od samego rana. Powoli napelniał się plac koszarowy, byli [wśród nich] znajomi z naszej wsi Jednoróżca, z Dąrdzewy i z jnych wiosek pobliskich. A my otrzymaliśmy rozkaz od szefa kompanji pobrać nowe umundurowanie - chelmy, buty, pasy, plecaki, chlebaki i menażki. Służbowy zapowiedział, że pierw będzie czyszczenie broni maszynowej i ręcznej, a później pobierzemy umundurowanie. Trwało to do obiadu, [a] po obiedzie wolne od zajęć.

Spotykałem już umundurowanych znajomych i na cywila. Zaczęliśmy się wypytywać, co słychać w Jednoróżcu. Opowiadali nam to samo, co i w Modlinie:

- Ludzie zacierają ręce i wszyscy mówią o wojnie.

Powoli zbliżał się wieczór, zachodzące słońce zbierało ostatnie promienie z ziemi polskiej. Nadeszła ostatnia noc, [która] różniła się od jnych nocy. Straszne podniecenie wśród żołnierzy. Jeszcze wieczorem wszed[ł] do koszar jakiś sierżant i powiedział parę słów [o tym,] jak my będziemy bronić naszej Polski, jak jesteśmy zaprzędani przez ministra Becka³¹.

- Bracia, szkoda naszej krwi, żebym ją na darmo przelewały.

Sierżant odszedł, a my całą noc spędziliśmy przez snu. Niektórzy całą noc spędzili na rozmowach. Wśród żołnierzy panował jakiś nastrój i niepokój. Nareszcie zaczęło się rozwidniać, nastąpił dzień 27 sierpień 1939 r. Była to niedziela - jak zwykle pobudka, modlitwa i śniadanie. Po śniadaniu szef kompanj[i] zrobił zbiórkę całej kompanj[i] i wydał rozkaz:

- Ubierać się w nowe umundurowanie. Stare zdać do magazynu i dalej ubierać się w pełen rusztunek, zabierać ze sobą wszystko, wynosić broń maszynową przed koszarę.

Woźnice z młodego rocznika ze służby czynnej przyprowadzili konie i bidki, załadowaliśmy C.K.M.-y [i] skrzynki z amunicją. Wkrótce przybyli cekaemiści służby czynnej. Stanęli na placu koszarowym obok naszej kompanj[i]. Znów się odezwał głos szefa czynnej służby:

- Baczność, rozejść się.

Dalej podał szef rozkaz samemu woźnicom:

- Woźnice, na moją komendę w szeregu zbiórka.

Zaturkotały bietki, stanęły jedna od drugiej 5 metrów. Szef odwrócił się od woźniców i dalej podał komendę „Równaj w prawo”.

³¹ Józef Beck (1894–1944) – polski polityk, bliski współpracownik Józefa Piłsudskiego, minister spraw zagranicznych Polski w latach 1932–1939.

Bietki stały jak sznur wyrwane.

- Spocznij.

Podano szefowi listę. Szef dalej zapowiadał:

- A teraz wszystko na moją komendę zbiórka w dwuszeregu.

Pomieszał się młody rocznik z rezerwistami, wszyscy stanęli w dwuszeregu na baczność. Szef powiedział „Spocznij”. Podano szefowi listę. Szef odwrócił się do stojących żołnierzy, powiedział:

- Uwaga, kogo wyczytam, to stanie za karabinem na swoim miejscu według podziału: karabinowy, celownicy, taśmowy i tak dalej.

Zostali pomieszani ze służbą czynną. Wkrótce stanął przed bataljonem porucznik na białym koniu. Szef zdał raport porucznikowi. Porucznik przejechał na koniu wszerz bataljonu, salutując na środku i powiedział:

- Czołem, bataljon.

Wojsko odpowiedziało jednogłośnie. Porucznik podał komendę „Na ramię broń, do nogy broń, spocznij”. Po paru minutach nieznanemu porucznik podał komendę „Baczność, na ramię broń, prezentuj broń, na prawo patrz”. Podciął konia ostrogami. Z prawej strony ukazał się major Jasiński na karem koniu. Jadąc do siebie, naraz stanęli jak wryci w ziemię. Zabłysły szable, zasalutowali obydwa i schowali szable do pochwy. Obydwa przejechali wzdłuż bataljonu. Major wydał rozkaz „Na ramię broń, do nogy broń, spocznij”.

Zbliżała się godzina dziesiąta przed południem. Dowódcy poszczególnych oddziałów dali krótkie przerwy; wolno było palić papierosy. Po jakich piętnastominutowej przerwie słysząc było z garnizonowego kościoła dzwony nawołujące na mszę. Wkrótce zabrzmiała komenda majora:

- Przywódcy poszczególnych oddziałów, prowadzić kompanie do kościoła na mszę. Porządek marszu: pier[wsza] strzelecka, druga strzelecka, trzecia strzelecka i trzecia C.K.M. Kierunek: kościół. Maszerować!

Wkrótce bataljon był gotowy do odmarszu. Major siedział na koniu, obok majora siedzieli na koniach dowódcy poszczególnych kompani[i]. Premaszerował pierwszy bataljon i drugi, za nim wyruszył nasz trzeci. Na czele jechał na koniu major Jasiński i dowódcy kompani[i], za nim szła pier[wsza] strzelecka, druga strzelecka i trzecia strzelecka, i trzecia C.K.M. Z wolna ruszył cały bataljon. Po krótkim marszu stanęli na placu przy kościele. Do kościoła szli oficerzy, sierżanci, kobiety z małymi dziećmi. Przed kościołem stała para taksówek. Dowódcy trzeciego bataljonu z majorem na czele oddali konie żołnierzom i poszli do kościoła. Cały bataljon stał w dwuszeregu przed kościołem.

Po paru minutach zaczęła odprawiać się msza. Na podniesienie szefowie zaczęli wydawać rozkazy: „Na ramię broń, prezentuj broń, na prawo patrz”. Sami zrobili prawo zwrot w stronę kościoła i salutowali. Po podniesieniu zrobili [w] lewo zwrot, podali komendę „Na ramię broń, do nogy broń, spocznij”.

Po skończonej mszy wyszli dowódcy całego pułku z kościoła: majorzy i porucznicy, i kapłani. Wszyscy zajęli swoje stanowiska, posiadali na konie. Każdy z oficerów stanął przy swoim batalionie: porucznicy i kapłani na prawym skrzydle bataljonów, a majorzy o dziesięć kroków pośrodku bataljonów.

Zaczęli podawać komendę „Na ramię broń, prezentuj broń, na prawo patrz”. Wszyscy majorzy i oficerowie wyjęli szable z pochwy. Majorzy stanęli całą trójką około dziesięciu metrów od kościelnych drzwi. We drzwiach kościelnych ukazał się kapłan ze złożonymi rękami i paru oficerów z gołymi szablami. Kapłan po odczytaniu krótkiej modlitwy zaczął błogosławić stojące na baczność wojsko.

Po błogosławieństwie kapłana majorzy wrócili do bataljonów i zaczęli wydawać rozkazy „Na ramię broń, na nogy broń, spocznij”. Wszyscy oficerowie pochowali szable do pochwy. Kapłan odszedł ze drzwi kościelnych. Major Jasiński wyskoczył na koniu, stanął pośrodku bataljonu i powiedział:

- Bataljon, na moją komendę baczność, w kierunku Zakroczymia odmaszerować. Porządek marszu: pier[wsza] strzelecka, druga strzelecka i trzecia strzelecka, i trzecia C.K.M. Major na koniu ruszył pier[wszy], a za nim cały bataljon.

Opuszczając plac i koszarę krokiem szybkim, wkrótce przeszli Bramę Zakroczymską. Cały bataljon poruszał się w stronę Zakroc[ymia]. Na przedzie jechali dowódcy poszczególnych kompani[i] i wojsk specjalnych. Bataljon był w pełnym uzbrojeniu. Doszły do kompani[i] strzeleckich plutony specjalne, altylerzyści, saperzy, konne zwiadowcy, łączność, wozy sanitarne, tabory, kuchnie polowe.

Pomaszerowali dalej. Wkrótce przemaszerowali przez Zakroczym, no i dalej posuwał się bataljon w kierunku Mławy. Po paru kilometrach przemarszu cały bataljon skręcił z szosy w prawo. Niedaleko od szosy cały bataljon zatrzymał się w jakie[ś] wiosce.

Zbliżała się godzina 14 po południu. Kuchnie polowe podjechały z obiadem naprzeciw drugiej kompani[i] strzeleckiej. Stały pod rozłożystym drzewem. Porucznik służbowy zapowiedział obiad:

- Kolejność obiadu: pier[wsza] i druga kompania dwie kuchnie na prawo. Trzecia kompania i C.K.M. na lewo, proszę prowadzić plutonami.

Powstał ruch, każdy odpinał menażki od tornistra i gotowy był pobrać obiad. Porucznik służbowy stanął pomiędzy kuchniami i pilnował porządku.

Jeszcze nie koniec obiadu, a na szosie pojawiły się nowe oddziały. Wojska ciągnęły w kierunku Mławy. Były to dwa bataliony: pier[wszy] i drugi 32.P.P. Pomaszerowały naprzód, a nasz bataljon trzeci został w tyle. Po obiedzie nasi żołnierze przyglądali się maszerującym oddziałom. Kolejno przechodziły kompanie strzeleckie i cekaemiści, tabory altylerzyści i inne formalności wojskowe. Na końcu szło parę czołgów i dwa szwadrony kawalerii. Premaszerował Pułk 32, zrobiła się krótka przerwa. Po przerwie znów zaczęło jść wojsko, piechota i altylerja, i tabory. W naszym batalionie zrobiono zbiórkę całego batalionu. Na zbiórce zebrano zebrano od nas wojskowe książeczki. Na zamian wydali nam [nie]śmiertelniki, na których były wybite nomera pułku i batalionu, i kompani[i], imię i nazwisko każdego żołnierza.

Po zebraniu książeczek wojskowych i wydaniu śmiertelniczek dowódca trzeciej kompani C.K.M. zaczął przydzielać plutony karabinów maszynowych do strzeleckich

kompani[i] strzeleckiej, którą dowodził kapitan Baran[owski]. Był to człowiek w starszym wieku, dość energiczny, dbał o żołnierzy i o ich wygląd zewnętrzny. Był lubiany przez żołnierzy, zawsze był stanowczy, twardo stał na swoim stanowisku. W plutonie z Grabo[wskim] byłem w jednej drużynie, a Podleski był w drugiej drużynie w drugim plutonie. Prawie w całym plutonie to my trzech znaleźliśmy jednego, a reszta to byli nieznajomi.

Skończył się przedział karabinów maszynowych do kompani[i] strzeleckich. Stopniowo zaczęliśmy odchodzić na kwatery wyznaczone w tej wiosce. Nasz pluton został przedzielony na kolonję jakieś sto metrów od wioski. Plutonowy wydał rozkaz „Za białkami zbiórka” i odmaszerowaliśmy do swojej kwatery połą dróżką. Zeszliśmy na podwórko. Gospodarz rozwinął nam stodołę, pokazał nam słomę, że możemy sobie posłać na kłepisku

- A dalej macie dwie szopy, możecie w tych szopach spać.

Prędko rozłożyłem słomę, postawiłem tornistry. Plutonowy zapowiedział, żeby się nie rozchodzić, bo nie ma rozkazu. Obydwa z Grabo[wskim] wyszliśmy ze stodoły na podwórko, usiedliśmy na ławce pod rozłożystym kasztanem. Zaczęliśmy obydwa rozmawiać. Odezwał się Grabo[wski]:

- Dobrze, że jesteśmy razem, to może z nas jeden zostanie, to choć powiadomi rodzinę.

Ja odezwałem do Grabo[wskiego]:

- Słuchaj, Franuś, to nie wiadomo, jak się nasze losy ułożą. A może obydwa zginiemy bez wieści? Wojna to tak jakby w kraty grał, kula nie wybiera klejenta. Ale chyba tak źle nie będzie - i obejrzałem się w stronę wioski. Na wąskiej drodze zobaczyłem kaprała Mordwę.

- Franek, patrz, Stasiu jdzie.

Zerwalim się z ławki na równe nogi, wyszliśmy naprzeciw, witając się z kapralem. Pier[wszy] się odezwał Mordwa:

- Co słysząc, chłopaki?

- Wszystko po staremu, cicho jeszcze, nie strzelają na razie, a co dalej będzie, to nie wiemy.

Moją rozmowę przerwał Mordwa:

- Słuchajcie, co wam powiem. Nasz bataljon znajduje się na prawo od szosy, niedaleko wszystko widzimy na własne oczy, jak się posuwają nasze wojska. Nasz bataljon ma zadanie ubezpieczyć szosę na prawo. Droga posuwają się wojska przez przerwy w kierunku Pomorza. A jak długo tu będziemy stać, to nie wiem. A co o wojnie, to nie wiadomo, którego dnia się zacznie. Ale to, że jesteśmy razem, to dobrze, będzie czuć nad sobą.

Zbliżyłem się do kasztana, pod którym stała ława, usiedliśmy na ławce we trójkę. Zapytał się Grabo[wski]:

- To w której kompani[i] jesteś, Stachu?

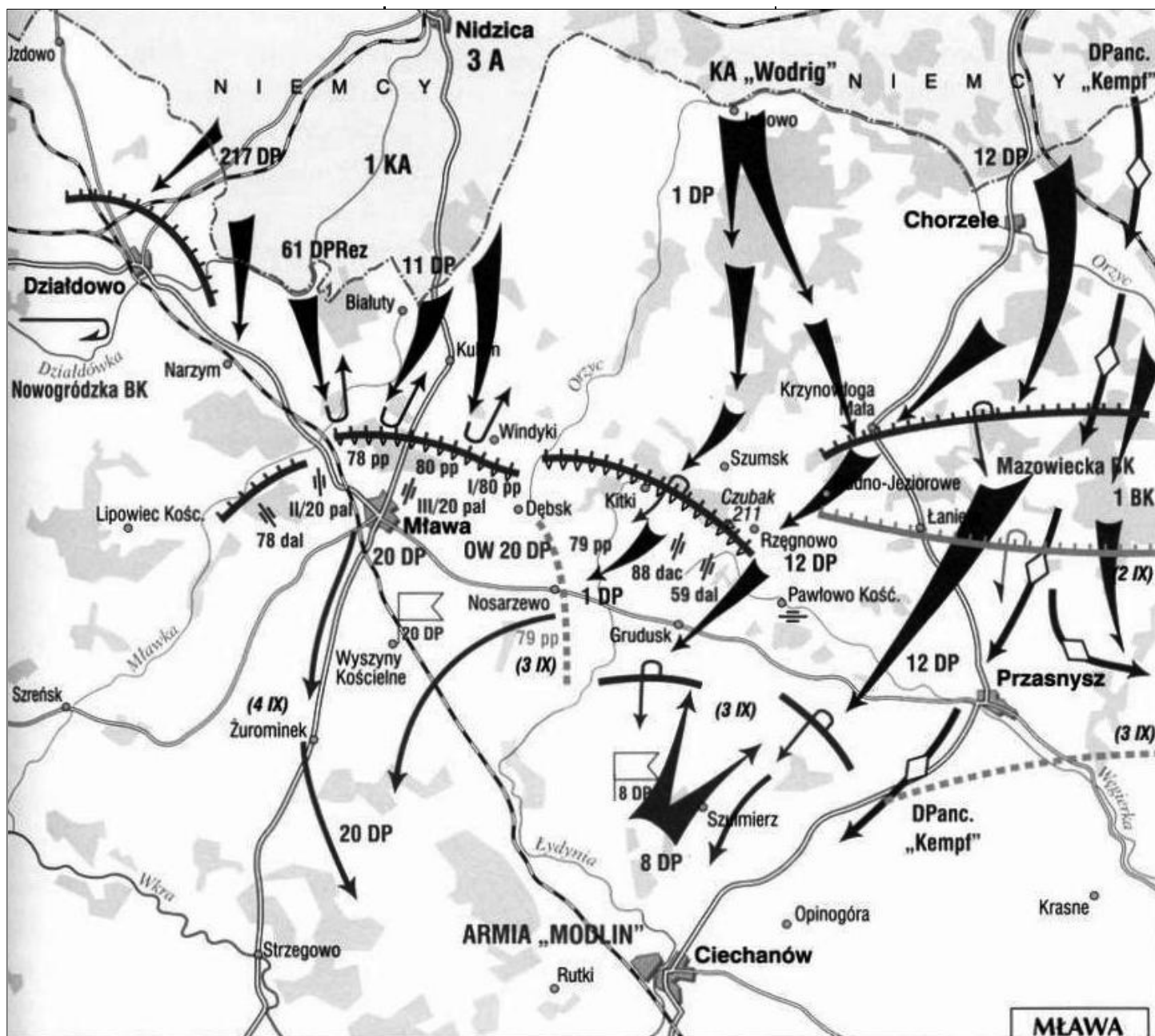
Odpowiedział Mordwa:

- W drugiej strzeleckiej, w tej samej, co i wy jesteście. Wasz pluton jest przedzielony do naszej kompani[i], będziemy razem wojować. W tym czasie wyszedł Podleski ze stodoły, zbliżając się do nas, przywitał się z Mordwą i zaczął się pytać:

- Co tam słysząc, panie kapralu? Prędko zobaczymy Hytlera?

Mordwa się uśmieł i odpowiedział:

- Przyjdzie czas na wszystko, czego się spodziewamy, to nas nie minie. Niemcy są



MŁAWA
1-3 IX 1939

- pozycje obrony oddziałów Armii „Modlin” na linii umocnień 1 IX
- pozycje obrony Mazowieckiej BK 2 IX
- rubież obrony na wschodnim skrzydle 3 IX
- kontratak 8 DP 3 IX
- kierunki odwrotu 8 i 20 DP

- kierunki natarcia DP 3 Armii niemieckiej
- kierunki natarcia DPanc. „Kempf”
- kierunki natarcia 1 Brygady Kawalerii
- granica państwowa 1 IX 1939

0 10 km

Bitwa pod Mławą 1-3 IX 1939 r. Źródło: <http://www.wojsko-polskie.pl/pl/articles/z-zycia-wojska-s/77-rocznica-bitwy-pod-mlawa-u2016-09-05/> (dostęp 30 IX 2018 r.).

narodem chytrem, dość nas na krzywdzili. Nie możemy jem dać, co oni od nas żądają, od Polski. Chcą przeprowadzić autostradę przez nasze Pomorze i połączyć Wschodnie Prusy z Zachodnimi Niemcami i nas odciąć od morza, i chcą zrobić nas na szaro.

Ja przerwałem Mordwie i powiedziałem:

- Słuchaj, Stachu, przecież nie będziemy wojować sami. Jak się zacznie wojna, to na Niemców rzuci się cały świat, zbijem go na leśne jabłko.

Odezwał się Podleski:

- A co myślisz, że Niemcom damy radę?

Roześmiał się Grabo[w]ski i powiedział:

- Chodźcie, chłopaki, zobaczę, bo Stasiak jeszcze nie ma wojny, a już narobił w kalesony.

Podleski odwrócił się do Grabo[w]skiego, przylał mu pięścią w kark i zaczęli się gonić po podwórku, a my obydwaj z Mordwą zostaliśmy pod kasztanem na ławce, śmiejąc się z nich. Odezwał się Mordwa, podał jem rękę, żegnając się z nimi. Mordwa zwrócił się do m[n]ie i powiedział:

- Stefanie, to m[n]ie odprowadzisz.

Zostawiając kolegów, wyszliśmy z podwórka, powoli skręciłem na wąską drożkę, udając się w kierunku wioski. Odezwał się Mordwa:

- Jak Stefanie przewidujesz, jak się operacja uda z tą wojną?

- Wiesz, Stachu, bronić Ojczyzny trzeba, ale [w]śród żołnierzy słychać różne narzekania. Sam Podleski i to narzeka, że w cywilu panuje

bezrobocie, a we dworze trzeba pracować od wschodu do zachodu słońca. A jnni to różnie gadają, nawet niektórzy to mówią, że nie mają czego bronić. Takie słowa często obijają się o moje uszy. A wiesz, Stasiu, wiele w naszym Jednorozcu jest ludzi przez roboty.

Odezwał się Mordwa:

- Stefanie, w czasie wojny musimy czuwać nad sobą, będziemy blisko siebie, jak którego zabiją z nas, to powiadomi nasze rodziny o nim, że zabity. Nas jest trzech z jednej wioski: Grabo[w]ski, ja i Ty, Stefanie, to zawsze który powróci do Jednorozca.

Stojąc dalej na wąskiej polnej drożce jeszcze nie skończyłem rozmowy i zaczął się zbliżać wieczór. Był to dzień sierpniowy pogodny.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Na szosy zakroczymskiej nie ustawał łoskot prowadzących dział i taborów. Skierowałem swoje oczy w stronę szosy. Odezwał się Mordwa:

- Musimy się pożegnać, czas wracać do swoich.

Zasalutowałem, podaliśmy sobie ręce i się rozeszliśmy każdy w swoją stronę. Ja, powracając do stodoły, zastałem Grabo[w]skiego śpiącego: leżał skulony i chrapało mu się jak starej lokomotywie. Podleski, siedząc na tornistrze, roześmiał się. Trzymał jakiś sznurek w ręku, przysiadł przy Grabo[w]skiem i związał mu obydwie nogi i zaczął krzyczeć:

- Pobudka, pobudka, wstać!

Grabo[w]ski spojrzał na oczy, chciał zerwać na nogi, nie mógł powstać. Usiadł na słomie [i] śmiejąc się, zaczął rozwiązywać związane nogi.

- Czekał, Stachu, ja Ci oddam za swoje.

Wtem czasie rozległ się głos plutonowego:

- Zbiórka po kawę.

Cały pluton stanął w dwuseregach z menażkami. Plutonowy podał komendę „Baczność, w prawo zwrot, kierunek – kuchnia. Marsz!

Wkrótce stanęliśmy przy kuchni, wydano nam kawę i suchy prowiant na dwa dni. Wracając na kwatery, odezwał się Grabo[w]ski do Podleskiego:

- Tyś, Stachu, to repeciarz, nabrałeś kawy pełne menażki, jeszcze i w kieszenie.

Podleski roześmiał się i powiedział:

- Franuś, ty m[n]ie przesładowujesz, my się zdaje, zem ci nic złego nie zrobił.

Franek się roześmiał i powiedział:

- Ja cię z miłości atakuje, żebyś się na m[n]ie pogniwał.

Grabo[w]ski wziął Podleskiego pod pachę i poszli do stodoły. Wszyscy zaczęli jeść. Po skończonej kolacji[i] zaczął zapadać zmrok, słońce zaszło, a na niebie ukazała się okrągła tarcza księżyca. Żołnierze kręcili się po podwórku tam i z powrotem, z cicha do siebie coś rozmawiali. Panował jakiś niespokój i podniecenie. Naraz słychać było, jak trębacz zaczął grać capszyk. Plutonowy wyznaczył wartę, a reszta plutonu poszła spać.

Po przespanej nocy jak zwykle śniadanie i nastąpił czas odmarszu w prawo od szosy zakroczymskiej. Nie posuwalim się zwykłym marszem, lecz forsownym. Zatrzymaliśmy się pod Płońskiem w lesie. Cały bataljon rozszedł się po lesie kompanjami, to w prawo, to w lewo. Całość tworzyła obronę przeciwlotniczą. Na skraj lasu nie wolno było wychodzić, wystawione [zostały] czujki wkoło całego bataljonu. Cały bataljon był pod zasłoną lotniczą ukryty w lesie. Samoloty niemieckie wywiadowcze często się pokazywały nad Polską, szukając żeru jak głodne sępy nad pustynią. Był to dzień 30 sierpnia 1939 r.

W lesie przesiedzieliśmy do wieczora. Nadeszła noc i niektórzy żołnierze spalili, a inni rozmawiali półgłosem. Może było po północy [jak] ogłoszono alarm. Cały bataljon ruszył w szyku bojowym. Przeszliśmy przez Płońsk. Całe miasto było pogrążone snem, gdzieś tam było słychać na balkonie rozmowę. Jeden z poruczników rezerwy powiedział:

- Jdziemy w kierunku Mławy.

Odeszliśmy parę kilometrów od Płońska. Zaczęło się rozwidniać, był to ranek cichy

i pogodny. Bataljon posuwał się naprzód, wykorzystując jakiekolwiek laski i zarośla. Koło godziny dziesiątej dowiedziałem się, że minęliśmy Ciechanów, a dalej już my, szeregowcy, nie wiedzieliśmy, dokąd jdziemy. To była tajemnica. Szliśmy cały dzień do wieczora, ocierając pot z czoła, bo było dość ciepło. Samoloty niemieckie przez przerwy się kręciły nad nami.

Na noc zatrzymaliśmy się w lesie na prawo od Mławy, gdzieś na północ od Gruduska. Żołnierze wyciągali ostatnie kawałki chleba z chlebaków, a niektórzy żołnierze zaczęli jeść żelazne porcje i suchary. Podleski opę[d]złował³² całą puszkę konserwy i pogłaskał się po brzuchu jak Zagłoba po miodzie. Prawie za jakie piętnaście minut zajęła kuchnia połowa [i] oznajmiono, że [jest] obiad. Po cichu odpinano menażki. Kucharze zaczęli wydawać obiady. Kolejność obiadu była wyznaczona po trzech z drużyny. Przyszła kolej i na nas: Grabo[w]ski, Podleski i ja trzeci jdziemy do kuchni. Grabo[w]ski stur[ch]nął Podleskiego pod bok i zaczął się śmiać:

- Mówiłem, Stasiu, żeś ty to repeciarz. Opę[d]złowałeś żelazną porcję, a jutro co będziesz jadł? - roześmiał się Podleski i powiedział:

- Jakis ty głupi? Jutro cię zabiją, a porcja zostanie.

Pobralim obiad dość smaczny: dubeltową porcję mięsa i zupa grochowa. Po skończonym obiedzie każdy się rozciągnął na ziemi, niektórzy zasnęli, a niektórzy rozmawiali półgłosem, bo nie wolno było rozmawiać głośno. Niedługo był ten odpoczynek, z górą pięć godzin. Wkrótce alarm i odmarsz. Szlim, [ale] nie wiadomo, dokąd. Zaczęło się trochę rozwidniać, na lewo od naszego bataljonu rozległ się huk i detonacja - to był pier[w]szy wystrzał i pier[w]szy wrzesień. Dalsze detonacje było słychać o jakie pięć kilometrów w lewo od naszego batalionu.

Na Mławie zaczął się bój, wystrzały artyleryjskie zamieniły się w jeden potężny huk. Na niebie ukazały się eskadry niemieckich samolotów, które leciały niszczyć nasze miasta i wioski. Nasz bataljon był oprowadzany prawie w kółko z prawej strony linj[i] frontowej i tak trwało prawie cały dzień, aż przed wieczorem cały bataljon zaczął się oddalać w prawo. Huki artyleryjskie pozostały się w tyle. Żołnierze zaczęli szemrać, że jakaś zdrada. Prowadzono nas przez całą noc, niektórzy z żołnierzy twierdzili, że posuwamy się w kierunku majów. Przed posuwającym się naszym bataljonem widać było w oddali jakieś migawki świetlne. Przez całą noc posuwalim się przez las i różnymi zaroślami.

Nad ranem drugiego września zaczęliśmy spotykać po drodze budynki murowane, kryte dachy czerwoną krzywą dachówką. Dopiero zrozumieliśmy, gdzie się znajdujemy - niektórzy mówili, że jesteśmy za granicą w Prusach. Po krótkim marszu uwrociliśmy³³ trochę się lepiej rozwidniło. Zaczęliśmy spotykać nasze polskie dachy słomiane i wtedy wiedzieliśmy, że jesteśmy na polskiej stronie. Prowadzono nas

³² Opędzłować – dużo zjeść.

³³ Uwrocie, poprzecznik – w rolnictwie pas wyznaczony po obu stronach pola służący do zawracania podczas wykonywania zabiegów agrotechnicznych (np. orki, siewu)

na południe. Cały bataljon był rozczłonkowany na plutony. Chłopaki rozpoznawali wioski, bo przeważnie byli to żołnierze z następujących powiatów: z mławskiego, sierpeckiego, ciechano[w]skiego, przasnyskiego i warszawiacy. Posuwalim się w kierunku Gruduska.

Nareszcie na parę kilometrów przed Gruduskiem nas zatrzymano. Niektórzy z żołnierzy twierdzili, że ta wioska nazywa się Leśniewo. Plutony się pochowały pod szopy, prawie cały bataljon był w ukryciu. Lotnictwo niemieckie bombardowało nasze polskie miasta, nad nami się kręciły samoloty zwiadowcze. A my wszyscy przemęczeni prawie całodziennym i nocnym marszem trochę odpoczęli. Nasz pluton znajdował się w sadku, kawałek od wioski. Obydwa karabiny maszynowe, a trzeci karabin pierwszego plutonu był ukryty pod szopą.

Przyszedł do m[n]ie jeden trochę znajomy. Nazywał się Szczepko[w]ski i usiadł przy m[n]ie pod drzewem i zaczęliśmy rozmowę. Pier[w]szy on powiedział:

- Słuchaj, Wilga, niedaleko mamy do domu, jdziemy! Czego będziemy bronić? Tej biedy, jaką mielim? Popatrz, Przasnysz się pali, widocznie tam są Niemcy.

Ja mu na to odpowiedziałem:

- Jak chcesz, bo ja to wolę zginąć w obronie własnego kraju. Nie chcę, żeby m[n]ie Niemcy zastrzelili dobrowolnie. Swojej przysięgi nie złamnę.

Odszedłem od niego, zostawiłem go pod drzewem. Po krótkim odpoczynku przyszedł [i] rozkaz „Plutonami w lewo do natarcia”. Powoli bojowo ruszyliśmy z miejsca. Nad Przasnyszem było widać kłęby dymu. Nasz pluton posuwał się obok wioski Leśniewo. W stodołach były ustawione działa na klepiskach, lufy były skierowane na zimowy wschód. Poza wioską znajdował się cmentarz. Przeszliśmy obok cmentarza, za cmentarzem skokami zaczęliśmy się posuwać w kierunku nieprzyjaciela.

Niemcy nas przywitali ogniem artyleryjskim, nasza artylerja tak samo im odpowiedziała pociskami. Po naszej stronie po godzinnej walce było paru zabitych i rannych. Nasz karabin maszynowy znajdował się na lewym skrzydle bataljonu w pier[w]szej linii[i], a za nami posuwała się druga linia i trzecia. Dalej się posuwalim naprzód. Niemcy skierowali ogień artyleryjski na tyły 3 bataljonu. My w tym czasie posunęliśmy się naprzód, wykorzystując teren, każdy krzak, każdą bruzdę. Nad nami miały się pociski, przez przerwy [słychać było] jeden huk i gwizd mijających pocisków. Po linj[i] wyszedł rozkaz: „Wykorzystaj teren i okopaj się”. Nasza obsługa C.K.M. podczołgała się do kaprała na małe wzniesienie. Na tem pagórku były stare doły od kartofli. Nasi cekaemiści wykorzystali jeden z dołów, pod krzakiem ustawiono C.K.M. Niemiecka artylerja ucichła, a nasi artylerzyści dalej szwabom posyłali pociski na podwieczorek.

Nareszcie ucichły strzały artyleryjskie. Ukazały się niemieckie samoloty zwiadowcze. Chodziły opodal od naszej linj[i] obronnej. Jeden z samolotów puścił w powietrzu kukłę dymu, odleciał w prawo i puścił drugą kukłę. To były znaki dla niemieckiej artylerj[i]. Ledwie samolot znikł, Niemcy zaczęli strzelać z dział. Ale ta sztuka im się nie udała - pociski padały na martwe pole jakieś sto metrów przed

namy i za dużo w lewo. Nasza artylerja odpowiedziała jej ogniem zaporowym.

Zbliżał się wieczór. Słońce było nad zachodem, ucichły strzały artyleryjskie. Przed nami znów się ukazały dwa samoloty niemieckie, parę razy przeleciały przed naszą linią, znów puściły kupy dymu i znikły. Po paru minutach zaczął się bój. Niemcy zaczęli bić z dział po tyłach pierwszej linii^[i]. Nasza artylerja odpowiedziała Niemcom ogniem. Po naszej stronie znów się znalazło paru rannych i zabitych. Niemcy nie przerywali ognia, rwały się pociski wkoło. Ja, leżąc z lewej strony C.K.M., miałem funkcję pomocniczego. Obejrzałem się do tyłu - pod stertą leżał Grabo[w]ski. Dałem znak Grabo[w]skiemu, że jeszcze żyje, Grabo[w]ski pomachał chusteczką, że jest zdrow.

Kanonada nie ustawała. Słońce zaczęło się chować za ziemię. Do naszego karabinu na lewym skrzydle przyszło trzech sanitariuszów i jeden kapral. Stanęli jakieś dziesięć metrów od karabinu, wywiesili białą flagę z czerwonym krzyżem. Niemcy odkryli nasz C.K.M. Wycelowali dobrze: jeden pocisk upadł^[i] przed karabinem jakieś piętnaście metrów, a drugi rozerwał się przy karabinie maszynowym. Celowniczy dostał odłamka w głowę, a taśmowy w nogę. Karabin maszynowy został rozbity, [był] niezdatny do użytku. Celowniczy zaraz zmarł na miejscu, a taśmowego wzięli sanitariusze za stertę - nieznane m[n]ie byli te chłopaki, byli ze służby czynnej.

Zaledwie upłynęło parę minut [i] rozległ się gwizd pocisków niemieckich tuż nad naszymi głowami. Jeden się rozerwał jakieś piętnaście metrów za nami, raniąc naszego amunicyjnego w sam póldepek. Był to chłopak z Warszawy, fryzjer. Niedaleko niego kułgał się jakiś porucznik, miał obydwie nogi urwane prawie

pod kolana i krzyczał:

- Tylko ja wyzdrowieję, to ja szwabom dam!

Ja postanowiłem sobie, że tego fryzjera muszę gdzieś umieścić w bezpieczne miejsce. Poderwałem się na nogi, zrobiłem parę kroków i złapałem go pod pachy. Parę metrów od nas było parę dołów wykopanych do kartofli. Jeden z dołów nie był wysoki i głęboki, prawie dowlók^[i]em jego do dołu, położyłem go na słomie, a sam wskoczyłem w następny dół od tego dołu jakieś dziesięć metrów. W trzecim dole siedziało trzech żołnierzy.

Dalej nie wiem, co się ze mną stało. Kiedy doszedłem do przytomności, to leżałem wznak w chlewie murowanym. Dach był spalony, krokwie stały popalone. Na jedno oko nie widziałem. Jakiś tornister miałem pod głową. Zaczęłem wstawać na nogi. Poczułem ból w krzyżu, ustałem na nogi i na ręce na czworaka, silnie się odepchnąłem od ziemi rękami i wstałem na prosto. Coś mi pękło w krzyżu i opuszcł m[n]ie ten straszny ból. Pomacałem się, czy nie ma krwi, roztworzyłem lewe oko - widzę na nie, tylko zapuchnięte i od dołu trochę się siałczyła krew. Zaraz oprzytomniałem, wyszedłem z chlewa.

Zobaczyłem na niebie prawie okrągłą tarczę księżycą. W tym czasie Niemcy się porozumiewali sygnałami świetlnymi: na Mławie widać było tylko migawki, obok Przasnysza było widać kręcący się krzyż, czyli świetlną swastykę, nie czarną, tylko świetlną, drugą taką swastyką kręcili na Makowie, a trzecią gdzieś pod Ciechanowem.

W tym czasie rozumiałem, że Niemcy nas wyprzedzili i chcą nas zamknąć. Postojałem przy chlewie. Nie było strzałów artyleryjskich, wokoło panowała cisza, słychać było jakieś szmery i rozmowy prawie półgłosem. Zaczęłem nasłuchiwać, czy mówią po polsku, czy po niemiecku. Naraz usłyszałem jakiś

znajomy głos za stodołą, postanowiłem do nich jść i zacząłem się zbliżać. Ułyszałem trzask zamka u cekaemu na rogu stodoły, stanąłem przy drugim szczycie i zacząłem dalej nasłuchiwać. I poznałem po głosie, że to był kapral naszego karabinu. Pier[w]szy się odezwałem:

- Panie kapralu, to ja, pomocniczy naszego karabina trzeciej C.K.M.

Kapral powiedział:

- Chodźcie do nas. Ja byłem u was w chlewie, toście ciężko oddychali, nie mogłem się z wami porozumieć. Jak? Jesteście w porządku?

Ja mu odpowiedziałem:

- Nie ze wszystkim, na lewe oko nie widzę, mam zapuchnięte i trochę boli m[n]ie w pól.

Kapral się roześmiał i powiedział:

- Ale prawe macie zdrowe, to będziecie dobrze strzelać. Nie potrzeba wam zamykać. Patrzącie, mamy karabin drugiej drużyny, dobrze działa, amunicja w całym komplecie. Jeszcze pognamy Niemcom kota³⁴. Na razie nas jest trzech, może się znajdzie więcej.

Kapral się spytał woźnicę:

- A wy gdzie macie konia i biedkę?

Woźnica odpowiedział:

- Mój koń został zabity, biedka jest pod szopą, ale tam z pier[w]szego plutonu były konie i biedki, o tam, gdzie ten sad.

Wziłem karabin maszynowy z kapralem, a woźnica skrzynki z amunicją i poszlim w kierunku sadu. Poznosiłem wszystkie skrzynki do karabinu. Ja wszedłem przez odbite sztachety do sadu [i] nazbierałem jabłek. Wszystkimi nam się chciało pić. Jabłka uspokojły nam pragnienie. Odezwał się kapral do woźnicy:

- Wy pójdzicie przyprowadzić biedkę, [a] jak znajdziecie konia, przyprowadźcie go tutaj w to miejsce.

Woźnica odpowiedział „Tak jest” i odszedł.

W tym czasie z lewej strony sadu ukazała się grupa polskich żołnierzy, a nad nimi ukazały się świetlne pociski z broni maszynowej. Na czele tej grupy szedł porucznik - dziki, jakiś wypłoszony - i wydał nam rozkaz:

- Cekaemiści, na stanowisko z lewej strony. Niemcy nas atakują; były to saperzy.

Ja poznałem z naszej wioski Jednorozca kaprala i się przywitalim obydwu. Spytał m[n]ie się, gdzie więcej jest naszych chłopaków z naszej wioski. Odpowiedziałem, że nie wiem, a on powiedział, że oni już ostatnie się wycofują, a z lewa są Niemcy. I odszedł od nas, a my z kapralem okopaliśmy karabin. Pociski przestały lecieć, zrobiło się cicho. Zaczęliśmy z kapralem upatrywać nieprzyjaciela. Był to teren otwarty, na niebie prawie okrągła tarcza księżycą świeciła na ziemię, było dość widno. Kapral obserwował przez lornetkę przedpole, a ja przez celownik katowy.

Naraz z zagajniku ukazał się patrol niemiecki na koniach i wprost jadą w naszym kierunku. My obydwu z kapralem chcieliśmy dokładnie wiedzieć, czy to są Niemcy czy Polacy, zaczęliśmy obserwować. Niemcy jechali stępą, najpierw jechało jch trzech, za nimi jechało czterech. My po rozpoznaniu nieprzyjaciela zawołałem jednego z drużyny strzeleckiej na



Modlin z lotu ptaka. Źródło: <http://www.bunkrowo.pl/portal/turystyka/twierdza-modlin/> (dostęp 30 IX 2018 r.).

³⁴ Pognać kogoś kota – postraszyć kogoś, dokuczyć mu.

taśmowego i do Niemców dalim ognia. Niemiecki patrol zmniejszył się, paru zostało zabitych, a reszta skrzyła do zagajnika. Zaraz się odezwał niemiecki karabin maszynowy z tej samej strony, co ostrzeliwał naszych saperów. Pociski przelatwały wysoko ponad nami. Dobrze nam były widoczne, bo było dużo pocisków świetlnych.

W tym czasie kapral wydał rozkaz „Celownik osiemset, ognia!”, ja wycelowałem w samo gniazdo cekaem niemieckie i nacisnąłem płytkę spustową, i ogniem pogłębiałem oddałem długą serję ognia. Przestały lecieć pociski z niemieckiego karabinu, karabin niemiecki przestał pluć w kierunku naszym i zamilkł, a co się stało z nim, to my niewiadomo. Przerwałem ogień z cekaemu i nastąpiła cisza.

Zaczęło się rozwidniać. Nasze wojska się wycofały, słychać było łoskot od nas o jakie półtora kilometra. Zostali ostatni i zgubieni od swojego ataljonu. Ściągnęliśmy C.K.M. ze stanowiska. Całe szczęście, że nasz woźnica jakoś wykombinował konia i podjechał biedką do nas. Załadowaliśmy C.K.M. na biedkę i ruszyliśmy w tym kierunku, gdzie było słychać łoskot wycofujących naszych taborów. Po drodze minęły nasz dwa małe czołgi, a my z jedną drużyną strzelecką dalej na końcu się wycofaliśmy w kierunku Sierpca, zostawiając po boju tereny Gruduska.

My mieliśmy zadanie ubezpieczyć nasze oddziały wojskowe wycofujące się z Pomorza w kierunku Rumuni[i]. Niemcy próbowali nam zagrozić drogę, ale ja się nie udało. Nasze oddziały 32 pułku były częściowo rozbite, ale broniły lewego skrzydła i Mławy. Jak się dobrze rozwidniło, zaczęło słońce wschodzić, Niemcy dalej prowadzili konny wywiad, ale zawsze zostali ostrzelani. Nasz karabin maszynowy i drużyna strzelecka posuwaliśmy się w kierunku Glinowiecka³⁵ do Modlina. Starszy strzelec drużyny strzeleckiej znalazł dobre drogi prawie od samego Przasnysza. Chłopaki się trzymali kupy i naszego karabinu. Starszy strzelec przeznaczył jednego szeregowca za taśmowego, a reszta drużyny założyła bagnety na karabiny i posuwaliśmy się bojowo.

Koło godziny siódmej rano jeszcze jeden wywiad niemiecki wykrył nasze koledy bojowi. Ostrzelali go z erkaemu³⁶. Niemiecki zwiadowcy ukryli się w sadzie. Jak zostali ostrzelani, to się wycofali, a my dalej się wycofywaliśmy i zrozumieliśmy, że się wycofujemy po samym niemieckim skrzydle prawym. Dalej się wycofywaliśmy, do nas się przyłączyło dużo rozbitków. Spośród rozbitków znalazł się jeden podporucznik i plutonowy. Porucznik objął nad nami dowództwo, zaczął nasz prowadzić podług mapy. Niemcy wypuścili samoloty zwiadowcze. Samoloty chodziły dość wysoko, zaczęły rzucać ulotki, [gdzie] były wypisane te same słowa, które wygłosił sierżant przed odejściem na Mławę w koszarach. Po niemiecku i po polsku temy słowami: „Polacy, poddajcie się i złóżcie broń, zostaniecie zwolnieni do waszych domów, do żon i dzieci, bo jesteście zaprzędani przez ministra Becka”. Po przeczytaniu niemieckich ulotek propagandowych wszyscy się roześmiali z tej

propagandy.

Dalej się wycofywaliśmy po prawym skrzydle niemieckich linii[i] obronnych. Było to już po południu, niemieckie samoloty zniknęły z horyzontu nieba, nastąpiła cisza. Ludność cywilna opuszczała swoje gospodarstwa, uciekali w kierunku Płocka, a do nas się przyłączało coraz to więcej zgubionych żołnierzy od swoich oddziałów. Niektórzy mówili, że się formują na nowo oddziały wojskowe w Płocku, w Wyszogrodzie i Modlinie.

My dalej się wycofywaliśmy. Uzbierało się nas ponad pięćdziesiąt żołnierzy. Udalim się więcej na południe. Wszyscy postanowiliśmy zameldować się w Modlinie. Niedługo nam powiedział podporucznik, że jesteśmy na terenie powiatu sierpeckiego [i] będziemy się posuwać w kierunku Glinowiecka. Wszyscy się wycofywaliśmy drużynami. Całość posiadała trzy erkaemy i nasz cekaem. Nagle usłyszeliśmy jęk niemieckich bombowców w kierunku naszym. Ukryliśmy się, gdzie komu pasowało. A cywile uciekali, nie zważali wcale na zbliżające się samoloty.

W tym czasie się ukazały niemieckie bombowce prawie nad nami. Nie dało mi się zobaczyć nas dokładnie, choć szły nie tak wysoko. Jakies dwieście metrów od nas uciekał jakiś cywil z żoną i małym dzieckiem. Jeden z bombowców odłączył się od swojej grupy w prawo i zrzucił bombę tuż przy wozie. Bomba się rozerwała, zabijając żonę i konia, a małe dziecko zostało odrzucone i nie zabite, i ten chłop pozostał przy życiu wcale nietknięty odłamkiem. Wziął dziecko na ręce i gorzko płakał. W tym czasie z tej samej strony znów usłyszeliśmy potężny warkot bombowców niemieckich. Postanowiłem z kapralem je ostrzelać. Ściągnęliśmy karabin z biedki [i] zaczęliśmy go ustawiać. Parę metrów od nas siedział pod krzakiem nasz nieznany dowódca i się odezwał:

- Chłopaki, co wy robicie? Nie wolno strzelać do samolotów, bo nas zmieszają z ziemią.

Niechętnie przyjąłem rozkaz nieznajomego porucznika. Nam się zdawało, że jak oddamy serję pocisków przeciwpancernych do niemieckich samolotów lecących na wysokości sto pięćdziesiąt metrów i do tego w kupie, nie pojedynczo, to musi który dostać parę pigulek na podwieczorek. Przeszło parę eskadr niemieckich samolotów, a my siedzieliśmy w zaroślach bezczynnie. Przysunął się do nas starszy strzelec z erkaemem i zaczęliśmy rozmawiać na temat zakazu strzelania do niemieckich samolotów. Powiedział starszy strzelec:

- Wiecie chłopaki, że ten porucznik to jest wielkim tchórzem, odprowadził nas w prawo od prawego skrzydła Niemców posuwających się na Modlina, prowadzi nas w kierunku Wyszogrodu. Przecież ja znam te tereny. Nie skończyłem rozmowy. Porucznik się zbliżył do nas i powiedział:

- Chłopcy, bombowce przeszły, cicho będziemy szli.

Starszy strzelec się spytał podporucznika:

- Ale w którym kierunku? Modlina czy nas Wyszogrodu? Bo ja znam te tereny, jak na Modlin, to za dużo jedziemy w prawo. Podporucznik rozłożył mapę, trochę popatrzył i powiedział:

- Tak jest, macie słuszość, starszy strzelec. Ruszyliśmy więc dalej, udając się w lewo.

Wszędzie było cicho, tylko w kierunku Warszawy było słychać potężne huki. Szlim od tyłu do Mławy prawie kawał we wieczór. Po drodze spotkaliśmy jakieś zbudowanie dworskie. Chłopaki obeszli wszystkie budynki. Z cywilów nie było nikogo, tylko w murowanym chlewie było parę kawalerzystów. I my się zakwaterowaliśmy w tym chlewie. Nasz woźnica wjechał do chlewa biedką, wyłożył konia, dał mu siano. Jeden z kawalerzystów powiedział:

- W tem spirzchu jest dużo owsa, jak macie worek, to możecie sobie wziąć na biedkę z pół metra.

Odezwał się drugi:

- Tam są worki.

Woźnica zaopatrzył konia w obrok i sam się położył na odpoczynek. A reszta wojska się rozeszła za żywnością. Jak to mógł, tak spędził noc, a nasz woźnica naznosił do biedki owocu różnego gatunku.

Rano przed świtem ruszyliśmy w drogę w kierunku Glinowiecka. Gdy ruszyliśmy z noclegu, nikt nie wiedział, gdzie się podział podporucznik przybłąda, bo tak go nazywaliśmy po cichu. Nie zważając na to, dalej poruszaliśmy się w kierunku Modlina. Coraz to więcej nas przybywało, jedni szli samodzielnie, a inni tworzyli jakieś drużyny. Wszyscy szlim rozczłonkowani w przód i wstecz, a nasza drużyna, która się przyłączyła najpierw do nas, szła na przodzie. Po odmarszu na noclegu przeszliśmy koło dwóch kilometrów, weszliśmy do lasu, podaliśmy komendę „Bagnet na broń” i ruszyliśmy dalej.

Zaczaliśmy przybliżać dzień, przed słońcem wschodu było dość widno. My się posuwaliśmy skrajem lasu. Po przejściu jednego kilometra las się zakręcał w lewo. Słońce zaczęło się wychylać spoza horyzontu ziemi. Na otwartym terenie posuwaliśmy się pojedyncze grupki żołnierzy po dwóch, po trzech.

Naraz z lasu odezwał się erkaem. Na otwartym polu padło trzech żołnierzy, earkem uciął, słychać było parę pojedynczych strzałów. Pewno [to był] znów niemiecki konny wywiad, ale dostałem znak, żeby posuwać się dalej. Dojeżdżając do miejsca, z którego zaszczekał parę razy, zobaczyliśmy parę dojeżdżających żołnierzy z naszych drużyn i cywila, który kułgał się po ziemi z bólu, rwał garściami mech, cały był zboczony swoją własną krwią, ale życie się jeszcze w nim kołatało. Mój przyjaciel kapral nie namyślał się długo, tylko powiedział:

- Ty przeklęty szwabie, tyle żeś się żywił polskim chlebem, a teraz to do nas strzelasz.

Pierwszy przesyłał bagnetem jego brzuch, a potem my wszyscy. Został zdzierawiony jak przetak. Na polu trzech żołnierzy podnosili się z ziemi, jeden z nich trochę przykuliwał na nogę.

Po niedługim marszu, zostawiając las, wyszliśmy na otwarte pole. Wszędzie było cicho i spokojnie, nie było lotnictwa niemieckiego. Ja się rozejrzałem dookoła, policzyłem sześć grup żołnierzy, posuwających się w tem samym kierunku. Przeszliśmy parę wiosek i dworów, w jednym się zatrzymaliśmy trochę. Przyszedł do nas starszy strzelec i powiedział:

- Niedaleko stąd ja mieszkam ze swoją żoną, chciałbym się dowiedzieć, czy ona jest w domu. Będziem mieli po drodze, przejdziemy tą wioskę, którą widać. Za wioską i tam została moja żona z dzieckiem na

³⁵ Glinowieck – Glinojock, miasto w pow. ciechanowskim.

³⁶ Erkaem – RKM, ręczny karabin maszynowy.

rkę.

Dalej ruszyliśmy z miejsca, przeszliśmy przez wioskę i szliśmy do tego dworu. Było koło godziny dziewiątej. Wszyscy weszliśmy do dużego sadu. Wóznica dał koniowi obrok i wody.

A my we trzech weszliśmy do mieszkania. Zastaliśmy siedzącą na stoliku kobietę, która trzymała na ręku małe dziecko. Ta kobieta się obejrzała na nas i zaczęła płakać. Starszy strzelec stał za nami nieruchomo, z ciężaru nie mógł wymówić słowa. Pomału oprzytomniał, podszedł do swojej małżonki i ją zaczął całować, i swoje dziecko. Zrobił się straszny płacz. My nie mogliśmy dalej słuchać płaczu dziecka i jego matki.

Weszliśmy na wielkie dworskie podwórze, podeszliśmy kawałek od mieszkania, usiedliśmy pod rozłożystym kasztanem, zapaliliśmy ostatnich papierosów z machorki. Obydwa z kapłanem zaczęliśmy rozmawiać o niewoli biednych ludzi. Widzieliśmy na własne oczy przed chwilą u tego starszego strzelca w chlewie odgrodzone ścianą od bydła jedno okno, kuchnia w złym stanie widać [że] dym i dymu, prawie czarne ściany.

Jeszcze nie zdążyliśmy skończyć naszej rozmowy, [a] rozłożyły się drzwi i wyszedł z mieszkania starszy strzelec. Podszedł do nas i powiedział:

- Chodźcie do mnie, to się napijecie mleka.

Starszy strzelec zawołał wóznicego i wszyscy weszliśmy do ciasnego mieszkania. Na wąskim stoliku leżał chleb i dzban z mlekiem. Wszyscy na stojaka z wielkim apetytem zjadali niespodziane śniadanie. Każdy z nas był głodny i przemęczony.

Odezwał się straszny strzelec:

- Koledzy, co ja mam robić, za tyle w tym dworze obydwójce pracowali[m] i to ciężko, a oni potrafili zostawić moją kobietę z małym dzieckiem na pastwę losu, a sami uciekli.

Całą czwórką odpowiedzieliśmy:

- Opięknąć się dzieckiem i swoją kobietą. Zostań, kolego, my za ciebie będziemy wojować.

Pożegnaliśmy starszego strzelca i jego żonę, i zaczęliśmy wychodzić z mieszkania. Kobieta sięgnęła ze skrzyni bochen chleba razowego i powiedziała:

- Proszę, przyjmijcie ode mnie chociaż ten kawałek chleba czarnego, bo nie mam nic więcej do chleba.

Odezwał się kapral:

- A sami co będziecie jedli?

Ona odpowiedziała:

- Jeszcze nam pozostało cztery.

Wóznica wziął chleb i podziękował kobiecie za chleb, i wyszliśmy z mieszkania. Wóznica zawrócił koło studni koniem i ruszył za nami.

Wyszliśmy z dworskiego sadu i spotkaliśmy całą pluton strzelecki. Plutonowy zaczął krzyczeć:

- Patrzcie, to nasi cekaemiści! Cześć, chłopaki, będziecie nam raźniej się wycofywać na Modlin.

Po małym odpoczynku ruszyliśmy w kierunku Glinowiecka. Zaledwie uszliśmy parę metrów, ja obejrzałem się do tyłu. Zobaczyłem za nim starszego strzelca i jego żonę, ciągnęli za sobą wózek i prowadzili krowę. Starszy strzelec po wojsku niósł erkaem na ramieniu i prowadził krowę za powróż. Ja się odezwałem do kaprała:

- Panie kapralu, nasz kumpel jedzie z całą rodziną wojować, jeszcze i z krową.

Kapral się obejrzał do tyłu i głęboko westchnął,

i powiedział:

- Taka nasza dola. My tu na froncie, a nasze rodziny pod bombami samolotów. Wszyscy musimy cierpieć, a może z nas każdy by to zrobił, gdyby każdy spotkał swoją żonę.

Dalej się zaczęliśmy posuwać w kierunku Gliwiecka, wykorzystując każde zarośle. Każdy krzaczek był naszą twierdzą przeciwniczą, bo samoloty zwiadowcze stały się kręciły. Zaczęło się zbliżać południe, coraz to bliżej do Glinowiecka. W jakimś wiosce spotkaliśmy drogowca, na którym pisało „12 kilometrów”. Prawie podeszliśmy pod sam Glinowiec.

Z północy nadeszły niemieckie bombowce, przeleciały nad nimi i rzuciły parę bomb na Gliwiec, i poszły na Modlin. A my w tym czasie weszliśmy do Glinowiecka, zastaliśmy parę jakichś diabelnych dziur. Były to leje po nalocie. Żołnierzy nie spotkaliśmy zabitych, tylko przy końcu ulicy leżał zabity stary Żyd, a jego rodzina płakała nad nim. Wkrótce się znaleźliśmy już poza Glinowieckiem. Na bruku było niemało wojska, taborów, parę dział i różnych rozbitków.

Podeszliśmy może kilometr, [a] po stronie lewej widać było jakiś dwór. Na pastwisku chodziło dużo bydła, a po prawej stronie niedaleko bruku były zagajniki. W tym czasie po boku przesuwaliśmy się taksówka, a [w] taksówce siedział pułkownik i nawoływał niemiecki desant. I zaczął zganiać wszystkich na szosę. Przejechał po boku i sam połączył dróżką pojechał w prawo. Odjechał od szosy jakiś kilometr i stanął.

W tym czasie nadeszły niemieckie samoloty bombowe i myśliwce, i zaczęły bombardować, i strzelać z broni pokładowej. Zrobiło się czyste piekło. Wozy zostały rozbite, dużo zginęło naszych żołnierzy i nasz karabin, i koń poszedł w powietrze, a my się rozlecieliśmy w lewo i prawo. Nas uciekających od szosy atakowały niemieckie myśliwce, a bombowce bombardowały dworskie krowy i dworskie zabudowania.

Ja w tym czasie zacząłem uciekać w prawo do lasu, obejrzałem się do tyłu, a na mnie prosto leci samolot. To całe szczęście, że rośla tam kapusta i były głębokie bruzdy, i wysoka miedza. Ja się wkręciłem pod miedzę w brudę. Samolot zaczął strzelać z maszynowego karabinu. Pierwsze pociski padły jakieś dziesięć metrów przede mną, tylko ziemia podskakiwała od padających pocisków. Później zawrócił, odszedł z powrotem w tą samą stronę, a ja zostałem nietknięty żadnym pociskiem.

Zacząłem upatrywać miejsca do wykonania skoku. Przy końcu kapusty rośla wierzbina, a do lasu było sto metrów. Poderwałem się na nogi, podbiegałem może dziesięć metrów. Samolot znów leci prosto na mnie, ja znów padłem pod miedzę. Samolot przeleciał obok mnie i zaczął strzelać pod wierzbę, parę razy obleciał wierzbę dookoła, prawie że obciął wszystkie gałęzie z wierzb. Ja pod miedzą leżałem nieruchomo, powiedziałem [sobie, że] to jakiś szwab koniecznie mnie chce zabić. Niemiec obleciał samolotem jeszcze raz wierzbę dookoła i odleciał.

Na szosy uciekło bombardowanie. Ja poleżałem trochę nad miedzą. Wstałem na nogi i poszedłem do lasu. W lesie spotkałem porucznika i dwóch sierżantów, i czterech strzelców. Pierwszy się odezwał podporucznik:

- Macie szczęście, że ten szwab was nie zabił.

- Tak jest, panie poruczniku, sypał do mnie z tego samolotu, ale zawsze trochę schylił. Niedaleko ode mnie się kurzyło od pocisków, ale dla mnie kuli nie było.

Odezwał się porucznik:

- Patrzcie, chłopcy, tam stoi ta taksówka i kupa żołnierzy, pewno mają tego pułkownika, co nas zganiał na ten bruk. Jdźmy, to zobaczymy.

Przelecieliśmy biegiem zagajnikami, wreszcie stanęliśmy przy taksówce. Zobaczyliśmy pułkownika i szofera stojącego w dole, gdzie kiedyś w pierwszej wojnie światowej służyła jako ziemlanka. Paru żołnierzy trzymali ich na muszce i czekali rozkazu. Z boku stał plutonowy żandarmerii. Z pułkownika zdjęli płaszcz i czapkę, to pan pułkownik nie posiadał ubrania wojskowego, tylko cywilne, a szofer był po wojskowemu ubrany. Z grubsza ich zrewidowano. Plutonowy powiedział:

- Popatrz, drańcu, na tę drogę coś nam narobił. To Polska was tyle lat chowała i wam żadnej krzywdy nie zrobiła. Dość tego. Chłopcy, ognia!

Rozległ się huk karabinów, a dwa typy zwały się na ziemię. Plutonowy powiedział do porucznika:

- To polskie Niemcy tak nam pomagają. My dalim, nie zekalim, co dalej będzie.

Ruszyliśmy w kierunku Modlina, coraz to większa kupa się zbierała, po drodze dołączyli się żołnierze. Ślim kawał we wieczór. Napotkaliśmy stertę słomy, trochę się przespaliśmy i rano ruszyliśmy w drogę. Ledwie przeszliśmy może półtora kilometra, weszliśmy do lasu. Naraz zatrąkotał do nas erkaem, zakruszył się piasek od pocisków, puścił krótką serię i zamikł. Niedaleko od nas rosły dwa świerki. Z tamtej strony byłem ostrzelany. Przy świerkach kręciły się kłęby dymu. Chłopaki oblecieli w kółko, a na jednym ze świerków w gałęziach siedział cywil z erkaem.

Po wykryciu Niemca chłopaki długo się nie namyślali, oddali salwę, a Niemiec zleciał na ziemię razem z erkaem. Chłopaki zabrali erkaem i amunicję, i ruszyliśmy w dalszą drogę w kierunku Modlina. Przeszliśmy parę kilometrów, weszliśmy na szosę, która prowadziła do Zakroc[ze]imia [i] podeszliśmy szosą jakieś półtora kilometra.

Zatrzymała nas warta, skierowali nas a prawo do bunkra, w bunkrze siedział na krześle major ziendanmeri[i] polowej. Każdego z nas opisał i nas rozbili z karabinów, ale nie wszystkich. Poruczników i sierżantów puścili z bronią boczną. Godzina może była ósma rano, major wyznaczył dwóch strzelców i pod eskortą nas odprowadzono do Zakroc[ze]imia.

Po drodze spotkaliśmy Żyda, który się nazywał Jęczyński, był rodakiem [z] Ciechanowa, dobrze my był znajomy. Prowadził Niemca przebranego w cywilne ubranie. Spodnie miał do wpół łydek, marynarka nie starczała na duże brzuch, na nogach miał sandały, był z gołą głową. Ja się go zapytałem:

- Dokąd go prowadzisz i gdzieś złapali tego szwaba?

Opowiedział:

- Po Zakroc[ze]imie. Prowadzę go do bunkra na ślektwo, tam go zbadają, co za jeden.

Po różnym rozmowie rozeszli się: my w stronę Zakroc[ze]imia, a Jęczyński ze swoją zdobyczą do bunkra. Nas doprowadzono do Zakroc[ze]imia i kazano nam jść na swoje komendy do Modlina i zameldować się na

zbornem punkcie.

Zaszlim do Modlina, weszlim w Bramę Zakroczymską, [gdzie] zatrzymała nas warta. Było nas ponad pięćdziesiąt żołnierzy z wartarzy dwóch nas zaprowadzili przed wartownię. Z wartowni wyszedł do nas dowódca warty. Był to starszy człowiek w randze sierżanta i powiedział:

- Odprowadzić ich do więzienia, to sami dezerterzy.

W tym samym czasie, nie wiadomo, z której strony, stanął przed nami porucznik służbowy. Przywitał się z obydwoma porucznikami i powiedział:

- Wszyscy ze mną do kuchni, dostaniecie obiad i pójście na zborny punkt. Każdy może dołączyć się do swojej kompanii.

Kucharze wydali nam obiad i chleb, i konserwy. Po zjedzonem obiedzie rozeszlim się, gdzie komu pasowało. Zwykle strzelce poszlim na zborny punkt, a porucznicy i sierżanci poszli razem z nami. My wszyscy weszlim na korytarz i po schodach na górę. Na sali siedzieli na słomie żołnierze, było ich około sto osób. Ja stanąłem w oknie i obserwowałem żołnierzy powracających z Modlina z frontu mławskiego. Wkrótce na placu koszarowym coraz to więcej zaczęły się pojawiać plutony, drużyny i pojedyncze żołnierze pr[ze]z broni, którzy zostali rozbrojeni pod Zakroczymem przez żandarmerię polową.

Ja dalej zawzięcie patrzyłem na plac kozarowy, aż tu nagle od Bramy Zakroczymskiej posuwał się jakiś większy oddział wojska. Ja przysunąłem się bliżej okna, żeby rozpoznać, co [to] za wojsko. Naraz zobaczyłem przez okno majora Jasińskiego i adjutanta batalionu, jadących na koniach na przódzie. A za nimi posuwał się trzeci batalion. Ja nie wierzyłem własnym oczom, że to nasz bataljon, bo kompanie były bardzo małe. Bataljon zaczął się przysuwać. Za drugą kompanią zobaczyłem na końcu kapitana Barano[w]skiego i porucznika trzeciej C.K.M. Z radości sam do siebie gadałem:

- To nasi jadą, to nasz bataljon i nasza kompania!

Nie namyślając się długo, ruszyłem po schodach biegiem, żeby dołączyć do swoich. Wyleciałem z korytarza na plac koszarowy. Biegiem i bez namysłu polecałem do swojego dowódcy i się zameldowałem. Porucznik powiedział:

- Dołączcie do kompani[i].

Ja stanąłem na boku. Naraz zobaczyłem kaprała Mordwę [i] serdecznie się przywitałem. Mordwa powiedział:

- Ja pewny byłem, że jesteś zabity, a ty, Stefanie, jeszcze żyjesz.

Ja powiedziałem:

- Później porozmawiamy na ten temat – i stanąłem, żeby się dołączyć do swojej kompani[i] C.K.M.

Naraz nadszedł Grabo[w]sky z Podelskim, przywitałem się z nimi i dołączyłem się do nich. I zacząłem jem opowiadać swoje przejścia bojowe. W tem czasie zatrzymał się cały bataljon prawie przed samem kościołem.

Ogłoszono obiad. Ja byłem nie głodny, nie poszedłem po obiad. Przez ten czas policzyłem karabiny maszynowe, było dwóch brak: mojego karabinu i z drugiej drużyny jednego kumpla. Wszystkie wojsko pobrało obiad, prawie już dojadli. Od przodu było słychać słowa strzelca, który dołączył do kompani[i] do



Okres międzywojenny. Edward Dybiński z Jednorożca. Zbiory Joanny Wilgi.

pana porucznika. Ja, gdy to usłyszałem, obciągnąłem mundur Grabo[w]skiemu, oddałem płaszcz, a sam biegiem polecałem do swojego dowódcy (nazwisko my nie jest nieznane). Na zielonej trawie siedział major, paru poruczników, kapitan Barano[w]ski i nasz porucznik C.K.M. Stałem na baczność naprzeciw majora, zassalutowałem i poprosiłem o zwrócenie się do swojego dowódcy. Major się nie podniósł, tylko powiedział:

- Spocznij.

A porucznik cekaem powiedział:

- Siadajcie.

Ja usiadłem na trawie obok swojego dowódcy. Porucznik zaczął się mnie wypytywać, co się stało z drugą drużyną. Ja mu powiedziałem:

- Po rozbiciu drugiego karaninu znaleźlim z kapralem karabin drugiej drużyny przez obsługi, a z naszego karabinu został tylko wóznica. Dołączyli do nas żołnierze ze strzeleckich kompani[i] i dobralim osobników dwóch. I po drodze do Glinowiecka wojowalim się z konnymi zwiadowcami niemieckimi, a z Glinowieckiem przez niemieckie lotnictwo nasz karabin został rozbity i koń zabity. Kto został przy życiu, to szedł na swoją rękę do Modlina.

Porucznik mnie poklepał po ramieniu i powiedział:

- To wy, Wilga, sami wróciliście do Modlina bez waszego karabinu. A teraz dam wam konia i będziecie razem ze mną, jak zginiem, to obydwaj będziecie moim gońcem.

Porucznik wyjął z kieszeni ołówki i notes, i zaczął pisać. Wkrótce dał mi kartkę i powiedział:

- Idźcie do tego wozu, to sierżant wam wyda broń i się zameldujecie u mnie.

Ja wziąłem kartkę, zassalutowałem i biegiem pobiegłem do [w]skazanej przez porucznika furmanki. Zameldowałem się sierżantowi i podałem kartkę. Sierżant wydał mi karabin, amunicję i rewolwer, i granaty. Zabrałem wszystko, zassalutowałem i odszedłem do

porucznika. Po drodze zabrałem płaszcz od Grabo[w]skiego i się zameldowałem u porucznika.

Niedługo trwała przerwa obiadowa. Major dał rozkaz ordynansowi, żeby przeprowadził konie. Wszyscy wsiedlim na konie i bylim gotowi do odmarszu. Major odkręcił się na koniu i wydał komendę „Bataljon, kierunek: za mną maszerować” i cały bataljon ruszył z miejsca.

Ja jechałem obok porucznika na siwej kobyle. Odezwiał się do m[n]ie pierwszy porucznik:

- Teraz mi opowiedzcie o swoim przeżyciu przez ten czas po rozbiciu waszego karabinu.

Ja opowiedziałem wszystkie zajścia, jakie m[n]ie spotkały, całą walkę z patrolami niemieckimi i cywilnymi Niemcami.

Posuwając się dalej, obejrzałem się do tyłu. Prawie może do półtora kilometra bylim za Modlinem, a przed nami po lewej stronie było widać komin dość wysoki. Rozejrzałem się dokładnie po terenie. Pier[w]sza kompania trzeciego bataljonu posuwała się prosto na ten wysoki komin, a druga kompania w prawo od nas, a my zostalim w samym środku. Podeszlim jeszcze z pół kilometra. Drużyny zaczęły zajmować stanowiska obronne, a całe dowództwo zostało się trochę w tyle. Ordynans zabrał konie do stodoły, która stała w gołym polu. Całe dowództwo niedaleko stodoły było ukryte w zaroślach.

Powoli zaczął zapadać zmrok, robiło się coraz to ciemniej. Telefoniści rozprowadzili telefony. Przy naszym bataljonie siedział plutonowy, który zawsze trzymał słuchawkę w ręku. Wojsko było bardzo przemęczone, od śpiku trudno się było uratować. Naraz odezwiał się porucznik:

- Wilga, chodźcie do m[n]ie.

Ja podeszedłem do porucznika i powiedziałem:

- Jestem, panie poruczniku.

- Słuchajcie, co wam powiem. Na lewo, gdzie ten komin, to jest cegielnia. Tam jest dowódca drugiej kompani[i]. Jak zajdzie potrzeba, żebyście nie bładzili, tam jch znajdziecie.

Na lewo przy cegelni było słychać detonacje pocisków niemieckich, [a] u nas było spokojnie. Wojsko na zmiany spało, gdzie kto się znajdował. Ja trochę się zdrzemnąłem, leżąc blisko porucznika. Słuchał było każdy sygnał telefonu, bo za moją głową jakieś dwa metry siedział telefonista, który nie wypuszczał słuchawki z ręki.

Ja się przebudziłem, przetarłem oczy i wstałem na równe nogi. Było widno, bo tarcza księżycy przedzierała się przez kłębiaste chmury. W tym czasie się rozejrzałem dookoła. Za porucznikiem leżał major Jasiński i kapitan Barano[w]ski i głośno chrapali, a reszta drużyny pocztowej, tak zwani gońce batalionu, leżeli w oddali. Niektórzy nie spali. Ja wytrzeźwiałem na dobre. Rozejrzałem się dokoła. Zdawało mi się, że niedługo zacznie się rozwidniać, a nie śmiałem się spytać plutonowego, która godzina. Na lewem skrzydle naszego bataljonu koło cegielni, gdzie się znajdowała pier[w]sza kompania coraz to było słychać potężne hukury rozrywających się pocisków.

Zeszło może do piętnastu minut, [aż] zaczął się przemieniać ogeń artyleri[i] niemieckiej z ognia nekającego na kanonadę. W tym czasie odbierał plutonowy telefon. Nagle odwrócił się do m[n]ie i powiedział:

- Budźcie majora i wszystkich dowódców.

Ja podeszłem do porucznika i poruszyłem go za ramię i powiedziałem:

- Panie poruczniku, jakiś telefon do pana majora.

I zacząłem się zbliżać do majora, ale wszyscy się zerwali na nogi, jakby nie spali. Major wziął słuchawkę do ręki, porozmawiał trochę i powiedział:

- Jesteśmy otoczeni, nie ma łączności z Warszawą. Musimy przeciąć ten pierścień.

Major oddał słuchawkę telefoniście i powiedział:

- Powiadomcie pier[wszą] i drugą kompanię, że odmarsz w kierunku na Warszawę.

Plutonowy porozumiał się z drugą kompanją, a do pier[wszej] nie mógł się dodzwonić. Zameldował, że musi być kabel przecięty. Major podrapał się po głowie i powiedział:

- Musimy posłać gońca.

Odezwał się do m[n]ie porucznik:

- Wilga, biegiem zameldować, że natychmiast ma odmaszerować nasz bataljon w kierunku Warszawy. Dowódca znajduje się w cegelni.

Ja wysłuchałem rozkazu i powiedziałem:

- Tak jest, panie poruczniku.

Przybrałem kierunek na cegelnie i biegiem ruszyłem z miejsca. Podleciałem jakieś pięćset metrów i się znalazłem pod ogniem artylerii[i] niemieckiej.

Zaczęły się rwać pociski wkoło m[n]ie. Jakoś skokami przeleciałem teren najgorzej zagrożony przez niemiecką ciężką artylerię. Częste detonacje pocisków zostały za mną. Wkrótce zobaczyłem komin cegielni. Z ulgą na sercu powiedziałem [sobie, że] teraz już dolecę do cegelni i doniesę meldunek my powierzony przez dowódcę batalionu. Znow nad moją głową przeleciał gwizd pocisków artyleryjskich. Ja powiedziałem sam do siebie:

- Głupie szwabry, tyle żelastwa wałą na martwe pole.

Po paru minutach znalazłem się przy cegelni. Spotkałem żołnierzy i się pytam półgłosem, gdzie jest dowódca pier[wszej] kompanii[i].

- Tu, w cegelni.

- Kolega niech m[n]ie doprowadzi, jestem gońcem z batalionu.

Podeszłem parę metrów i stanęlim. Przed drzwiami strzelec wszed[ł] do środka i zameldował o moim przybyciu. Dowódca kazał wejść. Wszedłem do środka i zameldowałem. Porucznik się trochę uśmieł i powiedział:

- Te szwabry przecinają nam telefon. Nie możemy się porozumieć telefonicznie. Powiedzcie majorowi, że zaraz dołączę. Jesteście wolni, możecie powiadomić majora.

Ja wyszedłem z cegelni i znow biegiem ruszyłem w kierunku dowództwa, ale poszłem więcej w lewo, żeby ominąć ognisko rwiących się pocisków. Po drodze jeszcze się parę rozerwało blisko m[n]ie, ale doleciałem szczęśliwie do dowództwa. Za parę minut bataljon ruszył w kierunku Warszawy.

Podeszliśmy parę kilometrów. Zaczęło się rozwidniać. Przeszliśmy jedną wioskę, weszliśmy do drugiej wioski. Zobaczyliśmy, czego się nie spodziewaliśmy: po lewej stronie wioski stały furmanki przepełnione samymi żołnierzami. Wyszliśmy za wieś. Tam znow się powtórzyło to samo: siedzieli na wojskowych wozach ranni majorzy, porucznicy i kapitan. Powiedział do mnie porucznik:

- To rozbita cała dywizja. Rannych wiozą do

szpitala, a my jedziemy w jch miejsce.

Przed nami było widać las. Na około nas było spokojnie i cicho. Powoli zbliżałem się do lasu. Gdy weszliśmy do lasu, na prawo drogi były magazyny, każdy miał dach zapadnięty albo rozbity, tylko ściany sterczały. Las również był częściowo ścięty przez niemiecką artylerię i lotnictwo. Nasi żołnierze wywozili wózkami po szynach pociski artyleryjskie i granaty do wąskotorowej kolejki. Podeszliśmy dalej lasem. Jeszcze gorzej był zniszczony las i magazyny amunicyjne. Naraz przeleciał pocisk niemiecki nad nami i się rozerwał jakieś sto metrów od nas. I dalej Niemcy zaczęli ostrzeliwać magazyny ogniem nękającym. Były to wystrzały z artylerii dalekosiężnej, bo wystrzałów nie było słychać, tylko rozryw pocisków. Ale nasze żołnierze nic [sobie] z tego nie robili, tylko szybko ładowali pociski na wózki.

My dalej się posuwaliśmy w kierunku Warszawy. Na przedzie szła pier[wsza] kompania strzelecka rozczłonkowana, za pier[wszą] posuwała się druga strzelecka, a za drugą strzelecką jechał na koniu major i adjutant, a za nim posuwała się trzecia C.K.M. Za nami trzecia strzelecka, za naszą kompanją jechaliśmy na koniach porucznik, ja i porucznik z trzeciej kompanii[i] strzeleckiej i dwóch ordynansów.

Zaczęli porucznicy rozmawiać między sobą. Mój porucznik powiedział:

- Nasz bataljon jest szturmowy. Posuwamy się tędy, a z trzynastego pułku posuwa się lewą stroną tak samo bataljon szturmowy i jdzie w tym samym kierunku na Warszawę.

Prawie już przeszliśmy obok magazynów. Szyny wąskotorówki przecięły nam drogę, a las się ciągnął dalej. Magazyny zostały się w tyle, [a] droga powoli się skręcała w lewo. Ja się obejrzałem do tyłu, a za nami posuwa się dużo artylerii[i]. Nie mogłem zobaczyć końca. Maszerowaliśmy dalej, słońce już się nawróciło z południa. Zaczął się kończyć las. Wyszliśmy na gołe pole, a dalej było widać las, a przed lasem były na prawo i na lewo rozrzucone jakieś wioski. Dalej posuwaliśmy się w kierunku lasu. Z dala przelatywały niemieckie bombowce w kierunku na Warszawę. Na Warszawie było słychać potężne huk rwiących się bomb lotniczych, a bliżej nas było słychać pociski artyleryjskie.

Zrozumiałem, że niedługo się spotkamy z nieprzyjacielem, ale byłem nigdy nie załamany, że Niemcy zwyciężą. Podumałem trochę i powiedziałem po cichu sam do siebie, [że] niedługo szwabry powąchają naszego prochu. Odezwał się do m[n]ie Porucznik:

- Jak, Wilga, lepiej na koniu czy piechotą?

Ja powiedziałem, że na koniu lepiej, bo nie boją nogi.

- Słuchajcie, niedaleko Niemcy, to damy im w skórę, żeby zapamiętali Warszawę.

Porucznik roześmiał się i powiedział:

- A może oni nam dadzą?

Ja się roześmiałem i powiedziałem:

- Panie poruczniku, człowiek raz się rodzi i raz będzie umierał, a jak popadnie jaka zbłąkana kula, to trudni³⁷, przeleje się krew w obronie Ojczyzny.

Zakończyłem rozmowę, bo nasz bataljon zaczął wchodzić w las. Las był węższy a długi

i ciągnął się w kierunku Warszawy. Lasem przeszliśmy koło dwóch kilometrów i stanęlim. Zapowiedziano obiad. Trzy kuchnie stanęły niedaleko siebie i zaczęli żołnierze podchodzić z menażkami po trzech, po dwóch. Ja spotkałem Grabo[w]skiego i Podleskiego i poszliśmy do kuchni. Całą trójką pobralim obiad. Znalazł się i Mordwa. Zaczął po cichu rozmawiać i powiedział:

- Poczekajcie, chłopaki, ja wezmę obiad, to pójdziemy razem.

Całą czwórką odeszliśmy od kuchni, zjedliśmy obiad, wytarlim menachy trawą, bo wody nie było. W tym czasie rozerwał się pocisk niedaleko nas, [a] za parę sekund drugi. Mordwa powiedział:

- Namacali nas szwabry.

Naraz wyszedł rozkaz „Bagnet na broń i przepatrzeć las”. Pociski artyleryjskie syptały się coraz to gęściej, zaczęły się rwać po lesie. Były to strzały artylerii[i] dalekonośnej, bo żadnego wystrzału nie było słychać. My całą czwórką pobiegłim na skraj lasu. W lesie było dużo świerków. Na jednym ze świerków było widać machanie chorągiewkami od nas jakieś sto metrów. Popatrzyliśmy trochę i weszliśmy do lasu i biegiem w to miejsce, dolatując do tego świerka, a tam słychać strzały z ręcznej broni. Nie dowierzaliśmy swojemu własnemu oczom. Po gałęziach zleciał na ziemię cywil i uderzył głową o korzenie, aż mu głowa pękła, a głupi mózg wyleciał z głowy. A my, zostawiając niemieckiego obserwatora na pożarcie dla wron, sami odeszliśmy. Odeszliśmy do swoich kompanii[i]. Po zabiciu obserwatora jeszcze parę pocisków się rozerwało i zamilkła niemiecka artyleria.

Po krótkim odpoczynku ruszyliśmy w dalszą drogę. Wyszliśmy z lasu na teren otwarty, a po krótkim marszu wyszliśmy na szosę, która prowadziła do Warszawy. Po szosy było widać jakąś wioskę, a za wioską była widać las. Weszliśmy do wioski. Pier[wsza] kompania posłała w lewo, a druga kompania posłała w prawo, a trzecia kompania i całe dowództwo batalionu posuwaliśmy się po jednej i po drugiej stronie szosy. Nareszcie weszliśmy do lasu. W lesie przybrano podstawę wyjściową w kierunku nieprzyjaciela. Piechota skokami posuwała się naprzód, a nasza artyleria dała ognia do Niemców. W krótkim czasie pojawiły się niemieckie pociski z czołgów.

- Niemcy atakują nas czołgami - powiedział major i sam wszedł w rów i powiedział - Wszyscy za mną.

Rowem dobiegłim do szosy, całe szczęście, że w rowie nie było wody. Major wszedł pod szosę w cembrowiny. Porucznik i nas trzech strzelców stanęlim w samym wylocie cembrowin, a po drugiej stronie szosy stało pięciu strzelców z porucznikiem na czele. Wszyscy bylim uzbrojeni w granaty ręczne. Nasza artyleria i pepesze zmusiły niemieckie czołgi do odwrotu. Pare zostało zniszczone przez naszą artylerię i jeden przez naszą piechotę. Chłopaki wrzucili granaty do środka, a reszta czołgów nieprzyjacielskich zaczęła się wycofywać do tyłu. A nasz bataljon pod osłoną naszej artylerii[i] zrobił natarcie w kierunku Warszawy. A my, major i porucznicy, posuwaliśmy się wzdłuż szosy.

Zapadł dobry zmrok. Nad szosą po stronie lewej jeden z czołgów niemieckich zaczął pluć do nas z broni maszynowej pociskami świetlnymi. Nasza piechota zaatakowała na

³⁷ W znaczeniu: trudno.

broniący się czołg niemiecki i przestał do nas strzelać. A nasz Bataljon połączył się z wojskami, które broniły Warszawy. My się dowiedzieliśmy od żołnierzy obrony Warszawy, że zabrali do niewoli czterystu niemieckich żołnierzy i parę czołgów.

Po przecięciu niemieckiego pierścienia Modlin-Warszawa dostaliśmy rozkaz, żeby wycofać się do Modlina, a nasza artylerja, która się posuwała za nami, była przeznaczona na obronę Warszawy. Część artylerji została na obronę Modlina. Dopiero ja zrozumiałem, że to była ta artylerja, która się wycofała z frontu mławskiego i z Pomorza. Dowództwo naszego batalionu i kompanja trzecia zaczęli się wycofywać, a pierwsza i druga kompanja miała dołączyć do nas. Ale niestety, nie dołączyli się.

My przeszliśmy parę kilometrów, weszliśmy do wioski i resztę nocy spędziliśmy w stodółach na odpoczynku prawie do południa. Po południu ruszyliśmy w dalszą drogę. Pierwszej i drugiej kompanii ani widać, gdzie się zagubili. Weszliśmy w las, a w lesie spotkaliśmy konie wojskowe z siodłami i biedki przez koni. Na trzech były karabiny maszynowe, a reszta biedek były przez broni, tylko leżały tornistry, a na jednej biedce pełno było bielizny i to nowej, wcale nie używanej. Zaczęli żołnierze bieliznę rozbiierać, to ja podjechałem na koniu i zabrałem trzy pary wcale nowej bielizny. Trochę się nasza kompanja zatrzymała, zabrali konie i karabiny maszynowe z biedkami.

Ruszyliśmy w dalszą drogę przez las. Po niedługim czasie wyszliśmy z lasu. Po prawej stronie była jakaś wioska, a po lewo były łąki, przelatał jakiś rów, a za rowem było dworskie podwórze. Ode drogi był żywopłot dobrze pielęgnowany, a co parę metrów rósł kasztan. Przeszliśmy przez mostek. Droga zaczęła się skręcać w lewo. W tym czasie zawołał mój major Jasiński i powiedział:

- Macie tu zostać i poinformować pierwszą i drugą kompanję, którzy mają jść.

Dał mi kartkę i powiedział:

- Sami nie wracajcie, aż razem z kompanjami. Ja powiedziałem:

- Tak jest, panie majorze - i skręciłem na dworskie podwórze. Przeszła cała kompanja i tabory. Ja zostałem sam. Przylecieli do mnie chłopcy z dworskiego podwórza, a za nimi kobieta szła ze dzbankiem mleka i okrążkiem chleba razowego zawiniętym w gazetę. I zaczęła mnie częstować. Ja byłem głodny, ale zacząłem się wymawiać. Powiedziałem:

- Pani, nam na wojnie to dają do syta jedzenia. Kobieta polecała mi łyżę z oczu i zaczęła mi opowiadać, że jej mąż tak samo na wojnie, a ona została sama z temi chłopcami. Wszyscy ze dworu uciekli, a ja zostawiłem na pastwę losu. Obaj chłopcy posmutnieli. Zaczęli mi dawać papierosy, które pan dziedzic pozostawił. Były to paczki zapieczętowane, nazywały się Grand. Po krótkiej rozmowie zrozumiałem, że to są Polacy, to mnie nie otrują i wziłem od kobiety mleko i wypiliśmy, aż dalej na oczy spojrzałem, chleb włożyłem do chlebaka, a kobieta powiedziała:

- Proszę, żołnierzu, przyjmij te papierosy od moich chłopców, oni je trzymali dla swego tatusia.

Ta poczciwa kobieta wzięła od chłopców papierosy i złożyła mnie do kieszeni. Ja podziękowałem kobiecie i spojrzałem na jej twarz zroszoną łzami. Kobieta, odchodząc ode



Ok. roku 1936–1937. Józef Wilga (1912–1988) z Jednorozca, służył w Modlinie. Zbiory Wiesławy Wilgi.

mnie, głośno zapłakała i załamała ręce za głowę.

Ja konie uwiązałem przy płocie, a sam kontrolowałem każdego przechodzącego żołnierza, bo mnie chodziło, żeby natrafić na łącznika zgubionych kompanii, bo nie miałem prawa powrotu do swojej kompanii. Aż nareszcie trafiłem na gońca, który szedł z meldunkiem od kompanii zgubionych. Spytałem go, czy ma jaką kartkę. On mało się namyslał, wyciągnął kartkę z kieszeni i mnie pokazał. Na kartce były wymienione wioski, przez które kompanje się mają dołączyć do batalionu. Ja go zapytałem, czy on zechce mnie dać tę kartkę. On mnie odpowiedział, że nie odda, że mu nie wolno tego meldunku dać nikomu, a jak by go Niemcy złapali, to meldunek zniszczą. Ja mu powiedziałem, że jestem gońcem batalionu i zostawiono mnie na pastwę losu, nie mam sam prawa dołączyć do batalionu, aż razem z temi kompanjami. Gońiec wyjął kartkę z kieszeni i dał mnie, ja jemu podziękowałem i powiedziałem:

- Uratowałeś mi życie. Ja jeszcze pierw dostarczę ten meldunek, bo jestem na koniu.

Uściskałem strzelcowi dłoń, a on powiedział:

- Ja cię znam, kolego, dlatego oddałem ci ten meldunek.

Pożegnałem się i gońiec odszedł ode mnie. Ja wyrzekałem na dworskie pole, a tam nasi żołnierze jęli pojedynczo i po dwóch. Naraz przylatują do mnie chłopcy, ci sami, co my dali papierosy i po cichu mówią:

- Panie, Niemcy...

Ja skoczyłem na konia i wjechałem w rów. Stałem w rowie. Skarpy były wysokie i zarośnięte trawą i drzewami. Byłem prawie niewidoczny, konia nie było widać, ale ja miałem dobre pole obserwacji. Spojrzałem po drodze. Gońiec był prawie już po lasem.

Naraz usłyszałem jakiś warkot motoru. Spojrzałem w prawo, a tu jadą na motocyklu

Niemcy. Przyjechali na zakręt, stanęli na mostku. Było narazie cicho. Był to motor z koszem albo z przyczepą. Na motorze siedziało trzech szwabów, mieli karabin maszynowy na przyczepie. Niemcy mnie nie widzieli, choć patrzyli przez lornetki wprost po drodze, a ja jakieś sześćdziesiąt metrów na lewo byłem ukryty w rowie. Miałem ochotę do nich strzelać, ale chodziło mi, że nie dam rady z konia ich zabić, ja mogę schybić, a oni pociągną po mnie krótkie serje i jestem u świętego Piotra, i meldunku nie dowiozę do Majora.

Niemcy zaczęli zawracać motorem. Z powrotem odjechali. Ja patrzę, a z lasu wyjeżdża trzech konnych żołnierzy polskich. Ja postanowiłem zostać na miejscu, żeby Niemcy nie wykryli mojego stanowiska i dalej przyglądam się na zbliżających od lasy żołnierzy. Od lasu jechali powoli, rozglądając się dokoła. Nareszcie zbliżyli się do mnie. Ja się przyglądam, a to nasz adjutant jedzie na przedzie, a za nim jakiś nieznajomy porucznik i dwóch strzelców. Ja wyjechałem z rowu naprzeciw nich i się zameldowałem, że jestem gońcem z batalionu, zostawiony, żeby poinformować odłączone kompanje, ale z pierwszą kompanią szedł gońiec i powiedział, że kompanje do nas dołączą. Pomaszzerowały drogą skróconą.

- Ale, panie adjutancie, tu dopiero byli Niemcy na motorze, zobaczyli was wyjeżdżających z lasu i się cofnęli nazad.

Adjutant powiedział:

- Kłamiecie.

Ja mu odpowiedziałem:

- Nie kłamną, proszę, jeszcze znać ślady jak zawrócili szwaby i odjechali.

Adjutant powiedział:

- Wiecie, co wam powiem? Macie więcej w spodniach, jak w tyłku. Ja dam rozkaz, musimy znaleźć te dwie kompanje.

Pan Adjutant wjechał na mostem, a za nim porucznik i dwóch strzelców, a ja stanąłem na koniu w dworskiej bramie pod kasztanem i sobie pomyślałem:

- Jak przejadą ten zakręt i nie zostaną ostrzelani przez Niemców, to ja pojedę za nimi.

Zjechali z mostku, do lasu mieli około pięćdziesiąt metrów. Naraz Niemcy otworzyli ogień z maszynowego karabinu, ale wszyscy uciekli do lasu. Ja się obejrzałem do tyłu na dworskie podwórze, a tu z zastodoły wyjeżdża dwóch szwabów na koniach i jadą wprost do mnie. Wystrzeliłem do nich dwa razy i sam zacząłem uciekać tą drogą, co odszedł nasz batalion. Za nimi już nie pojechał.

Dojechałem do lasu, przez las przejechałem do wioski. Wojsko jak raz miało obiad. Ja podumałem, jak teraz zrobić, czy się zameldować u majora, czy zaczekać, aż dołączą kompanje, ale postanowiłem się zameldować. Podjechałem jakieś sto metrów. Zobaczyłem Grabowskiego przy studni. Wjechałem na podwórze, skoczyłem z konia i serdecznie się przywitalim. Zapytałem się jego, czy kapral Mordwa jest. Grabowski powiedział:

- Żyje i jest w trzecim podwórzu.

- A teraz powiedz mi, gdzie jest major i nasz porucznik.

Grabowski powiedział:

- Musisz go szukać tam gdzieś na końcu wioski.

Ja Grabo[w]skiemu podałem rękę, powiedziałem „Do widzenia”, wsiadłem na konia i klusem odjechałem. Podjechałem do trzeciego podwórze i się zapytałem, gdzie pan major kwatruje. Strzelec my pokazał[, że] tam, gdzie te brogi z sianem stoją. Podjechałem parę metrów i skręciłem w podwórze przez strzelca [w]skazane.

Na podwórzu koło domu stoją major, ja zeskoczyłem z konia, żeby się zameldować, s Major wyciągnął pistolet i kazał my stanąć na baczność i meldować, co zaszło nowego. Ja na wstępie powiedziałem, że mam meldunek od pier[w]szej i drugiej kompani[i]. Major kazał my spocząć i dać meldunek. Wyjąłem meldunek i podałem majorowi. Major schował pistolet, przeczytał meldunek i powiedział:

- To oni sobie wybrali krótszą drogę. Ja z nim porozmawiam, tylko dołączą do nas.

Znów się zapytał Major:

- Coście dalej spotykali.

Ja powiedziałem:

- Niemcy byli na mostku na motocyklu, lornetowali przez lornety, było ich trzech, mieli karabin maszynowy. Jak zobaczyli adjutanta i porucznika, to się wycofali do tyłu, a ja stojałem w rowie jakieś sześćdziesiąt metrów od mostku. Byłem tak zamaskowany, że szwab m[n]ie nie zauważyli. Jak nadjechał porucznik, to ja wyjechałem z kryjówki i zameldowałem, że kompanie dołączą do nas, i pokazałem adjutantowi meldunek podpisany przez dwóch poruczników. To my na to odpowiedział: „Ja wam daję rozkaz, jedźcie szukać zagubionych kompani[i]”. Ja pokazałem ślady adjutantowi po motocyklu niemieckim i powiedziałem[, że] może upłynęło pięć minut, jak odjechali Niemcy. Adjutant ścisnął ostrogi konia i powiedział „Za mną”. Ledwie przejechali mostek, zostali ostrzelani przez Niemców widocznie z tego karabinu, co mieli na motocyklu, ale wszyscy uciekli zdrowo do lasu. A ja, znów atakowany przez niemieckich konnych zwiadowców, wyrwałem się z rąk oprawców i postanowiłem dowieść meldunek do pana majora. To już wszystko.

Major powiedział:

- Zaprowadźcie konia do tego broga, a sami jdziecie po obiad.

Ja powiedziałem:

- Rozkaz, panie majorze - i odszedłem z koniem do broga, konia uwiązałem, a sam poszedłem na obiad.

Po obiedzie niedługo trzecia C.K.M. i trzecia strzelecka kompania odmaszerowały z wioski w kierunku Modlina. Koło godziny szesnastej w lesie dołączyły dwie kompanie zagubione: pier[w]sza strzelecka i druga strzelecka, i w tem lesie się zatrzymaliśmy. Do zmroku las był prawie suchy, wszystkie kolki miały szarozółte. Niemiecka artyleria ostrzeliwała las ogniem nękającym, spadały pociski po całym lesie, ma się rozumieć, my się znajdowaliśmy na skraju tego lasu. Wóz taborowy stał w dawnej ziemlanie po pier[w]szej wojnie światowej. Mielim okazję się ogolić, włosy podstrzyć, bo miałem ruszać dalej aż za dwie godziny. Nie mogłem się pokazać na gołe pole, bo lotnictwo niemieckie śledziło nas i chcieli nas zmasakrować. Jeden ze sierżantów zaczął się golić przy taborowym wozie. jakiś zbłąkany pocisk rozerwał się o Jakiego pięćdziesiąt metrów od nas i odłamek odebrał sierżantowi życie. Dostał w samą głowę. Nazywał się

Krysiak. Przylecieli na pomoc sanitariusze, ale sierżant zmarł.

Kapral powiedział, że trzeba powiadomić majora. Ja powiedziałem:

- Panie kapralu, ja powiadomię, ja wiem, gdzie jest major.

Sanitarjusze zaczęły kopać grób pod dębem na skraju lasu, a ja biegiem do majora, podbiegałem jakieś pięćdziesiąt metrów i spotkałem majora i porucznika naszej kompanii. Ledwie zameldowałem, patrzę, jadą na koniach adiutant, porucznik i dwóch strzelców. Ja się odsunąłem na bok i chciałem zobaczyć, jak jch przywita major. Nareszcie stanęli na koniach przed majorem i się zameldowali. Major jem dał dobrą rugę i powiedział na końcu:

- Ja chciałem wysłać całą kompanię, żeby was znaleźć, a nareszcie żeście się zjawili.

Adjutant się zapytał Majora:

- Panie majorze, a ten strzelec wrócił na tem koniu z meldunkiem?

Major odpowiedział:

- Ja się gorzej kłopotalem o was, jak o tego strzelca, bo on przywiózł dużo wiadomości o was i o kompaniach.

Major powiedział:

- Później porozmawiamy.

Do m[n]ie się odwrócił, [mówiąc]:

- Idźcie do sierżanta.

Parę minut i stanęliśmy pod zielonym dębem. Dół był gotowy, włożono do dołu zwłoki starego sierżanta. Major i porucznicy wydobyli szablę z pochwy, wszystkim żołnierzom wydali rozkaz „Baczność”, a sami szablami zrobili „Prezentuj broń”. Major i porucznik trzeciej kompani[i] C.K.M. nad grobem sierżanta szablę złożyli na krzyż i znów „Prezentuj broń”, i schowali szablę do pochwy. Dali rozkaz „Spoczni”. Major wygłosił krótkie przemówienie. Oto treść tego przemówienia. Na wstępie powiedział Major:

- Złożył do grobu zwłoki naszego sierżanta, do ziemi polskiej przesiąkniętej krwią naszych dziadów i pradziadów. Nie zrażajcie się, żołnierze, że spotykaliście dużo grobów rozsianych na polskiej ziemi i z naszego bataljonu już dobrze się posączyła krew polskich obrońców i waszych znajomych. Ale naszym zadaniem jest zemścić się na wrogu. Za namy pójdzie cały świat. To nie koniec na tem, że przeważające siły nieprzyjaciela niszczą nasze wioski i miasta. Za namy pójdzie cały świat, a my będziemy walczyć do ostatniego zwycięstwa.

Major wydał rozkaz „Baczność, prezentuj broń”. Sam na zmarłego sierżanta posypał piaskiem i znów wydał rozkaz „Na ramię broń, do nogi broń, spoczni”. Sanitarjusz przystąpił do grobu, zasypał grób, zatkli krzyż brzozy i przystroili grób świerkowymi gałąskami. Z powodu niemieckiej artylerii[i] nękającej nasz bataljon tylko nas paru prostych żołnierzy z dowództwem na czele złożyli hołd sierżantowi Krysiakowi, który przelał swoją krew w obronie naszej Ojczyzny.

Zaczął się zbliżać wieczór. Słońce było nad zachodem. Niemieckie działa dalekosiężne umilkły. Nasz bataljon ruszył w kierunku Modlina. Powoli słońce schowało się za ziemię, robiło się coraz to ciemniej. Maszerowaliśmy prawie całą noc, mijając po drodze wioski, rozmaite lasy i zarośla, aż nad ranem weszliśmy do wioski lekko rozrzuconej niedaleko lasu. Major wydał rozkaz, żeby

zajmować kwatery w tej wiosce pod warunkiem, żeby cały bataljon był w ukryciu, żeby niemieckie lotnictwo nas nie wykryło. Kolejno zajmowały plutony stodoły, szopy i chlewy. Dowództwo trzeciego bataljonu zajęło zabudowanie pod samym lasem. Postawiono czujki, a reszta wojska mogła spać.

Ja z ordynansem wprowadziłem konie do chlewa, dałem koniom wody i siana, i weszliśmy do stodoły. W stodole była słoma rozpostarta na klepisku, paru żołnierzy leżało wyciągniętych na słomie. Niektórzy już chrapali, bo każdy z nas był upragniony snu. I my się położyliśmy blisko wierzei, żeby trochę zasnąć. Nicht się nie rozbierał, koniom swolgowano popręgi, zostały z siodłami w chlewie. A my jeszcze nie zasnęliśmy, [gd]y roztworzyły się wierzeje stodoły. Wszedł do stodoły porucznik C.K.M. Odezwał się łagodnym głosem:

- Jak, chłopaki, śpicie,?

Ja się odezwałem:

- Jeszcze nie, panie poruczniku, dopiero myślę spać. Ale czy te szwab dadzą się nam choć trochę przespać? Stale słysząc łozgot z dział.

Porucznik powiedział:

- To i ja się trochę prześpię razem z wami.

Porucznik rzucił koc na słomę i sam się położył przy m[n]ie. Zasnąłem prędko, bo każdy był przemęczony. Spalim do godziny siódmej rano.

Po przebudzeniu ze snu nie wolno było wychodzić ze stodoły, żeby nie zdradzić stanowiska.

Niemieckie samoloty wywiadowcze docierały i chodziły prawie nad samymi dachami, i nie mogły wysledzić, i często przelatywały nad nami eskadry bombowców niemieckich. Potężne detonacje było słyszeć we wszystkich kierunkach. Powoli huk było słyszeć coraz to rzadziej, aż nareszcie pobliskie detonacje ucichły. Nie było widać i samolotów zwiadowczych.

Ja poprosiłem porucznika, żeby m[n]ie zezwolił się napić wody z pompy. Porucznik pozwolił, jeszcze powiedział:

- Nabierzcie i w manierkę.

Ja wyszedłem ze stodoły bojowo przy chlewie do pompy, która się znajdowała przy piwnicy, napiłem się wody i nabrałem w manierkę, i coś m[n]ie skusiło wejść do piwnicy. No i weszłem do tej piwnicy. A porucznik stał w samych wierzejach i patrzył na m[n]ie. Ja zacząłem szukać w piwnicy coś do zjedzenia, ale niestety na pierwszy rzut oka zobaczyłem kupę książek. Zobaczyłem jedną po niemiecku drukowaną. Przejrzałem parę, wszystkie były w niemieckim języku drukowane. Powiedziałem:

- Psiakrew, choćbym znalazł kielbasę, to nie wezmę, bo może być zatruta.

Dalej nie szukałem, tylko czem prędzej wyszedłem z piwnicy. Z budynku na przeciw wyszedł adjutant z rewolwerem w rękę i zbliżył się do m[n]ie i powiedział:

- Wiecie, że nie wolno się szwędzać bezmyślnie?

- Ja na to mam zezwolenie od pana porucznika.

- A po coście wchodził do tej piwnicy?

- Zobaczyć, panie adiutancie, czy jakiego Niemca nie ma w tej piwnicy.

W tem czasie stanął pomiędzy namy porucznik. Adjutant schował rewolwer do pochwy i powiedział:

- Wy jesteście tym gońcem i to tem, com się

spotkali na mostku koło dworu?

- Tak jest, panie adjutancie.

W tym czasie powiedział porucznik:

- To jest mój żołnierz, który wrócił z całej obsługi tylko sam jeden, bo jch karabin został przez Niemców rozbity w Leśniewie Dolnym i cały raport zdał mi, co się stało z resztą obsługi.

Adjutant zmierzał m[n]ie oczyma od dołu do głowy i wesoło powiedział:

- Możecie odejść.

Ja powiedziałem:

- Tak jest, panie adjutancie - zasalutowałem i odszedłem do stodoły.

Ze stodoły wszyscy patrzyli na to widowisko, a ja pomyślałem sobie: Ja przyszedłem na wojnę po to, żeby bronić Ojczyzny, a przez małą com nie zginął od polskiej kuli od takiego szlacheckiego zbira, który pobierał dość wysoką pensję. A ja za parę groszy musiałem ciężko pracować za moją sumienną walkę z wrogiem. Polska kula miała mi odebrać moje życie? Z tą myślą nie mogłem się pogodzić.

Wszedłem do stodoły bardzo zasmucony. Jeden ze strzelców do m[n]ie się odezwał:

- Żeby nie porucznik, to by cię zastrzelił ten warjat.

A drugi się odezwał półgłosem:

- Jak on tak charosi³⁸, to i dla niego znajdzie się jakaś kula zbląkana.

Spytał się trzeci:

- A jak on się nazywa?

Od tylnych wierzei doleciał głos do moich uszów:

- Podobnie Pożycki.

A mie do głowy przychodziły różne myśli, ale [najbardziej] ostatnie słowa mojego ojca, które usłyszałem jak byłem małym chłopcem jak m[n]ie powiedział: „Synu, jak dorośniesz, a przyjdzie ci wojować z Niemcami, zemść się i za m[n]ie, nie daruj nawet takiemu, co w kołysce. Przebij bagnetem szwabą”. To ojcowskie powiedzenie zawsze m[n]ie hartowało ducha na froncie i podczas okupacji[i].

Naraz do stodoły wszedł porucznik i powiedział ojcowskim głosem:

- Chłopcy, przyszykujcie się do odmarszu, pozbierajcie się ze wszystkim, żebyście czegoś nie zostawili.

Żołnierze pozakładali tornistry i czekali dalszego rozkazu.

Na naszym terenie było spokojnie, lotnictwo niemieckie przestało się kręcić ponad dachami tej wioski, tylko z dala było słychać detonacje niemieckie pocisków ciężkiej artylerji[i]. Zeszło parę minut. Dostaliśmy rozkaz odmaszerować. Ja z ordynansem wyprowadziłem konie z obory. Porucznik wsiadł na konia i powiedział do nas:

- Siadajcie, niedaleko Nowy Dwór [Mazowiecki]. Wyjechalim na drogę. Zobaczyłem na koniach paru podchorążych. Dołączyli do nich, wszyscy jechali stępą, a my zanimy, a za nami maszerowała trzecia C.K.M.

Przeszlim do Nowego Dworu [Mazowieckiego] szczęśliwie. W Nowym Dworze koło kościoła było zniszczone parę budynków, a wieża kościelna, sam c[z]ub, to stał jeszcze, ale już na samych drzewonkach³⁹. Przeszlim za Nowy Dwór i zaczęła nas

otrzeliwać artylerja niemiecka.

W tym czasie zawołał m[n]ie Grabo[w]ski:

- Chodź, bo kupiłem chleba i boczku, to trochę zjemy. Nasz pluton się zatrzymał, to stanem pod tymi brzoźkami.

Ja zsiadłem z konia. Grabo[w]ski ukroił kawał boczku i przekroił chleb, i włożył m[n]ie do chlebaka. Ja jemu chciałem zapłacić. On wszedł za drugą brzożkę. Powiedział:

- I tak nas wszystkich wybiją te przekłete szwabę.

Ledwie skończył te słowa, a pomiędzy nas rąbnął pocisk i się nie rozerwał, głowica pocisku z zapalnikiem się odkręciła. Przyleciał do nas plutonowy, który stał za następnym drzewem i podszedł do niewypału. Trochę popatrzył, wyciągnął bagnet i zaczął manipulować, a my z Grabo[w]skim obydwa odeszlim od niego i stanęlim pod drzewem. Zapalił papierosów. Wkrótce przyszedł do nas plutonowy i powiedział:

- Mamy szczęście, przeczytajcie tę kartkę.

Ja wzięłem od niego kartkę i zacząłem czytać. Na kartce było napisane: „Kochani bracia, jak możemy, tak wam pomagamy”.

- Czechy - powiedział Plutonowy. - Ta kartka była obwiniona na zapalniku, a we środku pocisku to był popiół.

Schował kartkę do kieszeni i powiedział:

- Ta kartka to będzie na pamiątkę.

W krótkim czasie zaczęli się posuwać naprzód. Pod naciskiem artylerji[i] niemieckiej nasze oddziały zaczęły przechodzić przez most. Most był ostrzeliwany przez niemiecką artylerję. Na moście było większe nasilenie ognia z dział nieprzyjaciela.

Przyszedł czas dla nas się przeprawić przez most. Rwały się pociski we wszystkie strony. Wszlim na most. Most był przedziurawiony przez pociski nieprzyjacielskie, nie za duże były dziury w moście, bo każdy pocisk przebił swoim ciężarem powierzchnię mostu i eksplodował w nurtach Wisły. Saperzy każdej nocy reperowali dziury w moście. Na moście były nalepiane różne kukły z cementu. Kiedy weszlim na środek mostu, każda drużyna ze swoją biedką, a ja na koniu jechałem obok drużyny po prawej stronie, a po lewej stronie w drugim szeregu za biedką szedł Podelski i Grabo[w]ski. W tym czasie rąbnął pocisk po lewej stronie mostu. Podleski krzyknął przeraźliwie:

- Ratunku, dostałem w nogę!

Koledzy wsadzili Podleskiego na biedkę i w krótkim czasie znaleźlim się poza mostem. Podelskiego zabrali sanitariusze do szpitala, a nasza kompania weszła do lasu, a przez most przesuwały się dalsze oddziały naszych żołnierzy. Niemiecka artylerja zaczęła cichnąć, ogień artyleryjski przemienił się na ogień nękający.

Zaczął się przybliżać wieczór, nasza kompania dalej maszerowała, z nas nikt nie wiedział, dokąd jdziemy, aż znaleźlim się we wiosce Boża Wola. Każdy był przemęczony do ostatniego stopnia. Przeszlim po lewej stronie wioski Bożej Woli i weszlim do lasu. Las był rzadki, drzewa były rozłożyste i karłowate. Wojsko mogło się swobodnie poruszać we wszystkich kierunkach, na skrajach lasu dużo się znajdowało drobnych zagajników.

W lesie się zatrzymał bataljon. Nasze plutony C.K.M. stanęły w jednym miejscu, każda drużyna ze swoim karabinem. Dowódca kompanii wydał rozkaz:

- Wszyscy strzelcy zapasowi do m[n]ie, ustawić się w dwuszeręgu.

I ja z nimi. Dowódca kompanii wybrał obsługę do karabinów przyprowadzonych spod Warszawy.

Ja zostałem przydzielony do drugiego karabinu drugiej drużyny. Dołączyli do swoich plutonów strzeleckich i zaczął się odmarz na pier[w]szą linię. Grabo[w]ski został dalej zapasowem w moim karabinie. Rozeszło się wojsko we wszystkie strony, jedni w lewo, drudzy w prawo. Pier[w]sza dużyna C.K.M. zajęła stanowiska nad Wisłą, a nasza drużyna zajęła stanowiska za szosą, która prowadziła od Nowego Dworu do Warszawy. Na forcie jeden karabin po lewej stronie fortu, a drugi po prawej stronie, ja byłem przeznaczony do karabinowego.

Powoli zaczęło się rozwidniać. Mojem obowiązkiem było dobrze sprawdzić linie ostrzału. Pomału rozejrzałem się dokładnie. Stanowisko było pier[w]szorzędne i dobry strzał, i ponad głowami własnych oddziałów. [W]skazałem obsłudze, gdzie mają okopać C.K.M. Prędko okopaliśmy karabin, zamaskowaliśmy i zaczęlim upatrywać nieprzyjaciela.

Pier[w]szego dnia na naszym odcinku było cicho, czasami przeleciały niemieckie bombowce. Nadeszła noc, która też była spokojna. Chłopaki trochę odpoczęli po długich marszach pod naciskiem niemieckiej artylerji[i] i lotnictwa. Rano przyszedł nasz porucznik. Sprawdził szczegółowo stanowisko i powiedział[że] bardzo dobrze to stanowisko przygotowane.

Ja w tym czasie robiłem s[z]kic do nocnego strzelania. Porucznik zaszedł z tyłu i zaczął się przyglądać. Ja się obejrzałem. Porucznik powiedział:

- To wy, Wilga, tu jesteście.

- Tak jest, panie poruczniku.

- Co wam się sprzykrzyło na koniu jeździć? Przyszlście do cekaemu?

Ja powiedziałem:

- Nie sprzykrzyło się, tylko pan porucznik sam m[n]ie przedzielił, a ja tylko wykonałem rozkaz. Porucznik powiedział:

- Porozmawiamy jak będę szedł z powrotem - i porucznik odszedł do pier[w]szej drużyny nad Wisłę.

Po odejściu porucznika przyszedł do m[n]ie kapral Mordwa. Przywitalim się serdecznie i powiedział na wstępie:

- To znów, Stefanie, razem będziemy wojować. Moja drużyna zaraz po lewej stronie twojego karabinu.

Ja odpowiedziałem[że] to bardzo dobrze, że znów będziemy prawie razem.

- Będziemy czuwać nad sobą, bo i Franek jest w mojej obsłudze.

Mordwa sięgnął ręką do kieszeni i wyjął z kieszeni dwie paczki papierosów i powiedział:

- Mas, Stefanie, to spalis, dowpółki⁴⁰ nas nie zabiją Niemcy.

- Bardzo ci dziękuję, Stasiu, ale nie będzie tak źle, żeby nas Niemcy wybili.

Mordwa się zapytał:

- A gdzie Grabo[w]ski jest?

Odpowiedziałem, że nie wiem, nie tak dawno był przy karabinie, to on musi być pod tą górą

³⁸ W znaczeniu: chojrak.

³⁹ Drzozka - szczapa, trzaska, łupka smolnego drzewa.

⁴⁰ W znaczeniu: dopółki.

w tym formie.

- Jdźmy, to go znajdziemy.

Zacząłem się przedzierać przez gęste zagajniki. Wkrótce po drugiej stronie tej góry zobaczyłem wejście pod tę górę. Odezwiał się do m[n]ie Mordwa:

- Ja znam to miejsce, ja służyłem służbę czynną w Modlinie, tom go dobrze poznał.

I obydwu weszliśmy do fortu. Było tam paru żołnierzy i koło dziesięciu cywilów, a przy ścianie leżała kupa granatów ręcznych. Nareszcie zobaczyliśmy Grabo[w]skiego siedzącego przy ścianie i [który] drzemał. Obudziliśmy jego, trochę porozmawiałem całą trójką, zostawiając Grabo[w]skiego. Obydwu z kapralem poszliśmy na swoje stanowiska. Za parę minut przyszedł dowódca C.K.M. ze strzelcem pier[w]szej drużyny i powiedział do m[n]ie:

- W wasze miejsce przyprowadziłem karabinowego, a wy pójdziecie ze mną.

Obydwu odeszliśmy od fortu przez szosę asfaltową do następnych karabinów maszynowych. Dowódca sprawdził resztę cekaemów i odeszliśmy na brzeg lasu do koni. Po drodze spotykaliśmy telefonistów, którzy strzelili liniami telefoniczną, która była rozpostarta od fortu do szosy i rowem do Bożej Woli. Na forcie znajdował się obserwator, który kierował ogniem naszej artylerii[i]. Zaszliśmy obydwu z Porucznikiem do koni, przy koniach siedział ordynans i dwóch telefonistów. Porucznik rozkazał ordynansowi, żeby z koniami odjechał do Bożej Woli i żeby o nie lepiej zadbał. Ordynans odjechał z koniami do wioski, a my obydwu z porucznikiem zostaliśmy przy pier[w]szej linii. Bombardowania było słychać we wszystkich kierunkach naszego kraju. Na naszym odcinku na razie było spokojnie

Obrona była gotowa, czekała na nieprzyjaciela. Odeszliśmy z porucznikiem od szosy i poszliśmy do fortu, bo tam się znajdował telefon. Koło południa przyleciały niemieckie samoloty zwiadowcze, prawie przelatały nad lasem, a dalej się wzbijały wyżej. Za nimi pokazały się bombowce. Zaczęły bombardować Modlin i Nowy Dwór. W Modlinie zbombardowali kuchnię i szpital wojskowy obrzucili bombami. W Nowym Dworze było widać pożary i na Zakroczymie [podobnie]. Między Bożą Wolą a Modlinem na ochronie stało działko przeciwlotnicze. Celownicemu udało się trafić nieprzyjacielski bombowiec.

Tego dnia po południu tylko krążyły samoloty zwiadowcze dość wysoko. Zaczęły rzucać ułotki. Ja [widziałem to,] siedząc w formie. Porucznik się trochę zdrzemnął, a ja postanowiłem trochę przynieść tych ułotek, ciekawy byłem, co te szwabki piszą. Nie namyślając się długo, biegiem wyskoczyłem z fortu. Podleciałem jakieś sto metrów i zobaczyłem pod jałowcem ułotki. Wziąłem do kieszeni i wróciłem z powrotem do fortu. Nasz dowódca dalej drzemał na pudełku od zapalników. Ja wyjąłem z kieszeni ułotki i zacząłem czytać.

Na ułotkach było napisane: Polacy, złóżcie broń. Jesteście zaprzędani przez ministra Becka, a jak się poddacie, zostaniecie zwolnieni i pójdziecie do swoich domów, do dzieci i żon. Na jednej stronie było napisane po polsku, a na drugiej stronie po niemiecku. Ja powiedziałem [sobie, że] te same słowa

powtarzają szwabki, co i koło Gruduska.

Porucznik się przebudził i m[n]ie się zapytał:

- Co macie za nowość?

Ja podałem porucznikowi ułotki.

Z Grabo[w]skiem zacząłem kręcić papierosy z machorki. Ja podszedłem do porucznika i się spytałem, czy zapali papierosa. Porucznik powiedział:

- Jak macie, to zapalę.

Wyjąłem z kieszeni paczkę papierosów i oddałem porucznikowi. Porucznik się odezwiał łagodnym głosem:

- Ale tylko jednego, nie całą paczkę, bo sami co będziecie palić?

Ja powiedziałem:

- Proszę, niech pan porucznik weźmie, bo ja mam jeszcze jedną w kieszeni.

Porucznik się roześmiał i się zapytał:

- Skądście zafasowali? Bo już dawno nie fasowałem papierosów.

Ja powiedziałem:

- Od kaprała Mordwy dostałem w prezencie, bo on wcale nie pali.

W tym czasie do fortu wszedł kapitan Barano[w]ski. Wielu nas było, wszyscy zaszalutowaliśmy, a on powiedział:

- Chłopcy, nie trzeba salutować. Ja taki sam, jak i wy jesteście.

Trochę porozmawiali z porucznikiem i wyszli z fortu. Na odchodne powiedział Porucznik:

- A wy siedzicie przy telefoniście, jak będzie jaki pilny meldunek. to my będziemy nad Wisłą. – i odeszli.

Powoli zaczęło słońce hować się za horyzontem ziemi i zaczął zapadać zmrok. Porucznik z kapitanem wrócili do fortu. Niedługo przyjechała kuchnia polowa i wóz taborowy z chlebem. Każdy był głodny z nas, a chleba to nie widzieliśmy cztery dni. Tylko obydwu z Grabo[w]skiem com kupili w Nowym Dworze i jenni strzelcy [też], którym się dało kupić. Na wozie taborowym przyjechał nasz szef.

Pier[w]sze słowa naszego szefa [brzmiały tak, że] mamy łączność z Warszawą. Podczas obiadu rozniosła się [ta] wieść pomiędzy wojskiem. Wszyscy byli pokrzepieni na duchu, pomimo że byliśmy ściśnięci w kleszcze hitlerowskich siepaczy. Każdy z żołnierzy wierzył w jakieś zwycięstwo, wytrwale znosił głód i chłód.

Szef wydał chleb i papierosy, i wkrótce odjechał razem z kuchnią polową do Bożej Woli. Cekaemiści wrócili na swoje stanowiska. Porucznik z Kapitanem nadal się znajdowali w formie przy telefonie. Na każde zażądanie do telefonu żołnierze obsługujący telefon mogli powiadomić kapitana lub porucznika.

Druga noc w obronie była spokojna. Po przespanej nocy każdy na swoim stanowisku spodziewał się nieprzyjaciela. Rano Niemcy znów zaczęli bombardować nasze wioski i miasta. Najwięcej było słychać huków w kierunku Warszawy. Koło godziny dziesiątej znów się pojawiły samoloty zwiadowcze, to samo się powtórzyło, co zeszłego dnia. [Samoloty] Masowo obrzuciły ułotkami tereny Modlina i Nowego Dworu. Długo krążyły nad Modlinem i Nowym Dworem. Prawie do samego południa przez nasze działka przeciwlotnicze nie były ostrzelane, może dlatego, że chodziły na dużej wysokości. W południe był spokój, samoloty odeszły.

Po południu zaczęły się pokazywać eskadry

samolotów niemieckich nad Modlinem i Nowym Dworem. Wkrótce było słychać silne detonacje bomb lotniczych. Po detonacjach w Nowym Dworze ukazały się ogromne kłęby dymu. Żołnierze twierdzili, że się palą magazyny żywnościowe. Bombowce niemieckie odleciały. Nad Modlinem i Nowym Dworem panował spokój od lotnictwa, pozostał tylko ogień nękających dział ciężkiej artylerii[i] [strzelających] w kierunku Zakroczymia.

Na naszym odcinku dalej zachował się spokój. Po naloce powiedział do mnie porucznik:

- Pójdźmy za szosę sprawdzić obsługę, czy się nie porozchodzili.

Wyszliśmy obydwu z porucznikiem z fortu, przeszliśmy przez szosę i przez las. Stałem na skraju lasu obok cekaemu. Obsługa solidnie czuwała przy cekaemie. Porucznik odszedł na małe wzniesienie. Wyciągnął lornetkę z futerału i zaczął przez lornetkę szukać nieprzyjaciela. Ja stojąłem niedaleko porucznika pod drzewem. Porucznik m[n]ie zawołał do siebie i powiedział:

- Zobaczcie przez lornetkę, jak się posuwają Niemcy w naszym kierunku.

Układ[ł]em się obok porucznika. Porucznik dał m[n]ie lornetkę i [w]skazał ręką kierunek. Wkrótce zauważyłem Niemców na drodze, jak się posuwali od drzewa do drzewa. Zapaliłem [kilka] papierosów z porucznikiem i odeszliśmy z pagórka, na którym zauważyłem niemieckich szperaczy.

Przechodziliśmy obok naszego cekaemu. Zobaczyłem nas karabinowy, wycofał się do tyłu i zameldował, że od wioski posuwają się Niemcy. Porucznik dał karabinowemu lornetkę, żeby się dobrze przyjrzał i powiedział:

- Chłopcy, twardo i otwarcie przywitać szwabów. Jak dostaniecie rozkaz „strzelać” przez rozkaz, [to] nie wolno strzelać. Aż plutonowy wam da rozkaz!

Karabinowy oddał lornetkę i obydwu poszliśmy do fortu. Porucznik usiadł na skrzynce od zapalników, a ja poszedłem do kaprała Mordwy, [bo] chciałem jemu pokazać zbliżających się Niemców. Przedarłem się przez gęsty zagajnik na drugą stronę fortu, gdzie się znajdował kapral Mordwa ze swoją drużyną. Serdecznie się przywitalim. Pierwszy się odezwiał Mordwa:

- Co tam, Stefanie, słychać nowego? Pewno to samo, co i u nas. Zbliżają się do nas szwabki.

- Ja ci, Stasiu, chciałem powiedzieć to samo, widziałem ich przez lornetkę. Pewno dzisiaj w nocy z nimi potańcujemy. O jedno chciałem się ciebie zapytać. Jak się nazywa ten nasz dowódca? To strasznie dobry chłop, tak się z wojskiem obchodzi, jak ojciec ze swoimi dziećmi.

Mordwa odpowiedział:

- Ja nie wiem, bo wszyscy oficerzy operują innymi nazwiskami, a nie tak, jak się nazywają.

Po krótkiej rozmowie musiałem się rozejść, ja podałem rękę Mordwie i powiedziałem[, że] będziemy nad sobą jakoś czuwać. Mordwa powiedział:

- Zaczekaj, Stefanie, dam ci swoje papierosy.

Ja się trochę zatrzymałem. Mordwa dał m[n]ie cztery paczki papierosów i się rozszedł. Ja wróciłem do fortu. Mordwa został na stanowisku. W formie spotkałem

Grabo[w]skiego, zapalili papierosów. Porucznik z kapitanem siedzieli w drugim końcu fortu i coś rozmawiali półgłosem. Ja opowiedziałem Grabo[w]skiemu o zbliżających się Niemcach. Grabo[w]ski powiedział:

- Pewno w nocy to się z nimy zabawiem

- Tak, Franek, to będzie krwawa noc, Niemcy uderzą całą siłą, bo się po cichu do nas zbliżają. Nie strzelają do nas z dział, na pewno chcą nas zaskoczyć śpiących, ale jem się nie uda tak skok. Cała nasza obrona wie, że oni się zbliżają po cichu.

Słońce prawie już zaszło. Ja wyrzłem z fortu. Nasze chłopaki niosą obiad. Wróciłem z powrotem, zameldowałem porucznikowi, że kuchnia przyjechała z obiadem. Wziłem z Grabo[w]skiem menażki i poszliśmy po obiad. Po zjedzonem obiedzie prędko się ściemniło.

Około godziny dziesiątej Niemcy podeszli pod samą pier[w]szą linię naszej piechoty. Porucznik wydał rozkaz do ataku na białą broń. Pierwsza linia się poderwała i druga [też], [słysząc było] jeden krzyk – „Ura!”. Cicha noc się przemieniła w jedno bekowisko, strzały, krzyki, jstne piekło.

Porucznik i kapitan Barano[w]ski i nas paru strzelców jako obrona swoich dowódców posuwalim się parę metrów w tyle. Niemcy się prędko wycofywali do tyłu, przyświecały im białe rakiety przez Niemców wystrzelane. Nasze wojska odparły do tyłu, a sami się wrucili do swoich okopów. Na pobojuwisku zostały trupy niemieckich żołnierzy. Nasi żołnierze swoich zabrali rannych do tyłu. Niemcy po nieudanym natarciu zaczęli strzelać z artylerii. Pociski nas przenosiły i rwały się pod Wolą Bożą.

Po godzinie ostrzeliwaniu na nowo przystąpili do ataku. Atak został odparty przez naszych żołnierzy z początku przez broń maszynową i ręczną, a później znów wystąpili nasi na białą broń. Niemcy, jak posłyszeli słowa „Ura!”, zaczęli się wycofywać, ale nasi żołnierze wyskoczyli parę metrów do przodu i się cofnęli do swoich okopów, tylko cekaemy i erkaemy do reszty miały z nimy robotę. Powoli strzał ucichł z naszych cekaemów, a Niemcy zaczęli strzelać z artylerii [i] po naszych tyłach. Na przedpolu nie strzelali, bo na przedpolu się znajdowali niemieckie trupy i ranni.

Niemcy trochę odpoczęli i przede dniem na nowo uderzyli do szturm, i zaczęło się jstne piekło. Odezwała się nasza artyleria, niszcząc Niemców na naszym przedpolu. Zaczęły strzelać nasze cekaemy – przeważnie pier[w]szy pluton znad Wisły – bo były wydalone przed pierwszą linią, miały dobre pole ostrzału przed czołami oddziałów własnych. Dowodził plutonem porucznik z rezerwy.

Po skarpie Wisły wdarła się drużyna niemiecka. Porucznik zauważył jakiś szmer, wziął paru żołnierzy z sobą i się zaczął w krzewinie przy skarpie, a nad skarą czuwali amunicyjni i paru ze strzeleckiej kompanii, a m[n]ie wysłał do kapitana [z poleceniem], żeby kapitan wysłał jakąś drużynę do pomocy.

Ja skoczyłem biegiem do bunkra, gdzie się znajdował nasz dowódca i kapitan, i natychmiast powstała drużyna z drugiej linii, ja z nimy na przedzie. Wszyscy się posuwali po cichu i ostrożnie, żeby nie wpaść do Wisły. Prawie dochodziłem do porucznika – wtedy się rozegrała walka. Porucznik nie mógł

wytrzymać dalej, złapał karabin od strzelca i przebił pierwszego Niemca. I wszyscy za nim ruszyli do przodu, paru Niemców zważyło się do Wisły, reszta zaczęła uciekać do tyłu. Porucznik nas zatrzymał, uciekające Niemce zostali obrzuceni granatami znad skarpy.

Po zwycięstwie niemieckiego plutonu zaczęło się rozwidniać, coraz to widniej nadchodził dzień. Przed nami jakieś sto pięćdziesiąt metrów znad Wisły zaczął czekać niemiecki cekaem. Chłopaki na ochotnika chcieli zniszczyć niemiecki cekaem, ale porucznik powiedział:

- Lepiej odpocznijcie, rozwidni się lepiej, to mu dadzą radę nasze cekaemy.

I tak się stało. Porucznik znalazł niemiecki cekaem. Obydwa nasze cekaemy puściły parę krótkich serii[i], poprawiła nasza artyleria i cekaem niemiecki zaniemówił. M[n]ie zaczęło coś kusić, żeby zobaczyć zakłutych Niemców i poszedłem na miejsce, gdzie Niemcy zostali zakłuci przez nas. Jakem spojrział na pier[w]szego, był to jakiś oficer niemiecki. Trzymał się rękami krzewiny, język wywieszony na brodę, oczy na wierzku jak dwie cybule, obok niego ka[ł]uża zgęszczonej krwi. Podeszedłem – dalej leżało czterech Niemców zakłutych przez naszych żołnierzy. Dalej było widać leżących Niemców.

[Jeszcze] Dalej już nie posłem, [a] zacząłem zbierać karabiny od zabitych Niemców. Jeden z Niemców leżał twarzą w wodzie. Ja go kopnąłem nogą i powiedziałem:

- Nażerę się, szwabie, polskiej wody.

Zebrałem karabiny od niemieckich trupów. Oficerowi zabrałem rewolwer i zacząłem się wycofywać do tyłu – do pier[w]szej linii miałem jakieś pięćdziesiąt metrów.

Nagle w skarę Wisły uderzył pocisk artyleryjski – przede mną jakieś pięć metrów, posypał się piasek i odłamki pocisku do wody. Ja nie czekałem dłużej, tylko ponad skarą biegiem zacząłem uciekać do swoich. Powiedziałem sobie pod nosem[, że] szwaby nie wypatrzyli. Przysiałem pod skarą, [bo] chciałem poprawić swoją zdobycz.

W tem czasie rąbnęły dwa pociski we Wisłę. Ja się lepiej przytuliłem do skarpy, obejrzałem się do tyłu [i] zobaczyłem samoloty lecące prawie nad samą wodą w kierunku do m[n]ie, [więc] ja się położyłem w zielsko i leżałem nieruchomo. Samoloty się szybko zbliżyły, jeden samolot przeleciał przy samej skarpie i m[n]ie nie zauważył. Ja nie czekałem dłużej, zarzuciłem zdobycz na obydwie ramiona i biegiem ruszyłem do schronu, gdzie się znajdował porucznik i kapitan.

Nareszcie doleciałem do bunkra, karabiny położyłem na ziemi, a sam weszłem do bunkra. Porucznik do m[n]ie powiedział:

- Jak się wam udała walka z Niemcami?

Ja powiedziałem[, że] dobrze.

- Z naszych wszyscy zostali zdrowi, a po Niemcach przyniosłem karabiny i rewolwer po zakłutem oficerze niemieckim, co go przebił pan porucznik.

Wyjąłem rewolwer z futerału i oddałem porucznikowi. Porucznik z kapitanem oglądali rewolwer, a ja wciągnąłem do bunkra karabiny z bagnetami. Dwa karabiny były polskiego wyrobu. Porucznik powiedział:

- A teraz opowiedzcie dokładnie cały przebieg tej walki.

Ja zacząłem opowiadać. Siedziało [tam] dwóch gońców kapitana Barano[w]skiego i jeden

telefonista[, którzy] pilnie słuchali każdego słowa.

Po krwawej nocy nastąpił dzień. Niemcy bez litości bili z dział w naszym kierunku, a nasza artyleria im odpowiadała ogniem. Niemcy przestali strzelać, a artyleria ucichła, wypuścili natomiast swoje lotnictwo – chcieli nas zmieszać z paskiem, Jak gdzie zobaczyli pojedynczego żołnierza, to lotnicy niemieccy rzucali na niego bombę albo [Niemiec] ciał z broni pokładowej. Odeszło lotnictwo, zaczęła uparcie znów strzelać niemiecka artyleria, nasza im odpowiadała ogniem. Pociski się mijały w powietrzu, tylko było słyszeć gwizd mijających się pocisków i huki po tej i po tamtej stronie. Śmierć bezlitośnie kosiła ludzi młodych oderwanych od swojej rodziny, od żon i dzieci. Niemcy za krwawą noc chcieli się zemścić na naszym odcinku, to do samego wieczoru nie przerywali ataków [prowadzonych] przez lotnictwo i artylerję. Polacy odpowiadali swoją artylerją na niemiecki ogień artyleryjski, ale niemieckie lotnictwo niszczyło naszą twierdzę bezkarnie. Zdarzało się, że nasza artylerja od czasu do czasu strąciła nieprzyjacielski samolot, ale swojej obrony lotniczej w Modlinie nie było. Przez cały dzień nikt się nie ruszył ze swego stanowiska, jak chciał zostać przy życiu.

Nadszedł wieczór i wszystko ucichło. Linie telefoniczne zostały poprzecinane. Telefoniści przystąpili do naprawy porwanych linii, a w naszym bunkrze został kapitan i telefonista, a porucznik i ja poszliśmy sprawdzić nasze cekaemy. Zaczęliśmy od Wisły, to skończyliśmy za szosą, gdzie się znajdował ostatni karabin. Nasze chłopaki byli wszyscy zdrowi, nie było rannych.

Z powrotem wróciłem z porucznikiem do fortu. Na forcie znajdował się obserwator naszej artylerji[i], [a] telefon był już czynny. Porucznik chciał się porozumieć z majorem telefonicznie, ale coś nie pasowało. W forcie spotkałem Grabo[w]skiego, spytałem się, czy Mordwa żyje. Grabo[w]ski odpowiedział:

- Żyje i cała drużyna w porządku.

W tem czasie odezwał się Porucznik:

- Pójdziemy do schronu, muszę się porozumieć z Majorem – i odeszliśmy.

W krótkim czasie stanęliśmy przy bunkrze. Jeszcze nie weszliśmy do bunkra, to już telefonista powiadomił porucznika, że do niego major dzwonił. Porucznik wszedł do schronu. Ja się zatrzymałem przy schronie. Niedługo to trwało. Porucznik wyszedł ze schronu i do m[n]ie powiedział:

- Zbierajcie swoje rzeczy, pójdziemy do Bożej Woli.

Ja pozbierałem, co moje było, i wziąłem swoje zdobycz – pięć karabinów – na ramiona i byłem gotowy do odmarszu. W krótkim czasie zostawiłem schron nad Wisłą, a w schronie pozostał kapitan Barano[w]ski telefonista i dwóch strzelców. Dochodziłem do Bożej Woli, [a] Niemcy otworzyli ogień artyleryjski. We wiosce zwanej Bożą Wolą zapalili pociskami budynki od szosy i [tak samo] w drugim końcu wioski. Porucznik do m[n]ie powiedział:

- Teraz Niemcy w nocy ostrzelają ten odcinek.

Przyszedłem nad szosą do Bożej Woli, upłatalim się w druty telefoniczne, porwane przez pociski, [ale] jakoś przeszliśmy do zagajnika, który się znajdował przy Bożej Woli.

Podeszlim parę metrów i spotkalim się z majorem. Major rozsyłał gońców, żeby odwody i tabory opuściły teren naprzeciw wioski za szosą ponad Wisłę. Wszystkie tabory i kuchnie szybko się wycofały z zagrożonego odcinka. Niemcy zaczęli strzelać z artylerji poza wieś Boże Woli, a najwięcej spadało pocisków w lesie dębowym za zagajnikami.

Zaczem się zaczęła kanonada na dobre, to Niemcy mieli już pusty odcinek do ostrzelania wyznaczony przez płonące budynki Bożej Woli. Wojsko nasze wycofało się w lewo i w prawo. Gońcy wrócili do majora i wszyscy wycofali się nad Wisłę. Wszyscy weszli do mieszkania, a m[n]ie porucznik kazał jść do pier[w]szego plutonu i powiedział:

- Jakby Niemcy atakowali na pier[w]szą linię, to nas powiadomcie.

- Tak jest, panie poruczniku – i odszedłem.

Niemcy bili z artylerji poza wieś, a najwięcej się rwało pocisków w lasu dębowym. A ja ponad skarpą biegiem leciałem do pier[w]szej linii, zostawiając za sobą detonacje pocisków zacząłem się posuwać wolniej. Podeszedłem jeszcze ze sto metrów, [a] niedaleko ode mnie rozerwał się pocisk. Usiadłem pod skarpą i czekałem na drugi, ale drugi się rozerwał z jakieś sto metrów w lewo. Powiedziałem sam do siebie, że] to ogień nękający, [że] Niemcy od czasu do czasu strzelają do pier[w]szej linii, a na nasze tyły biją szwaby ogniem zaporowym. Postanowiłem jść do przodu, bo] już niedaleko bunkier starannie wykopany przez niemieckich kolonistów. Tam został w nim kapitan.

Nie trwało długo i stanąłem przy bunkrze. Piekielny gwizd przelatujących pocisków i detonacje pocisków nie robiły na m[n]ie żadnego wrażenia. Powiedziałem hasło, odpowiedziano odzew i się zameldowałem kapitanowi. Kapitan powiedział:

- Dobrze, żeście przyszli, powiedzcie, czy znaleźliście majora.

- Tak, panie kapitanie, jakim szasli, to pan major nasze odwody wycofał z dębowego lasu nad Wisłę, a tam został pusty teren. Te przeklęte szwaby biją z artylerji na pusto, tam nikogo nie ma, a za szosą to chyba jaki zbłąkany pocisk się rozerwie.

Porozmawiałem z kapitanem. Na końcu powiedziałem kapitanowi, że muszę się zameldować u pana porucznika. Opuściłem przytulny bunkier i odszedłem do pier[w]szego plutonu cekaem. Niedługo [to] trwało, prawie parę minut, [aż] wszedłem do małej chałupki, gdzie się znajdowała obsługa na wypoczynku. Zobaczyłem porucznika siedzącego na taborku, prawie śpiącego. Zameldowałem się porucznikowi. Porucznik powiedział:

- Siadajcie – a sam dalej zaczął drzemać.

Ja się rozejrzałem po chałupie. Przy kuchni stał zydeł, gotował się duży garnek kartofli i drugi garnek prawie taki sam mięsa, na podłodze leżała gromadka żołnierzy z obsługi cekaem. Zapach z mięsa pobudzał we mnie szalony apetyt, bo byłem głodny. Ledwie usiadłem na ławie, a pocisk artyleryjski rozerwał się tuż przy chałupie, poprawił drugi trochę dalej. Mała chałupka zatrzęsa się od strachu, ale dostojąca na miejscu, tylko z jednego okna wyleciały szyby. Pociski dalej się rwały od nas niedaleko.

Porucznik wstał z taborka i powiedział:

- Przeklęte szwaby, nie dadzą nam choć trochę

się przespać.

Żyd, który stał przy kuchni, wyskoczył na podwórko. Powoli strzały się odsunęły od chałupy. Kucharz wrócił i dokończył gotowania. Zaczął się obiad.

W nocy koło dwunastej godziny nie pominęli i m[n]ie. Obsługa pier[w]szego plutonu żywiła się za własne pieniądze. Kupili jałowkę od gospodarza, zarznięli i mieli swoje mięso. Po północy Niemcy się zmęczyli i przestali strzelać ogniem zaporowym, przemienili na ogień nękający. Nasza artylerja w nocy nie strzelała do Niemców, na całym odcinku z naszej strony nie był wystrzelony ani jeden pocisk.

Przed samem dniem wszyscy wrócili na swoje stanowiska. Telefoniści powiązali telefony porwane przez niemiecką artylerję. Zaczął nadchodzić dzień drugi. Po naszej linii przebiegł rozkaz, żeby zachować się bojowo. Tej nocy nie dostarczono naszym żołnierzom żywności. Żołnierze wryci w ziemię leżeli każdy na swoim stanowisku. Do pierwszej linii dotarła wiadomość pocieszająca, że generał Barano[w]ski jedzie nam z pomocą, [że] dobrze Niemcom daje w skórę. Nasi żołnierze, pocieszeni na duchu, wszystko znosili cierpliwie.

Nadszedł dzień, słońce ukazało się na niebie. Niemcy przestali strzelać, zrobiło się cicho do jakiejś godziny szóstej. Po godzinie szóstej ukazały się niemieckie samoloty myśliwskie, zaczęły zrzucać ulotki i siać swoją zbrodniczą propagandę, obrzucili nas ulotkami i odeszły. Nasz odcinek wylądał tak, jakby nie było żadnej żywej duszy. Niemcy czekali prawie do południa, spodziewali się, że kto żywy został, to z wywieszoną chusteczką na karabinie do nich przyjdzie, ale tak się nie stało jak oni namawiali w swoich ulotkach.

Zaczęło się zbliżać południe. W tym czasie obydwu z porucznikiem znajdowaliśmy się nad Wisłą. Na przedpolu widać było kupy wystraszonych wron, jak żerowały na zabitych trupach. Ja się odezwałem:

- Panie poruczniku, i tych Niemców, com my zakłuli, to wrony przy nich kraczą.

Porucznik się zozośniał i powiedział:

- Dziś jch, a jutro może nas to spotka. Widzicie, tak wygląda wojna...

Naraz po niemieckiej stronie słysząc seryjne strzały i potężny gwizd przelatujących pocisków, Na obiad Niemcy nas przywitani huraganowym ogniem. Nasza artylerja Niemcom odpowiedziała. Pociski się miały w powietrzu. Znow się zaczęło istne piekło, pociski się rwały i po tej stronie, i po tej. Niemcy przestali wprawie strzelać, a nasza artylerja na odwet Niemcom posłała jeszcze parędziesiąt pocisków. [Niemcy w odwecie] wysłali swoje lotnictwo i tak trwało do samego wieczora.

Zaczął zapadać zmrok, było cicho i spokojnie. Przyjechały nasze kuchnie z obiadem. Wydano nam obiad i po pół bułki chleba. Nasi żołnierze zaspokoiili głód, każdy wrócił na swoje stanowisko, [a] kucharze wrócili do Bożej Woli. Noc się zaczynała spokojnie. Najwięcej mieli roboty telefoniści, bo stale musieli wiązać porozrywane telefony przez niemiecką artylerję.

Niedługo trwał spokój. Koło godziny dwunastej Niemcy otworzyli ogień z artylerji. Z początku strzelali ogniem nękającym, a później ogniem zaporowym. Nasza artylerja

nie strzelała do Niemców, a Niemcy prawie godzinę przez żadnej przerwy bili z dział, później przestali. Nasza artylerja odpowiedziała ogniem, Niemcom dała znak, że jeszcze żyje. Znow się zrobiło cicho i spokojnie.

Przed samem dniem Niemcy znow zaczęli strzelać ogniem nękającym. Niemcy nie strzelali już ogniem zaporowym prawie do godziny ósmej. Później wypuścili swoje lotnictwo z ulotkami. [Gdy] odeszły samoloty myśliwskie, znow zrobił się spokój, jak zwykle po każdym ulotkach.

Przed samem południem Niemcy przystąpili do ataku, znow się zrobiło istne piekło – ze strony niemieckiej lotnictwo, artylerja i natarcie niemieckiej piechoty na naszą obronę. Nasza artylerja zaczęła bić z dział ogniem celnym i zaporowym. Zaczęły strzelać nasze cekaemy, [a] nad Wisłą przy skarpie prawie nad samą strzegły dwa erkaemy. Niemcy [zostali] porażeni pociskami z artylerji i z cekaem, widząc dawnych trupów podziobanych przez wrony, przez oczu i policzków i bez ręki.

Zacięta walka trwała dwie godziny. Niemcy po dwugodzinnej walce zaczęli się wycofywać do tyłu, pozostawiając na przedpolu zabitych i rannych. Nasza artylerja pod pociskiem niemieckiego lotnictwa i artylerji dalej poganiała cofających się Niemców. Powoli zaczął cichnąć strzał i nastąpił spokój. Nie strzelali Niemcy, to i nasze działa umilkły. Na przedpolu po natarciu niemieckim słysząc było jęki niemieckich żołnierzy konających na polskiej ziemi.

Modlin się palił, Nowy Dwór [Mazowiecki] tak samo. Widać było kłęby dymu na Zakroczymiu i na Kazuniu⁴¹ trwały zażarte walki. Na naszym odcinku do wieczora powiedzieć trzeba, że panował spokój. Nasze sanitariusze pobierali rannych i zabitych żołnierzy, pochowali zabitych, którzy zginęli w obronie naszej kochanej Ojczyzny.

Powoli nadchodził wieczór. Ja poprosiłem porucznika, że chcę odwiedzić swoich znajomych, którzy się znajdują koło fortu – kaprała Mordwę i Grabo[w]skiego. Porucznik powiedział:

- Możecie iść.

Ja zasulutowałem i odszedłem. Za jakieś piętnaście minut znalazłem się przy forcie, przedar[ł]em się przez gęste zagajniki, gdzie się znajdował nasz cekaem.

Spotkalim się z Grabo[w]skim, przywitalim się serdecznie. Pier[w]sze moje słowa to się zapytałem Grabo[w]skiego, czy żyje Mordwa. Grabo[w]ski odpowiedział:

- Żyje, tylko z jego drużyny zgynął starszy strzelec.

Po krótkiej rozmowie poszlim do Mordwy. Weszlim do okopu i się spotkalim z Mordwą, uściskaliśmy się z Mordwą. Mordwa powiedział:

- Dobrze, że jeszcze wszyscy żyjemy.

Po krótkiej rozmowie pożegnałem swoich kolegów i odszedłem do pierwszego plutonu cekaem nad Wisłę. Tam się czułem najlepiej, przy poruczniku, który dowodził pier[w]szem plutonem cekaem. Był to człowiek nie osacowany, rozmowny, więcej spędzał czasu przy cekaemie niż w mieszkaniu.

⁴¹ Kazuń – wieś w gm. Czosnów, pow. nowodworski, woj. mazowieckie.

Ledwie zdążyłem się zameldować porucznikowi, [a] porucznik powiedział:

- Dobrze, żeście przyszli, zaraz pójdziemy sprawdzić wszystkie cekaemy, czy są obsługiwane w pełnym komplecie.

I znów odeszliśmy w ten sam kierunek. Po drodze porucznik m[n]ie się zapytał:

- Czy traficie do wszystkich cekaemów?

- Tak jest, panie poruczniku.

Dalej zacząłem rozmawiać półgłosem różne sprawy wojenne.

Wkrótce stanęliśmy przed wejściem do fortu. Porucznik wszedł do fortu do kapitana. Trochę porozmawiali z kapitanem i porucznik wyszedł. Powiedział do m[n]ie:

- Pójdziemy za szosę, tu wszystko w porządku. Przyszliśmy do szosy, [a] ja powiedziałem porucznikowi, że się tu znajdują dwa cekaemy, które ubezpieczają szosę: jeden karabin po prawej, a drugi po lewej stronie. Wkrótce odnaleźliśmy cekaemy – wszystko było w porządku, tylko mieli już niedużo amunicji. Poszliśmy do ostatnich karabinów, które się znajdowały za szosą. Przeszliśmy jakieś osiemset metrów, [a] ja uważnie się przyglądałem, żeby trafić. Noc nie była ciemna, przyswiecał księżyc, który zbliżał się ku zachodowi. Pokręciłem się trochę i spotkałem trzy sosny wyrastające z jednego pnia. Już byłem pewny, że [jestem] w tym miejscu. Parę kroków dałem i się zbliżyłem do porucznika, i z cicha powiedziałem:

- Tu, panie poruczniku.

Przeszliśmy przez gęsty zagajnik na dróżkę, która się ciągnęła pomiędzy lasem a otwartym terenem. Podeszliśmy parę metrów, spotkaliśmy tuż doł po bombie lotniczej, a w tem dole siedziało paru żołnierzy z obsługi cekaem. Pierwszy się spytał Porucznik:

- Z której jesteście drużyny?

Odpowiedzieli:

- Z szóstej cekaem.

- To dobrze, chłopcy, że was spotkali – powiedział Porucznik. – Może zawołacie plutonowego, który dowodzi waszym plutonem?

Jeden ze strzelców podniósł się i powiedział:

- Ja wiem, gdzie jest plutonowy, to go zawołam.

W tem czasie usłyszeliśmy wystrzały artyleryjskie, pociski zagwizdały nad nami i się rozerwały za lasem. Niemcy znów zaczęli strzelać. Wkrótce przyszedł plutonowy i się zameldował. Porucznik się zapytał plutonowego:

- Czy u was jest wszystko w porządku?

Plutonowy odpowiedział:

- Nie ze wszystkim. Mało amunicji.

- A z obsługą? Jak jest dużo zabitych?

Odpowiedział plutonowy:

- Dwóch rannych: jednego odesłano do szpitala, a drugim rannym to ja jestem. Dostałem w rękę, ale nie tak groźna rana, nie warto jść do szpitala.

Porozmawiali obydwaj z porucznikiem i odeszliśmy obydwaj z porucznikiem nad Wisłę. Niemcy dalej strzelali z artylerii ogniem nękającym. Po drodze porucznik wstąpił do fortu do kapitana i trochę się zatrzymał. Ja usiadłem, oparłem się o ścianę, [bo] zaczął m[n]ie mordować śpik. Musiałem wstać na nogi i chodzić, żeby nie usnąć.

Niedługo porucznik m[n]ie zawołał i odeszliśmy do pierwszego plutonu nad Wisłę. Po drodze się rozerwało parę pocisków.

Niektóre to blisko nas się rwały, ale nie były szkodliwe dla nas. Jakoś przeszedłem zdrowo.

Weszliśmy do małej chałupki, [gdzie] kucharz prawie dogotował obiad. Porucznik wyjął z kieszeni notes, napisał meldunek i wydarł kartkę, i dał m[n]ie, i powiedział:

- Oddacie to porucznikowi, dowódcy naszej kompanii.

Ja wziąłem meldunek i powiedziałem:

- Tak jest, panie poruczniku – i chciałem odejść. Porucznik powiedział:

- Poczekajcie, trochę zjemy, wtenczas pójdziemy.

Kucharz trochę się pośpieszył z obiadem.

Po zjedzeniu obiedzie ruszyłem w drogę doszedłem do Wisły i ponad skarpą do bunkra. Wszedłem do środka, zastałem w bunkrze dwóch telefonistów i starego dziadka. Zapytałem się telefonisty, gdzie się znajduje dowódca cekaem albo major Jasiński. Telefonista powiedział, że pomiędzy szosą a Wisłą, nad zatoką w jednym z bunkrów. Ja telefonistę podziękowałem i poszedłem po nadwiśle do zatoki. Nie sprawiało [to] m[n]ie trudności, prędko znalazłem swojego wódcę. Wszedłem do mieszkania. W mieszkaniu było paru gońców, porucznik i major. Zameldowałem się i podałem dowódcy meldunek. Porucznik i major przeczytali meldunek i kazali m[n]ie odpocząć.

Ja się rozejrzałem po mieszkaniu. Na ścianie leżało paru żołnierzy śpiących. W mieszkaniu było prawie ciemno, pod stołem paliła się świeczka. Trochę posiedziałem na ławie, zaczął m[n]ie morzyć sen, [więc] zdjąłem tornister z pleców położyłem sobie pod głowę i zaraz zasnąłem snem kamiennym. Tak jak bywa na wojnie, mało się śpi, głodno i chłodno, i żołnierz szuka swojej śmierci.

Po przebudzeniu nad ranem wszyscy powstałem ze słomy i zostałem zaskoczony. Patrząc, a tu z Jednorozca Janek Berg, który pełnił służbę czynną w Modlinie. Długo się z nim nie widzieliśmy, jakem odchodził z koszar w kierunku Mławy, to se teraz uścisneliśmy się serdecznie i on się m[n]ie zapytał:

- A jak tam nasze chłopaki, żyją?

Ja mu odpowiedziałem:

- Żyją. Może upłynęła godzina, jak się z nimi widziałem.

Zaczęło się uwidniać. Major wydał rozkaz, że wszyscy musimy opuścić mieszkanie. Major wyszedł pierwszy, a za nim porucznik. Za nimi poszli wszyscy. Przeszliśmy przez szosę do zagajnika. W zagajniku znajdowały się okopy z pierwszej wojny światowej. Major z porucznikiem weszli do dołu starej ziemlanki⁴², a wszyscy gońcy zabrali się do roboty, nabierali gałęzi z zielonej choiny, położyli parę grubszych drągów i zrobili schron. M[n]ie porucznik kazał się zameldować u szefa kompanii.

M[n]ie nie sprawiała żadnej trudności odnaleźć szefa lub jakiego dowódcę, bo poznałem teren od pierwszej linii aż do toru kolejowego. Szefa naszej kompanii odnalazłem przy kuchni, która się znajdowała przy szosy Nowy Dwór Warszawa w dole pod wielką sokorą⁴³. Szefowi dałem małą kartkę, a sam czekałem dalszego rozkazu. Szef przeczytał meldunek i powiedział:

- Dobrze, żeście przyszli, wy wiecie, gdzie się znajdują nasze karabiny, to zaprowadźcie kuchnię z obiadem. Patrzcie, tam w tem zagajniku, gdzie się kończy dębowy las, jest kuchnia].

Ja wysłuchałem rozkazu szefa i powiedziałem:

- Tak jest.

Szef jeszcze powiedział:

- Żebyście jakoś dojechali szczęśliwie, bo oni już są bardzo głodni.

Ja odszedłem od szefa przez las dębowy i się zameldowałem sierżantowi. Był to poranek, godzina może niecała szósta. Niemcy strzelali ogniem nękającym. Wóznica założył konie do polowej kuchni i ruszyliśmy z miejsca. Wjechaliśmy na dróżkę przy zagajniku, podjechaliśmy może sto metrów, [a] Niemcy do nas puszczali parę pocisków. Pociski się rozerwały niedaleko naszej kuchni. Konie skręciły w zagajnik. Sierżant i kucharz, i wóznica skoczyli z kuchni i wpadli do dołu wyrwanego przez bombę lotniczą. Ja najbliższym miałem skoczyć do dołka wykopanego przez naszych telefonistów. Skoczyłem do dołka, a nad dołkiem rósł dębek grubości jak ręka. Niemcy znów dali ognia do nas, pociski się rozrywały między nami i na lewo od nas jeden pocisk rozerwał się prawie przy m[n]ie. Zadea⁴⁴ ścięła dębek prawie nad samą ziemią, dębek odciął się dwa metry i się przewrócił całkiem czubem, zakrył swój gałęziasty mój stanowisko. Niemcy jeszcze nie przestali [strzelać] na ten [teren,] jeszcze puszczali parę seryjnych pocisków, ale już nas przenosiły, [bo pociski] padały za nami jakieś pięćdziesiąt metrów. Konie się zaplątały w zagajniku, stały spokojnie i my wszyscy zostaliśmy bez ran.

Zeszliśmy się wszyscy do dołu i urządziliśmy, że trzeba obiad donosić w bańkach na plecach albo dowozić nocą, jak do tej pory. Wyszedł z dołu wóznica, odpłatał konie i wjechał dalej w zagajnik. Ja pierwszy się zgłosiłem, że pójde z bakiem do pierwszej linii. Przy kuchni było dwa takie naczynia że można było wiać dwadzieścia litrów na plecy tak jak tornister, a na wozach taborowych były mniejsze. Kucharze mieli te większe do wody. Nalał kucharz zupy do tego baniaka. Ja zdjąłem tornister z pleców, dałem go na wóz, a sam z obiadem ruszyłem w drogę. Przeleciałem przez zagajnik do wioski Bożej Woli. Tam się znajdowało trzech wóźniców od cekaemów. Postanowiłem najpierw im wydać obiad, to będzie trochę lżej. Wydałem dwom wóźnikom, poszedłem do trzeciego, nalałem w menażkę zupy. Wóznica usiadł [!] pod drzewem na kamieniu i zaczął jeść. Ja usiadłem obok niego.

W ten czasie kula z karabinu przeszła przez sztachetę pomiędzy naszymi głowami i zagwizdała. Obejrzałem się do tyłu na drugą stronę drogi. Stoją tam chlew szczytem do drogi, przy szczycie chlewa było widać trochę dymu. Ja powiedziałem:

- Stawiaj menażkę, my go znajdziemy, to polskie Niemcy to robią widać. I tu jch nie zabrakło.

Obydwaj skoczyliśmy przez drogę do chlewa. Z nami przyleciał kapral ze strzelcem. Zaczęliśmy krzyczeć:

- Zrzuć karabin i złaś z chlewa, [bo] jak nie zejdziesz, to zaraz podpalam chlew, to wtedy

⁴² Ziemlanka – ziemianka.

⁴³ Sokora – topola czarna.

⁴⁴ Słowo niejasne.

zejdziesz.

Polski Niemiec szczytową dziurą zrzucił karabin i sam zaczął zlażyć po drabinie. Miał jeszcze dwa szczeble do dołu[, gdy] jeden [z nas] mu strzelił do głowy, a my na ziemie zsadzili go na naszych bagnietach. Na koniec zawył wilcem głosem i rąbnął na ziemię.

Zostawiłem szwabskie ciało psom na pożarcie, a sami odeszlim. Ja wziąłem baniak na plecy, wyszedłem za stodołę, popatrzyłem, którędy my będzie najdogodniej jść. Nareszcie ruszyłem z miejsca biegiem. Niemcy jakoś m[n]ie nie zauważyli. Strzelali ogniem nękającym, a specjalnie do m[n]ie nie strzelali. Doleciałem do lasu i przez szosę do fortu, gdzie się znajdował Grabo[w]ski. Rozdałem obiad, Grabo[w]skiemu opowiedziałem swoją przygodę i odszedłem nad Wisłę, bo tam przy skarpie nad samą wodą było najbezpieczniej przejść. Niedługo wróciłem do kuchni. Kucharz nalał pełną menażkę zupy fasolowej i kawał mięsa, no i ja zjadłem obiad.

Po obiedzie znów kucharz nalał w baniak zupy, a sierżant przyprowadził drugiego ochotnika, który chętnie się zgadzał ze mną jść z obiadem. Wkrótce byłem gotowi obydwaj i odeszlim. Ja mu powiedziałem:

- Będziesz szedł ze mną jakieś sto metrów.

Przeszlim do Wisły i ponad skarpą ruszyliśmy biegiem. Nareszcie dosz[li]m szczęśliwie do pierwszego plutonu. Ja oddałem swój baniak Żydkowi i powiedziałem:

- Podziel wszystkichm a m[n]ie daj zapalić.

Żydzia poskakał nad baniakiem i dał m[n]ie dziesięć papierosów, a mój kolega poszedł nad szosę do karabinów, które ubezpiecz[za]ły szosę. Ja zostałem na miejscu.

Niedługo do mieszkania wszedł porucznik. Jeszcze [był] w progu, to już się pyta, co nowego. Porozmawiałem trochę z porucznikiem, a Żydek podał porucznikowi obiad. Niedługo baniak został pusty. Ja czekałem na swojego kolegę, bo jeszcze raz musieliśmy przynieść po baniaku. Zeszło z pół godziny, zaczęłam wrócił kolega. Przez ten czas rozmawiałem z porucznikiem.

Nareszcie doczekałem się na swego kumpla. Obydwaj ruszyliśmy z powrotem do kuchni. W drodze nas zaatakowały niemieckie myśliwce, całe szczęście, że już blisko zagajniku, to się wymklił spod ostrzału. Niedługo byłem przy kuchni, znów pobralim tą samą porcję i znów okrężną drogą do Wisły, bo tam najbezpieczniej można było przejść w jasny dzień. Doszlim jakoś szczęśliwie do pierwszej linii. Obydwaj byłem zadowoleni, że nakarmili głodnych naszych braci Polaków i żołnierzy wiernych naszej Ojczyźnie.

Po rozrządaniu obiadu czas było odejść od pierwszej linii, do naszego dowództwa. Wziąłem baniaki na plecy, karabiny do ręki i odeszlim. Niemcy strzelali ogniem nękającym, na prawo w lesie było słyhać od czasu do czasu rwiące się pociski. Prześlim nad Wisłę pojedynczo skokami. Staneliśmy nad samą wodą za skarpą. Ja powiedziałem:

- Jak chcesz, kolego, to poczekaj na m[n]ie, ja pójdę do porucznika, może ma jakiś meldunek, to go zaraz wezmę.

Podbiegłem trochę przy skarpie, wylazłem na skarpę i skokami zacząłem biec do małej chałupki, gdzie mogłem zastać porucznika, dowódcę pierwszego plutonu. Dobiegłem do chatki. Jakoś m[n]ie Niemcy nie zauważyli. W małej chatce nie było porucznika, [bo] był

na stanowisku przy plutonie za stodołą. Podczołgałem się do stanowiska i zastałem przy cekaemie porucznika. Zapytałem się porucznika, czy da jakiś meldunek do dowódcy kompanii. Porucznik powiedział:

- Tak, zaraz wam wypiszę.

Wydarł kartkę z notesu i powiedział:

- Zabrakło nam amunicji i chleba, i przydało by się coś zapalić.

Za parę sekund porucznik dał mi meldunek. Ja wyciągnąłem z kieszeni ostatnią paczkę papierosów, rozdzieliłem na pół i dałem porucznikowi. Z początku trochę się wzdrygał, a potem wziął i podziękował. Ja schowałem meldunek do kieszeni i znów skokami udałem się nad Wisłę.

Nad Wisłą spotkałem swojego kumpla, założyłem baniak na plecy i ruszyliśmy z powrotem. Przyszlim nad zatokę, podeszlim parę metrów [i] posłyszeliśmy potężny warkot samolotów. Oglądaliśmy się do tyłu, a tu nad zatoką widać eskadry samolotów niemieckich. Mój kolega układował się w trawie nad zatoką, a ja podbiegłem do drugiej wierzby. Wierzba miała wypróchniały cały środek, że z powodzeniem człowiek mógł wejść do środka. Zrzuciłem baniak z pleców, a sam wcisnąłem się do środka wierzby. Samoloty wzniosły się trochę wyżej, [a] jeden z samolotów rzucił bombę tuż przy mnie w zatokę. Wierzba ze mną podskoczyła do góry i nazad usiadła, nie pozwoliła jej się przewrócić grube korzenie. Ja poczułem straszny huk w głowie i pisk w uszach. Pomału oprzytomniałem. Wkoło wierzby leżało dużo gałęzi. Samoloty dalej bombardowały nie koszar, tylko nasze tyły, huki się trochę od nas oddaliły, ale ja dalej siedziałem w tej bezpiecznej kryjówce. Samoloty dalej się kręciły nad nami, a najczęściej nad szosą i rzucały bomby. Zaczęło m[n]ie coś dokuczać, żeby zobaczyć, co się stało z moim kumplem. Ale samoloty odeszły dalej, przestały krążyć nad nami, [więc] wyszedłem ze starej wierzby i postanowiłem zobaczyć, co się z nim stało.

Podszedłem do drugiej wierzby, patrząc: mój kumpel podnosi się z trawy i dał skoka do m[n]ie, cały mokry, aż woda z niego leci, pochłapany na twarzy błotem i całe umundurowanie przemieniło się z zielonego koloru na czarny. Ja pierwszy się zapytałem, czy nie jest ranny, odpowiedział on, że nie.

- Tylko jak się rozerwała ta bomba, a woda z błotem zalała m[n]ie całego, długo nie mogłem złapać powietrza, ale jakoś się wygrzebałem z tego błota. Ale dobrze, że jeszcze żyjemy.

Samoloty odeszły, mój kolega zaczął się obmywać w czystej wodzie. A ja poszedłem dalej, podszedłem może niecałe sto metrów. Nad zatoką leżały porozrzucone fotografie. Spojrzałem w prawo – leży trzech zabitych naszych żołnierzy pomiędzy sokorami. Podszedłem dalej i zobaczyłem parę lejów po nalożeniu. Z kryjówki wyszło dwóch naszych żołnierzy. Ja podszedłem do nich i się zapytałem:

- Jak chłopaki, nie jesteście ranni?

Oni odpowiedzieli:

- Nie, ale ledwieśmy wyleźli z tej kryjówki, musimy się odkopywać szpadelkami, bomba nam zasypała piaskiem wejście.

Zaczęli wytrząsać piasek zza kołnierzy i z kieszeni. Ja popatrzyłem na schron i powiedziałem:

- Mielicie szczęście. A tam leży trzech zabitych.

A jeden się odezwał:

- Razem szlim z nimy, my obydwaj weszlim do tej dziury, a oni odlecieli dalej. Nas tylko uratowała ta dziura, ten mały schronik.

Pożegnałem się z nimy i odszedłem dalej. Nad zatoką spotkałem spłoszone ranne konie, niektóre miały nieduże rany, a niektóre to brak było je dobić, żeby się niemęczyły. Popatrzyłem na te zwierzęta i powiedziałem sobie pod nosem:

- Jak wojna, to wszystko cierpi: człowiek, dobytki... – i odeszłem do szosy.

Po drodze spotkałem doły niedawno wyrwane przez niemieckie bomby zrzucone z samolotów. Biegiem przebiegałem przez szosę do lasu dębowego za szosą. Niemieckie samoloty nie zrzuciły ani jednej bomby. Nareszcie doszłem do kuchni, oddałem baniak, wziąłem tornister i odszedłem do szefa.

Zameldowałem szefowi, że obiad wszyscy dostali, ale się dopominają chleba i papierosów. Szef się lekko uśmieł:

- Jutro to może będzie chleb.

Odszedłem od Szefa i poszedłem zobaczyć się z Janem Bergem. On był gońcem majora Jasińskiego. Niedaleko miałem jść do niego, może ze sto pięćdziesiąt metrów. Oni się znajdowali w zagajniku.

Niemcy strzelali z artylerii, od czasu do czasu rozrywały się pociski to bliżej, to dalej. Strzelali ogniem nękającym. Niestraszne już były dla mnie pociski armatne, bo już się przyzwyczaiłem do nich. Odszedłem od szefa i od dęba skokami i do schronu, gdzie się znajdowała drużyna gońców bataljonu.

W schronie Berga nie było. Postanowiłem jść do majora do zagajnika[, bo] on musi tam być. Zaszedłem do tej ziemlanki i zastałem Berga. Ledwie przyleciał z meldunkiem od pierwszej linii, pot spływał mu po policzkach, ciężko oddychał. Ja się zapytałem:

- Jak tam, Jasiu, nasze chłopaki? Widziałeś się z nimi?

- Widziałem się z Grabo[w]skiem, powiedział, że Mordwa ranny leży w forcie. Czekają nasi ranni wieczora, bo teraz to ich trudno przewieźć. Niemcy skierowali ogień artyleryjski na pierwszą linię, a jak m[n]ie zobaczyli na terenie pomiędzy lasem a Bożą Wolą, to bili do m[n]ie przez przerwy, ale jakoś szczęśliwie doleciałem do wioski.

Jak usłyszałem te słowa, to nie mogłem sobie dobrać miejsca. Żeby miał skrzydła, to bym poleciał do fortu do swego kolegi. W tym czasie major z porucznikiem przeczytali meldunek i powiedział porucznik do m[n]ie:

- Dobrze, że jesteście, Wilga, to pójdzicie do naszego ordynansa za szosę i go powiadomcie, żeby przyprowadził trzy konie, żeby na zmrok tu były.

Ja powiedziałem:

- Tak jest, panie poruczniku – i odszedłem przez zagajnik skokami przez Zarośle.

W końcu doleciałem do chlewa, gdzie się znajdowały konie. W chlewie nie było nikogo, tylko same konie. Widać było, że niedawno dostały siana, bo jeszcze wszystkiego nie pożarły. Poklepałem swoje siwe kobytki i zacząłem szukać ordynansów. Rozejrzałem się dokoła po skromnym podwórku. Wszedłem do mieszkania – nie było żywej duszy. Przebiegałem biegiem za stodołę i nareszcie zobaczyłem pod krzakiem schron. Zająrzałem

do schronu i znalazłem ordynansów. Trochę z nimi porozmawiałem, nareszcie zameldowałem, żeby na zmrok jeden z nich zameldował się z trzema koniami.

Było to już kawał po południu, w kierunku Warszawy słychać było silne bombardowanie, na Kazuniu toczył się silny bój, na naszym odcinku strzelała artyleria w wymianę, nasza odpowiadała artyleria niemieckiej na odwet. M[n]ie coś zaczęło gnębić, żeby jść do fortu do Mordwy, ale się trochę obawiałem, [bo] miałem zameldować majorowi i naszemu dowódcy, że ordynans przyprowadzi konie. Nareszcie odeszłem od schronu i znów biegiem od krzaka do krzaka.

Wkrótce się zameldowałem majorowi, że rozkaz wykonałem. Trochę posiedziałem, a później poszedłem do schronu przez nas zbudowanego. W schronie się znajdowało około piętnastu żołnierzy. Byli to gońcy naszego bataljonu i sanitariusze. Berg trochę drzemał, ja popatrzyłem trochę na nich [i] zobaczyłem w ich oczach jakieś zadowolenie, twarze uśmiechnięte. Jeden z sanitariuszy, kapral, powiedział do m[n]ie:

- Wiecie, że Rosjanie idą nam z pomocą?

Ja odpowiedziałem, że nie wiem. Chciałem dowiedzieć, czy naprawdę tak jest. Wyskoczyłem z tego schronu i biegiem do szefa. Szef powtórzył to samo. Spojrzałem na szosę. Przy szosy pod sokorą był wykopany dół i wypychali żołnierze kuchnię. Powiedział do m[n]ie szef:

- Mamy jeszcze cztery kuchnie, jedna będzie na miejscu, a trzy będą dowozić do pierwszej linii. - Dodał do tego - Żeby było co gotować... Spodziewam się, że w nocy przywiozą z Nowego Dworu prowiant i chleb, to jutro się zameldujecie, to parę bochenków doniesiecie.

- Tak jest, panie szefie, bo najgorzej głodują nasi cekaemiści.

W tym czasie zagwizdał pocisk w powietrzu i się rozerwał blisko nas. Szef wszedł do swojej kryjówki, a ja stanąłem za dębem. Zaraz poprawił drugi i trzeci [pocisk]. Ja skokami wycofałem się do tyłu do schronu. Niedługo [to] trwało i przyjechał ordynans na koniach. Uwiązał konie u dębka, a sam poszedł zameldować się u majora. Ja jemu wskazałem, gdzie się znajduje major. W krótkim czasie wrócił z powrotem do koni i usiadł w starym okopie. Był to chłopak zza Buga, prawosławny.

Jeszcze słońce nie zaszło, miało do zachodu może z pół metra, gdy zaczęły się kręcić konie i się uplatały, a on chciał je odplatać. Wyszedł z okopu i nie wiadomo, skąd trafiła go kula z ręcznego karabina w samą głowę. W zagajniku było słychać huk z karabinu. Polecieli na pomoc sanitariusze, dolecieli do niego, to już nie żył. Ja powiedziałem:

- To robią koloniści niemieccy.

Ja odplatałem konie i poszedłem zameldować majorowi, co się stało z ordynansem. Major się dużo nie namyślał, tylko powiedział:

- To wy pojedziecie z nami.

M[n]ie się zrobiło trochę nie w smak, bo miałem zamiar zobaczyć się z Mordwą.

Powoli zaczęło się ściemniać. Przyszedł major i dowódca cekaemów. Ja majorowi przytrzymałem strzemiona. Porucznik sam wsiadł na konia. Ja na końcu wsiadłem na konia i całą trójką ruszyliśmy do fortu do pierwszej linii. Jechaliśmy rowem nad szosą.

Wkrótce stanęliśmy przy forcie. Major

i porucznik pozsiadali z koni. Ja się zapytałem majora, czy mogą odwiedzić kaprala Mordwę. Major powiedział:

- Uwiążcie konie i możecie wejść do fortu.

Major i dowódca kompanii cekaem weszli do fortu. Wkrótce wyszli z kapitanem Barano[w]skim i odeszli w kierunku szosy. Ja uwiązałem konie u sosny i wszedłem do fortu. Słychać było jęk rannych żołnierzy. W forcie było ciemno. Obrońcy naszej Ojczyzny leżeli w kącie fortu, przy nich kręcili się sanitariusze, oczekując wozu, żeby odstawić rannych do twierdzy.

Jeden z sanitariuszów błysnął lampką elektryczną, dopiero ja oprzytomniałem, że przyszedłem odwiedzić swojego kolegę z cywila i kolegę, polskiego żołnierza, który ze swoją drużyną o głodzie przez wody wytrwale bronił już tylko skrawka naszej Ojczyzny. Wszyscy dobrze wiedzieli, że już tylko się broni Warszawa i Modlin. Ta myśl prędko przebiegła przez mój organizm. W końcu zapytałem się sanitariusza, gdzie jest kapral Mordwa. W tym czasie usłyszałem głosy Mordwy:

- Chodź, Stefanie, do m[n]ie. Poznałem cię po głosie. Chyba cię przyprowadziła moja tęsknota za tobą. Dobrze, żeś przyszedł.

Sanitariusz błysnął lampką elektryczną i zobaczyłem na ziemi leżącego Mordwę. Podeszedłem do niego i serdecznie się przywitałem. Ja pier[w]szy się zapytałem:

- Gdzieś dostał, Stasiu, od tych przeklętych szwabów?

Mordwa, zaciskając zęby od bólu, powiedział:

- W łopatkę. Mam straszny ból w prawej ręce i w łopatkę, i straszna gorączka.

W tym czasie zajęchały wozy taborowe i stanęły przy forcie. Stasiu widział, że niedużo mamy czasu do dalszej rozmowy. Powiedział do mnie te słowa:

- Stefanie, jak będ[ze]dziesz miał możliwość wrócić do domu, to pozdrów ode mnie moją żonę i opowiedz jej wszystko, co zaszło, bo ja to nie wiem, co ze mną się stanie i jaki m[n]ie spotka los.

Sanitariusze zaczęli wynosić z fortu rannych żołnierzy. M[n]ie się zrobiło przykro, że nie mogę porozmawiać dłużej z Mordwą, musiałem się pożegnać. Mordwa podał lewą rękę i powiedział:

- Jaką mogłem oddać Ojczyźnie przysługę, taką oddałem aż do przelewu krwi własnej. Musiałem zostawić swoją drużynę na polu walki, a sam jestem bezradny. Ale ty, Stefanie, jesteś z bronią w ręku, zemścij się za m[n]ie na tych przeklętych szwabach.

W tym czasie stanęli sanitariusze z nosilkami nad rannym kapralem Mordwą. Włożyliśmy razem z sanitariuszami jego na nosze na odjazd do szpitala. Pożegnałem się jeszcze raz i odjechały wozy do Modlina. Niemcy strzelali z artylerii ogniem nękającym, od czasu do czasu się rozerwał pocisk na naszym terenie. M[n]ie ogarnął jakiś żal po rozstaniu z Mordwą.

Wkrótce wrócili major z kapitanem i porucznikiem. Wsiadłem na konie i ruszyliśmy do Bożej Woli. Konie zostawiłem w chlewie ordynansowi. Ordynans zaczął m[n]ie się wypytывать, dlaczego nie przyjechał jego kolega. Ja jemu opowiedziałem o śmierci, jaka go spotkała. W tym czasie porucznik m[n]ie zawołał, żebym z nim poszedł, i odeszli, zostawiając samego ordynansa.

Po krótkim czasie weszliśmy do jakiegoś mieszkania niedaleko od szosy. W mieszkaniu było paru żołnierzy, którzy drzemał. To byli gońcy naszego bataljonu. Major z porucznikiem weszli do pokoju i się położyli na łóżka, chcieli trochę się przespać.

Wkrótce minęła noc, zaczęło się rozwidniać. Ja się przebudziłem, patrzę, a obok m[n]ie o ścianę oparty śpi Berg. Obudziłem go i zacząłem mu opowiadać, że się widział z Mordwą. Po krótkiej rozmowie przypomniało mi się, że dzisiaj mają przywieść chleb z Nowego Dworu. Wstałem na nogi i odszedłem do szefa kompanii.

Zaszedłem do schronu, gdzie mogłem zastać szefa. W bunkrze szefa nie było, tylko zastałem plutonowego. Zapytałem się jego, czy już chleb przywieźli z Nowego Dworu. Plutonowy odpowiedział, że nie ma jeszcze szefa, nie wrucił jeszcze z Nowego Dworu i kucharze nie gotują, bo nie ma żadnego prowiantu.

W tym czasie obok naszego schronu rozległ się trzask pocisku artyleryjskiego, za nim drugi trochę dalej i zaczęła się kanonada, gwizd pocisków w powietrzu zaczął się zwiększać. Pociski się rwały najwięcej koło schronu, gdzie się znajdowała ludność cywilna. Na dużym schronie znajdowały się dwa działka przeciwlotnicze. Plutonowy powiedział:

- Szwabów nam na dzień dobry posłali parę pocisków, ale nasi artylerzyści na pewno im odpowiedzą taką samą porcją pocisków.

I tak się stało. Zaczęły się mijać pociski w powietrzu. Nasza artyleria odpowiedziała Niemcom na dzień dobry. Wkrótce się uciszyło, przestali Niemcy strzelać, nasza artyleria jeszcze im posłała parę pocisków i ucichło na dobre.

Ja zostawiłem plutonowego i sam odszedłem na kwaterę, gdzie się znajdował major i nasz dowódca. Przez szosę przeskoczyłem biegiem, stanąłem za krzakiem bzu. Usłyszałem granie orkiestry z początku nie wierzyłem własnym uszom. Za cały czas wojny usłyszałem orkiestrę. Zacząłem się wysłuchiwać, w którym kierunku grają. Z początku głos orkiestry przerywały huki rwiących się pocisków na Zakroczymie, Kazuniu i na Warszawie.

Postanowiłem odkryć to tajemnicze granie orkiestry. Zacząłem się posuwać naprzód skokami. Nareszcie dobiegłem do zatoki. Po wodzie doleciał do m[n]ie głos naturalnej naszej orkiestry. Za zatoką widać było zabudowanie gospodarcze, koło domu powiewały cztery chorągiewki białe czerwone i stamtąd dolatywał głos naszej orkiestry. Stałem pod wierzbą [i] zacząłem dalej się wsłuchiwać w granie naszej orkiestry. Orkiestra grała marsza kawalerii. Dopiero zrozumiałem, że musi tam kwaterować pułkownik albo generał, bo w czasie służby czynnej orkiestra grała tylko takim oficerom.

Nareszcie usiadłem pod wierzbą, westchnąłem głęboko i sobie półgłosem powiedziałem:

- Nie wiadomo, co się stanie, czy pójdziem do niewoli, czy usłyszę grającą orkiestrę „Jeszcze Polska nie zginęła”.

Zaczęły m[n]ie dochodzić różne myśli do głowy, a może za parę minut albo parę sekund padnie się trupem na tej ojczystej ziemi, od wieków przesiąkniętą krwią naszych braci, już teraz którzy oddali życie w obronie naszej Ojczyzny. Nasze pradziady tak samo oddawali

życie za Polskę, jak zaszła potrzeba. Może nie jeden spoczywa na tej modlińskiej ziemi. Różne myśli zaczęły przychodzić do głowy.

Naraz posłyszałem warkot niemieckich samolotów. Wkrótce się ukazały niemieckie samoloty zwiadowcze i zaczęły siać ulotki propagandowe. Jeden z samolotów rzucił całą paczkę prawie nade mną, kartki się rozleciały jak stado gołębi białych, niedaleko m[n]ie spadła jch większa ilość. Ja czekałem nad wierzbą, aż samoloty odleciały. Nazbierałem jch całą kupę i skokami zacząłem się posuwać w kierunku domu, w którym się znajdowało dowództwo batalionu. Dobiegłem do stodoły. Wyjąłem jedną ulotkę z kieszeni i przeczytałem. Po przeczytaniu ulotki splunąłem na ziemię i powiedziałem:

- Już po raz drugi te szwabry rzucają te papiery. Ze złością wyjąłem z kieszeni wszystkie i wsadziłem te ulotki za deskę w słomę, a sam odszedłem do mieszkania.

W mieszkaniu majora i porucznika nie było tylko paru gońców. Od gońców dowiedziałem się, że poszli do centrali telefonicznej. Posiedziałem parę minut i odszedłem do szefa, dowiedzieć się, czy szef już przywiózł prowiant i chleb. Doszedłem do szosy. Za szosą rozerwał się jeden pocisk, ja wpadłem do schronu niedaleko od mieszkania, które stało przy samej szosie. Za nim rozerwało się jeszcze parę pocisków, a dalsze pociski rwały się dalej ode mnie.

Przeszedłem przez szosę do lasu dębowego. Niedługo znalazłem się przy schronie, gdzie spodziewałem się, że zastanę szefa, ale niestety w schronie szefa nie było, tylko plutonowy i dwóch strzelców. Zostałem pocieszony przez plutonowego, że prowiant i chleb niedługo będzie. Odszedłem od kryjówki, wlałem do okopu i czekałem niecierpliwie na szefa i na chleb. Samemu m[n]ie się chciało jeść, bo się żywiłem tylko tem, co się znalazło na polu, jak też w ogródku, i [jedzenie] chciałem donieść swojemu cekaemistom.

Długo czekałem na szefa, aż nareszcie się doczekałem. Już było popołudniu, [gdy] zobaczyłem szefa i dwóch żołnierzy z workami na plecach. Ucieszyłem się, że zaspokoją głód swoich cekaemistów. Żołnierze położyli worki z chlebem pod dębem i znów poszli w kierunku zatoki. Odezwał się szef do plutonowego i powiedział, że saperzy dostarczyli prowiant półtonami, prawie dojechali zatoką do samego brzegu. Szef powiedział z uśmiechem na twarzy:

- Ale jakoś szczęśliwie dojechalim, Niemcy nasz nie zauważyli.

Ja poprosiłem szefa, żeby wydał chleb, to zanieś do pierwszej linii cekaemistom. Szef powiedział:

- Poczekajcie parę minut, to przyniosą papierosy, to razem zanieście.

Odszedłem do swojego okopu. Było słychać seryjne strzały w kierunku fortu i pierwszej linii obronnej. Na nasze odwody padały pociski, Niemcy strzelali ogniem nekającym, od czasu do czasu rozerwał się pocisk artyleryjski. Ja w okopie czekałem nie parę minut, ale lepiej z godzinę, aż szef pobrał wszystek prowiant. Strzały się zmagaly i nasza artylerja zaczęła posyłać Niemcom pociski na podwieczorek.

Nareszcie zawałał m[n]ie szef i wydał chleb dla trzeciego plutonu cekaem. Do worka włożyłem chleb, postarałem się, kawał sznura

wziąłem, worek sznurem uszykowałem tak, żeby można było nieść jak tornister na plecach. Zaniós[em] tornister do schronu. Szef wydał papierosy dla dwóch drużyn i dla m[n]ie.

Byłem gotowy do drogi. Odezwał się do m[n]ie szef:

- Ale musicie najpierw sam trochę przejeść, żebyście mieli więcej siły.

Szef dał m[n]ie całą bułkę chleba i kawał słoniny, i dwie paczki papierosów, i powiedział:

- Szczęśliwy drogi – a sam zaczął wydawać prowiant kucharzom.

Ja założyłem worek z chlebem na plecy, przywiązałem sznurem, żeby m[n]ie się nie kręcił. Wziąłem karabin do reki i ruszyłem w drogę. Przebiegłem przez las dębowy do zagajnika i przez zagajnik do Bożej Woli. Stałem za stodołą, popatrzyłem na gołe przedpole. Namyslałem się, którędy będzie najbezpieczniej przebiec ten odkryty teren. Pociski się rwały na przedpolu, na Zakroczywie się gotowało jak w starym garnku, na Kazuniu to samo. Nie ustawał huk rwiących się pocisków. W kierunku Warszawy było słychać potężne bombardowanie.

Pomyślałem trochę i się zastanowiłem nad swoim żywotem. Od dziecka cierpiałem głód i chłód, ale Polskę mocno kochałem i nadszedł czas, żebym jej bronił do ostatniej kropli krwi. Dobrze wiedziałem, że już czeka na mnie śmierć lub niewola. Doszedłem do szosy i rowem biegiem skokami ruszyłem przez odkryty teren do fortu i do lasu. Przebiegłem ze trzysta metrów od Bożej Woli. Pierwsze pociski artyleryjskie przeleciały mi nad głową. Ja padłem na ziemię, a za mną rozerwały się pociski. Ja znów się poderwałem na nogi i biegiem naprzód. Posłyszałem zbierające serje wystrzałów z dział niemieckich, za parę sekund gwizd. Padłem w rowie na ziemię, pociski się rozerwały jakieś pięćdziesiąt metrów w prawo ode mnie. Zrozumiałem, że Niemcy specjalnie do m[n]ie strzelają. Przeskoczyłem przez szosę na drugą stronę i biegiem rowem, żeby jak najprędzej dolecieć do lasu. Znów zagwizdały pociski i rozerwały się po drugiej stronie szosy przede mną jakieś sto metrów. Prawie że do samego lasu byłem ostrzeliwany przez Niemców, ale jakoś doleciałem szczęśliwie do lasu.

W lesie ruszyłem w prawo, żeby się wydostać z linii ostrzału. Niemcy puścili jeszcze w moje ślady parę pocisków, ale m[n]ie już tam nie było. W lesie położyłem się pod jałowcem zgrzany i zdyszany, musiałem trochę odpocząć. W czasie odpoczynku planowałem, którądy wrócić z powrotem. Nad Wisłą było bezpiecznie, choć trochę dalej, ale jeszcze chciałem donieść chleb dla pierwszej drużyny i drugiej, i dla porucznika.

Po krótkim odpoczynku wstałem na nogi i gąszczami zacząłem się przybliżać do fortu. Niemcy zaczęli bić z artylerji, po pierwszej i po drugiej linii rozerwał się pocisk tuż przy m[n]ie, za nim drugi. Ja nie zostałem nawet drapnięty. Dałem parę skoków i się znalazłem w forcie.

Poczułem się bezpieczny, ale to niedługo trwało. Zobaczył m[n]ie kapitan Barano[w]ski z workiem na plecach. Sam siedział na skrzynce od zapalników, a sanitariusz bandażował nogę, bo był ranny. Jak krzyknie:

- Co macie w tym worku?

Ja odpowiedziałem, że chleb przyniosłem dla

drużyny trzeciej i czwartej. Kapitan powiedział:

- Co, do cholery! Chcecie zamorzyć swoich cekaemistów?

Ja kapitanowi powiedziałem:

- Panie kapitanie, ja na ochotnika przyniosłem chleb i papierosy.

Kapitan spojrział na m[n]ie i powiedział:

- Dobrze, ale kładźcie ten worek i papierosy, i zaraz pójdziecie z meldunkiem, a chleb będzie oddany cekaemistom.

Kapitan wyjął notes z kieszeni. Jedną nogę bandażował sanitariusz, a kapitan na drugiej pisał meldunek.

W tym czasie weszło do fortu dwóch cekaemistów: Grabo[w]ski i drugi z nim, nazwiska jego nie pamiętam. Z Grabo[w]skiem się przywitalim, bo już parę dni się nie widzieliśmy. W tym czasie Kapitan wydarł kartkę z notesu i dał m[n]ie i powiedział:

- Macie dwanaście minut czasu, musicie ją dostarczyć majorowi, bo Niemcy silnie nas atakują.

Ja powiedziałem:

- Tak jest, panie kapitanie.

Kapitan powiedział do Grabo[w]skiego:

- Zabierajcie swój prowiant, a wy biegiem jak najprędzej musicie donieść, bo już drugi meldunek posyłam przez was, bo telefony nieczynne.

Ja ruszyłem z miejsca biegiem przez las do szosy najbliższą drogą. Zdawało mi się, żeby jak najprędzej donieść meldunek, ale Niemcy strzelają i obserwują nasze ruchy. Najgorzej będzie przelecieć ten odcinek od tego lasu do Bożej Woli - rozmyślałem po drodze.

Nareszcie skończył się las. Wybiegłem na gołe pole, dodałem sobie lepszego gazu i dalej naprzód. Prawie przeleciałem pół drogi, [ale] posłyszałem gwizd zbliżających się pocisków. Padłem w rowie na ziemię, czekałem, aż się rozerwa. Pociski się rozerwały przede mną jakieś sto metrów.

Ja zacząłem dalej się posuwać biegiem naprzód, przeskoczyłem przez szosę na drugą stronę szosy i dalej naprzód. Powiedziałem sobie półgłosem, że szwabry m[n]ie zobaczą. Niedługo znów słychać gwizd pocisków – padłem w rowie, pociski się rozerwały po drugiej stronie szosy.

Niemcy m[n]ie prowadzili do samej Bożej Woli pod ostrzałem swojej artylerji, ale pomimo że się rwały pociski bliżej i dalej, doleciałem z meldunkiem zdrowo do wioski Bożej Woli. Wpadłem w gęsty zagajnik. Wkrótce stanąłem w dawnej ziemiance przed majorem Jasińskim, podałem jemu meldunek i z wielkim wysiłkiem powiedziałem:

- Panie majorze, kapitan Barano[w]ski potrzebuje od nas pomocy, jest ranny, a Niemcy silnie atakują na pier[wszą] linię.

W tym czasie przyjechał taksówką generał, wyskoczył z taksówki i wszedł. Major podał meldunek generałowi, a ja wyciągnąłem chusteczkę z kieszeni i zacząłem wycierać pot z twarzy i piany z za kołnierza. Ciężko oddychałem od zmęczenia, serce we m[n]ie biło jak kowalski młot. Generał przeczytał meldunek, spojrział na m[n]ie i się m[n]ie zapytał:

- To wyście przynieśli ten meldunek?

Ja się wyprężyłem jak struna u skrzypiec, na pytanie odpowiedziałem:

- Tak jest, panie generale.

paczkę z prowiantem, a ja ruszyłem biegiem do fortu. Po paru minutach stanąłem przy forcie, trochę się zastanowiłem, jak podać tę paczkę żywnościową. Po krótkim namyśle weszłem do fortu, zwróciłem się do swojego dowódcy i podałem prowiant. Porucznik m[n]ie podziękował i kazał mi usiąść, i odpocząć. Chleb schował do chlebaka i odszedł do generała.

Ja zacząłem trochę drzemać. Nie zeszło pół godziny, [jak] obudził m[n]ie porucznik i powiedział do m[n]ie:

- Teraz się zameldujecie u szefa i będziecie przy szefie dotąd, aż ja was zawołam do siebie. Ja wstałem ze skrzyni, przetrząłem oczy, zacząłem obciągać mundur i poprawiać pas. Porucznik podał mi rękę i powiedział:

- Do zobaczenia, niedługo ja was znów zawołam, a narazie pomagajcie szefowi.

Ja nie mogłem sobie tego wytłumaczyć, dlaczego mój dowódca tak dla m[n]ie był dobrym jak ojciec rodny, a teraz każe m[n]ie jść do szefa. Wyszłem z fortu i postanowiłem jść do pier[w]szego plutonu nad Wisłę. Generał i major, i kapitan, i porucznik, nasz dowódca, zostali w forcie. Ja się wycofałem do tyłu, żeby nie przechodzić przed kulami drugiej linii obronnej. Trudno było mi dojść do Wisły, bo Niemcy bili z artylerii[i] bezlitośnie, pociski rwały się na wszystkie strony wkoło m[n]ie, i bliżej, i dalej ode m[n]ie, ale jakoś szczęśliwie doleciałem do swojego celu. Pod skarpią odpocząłem trochę i sobie pomyślałem, że] przecież po drodze jest schron, w którym jest ta dziewczyna, com ją widział i uratowałem jej życie, i nasz woźnica, i dziadek. Muszę do nich zająrzeć, a nawet tam bezpiecznie[ej], jak pod tą skarpią. Pociski się rwą i we Wiśle poza skarpią prędzej tu mogą dostać jakiego odłamka, jak w tym schronie.

Zbliżyłem się do wejścia i półgłosem powiedziałem hasło. Woźnica odpowiedział odzew, ja podniosłem do góry gałgę krzewiny i wszedłem do schronu. Stary dziadek spał, lekko pochrapywał. Dziewczyna, której uratowałem życie, ciężko westchnęła i powiedziała:

- Dobrze, że pan do nas przyszedł, bo ja od samego wieczora myślałam, czy pan nas jeszcze odwiedzi. Różne myśli chodziły mi po głowie, ale najbardziej chodzi mi o pana, żeby pan przeżył tę wojnę.

Ja powiedziałem:

- Dziękuję pani za dobre serce, że Pani się o m[n]ie troszczy. – i zapytałem się woźnicy – Byłeś może u plutonu?

Woźnica odpowiedział, że nie był.

- No to ja zaraz pójdę.

W tym czasie ta dziewczyna przysunęła się do m[n]ie, głaszcząc m[n]ie swoją delikatną dłonią po policzku i nieogolonej brodzie. Z ust jej się wydobywał głos zmieszany z płaczem:

- Niech pan nie odchodzi od nas, takie straszne huki słysząc... Jeszcze pana zabiją!

Ja odpowiedziałem:

- Będę się starał częściej odwiedzić panią, jak mi czas pozwoli.

Ucisnąłem dłoń nieznanej dziewczynie i odszedłem do wyjścia. Ze schronu dobiegł m[n]ie do uszu szloch i westchnienie wydobyte z głębi serca dziewczyny, a potem niewyraźne słowa:

- Niech pan nie zapomina o nas.

Zaledwie dałem parę kroków, [a] na skarpię rozerwał się pocisk artyleryjski, piasek zasypał

mi oczy i upadłem na ziemię. Na leżąco wytarłem [oczy] i nie czułem żadnych obrażeń cielesnych. Podbiegłem parę metrów i wydostałem się na skarpię. Przybrałem kierunek na małą chatkę. Zaledwie dałem parę kroków i posłyszałem gwizd pocisków w moim kierunku, padłem na ziemię. Jeden pocisk przeleciał nade mną i się rozerwał jakieś dziesięć metrów ode m[n]ie. Reszta pocisków rozerwały się dalej ode m[n]ie. Ja się poderwałem na równe nogi i zacząłem biec dalej w kierunku małej chatki.

Nareszcie dobiegłem do zarośli. Zobaczyłem coś niezwykłego: kupa główni dopalała się [koło] małej szopy, przy której zaledwie parę metrów znajdowało się stanowisko naszego cekaemu. Zacząłem biec, wiele mi starczało sił, żeby się dowiedzieć jak najprędzej, co się stało z naszym cekaemem. Nareszcie stanąłem na progu małej chatki. Drzwi były otwarte. Stałem pod drzwiami do kuchni i zacząłem się ws[ł]uchywać. Przeze drzwi dolatał jakiś głos.

Roztworzyłem drzwi i wszedłem do kuchni, powiedziałem:

- Chłopaki, to ja. Co słysząc dobrego? Wszyscy żyjecie?

Pier[w]szy się odezwał Żydek:

- No, nie bardzo, ja dostałem w rękę, a tak to wszystko po staremu.

Zapytałem:

- Porucznik jest?

Obydwaj odpowiedzieli, że dopiero wyszedł, ale niedługo przyjdzie. Ja usiadłem przy nich na słomie i zaczęliśmy rozmawiać. Niemcy przestali strzelać ogniem huraganowym, przeczuli [się] na ogień nękający. W kierunku Warszawy było słychać potężne huki artyleryjskie, echo się zlewało w jeden huk.

W tym czasie roztworzyły się drzwi i wszedł porucznik. Ja się poderwałem na równe nogi i się zameldowałem. Porucznik powiedział:

- Nie wymagam tego. Chodźcie do drugiego mieszkania, to porozmawiamy.

Wyszliśmy obydwaj. Porucznik zamknął drzwi i powiedział:

- Siadajcie na łóżku, bo tu nie ma na czym usiąść.

Wkrótce obydwaj siedzieliśmy przy sobie i zaczęliśmy rozmawiać. Zapytał m[n]ie pier[w]szy:

- No i co nowego słysząc?

Ja powiedziałem:

- Licho, panie poruczniku, jestem stale w pochodzie, bo łącznikiem być na wojnie, to się stale szuka śmierci. I dziś przed wieczorem zostaliśmy ostrzelani przez polskich kolonistów niemieckiego pochodzenia. Pruli do nas z erkaemu. Tylko m[n]ie ochroniła miedza i bruzda, ale go złapał żywce.

Porucznik się zapytał:

- Coście z nim zrobili, jakście go złapali?

- Jak zwykle, chłopaki zdiurawili bagnetami jak stary przetak, wyglądał tak po śmierci. Jenaczej nie mogł z nim postąpić. Przecież my bylim obroną generała i majora, i swego dowódcy. Ja nie jedno spotkanie, a może i nie ostatnie, może jeszcze więcej jest takich ptaszków w cywilnym ubraniu, a z bronią w rękę.

Przerwał mi Porucznik i się zapytał:

- To generał jest tu przy pier[w]szej linii?

- Tak jest, panie poruczniku. Wszyscy zostali w forcie, a ja mam pomagać szefowi z dostawą żywności, ale i meldunki tak samo przenosić

jak zajdzie potrzeba.

Porucznik westchnął głęboko i m[n]ie się zapytał:

- Jesteście żonaty?

Ja odpowiedziałem, że nie, mam tylko jedną siostrę ze swojej rodziny, nie będzie komu zam[n]ie płakać, jak m[n]ie szwabcy zabiją. Odezwał się porucznik:

- A ja mam żonę i dzieci, i nie wiem, co się z nimi stało, bo nasze tereny są zajęte przez Niemców. Ale my się zdaje, że to długo nie potrwa ta nasza wojna. – porucznik schylił głowę, ręka zasłonił twarz i dalej nie mógł mówić ze mną. Jakiś ciężki kamień spadł mu na serce, [a] ja dalej dawałem pytania porucznikowi. Porucznik na pytania nie odpowiadał. Po paru minutach wstał z łóżka i zaczął chodzić po mieszkaniu. Ja zrozumiałem, że porucznik chce odsunąć od siebie wszystkie smutne i przykre myśli. Porucznik przeszedł przez mieszkanie kilka razy i zaczął dalej mówić:

- Długo nie możemy się opierać wrogowi, ale żebym mogli przetrwać choć cztery dni, to by o nas była jakaś hystoryja, jakieś [w]spomnienie. Niech by mogły się o nas dowiedzieć młodsze pokolenia i nasze dzieci.

Ja pilnie słuchałem słów porucznika. Porucznik mówił dalej:

- My, żołnierze, pójdziem do niewoli, ale wojna się nie skończy. A jak długo Polska będzie w niewoli, to niewiadomo.

Porucznik usiadł na łóżku i zapanowała cisza.

Dla m[n]ie nadchodził czas zameldować się u szefa. Przeprosiłem porucznika, wstałem z łóżka i, zbliżając się do drzwi, porucznik powiedział:

- Razem pójdziem.

Wyszliśmy na dwór i porucznik podał mi rękę i powiedział:

- Nie zapominajcie o nas.

Na podwórku dogasały głównie małej szopki przez niemieckie pociski zapalonej. Porucznik poszedł na stanowiska cekaemów, a ja jak zwykle okrężną drogą do Wisły i po nadwiśle do zatoki. Po drodze nie wstępowałem do schronu, gdzie była dziewczyna. Zależało mi na tym, żeby jak najprędzej się zameldować u szefa i wypełnić rozkaz swojego dowódcy. Nie zeszło dwadzieścia minut, [a] stanąłem przy kuchni. Zapytałem się kucharzy, gdzie pan szef. Kucharze odpowiedzieli, że poszedł do swojego schronu, chce trochę odpocząć. Dowiedziałem się od kucharzy, że szef odpoczywa, to i ja przeszedłem przez szosę, weszłem do mieszkania, gdzie byli pomocnicy szefa i taboryci. W mieszkaniu było pełno żołnierzy, jedni grali w karty, drudzy gotowali kartofle, jnni spali na słomie.

Trochę było luzu, to i ja rzuciłem się na słomę i twardo zasnąłem. Obudziłem się rano, jak zaczęło się rozwidniać. Na całym terenie było słychać ogień nękający. Szwabcy jeszcze spali, tylko w kierunku Warszawy było słychać silną kanonadę. Ja postanowiłem się zameldować u szefa.

Przeszedłem przez szosę do kuchni. Kuchnia znajdowała się pod dużą sokorą w dole wykopanym przez naszych żołnierzy. Przy kuchni spotkałem plutonowego i kucharzy. Zapytałem się plutonowego, gdzie jest szef. Plutonowy powiedział, że jest we swoim schronie. Dałem parę chodów i stanąłem przy schronie szefa.

Szef m[n]ie zapytał, co nowego słysząc. Ja odpowiedziałem, że zostałem przydzielony przez naszego dowódcę kompanii do pomocy panu szefowi. Szef m[n]ie zapytał:

- A gdzie teraz może się znajdować pan porucznik?

Ja odpowiedziałem, że zostawiłem ich w forcie. Generał i major, i nasz dowódca, i kapitan Barano[w]ski omawiali jakieś sprawy i wszystkim kazali wyjść z fortu. Ja wyszedłem ostatni. Szefa mocno to zainteresowało i zaczął m[n]ie dalej wypytywać, co się dzieje na pier[w]szej linii.

W tym czasie usłyszeć potężny gwizd zbliżających się pocisków artyleryjskich w kierunku naszej kuchni. Szef powiedział:

- Właście do m[n]ie szybko.

Ja przez mały otwór wcisnąłem się do małego schronu, a [wtedy] obok naszego schronu rozerwał się pocisk. Suchy piasek posypał się nanas, który się przedostał przez gałęzie mokrej choiny. Więcej pocisków rozerwało się dalej od nas. Szef powiedział do m[n]ie:

- Przekłete szwaby, już się wsypali i zaczynają do nas strzelać.

Niemcy znów zaczęli bić z dział huraganowym ogniem. Nasza artyleria im odpowiedziała. Pociski się miały w powietrzu, potężne huki i gwizd mijających pocisków przypominał jstne piekło. Niemcy bili z armat na wszystkich odcinkach naszej obrony, ale więcej Niemcy bili na nasze tyły. Na pier[w]szej linii tylko jakieś zbłąkane pociski się rozrywały, trwało to do godziny. Niemcy ucichły, a nasza artyleria jeszcze puściła parę pocisków jemu na śniadanie. Potem zrobiła się mała przerwa, cichusieńka, jakby mak rosiał. Niedługo się pojawiły niemieckie samoloty. Zaczęły bombardować zniszczony Nowy Dwór i Modlin, i nasze odwody, i tak trwało do samego południa.

Skończyło bombardować niemieckie lotnictwo, to znów Niemcy zaczęli bić z artylerii i tak na przemian. Nasz szef wydał rozkaz, że jak kto może, niech broni własnego życia. Ja się oddaliłem od szefa jakieś pięćdziesiąt metrów do małego okopu. Powoli zbliżało się południe. Niemcy nie przestawali strzelać, aż koło godziny pier[w]szej przzerwili na ogoń nekający.

Nasi kucharze zgotowali jakiś skromny obiad. W kierunku Warszawy nie było słysząc żadnych huków artyleryjskich i lotniczych. Do kuchni zbliżali się nasi żołnierze pojedynczo po obiad. Ja odpiąłem menażkę od tornistra, żeby pobrać obiad. Ledwie wylazłem z okopu, a przede mną szło dwóch naszych żołnierzy. W tym czasie usłyszałem trask nad moją głową, na ziemię posypały się odłamki rozerwanego pocisku. Żołnierze rozlecieli się, każdy w swoje stronę, pociski rwały się w powietrzu, Niemcy skierowali cały ogień na naszą kuchnię, ale nie było rannych. Z pobliskich żołnierzy wszyscy jakoś szczęśliwie przeżyli. Po paru minutach pobrałem skromny obiad.

Po zjedzeniu obiadu zameldowałem się u szefa. Na wstępie szef powiedział:

- Warszawa się zdała, teraz się wezmą szwaby za nas, ale żebyśmy mogli się jakoś bronić, choć ze dwa dni, to bym przeszli do historii. Ale trudno nam będzie przeżyć te dwa lub trzy dni, z żywnością licho, a teraz Niemcy skierują wszystkie swoje siły na Modlin.

Po krótkiej rozmowie z szefem poprosiłem

szefa, żeby m[n]ie kazał odwiedzić Grabo[w]skiego, kolegę mojego. Szefa nie zdziwiła moja prośba, zapytał się tylko:

- Czy jesteście z jednej wioski?

- Tak jest, panie szefie, jeszcze i kuzyni.

Szef powiedział:

- Dobrze, ale w samym mroku to zawieziem chleb, roznieście chleb i możecie zostać aż do samego rana.

Ledwie skończyłem tę rozmowę, znów się pojawiło niemieckie lotnictwo. Jeden z samolotów chciał rzucić bomby na naszą kuchnię, ale nie trafił. Bomby rozerwały się po drugiej stronie szosy i znów się zaczęło to samo, lotnictwo i artyleria na przemian, tylko teraz to więcej bili po pier[w]szej linii i po naszych odwodach, i trwało do samego wieczora. Nasza artyleria rzadko już odpowiadała wrogowi, prosto zabrakło amunicji.

Nareszcie nadszedł wieczór, lotnictwo przestało działać, tylko sama artyleria, która powoli zaczęła cichnąć. Szef powiedział do m[n]ie:

- Szwabom się uprzykrzyło do nas strzelać.

Na Warszawie było cicho.

- Naprawdę Warszawa się poddała – powiedział do m[n]ie szef. – Żebyśmy mogli się bronić choć trzy dni, to by było dobrze.

W tym czasie przyszedł plutonowy i się zapytał szefa, czy pojedziem z prowiantem do pier[w]szej linii. Szef powiedział:

- Tak, zaraz przyjedzie wóz taborowy, to załaduję na wóz i pojedziem. Trzeba powiedzieć kucharzom, że jak mają jaki obiad i kawę, to niech zakładają konie i pojedziem.

Uplętno parę minut, zajeżdżał wóz taborowy, włożyłem chleb i z szefem odjechalim. Plutonowy został przy kuchni.

Dojechalim do Bożej Woli przez zagajnik. Po lewej stronie dogasały budynki zapalone przez niemiecką artylerię. Od wioski Bożej Woli skręciliśmy w prawo od szosy, żeby nie robić łoskotu i być niewidocznym. Ja nie mogłem się doczekać, żeby jak najprędzej dojechać do lasu i zobaczyć się z Grabo[w]skiem i ze swoim dowódcą, i z tą dziewczyną, której uratowałem życie.

W krótkim czasie stanęliśmy na skraju lasu. Niemcy strzelali ogniem nekającym, od czasu do czasu się rozerwał pocisk artyleryjski, to bliżej nas, to dalej od wozu, ale zawsze śmierć groziła swoją chudą pięścią. Powiedział do m[n]ie szef:

- Pewno już ostatni prowiant przywieźlim, więcej nie ma skąd zafasować⁴⁵, magazyny spalone i koniec z żywnością.

Szef dał mi worek z chlebem dla trzeciego plutonu i powiedział do m[n]ie:

- Ale tylko po pół bułki, a papierosów nie ma.

Ja wziąłem worek z chlebem i ruszyłem od wozu. Najpierw zaniósłem chleb do trzeciego plutonu i powiedziałem:

- Chłopaki, niedługo będzie obiad. Kucharze się wybierali z obiadem. Tam szukajcie ich, gdzie i zawsze stawali.

Plutonowy podał mi stan z plutonu, ja wziąłem worek i na odchodne powiedziałem „Do widzenia, koledzy” i ruszyłem biegiem do szefa. Czułem jakiś niepokój, jakieś podniecenie, żeby jak najprędzej zobaczyć się

z Grabo[w]skiem. Miałem do wozu może dwieście metrów.

Nagle zobaczyłem błysk i huk rwiącego pocisku i runąłem na ziemi jak podcięte drzewo. W moich uszach jakiś gwizd i szum w głowie, zerwałem się na nogi, ale poczułem ból w prawym ramieniu. Karabinu na plecach nie miałem, [więc] schyliłem się do ziemi, podniosłem karabin, ale już przez kolby. Otrząsnąłem piasek z płaszcza. Trochę m[n]ie bolało prawe ramię, ale podniosłem z ziemi worek i ruszyłem biegiem do wozu. Najpierw pokazałem szefowi karabin ze strąconą kolbą, a później powiedziałem, co zaszło, ale mało miałem czasu na rozmowę z szefem. Wziąłem worek z chlebem i znów ruszyłem biegiem do fortu. Chciałem przelecieć jak najprędzej, żeby zobaczyć się z Grabo[w]skiem.

Nareszcie dobiegłem do fortu, [ale] nie zastałem z dowództwa nikogo, tylko paru cywilów i prostych szeregowców. Jedni drzemali, drudzy coś sobie rozmawiali półgłosem. Ja się zapytałem, czy kto jest z trzeciej kompanii cekaem z drugiego plutonu. Na przemian odezwało się dwóch. Najpierw się zapytałem o Grabo[ew]skiego Franciszka. Jeden się zerwał ze śpiących i powiedział, że poszedł podczas bombardowania napić się wody i nie wrócił do tej pory. M[n]ie coś zacisnęło za serce, że po paru minutach wydobyłem z piersi głos:

- Zawołajcie plutonowego, co pobierze prowiant, a i z obiadem kucharze przyjdą.

W krótkim czasie przyszedł plutonowy i pobrał ode m[n]ie prowiant i podał mi stan plutonu. Ja się jeszcze raz zapytałem o Grabo[w]skiego, plutonowy odpowiedział tak samo, że odszedł i nie wrócił do plutonu. [Powiedział:]

- Z naszego plutonu ubył dzisiaj[jsze]go dnia trzech, dwóch zabitych i jeden ranny, i czwarty Grabo[w]ski.

Ja wziąłem pusty worek pod pachę, podałem rękę i powiedziałem:

- Trzymaj się, chłopaki, to długo nie potrwa. Warszawa się zdała.

Po krótkiej rozmowie odszedłem do wozu [i] doszedłem do szefa jakoś szczęśliwie. Szef m[n]ie zapytał, czy spotkałem kogoś z dowódców. Ja odpowiedziałem, że nikogo nie spotkałem, ani porucznika, ani majora. Szef do m[n]ie powiedział:

- Broncie się, jak możecie, bo nie mamy już łączności telefonicznej, nie można się porozumieć, gdzie jest major. Niemcy porwali wszystkie kable, tylko jeszcze mamy sprawną obsługę telefoniczną naszej artylerii.

Szef wyjął prowiant dla pier[w]szego plutonu i dla porucznika, który dowodził pier[w]szym plutonem, a dla m[n]ie szef dał mi całą bułkę chleba i papierosów dwie paczki, i powiedział:

- Możecie się przespać, gdzie wam pasuje, tylko jutro rano się zameldujecie u m[n]ie.

Ja powiedziałem:

- Tak jest, panie szefie.

Wziąłem worek z chlebem i odszedłem od wozu. Po drodze nie dawałem za wygraną, że już go więcej nie zobaczę. Zaczęło m[n]ie coś gnębić, przechodziły mi różne myśli po głowie.

Wkrótce doszedłem do małej chatki, gdzie się znajdował pier[w]szy pluton trzeciej kompanii C.K.M. Nie szedłem na stanowisko, tylko prosto wszedłem do środka. Pier[w]sze moje słowo to powiedziałem:

⁴⁵ Zafasować: wydać lub pobrać coś z magazynu wojskowego.

- Chłopaki, prowijant.
Pier[wszy się odezwał Żydek:
- Nasz Wilga to o nas zawsze pamięta.
Paru żołnierzy spało na słomie, twardem snem zasnęli, że trudno jch było obudzić. Żydek jch za nogy pociągał, a oni spali. Nareszcie jakoś jch obudził. Żydek powiedział:
- Wstawajcie, mamy chleb.
Pocieszny był ten Żydek. Ja się zapytałem, gdzie porucznik, [a] Żydek odpowiedział, że śpi, ale m[n]ie kazał się obudzić jakby zaszła potrzeba. Żydek wszedł do drugiego mieszkania, poruszył porucznika i powiedział:
- Panie poruczniku, niech pan wstanie, bo mamy chleb.
Porucznik powiedział:
- To dobrze, zawołajcie tego strzelca.
Żydek wyszedł do małej kuchenki:
- Inno ty, Wilga, jdz dla pana porucznika.
Ja się roześmiałem i wszedłem do porucznika i podałem porucznikowi paczkę z prowiantem. Porucznik powiedział:
- Zamknijcie dzwi i siadajcie na łóżku.
Ja się wróciłem do dzwi i powiedziałem:
- Chłopaki, na skraju lasu jest kuchnia z obiadem – i zamknąłem dzwi, i usiadłem na łóżku obok porucznika. Porucznik przy m[n]ie rozpakował paczkę. W pac[z]ce była cała bułka chleba, jedna konserwa i dwie paczki papierosów „Grand”. Porucznik wyjął papierosy i oddał m[n]ie. W tym czasie powiedział półgłosem:
- Wiecie, że Warszawa się poddała?
- Tak, panie poruczniku, wiem o tem.
Podziękowałem porucznikowi za papierosy. Porucznik dalej mówił:
- Długo to i my się nie będziemy mogli się bronić, bo Niemcy uderzą na nas i nas zgnotą w tym Modlinie, użyją całej swojej siły albo nas wystawią na głodówkę.
Dalej rozmawiałem [i omawiałem] różne zajścia frontowe i cywilne. Nie wiem, jak długo trwała nasza rozmowa, bo sen był mocniejszy od nas. Najpierw zasnął porucznik, a później ja. Obudziłem się, to już przynieśli żołnierze obiad we wiadrach. Obudził się i porucznik. Żydek roztworzył dzwi i się zapytał, czy podać obiad. Porucznik powiedział:
- Nie jeden, tylko dwa.
Żydek przysunął po ciemku mały stolik i przyniósł dwie gliniane miski, i postawił na stoliku, a my obydwu namacaliśmy łyżki i zaczęliśmy jeść. Gdzieś niedaleko od małej chatki rozerwał się pocisk, za parę minut drugi troche dalej. Porucznik powiedział:
- To ogeń nękający, jakiś szwab skierował lufę w naszym kierunku.
Skończyli obiad. Była to grochówka dość smaczna, ale m[n]ie coś nie spokoilo, żeby zobaczyć, czy żyje ta dziewczyna i woźnica, i stary dziadek. Zameldowałem porucznikowi, że muszę już odejść do szefa. Porucznik podał mi rękę i powiedział:
- Nie zapomnijcie o nas, bo jakoś obydwu się związałam jakąś niezwykłą przyjaźnią.
Ja się spytałem porucznika, jaki [jest] stan plutonu. Porucznik powiedział[, że] jeden osiemnastu.
Ja wziąłem worek i odszedłem w kierunku Wisły. Po paru minutach znalazłem się nad Wisłą. Z wysokiej skarpy szedłem w dół, stanąłem nad samą wodą. Znałem dobrze tą drogę jak na własnym podwórku. Choć było ciemno, nie sprawiało mi żadnej trudności,

tylko jeden sen zamykał moje oczy, ciało pragnęło odpoczynku, ale zwojowałem tę chwilową senność i zacząłem jść dalej przy skarpie do bunkra, gdzie tam choć z godzinę się prześpie i zgubię to zmęczenie. Po paru minutach stanąłem przed bunkrem, zbliżyłem się do wejścia, zawołałem półgłosem:
- Swój jdzie. – uchyliłem krzewiny i na kolanach wszedłem do schronu. Drasnąłem zapalnik – zapaliła się i zobaczyłem, że wszyscy śpią. Stary dziadek i woźnica leżeli na słomie wyciągnięci i trochę chrapali. Dziewczyna leżała na łóżku skulona w ogniwo. Ja obudziłem woźnicę i powiedziałem półgłosem:
- Chleb pobierzesz w plutonie, a na skraju lasu jest kuchnia. Jdz pierw po obiad, weź i moją menażkę, to ci kucharze dadzą, tylko powiedz, dla kogo bierzesz[z].
Woźnica prentko się zerwał i poszedł do kuchni, a ja położyłem się w jego miejsce i zaraz zasnąłem.
Nie wiem, jak długo spałem. Jak m[n]ie obudził woźnica, to się paliła na kuchence świeca, okienko było zastąpione jakąś szmatą, [a] ja powiedziałem:
- Moją porcję to niech zjedzą dziadek i ta dziewczyna.
Przekręciłem się na drugi bok, a woźnica obudził starego dziadka i dziewczynę. Dziewczyna usiadła na łóżku, przetarła oczy i gwałtownie zapytała woźnicę:
- A tam, co za żołnierz?
Woźnica się trochę uśmiechnął i powiedział:
- Siedział pod skarpą obok naszego schronu i drzemał, i go zaprosiłem do schronu, i śpi sobie, tylko pochrapuje.
Dziewczyna nie dała za wygraną:
- Przecież o tem schronie nikt nie wiedział do tej pory, a pan sprowadza nieznajomych
Woźnica się roześmiał w głos. Dziewczyna zrozumiała, że to jakiś dochcip, wstała z łóżka i ukłękła przy m[n]ie na kolana, i spojrzała na moją twarz, i odkręciła się do woźnicy, i powiedziała:
- Ale pan m[n]ie okłamał! Przecież jest to ten pan, który m[n]ie uratował życie.
Ja udawałem śpiącego. Dziewczyna odkręciła się do woźnicy tyłem swojego ciała i usiadła przy m[n]ie, poczułem na twarzy jej delikatne dłonie, które mnie głaskały. Po chwili usłyszałem słowa wydobywające z jej piersi, pomieszane z westchnieniem. Powiedziała:
- Proszę, niech pan się obudzi.
Ja dalej udawałem śpiącego. Dziewczyna m[n]ie zakręciła za nos, ja spojrzałem na jej twarz i się uśmiechnąłem. Dziewczyna poklepała m[n]ie po policzkach delikatnymi dłońmi i zaczęła m[n]ie całować po twarzy. Ja sobie pomyślałem, nie tylko Adam w raju znalazł Ewę w krzakach, ale i na froncie można znaleźć Ewę. Przeprosiłem dziewczynę, że chcę usiąść.
Usiadłem na słomie i zapaliłem papierosa. Woźnica powiedział:
- Niech pani się poczęstuje wojskową grochówką.
Dziewczyna powiedziała:
- Proszę dać temu panu, on jest mocno przemęczony.
Ja wyjąłem z chlebaka całą bułkę chleba, przekroiłem na pół i powiedziałem:
- Proszę, niech pani weźmie ten chleb i się posilcie z tym dziadkiem.
Dziewczyna ucałowała chleb, przekroiła na

dwie połówki i podała jedną dziadkowi. Dziadek zrobił to samo i powiedział:
- To bardzo dziękuję – i głośno zapłakał, i nakońcu z płaczem powiedział – Już od paru tygodni nie jadło się chleba.
Dziewczyna całowała m[n]ie po twarzy, gorzkimi łzami ze wzruszenia oblewała moją zakurzoną twarz. Ja powiedziałem:
- Nie płaczcie, tylko się bierzcie za jedzenie.
Dziewczyna spojrzała m[nn]ie w oczy, jej cudowny uśmiech pomieszał się ze łzami. Wstała na nogi i wzięła glinianą miskę, i dwie łyżki z żelaznej kuchenki, i usiadła przy m[n]ie z miską na kolanach, i powiedziała:
- Pragnę z panem [w]spólnie zjeść ten żołnierski obiad.
Ja odpowiedziałem:
- Proszę, niech pani je, ja nie jestem głodny. Może minęło dwie godziny, to podjadłem do syta.
Dziewczyna powiedziała:
- Ależ proszę, niech pan uczyni to dla m[n]ie!
Na taką prośbę dziewczyny zmuszony byłem do [w]spólnego spożycia tak skromnego obiadu. Powiedziałem:
- Dobrze, usiądźmy na tem łóżku, to będzie trochę nam lepiej.
Usiedliśmy na łóżku i zaczęliśmy [w]spólnie jeść.
Po skończonym obiedzie dziewczyna usiadła przy m[n]ie i powiedziała:
- Chciałam poprosić pana[, aby powiedział,] jak ma na imię.
Ja chętnie odpowiedziałem:
- Nazywam się Wilga Stefan.
Dziewczyna odpowiedziała:
- Jak ślicznie, Stefan! A ja Stanisława Śliwińska, będziemy sobie mówili po jmieniu.
Zapytała m[n]ie:
- Czy Stefanie jesteś żonaty?
Ja odpowiedziałem:
- Nie, jestem kawalerem.
Złapała m[n]ie za szyję i pocałowała, i powiedziała:
- Ja ciebie, Stefanie, kocham od pier[wszej] chwili, jakieś przyprowadził m[n]ie do tego schronu. Twoje łagodne słowa utkwiły w moim sercu. Pragnęłam z tobą rozmawiać stale, o ciebie się niespokoiłam, nieraz pomyślałam, że może już nie usłyszę twojego głosu. Tęsknię za tobą.
Ja odpowiedziałem:
- Przecież ja jestem żołnierzem, niczem więcej. Teraz nie mogę sam sobą rządzić, muszę podlegać pod rozkazy naszych dowódców.
Dziewczyna spchmurniała i położyła głowę na moim ramieniu. Woźnica zgasił świecę i z dziadkiem się położył na słomie, powoli wszyscy zasnęli.
Dziewczyna ciężko westchnęła, przytuliła się do m[n]ie i powiedziała półgłosem:
- Prześpij się, Stefanie, bo jesteś zmęczony.
I tak oboje zasnęli. Nie wiem, jak długo spalim. Przebudził nas pocisk, który się rozerwał parę metrów od schronu. Potężny huk wdarł się przez otwór do schronu. Przebudziłem się. Byłim obsypani piaskiem oboje, Stacha drżała jak liść osikowy. Powoli Stacha się upokoiła, ja powiedziałem:
- Czas dla m[n]ie zameldować się u szefa.
Stacha prosiła, żebym jeszcze został z nią choć pięć minut. Ja powiedziałem:
- Trudno, żeby[m] był w cywilnym ubraniu, to bym wszystko uczynił dla ciebie, ale wiesz przecież, że trzeba pomagać, w czym można wszystkim ludziom i bronić może już ostatni

kawałem ziemi polskiej. A do tego ja nie mam schronu w pobliżu mojego szefa, to muszę go sobie robić, i to po ciemku. Stacha powiedziała:

- To jdz, Stefanie, i nie zapominaj o m[n]ie. Powiedziałem „Do widzenia” i odszedłem ze schronu.

Niemcy jak zwykle strzelali ogniem nekającym. Wkrótce przeszedłem do zatoki, no i dalej nad zatoką do szosy. Wreszcie stanąłem przy kuchni. Jeden z kucharzy nie spał, czekał na prowiant. Ja zapytałem jego, czy szef śpi, powiedział[, że] tak, śpi, a plutonowy pojechał wozem po prowiant do Nowego Dworu. Ja odszedłem od niego i zacząłem znosić gałęzie, nasypałem piasku. Przypomniało mi się, że mój tornister i karabin przez kolby został na wozie. Wozy taborowe stały niedaleko. Prędko odnalazłem wóz, wziąłem karabin i tornister, ale woźnica powiedział, że na trzecim wozie są karabiny, to mogę wymienić. I poszlim obydwu. Na wozie zastalim śpiącego woźnicę i sierżanta. Obudzili woźnicę, a on obudził sierżanta. Sierżant przetarł oczy i nam zamienił karabin.

Ledwie odeszlim od wozu, pojawiły się niemieckie pociski, [słysząc było] jeden gwizd przedzierających się pocisków przez zgęszczone powietrze. Przeleciały nad nami i dębem lasem. Niemcy chcieli ostrzelać kuchnię, która stała pod sokorą przy samej szosie, ale pociski się rozerwały jakieś sto pięćdziesiąt metrów dalej i w prawo od kuchni. Ja zdążyłem dolecieć do swojego schronu. Niemcy znów puścili parę pocisków w tym samym kierunku, ale wszystkie się rozerwały na martwym polu, gdzie nie było żywej duszy. Nasza artylerja odpowiedziała Niemcom na dzień dobry i narazie znów ucichło.

Zacząło się rozwidniać. Ja zameldowałem się szefowi i powiedziałem, że mój schron to jakieś dwadzieścia metrów od pana szefa, w nocy go zrobiłem. Szef powiedział:

- Dobrze, że blisko m[n]ie, to będziemy sobie jakoś radzić.

Spojrzałem na kuchnię. Wóz taborowy odjeżdżał na szosę, już złożono prowiant. Niedługo przyszedł plutonowy i podał kartkę szefowi. Szef nie mógł odczytać, bo było za ciemno. Zapytał plutonowego, co mu się dało skombinować. Plutonowy powiedział:

- Parę kilo słoniny, jęczmiennej kaszy i trochę grochu, i worek cukru, a chleba nie ma i możemy się nie spodziewać, że kiedyś dostaniemy.

Szef zawiązał sznurowadła u kamaszów i poszedł do kuchni. My z plutonowem obydwu poszlim do jego schronu. Plutonowy dał mi jedną konserwę i powiedział:

- Macie tę konserwę, bo pewno już będziemy głodować.

Prawie już się rozwidniło. Usłyszeliśmy seryjne huki dział niemieckich, za parę sekund przerażający gwizd pocisków. Zaczęło się znów piekło, pociski się rwały na wszystkie strony blisko nas i dalej od nas. Niemcy ostrzelali cały las dębowy, rozbili nasze wozy taborowe, nazabijali koni i paru naszych żołnierzy. Parę wozów uciekło za szosę. Nasza artylerja tylko słabo odpowiadała ogniem, bo zabrakło jej amunicji. Taki huraganowy ogień trwał około godziny. Później zrobiło się cicho parę minut.

Niedługo to trwało i znów pojawiły się

niemieckie samoloty zwiadowcze, chodziły wysoko nad nami. Jeden samolot przeleciał niżej nad szosą i nad naszą kuchnią. Szef powiedział:

- Chłopaki, złapał nas szwab na kliszę.

Niedługo zwiadowcze samoloty znikły, a pojawiły się bombowce i znów się zaczęło piekło na całym odcinku Bożej Woli. We wszystkich kierunkach było słychać potężne detonacje bomb lotniczych. Ledwie odleciały samoloty i parę minut zrobiło się cicho, to znów zaczęła strzelać artylerja i tak na przemian.

Nareszcie przed samem południem przyleciały niemieckie bombowce. Trzy eskady samolotów leciały nad szosy Nowy Dwór-Warszawa i bombardowały jedną i drugą stronę, gdzie się znajdowało jakie drzewo i tam bombę rzucili. Przeleciały nad nami na Nowy Dwór, a jeden się zawrócił i rzucił dwie bomby na naszą kuchnię.

Ja się znajdowałem w swoim schronie. Posypał się piasek i zobaczyłem błysk i tuman dymu. Ziemia się zatrzęsała i nic nie widać. Po paru sekundach zobaczyłem, że szefa schron został zasypany. Nie tracąc czasu wyjąłem z pokrowca łopatkę i zacząłem odkopywać mojego szefa. Przylecieli kucharze z dwoma łopatami. Parę minut i wyciągnęli szefa, zanieslim go pod dąb i wrócili z powrotem odkopać plutonowego. Po paru minutach wydobyli z piachu plutonowego, ale już nieżywego.

Ja się obejrzałem do tyłu – zobaczyłem swojego szefa siedzącego oparty o dąb. Poleciałem do niego i się zapytałem, czy jest ranny. Szef odpowiedział:

- Nie, tylko taka słabość m[n]ie ogarnęła.

Szef wyglądał jak po śmierci, bielusiński jak ściana, ale m[n]ie zapytał, czy Plutonowy żyje. Ja powiedziałem, że nie żyje. Szef powiedział półgłosem:

- Przyjmij, Panie, duszę sługy swojego.

W tym czasie przyszedł jeden z kucharzy, przyniósł w kubku ciepłej kawy i podał szefowi. Szef wypił kawę i wstał. Trochę mu pomogli i zaprowadzili do schronu za szosę. Dalej nad szefem opiekowały się kucharze. Ja do wieczora jeszcze przyjąłem ostatni prowiant, a szef pomału dochodził do zdrowia, ale Niemcy nie przestali bombardować, tylko do samego wieczora dalej na przemian lotnictwo i artylerja niemiecka. Zapalczymie mścili się nad skrawkiem ziemi modlińskiej i nad jej obrońcami.

Na wieczór lotnictwo przestało bombardować i zaczęła cichnąć powoli artylerja niemiecka. Niemcy przestali spokojnie nasz zakłócać, po prostu przestali strzelać ogniem zaporowym, a przerzucili się na ogień nekający. Nasz szef odzyskał całkowicie zdrowie i m[n]ie się zapytał, czy dużo przywieźli żywności. Ja powiedziałem[, że] bardzo mało i więcej nie dostaniemy. Szef przekazał żywność kucharzom, kucharze zaczęli gotować obiad, [a] ja zostałem przy Szefie.

Obydwu porozmawiałem może pół godziny. Na końcu do m[n]ie powiedział szef:

- Może pójdziecie do pierwszej linii i dowiecie się, gdzie jest nasz dowódca, i co tam słyszą dalej, czy dużo zginęło naszych po tem piekielnym dniu.

Ja powiedziałem:

- Tak jest, panie szefie.

Szef podał mi rękę i powiedział:

- Wracajcie zdrowo.

Ja natychmiast ruszyłem w drogę. Do zatoki i nad zatoką do Wisły zeszedłem ze skarpy nad samą wodę i nad wodą ruszyłem do pier[w]szego plutonu. W krótkim czasie stanąłem przy schronie, gdzie się znajdowała Stacha i woźnica, i stary dziadek. Zastanowiłem się, czy tam wejść. Posłuchałem trochę, [ale] w schronie panowała cisza. Postanowiłem wejść, odg[i]ąłem krzewiny i się wsunąłem przez mały otwór do środka. Zaświeciłem zapalniczkę. Wszyscy spali, dziadek i woźnica na słomie, a Stacha skulona spała na małym łódeczku. Zapaliłem drugą zapalniczkę, Stacha się przebudziła i usiadła, przecierając oczy i powiedziała z cicha:

- Stefanie, kiedy cię zobaczyłam jeszcze przy życiu?

Zerwała się na równe nogi i rzuciła do mojej szyi, oblatując m[n]ie za szyję, całowała m[n]ie po twarzy, a jej łzy spływały po mojej twarzy. Ja zacząłem jej prosić, żeby nie płakała, a ona odpowiedziała, że płacze z radości, że jeszcze mogła się ze mną spotkać. Przytuliłem do siebie słabe ciało młodej kobiety i powiedziałem[, że] niedługo to wszystko się skończy.

Stacha przysłała do przytomności i poprosiła m[n]ie, żebym usiadł na jej łódeczku. Na jej prośbę usiadł obydwu i z cicha zaczęli rozmawiać. Stacha się tuliła do mnie jak małe dziecko do rodnej matki. Niedługo trwała ta miła rozmowa, bo byłem zmuszony pożegnać tę miłą dziewczynę i odejść do pier[w]szego plutonu. Pożegnałem Stachę i na odchodne zacząłem śpiewać półgłosem:

- Bywaj, Stasiu, zdrowa, Ojczyzna m[n]ie woła, jęć za kraj walczyć wśród rodaków koła – i wyszedłem z bunkra. Stacha za mną głośno płakała, aż woźnica się przebudził. Ja uciszyłem Stachę i weszła z powrotem do schronu, a ja odszedłem i pomyślałem sobie:

- Nie miała baba kłopotu, nabyła prosię, tak i ja nabyłem kłopot, choć nie czas na to.

Ale niedługo [to] zeszło. Znalazłem się przy małej chatce, gdzie mogłem zastać porucznika, dowódcę 1 plutonu. Zacząłem podchodzić pocichu. Przy schodach stał jeden z obsługi na warcie. Pier[w]zy ja powiedziałem:

- Goniec trzećci cekaem.

Ten powiedział:

- Hasło?

Ja odpowiedziałem hasło, którego do dziś nie zapomnę. Hasło moje było „Jastrząb”, a odzew „Wrona”. Wartownik się ze mną przywitał. Ja pier[w]szy się zapytałem wartownika:

- Jak tam, chłopaki, wszyscy żyjecie?

Wartownik powiedział:

- Jeden ranny, ale nie mocno. Dostał odłamkiem w nogę, ale jest na stanowisku.

Ja dalej się zapytałem, czy nie wie, gdzie się może znajdować nasz dowódca. Wartownik się uśmiechnął i powiedział:

- Obywa porucznicy niedawno weszli do tej izby.

Po krótkiej rozmowie weszlim obydwu do mieszkania. W mieszkaniu było ciemno, a w małym pokoiku było słyszeć rozmowę. Wkrótce usłyszałem głos swojego dowódcy:

- Kto przyszedł?

Ja się zameldowałem. Porucznik powiedział:

- Chodźcie do nas.

Ja weszłem do pokoiku, a wartownik wyszedł z mieszkania. Porucznik pier[w]szy

się m[n]ie zapytał:

- Powiedźcie, jak wygląda sytuacja z żywnością.

Ja odpowiedziałem:

- Licho, panie poruczniku. Trochę nam przywieźli z Nowego Dworu cukru, kaszy i grochu, a chleba to jeszcze nie przywieźli, ale to już ostatni nasz prowiant, możemy się więcej nie spodziewać. Po dzisiejszym dniu wszystko sparaliżowane. Szefa ledwie uratowali, plutonowego zabili i w Nowym Dworze reszty naszych zapasów zostały zniszczone przez niemieckie lotnictwo.

A teraz pan szef prosił o wiadomość:

- Z pier[w]szej i z drugiej linii wielu mogło ponieść śmierć? – a przeważnie mu chodziło o panów poruczników. Porucznik powiedział:

- Na pier[w]szej linii nie było tak źle, Niemcy więcej atakowali tyły, jak pierwszą linię, ale to długo nie potrwa, z górą trzy dni do czterech dni i koniec naszej walki. Dłużej się bronić nie możemy.

Ja pilnie wysłuchałem, co porucznik powiedział i poprosiłem porucznika, czy mogę odejść do szefa. Porucznik powiedział:

- Możecie odejść.

Ale m[n]ie coś ciągnęło, żeby zajrzeć do fortu, co się stało w drugim plutonie. Po ciemku zasalutowałem, powiedziałem „Cześć”, odszedłem. Wyszłem z małego domku i ruszyłem w kierunku fortu. Niemcy strzelali ogniem nękającym, ale pociski się rwały na tyłach naszej obrony. Po paru minutach stanąłem przy wejściu do fortu. Wszedłem do fortu i się zapytałem, czy kto jest z cekałów. Tak – chłopaki poznali po głosie. Zgłosiło się trzech, [a] ja się zapytałem:

- Ale wszyscy jesteście zdrowi?

Jeden z nich odpowiedział:

- Jeden został ranny w rękę, tu się znajduje w forcie, ale nie tak mocno.

Odezwał się drugi:

- Jesteśmy głodni. Gdzie jakiś rósł burak albo brukiew, to już go zjedliśmy.

Ja powiedziałem:

- Ja zaraz wracam do kuchni. Jak tylko będzie chleb, to najpierw do was przyniosę.

Powiedziałem „Do widzenia, chłopaki” i odszedłem do szefa i kuchni. Postanowiłem jść za bliższą drogą, obok szosy rowem, wcale nie zważając na pociski niemieckiej artylerii [ti], kóre były skierowane najczęściej na szosę. Leciałem biegiem, żeby jak najprędzej dolecieć do wioski Bożej Woli. Pociski od czasu do czasu rwały się to bliżej m[n]ie, to dalej ode m[n]ie, to za mną.

Nareszcie dobiegłem do wioski. Obok szosy palił się budynek przez niemiecką artylerię zapalony. Ja postanowiłem ominąć ten pałac budynek, żeby m[n]ie Niemcy nie zauważyli. Podleciałem parę metrów i się znalazłem na podwórku. Dom był spalony, tylko stała część muru, komin był obalony. W tym czasie usłyszałem seryjne huki z dział niemieckich. Ledwie stanąłem za murem, [a] potężny gwizd pocisków usłyszałem tuż nad moją głową. Pociski się rozerwały jakieś trzydzieści metrów ode m[n]ie, z muru się posypała pecyna i parę kawałków cegły spadło obok m[n]ie. Ja sobie powiedziałem półgłosem [że] szwabę m[n]ie zauważyli i dałem dęba w lewo. Znow usłyszałem seryjne wystrzały niemieckiej artylerii [i]. Padłem na ziemię pod miedzę. Znow usłyszałem gwizd zbliżających się pocisków, ale już nie nad moją głową, tylko w

prawo ode m[n]ie. Pociski się rozerwały na podwórku i na spalonym kukurydzu, gdzie ja się parę minut temu znajdowałem, za tem murem. Znow zakląłem sobie pod nosem i powiedziałem [że] jednak mie zobaczą.

Poderwałem się z ziemi i biegiem naprzód. Niemcy jeszcze puścili jedną serię pocisków w tym kierunku i przerzucili na ogień nękający. Nareszcie dobiegłem do kuchni. Kucharze wybierali się z obiadem do pier[w]szej linii. Ja się zapytałem kucharzy, jak się czuje nasz szef. Odpowiedzieli:

- Dobrze. Wybiera się jechać z chlebem, bo już ostatni raz dostał chleb. Więcej możemy się nie spodziewać.

Ja powiedziałem do kucharzy:

- Dajcie m[n]ie w mienązkę obiad, to ja polecę do szefa, to chleb rozniosę do plutonów.

Kucharze mieli pełną mienązkę zupy. Ja zatknąłem dekle i włożyłem do chlebaka. Na odchodne powiedziałem:

- Nie jdzicie szosą, tylko nad Wisłą, bo jak pojedziecie szosą, to was Niemcy zobaczą, tak jak m[n]ie poczęstowali [ogniem] ledwie się wyplątał od pocisków seryjnych. Bili do m[n]ie szwabę i to celnie.

Przeskoczyłem przez szosę, podbiegłem parę metrów i zobaczyłem wóz, dobiegłem bliżej i się zameldowałem szefowi. Szef powiedział łagodnym głosem:

- Trochę oczekiwałem na was, aleście trafili w samą porę.

Szef powiedział [że] siadamy na wóz i jedziemy. Ja się zapytałem szefa, którą pojedziemy. Szef powiedział [że] którą będziecie lepiej. Ja powiedziałem:

- Nie. Pan szef siada na furmankę, a ja pójdę przed koniami i pojedziem po nadwiśle. Ja znam tamtędy drogę, która prowadzi do pier[w]szego plutonu. Tędy będzie najlepiej. Jest trochę mgły i się dostaniemy na miejsce. Szosa jest strzeżona przez Niemców. Niedawno szwabę do m[n]ie bili z artylerii [i] jak głupie.

Szef powiedział:

- To ruszamy w drogę.

Ja szedłem przed koni [i]amy, a woźnica jechał za mną. W niedługim czasie za nami słychać było kucharzy. Od Wisły, która parowała, rozchodziła się mgła, coraz to trudniej było dostrzec drogi, ale konie się pilnie trzymały drogi. Budynek przy szosie prawie już dogasał i został w tyle za nami. Od czasu do czasu rozerwał się pocisk artyleryjski. My jechaliśmy naprzód bardzo wolno. [Kiedy] prawie dojeżdżaliśmy do lasu, Niemcy zaczęli oświetlać rakietami, ale nas nie zauważyli. Wjechaliśmy do lasu, ale ja się odezwałem do szefa:

- Panie szefie, porucznik się znajduje przy pier[w]szym plutonie.

Szef powiedział:

- To dobrze.

Nareszcie stanęli pomiędzy pier[w]szym plutonem i drugim, jakieś sto metrów w tyle. Powiedział do m[n]ie szef:

- Najpierw pojedziem do trzeciego plutonu... albo wy pojedziecie i tylko zameldujecie, że jest chleb i obiad; mogą sami przyjść i pobrać.

Ja zaraz ruszyłem do trzeciego plutonu. Nie trwało dłużej jak pół godziny, to już wróciłem do szefa. Został my tylko pier[w]szy pluton. Szef powiedział do m[n]ie:

- Do pier[w]szego plutonu to pojedziem obydwa, bo ja chcę się zobaczyć z porucznikami. Poczekajcie na mnie.

Niedługo zeszło, dwa plutony pobrały chleb, ja wziąłem worek z chlebem, ale my było niewygodnie, bo przeszkadzał my tornister. Zdjąłem go z pleców, położyłem na wóz i powiedziałem:

- Opiekuj się, kolego, moim tornistrem. Niedługo wrócimy.

Zarzućmy worek z chlebem na plecy, ja pierw, a szef za mną. Niedługo zeszło. Zobaczyłem wartownika siedzącego na schodach. Podeszliśmy do niego. Wartownik spał. Ja się do niego odezwałem półgłosem:

- Jastrzab.

Wartownik zerwał się na równe nogi trochę zmieszany, ale powiedział:

- Wolna droga.

Ja się zapytałem:

- Poruczniki są obydwa?

Odpowiedział:

- Tak, obydwa śpią.

- To zamelduj kolego, że pan szef chce porozmawiać z porucznikami.

Weszliśmy do kuchenki; wartownik zameldował, że przyszedł Jastrzab z szefem. Porucznik powiedział:

- Niech wejdą.

Ja powiedziałem do Szefa, że ja pójdę zawiadomić woźnicę, żeby wziął obiad, a chleb to ja zaraz dla niego wezmę. Szef powiedział:

- Dobrze, jedźcie – a sam wszedł do małego pokoiku.

Ja powiedziałem:

- Chłopaki, jest obiad i chleb. Jedną bułkę [mam] dla woźnicy, a reszta dla was po całej bułce. Ale to już ostatni chleb, pewno i obiad ostatni.

Sam wyszedłem na schody i zacząłem jeść obiad. Parę minut [i] zjadłem obiad, i poszedłem zawiadomić woźnicę o obiedzie. Po drodze wymyśliłem mienązkę w Wiśle i wszedłem do schronu. Wchodząc, powiedziałem:

- Jastrzab woła po obiad.

Woźnica ledwie przyszedł od konia, co mu dawał siano i wodę. Wyszliśmy obydwa ze schronu; nie chciałem przebudzić Stachy i starego Dziadka. Ja dałem woźnicy chleb i mienązkę i powiedziałem, że przynieść [ma] i dla m[n]ie, a ja pójdę do szefa. Manacha się zostanie u was. Obiadem moim podzielim się. Ja może niedługo przyjdę do was. Muszę pobrać chleb dla siebie.

Ale zadałem woźnicy pytanie:

- Powiedz m[n]ie, jak się odnosi do ciebie Stacha. Spaleś z nią?

On odpowiedział stanowczo, że ona jest nietykalna, tylko stale wzdycha, a nieraz płacze i tęskni za tem, którego kocha. To jest kobieta z wychowaniem. I na tem zakończyliśmy naszą rozmowę i się rozeszliśmy każdy w swoje stronę.

Niemcy strzelali ogniem nękającym, nasza artylerja rzadko jem odpowiadała ogniem. Niemcy stale oświetlali przedpole frontowe; widocznie się bojeli ataku na białą broń. Przez ten czas, com wracał do szefa i do poruczników, tak sobie określałem to wojenne widowisko.

Nareszcie stanąłem znow przed małym domkiem. Znow wartownik siedział na schodach, powiedziałem „Jastrzab” – bo to hasło i przezwisko moje. Znane było w całej kompanii. Wszedłem do małej kuchenki, szef rozmawiał z porucznikami, ja się zameldowałem, że już wszystko załatwione. Szef powiedział:

- Zaraz pójdziem do wozu.

Zeszło jeszcze parę minut. Szef powiedział:

- Jdźmy do wozu.

Wyszliśmy z mieszkania i wkrótce się znaleźliśmy przy wozie. Wsiadłem na wóz i ruszyłem z miejsca w kierunku Bożej Woli. Konie pilnowały same drogi, nie brak było ich prowadzić.

Wkrótce stanęliśmy na podwórku nad zatoką. Z szefem zsiadłem z wozu, ja zabrałem tornister i worki od chleba, i poszedłem do szopy, gdzie się znajdował schron szefa, i szopka, w której był magazyn żywnościowy. Obok szopy był schron szefa. Szopka była prawie niewidoczna, od góry zakrywała szopy gałęzie jesionów i klonów, które rosły obok szopy. Dalej od szopy był drugi schron dla dwóch osób. Szef m[n]ie się zapytał, czy ja dostałem chleb. Ja odpowiedziałem, że nie, bo nie miałem czasu się upominać u pana szefa. Szef się roześmiał i powiedział:

- Nasz chleb jest u kucharzy. Zaraz pójdziem, to dostaniecie chleb, ale jeszcze zanieście prowiant panom porucznikom.

Przeszedłem przez szosę, przyszedłem do kuchni. Szef rozwiązał worek, a z worka wyjął trzy paczki i trzy bułki chleba, i powiedział:

- Dwie paczki oddacie porucznikom, a jedna to wasza. I macie po jednej bułce chleba.

Ja chciałem odejść, ale szef powiedział:

- Dobrze, ale najpierw chodźcie ze mną do magazynu.

Przeszedłem przez szosę, stanęliśmy przy szopie, szef rozwinął kłódkę i drzwi, i weszliśmy do środka. Szef ze skrzynki wyjął papierosy – sześć paczek – i powiedział:

- Dwie to wasze, a te oddacie porucznikom.

Szef podał m[n]ie rękę i powiedział:

- Brońcie się, jak możecie, żebyście zostali przy życiu. To długo nie potrwa, a wam dziękuję, coście m[n]ie uratowali życie, bo żeby nie wy, to bym się zadusił pod tem piaskiem. A jak co wam będzie potrzeba, to m[n]ie znajdziecie w tych miejscach.

Szef się został, a ja znów z powrotem do pier[wszej] linii. Był to niemały kawał drogi – około trzech kilometrów. Poczuję jakieś przemęczenie, oczy same się zamykały, śpił m[n]ie zaczął atakować, nie mogłem sobie dać rady, ale jakoś doszedłem do Wisły. Położyłem paczki i chleb na ziemię. Zaczęłem przemyczać oczy wiślaną wodą, parę razy omyłem twarz i śpił zostawiłem w wodzie, a sam odzyskałem przytomność i ruszyłem w dalszą drogę.

Niemcy oświetlali przedpole rakietami i strzelali ogniem nekającym, ale po nadwiśle było dość spokojnie. Wkrótce doleciałem do schronu, gdzie się znajdowała Stacha i woźnica. Już miałem niedaleko do małej chatki, gdzie się znajdowali porucznicy. Nareszcie stanęłem przy schodach, na których siedział wartownik i drzemał. Ja przysunąłem się bliżej niego i powiedziałem półgłosem „Jastrząb”. Wartownik chciał się poderwać na nogi, to zamiast stać na nogi, to zleciał ze schodów na ziemię. Ja się roześmiałem szeroko od ucha do ucha, a wartownik dostał tremy i zaczął się meldować po rekrucku na cały głos. Ja go uciszyłem i powiedziałem:

- Jdźmy do środka, zameldujes, że przyniosłem prowiant.

Weszliśmy do kuchni; on wszedł do małego pokoiku i powiedział:

- Panie poruczniku, „Jastrząb” przyniósł chleb.

Porucznik powiedział:

- Niech wejdzie.

Ja wszedłem i oddałem porucznikowi chleb, paczkę i papierosy. Porucznik powiedział:

- Dziękuję, a teraz możecie się przespać, bo już godzina pier[wsza]. Musimy załatwić wszystko w nocy. A na pewno dawno żecie nie spali?

- Tak jest, panie poruczniku. Na trzy dni to się śpi jedną godzinę i to wtedy, jak szwab przestaną strzelać ogniem zaporowym i jak jest czas.

Porucznik rozpieczętował paczkę papierosów i dał nam po papierosie i powiedział:

- Jdźcie, chłopcy, trochę odpocznijcie sobie, bo jesteście znużeni snem.

Wysliśmy obydwu od Porucznika. Spaliliśmy papierosy w kuchni i wyszedłem na dwór. On się został na schodach, a ja poszedłem nad Wisłę. Jakaś siła m[n]ie pociągała, żeby jść do schronu, do Stachy. W drodze zacząłem się bić ze swojemuś myślamy: jak wojna, to nie przesłiczna Stacha. Przestanę się nią opiekować i myśleć o niej. Miłość to choroba, a przecież ja zostawiłem w swojej wiosce dziewczynę, którą kocham, to drugiej nie wolno m[n]ie kochać, choć wiem, że Stacha m[n]ie kocha. Ale będę jej pomagał jak tylko będę mógł.

Nareszcie stanęłem przed schronem, gdzie się znajdowała Stacha. Pomyślałem trochę i nie weszłem do Stachy, położyłem się za krzem na suchym sitowiu i powiedziałem sam do siebie: Niech nas rozdzieli ta niegruba warstwa ziemi, to choć się trochę prześpię. I zaraz zasnęłem twardym snem. Spałem takim snem, że nawet niemieckie pociski nie mogły m[n]ie obudzić, które się rwały blisko m[n]ie. I nie wiem, dokąd bym spał, żeby m[n]ie Stacha nie obudziła, to nie wiem, kiedy bym się obudził sam.

Kiedy roztworzyłem oczy ujrzałem skromną twarz Stachy. Jej białe ręce głaskały m[n]ie po twarzy i szeptała po cichu:

- Stefanie, dlaczegoś tu zasnął, a nie przyszedłeś do schronu?

Ja usiadłem, karabin zdjąłem z szyi, tornister położyłem bliżej skarpy, z kiesieni wyjąłem składany nóż i wyjąłem z chlebaka bułkę chleba, przekroiłem na dwie połowy. Jedną połowę oddałem Stasi, a drugą połowę włożyłem do chlebaka. Stacha powiedziała:

- Weź, Stefanie, ten chleb, bo ty jesteś stale przemęczony, a ja to stale siedzę w tym schronie, to jakoś będzie.

Ja powiedziałem:

- Schowaj, Stasiu, ten chleb na szarą godzinę.

Stacha m[n]ie pocałowała i powiedziała:

- To niech tak będzie, jak sobie życzysz, Stefanie.

Powoli zaczęło się rozwidniać. Niemcy zaczęli strzelać z artylerii, coraz to częściej zaczęły się rwać pociski wystrzelone przez Niemców. Parę pocisków rozerwało się we Wiśle niedaleko od nas. Stacha zaczęła m[n]ie prosić, żeby[m] weszli do schronu. Posłuchałem się Stachy i weszliśmy przez mały otwór do środka.

Woźnica i dziadek spali, a my ze Stachą usiadłem na małym łóżeczku. Niedługo wstał woźnica i poszedł do koni, a my ze Stachą rozmawialiśmy różne rzeczy. Nareszcie się rozwidniło. Woźnica wrócił do schronu. Stacha się zapytała woźnicy, czy ugotujemy kartofli albo kapusty razem z kartoflami. Woźnica powiedział:

- To nie teraz, może wieczorem. Niemcy co

parę minut to więcej pocisków do nas wysyłają, a jak przeżyję dzień, to nie wiadomo.

Niemcy znów zaczęły strzelać ogniem zaporowym. Naraz zrobiło się cicho, [a] za parę minut nadeszły samoloty myśliwskie. Nad Wisłą, nad samą wodą, przeleciało parę niemieckich myśliwców i ostrzeliwały z broni maszynowej. Po jakich dwudziestu minutach znikły niemieckie samoloty, a znów zaczęła niemiecka artyleria. Nasza już rzadko odpowiadała Niemcom i tak trwało do godziny dziewiątej. Naraz wszystko ucichło, pojawiły się samoloty i zaczęły zrzucać ulotki. Zasłały niezdojby teren ulotkami; prawie co parę metrów leżał pęk ulotów. Niemieckie samoloty odeszły i się zrobiło cicho. Nie wiedziałem, co się stało, że Niemcy przestali strzelać. Zaczęło m[n]ie to ciekawić. Wyszedłem ze schronu, a niedaleko od schronu leżał cały pęk ulotek. Wziąłem parę s[ztuk] i zacząłem czytać. Nareszcie podarłem ulotki i powiedziałem:

- Przekłete szwab, stale proszą, żebym się poddał!

Poszedłem pod skarpe i usiadłem na sitowiu za krzewiną. Wyjąłem z chlebaka paczkę. Chciałem zobaczyć, co w niej jest. Rozw[i]ązałem sznurek; w paczce znajdowała się konserwa i dwie paczki pszennych sucharów, i paczka papierosów, i zapalki. Zapaliłem papierosa, oparłem się o skarpe i wpatrywałem się w drobne fale Wisły. Na prawo zachrząśniały gałęzie krzewiny, spod gałęzi wychyliła się Stacha, głęboko westchnęła i zaczęła mówić do siebie:

- Gdzie on poszedł przecież? Nie wraca!

Ręce załamała na głowie i powiedziała:

- Co za człowiek z tego Stefana! Coraz to się lepiej do niego przyzwyczaiłam, ale on jest żołnierzem, ale ja go kocham.

Ja się nie odzywałem, bo chciałem wysłuchać, co ona mówi, ale Stacha zaczęła płakać, ale ten płacz i narzekanie Stachy ścisnęło m[n]ie za serce. Nie mogłem dalej znieść tego płaczu. Pomyślałem sobie: taka wyszkolona kobieta i musi cierpieć przez tych szwabów. I zawołałem:

- Stasiu, chodź do m[n]ie!

Stacha się zerwała na nogi i przyszła do m[n]ie upłakana. Obląpiła mnie za szyję obydwoma rękami i zaczęła m[n]ie całować, i szeptała słowa:

- Kocham cię, Stefanie.

Pomału się uspokoiła i usiadła przy m[n]ie. Ja wyjąłem z chlebaka pszenne suchary i dałem Stasi. Stacha nie chciała przyjąć sucharów, prosiła, żebym zostawił dla siebie. Ja powiedziałem:

- Przyjmij ode m[n]ie te suchary. Ja mam jeszcze jedno paczkę, a ty, Stasiu, będziesz miała na najgorszy czas.

Stacha wzięła ode m[n]ie te suchary i powiedziała:

- Dziękuję ci, Stefanie, za taką opiekę, chciałabym ci w życiu wynagrodzić za wszystko.

Ucałowała mnie w usta i powiedziała:

- Kocham cię, Stefanie. I może będę kochać dalej, nie wiadomo, jak się ułożą nasze losy, jak ta wojna się skończy, ale ja bym chciała z tobą spędzić swoje życie – i położyła głowę na moje kolano.

Ja popatrzyłem na jej twarz i powiedziałem:

- Przecież ja jestem żołnierzem w mundurze, jestem pod rozkazami swoich dowódców. Sam

sobą nie mogą decydować, moje prawo jest bronić Ojczyzny i wszystkich Polaków, i ciebie.

Niemcy nie strzelali, to że Stachą spędziłem dłuższy czas na rozmowie. A później poszedłem do pier[w]szego plutonu do swojego dowódcy. Na naszym odcinku każdy z żołnierzy leżał na swoim stanowisku, wszyscy zachowali się bojowo i tak trwało do godziny trzeciej po południu. Później Niemcy zaczęli strzelać na Zakrocymie z artylerii. Za jakiś pół godziny pojawiły się niemieckie pociski i na naszym odcinku z początku strzelali ogniem nękającym, a później przetrzucili na ogień huraganowy. Nasza artylerja rzadko odpowiadała wystrzałami i znów zrobiło się piekło. I tak do samego wieczora, aż w nocy Niemcy przetrzucili się na ogień nękający. Na samem rozwidnieniu Niemcy przestali strzelać. Zrobiło się cicho, tylko na Zakrocymiu i na Kazuniu było słychać rwiące się pociski, ale niedługo ucichły.

Wojsko nie wiedziało, co się robi, aż nadeszła godzina dziesiąta, to niektórzy wiedzieli, że jest zawieszenie broni. Przeważnie to ci, którzy byli blisko szosy warszawskiej, bo zobaczyli dwa samochody zbliżające [się] do siebie z białymi flagami: jeden samochód z naszej strony, drugi od strony niemieckiej. Ta wieść rozniosła się błyskawicznie, ale nie wolno się było ruszać ze swoich stanowisk – taki przyszedł rozkaz od pier[w]szego plutonu. Żołnierze, którzy kochali swoją Ojczyznę, dotrzymali jej wierności, choć o głodzie w niedoli nie zeszli sami ze stanowisk przez rozkaz. Na pier[w]szej linii wszyscy obserwowali przedpole frontowe pomiędzy niemiecką linią i naszą.

Ja się dowiedziałem, że wkrótce pójdzem do niewoli. Postanowiłem jść do Stachy i się z nią pożegnać. Wyszedłem z małej chatki i krzakami zacząłem się przedzierać przez gęste zarośla. Niedługo stanąłem przy schronie. Wszedłem do schronu. Stacha stała przy małej kuchence, nagotowała garnek zupy. Serdecznie się uśmiechnęła do m[n]ie i powiedziała:

- Dobrze, żeś przyszedł, Stefanie, to choć się rozgrzejesz gorącą zupą.

Ja usiadłem na Stachy łóżku, a Stacha nałala na miskę blaszaną zupy i dała dziadkowi, a później nałala w menażkę dla woźnicy, bo jego w schronie nie było. Wzięła moją menażkę, którą zostawiłem, nałala pełną. Wzięła dwie łyżki i przysłała do m[n]ie, i powiedziała:

- Będziemy jeść razem.

Usiadła przy m[n]ie, pocałowała m[n]ie w policzek i powiedziała:

- Bierzem się za jedzenie.

Postawiła menażkę pomiędzy nami. Zupa była tylko osolona, przez żadnego tłuszczu nie była dość smaczna. Stacha nachylała menażkę do siebie i do m[n]ie. Jedlim zupę z wielkim apetytem. Stacha wstała z łóżka i skrzętnie zabrała od dziadka miskę i menażkę, prędko wymyła naczynia i łyżki i przysłała do m[n]ie do łóżka, i usiadła. Stacha powiedziała:

- Jak to dobrze, że te Niemcy do nas nie strzelają. Powiedz, Stefanie, dlaczego tak się stało.

Ja opowiedziałem:

- Jest zawieszenie broni, pewno nas zabiorą do niewoli i popędzą do Niemiec.

Stacha spuściła głowę i głęboko westchnęła.



Kapitulacja Twierdzy Modlin, złożenie broni przez polskich żołnierzy. Źródło: <https://nowahistoria.interia.pl/historia-na-fotografii/wrzesien-1939-niemcy-zaatakowali-polske-zdjecie,ild,1551838,iAId,124499> (dostęp 30 IX 2018 r.).

- Może kobiet to nie zabiorą.

- Na pewno cywilów to nie będą zabi[e]rać do niewoli.

Stacha mocno się zasmuciła. Po paru sekundach powiedziała:

- A z nami jak będzie? Przecież ja ciebie kocham, ja ciebie nie opuszczę, razem gotowam jść do niewoli, razem z tobą.

Powiedziała te słowa i jej ręce oblały mnie za szyję i zaczęła m[n]ie całować po twarzy. A stary dziadek patrzył na to z ukosa, uśmiechał się z ukosa i powiedział:

- Czy państwo jesteście małżeństwem?

Stacha piersza odpowiedziała dziadkowi, że nie, a dziadek na to:

- A może będziecie, jak się skończy wojna?

Ja pomyślałem, że kobieta, choć wyszkolona, ale dużo u niej jest słabości. Przecież ja jestem w mundurze, jestem pod rozkazami swoich przełożonych, niedługo stąd odejdę i zostanie sama. Długo myślałem nad tem, jakie będzie nasze rozstanie, a czas robi swoje. Stacha się ze mną pieściła jak małe dziecko ze swoją matką.

Nareszcie powiedziała Stacha:

- Jak się wszystko uspokoi, to ja pójdę do swojej wioski i przyniosę cywilne ubranie, i się przebierzesz na cywila, i razem pójdziemy do mojego domu.

Ja się trochę namyśliłem. Po krótkim milczeniu powiedziałem:

- Stasiu, dobrze by tak było, jak ty mówisz, ale ja nie mogę tego zrobić, bo jestem żołnierzem. Nie jestem zwolniony od przysięgi i nie wolno mi zdjąć munduru, i broni porzucić. Z górą to ci mogę podziękować za miłe twoje słowa, a teraz mogę ci udzielić pewny informac[ji]. Nie odchodź z tego schronu, aż się dobrze wszystko uspokoi, a ja, jak będę wolny, to się jeszcze zobaczymy i pójdziemy razem do twojej wioski.

Stacha słuchała, a po policzkach płynęły jej gorzkie łzy. Po chwili Stacha otarła policzki chusteczką, wzięła m[n]ie za szyję i się wpatrywała w moje oczy. Przez jakiś czas nie mogła wymówić słowa. Po krótkiej przerwie pocałowała m[n]ie w usta i powiedziała:

- Dziękuję ci, Stefanie, za twoją opiekę i za uratowanie mojego życia. – po cichu zaczęła

szeptać słowa – Żegnaj, Stefanie, słusznie powiedziałeś te słowa. Ja będę czekać na ciebie.

Ledwie skończyła mówić te słowa, sama się obsunęła na moje piersi i znów zaczęła płakać.

Dla m[n]ie nadchodził czas, żeby odejść. Posadziłem Stachę na małym łóżku, ucałowałem Stachę i odszedłem do pier[w]szego plutonu, ale sobie przypomniałem, że nie wziąłem łyżki i menażki. Wróciłem z powrotem do schronu, ale już nie wlażyłem do schronu. Poprosiłem Stachy, żeby m[n]ie podała menażkę. Stacha wyszła ze schronu i podała m[n]ie menażkę i jeszcze raz m[n]ie pożegnała, i powiedziała:

- A nie zapomnij o m[n]ie, bo ja będę czekać na ciebie.

Ja odszedłem od Stachy, zostawiając ją ze starym dziadkiem. Zrobiło m[n]ie się przykro, przez całą drogę myślałem o niej. Wkrótce stanąłem przy małym domku. Wszedłem do środka. W kuchni spali żołnierze pier[w]szego plutonu, a w pokoju zastałem dwóch poruczników i trzech podchorążych. [W]spólnie coś rozmawiali.

M[n]ie zaczął dokuczać śpić. W kuchni nie było miejsca, żeby się położyć; usiadłem w kącie przy samej kuchni. Śpiące żołnierze chrapali na przemian jak stara lokomotywa. W niedługim czasie i ja usnąłem choć na siedząco. Jak długo spałem, to nie wiem, jak się obudziłem, to było ciemno. Wkrótce usłyszałem głos swojego dowódcy. Powiedział łagodnym głosem:

- Chłopcy, wstańcie, wszyscy jdziemy na zbiórkę do lasu dębowego za Bożą Wolę. Jdziemy chłopcy uszkodzić karabiny maszynowe, a sami pójdziemy pod rozkazy niemieckie, a co nas spotka, to niewiadomo.

Żołnierze z obługi po jednym poszli do cekaemów na stanowiska, powyjmowali zamki i wrzucili do Wisły. W krótkim czasie wszyscy poszlim na miejsce [w]skazane przez porucznika. W dębowym lasku już było paru żołnierzy z trzeciej cekaem. Niedługo zeszło i się uzbierało nas więcej. Ja przeważnie się pilnowałem podchorążaków.

Niedługo zrobiono zbiórkę całej kompanii. Wszyscy stanęli plutonami. Plutony zmalowały prawie o połowę, może było siedemdziesięciu żołnierzy. Niedługo przyszedł pan pułkownik i z cicha powiedział:

- Cześć, żołnierze – a dalej podziękował nam za wytrwałość na swoich stanowiskach i niektórym żołnierzom wręczył legitymacje na odznaczenia bojowe. A później wygłosił krótkie przemówienie.

Ostatnie słowa Pułkownika

Na wstępie pułkownik powiedział półgłosem:

- Kochani żołnierze, obrońcy ostatniego skrawka ziemi modlińskiej i ostatniego skrawka naszej Rzeczypospolitej Polskiej! Ten kawałek ziemi został krwią zbroczony naszych żołnierzy i naszych braci, ci którzy już nie stanęli razem z wami w szeregu, tylko leżą w grobach okryci ziemią i chwałą. Zgasto ich życie w obronie naszej Ojczyzny.

A my pozostali, musimy złożyć broń w ręce odwiecznego wroga. Mocno bolesny los spotkał nas żołnierzy i wszystkich Polaków, Polska to była twardym orzechem do przegryzienia dla Niemców, choć byli uzbrojeni dobrze i trzech Niemców przypadało na jednego Polaka, ale my Polacy pokazaliśmy Niemcom, że nie podniosiem rąk do góry, jak tylko przekroczą nasze granice. Broniliśmy się do ostatniego pocisku artyleryjskiego, ale wojny tom nie przegrali, tylko przegrali walkę, która pochłonęła dużo ofiar naszego narodu, a wojna to potrwa około sześciu lat. Za namy pójdzie cały świat.

Dalej mówił Pułkownik:

- Kochani żołnierze, mamy poza granicami naszego kraju około sześciu milionów Polaków. Oni też staną do walki o naszą wolność. Za namy pójdzie Francja, Wielka Brytania i inne kraje całego świata. A teraz, kochani żołnierze, została zawarta kapitulacja, na warunkach zapadła umowa. Pier[ws]sze: zwolnić wszystkich żołnierzy do ich domów i podoficerów. Niemcy wam wydadzą przepustki, a panowie oficerzy mają prawo zostawić sobie broń boczną.

A teraz, kochani żołnierze, mam ostatnią do was prośbę. Jak się dowiecie, że w jakim kraju się formuje polskie wojsko, a będziecie mogli wstąpić do polskich oddziałów, to wstępujcie. Albo w kraju, jak się będą formować oddziały partyzanckie, to nie zapomnijcie, że jesteście żołnierzami.

Pułkownik skończył swoje przemówienie i odszedł z porucznikami, i znikli w ciemności nocy. Działo się to dnia dwudziestego usmego w nocy na dzień dwudziesty dziewiąty wrzesień 1939 roku. Po odejściu pułkownika odezwał się szef naszej kompanii łagodnym głosem:

- Chłopaki, pójdziem złożyć broń.

Sam poszedł pier[ws]szy, a my za nim. Zaprowadził nas pod tory kolejowe, do ostatnich budynków i powiedział:

- Chłopaki, nie staniem jeszcze pod torem na tej łące, gdzie się zbiera wszystkie wojsko. Rozejdźcie się po domach, a ja pójdę do kucharzy i przyjadę tu z obiadem.

Wszyscy się porozchodzili po ciemku, gdzie komu pasowało, tam poszedł. Ja i Wieszewski poszliśmy z podchorążakami. Weszliśmy do mieszkania; było puste, nie było nikogo.

Zaświeciliśmy zapalniczki w kuchni. Nie było na cenie spać. Wszliśmy do pokoju – stały trzy łóżka: dwa obok siebie, a jedno stało osobno. Pokładłem się spać, a jak się obudziłem, to była godzina dziewiąta.

Wyjrzelim oknem, a na łące pod torami już stały grupy naszego wojska. Jeden z podchorążych roztworzył piwnicę i powiedział:

- Chłopaki, są kartofle, ugotujemy zupy z konserwami.

Wszyscy się wzięliśmy do roboty. Niedługo trwało, garnek zupy był gotowy, zrobiliśmy [w]spólny obiad. Ja miałem pół bułki chleba, pokroiłem chleb, położyłem na stole. Za stołem zasiadłem, taka panowała przyjaźń, jakbyśmy byli jednego ojca. Jeden z podchorążych powiedział:

- Nie pójdziemy aż na ostatku na tę łąkę, bo tam musimy stać nie wiadomo dokąd, a dobra i godzina wolności.

Po zjedzonym obiedzie nie wychodziliśmy z mieszkania, tylko wyglądaliśmy oknami na zieloną łąkę pod torami kolejowemu. Niemcy zganiłi cywilów na lewo pod tor kolejowy. Cywile przechodzili niedaleko od naszej kwatery. Jeden z podchorążych wyjrzał oknem i powiedział:

- Patrzcie, prowadzą Niemcy naszego majora razem z cywilami.

Zaczęliśmy się przyglądać z dala przez okno. Tak jest, major Jasiński przebrany za cywila jdzie razem z cywilami. Jednen z podchorążych powiedział:

- A my jak tak zrobimy, jak major się przebrał na cywila? Dał taki przykład, to co, my też się będziemy przebierać?

Odezwał się drugi z podchorążych:

- A może wcale dobrze zrobił, to go nie popędzą Niemcy do Prus.

Dalej wyglądaliśmy przez okna na zieloną trawę pod torami. Było to straszne widowisko: wojskowi składali broń w kozły, niektórzy z żołnierzy nie mogli się rozstać z bronią. Zaczem dostawił swój karabin do kozła, to parę razy go pocałował, odchodząc, jeszcze się oglądał do tyłu, zaczem zaszedł do swojej kompanii, to się parę razy obejrzał. Nasi żołnierze składali broń pojedynco i małymi grupami. Wszyscy byli pewni że zostaną zwolnieni tu na tej łące. Dalej przyprowadzali konie przez siodła i przez uprzęży. Rzadko zdarzyło się, żeby koń miał na sobie siodło, a wozy i armaty zostawiano na pobojuwisku.

Na łące zrobiło się coraz to więcej i gęściej od żołnierzy i cywilnej ludności. Nasi żołnierze po złożeniu broni stanęli czwórkami w długich kolumnach, wszyscy odkręceni twarzą do toru kolejowego. Nam się udało przez okno dużo różnych rzeczy podpatrzeć i tak się przyglądaliśmy na te ludzkie losy do godziny dwunastej.

Nareszcie zobaczyliśmy szefa i kucharzy. Przyjechali z kuchnią połową i stanęli jakieś sto metrów od naszej kwatery. Nie bylim głodni, ale poszlim po obiad, bo to był ostatni. Niedługo po obiedzie pojawili się na koniach niemieckie podchorążaki. Zaczęli mówić po niemiecku i pokazywać rękami, żeby jść na zborny punkt na łąkę. M[n]ie coś zaszumiło w głowie, poczułem jakiś niespokój i powiedziałem do siebie: Mój ojciec przez was, szwabę, cierpiał w niewoli i po powrocie z niewoli musiał umrzeć.

Niewola i niedola polskich żołnierzy

Powoli nas cekaemiści zaczęli wychodzić na zbiórkę. Szef poprowadził ich na łąkę. Złożyli broń i dołączyli do trzeciego batalionu. My się zostaliśmy, ale długo nie zeszło. Niemcy nas zmusili do złożenia broni. Wszliśmy z mieszkania i poszlim [broń] na łąkę. Jdąc do kozłów, zajeżdżała nam taksówka drogę, roztworzyły się dzwiczki i wyszedł z taksówki porucznik pier[ws]zego plutonu. W jednej ręce miał worek i powiedział:

- Macie ten worek, będziecie mieli po m[n]ie pamiątkę, bo wy zostaniecie zwolnieni, a nas to popędzą do obozów.

Porucznik pożegnał się z nami i powiedział:

- Niemcy wzięli mnie za t[ł]umacza – i wsiałd sobie do taksówki, i odjechali za tor kolejowy.

My obydwaj z Wierszeskiem złożyliśmy karabiny, odpiłem koce od tornistrów, ściągnęlim ładownicę i bagnet, i łopatkę, pasy opasałim na mundury. Ja się obejrzałem do tyłu i zobaczyłem ordynansa. Przyprowadził trzy konie usiodłane. Podeszlim do niego i powiedzielim:

- Dłaczegoś, kolego, przyprowadził konie usiodłane? Trzeba było te siodła utopić we Wiśle, nie zdawać Niemcom konie jeszcze usiodłane.

Podszedłem do konia, zdjąłem siodło i zabrałem koc. Oni obydwaj zrobili to samo. Całą trójką dołączylim do kompanii.

Powoli się zbliżał wieczór. Niemcy pomiędzy kolumny ustawili karabiny maszynowe, a na torach zaświecili światła. Niedługo zaczęli śpiewać po drugiej stronie toru. Zaśpiewali dwie pieśni i odezwał głos po polsku przez mikrofon:

- Teraz zaśpiewajcie, żołnierze polscy! – i tak na przemian śpiewali Niemcy i Polacy do godziny dwunastej. Później umilkły śpiewy, nam pozostała nocna cisza i smutna nasza dola, jaka nas spotkała. Zrobiło mi się bardzo przykro, jesteśmy już w niewoli i nie zobaczymy Stachy, której dałem słowo, żeby na m[n]ie czekała w schronie. A może nie zobaczę swojej siostry i swojej narzeczonej Czesławy, i swojej rodzinnej wioski? Różne myśli zaczęły mi krążyć po głowie. Nareszcie usiadłem na ziemi i zasnąłem.

Obudziłem się, to było widno. Przy m[n]ie siedział Wierszewski, a w drugiej czwórce na workach spał szef. Rozwidniło się na dobrze, gdzieś w Nowym Dworze i Modlinie było słuchać strzały pojedyncze i seryjne. Niemcy zganiłi cywilów na lewo pod tor kolejowy. Koło godziny dziewiątej Niemcy zaczęli zwałniać cywilów, a później zajeżdżały samochody, stanęły na bruku i kolejno podchodzili do samochodów. Każdemu z żołnierzy dali bułkę chleba i kawałek słoniny.

Po takim przedziale żywności Niemcy pod eskortą zaczęli prowadzić polskie bataliony ponad Narwią na wschód, a my, widzielim na własne oczy, że Niemcy, zamiast nas zwolnić, to pędzą do niewoli.

Nasz batalion był ostatni. Nasz szef rozwiązał worki i zaczął nas dzielić cukrem i grochem. Szef rozdał żołnierzom, jaki zapas tylko posiadał. Każdemu się chciało pić i jeść. Żołnierze wyciągnęli z chlebaków swoje

zapasy i się dzielili pomiędzy sobą. Każdy z nas był przygnębiony smutkiem, bo nie wiedziałem, co nas spotka. I tak stojelim na miejscu aż kawał po południu.

Nareszcie przyszła kolej na nas. Przeszlim obok samochodów, ale dla nas już nie starczyło chleba. Niemcy nas pędzili strasznie wolno, nieraz musielim stanąć i czekać, aż się posunie czoło naprzód. Pomiedzy naszymi szeregami się przesuwaly cywile zwolnieni przez Niemców. My bylim głodni i przemęczeni. Pomiedzy namy przechodził chłop z kobietą, widać to był przebrany żołnierz na cywila mocno obdarty. Pod pachą trzymał bochenek chleba pytlowego. Ja się do niego odezwałem:

- Panie, niech pan da nam zapalić, to panu dam ten worek, a pan będzie miał dobrą pamiątkę po m[n]ie.

Chłop się dużo nie namyślał, tylko wyjął spod pachy chleb i dał m[n]ie i wyjął skieszni paczkę tabaki, bibułkę i zapalki, i m[n]ie dał. Kobieta trzymała chłopą pod pachę i prosiła, żeby prędzej odeszli. Ten człowiek m[n]ie się zapytał, co może być w tem worku. Ja odpowiedziałem:

- Zdobyte ubranie: jesionka, buty i koszula, chłop uściśnął m[n]ie za rękę i szybko zaczęli się oddalać od nas. Ja wyjąłem nóż z kieszeni i pokroiłem chleb na małe kromki, i dałem kolegom, komu starczyło. A później paru nas zapaliło papierosów. Po paru zaciągnięciach bylim pijani.

Wkrótce zaczęlim maszerować naprzód. Na zmrok dochodziłim do zarośli. Przez ten czas uliczyłem przy drodze sześć smentarzy niemieckich, przeciętnie na takim cmentarzu się znajdowało od trzydziestu do siedemdziesięciu zabitych, bo tyle było hełmów przy krzyżach. W zaroślach [makazano] zwolnić, to pędzą do niewoli.

Nasz bataljon był ostatni. Nasz szef rozwiązał worki i zaczął nas dzielić cukrem i grochem. Szef rozdał żołnierzom, jaki zapas tylko posiadał; każdemu się chciało pić i jeść. Żołnierze wyciągali z chlebaków swoje zapasy i się dzielili pomiędzy sobą, każdy z nas był przygnębiony smutkiem, bo nie wiedziałem, co nas spotka. I tak stojelim na miejscu aż kawał po południu.

Nareszcie przyszła kolej na nas. Przeszlim obok samochodów, ale dla nas już nie starczyło chleba. Niemcy nas pędzili strasznie wolno, nieraz musielim stanąć i czekać, aż się posunie czoło. Naprzód między naszymi szeregami się przesuwaly cywile zwolnieni przez Niemców. My bylim głodni i przemęczeni. Pomiedzy namy przechodził chłop z kobietą. Widać to był przebrany żołnierz na cywila. Był mocno obdarty, pod pachą trzymał bochenek chleba pytlowego. Ja się do niego odezwałem:

- Panie, niech pan da nam zapalić, to panu dam ten worek, a pan będzie miał dobrą pamiątkę po m[n]ie.

Chłop się dużo nie namyślał, tylko wyjął spod pachy chleb i dał m[n]ie, i wyjął z kieszeni paczkę tabaki i bibułkę, i zapalki, i m[n]ie dał. Kobieta trzymała chłopą pod pachę i prosiła, żeby prędzej odeszli. Ten człowiek m[n]ie się zapytał, co może być w tem worku. Ja odpowiedziałem:

- Zdobyte ubranie: jesionka i buty, i koszule.

Chłop uściśnął m[n]ie za rękę i szybko zaczęli się oddalać od nas. Ja wyjąłem nóż z kieszeni i pokroiłem chleb na małe kromki, i dałem kolegom, komu starczyło, a później paru nas

zapaliło papierosów. Po paru zaciągnięciach bylim pijani.

Wkrótce zaczęlim maszerować naprzód. Na zmrok dochodziłim do zarośli. Przez ten czas uliczyłem przy drodze sześć cmentarzy niemieckich. Przeciętnie na takim cmentarzu się znajdowało od trzydziestu do siedemdziesięciu zabitych, bo tyle było hełmów przy krzyżach. W zaroślach podwoiła się boczna straż, przyjechali do pomocy niemieckie kawalerzyści. Nasze niewolnicy się zatrzymali dlatego, bo czoło przechodziło przez most półtonowy. Niedaleko ode m[n]ie pod brukiem były rynny z cembrowin. Ja zesłem z bruku i chciałem do jednej z nich wejść, ale tam było pełno naszych żołnierzy. Musiałem się wycofać.

Niedługo ruszyli[m] dalszą drogę. Przeszlim Narew przez most półtonowy. Na niebie zaczął się przedzierać księżyc bez chmury. Ja miałem plan, że za Narwią to Niemcom ucieknę, ale się robiło coraz widniej i teren otwarty, piaski i gdzieśniedzie jałowce, i zrezygnowałem z ucieczki.

Po krótkim przemarszu przez piachy i jałowce Niemcy nas zapędzili na dużą polanę wkoło obrośniętą choiną. Było tam dużo jeńców, polskich żołnierzy. Na torze kolejowym stał pociąg, a do wagonów towarowych wchodziłi nasi żołnierze, a my obydwą z Wiersze[w]jskim obeszl[i]m wkoło, szykując się do ucieczki, ale nie było to możliwe, bo Niemcy palili ogniska i siedzieli przy karabinach maszynowych. Ze spuszczonei głowami weszli[m] do żołnierzy, którzy spali na ziemi, obydwą się położyli[m] [w] pobok⁴⁶ i zasnąłim twardem snem.

Jak się obudzili[m], to słońce było wysoko na niebie. Pierwszy odezwał się Wiersze[w]jski:

- Przekłete szwabę! Mieli nam dać przepustki, a teraz wiozą wszystkich do Prus.

Ale nas pozostało niedużo. Zbliżyli[m] się do wagonów i się wpełchali z wielkim trudem. Niemcy stojeli i się z nas śmieli.

Niedługo pociąg ruszył w kierunku Mławy. W wagonie było ciasno, trudno było ręki podnieść do góry. Wreszcie dojechali[m] do Mławy. W Mławie koło cegielni było parę tysięcy naszych żołnierzy. Pociąg stanął, myśleli[m], że będziemy wysiadać, ale pociąg pozostał trochę i dalej ruszył. Byli[m] już przez nadziei, że nas szwabę zwolnią.

Po drodze od Mławy do Ławy spotkała nas smutna niespodzianka. Jeden z naszego wagonu ośmielił się uciekać przez małe okno wagonu. Zaczął nas prosić, żebym go puścił do małego okna, to on przez okno wyskoczy. Zaczeli[m] jego prosić, [mówiąc] że go Niemcy zabiją. Na nic nie zważał, tylko dopchał się do okna. Koledzy jemu pomogli i nogami wsadzili w okno, i pomogli mu się przepchać przez okno. Już tylko skoczyć na ziemię i w tym czasie przes[z]yła s[z]wabska kula jego ciała i spad[ł] na ziemię.

W niedługim czasie pociąg zajeżdżał do Łowa i stanął na stacji. Niemcy otworzyli drzwi u wagonów i kazali wychodzić z wagonów. Nasi żołnierze po długim przejeździe zaczęli się załatwiać zaraz przy samych wagonach. Zrobili ustęp na miejscu. Nie było wstydu, choć dużo było cywilów: mężczyzn i kobiet. Niemcy zaczęli pluć na ziemię i zaczęli nas

przezywać od polskich świniów, a później zaczęli bić nas kolbami i zganiać do kupy. Przepędzili nas przez tory do parowozowni. W parowozowni już było parę tysięcy naszych żołnierzy, a w sąsiednim przedziale parowozowni byli wyróżnieni. Byli to nasi żołnierze z Pomorza i z Poznania.

Zaczął się zbliżać wieczór. Niemcy przywieśli jeszcze jeden transport naszych żołnierzy. Na noc zaczęli nas wypychać do parowozowni, bili kolbami przez żadnej litości. Słychać było djabelskie śmiechy z zadowolenia. W parowozowni było tak ciasno, że trudno było ręki podnieść do góry. Niemcy przed parowozownią ustawili karabiny maszynowe lufami prost we dwi i tak pier[w]szą noc spędziłim w niemieckiej niewoli. Niemcy przez całą noc grodzili zasięki z kolcastego drutu, żeby nas wpuścić na plac parowozowni.

Rano odsunęli karabiny maszynowe dalej i zrobili drogę do ustępu. Około godziny dziesiątej Niemcy karabiny maszynowe wycofali za druty, a nam było wolno chodzić po całym placu parowozowni. Otrzymałim wodę w pompie i składnicę z węglem, wolno nam było się napić wody z pompy i się umyć, ale głód robił swoje – dokuczał każdemu z nas.

Niemcy dalej przywozili polskich jeńców, stan się powiększał. Koło godziny dwunastej Niemcy przywieźli kuchnie polowe, ustawili je koło piwnicy. My obydwą z Wiersze[w]jskim bylim blisko kuchniów. Jeden z Niemców odezwał się po polsku:

- Chto chce być kucharzem?

Wiersze[w]jski się zgłosił na ochotnika pier[w]szy. Niemiec dał nam dwa solniaki, roztworzył piwnice i kazał nam nasypać w worki kartofli. Jak sypałem kartofle, dało nam się podpylić parę kartofli, ale tylko sprytem, wpuszczając kartofle w nogawice. Wynieśli[m] kartofle z piwnicy do kuchni, a Niemiec obmacał nas po kieszeniach. Niemiec wziął drugich kucharzy po kartofle i poszli do piwnicy, a ja zobaczyłem za płotem kobiety, co przerzucały chleb przez płot. Doleciałem do płota i przez dziurę podałem kobiecie dwadzieścia złotych. Kobieta przerzuciła m[n]ie chleb.

Ja odszedłem dalej i spotkałem z naszej wioski Ferencą. Przywitalim się obydwą i pierwsze jego słowo było zapytane:

- Masz może co do jedzenia?

Ja odpowiedziałem:

- Tak, mam.

Odeszli[m] do najdalszego ogniska, ja wyjąłem kartofle z nogawic i połowę oddałem Ferencowi. Poszli[m] z menażkami po wodę do pompy. Prędko wróciłim do ogniska i zaczęli[m] gotować kartofle, ale z łupinami. Jak się kartofle ugotowały, prędko je obrali, ułożyli[m] prędko nazad do menażków, naleli[m] zimną wodą jak się zagotowały, wystawiłim z ognia. I dałem Ferencowi jedną czwartą chleba i zaczęli[m] jeść. Rozgrzeli[m] się dobrze i zaraz lepiej na oczy się widziało. Odeszli[m] od ogniska.

Zobaczyli[m] przy następnym ognisku, jak nasi żołnierze gotowali od liści klonowych ogonki i pili ten odwar. Pomiedzy żołnierzami panował głód i tęsknota za wolnością i rodziną, chodzili od ogniska do ogniska i narzekali na głód. Przed samem wieczorem nasi kucharze ugotowali zupę i zaczęli wydawać na jednego żołnierza trochę więcej jak ćwierć litra. [Jeśli]

⁴⁶ W znaczeniu: z boku, po bokach, obok.

w zupie trafił się jeden kartofel, to było dobrze.

Nadeszła noc. W nocy mało żołnierzy spało w parowozowni, tylko przy dużych ogniskach, bo tam było brudno, gdzie się [kto] dotknął ściany, to się usmolił. Ja siedziałem długo przy ognisku przy samych drutach, gdzie chodził wartownik niemiecki, a później okryłem się kocem i chciałem zasnąć. Przytulili mi się do Wiereszewskiego, żeby było cieplej. Przyszedł do ognia Niemiec, który stał na warcie i pilnował nas. Poruszył mój nogą i powiedział po rosyjsku:

- Nie śpij na ziemi, bo się przeziębisz i umrzesz. Ja mu odpowiedziałem, że my z głodu pومیeramy. On powiedział, że trzy lata był w niewoli rosyjskiej i ma sześćdziesiąt lat i jeszcze jest żołdat. Wiereszewski zaczął mówić do niego po niemiecku, ale on niechętnie z nim chciał rozmawiać, tylko ze mną rozmawiał po rosyjsku. Nareszcie powiedział do mój, żeby się nie ruszać z miejsca, to za pół godziny przyjdzie zmiana, to on mój przyniesie chleba.

I tak się stało – po zmianie przyniósł bułkę chleba i dwóch cygarów, i dał mój. Ja Niemcowi podziękowałem za chleb, wyjąłem z kieszeni nóż, pokroiłem chleb na dwanaście kawałków i rozdałem siedzącym przy ognisku żołnierzom. Jeszcze się sami dzielili i tak małym kawałkiem chleba. Rzuciłem cygara na tamtą stronę ogniska, a drugiego sam spaliłem, a ten stary i dobry Niemiec stał i się przyglądał na naszą życzliwość i braterstwo. Niemiec westchnął głęboko, poruszył mój za ramię i powiedział po rosyjsku:

- Chodź, towarzyszu, ze mną.

Ja wstałem i odeszliśmy od ogniska. Niemiec mój zapytał znów po rosyjsku:

- Słysz, towarzyszu, nie jesz dziengi?

Ja odpowiedziałem, że mam dużo pieniędzy. Niemiec powiedział:

- Znajdziesz, gdzie jest czerwony chrust?

Ja odpowiedziałem, że wiem. Niemiec powiedział, żeby przyszedł do nich, do wartowni o dziewiątej godzinie rano i postarał się [o] jakiego worka, to on mój wyprowadzi na szosę, to kupię chleba, bo tam dużo kobiet sprzedają chleb.

I tak się stało. Po przespanej nocy postarałem się worka i o godzinie dziewiątej zameldowałem się w wartowni. W wartowni było paru Niemców już w podeszłym wieku. Ja stałem we drzwiach nieruchomo, trzymając worek pod pachą. Powiedziałem po polsku:

- Dzień dobry.

Niemcy zaczęli coś śwargotać po niemiecku. Ten Niemiec, co mój kazał przyjść, założył bagnet na karabin i powiedział po rosyjsku:

- Pajdzim, jidzjij wpirot.

Wyprowadził mój z wartowni. Przeszliśmy przez bramę i ogródek przyjąć. Wkrótce się znalazłem na drodze. W rowach przy szosy siedziało dużo kobiet i starszych chłopów. Jedne kobiety sprzedawały chleb i kielbasę, zapalki i niemieckie papierosy, i tabakię, a drudzy kupowali i szli do ogródka przyjąć. Podawali nazwisko żołnierza niewolnika, a Niemiec umiał po polsku [i] przekazywał naszym żołnierzom za druty, a za drutami rozlegały się głosy:

- Żołnierz taki a taki, matka przyjechała – to echo szło od ust do ust.

Kiedy się dowiedział ten z żołnierzy, że jego matka przyjechała, zbliżył się do ogródka i czekał, aż go Niemiec zawoła. Niemiec, który

był pośrednikiem, puszczał do ogródka tylko pięciu żołnierzy. Więcej nie puścił. My obydwa z Niemcem popatrzyliśmy na tą scenę i Niemiec powiedział do mój:

- Kupuj, co ci się spodoba. Zaraz będziemy wracać z powrotem.

Ja kupiłem chleba, pełen solniak, tabaki i papierosów, i zapalek. Powpuszczałem za podszewkę płaszcz a kupiłem trzy kielbasy, rozdzieliłem na dwie połowy, i zacząłem prosić Niemca, żeby ode mnie wziął te kielbasy. Z początku Niemiec się wzdrygał, a później wziął i schował za płaszcz. Ja poprosiłem Niemca, żeby mój pomógł, jak zjdziem do ogniska, żeby on rozdał chleb, bo mój nie rozbiorą. Niemiec powiedział, że tak będzie, od kogo ja wezmę pieniądze, to on temu da chleb.

Po krótkiej rozmowie ruszyliśmy z miejsca przez ogródek i do tego ogniska Niemiec wziął ode mój chleb, i zaczął wydawać na dwóch jeden bochenek, a ja brałem od nich pieniądze. Ta sprzedaż trwała niecałe pięć minut. Niemiec spytał się mój, po wiele płaciłem za jeden bochenek chleba. Ja mu powiedziałem, że 1 zł i 50 gr.

- A po wieleś od nich brał?

Ja powiedziałem, że tak samo, po złoty pięćdziesiąt groszy. Niemiec podał mój bochenek i worek, i powiedział:

- Pojutrze o dziewiątej godzinie przyjdź na wartownię, to znowu cię wyprowadzę i znów kupisz.

Niemiec podał mi rękę i powiedział:

- Do swidania, towarzyszu.

Ja mu podziękowałem za jego dobroć i się rozeszli. Niemiec poszedł na wartownię, a ja się zostałem przy ognisku z kolegami.

Jeszcze parę razy mój wyprowadzał ten dobry Niemiec na szosę, ale później rozjechali Niemcy kobiety, które przynosiły chleb i różne produkty żywnościowe. Tylko przez Czerwony Krzyż dostawaliśmy po kawałku chleba czarnego i czasami przywieźli Niemcy do spółdzielni, to kto był pier[wszy], ten kupił.

I tak schodził dzień za dniem. Nareszcie nadeszła niedziela, zrobiło nas się mój, bo Niemcy odwieźli parę transportów niewolników żołnierzy do Prus i do Działdowa. Rozeszła się wieść, że przychodzi kapelan wojskowy i odprawi mszę pod magazynem. Była to sobota. Chłopaki się cieszyli, że nareszcie po miesięcznej tułaczce na froncie pod ogniem artylerii i stałymi nalotami dobry Pan Bóg zachował ich przy życiu, to będą mogli podziękować Panu podczas mszy świętej.

Ja poszedłem do parowozowni i nie wierzałem własnemu oczom. Spojrzałem, a w rowie zobaczyłem swojego woźnicę od białki cekaem. Leżał skulony, usmarowany oliwą i różnymi szmarami. Ja skoczyłem do rowu, zacząłem się mu przyglądać, nareszcie westchnąłem – był to naprawdę Elijasiek, nasz woźnica. Wziąłem go pod pachy i z wielką biedą go wysadziłem z tego brudnego kanału i zaprowadziłem go do ogniska. Prawie był sztywny od tego betonu. Ja zacząłem go odżywiać i rozgrzewać. Miałem prawie cały bochenek chleba, gotowałem kawę i co dwie godziny to dawałem mu kawałek chleba i kawy. Przez całe popołudnie w sobotę i w nocy opiekowałem się zagłodzonym Eliasiakiem. W niedzielę rano to już wstał na nogi i poszedł do pompy, i się wymył, i ogolił brodę.

Zaczął się zbliżać południe, była godzina gdzieś [w]pół do jedenasty. Żołnierze z niecierpliwością oczekiwali kapelana. Zaczął się robić coraz gęściej przy magazynie. Nareszcie przyszło dwóch Niemców, roztworzyli magazyn i wstawili stół, zamkli drzwi i postawili stół pod dzwiami i odeszli.

za parę minut przyszedł kapelan po wojskowemu w randze majora z walizką w rękę. Stał przy stole i zaszalutował, i poprosił dwóch żołnierzy, którzy służyli kiedyś we mszy świętej, na ochotnika. Zgłosiło się koło dwudziestu, ale tylko poszło dwóch. My stanęliśmy w pier[wszym] szeregu: Wiereszewski, Elijasiek i ja. Kapelan roztworzył walizkę, wyjął białe prześcieradło, żołnierze okryli stół, kapelan oblókł komżę, założył stół, wyjął z walizki kielich i dzwoni, i zaczął odprawiać mszę. Nasi żołnierze z pobożnością się modlili razem z kapelanem. Niemców nie było wcale w pobliżu. Była to straszna chwila do przeżycia. Powstała między żołnierzami straszna żalność za utraconą wolność i wolną Ojczyznę.

Kiedy kapelan skończył mszę i podał ton od skromnego ołtarza polowego „Boże, coś Polskę”, wojsko w niewoli zaczęło śpiewać na cały głos, tak jak by potężne organy zagrały. Na pewno ten śpiew było słychać o czterech kilometrach od tego miejsca, bo to nie śpiewała jedna kompania, tylko ośmiotysięczna grupa jeńców wojennych, żołnierzy polskich. I się stało to, czegom się nie spodziewali. Żołnierze odśpiewali pier[wszą] zwrotkę, to śpiew się przemienił w straszny szloch i jęk, prawie połowa naszych żołnierzy to na cały głos płakali ze wzruszenia.

Jeszcze nie skończyli śpiewać, to dwóch szwabów z bagnietami na karabinie dolecieli do kapelana, który stał z założonymi rękami i ze spuszczoną głową przy małym polowym ołtarzyku. Tak wyglądała ta scena, jakby dwóch diabłów przyleciało z piekła po grzeszną duszę. Wzięli kapelana i biegiem popędzili w kierunku komendantury. Straszna to chwila była do przeżycia dla żołnierzy, którzy kochali Ojczyznę.

Pomału zaczęło się robić luźniej przy ołtarzyku. Wszystko po mszy się zostało na stole pod magazynem. Żołnierze opuszczali teren ze spuszczonego oczyma. Ja się zatrzymałem dłużej ze swym kolegami. Ciekawy byłem, kto to wszystko włoży do walizki, czy puszcza kapelana, czy Niemcy się tem zaopiekują.

Niedługo czekaliśmy. Za parę minut przyszło dwóch Niemców, roztworzyli magazyn i wstawili stół do magazynu, i walizkę włożyli za drzwi, i zamkli, i odeszli. My całą trójką popatrzyliśmy na to miejsce, skąd zabrano naszego kapelana i odeszliśmy z wielką raną na sercu do swojego ogniska.

W krótkim czasie ogłoszono obiad. Wziąłem menachy i dołączyłem do ogona. Obiad był skromny: zaledwie pół litra wody i jeden kartofel. Po wypiciu tej polewki popołudnie tej niedzieli było smutne, panowała żalność pośród żołnierzy. Nie przewidywałem, że kiedyś nas zwolnią tylko tak samo postąpią z nami, jak z kapelanem. Zostaliśmy przez żadnej nadziei, zdawało się, że cały świat się opuścił na nas. Niemcy byli ostrożni, powiększali posterunki i pośród nas puścili Niemców w polskim umundurowaniu, żeby nas podsłuchywali, co

my będziemy gadali pomiędzy sobą. Ta wieść się rozeszła błyskawicznie, chłopaki się trzymali swoich znajomych i swoich ognisk, żeby nie podpaść.

I tak upływał dzień za dniem. Często się spotykałem ze starym Niemcem, bo zawsze miał wartę naprzeciw naszego ogniska i od czasu do czasu m[n]ie wyprowadzał za szosę kupić chleba. Ale od tej niedzieli to w nocy było słychać pojedyncze strzały w kierunku komendatury. Nie wiedziałem, co to znaczy to strzelanie. Nareszcie ośmieliłem się zapytać starego Niemca i on m[n]ie powiedział, że wracają nasi żołnierze do swoich domów, a komendantura jest wkoło obstawiona wartą i jak się natkną na nich jakiś Polaków, to strzelają i ich łapią. I powiedział:

- Pamiętaj, nie uciekaj, bo was zwolnią. Tylko – m[n]ie powiedział – nie mów nikomu.

Powoli nadchodził dzień osiemnasty października. Zaczęli głośno mówić, że ze Mławy już wszystkich zwolnili, wydały im przepustki. Pamiętam, była sobota, od rana drogą śli nasi żołnierze z Działdowa. Kiedy zobaczyłem na własne oczy, że Działdów zwolnił jeńców wojennych, to zdawało się, że i nam zaświeci słońce i wolność. Żołnierze się cieszyli, że niedługo opuszczą brudną parowozownię i kolczaste zasieki Iłowa, i spotkają się ze swemu rodzinami. Był to dzień radości i nadziei.

Po przespanej nocy nadeszła niedziela. Od samego rana zrobił się ruch na placu parowozowni. Niemcy zaczęli zwalniać naszych żołnierzy; najpierw zwolnili Poznaniaków i Pomorzaków. Niemcy Pomorzaków i Poznaniaków puścili w płaszcach do domu. Z nimi się liczyli j inaczej, dawali im więcej żywności jak nam. Po odejściu Poznaniaków i Pomorzaków Niemcy zaczęli dalej zwalniać powiaty: powiat ostrołęcki, plocki, ciachanowski i mako[ws]ki, a warszawski i przasnyski został zatrzymany.

Jak usłyszeli tę wiadomość, wszyscy stracili nadzieję, że wkrótce staną na progu własnego domu. Po ogłoszeniu tej wiadomości Warszawiacy i my z przasnyskiego powiatu zaczęliśmy się rozchodzić do swoich ognisk. Ja się zatrzymałem, bo chciałem się pożegnać z Wiereszewskim, bo on był z ciachanowskiego powiatu i czekał, żeby wywołał Ciechanów, to stanie do szeregu po przepustkę. Niemcy ogłosili, kto jest z ostrołęckiego i plockiego, żeby składali płaszcze, pasy, chlebak na kupę.

- Na zbiórkę macie stanąć tylko w mundurach. Ja powiedziałem do Wiereszewskiego:

- Jak Pomorzaków, to puścili w płaszcach, a was to rozbierają jeszcze i tak dobrze, że nie do kaleson.

Wiereszewski spojrzał na m[n]ie i powiedział:

- Ja bym i w kalesonach poszedł, żeby się wy dostać z tego piekła.

Nareszcie pożegnaliśmy się obydwa. Ja odeszłem od swojego ogniska ze smutną miną. Zaczął m[n]ie dokuczać jakiś niepokój i tęsknota, że jedną godzinę pragnąłem się zobaczyć ze swoją siostrą Bronisławą, która się znajdowała w krytycznym stanie – bieda i nędza panowała w jej skromnej chacie. Tęskniłem za Czesławą, za swoją narzeczoną. Godzina mi się składała na dwie, strasznie było długo do wieczora, przechodziły różne myśli

po mojej głowie.

Powoli zaczęło się ściemniać. Wziąłem menachę i poszedłem po kawę. Miałem jeszcze pół bochenka chleba w chlebaku. Kucharz nalał mi pełną menachę kawy i wydał chleb. Powoli wróciłem do ogniska, zacząłem jeść skromne kolację. Popatrzałem na plac i na ogniska. Zrobiło się luźniej przy ogniskach. Wreszcie usnąłem twardym snem.

Jakem się przebudził, zobaczyłem Niemca stojącego tuż przy m[n]ie. Wstałem na równe nogi i pierwszy powiedziałem:

- Zdrastujcie, towarzysze.

Niemiec podał mi rękę i m[n]ie mocno ścisnął za dłoń, i powiedział:

- Chodź, odejdz na stronę.

Odeśliśmy kawałek od ogniska i powiedział do m[n]ie:

- To ciebie nie zwolnili?

Ja odpowiedziałem, że nie. Ten dobry stary Niemiec powiedział:

- To ja cię zwolnię – i podał m[n]ie rękę i mocno ścisnął moją dłoń. – Jak was nie zwolnią jutro i we wtorek, to ja cię zwolnię. We wtorek w nocy będę miał wartę przy piwnicy i ustępie, to przyjdiesz o godzinie dwunastej w nocy i przejdiesz przez płot na drugą stronę ogrodzenia. I musisz jść w prawo, żebyś ominął komendaturę, bo tam dużo wartowników stoją na warcie, nawet i na szosy chodzi patrol.

Niemiec wsadził rękę do kieszeni i wyjął z kieszeni dziesięć cygarów i dał m[n]ie. Ja Niemcowi podziękowałem za dobrą radę i za cygary i odszedłem do ogniska. Przez starego Niemca powierzono dobrą nowinę. Przy ogniu zasnąłem twardym snem.

Jak długo spałem, to nie wiem. Zostałem obudzony przez kolegów, to było już widno, wszyscy już chodzili i rozgrzewali zmarznięte kości i oczekiwali na kawę. Ja prędko poleciałem do pompy, żeby przemyć oczy zaspane. Wróciłem do ogniska, zabrałem menażkę i poszedłem do kuchni. Po zjedzonem śniadaniu długo nadśluchiwałem, aż Niemcy ogłoszą jaką wiadomość. Od samego rana ten poniedziałek zdawał mi się jnnem dniem od wszystkich dni w niewoli, widziałem jak za mgłą jakąś wolność.

Zaczęła się zbliżać godzina dziewiąta. W bramie zobaczyłem dwóch Niemców, co wczoraj zwalniali naszych żołnierzy. Wkrótce usłyszałem głos powiedzony przez Niemca:

- Uwaga, warszawiacy, składać płaszcze i tomistry, chlebak i pasy, i stawać na zbiórkę. Zostaniecie zwolnieni do cywila.

Wkrótce Niemcy zaczęli wydawać przepustki. Za jakie pół godziny Niemcy znów ogłosili, żeby się przygotować powiat przasnyski i sierpecki. Radość powstała pomiędzy żołnierzami, wszyscy chcieli jak najprędzej opuścić druty kolczaste i brudną parowozownię.

Wkrótce odeszli warszawiacy. Stanęliśmy w szeregu powiatu przasnyskiego i sierpeckiego, ale dużo zostało jeszcze z powiatów wschodnich. Niemcy wydali nam przepustki i powiedzieli, żeby unikać publicznych dróg i wojska niemieckiego. Niemiec przed szeregiem zaszalutował i powiedział:

- Rozejście się i się zameldować na posterunku u zandarmów.

Po rozejściu się ze zbiórki nas we trzech stanęliśmy blisko wartowni. Stanęliśmy tylko parę

minut, bo ja chciałem podziękować staremu Niemcowi za jego dobre serce i za pomoc w ciężkich warunkach w niewoli. Oni się zgodzili, że poczekają na m[n]ie. Ja prędko wszedłem do wartowni i powiedziałem:

- Dzień dobry.

Wszyscy m[n]ie odpowiedzieli, a Niemiec, który m[n]ie pomagał z uśmiechem się zapytał:

- Masz przepustkę?

Ja wyjąłem przepustkę z kieszeni i pokazałem Niemcom, i powiedziałem:

- Przyszedłem wam podziękować za waszą pomoc.

Niemcy na drogę dali mi całą bułkę chleba i cygarów piętnaście sztuk. Ja podziękowałem za zaopatrzenie na drogę, ale na odchodem się okazało, że rozmawiali ze mną po polsku. Niemcy kolejno podali m[n]ie ręce na pożegnanie. Jeden powiedział po polsku:

- Szczęśliwej podróży.

Wyszedłem z wartowni. Prusik z Parciak i Elijasiek z Dzierzkowa nie mogli się doczekać na m[n]ie, ale jak zobaczyli u m[n]ie chleb, to nic nie mówili na ten temat, że za długo byłem na wartowni. Ja przekroiłem bułkę chleba na trzy części i dałem każdemu porcję. Chłopcy nie chcieli jeść chleba, tylko chcieli, żeby jak najprędzej się wydostać za druty kolczaste. Pochwaliłem chleb i ruszyłem w kierunku małej bramy, gdzie stał wartownik niemiecki. Ja się obejrzałem na tych, którzy się zostali bez nadziei, że kiedyś zobaczą swoje żony, ojców i swoich braci. Znów mi się ścisnęło serce z żalu. Wartownik sprawdził nasze przepustki i powiedział:

- Do matki na haus!

Wyślim na szosę. Splunąłem w kierunku parowozowni i powiedziałem do swoich kolegów:

- Trudno, musielim jakąś część swojego życia ofiarować swojej Ojczyźnie. Wojna, niewola, ale to na tem nie koniec. Na pewno jeszcze będziemy potrzebni naszej Ojczyźnie, kiedym zostali przy życiu.

[Gdy] przechodził przez komendaturę niemieckiej, wartownicy nas nie czepiali. Ze starszych Niemców niektórzy powiedzieli:

- Wracacie do matki.

Wkrótce minęli komendaturę, powyciągali chleb spod mundurów i zaczęli jeść. Po zjedzeniu po kawałka chleba wyjąłem z kieszeni cygary i zapaliłem – już na wolności, nie za drutami. Wkrótce doszliśmy do Mławy. We Mławie już nie było naszych żołnierzy, dowiedziałem się od cywilów, że częściowo Niemcy naszych zwolnili, a resztę wywieźli do Prus na roboty. Podeszliśmy kawałek ulicą i spotkał nas major niemiecki. Był to wstrętny człowiek, piegowaty, ślepie zbójcekie, był podobny nie do człowieka, tylko do jakiegoś zwierza drapieżnego. Na wstępie zażądał od nas przepustek. Okazałem przepustki. Major się cypnął Elijasiaka, przylał mu w twarz ręką i powiedział:

- Dlaczegoś taki brudny? Toci są czyste, ogolon, a tyś taki brudny i nieogolony!

Na powrót uderzył go drugi raz w twarz i powiedział po niemiecku:

- Szwajne polnysz – i odszedł.

Doszlism do rynku. Obstąpili nas ludzie, jedni chcą nam dać pieniędzy, a drudzy dają bułki, inni zapraszają do swoich domów. Była to ludność bardzo życzliwa, ale my za ich dobre serce i uczciwość podziękowali. Nic nam nie

było potrzebne, chciałem się jak najprędzej wydostać z miasta. Skręciłem na ulicę, która prowadziła w kierunku Dzierżgowa.

Na końcu ulicy się zatrzymaliśmy i weszliśmy na podwórko. Gospodarz nas zaprosił do mieszkania. Elijasiak poprosił o brzytwę, żeby się ogolić i umyć. Gospodyni ze swoją córką zajęły się obiadem. Prędko się wszystko znalazło na stole i nas poprosili do skromnego obiadu. Podczas obiadu gospodarz zadawał nam różne pytania frontowe. Jak zaczęliśmy rozmowę o wojnie, to trzeba było ze dwa dni rozmawiać, żeby jakoś skończyć.

Po obiedzie pożegnaliśmy gospodynię i gospodarza i odeszliśmy w kierunku Dzierżgowa. Przyszliśmy naprzeciw Dzierżgowa. Pożegnaliśmy się z Elijasiekiem, a obydwaj z Prusikiem poszliśmy dalej w kierunku Krzynow[?]ogi⁴⁷. Na dobry zmrok byłem w Krzynowodzie, weszliśmy do jednej chałupy i poprosiliśmy o nocleg. Chętnie nas przenocowali, a o świcie ruszyliśmy w kierunku Jednorozca. Na wieczór doślim. Przed zachodem słońca znaleźliśmy się w boru.

Nie ślim dalej, tylko zaczekałem w gęstym zagajniku, aż Niemcy przejdą w drugi koniec wioski. Niemców szło może ze dwa bataliony. My wypatrzylim, że od [Ulatowa-]Pogorzeli pusta szosa. W tem czasie przeszliśmy przez szosę na zastodole⁴⁸. Prusik został na Żydowie⁴⁹, a ja poszedłem po zastodolu do domu, w którym mieszkała moja siostra. Nasza wieś była w takim stanie jak przed odejściem na wojnę, nie była spalona. Szedłem po zastodolu. Spojrzałem w każde podwórki, spotykałem znajomych, którzy się witali serdecznie, ale każdy był taki wystraszony, tylko się oglądał, czy nie idą Niemcy.

Nareszcie doszedłem do domu, w którym mieszkała moja siostra. Serdecznie się przywitałem i usiadłem na taborku. Po krótkiej rozmowie zapytałem siostry, jak tam żyje Cześka. Odpowiedziała m[n]ie siostra:

- Często się pyta, czy nie mamy jakiejś wiadomości o tobie, mocno tęskni za tobą. Siostra dalej zaczęła opowiadać, wiele Niemcy rozstrzelali naszych ludzi podczas ucieczki i jak Niemcy postępują z ludnością polską. Wysłuchałem te opowiadania mojej siostry. Od tego wieczoru zapragnąłem walczyć z wrogiem. Trudno m[n]ie było znieść tej krzywdy, którą widziałem na własne oczy i z opowiadania ludzi. Dobrze zrozumiałem, że to jest wolność za mgłą i trzeba walczyć o prawdziwą wolność. Tęskno mi się zrobiło za bronią, którą w haniebny sposób musiałem złożyć w Nowym Dworze [Mazowieckim] na łące pod torami. Przypomniały mi się słowa naszego pułkownika, żeby dalej być żołnierzem i wykorzystać czas, jak przyjdzie potrzeba. Powoli się przyzwyczaiłem do cywilnej niewoli i zacząłem pracować na powszedni kawałek chleba, ale nigdy nie traciłem ducha, że Niemcy wygrają tę wojnę. Zawsze myślałem, że przyjdzie czas, żeby ofiarować

resztę życia z bronią w ręku swojej ukochanej Ojczyźnie.

Powrót z niewoli

Po kapitulacji Modlina i Nowego Dworu [Mazowieckiego] Niemcy wszystkich jeńców wojennych wywozili do Prus i do Zachodnich Niemiec. Jak się napełniły Prusy polskimi żołnierzami, to resztę Wojska Polskiego Niemcy zmuszeni byli zakwaterować na naszej ziemi ojczystej. Pierwszy punkt zbiorowy był we Mławie koło cegielni, a drugi w Iłowie, a trzeci w Dziadkowie. Niemcy nas nazywali bohaterami Modlina i Warszawy, ale nas traktowali nie po ludzku. M[n]ie [się] trafiło przebywać tę straszną niewolę w Iłowie w parowozowni przy samej stacji kolejowej.

W pierwszych dniach niewoli Niemcy postanowili nas zgłodzić, żebyśmy nie mieli siły do ucieczki. Po trzech dniach Niemcy nam dali po pół litra zupy i na dwunastu żołnierzy bułki chleba. Ale to nie wszystko, bo byli tacy, którzy nie dostali jedzenia, bo dla nich zabrakło. Niemcy boje się dalej głodzić naszych jeńców i za jakąś godzinę przywieźli chleb i kawę.

I mieli się czego boić, bo nas było dwadzieścia tysięcy w Mławie i w Iłowie, ale nie wszyscy byli rozbrojeni doszczętnie. Niemcy nas nie kontrolowali, to niektórzy żołnierze zatrzymali przy sobie granaty i rewolwery, i noże sprężynowe, nawet i bagnety. Widziałem to na własne oczy.

Gdyby Niemcy nas dalej głodzili, to bym się rzucił na szwabów, bo byłem gotowy na śmierć i życie wybić wartowników i odzyskać jaką taką wolność, i zaspokoić głód, który dokuczał każdemu z nas. Ale po trzech dniach warunki się trochę poprawiły.

Niemcy założyli spółdzielnię. Można było kupić chleba, ale ten kupił, który stał w ogonku na przedzie, a reszta się rozeszła przez chleba, bo to było tylko parę solniaków. [Gdy] piątego dnia dostarczył nam chleba Czerwony Krzyż, to niektórzy żołnierze dostali po kawałku chleba, ale dla wszystkich nie starczyło.

Długie to były dni i noce, choć Niemcy obiecywali, że nas zwolnią do domu, ale nasi żołnierze dalej się załamywali na duchu. Jedni mówili, że Warszawa zniszczona, może i rodzina wybita, a może gruzamy zasypiana... Różne myśli przychodziły do głowy, powoli wygasło serce żołnierskie, a zaczęły nadchodzić różne kłopoty rodzinne.

Ale nie wszyscy żołnierze stracili ducha. Prawie większa połowa nie wierzyła niemieckiej propagandzie, tylko wszyscy myśleli, jakim sposobem wydostać się poza druty obozu. Prawie każdego dnia i każdej nocy nas paru obserwowaliśmy niemieckie ruchy wojskowe, ale niestety Niemcy coraz to gęściej stawiali karabiny maszynowe poza drutami z kolczastego drutu. Zaczęliśmy i my tracić nadzieję ze zbrojnego natarcia na wartowników niemieckich.

Dalsze dni w niewoli niemieckiej były długie, tak jakby dwa dni się składały na jeden, bo każdy z żołnierzy pragnął się z niej wydostać. Wiedziałem dobrze, że to nie będzie wolność, tylko cały nasz naród pogrążony jest tą niewolą, ale pragnęliśmy wrócić do swoich

domów i zobaczyć na własne oczy swoich ojców, swoje żony i dzieci. Czekaliśmy z tęsknotą za swoimi bliskimi i za domem. Tylko nas ratowały słowa pułkownika, które nam wygłosił w lesie koło Bożej Woli. Powiedział, że wojny nie przegrał, tylko bitwę...

- Ale dalej jesteście żołnierzami, was Niemcy zwolnią do cywila, ale jak będzie się formować partyzantka w Polsce lub zagranicą jakieś polskie oddziały, to nie szczędźcie swoich sił, wstąpcie, moi drodzy żołnierze. Bo wojna się nie skończyła, a za nami pójdą inne państwa i Polska dalej [w]spólnie z nimy będzie prowadzić wojnę z Hitlerem – te słowa pułkownika krzepiły nas na duchu.

Aż nadszedł dzień 15 październik. Zobaczyliśmy na własne oczy żołnierzy, którzy, zwolnieni z Dziadkowa, szli drogą do domu. Wtedy zaczęliśmy się cieszyć, że i nas zwolnią do cywila, ale Niemcy zwolnili jeńców z Dziadkowa i z Mławy w piątek i w sobotę, to jest 15 i 16 października 1939 r., a my czekamy z niecierpliwością od rana w niedzielę. Czekamy na jedno słowo, żeby usłyszeć od Niemców, że nas zwolnią. Nareszcie o godzinie [w]pół do dziesiątej usłyszeli, że będziemy zwolnieni, ale nie wszyscy. Zostaną zatrzymane powiaty warszawski, pułtuski, makowski, przasnyski i sierpecki, a zostaną zwolnieni wszyscy jeńcy z Pomorza i Mławy.

- Proszę złożyć płaszcze, noże sprężynowe, bagnety i granaty, i płaszcze, i stanąć w szeregu, będą wydawane przepustki.

Wygłosił te słowa Niemiec podchorąży. Poznaniacy z radością opuszczali parowozownię i druty kolczaste i powoli odchodzili do swoich domów. A my ze spuszczonej głowami dalej oczekiwaliśmy wytęsknionej wolności. Powoli i w zamyśleniu spędziłem sobotę. W napięciu i w tęsknocie czekałem, co jutro będzie.

Po przespanej nocy przy ognisku nadeszła niedziela. Był to dzień strasznej udręki. Żołnierze zbierali się do małych grup i półgłosem coś pomiędzy sobą poszeptowali i rozmawiali. Powoli się zbliżała godzina 10. Do nas doszła niepożądana wiadomość, że po niedzieli Niemcy nas wywiozą do Prus na robotę. Ta wiadomość rozeszła się błyskawicznie pomiędzy żołnierzami. Straciliśmy całą nadzieję, że zostaniemy zwolnieni i w wielkim utrapieniu spędziłem tę niedzielę do wieczora.

Wieczorem przy ognisku zebraliśmy się cała dziesiątka z sierżantem na czele i zaczęliśmy radzić, w jaki sposób wydostać się z tej niewoli. Sierżant miał od początku do nas zaufanie, powiedział półgłosem:

- Trzymajcie się razem, to może się jakoś wydostać, może w transporcie da się nam wydostać. Musimy siadać na ostatni wagon. Mamy dwa granaty i jeden rewolwer, to zniszczym tylną straż i będziemy wolni.

Prawie do północy układaliśmy plany, w jaki sposób wykonać tę operację. Po północy zaczęliśmy pojedynczo zasypiać.

Obudzili się w poniedziałek rano. Dołożyliśmy węgla do ogniska, żeby się jakoś rozgrzać, bo każdy się trząs[ł] z zimna. Za jakąś godzinę poszliśmy po skromne pół litra kawy i po chleb. Chleb był podzielony na porcje - na dwunastu żołnierzy półtora kyla chleba.

⁴⁷ Nie wiadomo, czy chodzi o Krzynowogę Małą, czy Wielką (pow. przasnyski), ale kierunek był ten sam.

⁴⁸ Zastodola – pas nieużytków za stodołami gospodarstw położonych wzdłuż ul. Długiej w Jednorozcu, głównie od strony południowej.

⁴⁹ Żydowo – północna część wsi Jednorzec oraz południowa część wsi Ulatowo-Słabogóra, zamieszkiwana do 1939 r. przez ludność żydowską.

Po skromnym śniadaniu dalej czekaliśmy, co Niemcy ogłoszą. Niemcy nam zrobili niespodziankę - koło godziny dziesiątej ogłosili, że zwolnią następujące powiaty: sierpecki, przasnyski, ciechanowski i makowski. Zostaną zatrzymane pułtusi i wszyscy jeńcy z Warszawy. Czekaliśmy, kiedy Niemcy powiedzą, [żeby] stanąć w szeregu po przepustki. Granaty zakopaliśmy do ziemi.

Wreszcie nadeszło południe, Niemcy ogłosili, żeby zjeść obiad i złożyć płaszcze, koce i broń i stanąć powiatami, to będą wydawane przepustki. Częściowo tylko niektórzy poszli po tę śmierdzącą supkę. Prędko wszyscy złożyli płaszcze i koce, i stanęli na zbiorce, a sierżant, [który] był z powiatu pułtuskiego, stanął razem z nami.

Niedługo to trwało, może godzinę i dostaliśmy przepustki i sierżantowi się udało kombinacja. Razem wyszliśmy zza drutów na wolność. Minęliśmy komendaturę wojskową i szosą

poszliśmy w kierunku Mławy. We Mławie pożegnaliśmy się z sierżantem i z innymi kolegami. Sierżant powiedział:

- Chłopcy, zapamiętajcie słowa pułkownika.

Powiedział „Do widzenia” i rozeszliśmy się każdy w swoim kierunku. My we trzech: Prusik z Parciak i Elijasiak z Dzierzgowa i ja trzeci poszliśmy ulicą w kierunku Dzierzgowa. Po godzinie marszu pożegnaliśmy się z Elijasiakiem i obydwaj z Prusikiem przez pole weszliśmy na góry pod Mławą. Przybraliśmy kierunek Krzynow[og]a⁵⁰ i dalej się rozglądaliśmy, żeby nie zbłądzić.

Nareszcie trafiliśmy na ruski gościniec, który prowadził do samego Jednorożca. Ze wzgórza było widać las, który przegradzał pole od [Ulatowa]-Czerniak[ów] do Jednorożca. Byliśmy na prostej drodze, ale zaczął zapadać zmrok. Doszliśmy do Krzynow[og], przenocowaliśmy u szewca i poszliśmy dalej. Dochodząc pod Czerniak, [zobaczyliśmy, że] z mieszkania

wyleciał żołnierz polski w mundurze z gołą głową i zaczął krzyczeć:

- Teraz szwabom pokażem! Jest nas trzech, zaraz będzie cały pułk, to my im damy dobrze w skórę!

A za nim wyleciała jego żona i zaczęła nas prosić, żebyśmy weszli do mieszkania, bo jej mąż stracił rozum na wojnie. Kobieta nas poczęstowała chlebem i mlekiem, a jemu powiedziałem, żeby czekał, bo zaraz przyjdzie cały pułk polskiego wojska. I odeszli, mijając Czerniak. Weszliśmy do ostatniej chałupy, gdzie mieszkał mój znajomy – nazywał się Stanisław Połomski. Nie puścił nas, musieliśmy u niego przenocować, a rano nas odwiózł do Jednorożca.

Na drodze od [Ulatowa]-Pogorzeli zobaczyliśmy cały batalion niemieckiej piechoty. Obydwaj zatrzymaliśmy się za stodołą i czekaliśmy, aż szwaby przejdą, później przeszliśmy na drugą stronę szosy. Prusik został u kuzynów, a ja



Niemiecka mapa z 1944 r. Źródło: http://amzpbig.com/maps/2892_Jednoroschetz_1944.jpg (dostęp 30 IX 2018 r.).

dalej poszedłem po zastodolu. Poszedłem przez całą wieś; wszystko było po staremu. Wieś Jednorożec i Stegna były nietknięte wojną, nawet jeden budynek nie spalił się od wojny. Nareszcie doszedłem do domu, w którym mieszkała moja siostra i bratowa, bo stamtąd odchodziłem na wojnę. Zastukałem do drzwi, drzwi roztworzyły się szeroko, a we drzwiach zobaczyłem swoją siostrę, która m[n]ie serdecznie przywitała.

Wszedłem do ciasnej izby i usiadłem na małym stołku i zacząłem rozmyślać, jak sobie ułożyć życie pod jarzmem hitlerowskim. Moje serce żołnierskie pragnęło dalej, żeby się zemścić za zniszczoną Polskę i za żołnierzy poległych w obronie naszej Ojczyzny. Dalej zapytałem się siostry, kto z naszej wioski zginął podczas tej wojny. Siostra powiedziała, że trzech chłopów i jedna kobieta. We wiosce Ponikwi Niemcy otoczyli wieś dookoła i ją podpaliли, a ludność cywilna zmuszona była do ucieczki. Niemcy nie oszczędzali nikogo, strzelali do wszystkich, do dzieci i do kobiet, i tam został zabity z naszej wioski Marcin Gwiazda, kapral rezerwy, Nizielska Władysława, Granoszewski Władysław i Antoni Nizielski. Moja siostra się roześmiała i powiedziała łagodnym głosem:

- Stefan, dlaczego się nie zapytałeś najpierw o swoją narzeczoną Czesławę, gdzie ona jest i czy żyje, dlaczegoś o niej zapomniał? Jej oczy co dzień wypatrują ciebie, kiedy wrócisz z tej wojny. Ona pragnie usłyszeć twoje słowa powitalne. Ona pragnie ucałować twoje usta i przytulić cię do serca swojego. Przecież to twoja przyszła żona.

Ja, słuchając łagodnych słów swojej siostry, za dużo się nie rozczulałem siostry słowami. Powiedziałem siostrze, [że] na wszystko przyjdzie czas.

- Na razie, kochana siostrzo, to muszę się rozejrzeć, co dalej nastąpi, jakie będą warunki. Jutro muszę się zameldować na posterunku niemieckim.

Po przespanej nocy po śniadaniu poszedłem na posterunek się zameldować. Wszedłem do środka mieszkania. Niemiecka policja w początkach nie była na wejrzenie oka groźna. Mieli tłumacza Polaka. Nazywał się Henryk Rogala⁵¹, dużo robił dobrego dla naszej ludności, był Polakiem z krwi i kości. Ja położyłem przepustkę na stole, Niemcy pisali, a Rogala zadawał mi pytania. Od samego początku Niemcy szukali swoich fol[ks]dojców, bo m[n]ie się zapytali nawet o dziadka, ale ja odpowiedziałem, że dziadek i pradziadek byli urodzeni w naszej wiosce. Na końcu Niemcy powiedzieli, że muszę się meldować u nich na posterunku dwa razy na tydzień we wtorki i w piątki.

Po zameldowaniu na posterunku niemieckim wróciłem znowu do ciasnego mieszkania do siostry. Do swojej narzeczonej Czesławy poszedłem trzeciego dnia. Była to niedziela. W domu Czesławy byli wszyscy: Czesia i matka, i brat Czesławy z Małowidza. Ja przywitałem przyszłą teściową, Czesię i jej brata. Na mój widok wszyscy się ucieszyli,

a mojej teściowej polecały łyżę z oczu. Ja usiadłem przy bracie Czesławy i zacząłem rozmowę.

Pierwszy on zaczął opowiadać, jak zabił trzech Niemców. Syn gajowego nazywał się Sałko[w]ski, był to chłopak 16-letni. Wziął z domu ojców karabin i amunicję, podszedł do szosy, która prowadziła od Chorzel do Jednorożca. Zobaczył, jak szosą idą Niemcy w kierunku Małowidza, wszedł na drzewo i czekał na kolumnę niemieckiego wojska. Jak Niemcy nadeszli, zaczął do nich strzelać. Zabił trzech Niemców i paru ranił. Nie była ta wiadomość znana dla wszystkich mieszkańców Poloni, a z synem Sałko[w]skiego co się stało, to my nie jest znane, ale te trzy mogiły, w których byli przez niego zabici Niemcy, widziałem na własne oczy.

Nareszcie zaczął zapadać zmrok. Odeszłem z mieszkania Czesławy, bom się bojałem, żeby m[n]ie nie złapali żandarmy. Była godzina policyjna, [a] jak się ściemniło, wolno było policji niemieckiej strzelać do Polaków. Z początku nie byli mocno groźni, jak złapali jakiego chłopaka, to musiał zapłacić s[ł]trać⁵² dwie miarki i cały dzień ciąć drzewo.

Z tego powodu nieczęsto odwiedzałem swoją narzeczoną, ale te żandarmy dostawali co tydzień inne rozkazy i się często zmieniali w swoim postępowaniu. Dostali rozkaz aresztować Polaków na wyższych stanowiskach, przeważnie ludzi szkolonych, nauczycieli, leśniczych i nadleśniczych, prawie wszystkich, którzy mieli oczy przetarte, a u nich nie pracowali. Żandarmy formowali listę ludzi kształconych – to było ich tajemnicą.

M[n]ie powołano do roboty do nadleśnictwa Budziska jako murarza w roku 1940. W Nadleśnictwie urzędowali Niemcy, ale mieszkał i Nadleśniczy Zalewski sam, a żona jego i syn mieszkali w Nowym Dworze [Mazowieckim]. Mieli tam aptekę, którą obsługiwała jego żona, której na imię było Wanda. Państwo Zale[w]scy mieli jednego syna, który mieszkał razem z matką w Nowym Dworze [Mazowieckim].

Jednego dnia, a było to koło 10 kwietnia 1940 r., ja pracowałem przy kanalizacji od łazienki. Nagle drzwi nadleśniczówki się roztworzyły z łozgotem, wybiegł na podwórkę Zale[w]ski i biegiem wleciał do mieszkania Żuchowskiego, do swojego wiernego sługi. W tym momencie wyszedł z mieszkania Franciszek Żuchowski i machnął ręką – dał znać, że bym do niego przyszedł. Obydwa wpadliśmy do chlewa. Żuchowski powiedział:

- Stefan, kładź na konie puszorki⁵³, musimy ratować naszego nadleśniczego, bo żandarmy przyjechali po niego.

Ja prędko założyłem puszorki na konie, Żuchowski zabrał konie, założył do drezniny, a nadleśniczy Zale[w]ski wyskoczył oknem z mieszkania swojego wiernego sługi i wsiadł na drezninę i odjechał torem wąskotorówki do stacji Parciaki. Ja po zastodole wróciłem do swojej roboty.

Może zeszło dwadzieścia minut, znowu się roztworzyły drzwi nadleśniczówki. Ja się obejrzałem do tyłu, [a] we drzwiach ukazała się wstrętna mordą żandarma. We m[n]ie obudziła się krew żołnierska, zaciąłem zęby i czekałem

niecierpliwie, co dalej będzie.

Wkrótce z mieszkania na podwórkę wyszło czterech żandarmów i nadleśniczy niemiecki, [który] miał rangę majora, był ranny od polskiej kuli, był na wypoczynku. Wkrótce wszyscy stanęli przy wykopie i patrzyli swojemu ślapiemu na m[n]ie, tak jak diabli nad dobrą duszą, co ją chcieli zabrać do piekła. Ja robiłem dalej swoją robotę, dużo nie zważałem na szwabów. Wyszedłem z rowu po następną rurę. Nadleśniczy niemiecki poklepał m[n]ie po ramieniu i powiedział po niemiecku:

- To jest dobry chłop.

Niemcy postojeli jeszcze trochę, coś poszwargotali i we czterech odeszli, a jeden się zatrzymał i zaczął do m[n]ie mówić po polsku. Powiedział, że jak będę tak robił, to będę miał dobrze u nas. Niemiec powiedział jeszcze parę słów i odszedł do swoich żandarmów. Żandarmy leniwie obeszlili chlewy, zajrzeli do mieszkania Żucho[w]skiego i poszli za stodołę. Za stodołą postojeli parę minut, wrócili z powrotem na podwórkę, zajrzeli do stodoły.

Ja powiedziałem sam do siebie: „Pocałujta go w tyłek”. Żandarmy znowu przeszli koło m[n]ie i stanęli przy nadleśniczówce, poszwargotali parę minut i odjechali do Jednorożca.

Za jakieś dwadzieścia minut zobaczyłem na podwórku Żuchowskiego z konami. Wrócił ze stacji. Opanowała m[n]ie ciekawość, chciałem jak najprędzej się dowiedzieć, czy szczęśliwie dojechali na stację. Ja wiedziałem, że Żuchowski jest gadułą, znałem go dobrze sprzed wojny. Dobrze wiedziałem, że długo to nie potrwa, że zaraz do m[n]ie przyjdzie.

I tak się stało. Dał koniom obrok i przyszedł do m[n]ie. W pobliżu nie było nikogo. Żuchowski zaczął mi półgłosem opowiadać. Na wstępie powiedział:

- Wiesz, Stefan, ten niemiecki nadleśniczy to jest dobry człowiek, to on powiadomił Zalewskiego, żeby uciekał, bo po niego przyjechali żandarmy.

Ja się zapytałem, czy Zalewski odjechał pociągiem. Żuchowski powiedział:

- Tak, pożegnał się i pociąg ruszył w stronę Ostrołęki.

Ja opowiedziałem Żuchowskiemu, jak niemieckie żandarmy jego szukali w dachach i za stodołą. Roześmieli się radośnie obydwaj, że nam się udało uratować nadleśniczego. Był to dobry chłop dla biednych ludzi.

Odszedł Żuchowski do nadleśniczówki, a ja zostałem sam. Dalej robiłem swoje robotę powierzoną mi przez Niemców, ale nie miałem spokoju w swoim sercu. Moje żołnierskie serce rwało się do walki zbrojnej z Niemcami, bo moje oczy dużo widziały podczas wojny i [widziały] brutalne traktowanie naszych jeńców wojennych.

Nadeszła mi myśl, żeby mieć kontakt z Żuchowskim, ale się trochę obawiałem, bo to był gaduła. Postanowiłem, że ja będę z niego wyciągał słowa, bo on może rozmawiać po niemiecku, to się prędzej dowie od Niemców coś korzystnego dla m[n]ie. A ja jego wysłucham i nic mu nie powiem, będę przestrzegał tajemnicy żołnierskiej. Powiedziałem sobie słowo, że dotrzymam przysięgi i muszę być wierny swojej Ojczyźnie, bo nadszedł czas ten, który wygłosił nam pułkownik w lesie koło Bożej Woli, że za namy pójdzie cały świat. Cieszyłem się, kiedy usłyszałem słowa od Żuchowskiego, że

⁵¹ Henryk Rogala – pracownik urzędu gminy w Jednorożcu w okresie okupacji niemieckiej. Wraz z pozostałymi pracownikami (Mieczysław Majewski, Lucyna Kozłowska) organizował karty przemialowe, przepustki, becugszajny (asygnaty, bony), lewe dokumenty i zaświadczenia pracy dla Polaków.

⁵² Sztrafa – kara, zwykle pieniężna, grzywna, mandat.

⁵³ Puszorek – uprząż.

z Niemcami wojuje Francja.

W Nadleśnictwie robiłem dalej. Żuchowski co się dowiedział od Niemców, to nie mógł wytrzymać, musiał m[n]ie powiedzieć tę wiadomość. Ja dalej pracowałem z Niemcami, bo Niemcy byli pewni, że Polska zginie z mapy świata. Do nadleśnictwa zaczęli przybywać fachowcy różnych branż: malarze, spawacze i zduni. M[n]ie nadleśniczy niemiecki przydzielił do roboty ze zdunami. Ci ludzie się posługiwali językiem niemieckim, ale wszyscy umieli po mazursku mówić. Niemcy na nich mówili, że to są niemieckie Polacy. Ja dalej pracowałem ze zdunami razem.

W naszej wiosce Jednorozcu Niemcy zabierali przeważnie młodzież na roboty do Prus i do Niemiec, z początku na ochotnika, a później na przymus. Nasza młodzież częściowo zaczęła się ukrywać, to żandarmy złapali, zbili i odwieźli do Niemiec. [Gdy] parę dziewcząt i chłopów zatrudnił niemiecki nadleśniczy, to już byli wolni od żandarmów.

Ja od tych niemieckich Polaków przy [w]spólnej robocie mogłem się dowiedzieć różnych wiadomości. Zapragnąłem gdzieś to przekazać. Pragnąłem należeć do jakiejś organizacji. Ale w nadleśnictwie został tylko Król, dawny sekretarz polski. Dobrze znał język niemiecki i pismo niemieckie, i dalej był sekretarzem. A drugi to był Żuchowski, ale trzeba się było jego trochę obawiać, żeby coś nie wyklepał tam, gdzie nie potrzeba. Żuchowski był dobrem człowiekiem, dużo pomagał ludziom, w czym mógł. Często można było spotkać młodzież, co się ukrywali, żeby ich Niemcy nie zabrali do Prus. Taki chłopak lub dziewczyna po ucieczce z domu zgłosiła się do Żuchowskiego, to po dwóch dniach mogła wrócić do domu i się zameldować na posterunku jako [że] pracuje w nadleśnictwie. Ten Niemiec niepodobny był, żeby udzielał pomocy naszej ludności. Był wysoki, jakieś jeden metr osiemdziesiąt centymetrów, głowa płaska, duża i na twarzy mocno piegawaty. Włosy żółte jak wiewiórka, oczy zapalczywe i groźne, ale serce posiadało jakieś człowieczeństwo.

Ja przepracowałem z niemieckimi zdunami do czerwca. Jeden z tych Niemców był dość urodny i zawsze sam na sam mówił, że on jest Polakiem. Dość był zyciwy dla m[n]ie. A ten drugi to była taka nieuroda, łeb żółty, twarz piegawata, więcej był podobny do niemieckiej małpy. Na często przy robocie krzywdził m[n]ie swojemu słowami i ranił moje polskie serce, które pragnęło jak najprędzej zemścić się na niemieckich okupantach, ale dalej milczałem, gryząc w sobie tę nienawiść do tego człowieka w postaci niemieckiej małpy.

Pewnego dnia na początku czerwca 1940 r. przyjechałem do roboty. Przywitałem swoich niemieckich [w]spółpracowników. Walter przywitał m[n]ie serdecznie jak zawsze, a ten drugi Jrych powiedział:

- Coś, polski pierunie, przyjechał?!

I zaczął m[n]ie wyzywać od polskich świniów, ale go Walter uspokajał. Ten żółty niemiecki pies dalej szczekał, powiedział:

- To wy zabiłiście mojego szwagra! Ale my zrobim z wamy porządek. Najpierw wybijem waszych Żydów, a później was.

Ja dalej milczałem z dużą raną na sercu, ale ten dobry Walter wziął go za ramiona i powiedział:

- Dość twojej głupoty, czas do roboty.

Ten żółty pies niemiecki zaczął się z nim kłócić. O mało co się nie pobili obydwa, ale wkrótce rozeszli się każdy do swojej roboty. Walter spojrzął na m[n]ie i powiedział:

- Chodź, Stefan, dokończem tego pieca, a później dokończem twój piec. Będziem stawiąc obydwa, a ten głupi niech robi sam.

My obydwa z Walterem robilim w jednym pokoju, a ten niemiecki pies w drugim. Walter zaczął się skarżyć przede mną na Niemców. Zaczął m[n]ie opowiadać, jak hytlerowcy jem dokuczali, że w szkołach, w których uczyli się dzieci po polsku czytać i pisać, to wybijali szyby z okien i często się zdarzało, że pobili nauczycieli, a później zakazano uczyć po polsku. W tym człowieku było widać, że w jego żyłach płynie polska krew. Walter dużo mi opowiedział, jak poniewierani byli ludzie, którzy pragnęli należeć do Polski.

Niedługo przyleciał do nas ten żółty, przeze m[n]ie nazywany żółtem psem, i zaczął się znów kłócić ze mną, ale ja wcale nie słuchałem, tylko śpiewałem wojskowe piosenki, które Walter lubiał słuchać. Ale Jrycha to mocno drażniło. Parę zresztą razy przylatał do nas, żeby się kłócić ze mną. Ja zawsze odpowiadałem jemu śpiewaniem. Wcale ja nie brałem jego słów pod uwagę. Nareszcie ten obrzydły Niemczak powiedział:

- Stefan, zaśpiewaj „Jeszcze Polska nie zginęła”!

Ja jemu powiedziałem:

- Ty nie masz żadnego wychowania.

- A co byś ty robił, jak by wasz kraj kto zabrał i ci kazał śpiewać wasz hymn narodowy?!

Ten piegawaty Niemczak powiedział, że by becał, a ja się roześmiałem i powiedziałem:

- Tak! Byś becał jak koza.

Niemczak się rozeźlił i zaczął m[n]ie przezywać od polskich diabłów. Odszedł parę kroków, a ja powiedziałem półgłosem do Waltera:

- Kura go osrała na twarz i tak się mądrzy. On podobniejszy do diabła, bo ma i łeb żółty, i ośle uszy.

Wrócił się do m[n]ie, ślepie mu się zapaliły jak sialonemu psu i zaczął się m[n]ie pytać, co ja powiedziałem na niego. Walter zaczął się śmiać z niego i ja się roześmiałem. A ten potwór niemiecki uderzył m[n]ie w twarz, a ja jakim go odepchnął, to żeby nie ściana, to by wiwinął parę kóz. Ale przy ścianie się obalił przez cegły. Zerwał się, chciał się dalej ze mną kłócić. Powiedział, że zamelduje żandarmom, ale Walter doleciał do niego i zaczęli po niemiecku się obydwa kłócić. Ja zasmuciłem się, ale zdawał[o] mi się, że bym go rozerwał na kawały. Nie mogłem się uspokoić.

Niedługo Niemcy się przestali kłócić i rozeszli się do swojej roboty. Do m[n]ie powiedział Walter, że w obiad to zamelduje nadleśniczemu, co on wyprawia.

Niedługo do nas przyszedł Żuchowski. Walter Żuchowskiemu opowiedział, co zaszło pomiędzy nami. Żuchowski długo nie czekał, tylko poszedł zaraz i opowiedział niemieckiemu nadleśniczemu, co zaszło pomiędzy nami, że Jrych pobił m[n]ie. Niedługo Żuchowski przyszedł z powrotem i powiedział:

- Wszyscy natychmiast macie się stawić u fosmajstra. Odbędzie się sąd za to pobicie.

Ja się załamałem na duchu, pewny byłem, że

się oprę w Działdowie w karnym obozie, bo tam już byli z naszej wsi paru chłopaków.

Wszyscy wyszlim z leśniczówki i poszlim do nadleśniczówki. Weszlim na korytarz. Żuchowski zameldował, że nas przyprowadził. Fosmajster najpierw kazał zawołać m[n]ie. Ja wszedłem do środka pokoju ze smutną miną, ale jako żołnierz stanąłem na baczność. Nadleśniczy niemiecki kazał m[n]ie mówić, jak to było. Ja mówiłem wolno i wyraźnie, a Żuchowski tłumaczył po niemiecku. Ja zostałem przesłuchany.

Nadleśniczy niemiecki kazał zawołać obydwoh Niemców. Zduni weszli do biura i stanęli zwykle jak cywile. Na Jrychu zaczęły się spodnie trząść od strachu. Fosmajster przesłuchiwał ich obydwoh i kazał Jrychowi stanąć na baczność i zaczął mu gadać coś po niemiecku, ale było widać, że jest zły na niego. Nareszcie uderzył go w twarz i powiedział do niego, żeby m[n]ie przeprosił. Jrych ukląkł na kolana przed[e] mną i powiedział po mazursku: - Aw tys⁵⁴ Stefan, daruj m[n]ie, bo ja jestem głupi.

Nadleśniczy Niemiecki się roześmiał z tej sceny, wykręcił się szybko do stołu, roztworzył szufladę, wyjął z szuflady paczkę papierosów i sześć cygarów, podszedł do m[n]ie i powiedział po niemiecku:

- Proszę, weź ode mnie te cygary i do m[n]ie się zwracaj, jak zajdzie jaka potrzeba, a ci pomogę.

Żuchowski m[n]ie wytłumaczył po polsku i nadleśniczy nam kazał odejść i żyć w zgodzie.

Te rzeczy się działy w roku 1940 w miesiącu kwietniu, ale po tej awanturze dalej stawiałem piec w całym obrębie Nadleśnictwa Budziska. Jrych się zmienił, był łagodny i przestał m[n]ie prześladować.

Po dwóch dniach na Budziska przyjechał główny majster z Olsztyna. Ja staw[i]ałem piec – już drugi – samodzielnie, przez pomocy niemieckich zdunów. Do leśniczówki przyszedł obydwa z nadleśniczem. Powiedzieli po niemiecku „Dzień dobry”. Ja nie rozumiałem języka niemieckiego, ale odpowiedziałem „Dzień dobry”. Nadleśniczy niemiecki poklepał m[n]ie po ramieniu i powiedział po niemiecku:

- To jest dobry chłop i dobry majster.

Poszwargotali trochę i odeszli do drugiego pokoju. W nim stawał piec Walter. Majster i niemiecki nadleśniczy obeszl nas wszystkich i odeszli do nadleśniczówki.

Do m[n]ie przyleciał Jrych i zaczął mówić po mazursku:

- Stefan, nasz majster powiedział, że za każdy piec, co postawisz z niemieckich kachli, to dostaniesz 80 marek, a za postawienie pieca z polskich kachli 40 marek.

Jrychowi się zapaliły oczy od chytrłości i powiedział:

- To u nas w Prusach Polakom nie płacili całego zarobku, tylko połowę.

Ja zacząłem się pypytywać, dlaczego oni byli tak upośledzeni. Głupi Niemczak rozkręcił się na dobre. Powiedział, że na trzy lata przed wojną to już polska ludność była prześladowana przez nasze władze, w szkołach i wszędzie, gdzie się dowiedzieli, że to Polak, to nawet z gospodarki Polaków wygnali. Ja

⁵⁴ W gwarze mazurskiej: to też.

dalej zadawałem pytania, a on m[n]ie śpiewał jak papuga.

Po południu do nas znów przyszedł majster. Stał przy m[n]ie, uśmiechnął się i powiedział łagodnym głosem po polsku:

- Dam ci pieniądze za te dwa piece, staraj się i rób dalej, za każdy piec postawiony ja ci zapłacę.

Niemiec roztworzył teczkę, odliczył sto sześćdziesiąt marek i dał m[n]ie, a później wyjął zeczki paczkę cygarów i dał m[n]ie i powiedział:

- Staraj się, to u mnie dobrze zarobisz.

Ja podziękowałem Niemcowi i robiłem dalej, ale m[n]ie nie ucieszyły niemieckie marki, choć jeszcze Nadleśnictwo mi płaciło dziennie dwie i pół marki. Moje serce pragnęło wolności i zemsty nad wrogiem.

Choć żandarmy z początku byli łagodne, ale [gdy] chłopcy, którzy byli zabrane do Prus w czasie wojny, pojedynczo wracali do swoich domów, to jch łapali i odstawiali do Działdowa. W Działdowie jch więzili razem z polskimi Żydami. Niemcy zabrali i z naszej wsi Jednorozca Ankułów z córką, Ruchlą, Skierków i Jóków. Zawieźli jch do Krasnosielca do buźnicy⁵⁵ i tam z tej buźnicy Niemcy młodych Żydów wywieźli do Działdowa, a starych wybili i gdzieś wywieźli jch zmasakrowane ciała, nie wiadomo, gdzie. Były świadkami kobiety, które zmywały krew z podłogi i ze ścian⁵⁶.

W naszej wiosce Jednorozcu dużo ratował Rogala, który pracował w gminie. Chłopom, którzy ukrywali [ludzi, Żydów], wyrabiał dowody osobiste. Ten człowiek narażał się na śmierć i życie dla naszej kochanej Ojczyzny i dla Polaków z całej naszej gminy.

Ja dalej pracowałem w Nadleśnictwie, ale stale my stały przed oczyma zniszczone miasta, wioski i polegali nasi żołnierze, [polegli] w obronie Modlina, Warszawy. I Palmiry, w którym lesie znajdowały się magazyny z amunicją; tam dużo poległo naszych żołnierzy. Długo przedstawiał mi się ten obraz. Widziałem wszystko jak teraz w telewizorze, choć już minęło siedem miesięcy, tylko te słowa pułkownika m[n]ie ratowały, że przyjdzie czas kiedyś, że się będą tworzyć partyzantki albo zagranicą jakieś oddziały Wojska Polskiego.

Ja pracowałem ze zdunamy do 15 października 1940 r. Obrobiłem całe nadleśnictwo. Dalej nie było dla m[n]ie roboty fachowej, ani zduństwa, ani murarki. Zostałem zwolniony do czasu, aż m[n]ie zawołają z powrotem, jak będą mieli robotę fachową dla m[n]ie. Ja się nie troszczyłem, żeby dalej robić, bo dobrze zarobiłem przez okres wiosenny i letni. Uciulało my się gotówki koło osiemset marek, to sobie powiedziałem, [że] w zimie mogę sobie odpocząć, bo tych niemieckich marek starczy mi na moje potrzeby.

Po skończeniu roboty dostałem od Niemców asygnację na zbiórkę drzewa opałowego. A do Nadleśnictwa zjawił się leśniczy; wszyscy

mówili, że to był fol[ks]dojć. Ja się do niego zwróciłem, żeby m[n]ie powiedział, gdzie mam zbierać ten opał. Leśniczy nazywał się Wojtaszek. Chętnie odpowiedział czysto po polsku:

- Dobrze, zaraz pójdzem.

Wojtaszek odszedł ode m[n]ie i poszedł do nadleśniczówki zameldować, że ze mną pójdzie do lasu. Po paru minutach wrócił i do m[n]ie powiedział:

- Musiałem zameldować tem szwabom, że obydwu poszlim do lasu.

M[n]ie mocno zadziwiły te słowa, które usłyszałem na własne uszy. Odešlim parę metrów od nadleśnictwa, zaczęli dalek rozmawiać. Ja bojałem się jemu powiedzieć swoje przejścia wojenne, choć m[n]ie zadawał różne pytania. Nareszcie zaszlim pod leśnictwo za dziury. Lenją⁵⁷ skreśliłem w prawo z drogi. Wojtaszek powiedział:

- Możesz tu zbierać te wszystkie suche świerki, to do ciebie należą, i te grube wytnij skarpą i na gromadę - to dla ciebie.

Wojtaszek porozmawiał ze mną jeszcze trochę, [a] na odchodne podał m[n]ie rękę i powiedział:

- Nie bój się nikogo, te szwabcy tu nie przyjdą do ciebie, bo się boją.

Powiedział te słowa i odszedł. Ja zbierałem to drzewo trzy dni.

Czwartego dnia na Budziskach spotkałem Wojtaszka i mu zameldowałem, że już [ż]em uzbierał tego drzewa. Wojtaszek m[n]ie spytał, czy mam pieniądze, to zaraz będę mógł wozic. Ja powiedziałem, że mam. Zaraz poszlim do kancelarii i opłaciłem parę marek, Król przyłożył pieczęć, a Niemiec i Wojtaszek podpisali.

Na drugi dzień poszedłem do brata stryjecznego, bo miał parę koni, żeby m[n]ie to drzewo powoził. Brat założył konie do wozu i pojechalim do lasu. Do południa przywieźlim jedną furę, a po południu pojechalim po drugą. Ułożyłim dobrą furę i wyjechalim na drogę.

Zachodzi nam drogę dawny polski gajowy - nazywał się Bruzda - i mówi do nas, że musimy to drzewo złożyć z wozu na gromadę, bo jest za grube, a on zamelduje Niemcom. Ja z początku zacząłem go prosić i powiedziałem, że m[n]ie Wojtaszek [pozwolił brać drzewo], które oznaczył, to ja te wyciąłem i wiozę, ale on kaze zwałać. Ja widzę, że to dawny służbista, że nie pomogą mu dobre słowa. Zbliżyłem się do wozu, a on powiedział tak:

- Niech pan Wilga odwiąże łańcuchy i zwala. Ja złapałem siekierę do ręki i powiedziałem:

- Jak ja cię rozwiążę, to aż ci łeb pęknie.

Ja skończyłem do niego z siekierą i odpędziłem wielmożnego pana gajowego sprzed koni, a brat dał koniom po bacie i pojechał. Ja zostałem z gajowem Bruzdą sam na sam. Bruzdowi zaczęły się trząść spodnie na tyłku od strachu. Ja mu powiedziałem:

- Toś ty Polak, byś śmiał jść do Niemców i m[n]ie oskarżyć! A spróbuj, to ci drugi raz łeb utnę tą siekierą!

Nareszcie powiedział ze strachem:

- Panie Wilga, ja do Pana nie mam nic złego, tylko pański brat m[n]ie zrobił kiedyś krzywdę.

Ja na to mu odpowiedziałem:

- To jest moje drzewo, nie jego. Masz

asygnację i się odczep. I niech wielmożny Bruzda nie będzie szpiclem niemieckim, bo się to marnie skończy.

Bruzda usiadł na pieńku i zdjął czapkę z głowy, a ja od niego odszedłem. Dogoniłem brata, bo na m[n]ie czekał. Niedługo dojechalim do Nadleśnictwa Budziska.

Przed nadleśnictwem w bramie stojeli Wojtaszek i Żuchowski. My stanęlim z drzewem, bo szlim pieszo przy wozie, ale dojechalim do bruku i miałim wsiąść na wóz. Brat usiadł, a ja poszedłem do nich i opowiedziałem jem wszystko, co zaszło w drodze z gajowem Bruzdą. Wojtaszek się roześmiał i powiedział:

- Nie bój się, tylko wóz drzewo, a jutro jak przyjdzie do was, a będzie się dużo mądrzył, to weź dobrego kija i policz mu zebra.

Ja się z nim pożegnałem i odjechalim do domu. Na drugi dzień pojechalim znów po drzewo. Zajechalim do lasu, zaczęli kłaść na wóz. Niedługo zobaczyłim gajowego Bruzdę. Przeszedł niedaleko od nas i zniknął nam z oczów. Dokończalim kłaść na wóz drzewo, [a] z gąszcza małych świerków wyszedł gajowy Bruzda i zaczął się nieśmiało przysuwać do nas. Nareszcie stanął jakieś dwadzieścia metrów od nas i powiedział:

- Panowie, obłóście chrustem na wierzch fory.

Ja mu odpowiedziałem:

- Niech pana głowa nie boli, ja za to odpowiadam.

Bruzda m[n]ie zawołał do siebie i powiedział:

- Panie Wilga, ja pana przepraszam za to, co pomiędzy namy zaszło.

Ja odpowiedziałem tak:

- Panie Bruzda, ja się nie gniewam na Pana, ale niech Pan będzie Polakiem. Przecież Pan wie dobrze, że Niemcy wywieźli polskich Żydów i już jch wymordowali, a teraz się biorą za nas. A Pan, Panie Bruzda, chyba nie będzie niemieckim szpiclem, bo ja Pana znam, że Pan był tylko służbistą. A teraz jesteśmy wszyscy w niewoli u Niemców, to powinniśmy szanować jeden drugiego.

Bruzda usiadł na karpie, zdjął czapkę z głowy i poczerwieniał na twarzy i powiedział:

- Panie Wilga, pan m[n]ie powiedział prawdę w oczy.

Pożegnałim się i odszedłem do wozu i zaraz z bratem odjechalim w kierunku nadleśnictwa. Dojechalim do Budzisk. Na drodze stał Wojtaszek z uśmiechniętą twarzą. Ja podszedłem do niego i się przywitalim. On m[n]ie się zapytał, czy się widziałem z Bruzdą. Ja jemu powiedziałem:

- Tak, widziałem się z nim, ale go zrobiłem na szaro.

Ja powiedziałem „Do widzenia” i odjechalim. Po powrocie z lasu miałem na zimę opał i pieniądze, pewny byłem, że na wiosnę to znów Niemcy m[n]ie zawołają do roboty, ale niestety. Sołtys Kosak⁵⁸ się zaopiekował mną i przyniósł m[n]ie kartę do Niemiec na robotę i powiedział:

- Was w domu jest dwóch, jeden musi jechać jako ochotnik.

Ja mu powiedziałem:

⁵⁵ Buźnica – boźnica, synagoga.

⁵⁶ W Krasnosielcu 5 IX 1939 r. Niemcy rozstrzelali Żydów, zwieszonych z okolicy. Następnie ich ciała spalono (ok. 80 osób). Trzem spośród złapanych Żydów udało się uciec z krasnosielckiej stodoły. Szerzej zob. M. Bondarczuk, *Piątego dnia. Rzeź o życiu i zagładzie Żydów krasnosielskich*, Przasnysz 1996.

⁵⁷ Lenja – nie wiadomo, o którą leśną drogę w pobliżu Budzisk chodzi.

⁵⁸ Jan Kossakowski – sołtys w Jednorozcu, wybrany na zebraniu wiejskim, zwołanym we wsi przez okupanta niemieckiego w połowie września 1939 r. W jego domu w czasie okupacji niemieckiej funkcjonowała poczta.



Tartak na stacji Parciaki, prawdopodobnie lata 30. XX w. Zbiory Celiny Perkowskiej.

- Ja to nie pojadę. Jak wasz syn pojedzie, to i ja razem z nim pojadę.
Sołtys poszedł z tą kartą do mojej bratowej

i zaczął namawiać Edka. I go namówił. To był chłopak młody i dał się namówić. Wrócił się Kosak do m[n]ie i powiedział:

- I ty długo się nie utrzymasz, Stefanie.

Ja mu odpowiedziałem:

- Nie będę prosił Pana, żeby Pan m[n]ie roboty szukał. Lepiej by było, żeby Pan się nie czepiał żołnierzy, którzy byli na wojnie i w niewoli, bo panu to może czasami zaszkodzić.

Sołtys zmierzał m[n]ie oczami od góry do dołu i odszedł z mieszkania. Upłynęło dwa tygodnie, był to dzień 11 listopada 1941 r. Znow sołtys przekroczył próg do mojego ciasnego mieszkania i powiedział:

- Stefanie, nie chce cię smucić, ale teraz to musisz jechać do Prus, bo się dłużej nie utrzymasz, bo Arbecant przysłał na twoje imię i nazwisko kartę na kolej do Biskupca.

Ja mu na to odpowiedziałem:

- To wasza sprawa, to pan, panie sołtysie, to pan wystawia polską młodzież na listę.

Sołtys się zapierał, że nie on. Ja mu odpowiedziałem:

- Dlaczego pańskie sąsiedzi siedzą spokojnie, choć jch jest po trzech dorosłych zdolnych do roboty i m[n]iejsze chłopcy zdolni za pasturków, tylko pan grasuje po tej biedocie?

Sołtys zaprawdę się rozgniewał i powiedział:

- Pojadziesz, bo musisz jechać, jak nie pojadziesz, to cię wezmą do Działdowa do karnego obozu.

Nawet nie powiedział „Do widzenia”, tylko zatrzasnął drzwiami i wyszedł z mieszkania. Na dworze powiedział:

- Ja już do ciebie nie przyjadę, tylko przyjdą żandarmy.

Ja się wróciłem do mieszkania. Zaczęłem czytać to wezwanie i odczytałem, że mam dwa dni do namysłu, a trzeciego dnia mam się stawić do [siedziby] gminy na godzinę 8 rano. Zaczęło m[n]ie szumieć w głowie i zacząłem się kłopotać, jak z tej sprawy wybrnąć. Ukrywać się czy zameldować w gminie? Ale niedługo się namyślałem. Postanowiłem jść na Budziska do niemieckiego nadleśniczego, żeby nie jechać do Prus, tylko żeby m[n]ie zatrudnił przy jakiejś robocie w lesie. Jeszcze trochę pomyślałem, że u nas w domu jest czworo dzieci, to trzeba im pomagać, u bratowy dwoje i u siostry dwóch chłopców. Te kobiety nie dadzą rady z temy małymi dziećmi.

Po krótkim namyśle ruszyłem w drogę w kierunku Budzisk. Za pół godziny znalazłem się w mieszkaniu u Żuchowskiego. Na łóżku leżała chora żona Żuchowskiego, koło niej się kręciła jej córka Sabina. Ja zapytałem się, czy w domu jest ojciec. Sabina odpowiedziała, że zaraz przyjdzie. Niedługo rozwarzyły się drzwi. Do mieszkania wszedł Żuchowski i Wojtaszek. Na wstępie się za mną przywitali i się m[n]ie zapytali, co m[n]ie do nich przyniosło. Ja wyjaśniłem z kieszeni wezwanie i im oddałem, i powiedziałem im całe zajście z sołtysiem. Żuchowski powiedział:

- Nie wiem, Stefan, czy da się co zrobić dla ciebie, bo tamtego Fosmajstra zabrali na front francuski, a drugi przyszedł z suchą ręką, ale dopiero jest parę dni.

Wojtaszek się roześmiał, poklepał m[n]ie po ramieniu, [mówiąc:]

- Nie martw się, Stefan, jakoś się da zrobić. – i powiedział Wojtaszek – Pójdziem wszyscy, my obydwaj do tego Niemca, a ty poczekasz na korytarzu.

I tak się stało, przeszliśmy przez podwórze i weszliśmy do nadleśniczówki. Wojtaszek zapukał do drzwi. Niemiec jch zaprosił i weszli obydwaj do biura, gdzie urzędował niemiecki

nadleśniczy. Ja zostałem na korytarzu. Niedługo się roztworzyły drzwi i Wojtaszek powiedział:

- Dobrze, Stefan, że tu jesteś, chodź.

Ja weszłem do środka, stanąłem prawie na środku pokoju i powiedziałem po polsku „Dzień dobry”. Niemiec m[n]ie odpowiedział po niemiecku i się m[n]ie zapytał, czy ja mogę mówić po niemiecku. Odpowiedział za m[n]ie Wojtaszek, że nie mogę. Niemiec m[n]ie zmierzał oczami od góry do dołu i kazał m[n]ie się przybliżyć do biurka. Odezwiał się Wojtaszek, żeby dać to wezwanie z Arbejcantu. Ja wyjąłem z kieszeni to wezwanie i oddałem niemieckiemu nadleśniczemu. On przeczytał, trochę się uśmiechnął i się m[n]ie zapytał, czy chcę robić na kolei na stacji Parciaki. Żuchowski m[n]ie przetłumaczył po polsku. Ja się zgodziłem na jego propozycję. Nadleśniczy włożył papier w drukarnię⁵⁹, parę minut zeszło, wydrukował i podpisał, przyłożył pieczęć i oddał m[n]ie i powiedział, żeby się zameldować w biurze na stacji Parciaki. Ja mu podziękowałem i wyszłem z Wojtaszkiem z nadleśnicówki na podwórko. Wojtaszek m[n]ie się zapytał, czy ja już zaraz pójde na stację. Ja powiedziałem[, że] tak, bo w nadleśnictwie się wszystko jakoś udało, a dalej to nie wiem. Podziękowałem Wojtaszkowi za pomoc. Wojtaszek powiedział półgłosem:

- Ja jestem Polakiem i podporucznikiem, to mój obowiązek pomagać Polakom.

Ale dalej nie było czasu na rozmowy, bo m[n]ie się spieszyło, żeby jak najprędzej się dostać do stacji i załatwić tę sprawę, co m[n]ie po prostu gryzła. Ale miałem nogi fasowane, bo dalej się czułem żołnierzem 32 P.P., to [myślałem, że] te cztery kilometry to piernikiem przelecę. I ruszyłem w drogę.

Może zeszło pół godziny i byłem na stacji Parciaki. Zapytałem się Niemca, gdzie jest biurko Banmajsteraj. Był to starszy człowiek. M[n]ie się zapytał, po co ja tam ję. Ja mu pokazałem to skierowanie. Zaraz się wrócił ze mną i on m[n]ie zameldował. Ja położyłem na stole skierowanie i kartę z Arbejcantu. Przy stole siedziało dwóch Niemców i jeden po cywilnemu Polak – nazwisko Barsky. Niemcy przeczytali te papierki i się m[n]ie zapytali, dlaczego ja u nich chce robić, a nie w Prusach. Ja odpowiedziałem:

- U nas w domu są małe dzieci, po bracie, i moja siostra jest chora, i też ma dwoje małych dzieci, to ja chce niemy się opiekować.

Nareszcie zapytał się m[n]ie jeden z Niemców, czy mam rower. Był to Inspektor, nazywał się Trotman. Ja odpowiedziałem, że mam. Ten gruby Niemiec rozkazał mi usiąść i poczekać na papiery. Niedługo zeszło, Barsky m[n]ie zawołał do swojego biurka i dał mi kartę na rower, drugą na posterunek, trzecią do gminy i kolejowy ajzwajs⁶⁰, i powiedział, że pojutrze mam się zgłosić na biuro i do roboty.

Ja wyszedłem z biura [i] cieszyłem się, że będę robił, ale będę na wieczór w domu i przestanie m[n]ie prześladować ten niemiecki judasz (tak nazwałem sołtysa). Wróciłem do domu [i] już byłem spokojny od tego, co m[n]ie gnębiło.

Po przespanej nocy, przed godziną ósmą,



Pracownicy stacji kolejowej, Parciaki, lata 30. XX w. Zbiory Eugeniusza Kucińskiego.

wyszedłem z domu i poszedłem się zameldować, że nie pojadę do Prus, tylko będę robił na stacji Parciaki. Po drodze przed wrotami czekał na m[n]ie sołtys Kosak. Spojrzał mi szyderczo swojemu oczami i powiedział z cicha:

- Co, odjeżdżasz, Stefanie?

Ja jemu odpowiedziałem:

- A wasz Stefan też już gotowy?

Sołtys aż podskoczył ze złości do góry i powiedział:

- Co ja, bym swojego syna dał do Prus?! Ja mam tylko jednego, ale ty to pojadziesz, bo na was już furmanka czeka przed gminą.

Ja zostawiłem na drodze niemieckiego służalca, a sam dodałem gazu i niedługo weszłem do gminy. Za stołem siedział komisarz i Pogorzelski jako tłumacz. Spytał m[n]ie Pogorzelski, co m[n]ie przygnało z samego rana. Ja położyłem na stół kartę z Parciak. W tem czasie wszedł do gminy sołtys. Komisarz przeczytał tę kartę, podpisał i przyłożył pieczęć, i kazał m[n]ie jść na posterunek do żandarmów i z tą kartą, że zwolniony jestem od Prus. Kosak, słysząc te słowa, które m[n]ie tłumaczył Pogorzelski, spuścił głowę do dołu i od wstydu nie mógł

spojrzeć na m[n]ie.

Ja odeszłem z gminy. Obok gminy stała furmanka, którą ja miałem jechać do Prus i dwóch razem z naszej wioski: jeden Piotrak, a drugi Ściagaj. Trochę popatrzyłem i odeszłem na posterunek.

Na posterunku oddałem papier i wróciłem do domu z zadowoleniem, że mi się udało pokonać upartego sołtysa. Ale [on] dalej polował na młodzież naszej wioski. Paru wróciło z Prus i zaczęli się ukrywać. Sołtys musiał już ich nie widzieć, bo mu się trzęsły spodnie na tyłku, bo zaczął leżeć pomiędzy młot i kowadło, bo się nasza ludność zaczęła oburzać na niego, to trochę przestał być kozakiem niemieckim.

Praca na kolei

Dnia 13 listopada 1940 r. rano na godzinę 7 rano zameldowałem się na stacji Parciaki. Spotkałem Niemca, który m[n]ie zaprowadził na biuro kolejowe. On m[n]ie powiedział, że będę robił na torze całe trzy miesiące. Kazał m[n]ie jść do robotników kolejowych do magazynu, co się tam zbierali wszyscy

⁵⁹ Drukarnia – tu w znaczeniu maszyny do pisania.

⁶⁰ Dokument po niemiecku i mazursku.

robotnicy, brali stamtąd sipy⁶¹ i podbijaki⁶². W tem czasie przyjechali z Jednorozca mój kuzyn Antoni Wilga i dwóch obcych: Franciszek Granoszewsky i Antoni Opalach – to moi kumple. Razem przed wojną obrabiali nadleśnictwa i tartak. Tak samo byli murarzami. Niemiec powiedział: - To jdz z niemy.

Całą czwórka poszliśmy do robotników, co stojeli przy szopie. Każdy z nich trzymał w rękę sipę i podbijak. Wszyscy mi byli znajomi, byli to chłopcy z Parciak, z Cierpiat i z Dynaku. Ja się z nimi przywitałem, ale każdy z nich miał smutną minę i widać było na tych ludziach wielkie przygnębienie. Można było wyczuć z oczów nienawiść do niemieckiego okupanta, a każdy tęsknił za

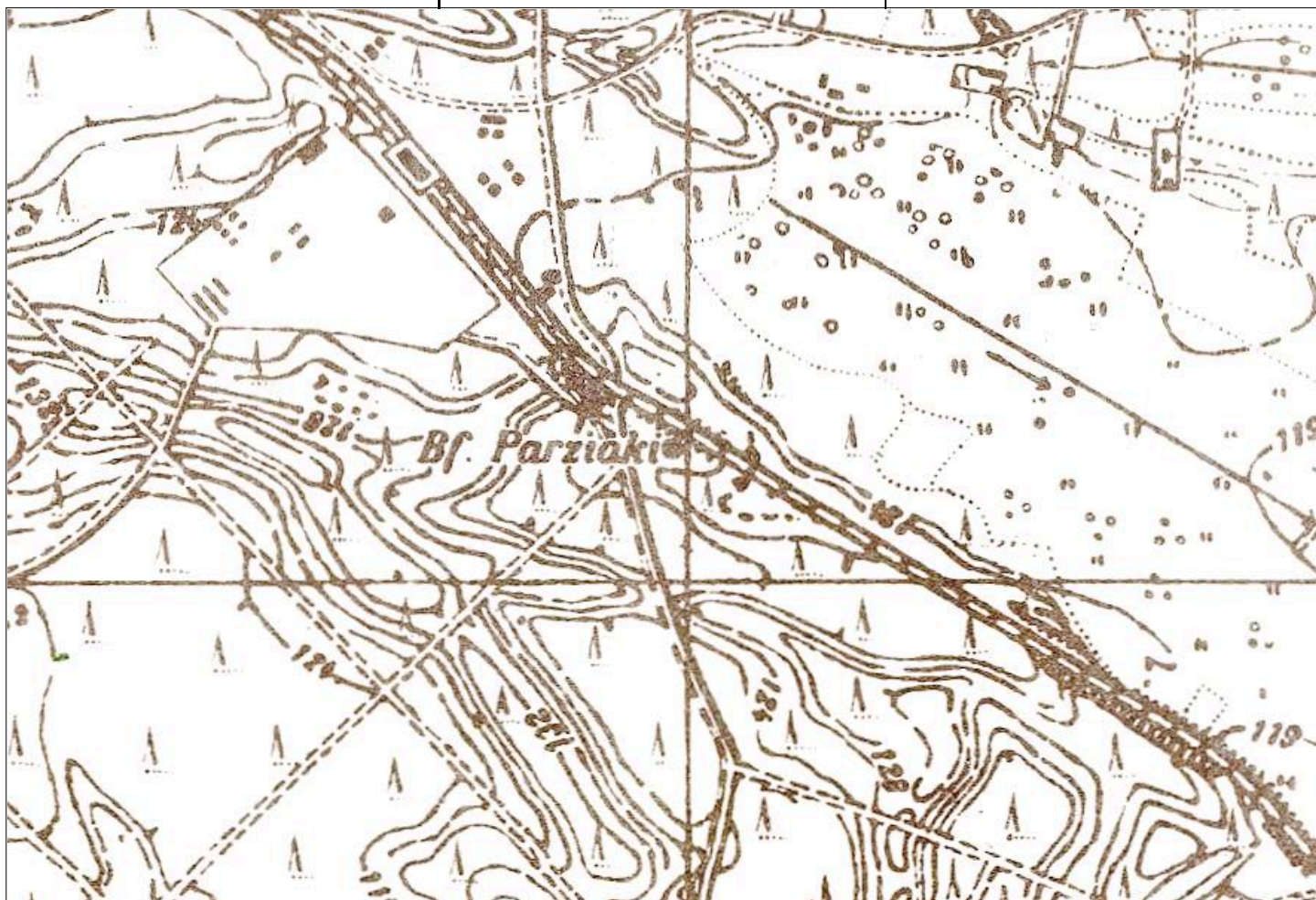
do Szczytina i do Wielbarka, tylko zostawili dziesięciu, to teraz nas jest czternastu z wamy.

Mi pierwszy dzień zleciał prędko i z zadowoleniem, bo w tej grupie robotników znajdowało się sześciu [byłych] żołnierzy, którzy brali udział w kampanii wrześniowej. Brali udział w tej wojnie, to przy robocie opowiadali sobie wydarzenia wojenne i tak zlatywały dzień za dniem.

Ale to najgorsze było dla m[n]ie: łapanki [wśród] polskiej młodzieży i aresztowania nawet starszych chłopów. Te słowa, że ten albo jaki mój znajomy i został wywieziony do Działdowa do karnego obozu, to m[n]ie wszystko gnębiło. A ten las [wokół] prosto m[n]ie ciągnął do siebie. Zawsze mi się zdawało, że w tem lesie powinni się znajdować

szwabom. A najgorzej nie mogłem słuchać tych śpiewów niemieckich. Niemcy śpiewali i cieszyli się zwycięstwem, a Polacy jęczeli w niewoli. Matki płakały za dzieci przymusem oderwanych od rodziny, żony płakały i tęskniły za mężami, co jch mężowie nie dawali znaku, że żyją. Całą Polskę okryła żaloba i nie widać było lepszego jutra. Cierpiał polski naród biedny i bogaty, żalił się jeden do drugiego, ale to nic nie dawało. Pracowało się dalej w jarzmie Hitlera i jego oprawców.

Nadeszła wiosna i nadszedł maj, zakwitły kwiaty i bzy, ciesząc się przyrodą i swoją młodością, a młodzież polska została rozwieziona do Niemiec. Obdarci i bici przez niemieckich okupantów, wszyscy czekali tej wiosny, ale nie nadchodziła ta wiosna. To była



Stacja kolejowa w Parciakach na niemieckiej mapie z 1944 r. Źródło: http://amzpbig.com/maps/2892_Jednoroschetz_1944.jpg (dostęp 30 IX 2018 r.).

wolną Polską.

Niedługo przyszedł do nas Niemiec. Wszyscy na niego mówili panie rotmajster, nazywał się Więtkler. Niemiec kazał wypchnąć z szopy drezinę. Wszyscy posiadaliśmy na drezinę i wkrótce odjechalim w kierunku wioski Parciaki, jakieś dwa kilometry od stacji. Był to dzień deszczowy, tak prawie do południa padała mżawka. Niemiec kazał napalić ogień i powiedział:

- Chłopy! Wymiana podkładów! Na dwóch siedem podkładów, to na dziś starczy.

Rozstawił nas na torze, a sam poszedł do ognia. Ja pierwszego dnia dowiedziałem się od chłopców, że jch było więcej, ale odesłali jch

ludzie, żeby się zemścić na tych szwabach. Nie mogłem patrzeć na pociągi, które często przelatywały po torze, a szwabcy w wagonach śpiewali, ciesząc się, że przeleli dużo polskiej krwi. W obronie Ojczyzny Polacy dalej krew przelewali za granicami naszego kraju i w kraju psy targały naszych braci szczutych przez niemiecką żandarmerię. To wszystko zawsze mi krążyło po mojej głowie.

W marcu 1941 r. inspektor nas murarzy wycofał z roboty na torze. Niemcy zaczęli budować stacje kolejowe i ulepszać sobie mieszkania. Roboty były prowadzone po stacjach. Zaczęlim budować stację Parciaki. Tą zmianą roboty się ucieszyłem, bo znów wziąłem kielnię i młotek do ręki, i mogłem obserwować wszystkie ruchy pociągów wojskowych i cywilnych. Zdawało mi się, że powinna się stworzyć jakaś partyzantka albo jaka organizacja, żeby przeszkodzić tem

wolność dla młodych i dla starych ludzi. Żołnierze, którzy brali udział w wojnie, pragnęli dalej walczyć z wrogiem, który okupował naszą kochaną Ojczyznę, także i rezerwiści, którzy nie brali udziału w [kampanii] 1939 r., też pragnęli zemścić się na odwiecznym wrogu. Ja byłem nieżonaty, prawie skończyłem trzydzieści lat, nie zależało mi na takim życiu, jakie istniało za okupacji, to zawsze byłem gotowy walczyć z wrogiem.

W tartaku pracowało dużo Polaków. Ja się dowiedziałem od Dyducha, że się Polacy organizują. Ta nowina m[n]ie bardzo ucieszyła. Często się z nim spotykałem, ale musielim rozmawiać po kryjomu, bo w tartaku był posterunek niemiecki i szwędali się niemieckie cywile, którzy rozumieli po polsku, [więc] trzeba się było wystrzegać.

⁶¹ Sipa – łopata.

⁶² Podbijak – narzędzie do ubijania podsypki pod podkładami kolejowymi przy budowie lub naprawie torów.

Jednego dnia w maju 1941 r. rano nas powiadomiono, że pojedziemy na tor do roboty na stację Nakły. Niedługo nadszedł parowóz i dwa wagony towarowe. W wagonach siedzieli robotnicy z Raszujki i z Olszewki. My wsiedliśmy do nich i odjechalim do Jastrzębki. W Jastrzębce znów wsiedli robotnicy i pojechalim do Zabiela. W Zabelu do wagonu wsiadła cała reszta i odjechalim w stronę Ostrołęki. Dojechalim do stacji Nakły. Wszyscy wysiedliśmy z wagonów, torowi wzięli swoje grupy i się rozeszli po torze. Była to wymiana podkładów. Nam trafiło robić w lesie i tak zeszło do południa. W południe miałem godzinę obiadu, [więc] posiadałem na wykopie przy torze kolejowym. Odezwiał się Pojawa półgłosem:

- Tu, w tych piachach, to leży dużo Polaków. Niemcy przywieźli dwa transporty i jch tu w tym miejscu wzięli z wagonów i popędzili pod ten większy las, i tam było słychać strzelanie z karabinów maszynowych.

Ja się zapytałem Pojawy, czy on widział na własne oczy. On odpowiedział, że nie widział, tylko jakiś gajowy wlażył na jagliki i to jemu mówił.

- Ale strzały tam słyszał pod tem lasem, bo tej nocy miałem służbę na stacji.

Pojawa dalej opowiadał, co słyszał od gajowego, że to byli ludzie z Warszawy, to byli panowie ministrzy i nauczyciele. Sami sobie kopali groby i sami się zakopywali, a ostatnich to zasypali Niemcy piachem. Na ostatku powiedział Pojawa:

- Jak my nie wierzyć, to wam pokażę ślady po tych ludziach. Tu niedaleko są ogniska, co Niemcy spalili jch ubrania

Przybliżył się do nas Niemiec i powiedział, [że] koniec obiadu. Pojawa powiedział:

- Zostawię to na jutro.

Ja nie mogłem się doczekać dnia następnego. Po powrocie do domu zdawało mi się, że widzę tych ludzi wołających o pomoc i o pomstę nad temy oprawcami. Moje serce żołnierskie było zawsze gotowe do walki z okupantem, tęskniłem za bronią i za wolnością, którą Niemcy nam wydarli.

Ale przeszła noc, nastąpił ranek, powoli wiatr rozsiewał zapach majowych kwiatów. Ja wsiadłem na rower i pojechałem Groblą⁶³ w kierunku stacji. Niedługo stanąłem na peronie przy stacji Parciaki, wstawiłem rower do szopy. Na peronie czekaliśmy razem z robotnikami na przewóz robotniczy. Za parę minut stanął przed stacją parowóz i oddychał od zmęczenia. Wszyscy wsiedliśmy do wagonów, lokomotywa gwizdnęła i ruszyliśmy w kierunku Jastrzębki. Po drodze bierzaliśmy robotników kolejowych tak samo jak wczorajszego dnia. Dojechalim do stacji Nakły, a dalej to wszyscy poszliśmy piechotą do tego lasu, co wczoraj. I znów wymiana szyn i podkładów. Ja chciałem jak najprędzej zobaczyć te ogniska, ale trzeba było czekać do południa, ale to dopołudnie wydawało mi się bardzo długie. Nie mogłem się dowiedzieć, która godzina, [bo] z Polaków nicht nie miał zegarka. Polacy byli obdarci i głodni, na obiad niektórzy mieli chleb i butelkę mleka na popitkę, a dużo się spotykało robotników, że mieli tarte placki kartoflane. I trzeba było pracować, a nie było

mojowy zegarku.

Nareszcie przyszedł Niemiec do nas i powiedział:

- Chłopy, obiad.

Wszyscy ześli z toru kolejowego i kto co miał, wyciągał z torby i jadł. Pojawa powiedział do m[n]ie:

- Zjemy po kawałku chleba i pójdziem do tych ognisk.

Niemiec, który nam namy stał, zobaczył ogień, co chłopcy przygrzewali kawę, [więc] poszedł do ognia. Ja i Pojawa, i Grzyb z Cierpiat przeszliśmy na drugą stronę toru. Może piętnaście metrów od toru widać było czarną plamę ogniska. Pojawa powiedział, [że] to tam. Podeszliśmy do tej czarnej plamy. Tak, było to ognisko: szerokość jego wynosiła około dwóch metrów. Zaczęliśmy się przypatrywać, żeby znaleźć jakie ślady. Najpierw znaleźliśmy parę opraw od okularów. Zaczęliśmy dalej szukać śladów w ognisku, wygrzebalim parę monet po dwa złote i po złotówce, i spalone dwa zegarki, i guziki blaszane, a od ogniska za dwa metry były rozrzucone znów polskie pieniądze srebrne i niklowe. To widziałem na własne oczy.

Wkrótce opuściliśmy ognisko zbrodni i w zadumie powróciliśmy na stare miejsce. Każdemu z nas się zrobiło ciężko na sercu, że jakiś czas siedzieliśmy przez słowa. Pierwszy odezwiał się Pojawa:

- Jutro dojdziem do drugiego ogniska.

Ja się zapytałem, czy daleko jest to drugie ognisko. Pojawa powiedział, [że] jakieś pięćdziesiąt metrów od tego. Odezwiał się Grzyb:

- Panie Pojawa, a gdzie jest ta spalona mogiła tych ludzi, co te ślady są po tych ludziach?

Powiedział pan Pojawa, że wiatr rozwiał te mogiły i trudno trafić na to miejsce. Musielim przerwać naszą rozmowę, bo czas było stanąć do roboty. Do wieczora pracowaliśmy w zamyśleniu i w wielkim uciemnieniu.

Na wieczór przyjechała lokomotywa z dwoma wagonami, wszyscy wsiedliśmy do wagonów i odjechalim w kierunku stacji Parciaki. Wsiadłem z wagonu i wzięłem rower z szopy, i pojechałem do domu. Wieczorem zacząłem rozmyślać tę tajemnicę wykrytą przez Pojawę. Myślałem długo nad tem wydarzeniem, nareszcie zasnąłem z przemęczenia.

Obudziłem się rano. Słońce wschodzące rozsiewało po ziemi swoje złociste promienie, zapach kwiatów i śpiew ptaków ranił moje serce, które tęskniło za wolnością, bo cała przyroda cieszyła się wolnością, a ludność polska była męczona przez oprawców niemieckich. Z tą przygnębiającą myślą wsiadłem na rower i odjechałem z domu do stacji Parciaki. Dojechałem do lasu. Znów dolatywały do moich uszów śpiewy leśnego ptactwa. Na ten leśny widok zrobiło mi się bardzo przykro. Powiedziałem sam do siebie, [że] tylko my, Polacy, nie wolno nam śpiewać i cieszyć się wolnością, jak te leśne ptaki witają każdy poranek swoim śpiewem.

W tym rozmyślanu dojechałem do stacji. Jak zwykle wstawiłem rower do szopy i wyszedłem do robotników, którzy stojeli na peronie. Poszliśmy całą grupą do magazynu po sipy i stopaki. Wracając na peron, zobaczyłem swoich kumplów Granosze[wskiego] i Opalacha, i swojego kuzyna Wilgę Antoniego. Wszyscy czekaliśmy na parowóz. Od biura

obaczył leżącego inspektora, [który] z dala krzyczał:

- Stefan i Antoni, nie pojedziem na Nakł, tylko się zostaniem na stacji do roboty.

Niedługo od Chorzeli przyszła lokomotywa z robotnikami, wszyscy wsiedli do wagonów i odjechali, a my się zostaliśmy na peronie. Niedługo przyszedł inspektor i jakiś z niem cywil. Zaczęli wytyczać fundamenty pod budowę stacji. Ja zrobiłem parę kołków, a Antoni wziął za brzeg taśmy i prowadzili wymiar pod nową stację. Prawie do południa to wszystko było gotowe. Jak się okazało, i[n]żinierem to był Polak. Nazywał się Krak, a czy to nazwisko było naprawdę jego, czy przybrane, nie wiem. Dobrze władał językiem polskim i niemieckim.

Po południu poszedł z nami inspektor na plac tartaczny i kazał nam wybrać desek na szalunek do betonowania piwnic. Trochę poczekaliśmy [i] przyszedł do nas Dyduch i Mazur. Zaprowadzili nas do sztabla i kazali je kłaść na wózek tartaczny, i się nas zapytali, co tam dobrego u was słychać. Antek odpowiedział, [że] bieduje się, mały zarobek, a dzieci drobne i każdy chce jeść.

- I do tego kobieta chora na nogę, a ja muszę co dzień pracować za parę marek.

Dyduch i Mazur odeszli od nas. My obydwaj wywieźliśmy deski do toru, złożyliśmy i pojechalim po drugie na plac. Włożyliśmy [m] parę desek na wózek. Zawołał m[n]ie Dyduch, żebym do nich przyszedł. Ja zaraz poszedłem. Obydwaj byli w szopie, nie było tam nikogo [innego]. Na wstępie powiedział Dyduch:

- Wiemy, że pan był na wojnie. Na których frontach pan brał udział [w wojnie]?

Ja jem odpowiedziałem krótko:

- Mława, Warszawa i Modlin, i niewola Jłowa. Z Jłowa nas szwabowie zwolnili jako bohaterów Modlina, ale dalej jestem żołnierzem i kocham swoją Ojczyznę.

Oni m[n]ie zapytali, jaki stopień miałem w polskim wojsku. Ja powiedziałem że ostatnio zostałem mianowany kapralem C.K.M.

Wkrótce musielim się rozejść, bo czas nie pozwalał na dalsze rozmowy, wszystko odłożyliśmy na później.

Po fajrancie wzięliśmy rowery z szopy i obydwaj z Antkiem prowadziliśmy rowery przez plac tartaczny. Z mieszkanka wyszedł Dyduch i grzecznie powiedział:

- Panie Stefanie, poproszę Pana na parę minut do mieszkania.

Antek się zapytał Dyducha, czy i on potrzebny. Dyduch powiedział:

- Panie Antoni, to jest osobista sprawa. Za parę minut to Pan Stefan przyjdzie z powrotem.

Ja trochę byłem zaskoczony. Wszliśmy obydwaj do mieszkania. W mieszkaniu siedział Mazur na krześle. Więcej nie było nikogo. Pierwszy się odezwiał do m[n]ie Mazur. Powiedział:

- Proszę, niech pan siada na krześle, trochę porozmawiamy. Po dawnej znajomości my wiemy, że pan nam nie odmówi, bo jest żołnierzem i niech pan dalej będzie tem żołnierzem. My chcemy pana zaciągnąć do swoich szeregów przeciw Niemcom, do organizacji.

Ja odpowiedziałem, że chętnie przyjmuję tę propozycję, [że] ja pragnę się zemścić na tych szwabach. Po zaprzysiężeniu przez Mazura pożegnałem się z nimi i z nową nadzieją wsiadłem na rower i odjechałem do domu.

⁶³ Grobla – droga z Jednoróżca w kierunku Parciaki, przecinająca nisko położone pastwiska.

Poczułem w sobie jakieś zadowolenie i radość, że kiedyś przyjdzie czas, że Polska odzyska wolność i nasz naród Niemców wynagrodzi za te morderstwa, które Niemcy nam zadają.

Pierwsza organizacja

Pierwsza organizacja powstała na terenie tartaku państwowego w Parciakach. Ja zostałem do niej zaciągnięty. Z początku miałem zadowolenie z tej organizacji, ale jak się okazało, to ta organizacja dla m[nie] była jałową. Ja dalej robiłem na kolei i wiedziałem tylko tyle, że do niej należę, a Niemcy coraz to ostrzej byli nastawieni do polskiej ludności, [choć] nicht jem nie przeszkadzał. To m[nie] drażniło i często rozmawiałem z Mazurem na [ten] temat, żeby szwabom jakoś przeszkodzić. Mazur odpowiadał, że nie ma z Warszawy rozkazu i na tem się kończyła nasza rozmowa. Paru robotników tartacznych zostało zaciągniętych do tej organizacji⁶⁴.

Później zrozumiałem, dlaczego ta

⁶⁴ Struktury oporu ludności polskiej wobec niemieckiego okupanta w gm. Jednoróżec zaczęły kształtować się jesienią 1939 r. Pod koniec października powstała placówka Komendy Obrońców Polski w Jednorózu, do której należeli m.in. Rościśław Mazur ps. „Murski” (pracownik tartaku w Parciakach), Stefan Kozłowski ps. „Grom”, organista pełniący funkcję komendanta; Zygmunt Morawski ps. „Klucz”, zastępca komendanta; Czesław Majewski ps. „Orkan”, pracownik Urzędu Gminy w Jednorózu, Ignacy Dyduch, Kazimierz Ertman, leśniczy z Budzisk i Józef Przetak, sołtys Bud Rządowych. Mazur skontaktował się z organizatorem pierwszego w powiecie ośrodka KOP w Baranowie, Bronisławem Talarem, który był jego szkolnym kolegą. Mazur na terenie tartaku w Parciakach prowadził, pod przykrywką nauki języka niemieckiego, który znał bardzo dobrze, szkolenia organizacyjne. Przekazywał wiadomości z nasłuchu radiowego i prowadził specjalną grupę dywersyjną, która miała wysadzać pociągi. Materiały wybuchowe i dywersyjne grupy K7 zakopane były na cmentarzu w Jednorózu, pozostała część przekazał Mazurowi Czesław Marciniuk ps. „Bystry”, żołnierz KOP, członek organizacji K7. Mazur przesyłał materiały wybuchowe przez polskich kolejarzy do Prus do swoich grup dywersyjnych. Organizacja miała też dwa punkty rozdzielcze prasy: u sołtysa Bud Rządowych i w Jednorózu u „Klucza”. Oddział Mazura liczył 180 ludzi, z których większość stanowili pracownicy tartaku. Na trop niedoświadczonych organizacyjnie członków KOP gestapo trafiło w październiku 1939 r. Pierwsze aresztowanie w 1940 r. dotknęło Władysława Dyducha z Parciak, który miał powiązania z ośrodkiem w Baranowie, gdzie Niemcy pojmali działaczy 4 V 1940 r. Chwilowo przerwano prace konspiracyjne. Pozostali działacze byli bezpieczni do jesieni 1940 r. W dniu 20 listopada wywiad KOP z Jednoróza powiadomił Mazura, że następnego dnia w Parciakach mają się odbyć masowe aresztowania. Zawinił kierownik tartaku, Szarkowski, który wygadał się Niemcom. Ostrzeżenia posłuchał i uciec zdążył tylko Jan Kowalski z Jednoróza. Sołtys Bud Rządowych przetak załatwił mu lewe dokumenty i pracę w Białymstoku. Gestapo zaś 25 X 1940 r. aresztowało m.in. Ertmana i Mazura. Drugiego ścięto na gilotynie w Królewcu wraz z Dyduchem i Janem Frączakiem. Aresztowania dotknęły też ostrożniejszą grupę Stefana Kozłowskiego z Jednoróza, chociaż przesłuchiwany Mazur nie podał żadnego z nazwisk. Pojmano tych, którzy mieli kontakt z grupą z Parciak.



Stacja kolejowa Olszewka, II wojna światowa. Zbiory Eugeniusza Kucińskiego.

organizacja jest jałowa na naszych terenach, bo Niemcy za jednego żandarma rozstrzelali dużo Polaków. Często dochodziły wiadomości od polskich maszynistów, że Niemcy rozstrzelali po miastach całemy grupamy naszą polską młodzież. I w takim napięciu się dalej pracowało.

Nareszcie przeszła wiosna, przeszło lato, nastąpiła jesień, rok 1941, nadszedł listopad. W listopadzie, przy końcu listopada, żandarmy aresztowali Dyducha i Mazura, i młodego chłopaka Jana Frączaka z wioski Parciaki, i jch wywieźli do Królewca. Zrobiła się wyspa. Paru robotników tartacznych się zaczęło ukrywać, [w tym] Mydlak i Rosiński z Cierpiąt, a reszta pracowała w tartaku pod strachem, że może niedługo Niemcy ich wywieżą za Dyduchem i Mazurem. Ale dalej wszyscy pracowali, wsypy nie było.

Niemcy zamordowali Dyducha, Mazura i Frączaka, [a c]i nikogo nie wydali. Ponieśli straszną śmierć. Dostali wyrok obcięcie głowy przez kata, [a] jch ciała zostały spalone. A na gwiazdkę Niemcy przysłali popioły rodzinom po zamordowanych jch ojcach. Tylko dostali pudełka półlitrowe i na nich kartka: jmię

i nazwisko i akta zgonu, którego dnia zostali zamordowani.

Niemcy tylko mieli jednego na liście z tej organizacji. Nazywał się Piotr Dobrzyński, który długi czas się ukrywał, prawie półtora roku, a później został zabity przez żandarmów z Baranowa. Żandarmy dalej zabierali polską młodzież do Prus i Niemiec Zachodnich. Matki płakały za swoich dzieci wydartych na przymus przez niemieckich oprawców.

Ja dalej pracowałem w Polsce i w Prusach, często Niemcy m[nie] wysyłali do roboty do Szczytna [i] Wielbarka. Mogłem dużo przekazywać różnych wiadomości zaczerpniętych od Niemców. Pracowałem samodzielnie. Któregoś dnia to [byłem] u trzech Niemców – temu zreperowałem kuchnię, to jnnemu piec, ale rzadko się zdarzało, żeby w którym domu był Niemiec, tylko przeważnie kobiety. Ale kobiety były lekkie w szczękach, wszystko powiedziały, dobre i złe, dużo można się dowiedzieć od nich – nawet spraw politycznych.

Ale nie było komu tego materiału przekazać. Nasza organizacja wygasła. Ja dzieliłem się wiadomościami zaczerpniętymi od niemieckich

kobiet z dawnymy członkami ZWZ i pewnymi osobami, na których byłem pewien, że nie zdradzą tajemnicy. Prowadziłem wywiad, a Niemcy za takie rzeczy to rozstrzelali nawet całe rodziny. Taka harmonia grała pomiędzy maszynistami i robotnikami, bo te Polacy byli gotowi na śmierć i życie oddać jakąś przysługę naszej ukochanej Ojczyźnie, ale nie byliśmy powiązani żadną organizacją.

Nadszedł rok 1941. W styczniu dowiedziałem się, że istnieje w Polsce jakaś organizacja. Pragnąłem jak najprędzej do niej należeć. Dowiedziałem się od znajomego maszynisty, [a] tę tajemnicę zatrzymałem dla siebie. Czekałem dnia, żebym został do niej zaprzysiężony, ale niestety. Inspektor Niemiec Masman zawałał m[n]ie na biuro i powiedział, że jutro pojedę do Szczytna na przeszkolenie stolarskie na cztery tygodnie. Ja nie miałem chęci, ale musiałem jechać.

Na drugi dzień wziąłem blachę chleba i parę jarek w walizkę, i rano pociągami odjechałem do Szczytna. W Szczytnie się zameldowałem na biurze i poszedłem do stolarni. W stolarni zastałem starego Niemca i starego Polaka. Przez tych starych zostałem serdecznie przywitany. Niemiec dobrze mówił po polsku, nazywał się Grabowski, a Polak Mutwicki był rodakiem z Pościenia. Do stolarni przychodzili różni Niemcy, ale tylko w starszym wieku. Wszyscy rozmawiali po mazursku, można się było od nich dowiedzieć różnych wiadomości.

Moja robota się dłużej przeciągnęła jak cztery tygodnie. Do domu przyjeżdżałem w każdą sobotę. Z powrotem do Polski m[n]ie wezwano przy końcu marca.

Po powrocie do Polski dalej pracowałem na stacjach Zabiele, Jastrząbka, Parciaki, Olszewka, Raszuja i Nakły. Niemcy się czuli gospodarzami Polski, dalej ulepszali automatyczne połączenie torów kolejowych i zwrotnic kolejowych. Te wszystkie roboty zostały przez nas wykonane. Ja dalej obserwowałem wszystkie ruchy pociągów. Niemcy w tym czasie przerzucali oddziały wojskowe ze wschodu na zachód, a z zachodu na wschód. Po prostu się kręcili jak smród w jaju. Można było sobie wyobrazić, do czego oni się szykują. Cywile przestali śpiewać w pociągach osobowych, więcej byli zadumani i posmutniałe twarze wrożyły jakiś niespokój. Ale my wiedzieliśmy, że Niemcy uderzą na Związek Radziecki, bo ta tajemnica często wychodziła z ust Mazurów niemieckich, którzy mówili więcej po polsku, jak po niemiecku. A czasami dało się podsłuchać Niemców, bo częściowo rozumiałem język niemiecki. Ja miałem zdolność prowadzić wywiad, ale nie miałem komu tego towaru przekazywać. Te gnębione dni odchodziły ode m[n]ie dzień za dniem, a czas robił swoje.

Nareszcie zbliżał się maj, przyroda robiła swoje. W maju śliczne poranki rozsiewały swój zapach rozwijających się drzew i kwiatów, wszystko wracało do życia i wolności po minionej zimie. Tylko m[n]ie coś nie dawało spokoju, bo moje młode lata musiałem spędzać pod okupantem i cała Polska przeżywała straszne męczarnie przez niemieckich oprawców.

Przysięga

W roku 1942 [w dniu] 7 maja zostałem zaprzysiężony do Armii Krajowej przez Łukasika Władysława⁶⁵. Zdawało mi się, że na nowo się narodziłem Polakiem i żołnierzem. Poczułem wielką radość i zadowolenie. Ta organizacja rosła z dnia na dzień, rozwijała się jak te kwiaty na wiosnę, które się budziły po minionej zimie. W całej Polsce dotarła do jak najdalej oddalonych wiosek, od miasta, nawet w małych wioskach Kurpiowszczyzny można było spotkać ludzi zaufanych, którzy pragnęli ponownie stanąć w obronie naszego kraju. Ale nie wszystkim można było ufać w naszej wiosce. Przeważnie to zostali zaprzysiężeni żołnierze i rezerwiści, którzy nie brali udziału w wojnie w 1939 r. To musieli być ludzie twardzi i pewni, że kochają Polskę i nigdy jej nie zdradzą.

Dalsza praca na kolei była dla m[n]ie zabawką, bo nie byłem osamotniony, bo prawie cała obsługa kolei przez Polaków byli zaprzysiężeni do różnych organizacji. Często dostawałem biuletyny – to m[n]ie dawało radość i zadowolenie. Mogłem i ja przekazać swoje wiadomości zaczerpnięte z zakątków kurpiowskich wiosek.

Powoli harmonia wolności z cicha zaczęła grać. Ludność polska zaczęła się budzić po przegranej bitwie z Niemcami. Ale Niemcy coraz to cięższą łapę kładli na Polskę. Niewinną ludnością były przepełnione więzienia Działdowa, przeważnie [byli tam] żołnierze, którzy uciekali z niewoli.

Dalej moim zadaniem było rozpoznanie Niemców, którzy byli zawiadowcami na stacjach kolejowych. Do końca maja złożyłem meldunek, na których stacjach niemieckie zawiadowcy się nie interesowali Polakami: Zabiele A, Jastrząbka B, Parciaki B, Olszewka B, Raszuja A. Litera A oznacza, że ten Niemiec słyszy tylko gwizd lokomotywy, a więcej nic nie widzi i nie słyszy. B oznacza, że na tej stacji znajduje się gestapowiec.

Dalej robiłem na stacji Raszuja. Niemiec, który obsługiwał stację, nazywał się Mes, po polsku nie rozumiał, ale był dobry dla polskiej ludności. Często się zdarzało, że Niemcy więzili polskich chłopców do pas[i]enia bydła, to my daliśmy jednemu kubeł z kielniami, drugiego wziąłem w środek grupy i wszyscy wyszliśmy z pociągu, upilnując, żeby szli razem z nami. My, wychodząc z wagonu, a z nami jeszcze jeden chłopiec wyskoczył z wagonu i się schował za płot. Niemiecki zawiadowca dał znak i powiedział, [że] odjazd. Lokomotywa stęknęła parę razy i pociąg odjechał w stronę Chorzela. Zawiadowca niemiecki kazał zawałać tego chłopca, powiedział, [że] niech się nie boi, nic złego mu się nie stanie. My zaczęliśmy chłopca wołać. Chłopiec wstał na nogi i nieśmiało zaczął się

do nas zbliżać. Trząsł się od strachu, a nareszcie przyszedł do nas i wszyscy weszliśmy do mieszkania, w którym przeprowadziliśmy remont. Rozpaliliśmy w piecyku. Zawiadowca niemiecki przyniósł czajnik z kawą i chleba, kazał chłopców rozgrzać i powiedział:

- Wskażcie mi drogę, żeby trafili do swoich wiosek.

Byli to chłopcy z pod Mysieńca. Chłopcy odeszli z radością, że nie pojechali do Prus.

Niemiecki napad na Związek Radziecki

Dnia 22 czerwca 1941 r. o godzinie drugiej nad ranem potężne huki m[n]ie zbudziły ze snu. Z początku myślałem, że to burza nadchodzi. Wybiegłem z domu na podwórko. W kierunku Ostrołki było słychać nie pioruny, tylko działa niemieckie. Prędko się zorientowałem, że Niemcy rozpoczęli wojnę ze Związkiem Radzieckim. Pomyślałem sobie: trafiła kosa na kamień. Długo nie zwlekałem, prawie o półtorej godzinie wcześniej[ej] wyjechałem z domu, jak zawsze. Byłem ciekawy, co się robi na stacji. Wyjechałem z wioski na rowerze, jadąc w kierunku stacji Parciaki. Po drodze wsłuchiwałem się w potężne huki armat, które zaczęły się oddalać na wschód. Pomyślałem sobie: pewno Niemcy odpędzili rosyjskie wojska. Jechałem z wolna.

Nareszcie dojechałem do boru. W boru echo powiększyło łoskot jakiegoś pociągu i wystrzałów z dział. Wszystko się zlewało w jeden huk. Podjechałem prawie pod sam tartak, [ale] dalej bojałem się jechać. Skręciłem na lewo, gdzie stał obserwator na wysokiej górze. Postawiłem rower w gęstym zagajniku. Zacząłem się zbliżać do tej wieży. Spokojnie spojrzałem na tę wieżę. U góry nie było nikogo, a pod wieżą było widać siedzącego człowieka po cywilnemu ubranego. Zacząłem się przyglądać. Wkrótce poznałem go – był to Niski, który pilnował ognia w lesie. Ja poszedłem do niego, on się trochę przestraszył, bo spał na siedzący. Obydwa rozmawialiśmy wszystko o wojnie i o tej nocy. Niski powiedział:

- Ja specjalnie tu nocowałem, żeby podpatrzeć Niemców.

Po jakiejś godzinie czasu pożegnałem pana Niskiego, bo już robotnicy zaczęli się schodzić do roboty na tartak. Ja wziąłem rower wyprowadziłem go na drogę, na drodze usiadłem i wkrótce stanąłem na peronie przy stacji Parciaki. Huki dział było słychać coraz dalej. Niedługo wyszedł ze stacji Niemiec, zawiadowca stacji. Uśmiechnięty z zadowoleniem powiedział do m[n]ie po polsku:

- Wiesz, co ci powiem?

Ja odpowiedziałem, że nie wiem. Niemiec powiedział:

- Ano te nasi popędzili Ruska dzisiaj o drugiej godzinie rano. Jak dali dubla, to już Białystok zdobywają. Teraz dużo ich zabrali do niewoli.

Dalej nie chciałem słuchać kolejowego gestapowca, bo jego słowa po prostu raniły moje serce, które się po prostu jakby wydierało z klatki piersiowej. Moje oczy nienawidziły ich umundurowania i tej

⁶⁵ Władysław Łukasik ps. „Guzik” – mieszkaniec Stegny w gm. Jednorzec, w czasie okupacji niemieckiej dowódca I plutonu ZWZ w gm. Jednorzec z siedzibą w Stegnie, od 1943 r. odpowiedzialny za łączność ogólną Ośrodka Jednorzec z siedzibą w Małowidzu „(O II) Liwiec”, podczas akcji „Burza” dowódca jednego z 6 plutonów AK w gm. (Pluton I Jednorzec Stegna).

swastyki, którą nosili na rękawach, te czapki z niemieckim orłem, który trzymał w swoich łapach swastykę. Ale na co dzień było spotkanie moje takich oprawców niemieckich. Prawie co dzień rano, przechodząc przez plac tartaczny, to grupa żandarmów Kocha⁶⁶ stała na ganku, w którym się mieścił ich posterunek. Prawie każdego poranka odbierali defiladę od robotników, od robotników tartacznych i od innych Polaków przechodzących chodnikiem, a który ja nie mówił „Dzień dobry”, to przez tych oprawców został pobity i wykopany. Ale po tygodniu od napadu Niemców na Związek Radziecki kilka oprawców Kocha z nim na czele wyjechali podobnie do Ciechanowa, a robotnicy trochę złapali świeżego powietrza. Został tylko fol[ks]dojcz Siarkowski. Podobnie pochodził z Łodzi.

Ja dalej pracowałem na kolei w Prusach i w Polsce, stale u Niemców. A teraz po napadzie na Związek Radziecki na pociągach się zrobił inny ruch, dużo się widziało na własne oczy, jak Niemcy wieźli radzieckich żołnierzy, którzy zabrali do niewoli, byli obstawieni silną eskortą przez niemieckich żołnierzy. Na brekach kolejowych stojeli z automatami, a na stacji schodzili z breków i byli gotowi do strzelania do radzieckich żołnierzy, a nam cywilom nie wolno się było zbliżać do pociągu. Często żołnierze radzieccy przez małe okienko wagonu nam dala stojącym od pociągu przesyłali pozdrowienia na migach przez swoje ręce. Prawie nie było dnia, żeby nie wieźli kogoś do Prus: to polską młodzież, to Białorusów i różnych ludzi. Szwaby rozbijali rodziny w Polsce i w Rosji. Nam z cywilami to nieraz udawało się porozumiewać przez okno pociągu, jak stanął na stacji, ale nie zawsze. Często się zdarzało, jak jechałem w pociągu, to był wagon osobowy tylko dla Polaków, ale w tym wagonie Niemcy przewozili i żołnierzy radzieckich, Włochów, Austriaków, zdarzało się – ale nie często – że i Czechów, ale w niemieckich mundurach. Naszym obowiązkiem było, żeby tem ludziom jakoś pomóc, bo widzieliśmy, że ci ludzie są aresztowani, bo z nimi jadzie Niemiec uzbrojony, a oni nawet pasów nie mieli na sobie, bo radzieckich żołnierzy jak szwaby wieźli, to wiedzieli, że [oni] to byli jeńcami, a ci żołnierze w niemieckich płaszczach to byli ludzie, którzy odmówili posłuszeństwa. Często oddawałem tem ludziom swój obiad, a sami jakoś się dało przeżyć do wieczora, ale jak chciałem dać tem ludziom swoje obiady, to musiałem się najpierw zapytać Niemca, czy może dać tytoniu. To jak kazał, to się go zapytałem, czy możemy dać chleba. Wartownicy tych ludzi przeważnie byli Niemcy w podeszłym wieku, to rzadko się zdarzało, że nie kazał ten wartownik dać nawet tabaki na papierosa. Niemcy w polskich wagonach przewozili tylko po paru takich żołnierzy, najwięcej ośmiu. Nam najgorzej się było mówić z włoskimi żołnierzami, tylko na migi. Ale naszym obowiązkiem trzeba było poratować głodnych, bo ja dobrze znałem głód, bo byłem u tych szwabów w niewoli, niedługo,

tylko 18 dni, ale można było dwa razy umrzeć na stojąco, nie brak było się kłaść na ziemię.

Dzień za dniem odchodził, a drugi przychodził i dalej trzeba było pracować w niemieckim jarznie. Mijały dnie i miesiące, i minął rok 1941. Nastał rok 1942. Dalej nie mogłem się utrzymać na odcinku od Grabowa do Chorzela. Niemcy naszą czwórkę rozbili, rozbili Opalacha, wysłali do Tylżytu na stałe, Wilgę Antoniego i Granosze[w]skiego Niemcy wysłali do Szczytna. M[n]ie jakoś Szwaby zostawili na stacji Parciaki. W zimie robiłem w stolarni, na wiosnę inspektor wycofał jch z powrotem na Parciaki, bo się zrobiło na tem odcinku trochę roboty. Niemcy nazwozili z Rosji kafli i cegły. Niemcy na całą parę zaczęli przepracować remonty na stacjach i na torze. Często przechodziły pociągi towarowe, załadowane czołgami i amunicją. Obsługa pociągów była częściowo polska, [byli to] przeważnie maszyniści, którzy jeździli pod sam front. Do nas dochodziły różne wiadomości frontowe z Ukrainy i spod Stalingradu. Cieszyłem się temy wiadomościami, wierząc w to, że kiedyś przyjdzie wyzwolenie i naszej Ojczyzny.

Ale skończyła się moja uciecha. 20 lutego 1943 r. zawołano m[n]ie do biura. Sekretarz Barski powiedział z cicha:

- Stefan, musisz jechać do Prus na robotę do Jochanizburga.

Ja byłem zaskoczony tą wiadomością. Barski powiedział:

- Masz dwa dni urlopu, przyszykuj się do odjazdu.

Zrobiło mi się przykro, że muszę opuścić strony rodzinne i jechać na głodówkę. 23 lutego 1943 r. opuściłem dom rodzinny i kolegów [z] Armii Krajowej, i stację Parciaki. O godzinie 8 wsiadłem do pociągu z Niemcem, który specjalnie przyjechał po m[n]ie. Pociąg zasapał, wydał gwizd, echo rozległo się po lesie. Maszyna w pośpiechu ruszyła w kierunku Chorzela.

Ja siedziałem na siedzeniu, patrzyłem przez okno wagonu, patrząc na wioski znajome, które znikwały w mych oczu. Serce coraz gorzej się ścisnęło z żalu, że muszę opuszczać ukochaną ojczyznę. Wkrótce minęli Chorzele, za parę minut minęli granicę Prus Wschodnich, [ale] wszystko mi było jakieś obojętne. Niemiec, który siedział naprzeciw, zaczął rozmawiać ze mną po mazursku. Ja ciężko westchnąłem z żalu za wolnością, którą utraciłem i [że] wszyscy Polacy dostali się w hitlerowskie obcęg i czekają na dalszą poniewierkę, i na śmierć głodową, ale prędko uspokoiłem się i zacząłem zadawać Niemcowi pytania. Zapytałem się go, czy są w Jochanizburgu jakie ludzie z Polski, to jest, czy są robotnicy polscy. Niemiec odpowiedział, że na kolei jest 60 robotników z Polski.

- Ale i w mieście są Polacy i to dużo ich jest, bo i ja wychodzę z polskiej rodziny. Mogę po polsku pisać i czytać.

Niemiec dalej opowiadał o swoich stronach i o swoich Ojcach. Ja się go zapytałem, jak się nazywa. Niemczak odpowiedział, że się nazywa Henryk Rykowski.

Dojechalim do Szczytna, przesiedlim na drugi pociąg i wkrótce ruszył w kierunku Jochanizburga. Czas prędko zlałał, m[n]ie się zdawało, że jestem dalej niewolnikiem.

Wkrótce zajechalim na miejsce. Pociąg stanął, wyszlim na peron z Niemczakiem,

przeszlim przez dworzec i weszlim do biura kolejowego. Ja stanąłem przy biurku. Za biurkiem siedziało dwóch Niemców i sekretarka była dość urodna, o miłym spojrzeniu. Jeden z tych Niemców wstał z krzesła i zaczął m[n]ie zadawać pytania po mazursku, a sekretarka pisała. Nie wyglądał on na dobrego człowieka, w jego oczach można było odczytać hitlerowskie spojrzenia i wrogość do polskiej ludności. Sekretarka spoglądała na m[n]ie często z uśmiechem, na oczach jej można było wyczytać, że ta dziewczyna pragnie miłości. Nareszcie m[n]ie się zapytała, jak się nazywa moja wioska. Ja jej odpowiedziałem, że jestem z Jednoróżca. Dalej stałem, jak jaki winowajca przed sądem. Sekretarka jeszcze raz spojrzała na m[n]ie z uśmiechniętą twarzą i powiedziała:

- Możecie odejść.

Niemczak i ja wyszlim z biura, a za namy wyszedł jeden z tych Niemców. Obydwa zaczęli szwargotać po niemiecku. Nareszcie ja zrozumiałem, że to był inspektor.

Zaszłem do baraków. Pokazali mi łóżko, na którym miałem spać i kucharkę, która ma prawo m[n]ie żywić. Więcej w baraku nie było nikogo, tylko puste łóżka. Wszyscy byli u roboty. Jak Niemcy odchodzili, [to] powiedział Niemczak, że dziś to mam wolne, a jutro to się zamelduję o godzinie 8 rano na biurze.

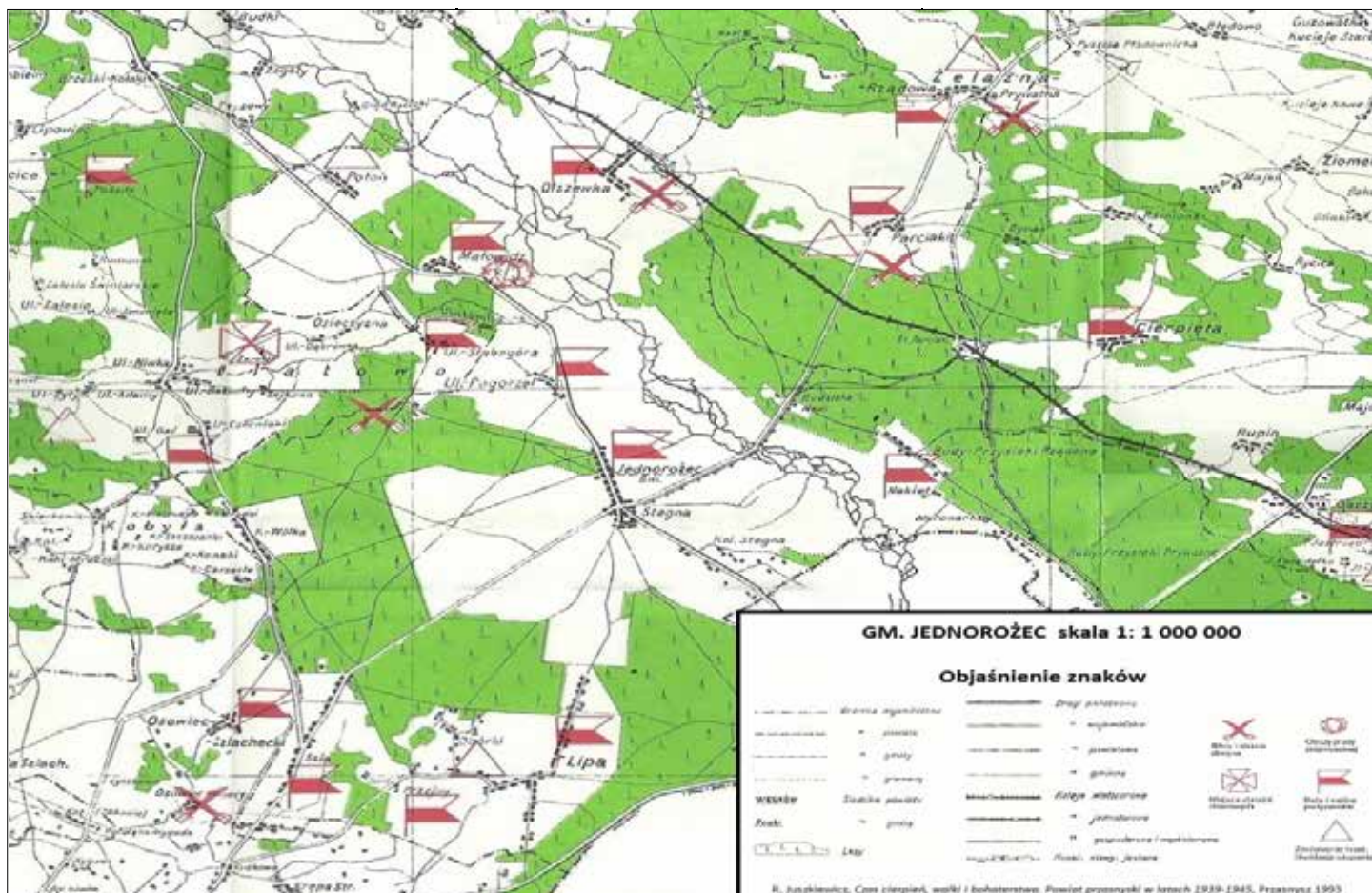
Za jakieś dwie godziny wrócili robotnicy, co robili na torze. Przywitałem się z nimi, w rozmowie [w]spólnej dowiedziałem się, że niektórzy byli z pobliskich wiosek. Podzieliłem się z nimi zapasami, którym przywiózł z domu. Kawał we wieczór rozmawiałem [w]spólnie.

Po przespanej nocy wszyscy odeszli do roboty o godzinie 7, a ja się zameldowałem o godzinie 8 w biurze. Na wstępie sekretarka wydała mi punkta na chleb, mydło, a reszta punktów była skierowana na kuchnię, a później inspektor m[n]ie zaprowadził do schodów i powiedział po niemiecku, żeby robić pomału, a dobrze. Jak się okazało, to robota była dobra, Niemcy nie stojeli z batem nade mną. Ale życie to było liche, chleba mało. Raz na dzień kucharka ugotowała rzadkiej zupy z wodą i kartofłami, [a] do smaku na 60 robotników jedną paczkę margaliny.

Ja zacząłem szukać znajomości z Niemcami i po paru dniach udało mi się w sklepie spożywczym, gdzie stale kupowałem za punkta, udało mi się urobić młode Niemki, które od czasu do czasu sprzedawały kilka chleba przez punktów. W dalszej rozmowie z ich matką można się było dowiedzieć i spraw politycznych. Często wchodziłem drzwiami od podwórka, nie dając poznać Niemcom. Stara Mazurka powiedziała, że oni są Polakami. W dalszej rozmowie z Mazurką mogłem się dowiedzieć dużo rzeczy o przyżywaniu Mazurów, którzy pragnęli należeć do Polski. Mazurka opowiedziała mi o swojej rodzinie, że jej męża powołano do wojska, a ona się została z dwoma córkami w tym sklepie. Dalej zaczęła mi opowiadać, jak jej córki chodziły do szkoły polskiej, to w [19]34 roku hitlerowcy napadli na szkołę, okna potłukli, dzieci rozprędzili, a polska nauczycielka zginęła przez śladu.

Ja przez dwa tygodnie dużo zapoznałem takich ludzi. Mogłem się od nich dowiedzieć nawet i spraw politycznych, które mi były potrzebne. Po dwóch tygodniach dostałem

⁶⁶ Erich Koch (1896–1986) – gauleiter i ostatni nadprezydent Prus Wschodnich (1933–1945), od 1941 r. szef Zarządu Cywilnego Okręgu Białostok i komisarz Rzeszy dla Ukrainy, zbrodniarz wojenny.



Mapa gm. Jednoróżec w czasie II wojny światowej (1939–1945). Źródło: R. Juskiewicz, *Czas cierpień, walki i bohaterstwa. Powiat przasnyski w latach 1939–1945*, Przasnysz 1993.

urlopsiain, czyli przepustkę na 3 dni i dalej. Niemcy nas puszczali do domu co dwa tygodnie. Ja dalej robiłem u różnych Niemców i u Mazurów, i u zatwardziałych hitlerowców.

Po czterech tygodniach zapoznałem chłopaków na dobre. Sam oceniłem ich zapatrywanie do naszej ojczyzny. Wszyscy narzekali i czuli się, że są w niewoli u Niemców i o skromnym życiu muszą ciężko pracować. Ja zaprzyjaźniłem się z dwoma z Wólki Rako[w]skiej – Dudek i Kukawka – [a] z Mysieńka nazywał się Lakus. Tem ludziom można było wszystko wierzyć, bo zawsze byli gotowi oddać życie w obronie naszej ojczyzny.

Ja po dwóch tygodniach znów dostałem przepustkę. Przyjechałem do domu. Spotkałem się z Łukasikiem Władysławem, który m[n]ie zaprzysiął do Armii Krajowej. Opowiedziałem wszystko o tych młodych chłopakach i o Mazurach, którzy mówili, że są Polakami. Po krótkiej rozmowie Łukasik powiedział, że takich ludzi należało by zaprzysiąć do naszej organizacji. Ja mu na to odpowiedziałem, że jestem zastępcą pierwszego plutonu, nie jestem upoważniony do zaprzysięcia tych chłopaków. Odpowiedział Łukasik, że tacy ludzie mogą się nam przydać, mogą nam przekazywać różne wiadomości z Prus od Prusaków i obserwować ruchy wojskowe i transporty kolejowe.

- Ja ci zezwalam na zaprzysięcie tych ludzi [powiedział].

Nadszedł poniedziałek i zmuszony byłem pożegnać Łukasika i wioskę rodzinną i odjechać do Jochanizburga. Rano w poniedziałek o godzinie [w]pół do ósmej wsiałem do wagonu. Maszynista podał sygnał

i maszyna stęknęła dwa razy, i ruszyła w kierunku Jochanizburga.

Po powrocie zaraz poszedłem na swoje stanowisko pracy. Później, jak chłopaki wrócili z pracy, wszystkich zaciekało, co w naszej Polsce słychać. Ja odpowiedziałem, że wszystko po staremu: Niemcy zabierają naszą młodzież na przymusowe roboty, płacz matek i ojców. W drugim dniu po fajrancie zawałem Dudka do piwnicy i mu powiedziałem:

- Czy byś nie chciał być żołnierzem Armii Krajowej?

Temu chłopakowi zajaśniały oczy od radości, złapał m[n]ie za ramiona i z radością odpowiedział cichym głosem:

- Tak.

Ja mu objaśniłem warunki, jakie ma wypełniać, wyjąłem obrazek z portfela i go zaprzysięłem. Nam obydwom popłynęły łzy z naszych oczu. Ucałowaliśmy się [w]spólnie, a smutek zamienił się w radość i obydwa wróciliśmy do baraku.

W drugim tygodniu wprowadziłem do tej samej piwnicy Kukawkę i go zaprzysięłem. Ci młodzi chłopcy, mocno przygnębieni okupacją, pragnęli wolności, tak jak kwiaty na wiosnę słońca. Obydwa się ucałowaliśmy nawzajem, z powrotem wracając do baraku. Ja mu powiedziałem:

- Słuchaj, co ja ci powiem, nie wolno ci zdradzić naszej organizacji, choć by cię Niemcy na kawałki krajali. To uczynisz dla naszej Polski i nie wolno ci się pochwalić przed innymi.

Wkrótce obydwa weszliśmy do baraku. Ja dalej obserwowałem tych dwóch chłopaków. Jeden miał lat 19, a drugi 20 lat. Zauważyłem, że się

w nich zmieniło życie, byli z siebie zadowoleni, prawie połowa tego przygnębienia od nich odeszła. Za dwa dni znów w tej samej piwnicy został zaprzysięzony Lakus. Był to chłopak, który brał udział w drugiej wojnie światowej, na nim mogłem najwięcej polegać i mieć do niego zaufanie. Ci ludzie byli zaprzysiężeni przez m[n]ie gdzieś koło 20 kwietni[a] 1943 r.

Dalej robiłem o skromnym posiłku, w niewoli i w niedoli pod jarzmem Hytlera. W naszym rozpoznaniu stwierdziłem, że prawie połowa ludności, a przeważnie zamieszkałych w wioskach, to mieli zaufanie do nas, chętnie z nami rozmawiali i skarżyli się przed nami. Nawet tacy byli, że na Hytlera to mówili, że to Antychryst. Nawet się często spotykało żołnierzy, którzy przechodzili z armii niemieckiej [do armii] pod dowództwem Piłsudskiego w [19]18 roku – i to w pełnym uzbrojeniu. Oni sami to się nazywali Peowiakami. Ja się ich dopytywałem, jak to mogło się stać, że Niemcy na takie rzeczy mogli się zgodzić. Odpowiedział na to:

- A co oni mieli robić? Sami oddawali broń dzieciom Polskim, żeby spokojnie zejść do domu.

Można było ocenić takiego człowieka, że w nim płynie polska krew. Nawet się spotykało ludzi w niemieckich mundurach, zawiadowców kolejowych, inspektorów kolejowych, którym zabroniono po polsku mówić, ale podczas służby to mówili po niemiecku, a po służbie to chętnie mówili po polsku, ale tylko sam na sam. Można było wyczuć, że ci ludzie mają trochę w sobie polskiej krwi, bo [było to widać] po rozmowie i narzekaniu na prawa Hytlera i na jego oprawców.

Ale zbliżał się koniec mojego pobytu w Jochanizburgu. Pragnąłem wrócić do swojej wioski, do naszej Polski. Poszedłem do doktora, bo coś m[n]ie zaczęło łamać w krzyżu. Chodziło m[n]ie o przedzielenie do stacji Parciaki. Wiedziałem dobrze, że Niemcy lubią łapówki. Miałem 15 jajek, co przywoziłem z domu, uszykowałem paczkę i rano zameldowałem na biurze, że jestem chory. Z biura zaraz poszedłem do doktora. Doktor miał pielęgniarkę, która mówiła po polsku. Niemiecki doktor m[n]ie pierwszy zapytał po niemiecku, czy jestem chory. Ja odpowiedziałem, że nie rozumię po niemiecku. Zaczęła do m[n]ie mówić po polsku ta dziewczyna. Ja jej dałem tę paczkę i poprosiłem jej, żeby m[n]ie ten pan doktor coś pomógł. Kazała m[n]ie [się] rozebrać się do pasa. Doktor zaczął m[n]ie badać i zadawał pytania. Ja jej odpowiedziałem po polsku, a ona tłumaczyła doktorowi po niemiecku. Nareszcie powiedziałem jej, że jak robiłem w Parciakach, na swoim życiu, to m[n]ie nic nie bolało, a tu to m[n]ie przeważnie szkodzi życie. Doktor się uśmiechnął, napisał receptę i skierowanie do szpitala na prześwietlenie. Nareszcie powiedział, żeby nic nie jeść, tylko obrać trzy kartofle m[n]iejsze od orzecha i je połknąć rano. Ja wiedziałem, że jak nie uznają doktorzy żadnej choroby, to m[n]ie czeka karny obóz.

Choć z dużym strachem, ale o godzinie 8 rano zameldowałem się w szpitalu. Długo nie czekałem, jeden z doktorów podał m[n]ie garnuszek z kredą i kazali się rozebrać do naga. Stałem na stopniach maszyny i zaczęło się prześwietlenie klatki piersiowej, żołądka i kręgosłupa. Doktorzy niemieckie kazali m[n]ie się ubrać i zaczekać na wyniki. Ledwie zdążyłem się ubrać, to moje wyniki z prześwietlenia już były za szkłem powiększającym, wisiały na ścianie, w żołądku widać było trzy białe kartofle. Niemka powiedziała, że mam trzy wrzody na żołądku i uszkodzony kręgosłup. Na te słowa tej Niemki odetchnąłem z ulgą na sercu. Jeden z doktorów napisał wyniki z prześwietlenia i dał m[n]ie, i kazał zanieść do doktora powiatowego. Ja podziękowałem jem za prześwietlenie i poszedłem do powiatowego doktora, złożyłem jemu te wyniki na stół. Doktor się roześmiał i powiedział:

- Na niedzielę to będziesz w domu.

Dopisał jeszcze jedną kartkę i kazał m[n]ie jść na Arbejcant. Ja podziękowałem temu niemieckiemu doktorowi i jego pomocnicy, i wyszedłem na ulicę w kierunku, gdzie się znajdował Arbejcant.

Po drodze spotkałem starą Mazurkę. Ona m[n]ie się zapytała pierwsza, dokąd ja idę. Ja jej odpowiedziałem, że idę do Arbejcantu, niosę papiery, to może m[n]ie zwolnią do Polski albo do karnego obozu. Mazurka odpowiedział[a]:

- To wy jesteście z naszej Polski?!

Babina m[n]ie objęła rękami wpół i zaczęła głośno płakać i z tem płaczem mówiła, że ona jest Polką. Na tę scenę stanęło parę przechodniów. Ja tę starowinę przeprosiłem i odszedłem, a ta babcia usiadła na chodniku i na cały głos przezywała Niemców. Ja szybko się oddalałem od tej sceny.

Wkrótce stanąłem przy szerokich drzwiach Arbejcantu. Roztworzyłem drzwi. Zobaczyłem długi korytarz. Po prawo i po lewo korytarza były biura. Zadzwoiłem do pierwszego z lewej strony. W biurku zastałem młodą dziewczynę, która m[n]ie się zapytała po niemiecku, ja jej położyłem papiery na biurku i powiedziałem, że ja nie znam języka niemieckiego, bo jestem Polakiem. To niemiecka dziewczyna zmierzała m[n]ie



Od lewej: Józef Masalski „Płaszcz” - szef sztabu, Henryk Kierzkowski „Raban” - dowódca oddziału AK „Łowcy”, Antoni Łoś „Tur”. Zbiory Marka Masalskiego.

oczami od głowy do stóp i powiedziała po polsku:

- Ja was zaprowadzę.

A później powiedziała:

- To pójdziecie sami, na drzwiach są nomera pod 4, 6 i 8.

Ona się wróciła, a ja wszedłem do biura nr 4. Siedział [tam] za biurkiem mężczyzna. Ja mu powiedziałem, że jestem Polakiem i położyłem papiery na biurku. Ten odpowiedział po polsku, że zaraz m[n]ie załatwi. Wkrótce zostałem załatwiony. Poszedłem do drugiego biura pod nr 6, zadzwoniłem i usłyszałem cieniem głosem – [kobieta] powiedziała po niemiecku:

- Byte⁶⁷.

⁶⁷ Bitte – niem. proszę.

Była to dość urodna [kobieta], a ja po polsku powiedziałem „Dzień dobry”. Ona odpowiedziała również po polsku, chętnie m[n]ie załatwiła i kazała jść pod nr 8, żeby m[n]ie wydano kartę, żeby m[n]ie żandarmy dali spokój, bo mam zwolnienie bezterminowe. - Pieniądze będziecie dostawać, kolej je będzie wypłacać.

Nareszcie zawołała ją do siebie i uzgodniły obydwie te Mazurki [co trzeba]. Ja chciałem odejść, ale m[n]ie trochę zatrzymały i porozmawiałam całą trójką. Przeważnie ciekawiły się, jak było w Polsce przed wojną. M[n]ie zależało na czasie, przerwałem rozmowę. Podziękowałem jem tak jak należało i odszedłem z Arbejcantu z zadowoleniem. Wróciłem prosto do biura kolejowego, żeby okazać dokumenty, że jestem zwolniony od ciężkiej pracy, powiedziałem „Do widzenia” i odszedłem do baraku.

Niedługo czekałem na na powrót od roboty na torze. Chłopaki wrócili do baraku jak zwykle. Pierwszy zapytał m[n]ie Lakus, jak się udała ta robota. Ja z uśmiechem na twarzy odpowiedziałem, że bardzo dobrze.

- Jutro odjeżdżam do Polski, a tobie daję pod opiekę tych dwóch ludzi, Dudka i Kukawkę, bo oni są zaprzysiężeni do AK.

Dla Lakusa to było zaskoczeniem, bo on o nich nic nie wiedział. Ja zawołałem jch obydwóch i powiedziałem:

- Chłopaki, to wasz dowódca, bo ja odjeżdżam jutro rano do Polski. Pożegnałem się w tej starej piwnicy i każdy wyszedł pojedynczo do baraku.

Po przespanej nocy o godzinie 6 wsiałem do pociągu i odjechałem w kierunku Szczytna. Pociąg się włócił jakby go para wołów ciągnęła, [a] m[n]ie zaczęły różne myśli do głowy się pchać... Francuzi, którzy byli w niewoli i na łące zbierali żaby, i mówili że to są fisie... to te druty kolczaste, które były ogrodzone baraki dla więźniów... to znów my się przypomniał zwrotniczy, który przekładał wajchy na torze kolejowym i te słowa jego. Jak zobaczył przez okno gestapowca, który pędził chłopca na rowerze i powiedział do niego temy

słowami:

- Ty diable, ty go dzisiaj gnasz tego siurka, a jutro ciebie będą tak gnać.

Gestapowiec nic nie zważał na słowa zwrotniczego, tylko zapukał [w głowę] do tej głupoty. Zwrotniczy był to człowiek w starszym wieku. Ja stojałem nieruchomo, czekałem, co dalej będzie. Zwrotniczy zdjął ze ściany portret Hytlera i zaczął pięściami tłuc w ten portret, i powiedział:

- Ty Ancochryście, jużes pożer[!] moich trzech synów i dalej mordujesz [z] wszystkich ludzi!

Ten starzec dalej nie mógł znieść i rozplakał się jak małe dziecko. Na końcu powiedział przyciszonym głosem:

- A m[n]ie pożar[!] trzech moich synów pod Stalingradem.

Dalej powiedział:

- On morduje Polaków, ale i ja jestem Polakiem, bo walczyłem o wolną Polskę w roku 1919.

Po niedługim czasie pociąg zaczął zwalniać bieg przed sygnałem, rozległ się gwizd parowozu. Niedługo konduktor powiedział po niemiecku[⁶⁸, że już] Oltenzlurg⁶⁸, [który] po polsku nazywa się Szczytno. Wsiadłem z wagonu i najpierw spojrzałem na zegar kolejowy. Była godzina dziesiąta. Do Ostrołki przez Parciaki pociąg miał odchodzić o godzinie 11.20. Czekałem z niecierpliwością. Postanowiłem czekać na stacji. [W]skazówka zegara posuwała się zbyt wolno, m[n]ie się tak przedstawiało i różne myśli m[n]ie się przesuwały przez głowę. Nareszcie przyszedł czas upragniony. Wyszedłem na peron i wkrótce doczekałem się. Pociąg stanął na peronie. Wsiadłem do wagonu przeznaczonego dla Polaków. Wkrótce odjechałem pociągiem w kierunku ojczystej ziemi, a tą ziemią to była Polska.

Powrót do Polski

Zdawało mi się, że drugi raz się narodziłem Polakiem i żołnierzem w cywilnej kaptocie przez broni. Lecz niedługo ta radość trwała, bo tylko do Chorzel. Jak zobaczyłem Chorzele, to inne myśli przyszły do głowy, tu już jest nasza ziemia polska oblana łzami polskich matek i całych polskich rodzin, bo prawie w każdej rodzinie kogoś zabrakło. Młodzież zabrana przez niemieckich oprawców i wywieziona na przymusowe roboty do Niemiec albo z żołnierzy kogoś zabrakło, kto nie daje znaku życia. Wkrótce usłyszałem głos konduktora:

- Banów Parciaki!

Pociąg stanął i lekko oddychał. Wsiadłem z pociągu na peron. Spotkałem tu Łukasiaka Władysława, który m[n]ie się zapytał, czy na długo przyjechałem. Ja mu odpowiedziałem, że mam zwolnienie przez niemieckich lekarzy przezterminowe. Łukasiak m[n]ie najpierw zapytał, czy zaprzysięgłem tych młodych chłopców. Ja odpowiedziałem, że tak, ale tych trzech.

I dalej szlim chodnikiem w kierunku biura. Za namy się pojawiła sylwetka inspektora. Stanęliśmy i zaczekaliśmy na szwabę. Inspektor spojrzał na m[n]ie i po niemiecku powiedział:

- Stefan, kiedy przyjechałeś?

Ja jemu powiedziałem „Dzień dobry” i weszliśmy do biura. W biurze za biurkiem siedział Barski, który należał do AK, był to nasz człowiek, a że miał dobre wykształcenie, Niemcy dali mu pracę w biurze. Ten człowiek był prawą ręką Armii Krajowej. Barski spojrzał na m[n]ie i poruszył ramionami, i się m[n]ie zapytał, czy na długo przyjechałem. Ja wyjąłem z kieszeni zwolnienie lekarskie i położyłem na biurko. Inspektor Masman złapał tę kartkę w pazury jak diabeł dobrą duszę i zaczął ją czytać na cały głos. Trochę poczerwieniał na twarzy, a później się uśmiechnął i powiedział:

- Słuchaj, Stefan, trudno ci będzie dotrzymać się w domu, bo przecież z czegoś musisz żyć. Sam ci dziesięć dni urlopu i będziesz stale

atakowany przez nasze władze.

Barski powtórzył te słowa Inspektora po polsku. Ja odpowiedziałem, że się zgadzam na to, co pan inspektor zaproponował, bo chciałbym tę wojnę przeżyć. Barski zwrócił się do inspektora i znów mu przetłumaczył po polsku. Inspektor dał m[n]ie z powrotem to zwolnienie i podał m[n]ie rękę i powiedział:

- Może jakoś przeżyjemy.

Ja wyszedłem z biura [i] przybrałem kierunek Jednoróżec. Nie czekałem na Łukasiaka, sam szybko przeleciałem te 7 kilometrów, nie wiadomo, kiedy. Po dziesięciu dniach zameldowałem się w biurze kolejowym. Inspektor się m[n]ie zapytał, czy jestem zdrowy. Ja odpowiedziałem, że my jest lepiej, a on na to powiedział:

- Idź do stolarni. Jak stolarze będą ostrzyć heble, to jem zakręcisz kamieniem, a rano to nam przywieziesz masło. Dostaniesz kartę. To będzie twoja robota.

I tak wiozęm Niemcom masło przez cały miesiąc, ale ta robota m[n]ie się sprzykrzyła, bo nie mogłem się nic nowego dowiedzieć, co się dzieje w dalszym terenie naszego odcinka. Powiedziałem inspektorowi, że ja chcę robić jak pierw. Inspektor się roześmiał i powiedział, że jutro pojedą na stację Zabiele.

- Tam chłopcy robią wykop do piwnicy, to będziesz tę piwnicę murował.

Po przespanej nocy wzięłem koszyk na rower i pobrałem masło dla szwabów, i ruszyłem w kierunku stacji Parciaki. Po paru minutach znalazłem się na placu tartacznym. Zostałem zatrzymany przez niemiecką policję. Ślepią jem się zapaliły jak psom szalonem, gotowi byli m[n]ie zabrać na posterunek. Ja jem pokazałem papiery na masło. Żandarmy odeszli ze spuszczonej ślepią na posterunek. Ta klika tych żandarmów była zostawiona na dalsze ciemnienie polskiej ludności przez komendanta Kocha, który wyjechał do Ciechanowa. Ja dalej przeprowadziłem rower przez plac tartaczny i przez tor kolejowy, oddałem szwabom masło, zebrałem graty i dołączyłem do grupy, która stała na peronie i czekali na pociąg.

Wkrótce nadszedł pociąg, wsiedliśmy do wagonu, a inspektor na końcu, prawie w biegu. Za dwadzieścia minut, a może trochę więcej, konduktor wyskoczył z wagonu i powiedział:

- Zabiele Wielkie, proszę wysiadać! – po niemiecku.

Wszyscy Polacy wysiedli z pociągu i inspektor, 12 robotników i nas trzech murarzy: Antoni Wilga i Granoszewski Franciszek, i ja Stefan Wilga. Niemiecki inspektor najpierw zawołał m[n]ie i m[n]ie zaprowadził do pokoju, gdzie mieszkał zawiadowca. W tym pokoju była kupa cegły i kafli. I dalej powiedział:

- Dobrze, żeś przyjechał, bo nie miałem takiego majstra, żeby umiał stawiać piec z niemieckich kafli.

Na odchodne powiedział inspektor:

- Stefan, pomału, ale dobrze postaw te piece.

Dalej powiedział „Do widzenia” i poszedł do piwnicy. Przysłał m[n]ie jednego chłopca do pomocy.

M[n]ie dopiero się roztworzyły oczy, bo w Zabieli zaraz niedaleko za górą od stacji mieszkał rzeźnik, który miał sklep i prowadził sprzedaż na kartki mięsa, a u tego rzeźnika

wszyscy śmuklarze⁶⁹ się często trafiali. Ja miałem paru znajomych, mogłem się dużo od nich dowiedzieć, co się dzieje na świecie i w naszej stolicy Warszawie. Ja często otrzymywałem biuletyny i dalej oddawałem koledze do przeczytania, dużo mogłem się dowiedzieć dobrych i politycznych spraw od polskich maszynistów, co jeździli do protektoratu i do Niemiec. Pomimo że miałem na swoim terenie grupę swoich ludzi, których naszym obowiązkiem trzeba było ich wyżywić i odziać na ten fundusz, to nasza organizacja, AK, robiłem składki, [ale] trudno było przewieźć żywność z Jednoróżca do lasu. Ale była piekarnia w Jednoroszczy. Właścicielem tej piekarni był Tadeusz Grabow[e]cki, to Adam Granoszewski w dzień przyjechał wozem i wóz zostawił na podwórku, [potem] ten wóz wpełchli na klepisko do stodoły. Włożyli na wóz parę solniaków, chleba, przykryli nawozem i Adam założył konie do wozu. Zbadali rogatki⁷⁰, czy w pobliżu się nie szwadają niemieckie żandarmy. Jak teren był wolny, to Adam i Grabow[e]cki roztworzyli tylne wierzeje, Adam dał koniom po jednym biczu i wyjechał na drogę. I w taki sposób tylko można było dowozić żywność ludziom tym, którzy przebywali w lesie.

My zmuszeni byliśmy się strzec nie tylko żandarmów, ale i śpiclów, którzy się znajdowali w każdej wiosce naszej gminy. Przez tych zdrajców dużo ludzi z naszej gminy dostało się do Działdowa albo poniosło śmierć na miejscu. Nawet i od żandarmów, to który jem się nie spodobał, to te szwabki w nocy go wyprowadzili za stodołę i go tam zamordowali, i zakopali tak, że trudno było znaleźć śladu, w jaki sposób był zamordowany. Niemcy, ci, którzy mieszkali samotnie w lasach albo na stacjach kolejowych, to niektórzy nic nie wiedzieli i jeszcze zdarzało się, że służyli Polakom pomocą. Dużo polskiej młodzieży się ukrywało w ich dachach. W końcu taki nadlesniczy ich zatrudnił jakąś pracą, żeby [mogli] spokojnie przeżyć wojnę: to do szkółki pleć, skrobać kopalniaki, to we własnym gospodarstwie różne roboty obmyślał, ale dlatego, żeby sam był bezpiecznym.

Ostatni gniew Armii Krajowej

[W] 1943 r., gdzieś przy końcu maja, odbyło się zebranie Armii Krajowej. Niedaleko od wioski Jednoróżca, może pół kilometra, na Łysej Górze⁷¹, gdzie teraz jest boisko do piłki nożnej, wystawiono posterunki na głównych punktach. Zebranie odbyło się prędko. Na tym zebraniu uchwalono zorganizować grupę operacyjną, żeby poskromić szpiclów z polskiej ludności, których sobie urobili

⁶⁹ Szmugler – osoba nielegalnie przenosząca przez granicę kraju towary bez kontroli i oclenia, albo przenosząca przedmioty niedozwolone; przemytnik, kontrabandzista.

⁷⁰ Rogatki – centrum wsi Jednoróżec, skrzyżowanie (rondo) dróg Przasnysz–Myszyń i Chorzele–Krasnosielc.

⁷¹ Łysa Góra – najwyższe wzniesienie w pobliżu wsi Jednoróżec, położone za stadionem sportowym przy ul. Piastowskiej.

⁶⁸ Powinno być: Ortschaft.



Część oddziału Armii Krajowej „Łowcy”, 1944 r. Zbiory Janiny Żbikowskiej.

niemieckie żandarmy. Tę propozycję przyjęli chętnie ludzie z lasu, bo trochę byli uzbrojeni. Ale ta sprawa wyglądała jenacy, bo na wykonanie wyroku śmierci takiego szpycla trzeba było mieć wyrok z głównego sztabu z Warszawy.

Nasza grupa operacyjna zaczęła działać, zaczęli swoje rzemiosło. Do domów szpiclów niemieckich to w nocy weszli do mieszkania i chcieli go przechrzcić na Polaka, ale nie święconą wodą, tylko kijami. To taki szpycel z początku się nie przyznawał, że [w]spólnie z Niemcami wysłał ludność polską do karnych obozów, ale jak go przeboleło, to się przyznał do winy, a niektórzy to się nie przyznali, choć jemu grozili karą śmierci.

W niedługim czasie ta grupa operacyjna składająca się z siedmiu ludzi dostała wyrok śmierci na Gaciocha z Gaczysk i go wykonali. Baranowskie żandarmy utracili jednego wuja i szpycla, który był prawą ręką baranowskich żandarmów. Zaraz na drugi dzień wezwali wojsko i żandarmów z pobliskich gmin, i zrobili obławę od szosy baranowskiej do Nadleśnictwa Budziska. Koło leśnictwa C[zechronka]⁷² zabili dwóch robotników leśnych, którzy ciągnęli żywicę. Dalej nie spotkali nikogo, żeby był jch ofiarą. Jak przyszli do Bud [Rządowych], to się w tej wiosce ukrywał Łukasiak Teofil. Dało mu się uciec przed obławą, to był nasz człowiek.

Gestapowcy otoczyli budynki do[okoła] i paru weszło do mieszkania. Zastali [tam] żonę i dzieci, zbili jch tak, że żona Łukasiaka powiedziała, że sama jego przywiezie na posterunek do Jednoróżca. Gestapowcy na odchodne powiedzieli, że jak męża nie przywiezie [w czasie] do trzech dni, to całą rodzinę wybiją.

Gestapowcy opuścili dom Łukasiaka i wioskę Budy Rządowe, przybrali kierunek do Nadleśnictwa Budziska, a nasz siódemka zmuszona była się wycofać przed obławą, bo nie było możliwości przedrzeć się przez pierścień do tyłu. Ale i na przedzie droga, która prowadziła do Jednoróżca do Parciak, była obstawiona przez niemieckie wojsko. To tych siedmiu ludzi znaleźli się prawie w okrążeniu przez Niemców. Znajdowali się w marnej sytuacji. Jeden ratunek to było żyto, co rosło przy stodole. Nasza siódemka umiała wykorzystać teren. Postanowili schronić się w tem życie, blisko stodoły niemieckiego nadleśniczego. Wierzeje tej stodoły były tylko przymknięte, jedna wierzeja była trochę otwarta. Ta stodoła stała blisko od zagajnika, to nasi chłopcy pojedynczo skokami przez wąski pasek żyta dostali się do tej stodoły, szybko weszli na zasięki i tam się schowali w słomie i takiem sposobem się uratowali przed śmiercią.

Cała ta obława z Grobli i z lasu zebrała się na podwórzu nadleśnictwa. Nasza siódemka [była] w stodole u Nadleśniczego niemieckiego. Na podwórzu zrobił się szwargot, jakby ze sto indyków napędził na to

podwórze. Niemiecki nadleśniczy chciał zabezpieczyć sobie spokój i swojej rodzinie, to wyszedł na schody i zawołał tego gestapowca. Zaczął się z nim klócić, że straszy tą swoją obławą zwierzynę i robotników, którzy pracują w lesie. Po prostu jch wygnał z podwórza. Gestapowcy i wojsko opuścili podwórze i odjechali samochodami. Ale nieszczęśliwa żona Łukasiaka na drugi dzień po obławie sama odwiozła swojego męża do posterunku niemieckiego do Jednoróżca. Teofil Łukasiak zginął przez śladu. Podobnie jednoróżskie żandarmy zabili go w nocy za stodołami i go zakopali, że nie było żadnego śladu po zamordowanym.

Dalsze zbrodnie okupanta

Gestapowiec Koch dalej grasował ze swoją kliką na terenie naszej gminy. Po obławie w lasach Nadleśnictwa Budziska zaatakowali Leśniczówkę Uścianek koło [Ulatowa-Słabogóry]. Dalszymi ofiarami w leśniczówce to był leśniczy Łoś⁷³ z Leśniczówki Obórki,

⁷² Czechronka – leśnictwo w gm. Baranowo, niedaleko Bud Rządowych i Parciak-Stacji w gm. Jednoróżec.

⁷³ Antoni Łoś – ur. 13 VI 1911 r., syn Romana i Emilii, leśniczy z Przejm, żołnierz oddziału AK „Łowcy” ps. „Tur”. Brał udział w bitwie pod Szlą 17 X 1944 r. Aresztowany 26 XII 1944 r., przetrzymywany w Przasnyszu, a następnie w KL Soldau w Działdowie. Zginął w nocy z 21–22 I 1945 r. jako drugi z uwięzionych w Starych Jabłonkach koło Ostródy. Osierocił

a drugą ofiarą to był Kosmowski⁷⁴. Z naszej wioski po dwóch tygodniach znów zabrano Zdanowskiego i jego siostrę. Dalej polowało gestapo na Stefana Krzykowskiego⁷⁵, który się ukrywał w lasach pod Olszewką. Parę razy ci sami gestapowcy, co byli na tartaku, to odwiedzali gajówkę na Zadziarach⁷⁶, ale [ci] nie z tartaku przyjeżdżali tylko z Ciechanowa, ale m[n]ie było trudno ich poznać, bo długi czas jem się przyglądałem, jakim robił na stacji w Parciakach.

A Stefana Krzykowskiego to wysledził Niemiec – nazywał się Konecko – który później się dowiedział, że to z Jednoróżca Krzykowskiego syn. To gestapowcy zajechali do domu Krzykowskich⁷⁷, stanęli taksówką przed domem, a ja stałem od nich może dwadzieścia metrów. Jak wysiadali z taksówki od razu jch poznałem, co to byli za ptaszki, odszedłem dalej i czekałem, co dalej będzie. Nie zeszło dziesięć minut, drzwi się roztworzyły i ukazała się wstrętna twarz hitlerowca. Zanim wyszła siostra Stefana, miała [już] twarz białą jak ściana, a za nią dwóch oprawców z rewolwerami w ręku wsiadli do taksówki i odjechali w kierunku Nadleśnictwa Budziska.

Ja postanowiłem czekać na powrót taksówki z gestapowcami i z siostrą Stefana. Może zeszło pół godziny, taksówka stanęła przed domem Krzykowskich, [siostra Stefana] wysiadła z taksówki i poszła do mieszkania, a jej brat Stefan pozostał w taksówce. Czapkę naciągnął na oczy, żeby nie widział tego obrazu. Taksówką odjechali gestapowcy ze Stefanem w kierunku Przasnysza.

Dnia 17 października 1942 r. zostali

zonę i córkę. Pochowani na cmentarzu parafialnym w Przasnyszu.

⁷⁴ Roman Kosmowski – ur. 4 XI 1911 r., leśniczy z Uściana, szwagier A. Łosia, żołnierz AK ps. „Wilk”. Aresztowany 26 XII 1944 r., przetrzymywany w Przasnyszu, a następnie w KL Soldau w Działdowie. Zginął w nocy z 21–22 I 1945 r. jako pierwszy z uwięzionych w Starych Jabłonkach koło Ostródy osierocił żonę i 2 dzieci. Pochowany na cmentarzu parafialnym w Przasnyszu.

⁷⁵ Stefan Krzykowski ps. „Chmura” – ur. 1910 r., mieszkaniec Jednoróżca, syn Marianny i Wiktora, właścicieli mleczarni, rzeźni i sklepu wielobranżowego w międzywojennym Jednorózu. Był zdolnym uczniem, ukończył szkołę średnią w Przasnyszu. W 1936 r. zaczął studiować śpiew i muzykę dla kształcenia nauczycieli w szkołach powszechnych i seminariach nauczycielskich przy Państwowym Konserwatorium w Warszawie. Posiadał tytuł profesorski, był wszechstronnie uzdolniony muzycznie. Przed wojną pracował w urzędzie gm. Jednoróżec. W czasie okupacji niemieckiej kierownik wywiadu AK Ośrodka Jednoróżec, 2 IX 1942 r. aresztowany przez Niemców. Więziony w Przasnyszu, wywieziony do Ciechanowa, potem Płocka, a 17 XII 1942 r. powieszony w Pułtusk. Torturowany przez Niemców, nie wydał nikogo ze współdziałaczy, dzięki czemu jednoróżecki ośrodek mógł nadal działać.

⁷⁶ Zadziory – osada leśna w gm. Jednoróżec, w pobliżu wsi Olszewka.

⁷⁷ Stał przy rogatkach w Jednorózu, w miejscu późniejszego Baru „Mazowsze”.



Stefan Krzykowski ps. „Chmura” - wywiad Ośrodka ZWZ-AK Jednoróżec do 1942 r. Źródło: A. Drwęcki, *Ruch oporu w gminie Jednoróżec 1939–1945*, Jednoróżec 2011.

zamordowani przez powieszenie w Przasnyszu Edmund Zdanowski /Maks/ i jego naręczona⁷⁸. Stefan Krzykowski został powieszony w Pułtusk. Niemcy postawili szubienicę zawczasu. Na szubienicy wisiało parę prowozów, pod szubienicą stały taborki. Niemcy powiadomili wszystkich sołtysów z całego powiatu przasnyskiego na przyglądy. Później Niemcy nazganiali ludzi z Przasnysza i się zaczęła egzekucja. Niemcy wybrali dwóch sołtysów, pierwszy nazywał się Kocenko, zamieszkały we wiosce Żelazna, drugi sołtys to był ze wsi Bakuły (nazwiska nie pamiętam). Tych dwóch sołtysów Niemcy zmusili do założenia prowozów na szyję naszych braci i wyrwania taboretów. Jeden z niemieckich oprawców chodził i się dopytywał naszych braci stojących na taborkach ze związanymi rękami w tyle, co chcą powiedzieć przed śmiercią. Mężczyźni nic nie odpowiedzieli temu oprawcy niemieckiemu. Na końcu spytał się tej młodej dziewczyny, która stała na taborku. Ta dziewczyna wydobyła ostatni głos przed swoją śmiercią. Powiedziała:

⁷⁸ 17 XII 1942 r. [we wspomnieniach S. Wilgi błędna data] na rynku w Przasnyszu odbyła się publiczna egzekucja członków sztabu obwodu ZWZ-AK. Zginęli wówczas: Maria Kaczyńska, Marian Arct „Luty”, Zenon Kiembrowski „Konrad”, „Okrzeja”, „Czekalski”, Władysław Otlowski „Wojna” i Edmund Zdanowski „Max”. Podobne egzekucje tego dnia Niemcy urządzili w innych miastach Północnego Mazowsza. Zginęli w nim działacze AK m.in. z pow. przasnyskiego. Egzekucje odbyły się w Ciechanowie (śmierć ponieśli Kazimiera Grzelak, Zenobia Jelińska „Teresa”, Tadeusz Jurecki „Wrona”, „Klimek”, Bolesław Nodzykowski „Mały” i Roman Konwerski), Pułtusk (Bronisław Dębiński „Dąb”, Juliusz Kubis „Skuba”, Stefan Krzykowski „Chmura”, Henryk Smoleński „Zaręba”) i Mławie (Michalina Czechowska „Nastka”, Jan Wasilkowski „Janusz”, Bronisław (Bolesław?) Żebrowski „Nurek”, Eugeniusz Jastrzębski „Sep”, „Feliks”).

- Jestem Polką. Niech żyje Polska!

Niemieckie katy nie mogli przełknąć słów tej dziewczyny. Zaraz zawołali sołtysów, żeby założyli pętlę skazańcom na szyje i wyciągnęli taborki z podrogozów. Dzień 17 października to był żałobą dla całego powiatu przasnyskiego, taki obraz śmierci to był okrucieństwem dla nas Polaków. Niemcy stojeli jak diabły z piekła, śmieli się i fotografowali swoje zbrodnie, [a] do siebie mówili, że Polak Polaka wiesza. Ludzie zaczęli się rozchodzić ze spuszczonej głowy i zranionym sercem.

Ja pracowałem na kolei na stacji. Tego dnia w stolarni poszliśmy do stodoły heblować deski do podłogi. Tego dnia do nas przyszli sołtysi, którzy wieszali [skazanych]: Kocenko i z Bakuły sołtys. Obydwa płakali jak małe dzieci i nam opowiadali, jak haniebnie skończyli życie nasi bracia [z] AK. Nie tak dawno byli zaprzysiężeni i musieli oddać swoje życie za naszą ukochaną Ojczyznę.

Niemcy odeszli z radością i z uśmiechem. Myśleli, że poskromią Polaków, ale stało się odwrotnie. Zaczęły się tworzyć różne organizacje przeciw Niemcom. W samym Jednorózu było zaprzysiężonych trzy plutony. Ja byłem zastępcą pierwszego plutonu Armji Krajowej. Moim zadaniem było prowadzenie wywiadu na terenie naszej gminy i w Prusach. Niemcy się uzbroili w szpiclów. W każdej wiosce mieli szpicla. W naszym Jednorózu to był taki as, że niemieckie żandarmy skuwali mu ręce kajdankami i go sadzali do aresztowanych, żeby z nich wydobyć jakieś słowa polityczne albo organizacyjne na korzyść żandarmów niemieckich.

Długo to nie trwało, bo jego matka wydała całą tajemnicę. Zaczęła się pochwałać do ludzi, że jej syn taki mocny, że ma zaufanie od żandarmów. Wkrótce powiadomili naszą siódmkę z lasu. Nasze chłopcy przyszli z lasu w nocy, zbili jch na leśne jabłko i przygrozili im, że jak nie przestaną szpiclować, to jch wszystkich rozstrzelają. Zaraz rano rozeszła się wiadomość po całej wiosce, że partyzanci byli u Bakułów i im sprawili dobre manto, że jch tak zbili, że Bakulina Maćkowa leży w łóżku. Nie poszło to na marne. Ludzie naszej wioski wystrzegali się całej rodziny Bakułów, a oni przestali szpiclować.

Ale w naszej gminie na całym terenie znajdowało się więcej takich wykolejonych Polaków, prawie w każdej wiosce znalazła się niemiecka owieczka. Wielokrotnie ostrzegano tych ludzi, żeby zerwali kontakt z Niemcami. Paru szpiclów po dobrej chłości zawróciło na dobrą drogę, [bo] znajdowali się pomiędzy młotem i kowadłem – prześladowani od sąsiadów i niemieckich żandarmów. W pobliżu naszej wsi Jednoróżca znajdowało się dwóch zatwardziałych szpiclów. Nie pomogło im ostrzeganie [przez] partyzantów, dalej szpiclowali. Partyzanci czekali na wyrok śmierci, aż przyjdzie z Warszawy. Pierwszy szpicel nazywał się Krzykowski z wioski Szli⁷⁹, a drugi z wioski Parciaki nazywał się Prusik.

W niedługim czasie partyzanci dostali na obydwóch wyrok z Warszawy, żeby wykonali na tych dwóch niemieckich szpiclach. Partyzanci nie czekali długo, najpierw zabili

⁷⁹ Wacław Krzykowski ps. „Lew II” ze Szli – członek AK w gm. Jednoróżec, łącznik.



Figura Matki Bożej za torami kolejowymi w Parciakach-Stacji. Fot. Maria Weronika Kmoch, 2015 r.

Krzykowskiego, a później za trzy dni rano weszli do mieszkania pana szpycla Prusika. Zastali go na łóżku, przeczytali wyrok śmierci. Kobieta i dzieci obstarpi go do[okoła], a on usiadł na łóżku. Jeden z naszej siódemki wyjął pistolet i oddał strzał w same skronie głowy. Siódemka odeszła do lasu, a w domu Prusika zostali płaczące dzieci i jego żona.

Po egzekucji naszej siódemki, która wykonała wyroki śmierci na szpyclach, Niemcy po prostu dostali sialenizny. Do Jednorozca zjechało gestapo. Z sobą przywieźli śpicla ubranego po cywilnemu, który chodził przeważnie do ludzi, którzy zamieszkaali na kolonii pod lasem i od tych ludzi chciał, żeby mu dali jeść. I spotkał ten łajza ludzi, którzy go się pożałowali w Nowej Dąrdziewie. Jak wszedł do mieszkania Zadrogów, oświadczył się, że on jest partzantem. Trafił na obiad, razem z nimy podjadł i poszedł zaraz do majora Ciaka i znów poprosił o chleb. Dali łącznie chleba i słoniny. Na drugi dzień z samego rana zajechali gestapowcy i zabrali Stanisława Zadrogę i Marjana Ciaka, a wieczorem znów zabrali trzech braci: Adama Pikuta, Stefana Pikuta i Stanisława Pikuta.

Gestapowcy jeździli bryczką w cztery konie, zawsze galopem, jak diabły z piekła. Konie były z nakazu softysa. Jak z nimy jechał gospodarz, to nie wolno mu było oglądać się do tyłu, a jak się obejrzał, to dostał kolbą w plecy. Kogo spotkali po drodze, to na postrach strzelali, ale się trafiało, że i zabili, a ci ludzie zginęli przez żadnego śladu.

Gestapowcy wezwali żandarmów z paru gmin, zrobili obławę od szosy baranowskiej po prawej stronie toru kolejowego. Przez las Leśnictwo C[ze]chonka i wieś Rupin doszli do wioski Cierpięta. W Cierpiętach zabili Rosińskiego. Od Cierpiąt skierowali się do stacji Parciaki. Przy końcu wioski Cierpięta żandarmy złapali Piotra Dobrzeńskiego, muzykanta artystę. Koło stacji prawie przy sygnale kolejowym szwabcy zabili porucznika. Podobnie był rodakiem warszawskim i dwóch ranili. To wszyscy byli ludzie Armii

Krajowej. Moje serce żołnierskie i oczy nie mogły znieść takiego obrazu. Tych dwóch rannych, którym się dało ukryć w gęstym zagajniku, szkopy nie zauważyli, bo spotkali na peronie Barskiego, który pracował w biurze kolejowym i czekał na pociąg, żeby oddać paru do Szczytna. Zaledwie oddał papiery do pakowozu i odszedł w kierunku biura, jeden z gestapowców wystrzelił z pistoletu i krzyknął na Barskiego po niemiecku:

- Chodź tu, ty przeklęty żydzie.

Inspektor stał we drzwiach zaledwie pięćdziesiąt metrów od tej sceny. Jak zobaczył, co gestapowcy robią z jego sekretarzem, poleciał na ratunek. Zanim inspektor doleciał do Barskiego, to gestapowcy wybili mu przednie zęby i na oczy mało widział, i upadł na chodnik prowadzący od biura do stacji. Gestapowcy na słowa inspektora przestali kopać nogamy Barskiego. Zaczęli się z inspektorem kłócić, że przetrzymuje życie w swoim biurze. Zeszło parę minut. Jeden uparty gestapowiec powiedział po polsku:

- Wstań i idź do biura.

Barski wstał, zostawiając na chodniku kałużę krwi. Twarz [miał] całą we krwi zbroczoną, niepodobny sam do siebie, jedną ręką trzymał się za usta i noga za nogą tacał się na zbolatych nogach. Pomału jakoś zaszedł do biura. Patrzyli na ten obraz przez okno ze stolarni.

Gestapowcy odjechali ze stacji. Pomału zbliżał się fajrant. Naszem obowiązkiem było odnaleźć rannych i jch opatrzyć. Ja postanowiłem pozostać do nadchodzącej nocy, żeby odnaleźć tych ludzi, ale wkrótce przyjechali robotnicy z roboty drezyną. Ja jem opowiedziałem wszystko z grubsza i o tych dwóch rannych, którzy się znajdują w zagajniku za figurą⁸⁰ – trzeba jch odnaleźć.

⁸⁰ Chodzi o figurę Matki Bożej za torami kolejowymi w Parciakach-Stacji, pochodzącą prawdopodobnie z okresu międzywojennego, istniejącą do dziś.

Ja wiedziałem, że w tych ludziach płynie żołnierska krew, to byli chłopcy należące do AK. Imion jch nie pamiętam, tylko nazwiska. Jeden to nazwał się Białczak, a drugi Mydlak. Nareszcie przyszedł do nas gajowy Jan Czachowski i powiedział do mnie, że niedaleko od figury leżą ranni partyzanci, którzy potrzebują pomocy. Mydlak zaraz odpowiedział:

- My się niemy zajmujemy, mam na polu parsz po kartoflach, tam będą bezpieczni.

I powiedział:

- Rozejdziem się, bo nas szwabcy podpatrzą. I ty, Stefan, jadz do domu, my te sprawę załatwim na piątkę.

Ja poszedłem do szopy, wziąłem rower i przyszedłem na peron. Na peronie zastałem zawiadowcę z lizakiem w ręku. Ten Niemiec powiedział do m[n]ie:

- Patrz, Stefan, te psioruny gestapowcy tak zbili Barskiego, że ledwie zaszedł do biura.

Ja powiedziałem, że nic nie wiem. On dalej powiedział po mazursku:

- Aw i tych wasych paru te psioruny zabili. I my się tych diabłów bojem.

Nazywał się ten zawiadowca Marchel. Te wszystkie rzeczy działy się w roku 1943 przy końcu czerwca.

Ja dalej robiłem na kolei w Polsce i Prusach. W sierpniu inspektor m[n]ie zawołał do biura i powiedział:

- Stefan, jutro pojedziesz do Niborka, tam trzeba postawić parę pieców, to Jadz.

Ja mu powiedziałem:

- Tak jest, pojedę.

Po przespanej nocy wziąłem prowiant na cały tydzień i pieszo wyszedłem z domu. Za jakie czterdzieści minut to byłem na stacji, poszedłem na biuro i zameldowałem swój odjazd. Niedługo pociąg gwizdnął przed sygnalem i stanął przy peronie, ja wsiałem do wagonu i paru Niemców. Lokomotywa stęknęła i odjechała w kierunku Wielbarka. Zrobiło m[n]ie się bardzo przykro, sam do siebie powiedziałem: „Dokąd będę jeszcze niemieckim niewolnikiem? Za parę marek trzeba się tulać po świecie i słuchać tych szwabów”.

Wkrótce zajechałem do Wielbarka. Trochę poczekałem na peronie i przyszedł pociąg, który szedł do Niedzicy. Wsiadłem do wagonu [i] na godzinę jedenastą to byłem już w Niborku. Zameldowałem się w biurze kolejowym. Za biurkiem siedziała młoda Mazurka, [a] w drugim pokoiku siedział starszy Niemiec. Na mój widok wstał zza biurka, twarz miał łagodną i uśmiechniętą. Po zameldowaniu wyszła ze mną dziewczyna i zaprowadziła m[n]ie do baraku, pokazała [a] łóżko żelazne, na którym miałem spać i powiedziała, że dzisiaj to mam wolne do wieczora, a jutro o ósmej, żeby się zameldować na biurze. Mazurka na odchodne powiedziała „Do widzenia”, roześmiała się, podskoczyła jak koza i odeszła, ale się wróciła z powrotem i powiedziała:

- Nie będziecie sami, bo tu razem z wamy w tym baraku to trzech już mieszkają, tyż Polacy, tylko są na robocie.

Ja się zacząłem rozglądać we wszystkie strony, ale jakoś prędko zleciało do godziny piątej po południu. Za parę minut przyszli do baraku trzech chłopów. Jeden był w starszym wieku. Nazywał się Śliwiński, a drugi Łakus, obydwa zamieszkaali w Ostrołęce, a trzeci to się

nazywał Cieślak z Mysieńca.

Po przespanej nocy rano zgłosiłem się do biura. Inspektor uśmiechnął się i powiedział:

- Wybierz sobie kafe.

Po południu dostałem dwóch niemców [do pomocy]. Załadowałem kafe na wagon, cement i wapno proszkowe, i glinę, a te dwóch niemców dostarczyli ten towar do Zakrzewa. Ja poszedłem do baraku. Ale miałem recepty na lekarstwa, a [że] nie można było kupić [ich] w Przasnyszu, poszedłem do miasta. Pomału odnalazłem aptekę, wszedłem do apteki i położyłem recepty na bufecie i po polsku powiedziałem:

- Proszę, niech pan m[n]ie sprzeda lekarstwa, Niemiec przestał belgotać po niemiecku i powiedział po polsku:

- Ja ci nie sprzedam, bo nie mam spirytusu. Ja mu odpowiedziałem:

- Żebym miał cukier, to bym się postarał o spirytus.

Aptekarz powiedział:

- Ja aw tys mam sześć miechów cukru, jakbyś się postarał, to ja ci dam cukru.

Zapytał się m[n]ie, gdzie mieszkam. Ja mu pokazałem dowód i powiedziałem, że w baraku kolejowym. Niemiec zamknął drzwi apteki i wyszliśmy na podwórko. Roztworzył drzwi do spichrza, wziął pusty worek. Usypałem połowę, wysypałem w ten pusty worek. Było tam w tym worku około trzydziestu kilo. Ja się zapytałem, wiele mam zapłacić za ten cukier. Niemiec powiedział:

- Jak przyniosę spirytus, to wtedy się policzę. Ja odpowiedziałem:

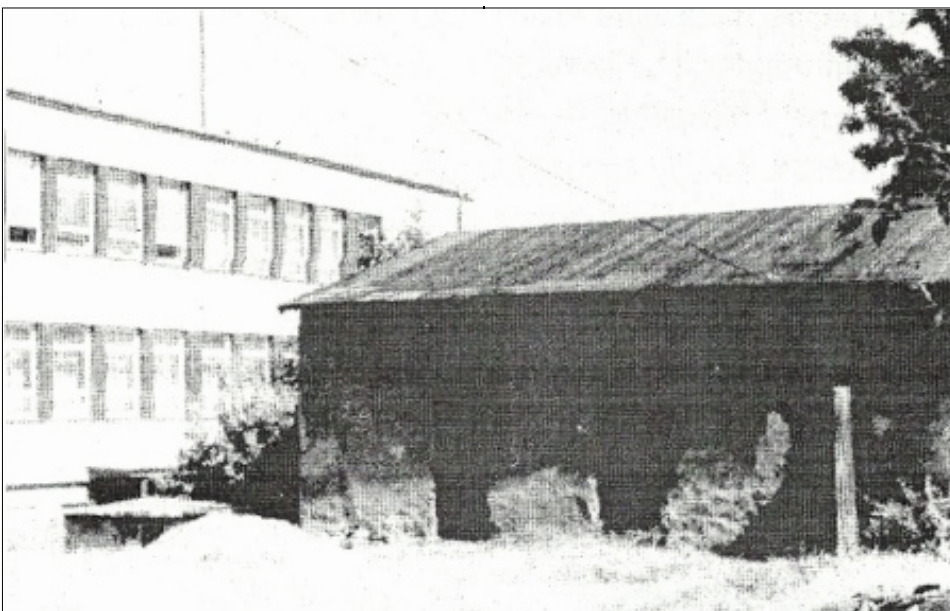
- A spirytus wam przyniosę.

Niemiec powiedział:

- Daj dwanaście marek.

Ja wyjąłem pieniądze dałem Niemcowi. Niemiec przeprowadził m[n]ie przez podwórze i pokazał steczkę⁸¹ przez łąkę. To było nie tak daleko do baraku, może ze sto pięćdziesiąt metrów do baraku. Doniosłem cukier do wodociągu, roztworzyłem drzwi i postawiłem cukier za worki z cementem, bo tam był taki nieduży magazyn do pomieszczenia różnych towarów do budowy. Zamknąłem drzwi na klucz i czekałem na pociąg, który miał nadlecieć za pół godziny. Czekałem na stacji, trochę się zniescierpliwilem, ale niedługo pociąg gwizdnął przed sygnalem i stanął przy peronie. Na widok znajomego maszynisty ucieszyłem się, że może się da zdobyć wódkę albo spirytus. Zawiadowca powiedział maszyniście, że dwa wagony trzeba podepchnąć na ostatni tor przy fabryce kachli. Ja wskoczyłem na stopień przy parowozie i się zapytałem, czy potrzebny jest jemu cukier i czy ma spirytus. Odpowiedział maszynista, że ma i się zapytał m[n]ie, gdzie mam cukier, to żeby przynieść. Ja mu na to, że mam w wodociągu i zeskoczyłem ze stopnia, i stanąłem przy wieży ciśnienia. Długo nie zeszło. Maszynista podjechał do wodociągu, odkręcił pompę do parowozu. Ja w tym czasie dałem jemu cukier, a on dał mi trzy i pół litrówki spirytusu. Na końcu powiedział, że pół litra jest my winien. Ja się zapytałem jego, kiedy drugi raz przyjedzie, to druga taka porcja będzie, ale tak samo za spirytus. Powiedział maszynista:

- Do widzenia! Spotkamy się za dwa dni. Jak byś mógł jeszcze zdobyć, to postaraj się,



Więzienie gestapo przy ul. Berka Joselewicza w Przasnyszu.

Źródło: A. Drwęcki, *Bitwa oddziału partyzanckiego AK „Łowcy” pod Szlą, Przasnysz 1995.*

wszystko będzie uregulowane za drugim razem.

Ja odszedłem do baraku z zadowoleniem, włożyłem dwie butelki w siennik, a z jedną poszedłem do aptekarza. Wszedłem od podwórka do kuchni, wyjąłem z kieszeni spirytus i postawiłem na stole. Zapytałem się aptekarza, czy dać mu recepty.

- Tak, daj, teraz to ci zrobię lekarstwo, ale będziesz mógł zrobić jeszcze choć drugą taką butelkę.

Ja mu na to, że mogę, ale za cukier.

- To dobrze, to weźmiesz tę resztę cukru za tę butelkę, a jak będziesz miał jeszcze spirytus, to przynieś.

Stara Mazurka m[n]ie zapytała, czy się napiję kawy. Odpowiedziałem, że przydałoby się czem rozgrzać żołądek. Niedługo Mazurka przyniosła kawę i dwa okruszki chleba posmarowane margaryną.

Zaczął zapadać zmrok, poszliśmy z aptekarzem do spichrza. Aptekarz powiedział:

- Aw tys zabieś te pół miecha cukru.

Niemiec poddał m[n]ie worek z cukrem i powiedział „Do widzenia”. Za parę minut byłem w baraku, cukier schowałem pod siennik.

Po przespanej nocy o godzinie [w]pół do ósmej odjechałem do Zakrzewa. Z pociągu wysiadłem się na miejsce budynku, w którym zacząłem niewolniczą pracę. Obszedłem ten budynek po wszystkich zakątkach. Nicht tam nie mieszkał, był zupełnie pusty. Naraz stanęła na stacji drezyna, wysiadł z niej stary i pokryty siwizną inspektor, zamienił parę słów z zawiadowcą i przyszedł do m[n]ie. Powiedział po niemiecku „Dzień dobry”, ja odpowiedziałem po polsku. Ten starzec z miłym spojrzeniem i uśmiechniętą twarzą zaczął rozmawiać ze mną po polsku. Powiedział do m[n]ie inspektor:

- Poreperujesz najpierw te ściany, a później piec i kuchnię postawisz, a jutro dostaniesz chłopca do pomocy.

Wkrótce odjechał drezyną do Niborka. Za parę minut przyszedł do mnie zawiadowca. Ja na pytania jemu tylko odpowiedziałem. Nareszcie powiedział:

- Nie bój się m[n]ie, bo ja jestem Polakiem i cała wieś Zakrzewo to Polacy.

Ja przerobiłem do fajrantu. Po fajrancie poszedłem do wioski [z myślą, że] może coś kupię. Minałem parę domów i spotkałem sklep, co sprzedawali mięso i wędliny. Zobaczyłem na podwórku niemcaka i się go zapytałem, czy by mógł sprzedać trochę jakiejś wędliny. Niemcak odpowiedział, że dla Polaków nie ma.

- Ale jǳcie do ojca, to może trochę wam sprzeda.

Zostałem niemcaka na podwórku i wszedłem do sklepu. Za ladą stał starszy mężczyzna, a tak to nie było nikogo. Ten człowiek zmierzał m[n]ie oczami od góry do dołu i się zapytał po niemiecku, czego ja chce. Ja mu odpowiedziałem, że ja nie rozumię po niemiecku, bo przyjechałem z Polski i robię na stacji w Zakrzewie. On mnie po polsku się zapytał, co ja chce od niego. Ja powiedziałem, żeby m[n]ie sprzedał choć trochę kaszanki. Ten stary powiedział ostro, że dla Polaków nic nie ma. Ja mu odpowiedziałem, że ja nie chcę kupić za marki. Mazur zbyszczał i się zapytał m[n]ie, co ja mam dla niego. Ja powiedziałem:

- A jak bym się napili sznapsa, to m[n]ie sprzedacie?

Mazur się roześmiał i powiedział:

- Jo, tys sprzedam.

Ja mu odpowiedziałem, że jutro po fajrancie to się zamelduję u niego z polską wódką. Na odchodne Mazur zważył jedno kilo kaszanki i pół kilo boczku i powiedział:

- To dla ciebie.

Niemcowi zapłaciłem i na odchodne powiedziałem „Do widzenia, do jutra”. Wyszedłem ze sklepu i prosto do stacji, żeby się nie spóźnić za pociąg. Za parę minut byłem na stacji. Wkrótce odjechałem do Niborka.

W baraku nam było wesoło, bo w drugiej połowie mieszkali Pomorzaki – sześciu i dwie dziewczyny. Przychodzili do nas z harmonią i nam i jemu było bardzo przyjem[n]ie spędzić parę godzin niewolniczego życia.

Po przespanej nocy o godzinie siódmej wziąłem jedną butelkę spirytusu, wsiałem do pociągu i [gd]y pociąg stanął w Zakrzewie przy peronie, zeskoczyłem z wagonu na peron i poszedłem na miejsce pracy. O godzinie ósmej zameldował się starszy człowiek do pomocy. Najpierw zaczął ze mną rozmawiać po niemiecku. Ja jemu odpowiedziałem, że

⁸¹ Steczka – stegna, ścieżka.

jestem Polakiem i nie rozumie[m], co on mówi. Starzec się roześmiał i podał m[n]ie rękę i powiedział:

- Dzień dobry, i ja też jestem Polakiem. Mieszkam pod Wrocławiem.

I tak minął dzień. Po fajrancie wziąłem torbę i poszedłem do rzeźnika, wszedłem do kuchni drzwiemi od podwórka. Rzeźnik siedział przy stole. Ja powiedziałem do niego:

- Przywióz[ł]em tę wczorajszą obietnicą.

Rzeźnik się uśmiechnął i powiedział:

- To pokaż, co ty masz takiego.

Wyjąłem z torby butelkę, odwinąłem z papieru i postawiłem na stole. Rzeźnik się roześmiał i powiedział:

- Aw tys ja już dziesięć lat, jakim poił polską wódkę, ale spirytus to nie miałem nigdy. To musi drogo kosztować.

Ja jemu odpowiedziałem:

- Nie pytajcie się, wiele będzie kosztować, wypłacicie m[n]ie wędliną. Ja tu do was będę przychodził, bo tu na stacji cały miesiąc będę robił, to m[n]ie po trochu sprzedajcie co do chleba.

Rzeźnik powiedział:

- Dobrze, ale aw tys wypijem po jednym.

Przyniósł szklanki i obydwu wypili jedną czwartą z butelki. Rzeźnik nakładł m[n]ie w torbę kaszanki, salceson i kielbasy koło trzech kilo. Pożegnaliśmy się i odeszłem do stacji. Niedługo wsiadłem do wagonu i pociąg ruszył w kierunku Nidzicy.

Po paru minutach spotkała m[n]ie niespodzianka. Stał przede mną głośowiec z rewolwerem w rękę i zaczął krzyżeć:

- Dawaj wódkę, bo ciebie zastrelu.

Ja mu odpowiedziałem, że ja nie mam wódki, a ta wstrętna morda ukraińska zecerwieniła od złości, ślepie mu się zapaliły jak psu wściekłemu. Dalej się dopominał wódki, ale nie wiadomo skąd stanęło pomiędzy mamy dwóch kolejarzy. Jeden zabrał m[n]ie w drugi brzeg wagonu, a drugi został z nim.

Niedługo wysiadłem z wagonu na stacji Nidzica. Wszedłem do baraku, zastałem w baraku Śliwieńskiego na taborku, a Cieślak i Lakus grali w karty przy stole. Ja włożyłem prowiant do szafki. Sam poszedłem do miasta po lekarstwa. Ledwie wyszedłem z apteki, stanął przy m[n]ie motocykl. Na motocyklu siedziało trzech gestapowców, jeden z nich krzyknął:

- [H]alt⁸²!

Ja stanąłem na chodniku. Jeden z nich wysiadł i m[n]ie się zapytał, jak się nazywam. Ja wyjąłem dowód kolejowy i dałem szwabowi. Przeczytał i powiedział po polsku:

- Toś przyjechał z Polski?

Ja odpowiedziałem:

- Tak, robię w Zakrzewie, ale tam dojeżdżam pociągami i będę robił cały miesiąc.

Gestapowcy oddali m[n]ie dowód i jeden z nich uniósł rękę i powiedział:

- Owiderzejn⁸³ – i pojechali w boczną ulicę. Ja wróciłem do baraku.

Po przespanej nocy rano odjechałem pociągami do Zakrzewa. Dzień zleciał prędko, bo ten mój pomocnik jak się rozkręcił, [to] opowiadał m[n]ie, że jego zięć nie chciał jść do wojska niemieckiego, tylko się ukrywa i jest w partyzantach i to w tych lasach koło Nidzicy.

Niedługo nadchodziła godzina piąta po południu, nadszedł i fajrant. Jak zwykle wsiadłem do wagonu i wróciłem do baraku. Dalej czekałem na pociąg towarowy, żeby zhandlować cukier za spirytus. Cukier miałem w wodociągu. Nie zeszło pół godziny, pociąg gwizdnął przed sygnałem, zawiadowca wyszedł z lizakiem ze stacji, pociąg wleciał na bocznicę [i] znów zostawił dwa wagony i z powrotem wrócił do wodociągu ten sam, co [w]pierw był i zapytał m[n]ie, czy mam co dla niego. Ja powiedziałem że mam. Roztworzyłem żelazne drzwi i zza cementu dałem jemu cukier. On dał m[n]ie spirytus. Ja powiedziałem do niego:

- Ale worki to wrzucisz tutaj, ale przywieź, bo muszę oddać.

Pożegnaliśmy się, ja odszedłem do baraku.

Wieczorem przyszli do nas Pomorzaki z harmonią i z dwoma dziewczynami. Byli to chłopcy pełne życia i energii. Zaczęli grać na harmonii polskie piosenki wojskowe, a dziewczyny z cicha śpiewały półgłosem. Ja powiedziałem:

- Panowie, ja mam spirytus, to może trochę wypijem do rażności?

Wyjąłem z siennika dwie butelki półlitrowe i postawiłem na długim stole i powiedziałem, że na przekąskę to mam tylko chleb razowy. Wszyscy się rozeszli po zakąskę do swoich baraków. Lakus wylał z butelki spirytus w menaszkę wojskową i dobrał wodą z kranu. Za parę minut wszyscy się zeszli, na stole znalazło się parę szklanek i zakąska wojenna: chleb i cebula. Wszyscy obsiedli stół. Po trzech kolejkach zaczął się wieczór na wesoło. Pomorzaki i dziewczyny zaczęli głośniej śpiewać polskie wojskowe piosenki. Przy ostatniej kolejce zaczęli rozmowę o polityce, a m[n]ie zależało dużo na tem, żeby coś od nich podłapać. [Po] pierwsze zbadać, czy oni są Polakami z krwi i kości, czy fol[ks]dojcie. Tego wieczoru dużo powiedzieli o sobie. Po przespanej nocy rano powiedziałem się dużo o nich od Lakusa, wzięłem prowiant i pojechałem pociągami do Zakrzewa do roboty.

Wkrótce wysiadłem z pociągu na peron w Zakrzewie. Poszedłem na miejsce pracy. Za pół godziny przyjechał mój pomocnik. Wszedł do mieszkania z dużą torbą wypchaną. Przy robocie opowiadał m[n]ie różne rzeczy, a po obiedzie powiedział do m[n]ie, że jego zięć się ukrywa, bo nie chce jść do wojska niemieckiego, tylko dołączył do partyzantów i tu w tem lesie jest za drogą.

- A ja mu przywióz[ł]em bieliznę.

Na te słowa wszedł do mieszkania zawiadowca i powiedział, że był u rzeźnika i kupił grudfursty i salceson przez kartków, to j wy jęta, to kupita. Ja mu odpowiedziałem, że dla Polaków to nic nie ma, ale po fajrancie to pójde do niego, może co kupię. Zawiadowca powiedział:

- On tys Polak.

I tak zeszło do fajranta. Po fajrancie poszedłem do tego rzeźnika. Wszedłem do sklepu. Siedział za bufetem starszy człowiek pokryty siwizną. Zapytał m[n]ie po niemiecku, czego ja chcę. Ja mu na to, że ja jestem Polakiem, nie rozumię po niemiecku. Ten stary Mazur uśmiechnął się do m[n]ie i powiedział:

- Aw tys po polsku będziemy gadać.

I się mie zapytał, czego ja chcę od niego. Ja powiedziałem:

- Jak byście mogli, to m[n]ie sprzedajcie z kilo tej gryc albo salcesonu.

Stary Mazur roześmiał się i powiedział:

- Macie dużo pieniędzy, to wam dam, bo jesteś Polakiem, a ja Polaków lubię.

Ja jemu odpowiedziałem:

- Wiele będziecie mogli [sprzedać]? Bo nas w Niborku jest czterech.

Stary Mazur poklepał m[n]ie po ramieniu i zważył dwa kilo salcesonu i kilo kaszanki, i prędko m[n]ie włożył do torby. Zapłaciłem temu dziadkowi i zamieniłem parę słów.

Musiałem zostawić dziadka, bo miałem niedużo czasu, spieszyłem się, żeby zdążyć na pociąg. Na odchodne dziadek powiedział:

- Aw tys nie zapominaj o m[n]ie, przychodź tu na częste, to ci sprzedam.

Podziękowałem dziadkowi za uczciwość i odszedłem w kierunku stacji.

Niedługo czekałem na pociąg, prawie pięć minut. Wsiadłem do wagonu i odjechałem do Nidzicy. W wagonie przywitał m[n]ie głośowiec z rewolwerem w rękę i powiedział:

- Dawaj, Polak, wódkę.

Ja jemu odpowiedziałem, że ja nie mam wódki, a on powiedział:

- Ty proklata morda, zastrelu ciebie.

Na te słowa głośowca stanął pomiędzy mamy człowieka w kolejarskim mundurze i zabrał m[n]ie do przodu wagonu. Za parę minut wysiadłem.

Krótką hystorja przeżyć Furmana Henryka z lat II wojny światowej (1939 i 1945 r.)

W pierwszych latach wojny polsko-niemieckiej całą rodziną wróciłem do domu na swoje gospodarstwo. Wrócili rolnicy i robotnicy. Każdy ciągnął do Jednoróżca, do swojej wioski rodzinnej. Ale nie wszyscy wrócili z uciekającej ludności cywilnej oraz żołnierzy. Jedni polegli na polu chwały za naszą Polskę, drudzy zostali w niewoli. Czterech chłopów nie wróciło z ucieczki, zostali zabici przez Niemców za Różanem we wiosce Ponikwi⁸⁴.

Niemcy zaraz założyli urzędy. Niemcy nie czekali długo, zaraz zaczęli swoje brutalne działania. Zabierali naszą młodzież do Niemiec na przymusowe roboty. Prawie każdego dnia było zasmucone parę rodzin naszej wioski. Matki płakały za synów, żony za mężów, z młodzieży ten tylko został, kto dostał kartę od komisarza⁸⁵, że potrzebny jest do pracy na

⁸⁴ Niemcy zastrzelili cywili z Jednoróżca: Mariana Gwiazdę (lat 39, rolnik), Jana Kardasia (sołtysa wsi Jednoróżec od 17 XI 1918 r. do co najmniej 1928 r.) i Antoniego Nizielskiego. Zginęli oni pod Różanem 8 IX 1939 r. W literaturze pojawiają się tylko te 3 nazwiska.

⁸⁵ Przed Bożym Narodzeniem w 1940 r. w Jednoróżcu powołano niemieckiego wójta (zwanego komisarzem) o nazwisku Dzygel (Dzigiel, Cygiel), urzędującego niemal przez całą okupację. Pomagały mu dwie niemieckie

⁸² Halt – niem. stój.

⁸³ Auf Wiedersehen – niem. do widzenia.

gospodarstwie. Na gospodarstwie trzeba było ciężko pracować. Każdy był obciążony podatkami i kontyngentami. Przeważnie chodziło o żywność pierwszej potrzeby. Niemcy wydali zarządzenie, że od godziny 9-tej wieczorem nie wolno było wychodzić na ulice – była to godzina policyjna. [Na podróż] od wioski do wioski trzeba było mieć przepustkę od komisarza. Nasza młodzież nie mogła się dostosować do takich praw jak Niemcy wydawali, to wieczorem, jak chłopak chciał odwiedzić swoją narzeczoną, to [szedł] po Zastodołu po kryjomu przed szwabami. Żandarmy z początku jak złapali takiego chłopca to go ukarali 3 marki sztrafy i cały dzień musiał ciąć drzewo.

Żandarmy coraz to więcej mieli roboty, bo ludność polska, którą Niemcy wywozili do Prus na przymusowe roboty, zaczęła uciekać. Niektórzy to byli żołnierze Września [1939 r.], a tak to przeważnie z karnych obozów i od gospodarzy. Nawet małe chłopcy, co paśli bydło u Niemców, zostawiali bydło na pastwisku, a sam poszedł w kierunku do Polski. Po powrocie do domu tego chłopca rodzice tego chłopca mieli dość kłopotu, bo żandarmy nawet w nocy to parę razy przychodzili do tego mieszkania.

Wioska Jednorzec to była duża wsią, posiadała kolonję pod lasem. Niemcy często odwiedzali te kolonje, żeby złapać kogoś z tych ludzi, co się ukrywają, bo w tych domach każdy dostał pożywienie. Został skierowany na właściwą drogę, żeby się dostać do własnego domu. Do roku 1942 wracało dużo naszych żołnierzy z drugiej wojny światowej, kto tylko mógł, to uciekał do naszej ukochanej Ojczyzny. Niemcy postanowili stosować jednakowe prawa przeciw wszystkim Polakom, któremy się posługiwali na początku z polskimi Żydami. Właśnie z tych ludzi, którzy się ukrywali, zaczęły się tworzyć partyzantki różnego typu.

Dnia 22 czerwca 1941 r. Hitler zawadził swoją swastyką o Związek Radziecki. Niemcy z początku szli naprzód, zaszli pod Moskwę i pod Leningrad, dalej ani rusz naprzód. Zaczęli zabierać pozostałą młodzież radziecką do Niemiec na przymusowe roboty. Wkrótce napełnili Niemcy swój kraj różną narodowością i jeńcami drugiej wojny światowej.

W naszej Polsce zaraz od początku zaczęły się formować partyzantki różnego typu. Na naszych terenach przeważnie na czele była Armia Krajowa. W naszej wiosce Jednorzecz było zaprzysiężonych 3 plutony, czekających na rozkaz i broń, ale trzeba było wyżyć i odziać tych ludzi, co byli w lesie z bronią w rękę. Ci ludzie z lasu najwięcej mieli zaufania do kolonistów, którzy mieszkali blisko lasów. Pierwszym osiedlem to kolonje Jednorzecz, drugim osiedlem to kolonje [Ulatowa]-Pogorzelski, trzecim wioska Szla i inne wioski, które były połączone z lasem z Jednorzecz. Nasze plutony pomagały, w czym kto mógł, ale najwięcej pomagali koloniści z naszej wioski Jednorzecz. Byli

sekretarki i tłumacz. Urząd gminny mieścił się w budynku szkoły podstawowej w Jednorzecz, gdzie urzędował zarówno polski wójt, jak i niemiecki komisarz (pełnił on służbę przez całą wojnę).

w tym lesie ludzie różnej narodowości.

Ja, Henryk Furman, zamieszkały na tej kolonji, zostałem zaprzysiężony do Armii Krajowej. Miałem ścisły kontakt z tą partyzantką, bo od mojego mieszkania zaledwie było pół kilometra do tego lasu. Ja byłem prawą ręką dla tych ludzi, utrzymywałem stały kontakt. A jak nadszedł rok 1944, Niemcy hitlerowskie zaczęli dostawać w skórę na wszystkich frontach, to swastyka niemiecka połam[a] swoje pedały, to Niemcy zmuszeni byli wycofać się ze wszystkich terenów zaborczych z wielką stratą w ludziach i we sprzęcie.

Na naszych terenach zaczęli się pojawiać desanci ze Związku Radzieckiego. Od mojego domu, gdzie mieszkali całą rodziną, zaczęli lądować desanci. Jak zaczęły się zrzutki amunicji i żywności z samolotów, wszyscy desanci dołączali do Armii Krajowej, którzy byli w lesie. Byli to desanci przeważnie ze Związku Radzieckiego.

Od mojego domu było pół kilometra od tego oddziału⁸⁶. Najbliższym sąsiadem był mój dom, [więc] z temy ludzmy miałem stały kontakt w dzień i w nocy. Musielim utrzymywać stałą łączność, przekazywać meldunki o ruchach niemieckich. Trzeba było także po prostu ukrywać oddział przed ludźmi, którzy mogli zdradzić w każdej chwili. Trzeba było zaopatrzyć tych ludzi w lesie w żywność i wodę oraz w różne rzeczy pierwszej potrzeby, piecho i furmankę. Podwoziłem zrzutki z samolotów, broń i amunicję, żywność i prasę pozafrontową, i amunicję.

W październiku 1944 r. oddział przeniósł się o kilometr dalej, a było wiadomo że będą zrzutki ze Związku Radzieckiego. Wezwano m[n]ie, żebym przyjechał furmanką, żeby przewieźć zrzutki z samolotu w świeże miejsce. Pojechałem, to było wieczorem. Przygotowaliśmy trzy ogniska w lesie na polance. Oczekiwaliśmy bardzo długo, bo było powiadomione, że będzie może dwie zrzutki. Ale była tylko jedna zrzutka i to Niemcy wzięli dobrze na podsłuch.

Zaraz w dzień zrobili napad na obóz partyzantów. Przyjechało parę samochodów z wojskiem i czołgi. Przywieźli dużych psów, tem psom przywiązywali granaty odbezpieczone i szczerli uciekających partyzantów. Gdy odwoziłem zrzutki i wróciłem do domu, to był biały dzień, ale partyzanci wiedzieli, że Niemcy robią na nich nalot od strony wioski Szla, bo już dotarła do nich wiadomość, że Niemcy się szykują do obławy. Partyzanci zostawili konie, które mieli zdobyte od Niemców, żeby jem nie przeszkadzały w walce z Niemcami. Walka rozpoczęła się od południa i trwała do wieczora. W tej walce poległo trzech partyzantów⁸⁷, którzy zostali pochowani w lesie przy Śleńskiej Górze⁸⁸. Niemców

⁸⁶ Mowa o oddziale AK „Łowcy”.

⁸⁷ Byli to: Alfons Kocot „Wytrych”, Janusz Kołodziejski „Jastrząb” i Miron Morawski „Mazur”.

⁸⁸ Śleńska Góra – Szeńska Góra, Góra Partyzantów, Partyzancka Góra, wniesienie w lasach pomiędzy Szlą w gm. Przasnysz a Obórkami i Lipą w gm. Jednorzec. W dniu 17 X 1944 r. miała tu miejsce bitwa żołnierzy oddziału Armii Krajowej „Łowcy” z okupantem niemieckim. Więcej na temat oddziału „Łowcy” oraz bitwy pod Szlą: <http://www.kurpiankawielkimswiecie.pl/2018/08/oddzia-partyzancki-ak-owcy-bitwa-pod.html> (dostęp

i psów nie wiadomo wielu zostało zabitych, bo jch nicht nie liczył, tylko od ludzi, którzy się z dała przyglądali, [wiadomo], że po powrocie z walki to niemiecka krew ciekła przez samochody.

Partyzanci na czele z majorem „Orłowem”⁸⁹ wycofali się w kierunku wioski [Ulatowo]-Ślabogóra, [a] wieczorem do wioski Małowidza. Zostali przewiezieni łódkami za rzekę Orzyc. M[n]ie pozostały m[n]iejsze kontakty z partyzantami.

Po bitwie do najbliższych wiosek zjechało się sześćdziesięciu żandarmów polowych i weszli, co się tutaj na tem terenie działo. Po miesiacu zjechało gestapo. Na naszych kolonjach zrobili obławę. Zaczęli od gajowego Lomperty, który już nie żyje. Zabrali dwóch synów Lomperty, którym było na imię Lomperta Edward (lat 21) i Lomperta Alfons (lat 19). Żyliśmy [w]spólnie i działaliśmy. Od tego gajowego zabrali Niemcy dwóch ludzi, którzy byli wysiedleni, a mieszkali u Lomperty. Nazywali się te chłopcy Zalewsky Stanisław i Zalewsky Edward – stary ojciec i syn. Gestapowcy przeszli do następnego gospodarstwa. Przeszli lasem, a później przez pole do Stanisława Bakuła. Syn jego się ukrywał, zauważył, że jda Niemcy, zaczął uciekać. Niemcy zaczęli go gonić i strzelać za nim, ale mu się udało uciec do lasu. Gestapowcy powiedzieli, że to był partyzant. Gestapowcy zabrali gospodarza całej rodziny. Kazali wszystkim wyjść z domu i wyprowadzić inwentarz żywy z obory, kazali podać naftę, podłeli budynki naftą i podpalili. Bakuła Stanisław był to człowiek w starszym wieku.

Następnie przeszli gestapowcy do następnego gospodarstwa Stanisława Piotra. Zabrali ojca i syna Piotra, Józefa, lat 23. Byli tam ludzie z Jednorzecz, bo Piotrak miał młócić żyto tego dnia. Do młócenia żyta przyszli ludzie z Jednorzecz: Pogorzelski Władysław⁹⁰, Kubacz Władysław, Deptuła Czesław i teść jego Tewierszcz. Wszyscy ci

29 IX 2018 r.).

⁸⁹ „Orłow” – właśc. mjr Władimir Szajkin. W końcu lipca 1944 r. zrzucony w desancie sowieckim na teren prywatnego lasu, należącego do Wincentego Mechla z Żelaznej Rządowej Bardzo Towarzyszyło mu 12 żołnierzy. Zadaniem grupy był zbieranie materiałów wywiadowczych dla II Frontu Białoruskiego. Spadochroniarze, dzięki pomocy Merchla, nawiązali kontakt z oddziałem partyzanckim AK „Łowcy”, dowodzonym przez Henryka Kierzkowskiego ps. „Raban”. Brali udział w bitwie pod Szlą 17 X 1944 r. Po bitwie wycofali się do Żelaznej Rządowej i Rzdokiewnicy, gdzie zaszły się w przygotowanych wcześniej leśnych bunkrach. Dowódca i telegrafistka Nadia często zmieniali miejsce nadawania, bowiem w okolicy kręciły się niemieckie patrole. W dniu 20 XI 1944 r. polsko-sowiecką grupę zaskoczył oddział Niemców. W wyniku obławy zginęło 2 Polaków i 2 Rosjan. Pomnik im poświęcony znajduje się około 1 km za wsią, po lewej stronie drogi na Pruskołękę. Po wyzwoleniu Przasnysza przez Armię Radziecką w 17 I 1945 r. okazało się, że grupa „Orłowa” nie działała bezinteresownie. Podlegała NKWD, by zbierać materiały o żołnierzach AK. „Orłow” był głównym organizatorem UB w Przasnyszu.

⁹⁰ Władysław Pogorzelski – mieszkaniec Jednorzecz, wójt gm. Jednorzec, wybrany na zebraniu wiejskim, zwołanym w Jednorzecz przez okupanta niemieckiego w połowie września 1939 r. Wójtem był przez rok. Znał trochę j. niemiecki z powodu wcześniejszego pobytu na robotach w Bawarii.

ludzie ze wsi, co przyszli młócić, to przeszli do nas, tylko dwóch wysiedlonych⁹¹, którzy mieszkali u nas, to uciekli do lasu.

I ja miałem możliwość do ucieczki do lasu, ale m[n]ie chodziło o własny dom i swoją rodzinę. Ja byłem gotowy na śmierć i życie. Jak gestapowcy przyszli do nas i się zatrzymali, to było ich kilkunastu na naszym podwórku. Ja się spodziewałem tego, że m[n]ie gestapowcy zabiorą, więc stanąłem na czele swojej rodziny. Szef gestapowców podszedł najpierw do m[n]ie i się zapytał m[n]ie, kiedy ostatnio byli partyzanci u nas. Ja odpowiedziałem, że byli tylko żołnierze niemieckie. Gestapowiec uderzył m[n]ie w twarz i powiedział, że on się pyta o partyzantów, a nie o żołnierzy niemieckich. A potem m[n]ie zapytał, odkąd należę do organizacji. Ja mu odpowiedziałem, że ja nie wiem, co to jest organizacja i partyzanci.

Z domu przynieśli m[n]ie latarkę i kazali jść do ludzi, którzy stojeli na drodze, a jak obeszli wszystkie kęsy, to mojemu ojcu kazali założyć konie do wozu. Głównie gestapowcy wsiedli na wóz i odjechali do wioski Lypy, a nas całą grupę obstawili dookoła i nas popędzili do lasu, gdzie się znajdował obóz partyzancki. Ja cały czas byłem pewny, że tam nas zapędzą i rozstrzelają, ale przeschlim obok tego miejsca.

Dalej Niemcy spokojnie nas zapędzili do wioski Lypy. Tam nas posadzono na łące przy rogatkach. Później nam pozdejmovano paski ze spodni i powiązano nas po pięciu za ręce jeden do drugiego. Potem podeszły furmanki, załadowano nas na te wozy, a Niemcy obsiedli nas dookoła i powieźli nas do Przasnysza. Wzięli nas w nocy.

W Przasnyszu wsadzono nas do aresztu. Było nas dwunastu z Jednorożca i z kolonii. Potem zrobiło się nas więcej. Niemcy przywieźli dwanaście osób z innych wiosek, Pokor[s]ki Andrzej z żoną ze wsi Szli, Wiśniewski, Krzykowski Marcei też ze Szli, Sikorski z Obórk, [Józef] Romanowski z Żelaznej⁹², Kuciński Hieronim⁹³, [Bronisław] Majewski z Olszewki i Krajewski z Pruskołęki. Ten [ostatni] był kapuś niemiecki.

W celi zastaliśmy desanta ze Związku Radzieckiego Wołozie. Był to [człowiek] aż z Syberii polskiego pochodzenia, nazywał się Włodzimierz Leszkowski, bardzo fajny chłopak. Był przykuty łańcuchem do ściany za nogę. Półtora miesiąca przebywał na naszym terenie powiatu przasnyskiego i dostał się w łapy oprawców niemieckich.

W pierwszych początkach nie wiedzieliśmy, że

Zarząd miast w *Stargnie ciechanowski* *Województwo*
gminny *miastowski, powiat* *województwo*
Zaświadcza tożsamość niżej wymienionej osoby:



Nazwisko *Chmielewski*
Imiona *Stanisław*
Data urodzenia *11 grudnia 1900*
Miejsce urodzenia *Stelun*
Zawód *handlowiec*
Zaświadczony dnia *15.12.1945* w *Przasnyszu*
Data wystawienia zaświadczenia *5 maja 1945*
Podpis urzędnika gminy *Mieniewicz*

Dokument w zbiorach IPN, którym posługiwał się por. Stanisław Rożek „Przebój”, „Zych”.
Źródło: <http://archiwum.rp.pl/artukul/1044924-W-obronie-koniecznej.html> (dostęp 30 IX 2018 r.).

mamy kapusia, aż po przesłuchaniu Krajewskiego przez Niemców ten podkapował desanta. Zaraz po tem przesłuchaniu przyszli Niemcy i desanta wyzuli z butów i założyli mu na nogi kajdanki automatyczne, które za najm[n]iejszym poruszeniem wciskały się w ciało, aż mu nogy puchły. I na ręce założyli też kajdany, ale zwyczajne. Tylko do jedzenia to mu zdejmowali kajdany z rąk. I od tej pory Niemcy pilnowali go osobiście. Nam wszystkim było przykro patrzeć na taką scenę.

Po paru dniach brano kolejno nas na przesłuchanie celem przesłuchania dokładnych zeznań. Właśnie tam zobaczyłem na własne oczy, jak gestapowcy przeprowadzają badania. Ci ludzie byli nam nieznanymi. Mieli ręce skute w tył i za te ręce byli powieszani do ścian, że ledwie palcami dotykali podłogi. Do bicia byli rozebrani do naga. Ciało mieli tak pocięte, że krew z nich ciekła, a rany nie były opatrzone, a w ranach była ropa.

Potem do nas wsadzono jeszcze jednego Rosjanina, nazywał się Sitow Wasili. Potem nas przeprowadzono z aresztu pod kościół Pasyjonistów w Przasnyszu. Do piwnicy okna były zakratowane. Pod kościołem piwnice pasowały Niemcom na więzień dla polskiej i radzieckiej narodowości. Pod kościołem było nas ponad czterdziestu. Po trochu każdego dnia coraz to więcej przybywało aresztowanych.

Po dwóch tygodniach spędzono nas z powrotem do tego aresztu. Wszystkich nas wpełnili do jednej celi. Było tak ciasno, że na stojąco nie mogliśmy się pomieścić. Zabrakło nam powietrza do oddychania, tak dusiłem się przez jedną noc.

W dzień nas wyprowadzili na plac, ustawiono nas dwójkami. Przez środek przeciągnęli Niemcy łańcuch, każdego z nas przywiązali drutem za ręce do tego łańcucha, a że na końcu była kobieta, to końcem łańcucha opasali ją dokoła i zawiązali drutem. Dalej popędzono nas do kolejki i wprowadzono nas do wagonów i pojechaliśmy do Mławy, a z Mławy pociągiem do Działdowa i tam nocą zapędzono do łaźni.

Rozebrano nas do naga, zabrano nam wszystkie dokumenty i notatki. Ogolono nas od stóp do głowy. Ubranie zabrano parowego,

a nas skierowano pod lodowaty prysznic. Stanęliśmy nago, a temperatura zimnej wody i mrozu na pewno była około 25 stopni. Była to noc, na ubranie czekaliśmy długo. Nareszcie wyrzucono nasze ubrania z pieca. Każdy musiał odnaleźć swoje ubranie i to prędko, a którzy się ubierali pomalutku, to tak dostali, że do końca życia nie zapomną tej piekielnej łaźni. I ci, którzy zostali przy życiu, to na pewno pamiętają głód, który dopiero się zaczynał, prawdziwa nędra i poniewierka.

Zakwaterowano nas w celi na piętrze, stale trzeba było schodzić na dół: rano do mycia, potem na śniadanie, po śniadaniu na taką gonitwę, potem na obiad i na kolację. Stale biegiem i za każdym razem każdy otrzymał parę kijów, gdzie padło. Bo w każdym kącie stał niemiecki albo ukraiński diabeł, a nie człowiek i bez przerwy bił, wiele zdążył. Nie dobierał miejsca, gdzie bić i kogo, a my byliśmy narażeni, bo byliśmy więźniami politycznymi.

Nie brano nas do żadnej pracy, byliśmy bardzo podejrzani. Na nas specjalnie podstawiono najbardziej szalonego diabła ukraińskiego. Za każdym razem jeden był jego ofiarą, bił gadzina, kopał go po głowie dotąd, aż mu zabrakło sił. Każdy z nas stracił przytomność. Jak się dostał w ręce tego oprawcy, to koledzy go podnieśli, ale był cały we krwi zbroczony. Została mu jeszcze jakaś cząstka życia. A jak trafiło na słabszego, to ten ukraiński diabeł go wykończył, w biegu wyrwał pałę i bił go po głowie, aż go zagłuszył. Wtenczas przewrócił jego jedną nogą, stał na tym człowieku, a drugą obcasem okutym z całej siły, tłukł go po głowie, aż krew przyskała. Jak mu zabrakło sił, to wtedy przestał bić. Wiele ten człowiek wycierpiał, to proszę sobie wyobrazić, wiele temu człowiekowi pozostało sił do życia. Cała kolumna musiała patrzeć, a szwabę się z tego śmieli i powiedzieli:

- Przypatrzcie się, jak Ruchy⁹⁴ mogą. Bo wy, partyzanci, wyglądacie na Rusków, żeby do was przyszli.

⁹⁴ W znaczeniu: Ruski, Rosjanin.

⁹¹ W październiku 1941 r. do Jednorożca przesiedlono mieszkańców z terenów przeznaczonych i zajętych przez Niemców na poligon wojskowy. Były to gminy Janowo i Dzierzgowo. Prawie do każdego domu dokwaterowano jedną lub więcej rodzin, w niektórych domach mieszkali nawet 3, 4 rodziny. Tylko niektórym przybyszom udało się przenieść swój majątek, większość przybyła z jedynie z najpotrzebniejszymi rzeczami, a resztę sprzedała. Pomimo ciasnoty, nierzadko głodu i chłodu, wszyscy wzajemnie sobie pomagali.

⁹² Józef Romanowski – mieszkaniec Żelaznej Prywatnej, aresztowany 26 XII 1944 r., uciekł ze stodoły w Starych Jabłonkach w styczniu 1945 r. przed egzekucją, świadek zbrodni.

⁹³ Hieronim Kuciński – mieszkaniec Olszewki w gm. Jednorożec, zginął w Starych Jabłonkach 21/22 I 1945 r.

Ja osobiście dostałem tylko jeden cios od niego, ale że miałem 17 lat, to był silny i uciekłem od dalszych ciosów. Tylko ten jeden cios to trzy dni czułem boleść w głowie.

I tak płynął dzień za dniem głodno i chłodno, bo wcale nie było okien, nawet jednej szyby. Pomimo że otwory były duże, ale zasnuwane drutem kolczastym, prze te okna nie wolno było wyglądać. Kto by się ośmielił wyjrzieć oknem, to mógł otrzymać kulę z karabinu, bo przed oknem był obserwator z reflektorem i z karabinem maszynowym. W oknie szyb nie było, ale ramy były podziurawione kulami. Tak minął listopad i grudzień w nędzy i niedoli.

Nadszedł styczeń 1945 r. SS-mani rozpoczęli z nami badania. Brali z celi pojedynczo co parę godzin to jednego, ale z tych przesłuchanych przez gestapo żaden do naszej celi nie wracał. Wracali na inne cele, żeby się nie skontaktować z pozostałymi.

Pewnego dnia po południu przyszła na m[n]ie kolej. Przyszedł do celi niemiecki oprawca i zawołał m[n]ie po imieniu i zaprowadził m[n]ie do innego bloku na piętrze. Drugi na m[n]ie już czekał. Ja zdjąłem czapkę z głowy. Gestapowcy m[n]ie postawili pod ścianą, ale ze mną zaczęli w inny sposób. Najpierw wypytywali się o moją rodzinę, jakiego pochodzenia. Zaczęli m[n]ie brać w siódmą stronę. Spytały się m[n]ie, czy chce przyjąć ich poddaństwo, bo jestem młody i jem się spodobałem, bo mam szansę uratować sobie życie i swojej rodzinie.

- Jesteś na dobrej drodze, bo masz niemieckie nazwisko.

Ja jego odpowiedziałem, że jestem Polakiem i moja rodzina [też], i dokąd będę żył, to jestem Polakiem.

Wtenczas szwaby doskoczyli do m[n]ie obydwaj i zaczęli m[n]ie bić po twarzy i po piersiach pięściami i kopniakami. I dotąd m[n]ie bili, aż jem ta zabawa się przyszyrzyła. Wtedy zaczęli szwaby wypytywać, odkąd należę do organizacji. Ja jego odpowiedziałem, że nie wiem, co to jest, ja do niczego nie należałem. Wtedy dali m[n]ie znów poprawkę.

Wtenczas jeden z tych oprawców przyniósł książkę ze zdjęciami. Na tych zdjęciach byli więźni, którzy siedzieli razem z nami w Przasnyszu. Jeden to był Rosjanin, nazywał się Sutow Wasyli, a drugi Nikyta – to był Białorus, a trzeci to był komendant naszej partyzantki „Przebój”⁹⁵. I znów m[n]ie pytają,

czy znam tych ludzi. Ja odpowiedziałem, że tych dwóch to znam. Gestapowcy zapaliły się ślepie jak psu wścieklemu, spojrzeli na m[n]ie i się zapytały:

- A ten trzeci to jest znajomy?

- Tak jest, znam go, bo przed wojną był inżynierem drogowym. Nazywał się Rożek.

Wtenczas m[n]ie zapytały, czy znam „Przebója”. Ja odpowiedziałem, że nie znam żadnego „Przebója”. Potem się m[n]ie pytali, czy jakieś ludzie przechodnie pytali się o coś. Ja odpowiedziałem, że takich ludzi u nas wcale nie było.

Wtenczas jeden oprawca usiadł za maszyną i coś pisał, a drugi wziął kij i zaczął się kłaść na skrzynkę z węglem przy piecu. Kazał zdjąć kurtkę i zaczęli m[n]ie bić od pasa do kolan. Ja z początku zacząłem liczyć. Załedwie uliczyłem do pięćdziesięciu, a potem zaczęło mi szumieć w głowie i przestałem liczyć, bo straciłem przytomność. Nastąpiła mała przerwa i znów pytania. Ja jego odpowiedziałem:

- Nic nie powiem, bo nic nie wiem.

Nastąpiła druga porcja. Otrzymałem ze sto kijów i znów przerwa, i pytania te same. Znów trzecia porcja. Potem zaczęli kończyć badania kijem. Poczulem, że m[n]ie wykończą. Ostatkiem sił obróciłem głowę i powiedziałem:

- Albo m[n]ie zabijcie, albo przestańcie bić.

A ja wam nic nie powiem, bo nic nie wiem.

Wtenczas [gestapowiec] przestał bić i kazał m[n]ie wstać. Odstawił kij i wziął pistolet, przystawił m[n]ie do piersi i powiedział:

- Teraz będziesz śpiewał.

Ten szwab trzy razy doskakiwał do m[n]ie z pistoletem. Nareszcie położył pistolet i przestał m[n]ie straszyć, umył łapy, podpisał protokół i ten drugi podpisał szwab. Na końcu i m[n]ie kazali podpisać. Na końcu i ten szwab ubrał się i m[n]ie odprowadził do innej celi. Sam wyszedł, ale drzwi nie zamknął. Ja wykorzystałem ten czas i udało mi się wskoczyć do tej samej celi i mówiłem do kolegów, żeby się trzymali, bo nie było mocno ciężko, ale wytrzymałem. Ale nie mogłem wydobyć głosu z klatki piersiowej.

Ale zaraz przyszedł gestapowiec i m[n]ie przepędził do tej samej celi z powrotem. Wtedy rozpoczęła się nieskończona wędrówka po celi tam i z powrotem, bo usiąść nie można było i leżeć tak samo, wszystko bolało, bo moje ciało tak było zbite, że nawet o małym dotknięciu to bolało. O spaniu nie było mowy. Całem lekarstwem to było chodzenie. I tak było cały tydzień.

Strzały było słychać coraz bliżej Działdowa. Ja[k] front podszedł pod samo Działdowo, wtenczas gestapowcy nas z samego rana wypędzili z baraków na plac i wydano nam dokumenty i zabrano naszą grupę na wartownię. Żeby nas uspokoić, mówiono nam, że jdziemy do domu. W tym czasie nadleciały dwa samoloty radzieckie i zaczęły zrzucać bomby. Zrobił się popłoch. Nas wyprowadzono za pierwszą bramę. Czekalim, co dalej będzie. Potem cofnęli nas z powrotem na plac. Dołączono nas do całej grupy. Czekalim cały dzień na głodniaka, a Niemcy ładowali na samochody różne rzeczy i uciekali. Wkońcu

o Wolność i Demokrację. Stan cywilny: żona Zofia – nauczycielka, podczas okupacji niemieckiej nauczwała w Tajnej Organizacji Nauczycielskiej; troje dzieci (urodzone między 1934 a 1940 r.). Zm. 6 I 1981 r. w Starym Sączu.

nas otoczyli wkoło i wieczorem nas popędzili w Germanję. 14 stycznia 1945 r. odpędzono nas parę kilometrów w las. Rozdzielono nas na dwie grupy. Sami poszli na naradę, po tej naradzie popędzono nas dalej.

Ja zauważyłem, że ludzie zaczynają po trochu uciekać, bo pomieszałem się z niemieckimi uciekinierami. Zacząłem szukać kolegów, żeby jch namówić do ucieczki, [ale] nie mogłem jch odnaleźć. Potem jeden z wachmanów dał m[n]ie swój plecak, żebym go niósł. Z początku myślałem, że może w tem plecaku znajdzie się coś do jedzenia, ale w plecaku nie było żadnej żywności. Zacząłem słabnąć od głodu i boleści, którą mi dali gestapowcy na badaniach w baraku. Po badaniu powiedzieli gestapowcy, że nas czeka daleka droga. Czułem, że nie dam rady jść dalej.

Postanowiłem uciekać i wykorzystałem stojącą kolumnę samochodów stojących na lewo przy drodze, nakryte gałęziami i udało m[n]ie się przeczekać, aż cała kolumna przejdzie. Szosa została pusta. Ja wyszedłem spod samochodu i poszedłem dalej szosą.

Po jakim czasie oderwała się znów jakaś mała grupka ludzi, ale ja jego przeszkadzałem, bo miałem plecak wachmana. Poszedłem sam. Nadszedł dzień i znów spotkałem się z małą grupą ludzi podczas nalotu, a reszta ludzi została popędzona przez wachmanów do Starych Jabłonek pod Ostródę. Tam jch po dziesięciu wiązano drutem i za samochodem tych ludzi po prostu wleczono, bo ci ludzie byli wygłodzeni, to jch prawie włokiem dowlekli do miejsca stracenia i jch podobiali, przekłete szwaby. Tam zginęło naszych braci 118, samych [więźniów] politycznych⁹⁶.

Stefan Wilga

⁹⁵ „Przebój” – Stanisław Rożek, ur. 11 XI 1906 r. w Tarnopolu (dziś Ukraina), s. Stefana i Anieli z d. Kasperskiej. Wykształcenie średnie. Przed wojną pracownik Wydziału Wodno-Melioracyjnego Urzędu Wojewódzkiego w Warszawie. W gm. Jednorzec pracował przy regulacji Orzyca (1933–1935). W czasie II wojny światowej żołnierz AK w stopniu podporucznika, ps. „Przebój”, „Zych”. Szef referatu II Sztabu Obwodu AK Przasnysz „Irkuck” (Wywiad). Zastępca dowódcy oddziału AK „Łowcy”. Mieszkał w Małowidzu (gm. Jednorzec). W maju 1945 r. objął kierownictwo nad grupami Ruchu Oporu Armii Krajowej w powiatach północnego Mazowsza: przasnyskim, ciechanowskim, płońskim, makowskim i pułuskim. Aresztowany 27 VII 1946 r., 22 IV 1947 r. skazany przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie na karę 15 lat więzienia, z czego odsiedział 11 lat. Tortury zadawane przez funkcjonariuszy UB spowodowały fizyczne kalectwo i schizofrenię. Po powrocie z więzienia mieszkał m.in. w Starym Sączu (woj. małopolskie). Dokumentował działalność Związku Bojowników

⁹⁶ W Starych Jabłonkach pod Ostródą w nocy z 21 na 22 I 1945 r. z rąk Hitlerowców zginęło 109 Polaków, w tym 7 kobiet oraz 7 obywateli radzieckich, w tym 1 kobieta. Oto nazwiska pomordowanych: Jan Andrzejewski, Stanisław Bakula, Apolonia Chmielińska, Czesław Chmieliński, Ignacy Chochłowski, Stanisław Chulewicz, Roman Chyliński, Marian Ciak, Romuald Czapliski, Walenty Dawid, Albin Fabisiak, Władysław Fidura, Władysław Gacich, Kazimierz Gadomski, Stanisław Górski, Jan Grochowski, Józef Grodkowski, Michał Filip, Wojciech Grodzicki, Irena Jankowska, Jerzy Jankowski, Józef Jesioneł, Bronisław Kaczorek, Czesław Kaczorek, Tadeusz Kamecki, Zenon Kamiński, Apolinary Kasprowicz, Piotr Kiliański, Tadeusz Konecki, Tomasz Kosmowski, Roman Kosmowski, Hieronim Kuciński, Bronisław Kuta, Alfons Lomperta, Edward Lomperta, Henryk Łada, Antoni Łoś, Bronisław Majewski, Józef Majkowski, Kazimierz Małowidzki, Marian Milewski, Jan Nowicki, Jan Nowotko, Antoni Orzechowski, Ignacy Ossowski, Czesław Panuszewski, Kazimierz Prusik, Tadeusz Wawrzyniec Pszczółkowski, Stanisław Rafał, Alina Romanowska, Stanisław Róziecki, Stanisław Rudnicki, Józef Rutkowski, Józef Rykowski, Stefan Rzepczyński, Kazimierz Sadowski, Ryszard Skoneczny, Kazimierz Skowroński, Wincenty Srokorz, Roman Stefaniak, Mieczysław Szlichta, Jan Bolesław Szuryt, Jan Tarasin, Grzegorz Tchórz, Andrzej Trynka, Józef Trzciniński, Leon Woźniak, Jan Wyszynski, Józef Żbikowski, Roman Żbikowski. Nie znamy nazwisk 42 Polaków, niepewne są nazwiska Rosjan. Szerzej na temat zbrodni zob. <http://www.kurpiankawielkimswiecie.pl/2017/11/maa-ojczyzna-zbrodnia-w-starych.html> (dostęp 29 IX 2018 r.).



Życie gospodarcze międzywojennych wsi kurpiowskich na przykładzie Jednoróżca i Stegny

Maria Weronika KMOCH

Organizacja państwa polskiego po 123 latach niewoli była niezwykle trudnym zadaniem. W 1919 r. powstało województwo warszawskie, w ramach którego wydzielono pow. przasnyski i gm. Jednoróżec. Właściwy jej sąd pokoju znajdował się w Przasnyszu, a sąd okręgowy w Mławie. Gmina w okresie międzywojennym składała się z następujących miejscowości: Budy Prywatne wieś, Budy Rządowe wieś, Budziska leśniczówka, Jednoróżec wieś, Lipa wieś, Małowidz wieś, Nakieł leśniczówka, Nakieł wieś, Obórki wieś, Olszewka stacja kolejowa, Olszewka wieś, Parciaki wieś, Parciaki stacja kolejowa, Połoń wieś, Przejmy leśnictwo, Stegna wieś, Szła kolonia, Ulatowo Pogorzel tartak, Ulatowo Pogorzel wieś, Ulatowo Pogorzel Żydowo wieś, Wółka Kobyłaki wieś, Zadziory leśniczówka, Żelazna Prywatna wieś i Żelazna Rządowa wieś.

Omawiana okolica, jako teren pograniczny między Puszcą Zieloną a obszarami drobno-szlacheckimi, już od czasów nowożytnych była areną lokalnych antagonizmów. Na pograniczu z ludnością kurpiowską w powiecie przasnyskim, etnograficznie i językowo mocno różniącą się od Mazurów, istnieje w pełni rozdział, wyrażający się wtem, że nikt w Bogdańcu, Ulatowie, Kobyłakach, Bobinie, Chodkowie i podobnych nie ożeni się z kurpianką ani żadna szlachcianka nie wyjdzie za mąż za Kurpia z Jednoróżca, Parciaków, Żelaznej itp. Tu jako osobliwość rozróżnia się mazura w przeciwstawieniu do kurpia, mianowicie Mazurem nazywa Kurp mieszkańca wsi szlacheckiej, a Kurpiem (od obuwia łukowego) nazywa szlachcic byłego mieszkańca puszczy – pisał w poł. XIX w. J. Ostaszewski. Podobnie

skich. Te antagonizmy przetrwały do XX w. Jak wspominała Anna Urlich (z d. Łukasiak) ze Stegny (1931–2015), często dochodziło do bójek między chłopakami obu wsi. Nie daj Boże, żeby Stegniarsz wybrał się w zaloty do Jednoróżanki, cały do domu nie wrócił. Nie posyłano też swatów w tzw. „rajby” na Stegna. Stegniarsze nazywali Jednoróżaków Kurpiami, za co oni bardzo się obrażali. (...)

Sytuacja z czasem się zmieniła. Wedle opisu sporządzonego przez Marię Wardak, od 1927 r. miejscową nauczycielkę,

Jednoróżec (...) był wsią ludną i gwarną. Kulturowano tu stare kurpiowskie zwyczaje, noszono się po kurpiowsku. Szczególnie barwnie, zwłaszcza przez starsze pokolenie w dni uroczyste, wesela, procesje Bożego Ciała. Kobiety nosiły spódnice wełniane, pasiaste, sute, tkane na własnych krosnach. Fartuchy i koszuły białe, haftowane. Chustki na głowę wiązały do tyłu, ale z czoła ku tyłowi, z szeroką fałdą przylegającą do skroni, coś jak korona. Wysokich „czółek”, jak w myszynieckim tu nie noszono. W miarę upływu lat zarzucono zwyczaje kurpiowskie: W miarę upływu lat – już lata trzydzieste – wieś szarżała. Młodzi zarzucali stare stroje, coraz mniej kultywowano dawne zwyczaje, wesela odbywały się jak współcześnie. Stare formy dialektu miejscowe-miejscowego ustępowały językowi literackiemu.

Stegna przejęła tradycje kurpiowskie wsi Jednoróżec, bowiem *wsie te miały wspólną władzę administracyjną (...), szkołę (...), parafię, służbę zdrowia, Ochotniczą Straż Pożarną, wspólne organizacje. Czynniki te wpływały na powstawanie wspólnych zwyczajów i obyczajów, wspólne obchodzenie wszystkich uroczystości. (...) nienawiść zupełnie*



Jednoróżec i Stegna w latach 30. XX w.

W całej gm. Jednoróżec w 1921 r. notowano 912 domów i 27 innych budynków mieszkalnych. Mieszkało tu 5 258 osób, z czego 5 217 podało wiarę katolicką, 2 ewangelicką i 39 mojżeszową. Polską narodowość podało 5250 osób, żydowską – 8. Miejscowość Jednoróżec była największą wsią w gminie. W 1921 r. notowano tutaj 160 domów i 869 mieszkańców. Wszyscy mieszkańcy Jednoróżca podali narodowość polską. Stegna w 1921 r. liczyła 156 mieszkańców i 28 domów. Pomimo zmian zauważalnych w okresie międzywojennym wsie nadal wyglądały bardzo tradycyjnie: drewniane chaty szczytem do drogi, zdobienia okien w kurpiowskim stylu, budynki kryte słomianą strzechą lub gontem, dekoracje szczytów w formie śparogów itp. Ozdabiano szczytowe belki pałapowe, nadokienniki, drzwi, węgly i różne listwy, niekiedy bardzo misternie, w formie ażurowej, przypominającej koronkę. Niewiele było bogato zdobionych domów. Wzory i ich nagromadzenie zależały od upodobań majstra.

Kilka domów z okresu międzywojennego zachowało się do dzisiaj. M. Wardak pisała, że wieś wówczas był największą i najpiękniejszą na zachodniej Kurpiowszczyźnie, choć biedną i przez długi czas zacofaną. „Murowanek” było we wsi zaledwie kilka (jedna na Żydowie i jedna w środku wsi), stały szczytem do drogi, jak chaty kurpiowskie, a z drewnianych domów tylko nieliczne miały więcej niż dwie-trzy izby.



Krajobraz doliny Orzyca w latach trzydziestych XX w. Źródło: W. Szczypiorski, *Rzeka Orzyca. Zagadnienie regulacji w powiecie przasnyskim i dotychczasowe jej wykonanie*, Warszawa 1934.

było w przypadku wsi Stegna, sąsiadującej z Jednoróżcem, prywatnej własności Krasin-

wygasa – wspominała A. Urlich.

Na podwórzach stały studnie z żurawiami, a zabudowania gospodarcze stawiano w pewnej odległości od domów mieszkalnych. Przed nimi od strony ulicy urządzano ogródki, w których siano nagietki, malwy, sadzono bez lilak. Za domami były sady owocowe, w których sadzono grusze, wiśnie, jabłonie oraz zakładano małe pasieki (2–3 ule), by na własne potrzeby pozyskać miód. Za sadem rozciągały się bielniki, czyli miejsca, gdzie rozkładano utkane płótno, by wybielało.

Podkreślić należy, że międzywojenny Jednorzec to domy głównie skoncentrowane przy obecnej ul. Długiej. Dlatego o tym terenie mówiło się „na Jednorzcu”. Była to typowa ulicówka. Za budynkami gospodarczymi znajdowały się Zastodola, gdzie gospodarze kopali rejki do przetrzymywania ziemniaków, które okrywali słomą i przysypywali ziemią. Po drugiej stronie ul. Długiej, za gospodarstwami, urządzano niewielkie poletka uprawne, stąd określenie Ogrody. Od strony Parciak i Orzyca znajdowały się Piaski, bardzo piaszczyste „przedmieście” Jednorzeczka. Tuż za figurą św. Jana Chrzciciela przy obecnej ul. Mazowieckiej rozpoczynały się ogólnowiejskie pałniki, ciągnące się do Orzyca. Do rzeki można było dojechać drogą zwaną Groblą. *Usypiana była wysoko przez bagniste łąki i wybrukowana kamieniami. Była to jedyna droga, którą można było bezpiecznie się poruszać* – wspominała A. Urlich. Z kolei droga w stronę Przasnysza zwana była Gościńcem. Tereny dzisiejszej ul. Zielonej nazywane były Kocimi Ner(k)ami. Tu, gdzie dziś stoi zespół budynków oświatowych, ośrodek zdrowia czy urząd gminy, w latach dwudziestych było szczerze pole. W kolejnej dekadzie wybudowano szkołę i oprócz znajdującego się naprzeciw niej wiatraka wokół było pusto. Z kolei zabudowania wsi Stegna koncentrowały się wokół łuku obecnej ul. Wolności również w formie ulicówki.

Część Jednorzeczka od strony Ulatowa-Pogorzeli zwana była Żydowem i czasami traktowana była jako osobna osada – Ulatowo-Pogorzle Żydowo. Nazwa pochodzi od grupy



Stanisław Przybyłek (1895–1972), prezes Kółka Rolniczego w Jednorzcu w okresie międzywojennym. Zbiory Henryka Przybyłki.

mieszkańców wyznania mojżeszowego, zamieszkałej tu od okresu nowożytnego. W okresie międzywojennym liczebność Żydów w parafii Jednorzec, liczącej 9–10 wsi, dla której posiadamy dokładniejsze dane, nigdy nie przekroczyła 40 osób. Ze spisu powszechnego ludności, przeprowadzonego w 1921 r., pochodzą dane o liczebności Żydów w poszczególnych miejscowościach. W Stegnie na 156 mieszkańców było 3 Żydów, zaś w Ulatowie-Pogorzeli Żydowo na 69 mieszkańców przypadało 20 Żydów. Do mieszkańców wyznania mojżeszowego, podlegających pod kahał krasnosielcki, należała miejscowa karczma. M. Rychert prowadził tartak w Stegnie, w 1913 r. zatrudniający 16 osób i osiągający 7875 rubli dochodu rocznie. Tartak wznowił działalność w 1916 r. po niewielkich wojennych zniszczeniach. Żydzi zajmowali się także rękodzielnictwem i handlem, głównie domokrężnym. Wiadomo, że w 1923 r. Gołda Blumsztein założył w Jednorzcu sklep spożywczo-galanteryjny. Jak wspominała M. Wardak, *Biedne rodziny Serwatorów i Konów trudniły się bardzo skromnym ubojem bydła.*

Pierwsze lata niepodległości były okresem bardzo trudnym ze względu na kryzys gospodarczy i ogromne zniszczenia. Ludzie często głodowali, panowała bieda. Poważnym problemem były kradzieże. „Głos Ziemi Przasnyskiej” w 1920 r. donosił: *u Wójta gminy Jednorzec Walentego Białczaka z dnia 24 na 25 stycznia w nocy, skradziono parę koni z wozem i uprzężą wartości 20 000 marek, śledztwo w toku.* Nie mniej uciążliwe było choroby inwentarza. W grudniu 1919 r. w jednej zagrodzie w gm. Jednorzec zanotowano wąglik u bydła rogatego. W 1923 r. w Stegnie i Jednorzcu notowano łącznie 5 przypadków zarazy płucnej u bydła.

Mówiąc o okresie międzywojennym, należy pamiętać o dwóch kryzysach: powojennym oraz spowodowanym krachem gospodarczym w 1929 r. W takich okresach dawały o sobie znać tendencje zauważalne w całym kraju. Z trudnościami dnia codziennego starano się walczyć na różne sposoby. Kiedy powiększanie arealów pól uprawnych okazało się niewystarczające, by zażegnać kryzys, zaczęto ograniczać konsumpcję. Rezygnowano z zakupów artykułów przemysłowych, następnie ograniczano spożycie produktów rolnych, wytworzonych we własnych gospodarstwach. Podstawą odżywiania ludności były: mąka, ziemniaki, mleko oraz warzywa, głównie kapusta. Jak wspominał Stanisław Brzozowy z Jednorzeczka, urodzony w 1923 r., *Pieniądzy prawie nie było, a wszystko co niezbędne do życia wytwarzało się we własnym zakresie. Tylko drobne nadwyżki uzyskane z gospodarstwa (np. jaja czy śmietana) można było sprzedać w mieście, a w zamian kupić sól czy cukier. Bieda dyktowała standard życia (...).*



Władysław Deptuła (ur. 1921 r.) z Jednorzeczka z żoną Leokadią. W domu Deptułów w latach dwudziestych XX w. zakwaterowano geodetę, który zajął się komasacją gruntów. W późniejszym czasie Deptuła kupił specjalną maszynę do kopania torfu oraz gręplarkę, które usprawniły prace gospodarskie. Źródło: M. Deptuła, *Jednorzec. Powrót do przeszłości*, Żywiec

Rzadko jedzono mięso, masło i jaja, bowiem przeznaczano je na sprzedaż, aby kupić produkty niezbędne, jak wspomniana sól, ale też nafta czy zapalki. W Jednorzcu, wedle wspomnień M. Wardak, ziemniaki solono dopiero po ugotowaniu i odciedzeniu, *szkoda było marnować cenną sól, odciedzając ją wraz z odlewem.* Wiele rodzin wiejskich używało cukru jedynie od święta. Jej zastępnikiem była przemycana z odległych o 20 km Prus Wschodnich dużo tańsza sacharyna (1 kg cukru kosztował od 1 do 2 zł, dwie pastylki sacharyny kosztowały 5 gr; 1 pastylkę można było osłodzić 4 litry kawy zbożowej). Cukier zastępowano też wodą pozostałą po ugotowanych burakach cukrowych. Obciążeniem były wysokie podatki. Aktualny był problem przeludnienia wsi. Wedle S. Kopczyńskiego, „na Kurpiach obserwowano 40-morgowych gospodarzy, u których przednówek zaczynał się w kwietniu lub maju, a którzy, aby przeżyć krytyczny okres, wyprzedawali się z najpotrzebniejszych przedmiotów, najczęściej jednak wyzbywali się żywego inwentarza”.

Trudnością były również warunki naturalne na omawianym terenie. Jednorzec leżał w odległości ok. 2 km od głównego koryta Orzyca. Przez wieki rzeka tworzyła wielkie rozlewisko z mnóstwem dopływów, małych cieków wodnych i rowów, które mieszkańcy zwali strugami. W meandrach i starorzeczach Orzyca żyły różne gatunki ryb i raki, co okazało się szczególnie ważne podczas I wojny światowej. Stefan Wilga z Jednorzeczka (1911–1994) zapisał, że po przejściu frontu w lipcu 1915 r. powracający do wsi mieszkańcy szukali pożywienia szczególnie w rzece, ponieważ pola były zryte okopami i pozbawione plonów. Na szczęście ryb nie brakowało: (...) *Co założyli kłomia, to w kłomie weszło od pięciu do dziesięciu sztuk. Łapały może trzy godziny, to nałapały pod dostatkiem. W spojankach leżała kupa ryb (...).* Rzeka jednak stanowiła barierę i np. utrudniała dostęp do linii kolejowej Wielbark-Ostrołęka, zbudowanej w 1915 r. przez Niemców.

Zamulony Orzyc płynął wolno i źle odprowadzał zwyczajne wody, nie mówiąc o powodziowych. Woda rozlewała się szeroko po torfiastych łakach, tworząc rozległe bagna tak, że *Można było jeździć po łakach łódką*, jak pisała A. Ulrich. Nad bagnami unosiły się chmary komarów. Błota te stanowiły zagrożenie dla ludzi i zwierząt poprzez wydzielanie niezdrowych oparów. Przyczyną zabagniania obszaru doliny rzecznej były też liczne naturalne progi z nawałów drzewa (głównie dębiny), jak też z twardego gliniastego gruntu. Powodowało to duże różnice głębokości rzeki w różnych miejscach oraz spadków wody. W okresie międzywojennym szerokość bagnistej doliny Orzycy dochodziła do 3 km.

Bagna nadorzyckie pokryte były roślinnością turzycowo-mszystą, dawały liche, kwaśne i mało wartościowe siano, nadające się tylko na podściółkę. *Zaledwie raz się dało zrobić siano przez pięć lat, tą rzeżuchą krowie można było przeznąć gardło (...). To tylko było zadane na ściółkę. Pastwiska ogólne też podmokłe. Prawie jedna piąta część to weszły krowy, a reszta to trzęsawiska i parowy. Tylko się leży żurawie i różne ptactwo błotniste* – pisał S. Wilga. Stanisław Przybyłek z Jednorozca (1895–1972), wspominając swój majątek, zapisał: (...) *Na tym pastwisku rosły tylko gorzkie zielska i tzw. kosmata Choszczna (...).*

Zbiór siana nad Orzycem odbywał się na dwa sposoby. Jak zanotowała A. Ulrich, trawę rosnącą na kępach kosili mężczyźni kosami, stojąc po kolana, a często i po pas w wodzie. Na tych kępach suszono ją. Do grabienia trawy wychodziły kobiety. Musiały ubierać się w mocne spodnie i chodaki, gdyż grabienie również odbywało się w wodzie, a znajdujące się w niej trawy raniły i cięły boleśnie ciało. Trudna była przeprawa do konkretnej kępy z sianem. Trzeba było posuwać się wśród bagna znaną trasą, skacząc z kępy na kępę, które huśtały się jak na sprężynach. Zboczenie z tej trasy groziło zapadnięciem się w bagno. Kobiety brały ze sobą wiklinowe kosze, które trzymały przed sobą, posuwając się po bagnie. Jeśli któraś potknęła się lub wpadła głębiej, kosz służył za ponton i ratował od upadku twarzą w bagno. Poza tym zbiór „odbywał się zazwyczaj na łodziach lub brnąc po pas w wodzie, a i ten utrudniony zbiór jest możliwy tylko na nieznacznych, nieco wywyższonych częściach łąk”, jak notował W. Szczypiorski. Była to ciężka praca. W suche lata zbiór twardego siana odbywać się mógł tylko na brzegach bagien, co umniejszało areal gospodarczy terenu i powodowało konieczność szukania innych źródeł dochodu przez mieszkańców doliny Orzycy.

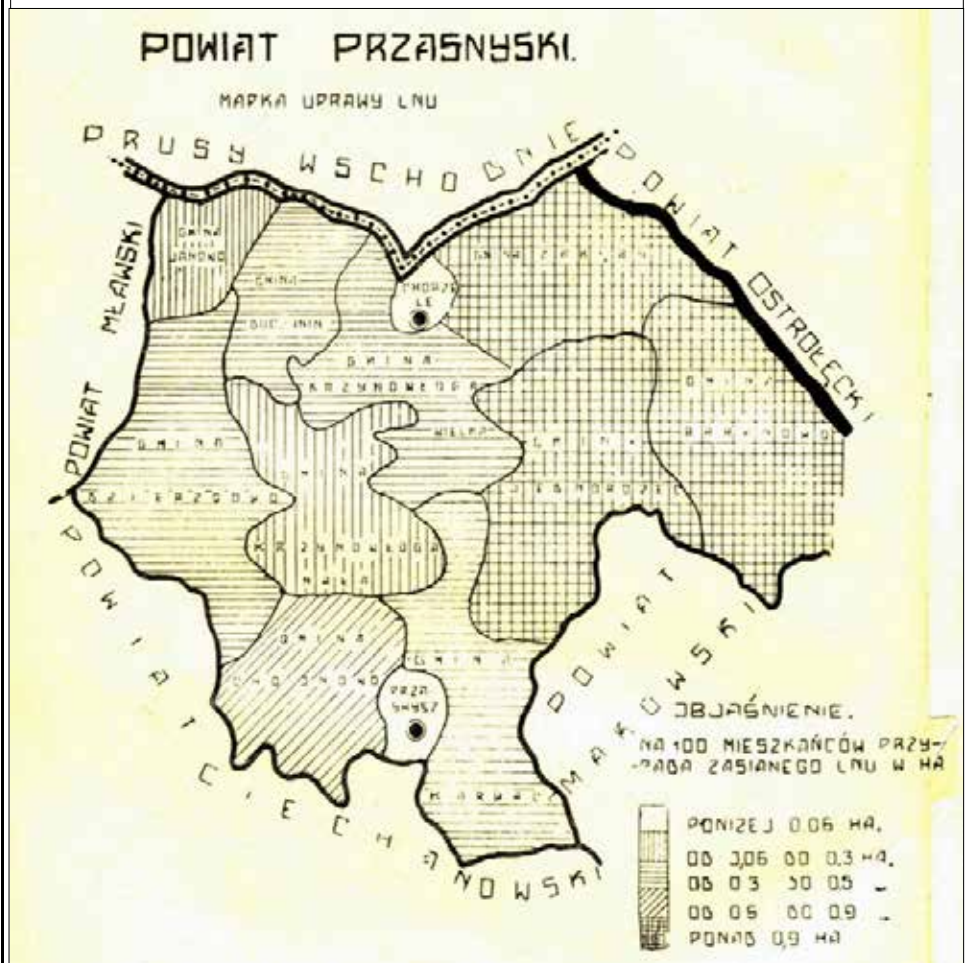
W tej sytuacji konieczna była melioracja. Chociaż jej plany snuto już od 1815 r., stała się możliwa dopiero w okresie międzywojennym. Wcześniej brakowało konkretnego planu, nie było też koordynatora działań w terenie.

Melioracja rzeki byłaby jednak przedsięwzięciem niepełnym, gdyby porzuciła tylko na niej. Na regulację czekała sprawa gruntów chłopskich. Po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. każdy rolnik otrzymał po 22 morgi ziemi, nieliczni zaś 40 mórg. Jak wspominał S. Wilga, problemem było niesamowite rozdrobnienie majątków, utrudniające podźwignięcie się po zniszczeniach Wielkiej Wojny: *Wszystko było w szachownicy, pole w szesnastu*



Mapka rozpowszechnienia hodowli owiec.

Źródło: Powiat przasnyski. Przemysł ludowy, oprac. S. Kopczyński, Warszawa 1930.

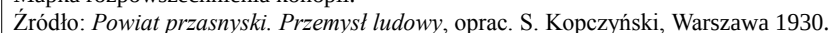


Mapka uprawy lnu.

Źródło: Powiat przasnyski. Przemysł ludowy, oprac. S. Kopczyński, Warszawa 1930.

W uprawie ziemi powoli przechodzono z trójpółki na płodozmian. W gospodarstwach posługiwano się: pługiem, „amerykiem” i pługiem z odkładnicą jednodzielną, żelaznym radłem do odradłania ziemniaków, bronami żelaznymi, sprzężówką, kosą, cepem, motykami, szpadlami,

Jednocześnie istnieją relacje wskazujące na niedostateczną poprawę jakości ziemi nad Orzycem. S. Przybyłek z Jednorożca wspominał: (...) *po przejściu regulacji Orzycza, łąki pozostały podmokłe i miejscami rósł na nich mech. Miejsca z mchem trzeba było wyciąć ko-*



ka, aby na jego łące zrobić poletko doświadczalne z nową uprawą trawy. Po zasianiu szlachetnej trawy i odpowiedniej pielęgnacji, poletko dało dobre wyniki. Pozostali członkowie kółka, którzy obserwowali naszą robotę, chętnie zaczęli nas naśladować, aby przynajmniej pół lub ćwierć hektara zasiać tej szlachetnej trawy na swoich łąkach. Przekonali się, że tylko przy jak najlepszym zagospodarowaniu łąk, powiększą się im dochody z hodowli krów.

Na osuszonych terenach odkryto złoża torfu. Wydobywano go przeważnie przy pomocy ręcznych noży i łopat. Prostokątne cegły torfu suszono najpierw na łące. Przesuszone układano najpierw w małej piramidy, a następnie w większe zwane klaftami. Z torfu, służącego zimą do ogrzewania domów, słynął Jednorożec na okolicę – zapisała A. Ulrich. Władysław Deptuła z Jednorożca zakupił specjalną maszynę do kopania torfu, służącą wręcz do produkcji przemysłowej (porównując to z tempem ręcznej pracy).

W 1928 r. na 100 mieszkańców gm. Jednorożec przypadało przeciętnie 17 koni, 29 sztuk inwentarza rogatego, 7 sztuk trzody chlewnej i 13 owiec. To właśnie w gm. Jednorożec hodowano najwięcej owiec w powiecie (920 sztuk). „Kto miał słabego konia, to pół dnia wioził wóz obornika, to też się bardzo nie opłacało. Więc ktoś wpadł na pomysł z hodowlą owiec. Nie była to wprawdzie dobra inwestycja, ale były wykorzystane nieużytki, owca się jakoś tam wyżywiła” – pisał Z. Cierliński na podstawie wspomnień Kacpra Dybińskiego, urodzonego w 1908 r. (wedle innych relacji w 1904 r.). Jak pisał S. Przybyłek, *Jeszcze przed zawiązaniem się kółka, hodowane były we wsi prawie we wszystkich gospodarstwach owce o krótkiej wełnie, drobnych kołtunach. Owce te były wychowywane najczęściej z kazirodztwa. Wedle S. Kopczyńskiego „Ze względu na mokre, nisko położone pastwiska i łąki rolnicy hodują tylko białe-czarne owce świniarki, gdyż ten gatunek jedynie może znosić tamtejsze warunki”.*

się w kupę i szły w pole pod Szlę. Śpiew ptaków łączył się z melodią grającego pasterza i beczeniem owiec. Pasterz zbierał zioła, leczyl ludzi. Miał dwa pieski owczarki, które pilnowały stada owiec. Były takie dni, że zostawił swoją kufajkę z kapeluszem ażeby pilnowały stada owiec, a sam poszedł do gospody Marciniuka na obiad” – pisał Z. Cierliński.

W latach trzydziestych w Jednorożu powstało kółko rolnicze. Jego prezesem był wspomniany już S. Przybyłek. Postarał się o zakup konnego siewnika zbożowego, by usprawnić pracę na roli, bowiem *Okazało się, że aby uzyskać dobre plony zboża nie wystarczy zaopatrzyć się w dobre nasiona, ale również i dobrze je zasiać. Sianie ręczne z płachty nie dawało dobrych efektów. Cena siewnika to równowartość 4 krów, co było dużym kosztem, więc zaciągnięto pożyczkę. Był to pierwszy zakupiony sprzęt rolniczy od początku działalności kółka. Jak przyszedł sezon siania zbóż, to siewnik był wykorzystywany cały czas, kto tylko był chętny. Pewnego razu na*



Uczestnicy kursu przodowników przysposobienia rolniczego w Szkole Rolniczej w Rudzie pod Przasnyszem, 1937 r. Zbiory Joanny Wilgi z Jednorożca.

Najwięcej torfu wydobywano jednak w sąsiednim Drążdżewie Nowym na tzw. Torfach. Ok. roku 1922 Henryk Roman, zarządzający majątkiem Biernackich, właścicieli wsi, sprowadził z woj. łódzkiego fachowca od maszynowego wydobywania torfu, Józefa Iwulskiego. Po jego śmierci ok. roku 1927 odpowiedzialność przejął syn Andrzej Iwulski. Maszyna wydobywała torf aż do piasku, bardzo głęboko. W wyniku wydobywania torfu powstały stawy, które do dzisiaj istnieją, choć są przy brzegach zarośnięte. Można je zobaczyć w drodze z Drążdżewa Nowego na Polską Kępę.

Dlatego też, by poprawić jakość wełny, postanowiono sprowadzić z Krakowa trzy barany, nazwy „fagasy” z nakrapianymi nosami, które miały długą i miękką wełnę.

We wsi był pasterz Stanowski, któremu płacono od owcy, a mieszkał u gospodarzy na zmianę. „Miał kilkoro dzieci, przez całe lato zarobił na ich utrzymanie. Tak było, że jak się jeden zwalniał, to w jego miejsce więcej było chętnych. Taki pasterz zaczynał od Żydowa, rano grał nabożne pieśni na fujarce koguciku. W tamtych czasach nikt nie miał zegara, wystarczyło że grał i każdy swoje owce wypuszczał z podwórza. One z bekiem łączyły

zebranie kółka przyjechał kierownik z powiatu i postawił wniosek, aby zgłosiło się dwóch gospodarzy, którzy mają pola najbliżej wsi i na tych polach będą prowadzone przykładowe gospodarstwa. Rolnicy ci wykonywali wszystkie prace pod dyktando instruktora, który co jakiś czas przyjeżdżał i dawał im dalsze wskazówki upraw. Te pokazowe zagospodarowanie poletek dało bardzo dużo, szczególnie przekonało tych najbardziej zacofanych – wspominał po latach Przybyłek.

Przysposobienie rolnicze prowadziły organizacje młodzieżowe, np. Akcja Katolicka i wchodzące w jej skład Katolickie Stowarzy-

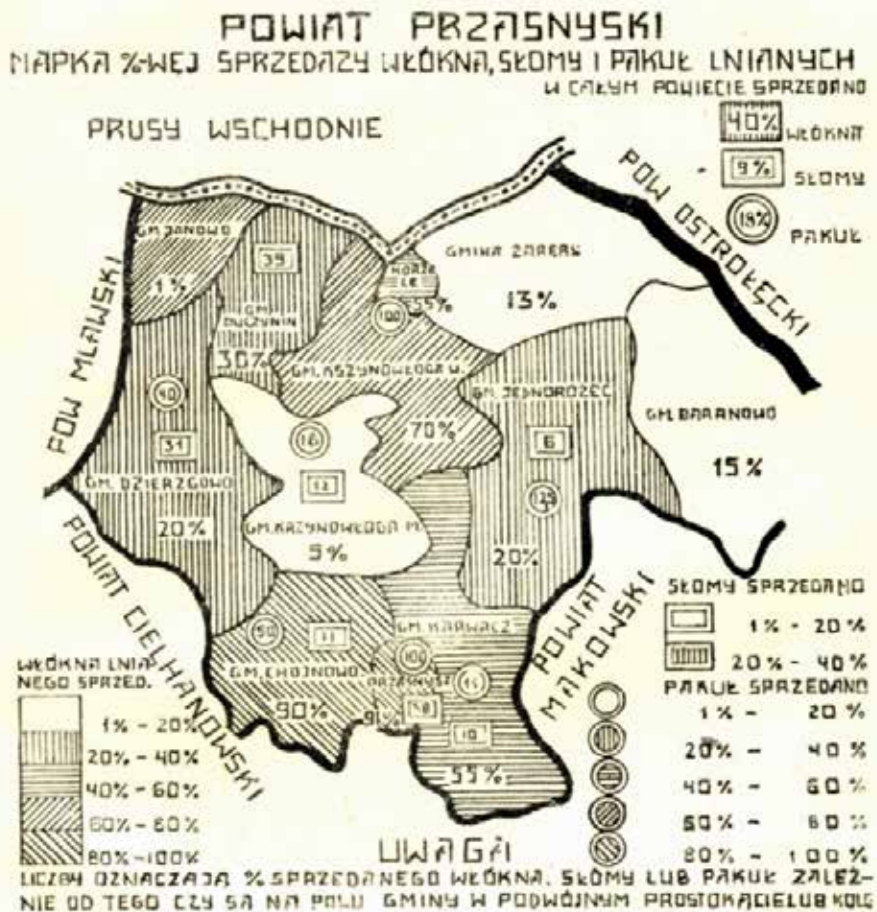
szczenie Młodzieży Męskiej i Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej. Ciężko określić, jak bardzo rozwinięta była tego rodzaju działalność. Wiadomo na pewno, że członkowie Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży z Jednoróżca wzięli udział w szkoleniu w Szkole Rolniczej w Rudzie koło Przasnysza w dniach 8–12 I 1937 r. Z kolei podczas Wystawy Przysposobienia Rolniczego w Przasnyszu w dniu 23 X 1934 r. w zmaganiach konkursowych wzięło udział 15 zespołów i 80 uczestników z terenu dekanatu przasnyskiego. Pierwszą nagrodę indywidualną w postaci *rasowej jałoszki, ofiarowanej na ten cel przez p. Zórawskiego z Obrębca* otrzymał druh Antoni Bakuła z Jednoróżca.

Wydaje się jednak, że przysposobienie rolnicze w parafii Jednoróżec nie było tak rozpowszechnione jak w prężnie działającej Akcji Katolickiej sąsiedniej parafii Baranowo. Wedle ustaleń A. Białczaka w Baranowie „Każdego roku ogłaszano konkurs z tematami roślinnymi i hodowlanymi. W oddziałach tworzyły się zespoły od 7 do 22 osób, które wybierały jeden temat. (...) Na poletkach konkursowych stawiano tabliczki. Czynności były notowane w dzienniczkach. Zespoły lustrwane były przez zespoły sąsiednie i instruktorów. Urządzano wycieczki do wzorowych gospodarstw, stacji hodowlanych i szkół rolniczych”. Po powrocie z kursu przodownicy w swoich zespołach rozpoczynali pracę samokształceniową.

Młodzież z parafii kurpiowskich mogła chętniej brać udział w działaniach związanych z przysposobieniem rolniczym niż z przysposobieniem wojskowym i wychowaniem fizycznym, wprowadzanym po przewrocie majowym w 1926 r., bowiem praktyczniej było skoncentrować się na nauce rozwiązań mogących pomóc w gospodarzeniu na kurpiowskich nieurodzajnych glebach oraz przysposobieniu do zawodu rolnika, a młodzież z takich rodzin dominowała w Katolickim Stowarzyszeniu Młodzieży. Dlatego też w kursach i konkursach przysposobienia wojskowego i wychowania fizycznego rzadko brały udział zespoły z parafii położonych na Kurpiach. Angażowały się w nie natomiast głównie oddziały z parafii miejskich i wiejskich położonych na pograniczu regionu (Goworowo, Troszyn, Ostrołęka, Łomża...). Niemniej w parafiach, w których stowarzyszenia młodzieżowe działały bardzo aktywnie, np. w Baranowie, organizowano też przysposobienie wojskowe.

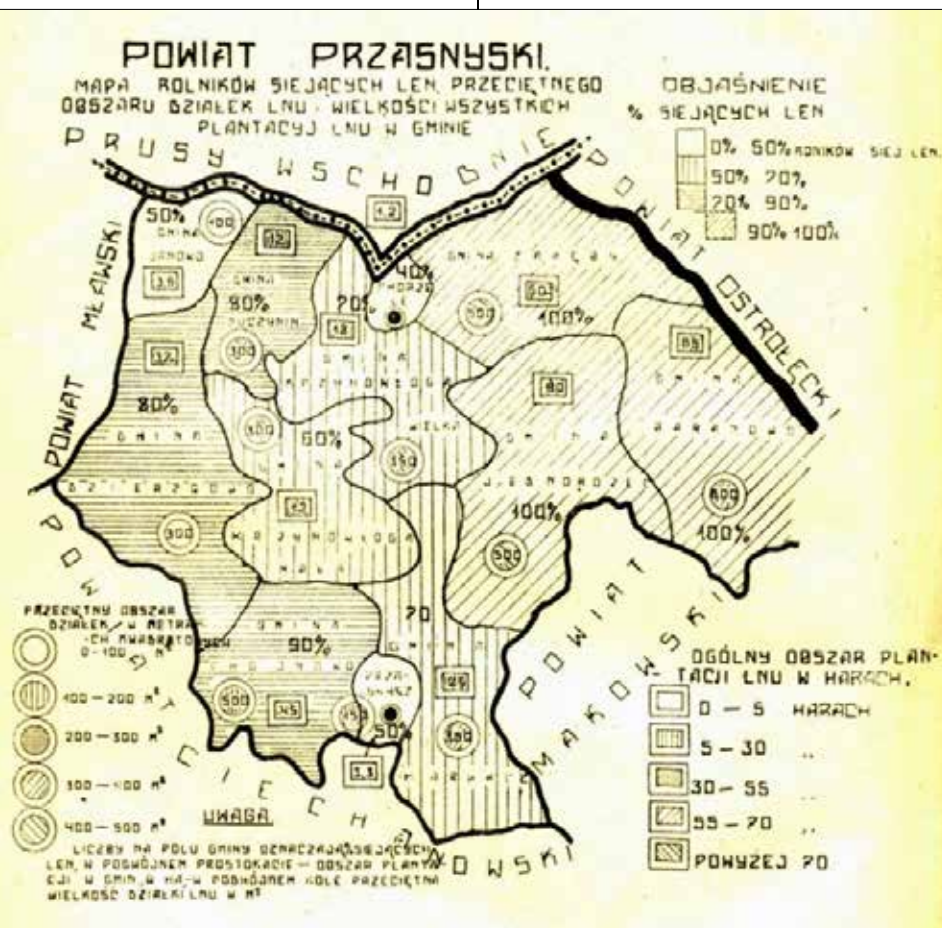
Jednoróżeckie kółko rolnicze postarało się o poprawę jakości hodowli krów mlecznych. Kupiono *buhaja z dobrą metryką urodzenia rasy czerwonej, nazywaną polską*. Krowy urodzone nie dawały tak dużo mleka, jak te czarno-graniaste, ale miały za to większy tusz.

W latach trzydziestych, jak wspominał S. Przybyłek, *Zagospodarowanie pól uprawnych również wymagało zmian. Gleba na polach w naszej wsi jest zbyt sucha i należy umiejętnie gospodarować wilgocią nagromadzoną w okresie zimowo-wiosennym, ponieważ opady letnie nie dadzą tyle wilgoci, ile rośliny potrzebują. Osobiście zacząłem prowadzić poletka doświadczalne z żytem i ziemniakami na swoim polu. Co dwa, trzy lata zmieniałem nowe odmiany żyta i okazało się, że najlepiej*



Mapka procentowej sprzedaży włókna, słomy i pakul lnianych.

Źródło: Powiat przasnyski. Przemysł ludowy, oprac. S. Kopczyński, Warszawa 1930.



Mapka rolników siejących len.

Źródło: Powiat przasnyski. Przemysł ludowy, oprac. S. Kopczyński, Warszawa 1930.

powiatu przasnyskiego zarówno ilościowo, jak i w przeliczeniu na 1 mieszkańca gminy. Na każde 7 gospodarstw przypadało 5 warsztatów tkackich, na 100 mieszkańców przypadało 10 warsztatów. Tkactwo było bardzo rozpowszechnione w gm. Jednorożec w okresie międzywojennym, ale produkcja przeciętna pojeźdźczego krosna była o wiele mniejsza niż np. w sąsiedniej gm. Baranowo. Wedle danych z 1928 r. na jednym warsztacie tkano przeciętnie 58,5 m różnych tkanin. Technika tkacka była przestarzała. A. Urlich wspominała: *Uciążliwym było czesanie ostrzyżonej z owiec wełny i przygotowanie jej do przędzenia. Czesano ją ręcznie dwoma metalowymi szczotkami, zwanymi gręplami. Tak było do czasu sprowadzenia z Prus, przez gospodarza z Jednorożca Władysława Deptułę, specjalnej maszyny gręplarki. Od tej pory wełnę czesano na tej maszynie o napędzie siły ludzkich mięśni. Kręciło się korbą wprawiając w ruch wiele szczotek i wałków. Spód maszyny tej wełna wychodziła gładko, dokładnie rozczesana. W gm. Jednorożec zorganizowano 1 z 3 gręplarni w powiecie (pozostałe w gm. Baranowo). Stąd opinia, że pod względem technicznym (ilość warsztatów tkackich, farbarni i gręplarni) okręg złożony z gmin kurpiowskich w pow. przasnyskim, identyfikowanych z zachodnimi rubieżami Puszczy Zielonej, „jest urządzony dosyć dobrze”. Niemniej na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych tkactwo w gm. Jednorożec znajdowało się „w stanie dezorganizacji i pewnego cofania się”.*

Wedle danych z 1928 r. w gm. Jednorożec z 30 tys. m wyprodukowanego szarego lnianego sukna sprzedano 5 tys. (17%), z 4 tys. m kolorowego sprzedano 25%, zaś z wyprodukowanych 4 tys. m wełnianych tkanin na sprzedaż nie przeznaczono ani metra. Przeciętnie na 100 mieszkańców w gm. Jednorożec produkowano 443 m tkanin lnianych szarych, 59 m tkanin deseniowych i 44 m tkanin wełnianych.

S. Kopczyński zanotował, że produkcja prostych, szarych tkanin lnianych (płótno) w kurpiowskich gminach pow. przasnyskiego była procentowo największa przewyższała kilkunrotnie produkcję tkanin innego rodzaju.

Z lnu szyto bieliznę osobistą i pościelową, a także ręczniki i obrusy. Z wełny tkano sukno na spodnie, surduty, kurtki i palta duże zwane bundami. Robiono też na drutach swetry i skarpety – zapisała A. Urlich. Z kolei S. Przybyłek zanotował: Kobiety na wsi umiały wyrabiać samodzielnie z płótna lnianego na koszule czy pościelowe. (...) Niektóre wyroby z wełny nie różniły się od wyrobów fabrycznych. Kobiety ze wsi wykonywały również roboty na drutach, takie jak: (...) bluzki oraz

kotory chłop mieszka w Jednorożcu. (...) W takich sukienkach chodzili tak chłopcy jak i kobiety tylko z pewnymi upiększeniami.

Wedle S. Kopczyńskiego w kolekcji barwnych kraciaków i pasiaków kurpiowskich przeważały ciemne kolory (czerwony, zielony, granatowy, czarny i żółty), a zestawienia barw były ostre, bez kolorów przejściowych. „W tkaninach nowszego pochodzenia, a więc robionych przeważnie z przędzy farbowanej lichymi anilinowymi barwnikami, o jaskrawych



Mapka produkcji lnianej.

Źródło: Powiat przasnyski. Przemysł ludowy, oprac. S. Kopczyński, Warszawa 1930.

roboty hafciarskie i różne roboty na krosnach, takie jak: chodniki, narzuty na łóżka. Jak wspominał K. Dybiński, W Przasnyszu czy Chorzelażach można było poznać bez pytania,

odcieniach, osnowa zwykle bywa czarna, – rzadziej w innym ciemnym kolorze (przeważnie zielnym). Ta ostatnia, przebijając się przez różnokolorowy wątek, powoduje obniżenie jaskrawości jego barw, harmonizując je w pewnym stopniu między sobą. W tkaninach starych, robionej z przędzy farbowanej roślinnymi barwnikami, o tonach niezbyt jaskrawych, przeto więcej harmonizujących, używanie ciemnych osnow wprawdzie nie spotyka. Mamy tu przykład zdolności obserwacyjnych i wyrobienia u ludu kurpiowskiego, który obniżywszy kolorystykę swoich wyrobów tkackich na tle stosowania nieodpowiednio barwionej w fabrykach przędzy, stara się uzupełnić powstające braki w efektach barwnych, przez odpowiednie zestawienie kolorów osnowy i wątku. Właściwość ta szczególnie uwydatnia się w pasiach kurpiowskich”.

Utrwaleniu dawnych zwyczajów oraz tradycji związanych z wyrabianiem odzieży służyło m.in. Koło Gospodyń Wiejskich, założone po 1931 r. przy kółku rolniczym. Jak wspominał S. Przybyłek, *Ze wsi zgłosiło się kilka chętnych kobiet. Prowadzony instruktaż był dużą pomocą w życiu codziennym na wsi. (...) Instruktorka nauczyła je wybielać to płótno do śnieżnej białości. W organizację KGW zaangaż*



Prezydent Ignacy Mościcki w Jednorożcu 26 V 1930 r., witany przez nauczyciela Zygmunta Jaworskiego. Zbiory Muzeum Historycznego w Przasnyszu.



Uczestniczki kursu szycia, ok. 1936 r. Jako czwarta z prawej nauczycielka Anna Bąkowska z Krasnosielca, przewodnicząca Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet w Jednorozcu, które zorganizowało kurs. Zbiory Joanny Wilgi.

zowały się miejscowe nauczycielki. W 1936 r. w Jednorozcu powstał Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet, którego przewodniczącą była nauczycielka Anna Bąkowska, pochodząca z pobliskiego Krasnosielca. Do ZPOK należały nie rolniczki, a biedniejsze gospodynie: Zofia Gładek, Marianna Łukasiak, Stanisław Tubis, Katarzyna Wilga, Ziemiańska (żona kowala) i Eleonora Ziuśka. Niestety obie organizacje nie współpracowały ze sobą, a raczej rywalizowały.

We wsi znajdowała się siedziba Spółdzielni Mleczarskiej „Orzyc”. Powstała przy kółku rolniczym. Założono ją 28 III 1928 r. Terenem działalności spółdzielni był Jednorzec oraz okoliczne wsie. Dyrektorem spółdzielni w 1931 r. wedle akt metrykalnych parafii Jednorzec był Jan Leśniewski. W świetle danych z 1937 r. prezesem zarządu był Antoni Bakuła, rolnik z Jednorzecz, wiceprezesem Marcin Chudzik, a skarbnikiem Franciszek Berg. W skład Komisji Rewizyjnej Mleczarni wchodził członkowie Rady Nadzorczej: Józef Jankowski, Leon Kosakowski oraz Stanisław Stodolski. Spółdzielnia borykała się różnymi problemami, szczególnie finansowymi. Problemem konkurencyjnym, utrudniającym ponowne ożywienie niedziałającej spółdzielni, były prywatne mleczarnie funkcjonujące w regionie, w tym jedna w Jednorozcu. Jak twierdził S. Przybyłek, *Prywatni handlarze widząc, że dobrze idzie nam ten interes, postanowili założyć drugą prywatną mleczarnię. Zaczęli z nami konkurować. Trochę nam popsuli robotę, ale i sami dużo nie zarobili.*

W 1937 r. SM „Orzyc” przystąpiła do Związku Rewizyjnego, ponieważ w innym wypadku groziłoby jej rozwiązanie na mocy ustawy o spółdzielniach, określającej tryb likwidacji w wyniku uchybień w działalności. W związku z tym jednorzeczka spółdzielnia została wpisana do rejestru przez Warszawską

Izbę Rolniczą jako „Maślarnia”. Relacje z wizyty prezydenta Ignacego Mościckiego w Jednorozcu 26 V 1930 r. podczas objazdu woj. warszawskiego notowały: *Schludny wygląd zewnętrzny, wzorowy porządek, ład i olśniewająca czystość wnętrza mleczarni, wzbudziły w Dostojnym Gościu podziw i żywe zainteresowanie rozwojem placówek mleczarskich. Pan prezydent, jako ekonomista, wypytywał szczegółowo rozmiary produkcji masła oraz o warunki i miejsce zbytu. Dzięki kontaktom z Hurtownią Mleczarsko-Jajcarską A.H. Malczewski w Warszawie (ul. Sieńna 3). Dzięki kontaktom z tą firmą mleczarnia mogła się rozwijać. Była to opłacalna współpraca ze względu na finansowanie produkcji, opiekę techniczną oraz wysokie wypłaty za masło.*

Spółdzielnia „Orzyc” skupowała od rolników mleko, prowadziła mleczarnię wytwarzającą

masło i inne wyroby mleczarskie, miała też własny sklep. Jednak zauważano brak dyscy-



Warsztat szewski, okres międzywojenny. Fot. H. Poddębski. Zbiory NAC, sygn. 131-G-4-2 (zdjęcie ilustracyjne).



Warsztat stolarski, okres międzywojenny. Fot. H. Poddębski. Zbiory NAC, sygn. 131-G-5-3 (zdjęcie ilustracyjne).

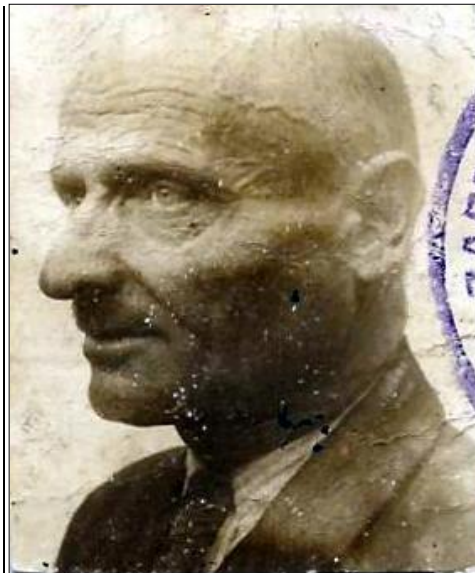
pliny jej członków w oddawaniu mleka do SM „Orzyc”. Na zebraniu zarzucono to jednemu z jej członków, Franciszkowi Pogorzelskiemu. Ten w odpowiedzi stwierdził, że prywatna mleczarnia oferuje 0,5 gr więcej za litr. Jak pisał W. Łukaszewski, „Władze Spółdzielni ciągle musiały mierzyć się z niedoskonałościami formalnymi, które miały miejsce w jej wewnętrznych aktach prawnych. W związku z licznymi brakami w dokumentacji oraz niewywiązywaniem się z nałożonych na spółdzielnię obowiązków sprawozdawczych i prawnych, zostało wszczęte postępowanie układowe, które miało doprowadzić do likwidacji podmiotu gospodarczego. Jednak 17 XII 1938 r. Wojewódzki Urząd Rozjemczy w Warszawie umorzył postępowanie układowe w stosunku do SM „Orzyc” w Jednorozcu. Wybuch II wojny światowej spowodował zniszczenie rozwijającej się spółdzielczości (...).”

Nie zapominać należy o emigracji sezonowej i stałej. Byli tacy, którzy decydowali się na emigrację za ocean. Temat ten wymaga jednak szerszego opracowania. Więcej osób decydowało się na emigrację sezonową „za Przasnysz” oraz do Prus Wschodnich. Jak pisał Z. Cierliński na podstawie wspomnień K. Dybińskiego, wielu majstrów wyjeżdżało pracować „na czarno” do Prus. Organizacją zarówno wyjazdów na saksy, jak i przemytu, zajmowali się Żydzi.

Szczególnie w latach dwudziestych, w okresach kryzysu, najpierw powojennego, a potem od 1929 r., było bardzo ciężko. Ze słabych gleb, zaliczanych do V i VI klasy, i podmokłych łąk było trudno się utrzymać. Jak wspominał S. Wilga, *Ludność prawie całego przasnyskiego powiatu długie lata nie mogła dojść do pory po zniszczeniach wojennych, a przeważnie na ziemiach piaszczystych i łakach zalanych wodą. Ludność szukała pracy i jakiego zarobku. Nie tylko zmuszeni byli dzieci do służby, które były sierotami, ale i rodzice dawali swoje dzieci na służbę. Dla swojej korzyści dużo dzieci służyło z naszej wioski, co jch rodzice nie posiadali kawałka*

ziemi, to dzieci dali na służbę, a sami szukali zarobku we Dworach za Przasnyszem – wspominał Stefan Wilga. Dlaczego tam? Gleby w tej części regionu były dużo bardziej urodzajne, dlatego i plony były lepsze, a do pracy przy zbieraniu kartofli czy buraków na dużych polach ziemi trzeba było wiele rąk.

W emigracji sezonowej do dworów w Przasnyskiem i Ciechanowskiem ważną rolę odgrywało miasto Przasnysz. Jak pisał w 1911 r. K. Moszyński, to leżące na krańcu Puszczy miasto było *niegdyś ożywionem targowiskiem wymiennem między rolniczymi ciechanowskimi szaraczkami a puszczańskimi kurpiami*. Co należy pod tym sformułowaniem rozumieć? Z pomocą przychodzi S. Wilga, który wspominał: *Jak nadeszła wiosna to przez naszą wieś, jak przyszedł piątek, to ludzie szły jak na odpust. Zaszli do Przasnysza na noc. Jarmark na ludzi odbywał się w każdą sobotę na rynku zwanem „trójką” w Przasnyszu [plac naprzeciw Dworca PKS, gdzie dziś stoi Biedronka – przyp. M.W.K.]. Ludzie, którzy przyszli do Przasnysza na noc, nocowali na bruku, a rano, jak przyjechał jakiś dworski wóz po ludzi, to siadali ludzie na wóz, żeby jak najprędzej odjechać. Nie pytali się o zapłatę, tylko jem chodziło, żeby jch z Przasnysza chłopcy nie przewrócili z wozem do góry dnem, bo takie wypadki się często zdarzały, jak furman dał na litra, to pojechał do dworu z ludziami, a jak nie dał, to za miastem spędzili ludzi z woza i pojechał przez ludzi. A jak ludzie nie chcieli zejść z woza, to przewrócili wóz z ludziami. Prosto postawili na kłonicach, trafiały się wypadki po takim przewróceniu woza z ludziami, [bo] łamali ręce i nogi. Ludność, która przez zgody siadała na wozy dworskie, nazywali przasnysiaków bandytami. Ale oni nie byli bandytami, tylko jem chodziło o większy zarobek, o warunki życiowe i o podwyższenie zapłaty, bo oni też byli robotnikami i chcieli zarobić na kawałek chleba powszedniego, bo nasi Panowie ze Dworów lichy placili. Kobiety musiały płacić buraki od słonka wschodu do zachodu za 80 groszy dziennie, a kylogram chleba białego kosztował*



Czesław Marciniuk (1894–1973), w okresie międzywojennym właściciel restauracji w Jednorozcu. Zbiory Marzenny Stusińskiej.

60 groszy, a kyło bułek 80 groszy. Mężczyzna jak stanął z widłami do gnoju, albo do młocki zboża, to zarobił półtora złotego, prawie na jeden kylogram cukru.

Życie po dworach było liche. Rzadko się zdarzało, żeby były pokraszone kartofle słonią. Chleb każdy dostał pod wydziałem. Miejska ludność walczyła na rynku, gdzie się odbywał jarmark, żeby wielmożni Panowie ze Dworów podwyższyli dniówkę dla ludzi pracy. Ale ci ludzie, którzy przychodzili do Przasnysza, tego nie rozumieli, że tu chodzi o trochę lepszego jutra i o większy kawałek chleba. Na oślep siadali na dworskie wozy. Najwięcej ludzi szło za Przasnysz spod Mysieńca. Szli na roboty starzy i młodzi. Szły kobiety z małymi dziećmi odziane chustką lub jaką derką parcianą. Widać było na tych ludziach jakiś niedostatek. Ale w każdym dworze ci ludzie byli przezywani kurpiami. Ale te kurpie to mieli więcej w swoich sercach ślachetności, jak ci sami Panowie. Pomimo pracy i lichego odżywiania, zawsze byli pogodni. Wychodzili do pracy z pieśnią na ustach, śpiewali polskie piosenki stare i nowe.



Majster Antoni Wilga (1903–1985) ze Stegny. Zbiory Krystyny Saluszewskiej.



Zbiory Barbary Arbaszewskiej z Nasielska (wnuczka M. i W. Krzykowskich):

Lata powojenne, rogatki w Jednorzcu. Dom Marianny i Wiktora Krzykowskich, w którym w okresie międzywojennym mieścił się sklep spożywczy i ogólnoprzemysłowy. W tym miejscu funkcjonował potem bar „Mazowsze”. Źródło: Źródła do dziejów Ziemi Jednorzeckiej, red. W. Łukaszewski, t. 2, Jednorzec 2012.

Chodź człowiek prosty, to mógł poznać, że w tych ludziach płynie polska krew, bije polskie serce i cieszą się wolnością. Ale nasi wielmożni Panowie to zapomnieli, że oni powinni dać przykład ludziom pracy, a nie ludzie jem. Trafiali się dworskie Dziedzice, że traktowali ludzi pracy po ludzku. Widać było, że i oni mają serce polskie. Ale więcej było takich Dziedziców, którzy mieli wilczą naturę, że tych ludzi, którzy u niego pracowali, poczytywali za dobrowolnych niewolników. Sam byłem świadkiem różnych wydarzeń, bo sam przechodziłem takie przeżycia i wszystko widziałem na własne oczy.

(...) We dworach byli ludzie i ludziska, jedni mieli robotników za ludzi, a drudzy mieli za niewolników, to też te zamęty powstawały po Dworach i na targu ludzmy w Przasnyszu. Panowie ze Dworów musieli podrożyć dniówkę przy dworskiej robocie, bo na targowisku ludzmy w Przasnyszu przez ludzi z miasta została ustalona cena, wiele ma otrzymać kobieta i mężczyzna. To jak ludzie posiadali na dworskie wozy, podszedł do wozu jeden z chłopów z Przasnysza i się zapytał tych, którzy siedzieli na wozach dworskich, wiele się zgodzili za jeden dzień pracy. To jak cena była pasowna, to furman pojechał z ludzmy do Dworu, a jak cena była za mała, to ci młodzi ludzie z miasta zegnali z wozu tych ludzi, co przyszli spod Myszeńca, albo za miastem wóz z ludzmy przewrócili do góry dnem, a furman pojechał pustym wozem do Dworu.

(...) W naszej okolicy, zwanej Kurpiamy, jednym źródłem zarobku były Dwory i tam wszyscy szli zarobić parę złotych. Dużo na robotach dworskich było dziewczyn młodych, niektóre były dość urodne. Niektóre z dziewczyn pracowały od wiosny do twardej



Karta rzemieślnicza stolarza Konstantego Gładka ze Stegny, 1928 r. Zbiory Ireny Szczepańskiej.

jesieni. Ale jak przyszła jesień, to Pan Dziedzic powiedział: - Fora ze dwora, nie ma już roboty.

Sytuacja poprawiła się w drugiej połowie lat trzydziestych XX w. W latach trzydziestych następował piękny rozwój wsi. W Jednorzcu – wsi typowo rolniczej powstawały sklepy i pracowali różnorodni rzemieślnicy – zapisała A. Ulrich. Zapamiętała szczególnie pyszne maślane bułeczki, wypiekane przez Polomskich.

Jeśli chodzi o stolarstwo i ciesielstwo, to w okresie międzywojennym w gm. Jednorzec pracowało 12 stolarzy (w tym 10 ludowych) i 9 cieśli (w tym 8 ludowych), najwięcej wśród gmin kurpiowskich powiatu i generalnie w całym powiecie. W Jednorzcu stolarstwem i ciesielką trudnili się bracia Gładkowie, m.in. Wiktor i Konstanty. Rzemiosło to, jak przekonywał S. Kopczyński w 1930 r., stało się – obok tkactwa i powiązanego z nim rękodzielnictwa – charakterystycznym i najbardziej powszechnym na Kurpiach ze względu na zamyłowanie mieszkalców do tradycji, wyrażające się np. w zachowaniu starych wzorców budowlanych oraz wystawianiu drewnianych krzyży, kapliczek i figur przydrożnych. Jak zanotował, „Przy budownictwie kurpiowskim najsilniej stoi gmina Jednorzec. Dlatego też stolarstwo i ciesielstwo zaznacza się w niej największym rozwojem ze wszystkich gmin całego powiatu”. Wyroby miejscowi rzemieślników w przeważającej ilości przeznaczone były na użytek własny, w małym stopniu na sprzedaż. „W pozostałych zaś dziedzinach rękodzielnictwa są na tym terenie [w gminach kurpiowskich powiatu: Jednorzec, Baranowo, Zaręby – przyp. M.W.K.] bardzo słabo rozwinięte”.

Duży odsetek stolarzy i cieśli w gm. Jednorzec w okresie międzywojennym oraz spory udział lasów (21–40%) w ogólnej powierzchni gminy, posiadającej na terenie swoim jeden

z największych kompleksów lasów państwowych na Kurpiach, skłaniały S. Kopczyńskiego ku sugerowaniu powołania w gm. Jednorzec rezerwu budownictwa kurpiowskiego. Postulował też powstanie ośrodka wyrobu drewnianych sprzętów domowych i warsztatów tkackich ew. innych gałęzi ludowego przemysłu drzewnego. To podniosłoby poziom życia mieszkalców i pomogłoby im się wzbogacić, bowiem gm. Jednorzec należała do najbardziej niezdolnych w pow. przasnyskim pod względem produkcji rolnej i hodowli inwentarza (z wyjątkiem owiec).

Chociaż w gm. Jednorzec znajdowało się ok. 2 ha dzikich kęp wiklinowych, to ze względu na to, że nie zajmowały zwartego terenu, rozrzucone były bowiem po łąkach i moczarach nadarzyckich, nie przedstawiały wartości użytkowej i nie były wykorzystywane w wikliniarstwie. We własnym zakresie zaspokajano potrzeby wytwarzania koszyków, opałków i ręcznych koszyczków, wypłatanych najczęściej z korzeni sosnowych lub jałowcowych.

Oto spis rzemieślników i przedsiębiorców w międzywojennym Jednorzcu i Stegny (w nawiasach rok, w którym są notowani, w nawiasie kwadratowym liczba rzemieślników danej profesji w całej gminie w 1928 r.):

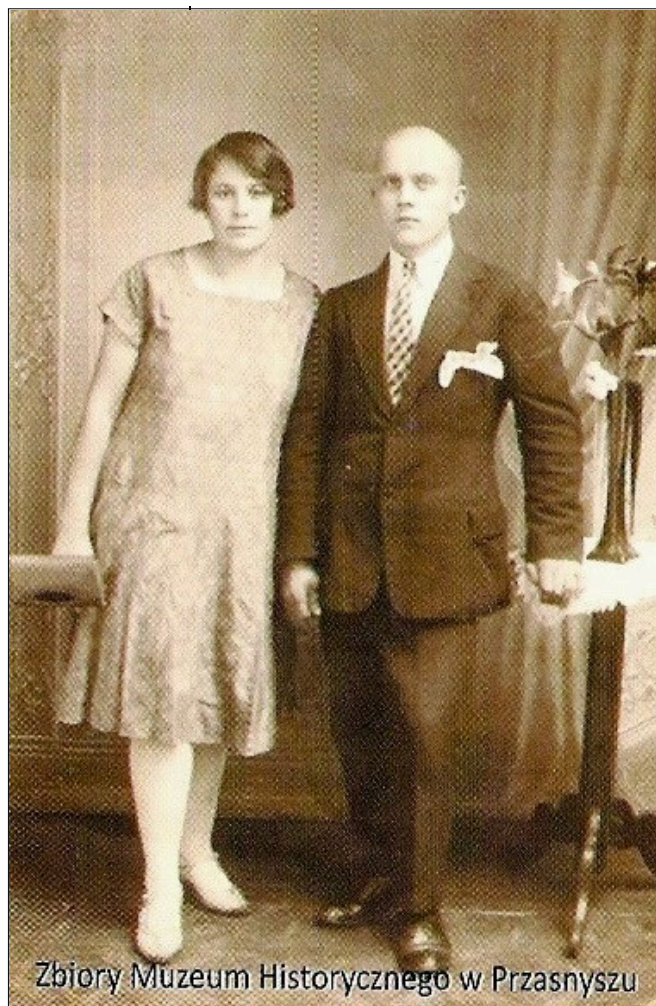
- kaszarnia – W. Krakowski (1928),
- kołodziej – S. Grabowski (1928) [1],
- stelmach – Bolesław Grabowski (1925, notowany również jako kołodziej);
- kowale – J. Kowalski, Stanisław Kowalski, Stanisław Łukasiak, Stefan Gładek (1931), Konstanty Gładek (1931), Kacper Patryk (1931), Wiktor Gładek (1931) i Adam Ziemiański [6],
- rymarz – Władysław Roman,
- murarze (mularze) – Antoni Wilga z braćmi [2],
- krawiectwo – Rusin i Romanowski, pani Piotrak zwana Janową, pani Kurzac, Marianna Łukasiak i Apolonia Gwiazda,
- szewcy – Stanisław Orzoł i Tomasz Łysakowski [5],
- piekarze – Grabowieccy, Połomski,
- karczmarz – Czesław Marciniuk;
- sklepy z różnymi towarami – K. Garlińska, S. Gwiazda, J. Orzeł i J. Potasiewicz (1928),
- rybołówstwo – M. Świderski (1928),

• sklepy spożywcze – Walenty Ferenc, Z. Kosińska, Marian Kossakowski (Kossak), S. Deptała, Marcei Połomski i Ch. Przysza (1928).

Wynikające rozbieżności w danych liczbowych (np. większa liczba kowali w Jednorożcu w porównaniu do liczby kowali w całej gm. Jednorożec) mogły być spowodowane albo deklaracją danego rzemieślnika, że pracuje w innym zawodzie, jeśli parał się wieloma zajęciami rzemieślniczymi, albo niedokładnością danych liczbowych dotyczących gminy, które pochodziły ze statystyk Głównego



Jednorożec, 1934 r. Na tabliczce przy oknie napis „Korespondent Syndykatu Emigracyjnego - Informacje w sprawie wyjazdu do Ameryki”. Syndykat Emigracyjny to spółka z udziałem Skarbu Państwa, która zajmowała się całościową obsługą zarobkowych wyjazdów. Powołano ją w 1930 r., siedziba znajdowała się w Warszawie. Syndykat zajmował się obsługą ruchu emigracyjnego - udzielał informacji, pomagał w załatwieniu formalności (zakupy kart okręgowych czy biletów kolejowych), organizował przejazdy emigrantów do portu morskiego w Gdyni, skąd ruszali dalej. W 1935 r. syndykat utrzymywał w całym kraju 600 przedstawicielstw powiatowych i gminnych. Jednym z nich był punkt w Jednorożcu. W latach trzydziestych XX w. obsługą punktu zajmowała się Eugenia Płocharska z d. Wylot (widoczna na zdjęciu), żona Jana Płocharskiego, urzędnika gminnego. Zbiory Leszka Płocharskiego.



Zbiory Muzeum Historycznego w Przysnyszu

Janina i Jan Krakusowie z Jednorożca, 1929 r.

Urzędu Statystycznego i władz samorządowych. Nie wszyscy rzemieślnicy byli zarejestrowani w starostwie przasnyskim. Podane powyżej nazwiska zanotowano na podstawie ustnych i pisanych relacji mieszkańców, prasy oraz aktów metrykalnych parafii Jednorożec.

A. Urlich zapamiętała, że we wsi było wiele sklepów. Nie licząc żydowskich, Największy wielobranżowy należał do pp.

Krzykowskich (...). Można było u nich kupić wszystko: produkty żywnościowe, mięso i wyroby masarskie, galanterię, tekstylia i tkaniny, a także naftę. Sklep stał w bardzo dobrym punkcie na tzw. rogatkach. Po drugiej stronie drogi

miał swój sklep p. Marchlik. Miał on tylko artykuły spożywcze, lody i napoje. W sklepie stał bilard, który przyciągał klientów, służył jako rozrywka, jedyna tego rodzaju w Jednorożcu. (...) Była też we wsi karczma, należąca do p. Marciniuka, inwalidy wojennego. Można było tutaj zjeść i wypić, toteż gości nigdy nie brakowało. Było to drugie miejsce po sklepie z bilardem, gdzie odbywały się „towarzyskie” spotkania. M. Wardak nie nazwała tego lokalu karczmą, zapisała zaś, że we wsi była skromna, dwuizbowa restauracja z wyszynkiem. Było to jedyne miejsce, w którym legalnie można było spożywać alkohol. M. Wardak dopowiadała: *Może wódka była za droga, może sprzedawano ją w pozostałych sklepikach nielegalnie.* A. Fronczak, mieszkaniec Jednorożca, pisał w „Haśle Katolickim” w 1931 r., że lepiej byłoby, gdyby knajpa, otworzona przez Marciniuka 1 IV 1926 r., nie istniała, gdyż od czasu do czasu, jak to zresztą i wszędzie się dzieje, wychodzą ztamtąd pijani gospodarze i wyrobnicy, marnując swój krwawo zapracowany grosz, szczególnie we dni jarmarków, (...) przyczem nie obywa się bez bójek i awantur.

W Jednorożcu istniała agencja pocztowa z telefonem. Był też wiatrak, własność Stanisława Miączyńskiego, stojący na wzgórzu za wsią (obecnie naprzeciw szkoły, na posesji p. Czachowskich). Funkcjonował do 1945 r. W Jednorożcu działała wytwórnia dachówek. Przy rogatkach znajdowała się masarnia i wędzarnia, prowadzona przez rodzinę Krakusów. Taki sam interes prowadzili Marianna i Wiktor Krzykowsky.

Raz w miesiącu w Jednorożcu odbywały się jarmarki. Z towarami ustawiano się na rogatkach i na obecnej ul. Odrodzenia – do centrum wsi w stronę szkoły i cmentarza. Handlowano płodami rolnymi, bydłem, drobiem i wyrobami rzemiosła. Każdy głośno zachwalał swój towar, a zawarte transakcje pieczętowano w miejscowej karczmie (litkup). Na jarmarkach gromadziło się mnóstwo dzieci, które chciały nacieszyć oczy lalkami, piłkami, fujarkami czy butami oraz ubraniami. S. Kopczyński wskazywał jarmarki w Jednorożcu, obok tych organizowanych w Baranowie, jako szczególnie ważne ze względu na zbyt na nich wytworów przemysłu ludowego.

By dopełnić obrazu życia gospodarczego wsi Jednorożec i Stegna w okresie międzywojennym, należy dodać, że w 1928 r. w gminie zorganizowano Gminną Kasę Pożyczkowo-Oszczędnościową z kapitałem zakładowym 4 000 zł i wkładami oszczędnościowymi w wysokości 17 000 zł. Teren gm. Jednorożec obejmowała też „Kasa Stefczyka. Spółdzielnia z odpowiedzialnością nieograniczoną” z siedzibą w Baranowie, której statut zatwierdzono w 1937 r.

Okres międzywojenny to fascynujący czas. Nasi przodkowie potrafili ciężką pracą podnieść się ze zniszczeń z okresu Wielkiej Wojny, przetrwać kryzysy gospodarcze i trudności dnia codziennego, dbać o – niepodkreślane tutaj, a przecież tak ważne – życie religijne i kulturalne, pielęgnować tradycje rodzinne i regionalne. Niestety II wojna światowa przerwała życie wielu z nich, a jeśli przeżyli, to dla nich świat nigdy nie wyglądał już tak samo.

W roku setnej rocznicy odzyskania niepodległości przypominam determinację i osiągnięcia mieszkańców mojej rodzinnej wsi, by docenić ich starania o lepsze jutro, by mogli stanowić inspirację i dla nas – bo przecież chociaż czasy się zmieniły, to każdy z nas chce godnie żyć, tak jak pragnęli tego mieszkańców międzywojennego Jednorożca i Stegny. Podobnie było w innych kurpiowskich wioskach i miejscowościach w naszym regionie, dlatego liczę na to, że tekst stanowić będzie dla Czytelników ilustrację warunków życia rodaków z naszej małej ojczyzny, szerszej niż moja jednorożecka.

Maria Weronika Kmoch

Bibliografia:

I. Źródła:

Archiwalia:

Archiwum Muzeum Historycznego w Przasnyszu

Ulrich A., *Wspomnienia stegieńskiej kurpianki poprawione i uzupełnione*, Warszawa 2004, mps, sygn. Mżr 282;

Wardakowa M., *Wspomnienia z lat 1927–1939 dotyczące pracy w Jednorożcu – w szkole i w środowisku*, maszynopis, sygn. Mżr 118.

Archiwum parafialne w Jednorożcu

Wypisy z aktów metrykalnych 1918–1929; Notatki ks. S. Bernatowicza.



Umowa z 1927 r. Zbiory Anny Ulrich.

Źródła wydane:

Jednorożec, [w:] *Księga Adresowa Polski (wraz z w.m. Gdańskiem) dla handlu, przemysłu, rzemiosł i rolnictwa*, Warszawa 1928, s. 1996;
Skorowidz miejscowości Rzeczypospolitej Polskiej opracowany na podstawie wyników pierwszego powszechnego spisu ludności z dnia 30 IX 1921 roku i innych źródeł urzędowych, t. 1: województwo warszawskie, Warszawa 1925.

Prasa:

„Dziennik Urzędowy Powiatu Płockiego”, 2 (1920), 3, s. 2;
 „Dziennik Urzędowy Województwa Warszawskiego”, 4 (1923), 8, s. 6;
 „Dziennik Urzędowy Województwa Warszawskiego”, 7 (1926), 11, s. 23;
 Fronczak A., *Z Jednorożca*, „Hasło Katolickie”, 2 (1931), 34, s. 397;
 Gmina Jednorożec, „Przebój”, 2 (1930), 10, s. 45;
 Jednorożec, „Głos Ziemi Przasnyskiej”, 1929, 1, s. 4–5;
 Kilka słów o spółdzielczości mleczarskiej, „Przebój”, 2 (1930), 8, s. 11;
 K[opczyński] S., Charakterystyka powiatów: przasnyskiego i makowskiego, „Polska gospodarcza”, 16 (1935), 7, s. 243–245;
 Tenże, *Przemysł ludowy w powiecie przasnyskim*, „Polska gospodarcza”, 12 (1931), 4, s. 137–138;
 Kronika miejscowa, „Głos Ziemi Przasnyskiej”, 2 (1920), 6, s. 4;
 „Obwieszczenia Publiczne. Dodatek do Dziennika Urzędowego Ministerstwa Sprawiedliwości”, 9 (1925), 22 A, s. 55–56;
 „Obwieszczenia Publiczne. Dodatek do Dziennika Urzędowego Ministerstwa Sprawiedliwości”, 11 (1927), 32 A, s. 2, 17;

„Tygodnik Handlowy”, 11 (1928), 11, s. 15;

Zamiast melioracji... *przesuszenie łąk*, „Hasło Katolickie”, 8 (1937), 48, s. 726;
 Z Wystawy Przysposobienia Rolniczego w Przasnyszu, „Hasło Katolickie”, 5 (1934), 44, s. 533.

Relacje ustne [w zbiorach autorki]:

Joanna Wilga z d. Kardaś z Jednorożca (2017 r.).

Wspomnienia wydane:

Cierliński Z., *Na północ od Przasnysza: Baranowo, Chorzele, Jednorożec*, Przasnysz 1996;
 Grec J., *Święta Bożego Narodzenia we wspomnieniach Stanisława Brzozowego*, [w:] *Zapiski Ziemi Jednorożeckiej*, red. M. Dworniczak i in., Jednorożec 2011, s. 136–137;

Niszczak M., Zuzelski S., *Te: Panie Dziedzicu...* [w:] *Historie z przemytu*, red. M. Wiśnicki, Chorzele 2009, s. 11–17;

Przybyłek S., *Moja działalność w Kółku Rolniczym w Jednorożcu*, „Głos Gminy Jednorożec”, 2016, 4 (44), s. 21–22;

Wilga S., *Smutna Dola Wioski Jednorożec*, oprac. M.W. Kmoch, „Krasnosielski Zeszyt Historyczny”, 7 (2016), 27, s. 3–44.

II. Opracowania:

Białczak A., *Organizacje społeczne i kulturalne w Baranowie w okresie II Rzeczypospolitej*, „Rocznik Przasnyski”, 3 (2016), s. 121–145;
 Drejerski B., *Powiat przasnyski w latach wielkiego kryzysu (1929–1935)*, „Rocznik Przasnyski”, 4 (2017), s. 103–120;
 Kmoch M.W., *Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży w parafii pw. św. Floriana w Jednorożcu w latach 1934–1939 na tle parafii kurpiowskich*, [w:] *Kurpiowszczyzna. Kultura, historia, gospodarka*, red. J. Gołota, J. Mirończuk, Ostrołęka 2018, s. 147–160;
 Łukaszewski W., *Z dziejów jednorożeckiej spółdzielczości. Spółdzielnia Mleczarska „Orzec” w Jednorożcu w latach 1928–1939*, „Krasnosielski Zeszyt Historyczny”, 7 (2016), 28–31, s. 48–50;
 Tenże, *Z dziejów ruchu spółdzielczego na Kurpiowszczyźnie w II Rzeczypospolitej*, [w:] *Kurpiowszczyzna...*, s. 191–204;
 Polakowski Z., *Po uregulowaniu Orzyca*, „Ziemia Przasnyska”, 3 (1994), 4 (23), s. 7;
 Powiat przasnyski. *Przemysł ludowy*, oprac. S. Kopczyński, Warszawa 1930;
 Ostaszewski J., *Z dziejów Mławskiego Mazowsza*, Warszawa 1834;
 Szczypiorski W., *Rzeka Orzyca. Zagadnienie regulacji w powiecie przasnyskim i dotychczasowe jej wykonanie*, Warszawa 1934;
 Świecki T., Wybult F., *Mazowsze Płockie w czasach Wojny Światowej i powstania Państwa Polskiego*, Toruń 1932;
 Waleszczak R., *Przasnysz i powiat przasnyski w latach 1866–1939. Zarys dziejów*, Przasnysz 1999;
 Wojciechowska T., *Jednorożec. Historia wsi*, Jednorożec 2015.



Działalność antykomunistycznego zbrojnego podziemia w pow. makowskim w świetle raportów składanych Staroście Makowskiemu

Tadeusz SUSKI

Spśród wszystkich narodów świata my, Polacy, winniśmy najlepiej ocenić znaczenie i wartość słowa „wolność”. Dzieje przeszłości naszego narodu dowodzą, jak dużo i ciężko o wolność tę walczyli nasi przodkowie. Jak bohaterstwo ginęli powstańcy z różnych okresów. Z ich to właśnie krwi w 1918 r. wyrasta i rozkwita nam kwiat wolności, po której już dwadzieścia niespełna lat sięga dwóch drapieżców, odwiecznych gniebicieli Narodu Polskiego. Pamiętamy dokładnie rok 1939. Ogrom krzywd, który dziś przybrał niespodziewane rozmiary zmusza nas do samoobrony (...). Polacy, musimy wytrwać aż do końca. Bracia, nie wolno nam spocząć ani na chwilę. Wszyscy na front do walki z komuną w Polsce! (...) Pamiętaj! Armia Podziemna żyje i walczy o wolność Narodu Polskiego i walczyć będzie aż do zwycięstwa.

Fragmenty proklamacji Mieczysława Dziemiszewicza „Rój” skierowanej do ludności cywilnej w sierpniu 1950 r.⁹⁷

Mija w tym roku setna rocznica odzyskania przez Polskę niepodległości. Państwo polskie po rozbiorach dokonanych przez państwa ościennne znikło z mapy Europy na 123 lata. W listopadzie 1918 r. odzyskaliśmy w końcu wolność. Jednak o odrodzoną z niewoli Polskę trzeba było ciągle walczyć.

W niespełna dwa lata później, latem 1920 r., zawiśła nad naszą Ojczyzną groźba ponownej utraty niepodległości. Wybuchła wojna z komunistyczną Rosją Sowiecką. W połowie sierpnia 1920 r. barbarzyńskie hordy bolszewickiej Armii Czerwonej podeszły już pod Warszawę z myślą o jej zajęciu i utworzeniu z Polski kolejnej republiki sowieckiej. Po trupie Polski fala komunizmu miała zalać całą Europę. „Cud nad Wisłą”, związany z kontratakami Wojska Polskiego, dowodzonego przez Józefa Piłsudskiego, odwrócił grożące nam i Europie niebezpieczeństwo. Bolszewicy zostali pokonani. Uratowaliśmy naszą Ojczyznę przed zalewem komunizmu. Nie została zsowietyzowana, jak marzyli o tym polscy zdrajcy Feliks Dzierżyński i Ludwik Marchlewski. Przez prawie 20 lat mieliśmy okres względnego spokoju. Polska w tym czasie zaczęła odbudowywać swoją państwowość.

We wrześniu 1939 r. wybuchła II wojna światowa. Polska została zaatakowana przez sprzymierzone ze sobą i wrogi nam państwa – Niemcy hitlerowskie i Związek Radziecki.



Pierwszy z lewej Mieczysław Dziemiszewicz „Rój”. Źródło: http://www.solidarni.waw.pl/13kwiecień1951_roj.htm (dostęp 6 X 2018 r.).

Armia polska, nie mogąc skutecznie walczyć na dwóch frontach, poniosła klęskę. Po pokonaniu Polski dokonany został rozbiór naszego kraju: wschodnią jego część z miastami Lwowem i Wilnem zagarnął Związek Radziecki, natomiast zachodnią i centralną – Niemcy. Atak Niemiec na Związek Radziecki 22 VI 1941 r. spowodował, że z dotychczasowego najwierniejszego sojusznika stały się one wrogiem Związku Radzieckiego.

Latem 1944 r., po wyparciu armii hitlerowskiej ze Związku Radzieckiego stalinowska Armia Czerwona stanęła u granic naszego kraju. Wódz tej armii, Józef Stalin, komunistyczny despota i zbrodniarz mający na swoim sumieniu miliony straconych ludzi, w swoich strategicznych zamierzeniach postanowił po wyparciu armii niemieckiej z Polski uczynić z niej strefę swoich wpływów. Już wcześniej, 21 VII 1944 r., z jego inspiracji utworzony został w Moskwie Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego. Członkami PKWN byli polscy komuniści, zdrajcy Ojczyzny, będący marionetkami w rękach Stalina. Stalin, mający przykre doświadczenia z 1920 r., związane z klęską Sowieców w wojnie z Polską, wiedział, że polski naród jest wrogo ustosunkowany do komunizmu. By zrealizować swoje plany, postanowił wyeliminować elitę intelektualno-patriotyczną narodu, będącą jego sumieniem i wzorem

postaw. Część tego planu zrealizował już wcześniej, kiedy po zajęciu wschodnich terenów Polski wydał w 1940 r. rozkaz zamordowania ponad 22 tys. polskich oficerów, policjantów i urzędników, a także wtedy, kiedy w latach 1940–1941 z zagarniętych ziem przymusowo deportował na Sybir ponad 1 milion Polaków, w tym z wyselekcjonowanych rodzin ogólnie pojętej inteligencji, tj. rodzin wojskowych, policjantów, leśników, urzędników itd. Gdy 1 VIII 1944 r. wybuchło powstanie w okupowanej przez Niemców Warszawie,

stalinowska Armia Czerwona stała nad Wisłą, przyglądając się biernie, jak masakrowana przez hitlerowców jest ludność Warszawy. Był to w zamysłach Stalina drugi etap tego planu. Tym razem realizowany nie rękami Rosjan, ale rękami Niemców. W styczniu 1944 r. ruszyła w końcu znad Wisły ofensywa wojsk radzieckich. Polska została wyzwolona spod okupacji niemieckiej.

Z dniem 15 I 1945 r. został wyzwolony Maków Mazowiecki, a 18 stycznia Krasnosielc. Niemal natychmiast po zajęciu tych terenów przez Armię Czerwoną instalowano na wzór sowiecki „władzę ludową”. Pod nadzorem rosyjskich oficerów NKWD władzę tą obejmowali zaakceptowani przez Sowieców polscy komuniści. Rekrutowali się oni albo spośród członków przedwojennej Polskiej Partii Komunistycznej, albo też z członków powstałej w okresie okupacji niemieckiej Polskiej Partii Robotniczej. Znaczna ich część wywodziła się z rodzin przedwojennej biedoty – wiejskich parobków czy robotników. Dali się oni zwieść nośnym, komunistycznym hasłom. Natychmiast przystępowali do budowy na swoim terenie „władzy ludowej”. Poziom intelektualny i morale tych „budowniczych” było bardzo niskie. Byli oni w większości ludźmi z marginesu społecznego, którzy sięgali po władzę wyładowując posiadane kompleksy niższości. Trafiali się wśród nich konfidenci

⁹⁷ K. Krajewski, T. Łabuszewski, *Mieczysław Dziemiszewicz „Rój”, „Odwet”, 2016, 19, s. 9.*

gestapo, alkoholicy, analfabeci i zwykli złodzieje. Pogardzani dotychczas przez otoczenie, nagle stali się ważnymi postaciami. Imponowała im władza, mimo iż nie byli do niej właściwie przygotowani. Tacy ludzie byli Sowietom najbardziej potrzebni i byli dla nich wygodni. Nie musieli być zbyt mądrzy. Wystarczyło tylko, aby wiernie im służyli w niszczeniu polskości i walce ze zbrojnym oporem narodu.

Nic dziwnego, że pierwszym powojennym prezydentem Pułtusza został analfabeta Jan Rzeczkowski, przedwojenny członek Komunistycznej Partii Polski. Objął on funkcję burmistrzem Pułtusza w lutym 1945 r. i piastował ją ponad rok, do czerwca 1946 r., kiedy to za brak kompetencji i nadużycia został z niej zwolniony⁹⁸. Pierwszym burmistrzem Makowa został robotnik murarski Wacław Krukowski⁹⁹.

Wraz z „wyzwalanymi” przez Armię Czerwoną nowymi terenami Polski następowała akcja wyłapywania przez Sowietów wszystkich polskich patriotów marzących o wolnej Polsce, szczególnie członków Narodowych Sił Zbrojnych i Armii Krajowej. Ci, którym nie udało się zbiec i skutecznie się ukryć, byli likwidowani na miejscu albo też aresztowani i wtrącani do więzień lub obozów przejściowych, skąd wywożono ich w głąb Związku Radzieckiego. W samym powiecie ostrołęckim – jak podaje J. Karczewski – już w styczniu 1945 r. sowieckie NKWD aresztowało co najmniej kilkaset osób. Najczęściej aresztowania te dotyczyły żołnierzy AK i osób podejrzewanych o wrogi stosunek wobec instalowanej w Polsce władzy komunistycznej¹⁰⁰.

Trudno się dziwić, że sowieccy „wyzwoliciele” przyjmowani byli przez Polaków z dużą nieufnością, a niekiedy wrogością. Polaków szokowało barbarzyńskie zachowanie czerwonoarmiejców. Dochodziło do licznych gwałtów na kobietach dokonywanych przez „wyzwolicieli”. Masowo okradali zwykłych ludzi ze wszystkiego, co było dla nich przydatne i cenne. W sprawozdaniu miesięcznym Starosty Powiatu Makowskiego za miesiąc maj 1945 r., w punkcie dotyczącym stosunku ludności do Armii Czerwonej, zapisano: *Nieprzychylny. Ciągłe kradzieże, napastowanie kobiet i różne pijackie wybryki poszczególnych żołnierzy usposabiają ludność w stosunku do Armii Czerwonej nieżyczliwie. Ludność rozczarowana, w ciągłej obawie*¹⁰¹.

Już od pierwszych dni po „wyzwoleniu” Rosjanie informowali nachalnie lokalną ludność, że Polska ma już swój „robotniczy rząd” z E. Osóbką-Morawskim na czele oraz prezydenta B. Bieruta. Budziło to zdziwienie wśród Polaków, ponieważ prawowity polski rząd przebywał wtedy na uchodźstwie

w Londynie. Nowa ekipa realizowała program dyskredytowania i publicznego opluwania przywódców narodu polskiego. Wykorzystywano do tego celu różne propagandowe chwytły. Manipulowano historią Polski. Jak trafnie i dosadnie określił to B. Urbankowski, „znajomość historii mogłaby tylko przeszkadzać w swobodnym kojarzeniu przywódców II RP z Hitlerem czy dowództwa Powstania Warszawskiego z gestapo. Polityka komunistów względem historii Polski zmierzała do zamiany jej w serial negatywnych stereotypów, żeby Polak – jak pies Pawłowa – na hasło „Piłsudski” odszczał „faszystę”, na hasło „II Rzeczpospolita” – odszczał „Brześć” lub „Bereza”, i dopiero na hasło PPR radośnie merdał ogonem, a na hasło „ZSRR” – służył na dwóch łapach”¹⁰². Naród polski gardził tą kłamliwą i nachalną propagandą. Będąc głęboko zakorzeniony w tradycji chrześcijańskiej przekazywanej z ojca na syna, był negatywnie ustosunkowany do wrogich Kościołowi komunistycznych hasel głoszonych przez Sowietów. Polacy nie uznawali więc komunistycznego rządu narzuconego im przez Rosjan.

Polscy komuniści zdawali sobie sprawę ze znikomego poparcia w narodzie dla ich hasel. Wprowadzając komunizm w Polsce, oprócz nachalnej propagandy kładli duży nacisk na resorty siłowe. Utworzone zostało Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, którego głównym celem było dławienie oporu narodu wobec niechcianej, narzuconej władzy. Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego utworzyło sieć podległych sobie placówek. Nad każdy województw i powiatowym Urzędem Bezpieczeństwa Publicznego pieczę sprawował sowiecki nadzorca, najczęściej oficer NKWD. Działalność bezpieki cechowała wyjątkowa brutalność. Na porządku dziennym było stosowanie wymyślnych tortur wobec osadzonych na UB więźniów. Chodziło o zastraszenie narodu i zmuszenie Polaków do uległości wobec narzuconej im władzy.

Z uwagi na ogromne zniszczenia Makowa Mazowieckiego władze pow. makowskiego i jego administracja zostały po wojnie ulokowane tymczasowo w Krasnosielcu. Tam też funkcjonował Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego jako instytucja odpowiedzialna za wprowadzanie „władzy ludowej” i zwalczająca antykomunistyczne przejawy oporu. W pierwszych latach po wojnie kierowniczą funkcję w makowskim powiatowym UB pełnił Henryk Wyszomirski. Jak pisał Czesław Czaplicki ps. „Rys”, *Henryk Wyszomirski podczas okupacji niemieckiej należał do kierownictwa obwodu AK Maków Mazowiecki, pełniąc w 1944 r. funkcje kuriera pomiędzy komendantem AK Obwodu Przasnysz – Wacławem Jeżewskim ps. „Maj”, a zastępcą komendanta Obwodu AK Maków Mazowiecki – Beniaminem Pietraśińskim. Posługiwał się wtedy pseudonimem „Wilko”. Pod koniec okupacji niemieckiej powstało podejrzenie, poparte licznymi faktami, iż współpracował on z Gestapo, wydając w jego ręce wielu polskich patriotów z organizacji podziemnych AK i NSZ naszego okręgu. Na tym terenie zostało aresztowanych wyjątkowo dużo osób,*

*konspiracyjnie z „Wilkiem” związanych. Jednym z dowodów było aresztowanie przez Gestapo w drugim półroczu 1944 r. wszystkich – którym nie udało się uciec w porę – uczestników spotkania scaleniowego pomiędzy przedstawicielami AK (Skowroński, Ferenc, Fabisiak) i NSZ (Napierski z Pienic – komendant gminy i inni) – za wyjątkiem Henryka Wyszomirskiego (nie ukrywającego się!) oraz Napierskiego, który w porę się ukrył. Na to spotkanie przyprowadził wszystkich akowców właśnie Wyszomirski*¹⁰³.

Pierwszym komendantem powiatowego UB w Krasnosielcu był Adolf Szemakowicz, a jego zastępcą Wyszomirski. Ich sowieckim opiekunem i „doradcą” był funkcjonariusz NKWD Gawrylenko ps. „Kola”. Jak podał Czesław Czaplicki, Henryk Wyszomirski zgłosił się do NKWD w styczniu 1945 r., zaraz po wkroczeniu na nasze tereny władzy sowieckiej. Pełnił funkcję oficera śledczego i zastępcy komendanta UB. *Osobiście aresztował grupę byłych żołnierzy z organizacji, do której sam należał. Ulokował ich w piwnicach o niskich sklepieniach bez podłóg i przystąpił do nieludzkiego torturowania przy współudziale swoich współpracowników jego godnych siepaczy. Jego zachowanie wskazywało na to że chciał jak najszybciej zlikwidować niedawnych kolegów z konspiracji jako niewygodnych mu świadków z czasów niemieckich. Okazał się najbardziej bezwzględny komunistą i zdrajcą ku zadowoleniu „Koli”, swojego opiekuna i mocodawcy. Najbardziej zaufanym człowiekiem i prawą ręką Wyszomirskiego był Bronisław Wawrzonowicz – agent gestapo, który wydał podczas okupacji swoich kolegów z AK w ręce policji niemieckiej i dla rozwiania podejrzeń został „aresztowany” razem ze zdrażonymi. Z celi przekazywał gestapowcom informacje o swoich współwięźniach. Aresztowani zostali przewiezieni do obozu w Działdowie, skąd Wawrzonowicza wypuszczono na wolność. Jeden z uwięzionych rozpoznał go na dworcu kolejowym w Działdowie w mundurze gestapowca. Zaraz po wojnie Wawrzonowicz znalazł się w powiatowym UB w Krasnosielcu w charakterze etatowego pracownika*¹⁰⁴.

Wczesną wiosną 1945 r. kazamaty budynku UB w Krasnosielcu zapelnili się licznymi więźniami. Byli nimi w większości polscy patrioci, członkowie ruchu oporu z czasów okupacji niemieckiej, należący do Narodowych Sił Zbrojnych i Armii Krajowej. Wśród przebywających tam więźniów znajdowali się m.in.: Marian Czaplicki „Kolca” z Woli-Józefowa, Władysław Dawid, Jan Flanczewski, Szumiński z Drażdżewa, Wincenty Rutkowski ze Ślas, Stolarczyk z Gołoniw, Stanisław Majkowski z Rogowa (konspiracyjny komendant gm. Płoniawy z czasów wojny), Jerzy Niestępski „Jurand” z Grzybek (Szef Wywiadu pow. makowskiego), Szczepan Zabielski „Sęp” z Kuchen, Stanisław Olszewski „Czarny Kruk” (z-ca komendanta gm. Płoniawy), Zbigniew Olszewski „Ostoja” z Płoniaw, Wenanty Wiszowaty „Zrąb” spod Makowa (kierownik Organizacyjny Powiatu), Franciszek Kocoń [Kocot? – przyp. T. S.],

⁹⁸ A. Koseski, J. Szczepański, *Dzieje Pułtusza*, t. 2, Pułtusk 2017, s. 372.

⁹⁹ K. Dobrosielski, *Życie społeczno-gospodarcze i polityczne pow. makowskiego latach 1945–1975*, [w:] *Maków Mazowiecki i ziemia makowska*, red. A. Słoniowa, Warszawa 1982, s. 209.

¹⁰⁰ J. Karczewski, *Śladami niezłomnych*, Warszawa 2018, s. 239.

¹⁰¹ Archiwum Państwowe w Pułtusk [dalej: APP], Starostwo Powiatowe w Makowie Mazowieckim 1945–1950, sygn. 22, k. 128.

¹⁰² B. Urbankowski, *Czerwona msza, czyli uśmiech Stalina*, t. 3, Warszawa 2014, s. 195.

¹⁰³ Cz. Czaplicki (vel Chodkowski vel Rylski), *Poszukiwany listem gończym*, Wrocław 2003, s. 56.

¹⁰⁴ Tamże, s. 57.

nauczyciel z Karolewa lub Drażdżewa, Tadeusz Niski „Narcyz” z Krasinca, Jerzy Bartoń „Mściwy” spod Makowa, Jan Mach - nauczyciel z Chodkowa, Jan Krępski z Suchego, Owsiewski z Płoniaw, Kordowski (organista z Płoniaw). Wszyscy wyżej wymienieni należeli podczas okupacji niemieckiej do kierownictwa różnych szczebli AK lub NSZ. Aresztowanym zarzucano prowadzenie działalności kontrrewolucyjnej przeciwko nowej „władzy ludowej”¹⁰⁵.

Przetrzymywanym więźniom udało się przekazać informacje do swoich rodzin o wyjątkowo bestialskim traktowaniu ich w piwnicach aresztu przez funkcjonariuszy UB. Prosił o pomoc z zewnątrz, sugerując jak najszybsze ich odbicie z piekła, w jakim się znaleźli. Siłowe odbicie więźniów wymagało uzgodnienia z dowództwem Okręgu NSZ. Po rozpoznaniu sytuacji Szef Sztabu Okręgu mjr Stanisław Borodycz „Wara” podjął decyzję o konieczności uwolnienia wszystkich więźniów politycznych przetrzymywanych na UB w Krasnosielcu. Ponieważ nie było możliwości ich uwolnienia bez walki, postanowiono powołać zbrojny 60-osobowy oddział, składający się wyłącznie z doświadczonych ochotników. Na dowódcę tego oddziału został wyznaczony przez „Warę” por. Roman Dziemiszewicz, doświadczony żołnierz, który w czasie okupacji niemieckiej pełnił funkcję Komendanta Powiatu Ostrołęckiego NSZ. Z oddziału tego została wyodrębniona grupa uderzeniowa pod dowództwem Henryka Pszczółkowskiego ps. „Myśliwiec”. Jego zastępcą był Czesław Czaplicki ps. „Rys”. W swojej książce *Poszukiwany listem gończym* opisał on po latach dokładny przebieg ataku na UB w Krasnosielcu, w którym brał udział, a który miał miejsce 1 V 1945 r.: *Dowództwo nad całością Henryk Pszczółkowski ps. Myśliwiec przekazał Romanowi Dziemiszewiczowi ps. Adam, gdy ten przybył z Modlina przyjmując nowy pseudonim – „Pogoda”. Otrzymał kilka dni urlopu okolicznościowego na załatwienie pilnych spraw rodzinnych [Roman Dziemiszewicz służył wtedy w Ludowym Wojsku Polskim – przyp. T.S.]. Został przyjęty z pełnym zaufaniem. Jego pięcioletnie doświadczenie i niezwykła odwaga dawały gwarancję powodzenia akcji. Po zapoznaniu się ze szkicami budynków powiatowej bezpieki i innych formacji wspomagających ją na terenie Krasnosielca ze szczególnym uwzględnieniem pomieszczeń śledczych i aresztu oraz służby pilnującej więźniów „Pogoda” przy udziale Henryka Pszczółkowskiego, Bolesława Chodkowskiego i moim opracował szczegółowy plan działania. (...)*

Wieczorem 30 kwietnia 1945 roku, dowódca oddziału „Pogoda” zarządził zbiórke zgrupowania z pełnym ekwipunkiem bojowym. Do zebranych wygłosił płomienne przemówienie na temat obowiązku samobrony przed niszczycielskimi represjami drugiego okupanta, działającego poprzez swoją agenturę ubecko – pepeerowską oraz niesienia pomocy torturowanym i rodzinom mordowanych patriotów. Po wspólnym odmówieniu modlitwy i odśpiewaniu hymnów: „Boże coś Polskę”

i „Jeszcze Polska nie zginęła” oddział wyruszył w akcję. (...)

Na miejsce jednodniowego zakwaterowania wybraliśmy las około 3 km od więzienia. Następnego dnia, czyli 1 maja, wymarsz nastąpił o zmierzchu grupa uderzeniowa pod dowództwem „Sokoła” odłączyła się od oddziału, by wkroczyć do miasta i zająć stanowiska między siedzibą Urzędu Bezpieczeństwa, a Powiatową i Gminną Komendą MO oraz sowiecką komendą miasta. Celem było odcięcie tych formacji od siedziby Bezpieki na czas walki, przez grupę główną od rzeki Orzyc. Podstawowa część oddziału z dowódcą na czele, ominęła główny most, udając się okrężną drogą od strony północno – zachodniej. Przekroczyliśmy rzekę przez kładkę i podeszliśmy lewym brzegiem do siedziby bezpieki.

Pierwszym funkcjonariuszem resortu, na którego natknęło się nasze ubezpieczenie przednie, był wartownik Tadeusz Szewkowski. Jego zamiar otwarcia ognia z pepeesy został udaremniony przez jednego z naszych żołnierzy. Na wezwanie wartownika: „Stój, ręce do góry!” padł strzał, który zaalarmował funkcjonariuszy UB i milicji. W tym momencie dowódca oddziału „Pogoda” krzyknął: „Do broni! Wiara naprzód!”.

Rozgorzała walka. Już po kilku minutach najważniejsze punkty oporu oraz pomieszczenia PUBP zostały opanowane, o czym „Pogoda” zawiadomił okrzykiem: - „Resort zdobyty! Więźniowie wypuszczeni! Przygotować się do wymarszu przez most!”. Uwolnieni z piwnic bezpieki nasi koledzy i przyjaciele witali nas i dziękowali ze łzami w oczach. Niektórzy z nich wyrwali z naszych rąk pistolety, mówiąc: - „Dawajcie nam broń! Musimy znaleźć tych najgorszych oprawców – agentów NKWD! Gdzie jest zdrajca, gestapowiec Wysomirski?”.

Już w trakcie wycofywania się oddziału zameldowaliśmy „Pogodzie” że nie ma wśród nas Henryka Pszczółkowskiego, dowódcy grupy szturmowej. W tym momencie byliśmy już na moście. Dowódca natychmiast wydał rozkaz – Wracamy do budynków bezpieki po zaginionego „Myśliwca”!

Przeszukanie budynków oraz przyległego do nich terenu nie dało jednak rezultatu. Poszukiwania utrudniał brak światła w pomieszczeniach „resortu” i na pozostałym terenie walki, gdyż po wypuszczeniu więźniów z piwnic spowodowaliśmy awarię instalacji elektrycznej. Na dłuższe przebywanie w tym miejscu nie mogliśmy sobie pozwolić. W każdej chwili wojsko sowieckie mogło przybyć na odsiecz swoim sługusom i zorganizować za nami pościg.

Opuściliśmy miasto z ogromnym żalem po utracie jednego z najdzielniejszych i najofiarniejszych żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych naszego terenu – jednego z głównych organizatorów akcji. Wraz z uwolnionymi więźniami udaliśmy się do lasu, na zachód od Krasnosielca, na umówione miejsce z ubezpieczeniem bocznym. Na polance leśnej spotkaliśmy oczekującego już „Sokoła” z jego grupą oraz z kilkunastoma rozbrojonymi funkcjonariuszami bezpieki i milicji. Byli to ci ubeby i milicjanci, którzy na czele z komendantem posterunku MO w Krasnosielcu – Ignacym Boczałem i zastępcą komendanta do spraw politycznych Komendy

Powiatu – Czesławem Kuczyńskim biegli z odsieczą w kierunku budynków UB i zostali zmuszeni ogniem karabinów maszynowych do poddania się. Z tego zacnego grona sąd wojenny naszej organizacji skazał Ignacego Boczarę i Czesława Kuczyńskiego na karę śmierci, jako oprawców najbardziej wyróżniających się okrucieństwem. Zeznania złożyli nasi uwolnieni z więzienia koledzy – żołnierze NSZ i AK, którzy pokazywali połamane palce u rąk, uszkodzone szczęki i krwawe sińce na całym ciele. Najokrutniejszym torturom zostali poddani Wenek Wiszowaty ps. „Zrąb” z Makowa, Jerzy Niestępski ps. „Jurand” z Grzybek, Szczepan Zabielski ps. „Sęp” z Kuchen, Zbigniew Olszewski ps. „Ostoja” z Płoniaw, Jerzy Bartoń ps. „Mściwy” z Budzyna, Jan Krępski (AK) z Suchego, Kordowski – organista z Płoniaw.

Dwaj skazani na śmierć funkcjonariusze zostali rozstrzelani rano na polance w punkcie zbórnym, w obecności żołnierzy oddziału NSZ, wypuszczonych więźniów oraz pozostałych funkcjonariuszy MO i UB. W stosunku do pozostałych milicjantów i ubowców doprowadzonych z Krasnosielca nie było tak zasadniczych zarzutów, dlatego zostali uwolnieni pod warunkiem porzucenia pracy w milicji i bezpiece oraz nieudzielania pomocy sowieckiej agenturze w niszczeniu Polaków¹⁰⁶.

Akcja w Krasnosielcu z 1 V 1945 r. zakończyła się pełnym powodzeniem. W jej wyniku z więzienia uwolnionych zostało 42 działaczy podziemia z czasów okupacji niemieckiej, którzy uniknęli dalszych tortur, a być może śmierci z rąk ubeckich oprawców. Ceną akcji była śmierć jednego z jej głównych organizatorów – Henryka Pszczółkowskiego ps. „Myśliwiec”. Zginął on od serii z pistoletu maszynowego na piętrze budynku bezpieki podczas szturmowej grupy uderzeniowej. Ze strony UB i MO w dniu tym zginęli: Józef Wojciechowski, Henryk Wróblewski, Tomasz Stolarczyk, Stefan Mackiewicz i Marian Ostrowski.

W akcji odbicia więźniów z krasnosieleckiego UB brał udział **Bolesław Częścik ps. „Orlik”** z Woli-Józefowa spod Krasnosielca. Wyróżnił się w niej odwagą. Z piwnic UB wprowadził m.in. swojego ojca Feliksa, który był tak skatowany, że nie poznał własnego syna. Bolesław Częścik uczestniczył później (latem 1945 r.) w rozbrojeniu Komend Powiatowych MO w Makowie Mazowieckim, Róźnie, Baranowie, Chorzelach i Myszyncu i Kolnie¹⁰⁷.

Po udaney akcji na UB w Krasnosielcu placówka ta została wzmocniona przez 11 funkcjonariuszy, skierowanych tu decyzją władz komunistycznych z pow. plockiego. W maju 1945 r. Urząd Bezpieczeństwa w Krasnosielcu zatrudniał już 49 osób¹⁰⁸.

Działania zbrojnego antykomunistycznego podziemia przybrały na sile w całym północnym Mazowszu (w tym w pow. makowskim) pod koniec 1945 r. Doprowadziły one do szybkiego zmniejszenia się wpływów agitatorów komunistycznych i ograniczenia

¹⁰⁵ Tamże, s. 58.

¹⁰⁶ Tamże, s. 61–64.

¹⁰⁷ J. Karczewski, *Śladami niezłomnych...*, s. 166–167.

¹⁰⁸ K. Dobrosielski, *Życie społeczno-gospodarcze i polityczne...*, s. 211.

działalności PPR. Jak wynika ze sprawozdania Warszawskiego Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Partii Robotniczej z tego okresu, *W szeregu powiatów – Maków, Ostrołęka, Węgrów, Ostrow Mazowiecka, Sokołów, Garwolin - prawie nie było działalności naszej partii, z wyjątkiem miast powiatowych na skutek terroru. Partia przeszła do konspiracji. Niektórzy towarzysze niszczyli legitymacje, prosząc o nieangażowanie ich do aktywnej pracy. Jak pisał K. Dobrowolski, „sytuację utrudniał dodatkowo fakt, że wielu członków nielegalnych organizacji znalazło się w szeregach milicji (około 60 % stanu osobowego)”*¹⁰⁹.

Współcześnie żyjący mieszkańcy pow. makowskiego mogą być dumni z faktu, że na naszych terenach w pierwszych latach po wojnie patriotyczne, antykomunistyczne oddziały zbrojne odnosiły liczne sukcesy w walce z „czerwona zaraza”. O walkach tych możemy dowiedzieć się ze wspomnień ich uczestników. Zachowały się także liczne raporty i sprawozdania składane do Starosty Makowskiego przez funkcjonariuszy komunistycznych z poszczególnych gmin wchodzących w skład powiatu. Szczegółowe comiesięczne raporty wpływały do Starosty Makowskiego od 1946 r. W raportach tych funkcjonariusze Milicji i wójtowie określali te oddziały jako „bandy”.

Tyko w 1946 r. do Starosty Makowskiego wpłynęło ponad dwadzieścia sprawozdań (raportów) z gmin wchodzących w skład powiatu, dotyczących akcji zbrojnych podziemia antykomunistycznego. Kilkanaście z nich dotyczyło napadów na Posterunki Milicji Obywatelskiej, zarządy gminne i spółdzielnie; skąd rekwirowano broń oraz znajdujące się tam dokumenty osobowe i pieniądze. Do napadów tego typu doszło w 1946 r. czterokrotnie w gm. Karniewo, trzykrotnie w gm. Sypniewo, dwukrotnie w gm. Krasnosielc i Różanie oraz po jednym napadzie w gminach: Sieluń, Szelków, Smrock, Perzanowo i Płoniawy.

W Sieluniu 12 I 1946 r. doszło do potyczki niezidentyfikowanego oddziału antykomunistycznego podziemia z patrolem milicyjnym posterunku MO z Młynarzy. Co na temat tego wydarzenia zameldował w Starostwie powiatowym wójt gminy Sieluń Jan Budny, czytamy w meldunku o następującej treści:

Protokół Zameldowania

Dnia 14 stycznia 1946 r. o godz. 13 zgłosił się do biura Starostwa Powiatowego w Makowie-Maz. Budny Jan, syn Seweryna i Franciszki, lat 53, wyzn. rz.kat., polak, Wójt Gminy Sieluń, powiatu Maków-Mazowiecki, zamieszkały we wsi Kolaki, gminy Sieluń, uprzedzony o odpowiedzialności za fałszywe zameldowania i wprowadzenie władzy w błąd zameldował:

Jest mi wiadomem, że wieczorem w dniu 12 stycznia 1946r. banda złożona z około 80 ludzi była we wsi Sieluń /w mojej gminie/ u gospodarza Glinki Wacława. Banda ta jakoby tam strzelała /wg oświadczenia córki Glinki imienia jej nie wiem/, która zawiadomiła Milicję w Młynarach na gminę Sieluń. Po otrzymaniu wiadomości od córki gospodarza

Glinki-Milicja w składzie 4-ch osób urządziła pościg za bandą i jeden milicjant Franciszek Pietruszczak dał wystrzał, w tym banda odpowiedziała również wystrzałami od czego został w/w wymieniony milicjant Franciszek Pietruszczak ranny. Wobec tego, że banda była złożona z przeważającej liczby i walka pomiędzy Milicją, a bandą nie była równa milicja zmuszona była się wycofać. Jeden milicjant właśnie ten ranny Franciszek Pietruszczak pozostał na polu walki jako ranny i banda to zobaczyła podeszła do tego milicjanta, któremu banda zrobiła opatrunek i zakazała podwode i banda posłała tego milicjanta rannego Franciszka Pietruszczaka do szpitala w Ostrołęce. Więcej szczegółów w tej sprawie nie wiem.

Czy Milicja Robi jakie dochodzenie w tej sprawie tego nie wiem. Na tym protokół niniejszy zakończono i po odczytaniu podpisano.

Zameldowanie przyjęł:

Wł. Rogala

Dnia 14.I.46 jako poufno listem poleconym przesłano

- 1) Odpis Urzędowi Wojew. w Pruszkowie do wiadomości z tym, że U.B. powiadomiono*
- 2) Odpis do U.B. w Krasnosielcu celem przeprowadzenia*¹¹⁰.

Jednego z napadów dokonano w Karniewie 1 IV 1946 r. Jak podał w swoim doniesieniu do Urzędu Wojewódzkiego Warszawskiego zastępujący Starostę Makowskiego niejaki Telichowski: *W dniu 1 IV 1946 r. o godz. 21 banda w mundurach wojska polskiego i część po cywilnemu uzbrojona w pistolety, automaty, granaty i rkm-y dokonała napadu na wójta gminy i Zarząd Gminy w Karniewie zabierając gotówkę z kasy 43000 zł, maszynę do pisania, różne akta, książkę kasową na rok 1946/1947, inne pisma związane z kasowością, księgę protokołów Rady Gminy i pieczętki*¹¹¹. W sierpniu tego samego roku ok. 15-osobowy oddział NZW dokonał napadu na posterunek MO i Zarząd Gminy w Karniewie, o czym doniósł do Urzędu Wojewódzkiego Warszawskiego ówczesny starosta powiatowy Teodor Zduniak:

Starosta Powiatowy

w Makowie-Maz.

L.Sp.Pol.I.3/12/46

Banda-napadnięcie poster.

M.O. i Zarządu Gminy

w Karniewie

Poufne

Do

Urzędu Wojewódzkiego Warszawskiego w Pruszkowie

Donoszę, że dnia 18.VIII.1946r. o godz. 2 w nocy banda w liczbie około 15-tu ludzi, umundurowani w mundury wojskowe W.P. uzbrojeni w broń automatyczną Samozaradki 10-cio strzałowe samsonki, zaskoczeniem bez walki opanowali Posterunek Gminny w Karniewie, zabierając cztery karabiny Nr. 2614, 8227, 3709 i 3480 oraz jeden automat P.P.Sz.-numer nieznan. Następnie zabrali dwa sorty mundu-

rowe, dwa płaszcze i jeden płaszcz amerykański.

Następnie banda zabrała z Zarządu Gminy Karniewo maszynę do pisania marki „Orga-Prywat.” i listę poborowych na teren gminy Karniewo.

Zarząd Gminy i Posterunek M.O. mieści się w jednym budynku. Po dokonaniu tego napadu banda udała się do pobliskiej restauracji ob. Pawłowskiego Mariana i po wtargnięciu do lokalu wzięli garść papierosów z pudełka i dwie czekolady.

Po zabraniu tego wyszli i udali się wstronę w kierunku Czarnostwa.

Dochodzenie w tej sprawie prowadzi Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego i Komenda Powiatowa M.O. w Makowie.

Starosta Powiatowy

*T. Zduniak*¹¹².

Z pewnością niektóre z tych akcji przeprowadził działający w ramach Narodowego Zjednoczenia Wojskowego oddział ppor. Mariana Kraśniewskiego ps. „Burza”. Jak pisał J. Karczewski, „przeprowadził liczne rajdy, między innymi na terenie powiatu makowskiego, gdzie brawurowo, często bez jednego strzału rozbrajano wielokrotnie posterunki MO i siedziby UB. Podczas jednego z takich rajdów, w lutym 1946 roku rozbroili posterunki MO w Sypniewie, Szelkowie, Różanie i Baranowie oraz zlikwidowali placówkę UB w Krasnosielcu. Zwieńczeniem rajdu było rozbicie bez jednego strzału w nocy z 14 na 15 lutego Komendy Powiatowej MO w Makowie Mazowieckim”¹¹³. W tej ostatniej, spektakularnej akcji, oddział „Burzy” posłużył się podstępem, o czym świadczy meldunek złożony przez zastępcę Komendanta MO w Makowie Mazowieckim:

Do Starostwa Powiatowego w Makowie

Meldunek Specjalny

W dniu 14 b.m. około godz. 9 wieczorem mieszkaniec wsi Szlasy gm. Karniewo przyjechał konno do Komendy M.O. z meldunkiem, że nieznani osobnicy w liczbie 5 ludzi umawiali się żeby wykonać napad rabunkowy na mieszkańców wyżej napomianej miejscowości. Chcąc uprzedzić napastników Kom. Pow. Z Z-cą i z innymi ludźmi w liczbie 15 udaliśmy się traktorem pod wyżej napomnianą miejscowość, gdzie byliśmy w terenie do godz. 2 p. północy. W między czasie t.j. o godz. 22.20 wtargnęła banda do Lokalu Komendy Pow. demolując go, zabrali ze sobą wszystką broń i amunicję znajdującą się w Komendzie, akta spraw i kilka depozytów rzeczowych w Sekcji Krym. [fragm. nieczytelny – przyp. T. S.] sorty mundurowe z magazynu i z milicjantów, którzy byli obecni w tym czasie w Komendzie, pościelowe jak koce, prześcieradła, poszewki, ławnice, papierosy, mydło itp., z art. żywnościowych nic nam nie wzięto, powiedzieli że „wy sami nic nie macie”. Po załadowaniu zrabowanych rzeczy i uzbrojenia na kilka wozów banda udała się w kierunku Szelkowa. Po zebraniu informacji od miejscowej Ludności, co do ilości bandy, jakości uzbrojenia i środków lokomocji otóż okazało się że było ponad 200 ludzi, uzbrojonych w Kb. RKM. automaty, w pistolety granaty, częściowo byli umundurowani w uni-

¹¹⁰ APP, Starostwo Powiatowe w Makowie Mazowieckim 1945–1950, sygn. 66, k. 12.

¹¹¹ APP, Starostwo Powiatowe w Makowie Mazowieckim 1945–1950, sygn. 33, k. 37.

¹¹² Tamże, k. 60.

¹¹³ J. Karczewski, *Śladami niezłomnych...*, s. 246.

¹⁰⁹ Tamże, s. 231–232.

29
mjs

Starosta Powiatowy
w Makowie-Mazowieckim
L.Sp.pol.I-2/20/46

Żołnierz Armii Czerwonej,
użycie granatu obronnego
spowodował zranienie kilku
osób.

124
153

Maków-Maz., dn. 18.XI.1946 r.

Do
Urzędu Wojewódzkiego Warszawskiego

w P r u s z k o w i e
=====

Donoszę, że dnia 7.XI.1946 r. o godz. 16-ej trzech żołnierze Armii Czerwonej z obsługi linii telegraficzno-telefonicznej w Różanie, wszczęli pomiędzy sobą awanturę na rynku w Różanie, z których jeden rzucił granat obronny między przechodniów, co spowodowało poranienie 8 osób w tym 4 osoby ciężko ranne.

Po wybuchu granatu żołnierze armii czerwonej rzucili się do ucieczki, na to zareagował miejscowy posterunek M.O. chwytając sprawcę, który spowodował wybuch granatu. Rannymi zaopiekował się miejscowy Ośrodek Zdrowia i po udzieleniu pierwszej pomocy lekarskiej, ciężko rannych odestawiono do Szpitala w Pułtusku.

Sprawcę powyższego wypadku przesłano do Pow. Urzędu Bezp. Publ. w Makowie.-

Starosta Powiatowy
W.Z.

mgr Z. Telichowski/
Wicestarosta

Raport Wicestarosty Makowskiego w sprawie użycia granatu przez żołnierza Armii Czerwonej (źródło - APP, Starostwo Powiatowe w Makowie Maz. 1945- 1950, sygn. 33, k. 153.),

form Wojska Polskiego, reszta po cywilnemu. Wyżej wspomniana banda przyjechała od strony Gąsewa na wozach konnych w liczbie około 40 szt. I udała się w kierunku Szelkowa około godz. 1-sza 1.30. Po zawiadomieniu Kom. Pow. Przasnysz, Ciechanów i Pułtusk i otrzymaniu pomocy z Ciechanowa Kmndt. Pow. z ludźmi udali się w pościg.

Komendant M.O. pow Maków Maz.(...) ¹¹⁴.

Poza ww. napadami, zbrojne antykomunistyczne podziemie mogło pochwalić się jeszcze kilkoma akcjami przeprowadzonymi w 1946 r., które odbyły się głośnym echem w naszym powiecie.

W dniu 21 V 1946 r. dokonano próby wysadzenia w powietrze budynku UB w Krasnosielcu. O wydarzeniu tym świadczy meldunek złożony do Starosty Powiatowego: 21 maja 1946 r. o godz. 11 wybuchła mina podłożona pod Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Krasnosielcu, w skutek czego dom w którym mieścił się UB został zniszczony, a szczególnie jedna połowa tego domu uległa całkowitemu zniszczeniu. Ofiarą padła dziewczyna- posługaczka UB, która została ciężko ranna i ma złamaną rękę. Innych ofiar nie było. Magazyn broni i amunicji znajdował się na strychu, który w skutek wybuchu uległ zniszczeniu przez zawalenie. Kto minę podłożył nie jest wiadomym (...) ¹¹⁵. Prawdopodobnie po tym wydarzeniu, z uwagi na zniszczenia budynku na skutek wybuchu miny, Powiatowy Urząd

Bezpieczeństwa Publicznego został przeniesiony z Krasnosielca do Makowa Mazowieckiego.

W nocy z 3/4 X 1946 r. niezidentyfikowany oddział zbrojnego podziemia, ubrany w mundury Wojska Polskiego, przeprowadził akcję we wsi Łukowo, gm. Karniewo. Oto jak opisał to wydarzenie starosta makowski M. Bucylin: 4 X 1946 r. o godz. 1 we wsi Łukowo, gm. Karniewo wkroczyła banda w mundurach W. P. uzbrojona w broń automatyczną i maszynową. Ile w tej bandzie ludzi było dokładnie nie ustalono. Banda pobila ob. Kordalskiego Romana, który jest członkiem PPR oraz powklejali plakaty treści antyrządowej. Następnie banda dokonała rabunku w miejscowej Spółdzielni w Łukowie. Zabrano na kilka tysięcy rozmaitych artykułów pierwszej potrzeby pozostawiając nadto pokwitowanie z podpisem „Jurand”. Banda po oddaniu szeregu strzałów na postrach wycofała się w niewiadomym kierunku ¹¹⁶.

Funkcjonariusze UB posiadali siatkę swoich tajnych współpracowników, którzy donosili im o przemieszczaniu się oddziałów i o osobach należących do podziemia antykomunistycznego. Zdarzały się przypadki, że donosicielami do UB byli dawni współpracownicy gestapo, którzy donosili wcześniej Niemcom na ukrywających się Polaków. Niezidentyfikowany oddział lub patrol antykomunistycznego podziemia w listopadzie 1946 r. w Sieluniu wykonał wyrok na jednym z takich właśnie współpracowników UB. Na martwe ciało

donosiciela natknęli się milicjanci z Młynarzy. Do Starostwa Powiatowego złożony został następujący meldunek: W dniu 29 września 1946 r. o godz. 6-tej patrol posterunku gminy Młynarze znalazł zwłoki leżące na szosy Sieluń – Dyszobaba, gm. Sieluń, pow. Maków - Maz. Były to zwłoki Rymańskiego Mariana, byłego policjanta, który służył w czasie okupacji niemieckiej pięć miesięcy. W/w został zabity trzema strzałami z „Parabellum” lub automatu M.P. przez nieznaną sprawców, którzy pozostawili przy zamordowanym kartkę treści: Uwaga! Została wymierzona kara sprawiedliwa na Rymańskim Marianie za współpracę z gestapo i żandarmerią i współpracę z UBP – sprzedawanie ofiar pacholkom i slugosom kata Stalina, którzy w straszny sposób zostali zamordowani jako dobrzy synowie Ojczyzny. Nie wolno nikomu go sprzątać, aż go ci wezmą, którym tak wiernie pracował. Po oględzinach zwłok dokonanych przez Powiatowego Lekarza i sędziego Sądu Grodzkiego w Makowie, przez Kierownika Ref. Krym. Śl. Śledczej z Pow. Kom. MO w Makowie zwłoki zostały oddane rodzinie celem pochowania. Dotychczas sprawców powyższego mordu nie udało się ustalić ¹¹⁷.

¹¹⁴ APP, Starostwo Powiatowe w Makowie Mazowieckim 1945–1950, sygn. 33, k. 11.

¹¹⁵ APP, Starostwo Powiatowe w Makowie Mazowieckim 1945–1950, sygn. 66, k. 41.

¹¹⁶ Tamże, k. 170–171.

¹¹⁷ APP, Starostwo Powiatowe w Makowie Mazowieckim 1945–1950, sygn. 30, k. 168. Jak wynika z relacji mieszkańców Sielunia, Kazimierza Suskiego i Romana Gajaka, Rymański podczas okupacji doniósł żandarmerii na co najmniej trzech ukrywających się przed robotami przymusowymi mieszkańców Sielunia, tj. Stanisława Gajaka, Piotra Rogalskiego i Teofila Suskiego. Na skutek jego donosów zostali oni aresztowani i osadzeni w obozach koncentracyjnych. Katongi obozowej nie

W okresie tym komendantem posterunku MO w Młynarach był Wacław Kowalewski, który należał do NZW i współpracował z antykomunistycznym podziemiem zbrojnym.

Żołnierze antykomunistycznego podziemia z AK i NSZ, a później z NZW, karali chłostą lub wykonywali wyroki śmierci na bandytach i złodziejach, którzy napadali na gospodarzy i bezlitośnie ich okradali. Ludzie po wojnie żyli bardzo biednie, często doskwierał im głód. Złodzieje nie mieli jednak skrupułów i były przypadki że zabierali napadniętym ich ostatnią krowę. Zdarzało się, że podszywali się pod żołnierzy AK czy NSZ, psując opinię tym zasłużonym w walce o wolność Ojczyzny organizacjom.

Wyrok śmierci na dwóch bandytach napadających na wioski: Chrzanowo, Gosie i Mroczi wykonał w styczniu 1946 r. w gminie Sielc niezidentyfikowany oddział partyzancki. O wykonanym wyroku na bandytach doniósł w swoim raporcie starosta makowski T. Zduniak:

Maków-Maz., dn.1.II.1946r.

Starostwo Powiatowe

w Makowie Mazowieckim

L.S.I./3-9/46

*Do Urzędu Wojewódzkiego Warszawskiego
w Pruszkowie*

*i Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publ.
w Krasnosielcu*

W dniu 1.II.1946r. przyjęto zameldowanie ustne od Wójty Gminy Sielc, że w dniu 31.I.1946r. w godzinach 15-16 na teren gminy Sielc przybyła nieznana grupa w liczbie 20 ludzi dobrze uzbrojonych którzy zabili 2 ludzi, podejrzanym o napady we wsi Chrzanowo, Gosie i Mroczi.

Blizsze szczegóły nie są znane.

Powyższe przedkładam Urzędowi Wojewódzkiemu do wiadomości, Powiatowemu Urzędowi Bezpieczeństwa Publicznego dla przeprowadzenia dochodzenia.

*Starosta Powiatowy
/T.Zduniak/¹¹⁸.*

Na terenie pow. makowskiego jesienią 1946 r. stacjonowały jeszcze drobne oddziały żołnierzy Armii Czerwonej. W datowanym na 2 X 1946 r. sprawozdaniu starosta makowski M. Bucylin donosił do Urzędu Wojewódzkiego że w pow. makowskim stacjonują żołnierze Armii Czerwonej tylko w ramach obsługi radiotelegraficznej. W sprawozdaniu tym podał ich liczbę: 20 – w Róźnie, 9 w Szelkowie, 5 w Makowicy i 7 w Żabinie Karniewskim¹¹⁹.

W listopadzie 1946 r. w Róźnie miał

miejsce groźny wypadek, spowodowany przez panoszących się czerwoarmiejców. Na rynku miejskim, podczas awantury kilkusobowej grupy żołnierzy Armii Czerwonej, jeden z nich rzucił odbezpieczony granat w tłum zgromadzonych ludzi, co spowodowało zranienie ośmiu osób, a cztery z nich odniosły bardzo ciężkie rany. Jak się okazało, poszkodowanymi rannymi osobami byli: z Róźnie Tadeusz Kaczmarczyk, Stanisław Kaczmarczyk, Stanisław Gołyś, Mosakowska Zofia, Jadwiga Gruczyńska [lub Gruszczyńska – przyp. T.S.]; z Załuzia: Władysław Wrzostek i Antoni Górka. O wydarzeniu tym doniósł do Urzędu Wojewódzkiego wicestarosta makowski, Telichowski¹²⁰.

W 1947 r. akcje antykomunistycznego podziemia zbrojnego w pow. makowskim nie ustały na siłę. Wręcz przeciwnie – nasiliły się, szczególnie latem tego roku. Wynika to z okresowych raportów składanych przez gminnych funkcjonariuszy do Starosty Makowskiego. O sytuacji tej świadczy ściśle tajny raport z 28 VI 1947 r., złożony do Starosty Powiatowego przez wiceszefa powiatowego UB, Bronisława Szymborskiego. Píše on w nim (odnosząc się do stanu bezpieczeństwa powiatu): *Jak w ostatnich dekadach stan bezpieczeństwa był zadowalający, tak w tej dekadzie wręcz przeciwnie. Powodem tego jest szereg napadów rabunkowych, a mianowicie:*

1. napad na Rolny Ośrodek Państwowy w Szlasach z 21–22 czerwca 47 r. Napadu tego dokonał patrol „Roj”, w sile 3-ch ludzi. Z powodu, że personalia „Roj” są znane Urz. Bez., jak również znany jest jeden członek jego patrolu Urz. Bez. W tym kierunku prowadzi dochodzenie i opracowywanie w celu zlikwidowania tegoż patrolu.

2. Napad z 22–23 czerwca 47 r. na spółdzielnię w Sypniewie i z 23–24 czerwca 47 r. na wójta gm. Sypniewo dokonał patrol „Dęba” w sile 5-ciu ludzi. Personalia „Dęba”, jak i dwóch członków jego patrolu są nam znane, w celu drogą wywiadowczą i operacyjną Urz. Bez. dąży do zlikwidowania tegoż patrolu. Poczyniono już pewne kroki ku temu i w areszcie znajduje się trzech ludzi, którzy z patrole „Dęba” utrzymywali kontakt.

3. Napad z 23–24 czerwca 47 r. na spółdzielnię w Rzewniu był dokonany przez zwykłych złodziei. W tym kierunku prowadzi dochodzenie UB i MO.

W raporcie tym B. Szymborski skarżył się też na nikłe zainteresowanie społeczeństwa powiatu wstępowaniem do partii (PPR, PPS, SL). Stawiał przy tym następującą diagnozę: *Biorąc pod uwagę nasz powiat, to jest apolityczny i żeby coś zorganizować to trzeba używać przymusu*¹²¹.

Na podstawie ww. raportu, 8 VII 1947 r. wicestarosta makowski Jan Dąbrowski w poufnym piśmie, skierowanym do Wojewódzkiego Urzędu Warszawskiego, informował co następuje: *Donoszę, że w drugim kwartale 1947 roku stan bezpieczeństwa pogorszył się przez napady rabunkowe. W powiecie makowskim operują dwie bandy „Roj” i „Dęba”. Personalia „Roj” są znane Powiatowemu Urzędowi*

*Bezpieczeństwa, również jest znany jeden członek tej bandy. Dwaj członkowie bandy „Dęba” są również znani Powiatowemu Urzędowi Bezpieczeństwa Publicznego. Niezależnie od tego są zatrzymani trzej osobnicy w P. U. B., którzy utrzymywali kontakt z bandą „Dęba”. Pow. Urz. Bez. prowadzi wywiady w celu zlikwidowania tych band*¹²².

W powyższych raportach wymienione zostały dwa pseudonimy słynnych, zasłużonych w walce z czerwoną zarazą, dowódców Narodowego Zjednoczenia Wojskowego – „Dęba” (Witold Borucki) i „Roj” (Mieczysław Dziemieszkiewicz). Ich skuteczne akcje na terenie pow. makowskiego były solą w oku dla aparatczyków komunistycznych. Próbowano więc ich zlikwidować. Jednak zanim ich dopadnięto, minęły kolejne lata.

Witold Borucki „Dąb” pochodził z wioski Rawy w gm. Sypniewo. Przed wojną uczęszczał do Gimnazjum Ojców Salezjanów w Jaciążku. Gimnazjum nie ukończył, ponieważ wybuchła wojna. Podczas okupacji niemieckiej działał w konspiracyjnych strukturach AK. Po zakończeniu wojny zmobilizowany został do wojska i skierowany do szkoły oficerskiej w Modlinie, z której zdezerterował. Jesienią 1945 r. wstąpił do antykomunistycznego Narodowego

Zjednoczenia Wojskowego. Był żołnierzem oddziału por. Mariana Kraśniewskiego „Burzy”. Od 1946 r. dowodził patroliem partyzanckim Pogotowia Akcji Specjalnej, działając na terenie pow. Maków Mazowiecki i Ostrołęka. Od 20 VII 1947 r. pełnił funkcję dowódcy komendy powiatowej powiatu „Mściciel”, obejmującej część pow. makowskiego i przasnyskiego. W dniu 19 XII 1947 r. UB aresztował jego żonę, Annę z Płaszczyńskich Borucką, którą poślubił kilka miesięcy wcześniej, w czerwcu 1947 r. W chwili aresztowania była ona w trzecim miesiącu ciąży. By wydała męża, oprawcy z UB poddali ją wymyślnym torturom – bez efektu. Gdy w czerwcu 1948 r. połączone siły Korpusu Bezpieczeństwa Publicznego i Urzędu Bezpieczeństwa, liczące 1500 ludzi, rozbiły Komendę XVI Okręgu NZW, Witold Borucki został mianowany nowym komendantem i awansowany do stopnia chorążego. Przybrał wtedy nowy pseudonim „Babinicz”. Skutecznie odbudował rozbite struktury Okręgu. Komuniści, nie mogąc pokonać „Babinicza” w walce, wysłali specjalną grupę agentów o kryptonimie „V Kolumna”, powołaną przez Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa z zadaniem likwidacji komendanta Okręgu. W dniu 19 VIII 1949 r. Witold Borucki „Dąb”, „Babinicz” został skrytobójczo zamordowany podczas snu w wiosce Żebry-Wierzchlas. Żona Witolda, Anna Borucka, została skazana na 12 lat więzienia. Niemal rok po śmierci męża, 22 IV 1950 r., została warunkowo wypuszczona na wolność. Wcześniej, 5 V 1948 r., w więzieniu, urodził się ich syn Arkadiusz. Wychowywał się za kratami więzienia przy ul. Rakowieckiej w Warszawie. Dopiero 7 VII 1949 r. wydano go jego babci¹²³.

przeżyli: Stanisław Gajak (zm. w lipcu 1942 r. w Stutthofie) i Teofil Suski (zm. w marcu 1943 r. w Oświęcimiu). Trzeci z aresztowanych – Piotr Rogalski, osadzony w obozie koncentracyjnym w Stutthofie – przeżył kilkunastu katów i po wojnie wrócił w rodzinne strony. W 1946 r. Rymański doniósł do UB na Kazimierza Suskiego, brata ww. Teofila, że jest on członkiem AK i widział go niosącego broń. Na skutek tego donosu Kazimierz Suski został aresztowany. Przebywał kilka miesięcy na UB w Makowie Mazowieckim, gdzie poddawany był torturom. Nie udowodniono mu przynależności do AK, a zeznanie Rymańskiego podważył inny świadek i Kazimierz Suski został po kilku miesiącach wypuszczony na wolność.

¹¹⁸ APP, Starostwo Powiatowe w Makowie Mazowieckim 1945–1950, sygn. 33, k. 17.

¹¹⁹ APP, Starostwo Powiatowe w Makowie Mazowieckim 1945–1950, sygn. 40, k. 46.

¹²⁰ Tamże, k. 153.

¹²¹ APP, Starostwo Powiatowe w Makowie Mazowieckim 1945–1950, sygn. 67, k. 55.

¹²² Tamże, k. 18.

¹²³ J. Karczewski, *Śladami niezłomnych...*, s. 61–63.

Mieczysław Dziemieszkiewicz „Rój” to jedna z najbardziej znanych postaci zbrojnego antykomunistycznego podziemia w skali całego kraju. Mieczysław Dziemieszkiewicz był młodszym bratem Romana Dziemieszkiewicza, który 1 V 1945 r. dowodził akcją uwolnienia więźniów z krasnosieleckiego UB. „Rój” był postrachem dla komunistów i ubeków. W latach 1946–1948 dowodził patrolem Pogotowia Akcji Specjalnej, którego celem była likwidacja najbardziej zagorzałych komunistów, funkcjonariuszy UB i MO i członków PPR. Zasłynął z niezwyklej odwagi i brawurowo przeprowadzanych akcji. W lipcu 1948 r. dowódca okręgu NZW Witold Borucki „Dąb”, „Babinicz” powołał nową strukturę Okręgu o kryptonimie „Tęcza”. W jej skład weszły komendy powiatowe o dziewięciu kryptonimach, które obejmowały powiaty: Ostrołęka, Przasnysz, Maków Mazowiecki, Kolno i część pow. pułtuskiego. Jedną z nich – komendę powiatową o kryptonimie „Wisła” utworzył Mieczysław Dziemieszkiewicz „Rój”. Swoim zasięgiem obejmowała ona tereny powiatów: ciechanowskiego, pułtuskiego, przasnyskiego i makowskiego. Ze względów bezpieczeństwa grupę ok. 40 podległych sobie ludzi podzielił „Rój” na trzy patrole. Pierwszym z nich dowodził on sam, drugim – Ildefons Żbikowski ps. „Tygrys”, a trzecim – Władysław Grudziński ps. „Pilot”. Przez trzy kolejne lata patrole „Roja” skutecznie zwalczały „czerwoną zarazę”. Niektóre z akcji patrole „Roja” przeprowadziły na terenie pow. makowskiego. Mieczysław Dziemieszkiewicz „Rój” zginął 13 IV 1951 r.

„Rój” darzony był wielkim szacunkiem przez swoich podwładnych. Świadczy o tym poniższy tekst piosenki napisanej przez Władysława Grudzińskiego „Pilota”, dedykowany „Rojowi” (fragment):
*Kto raz go widział ten z pamięci już jego rysów nie wymaże,
 Kto raz z nim walczył, ten pójdzie, gdzie tylko mu rozkaże.
 Kto raz miał możliwość być z nim razem i znosić trudy znoje
 Ten pójdzie pod jego rozkazem dla Polski dać życie swoje.*

*Dieciąciem prawie jeszcze był gdy las go wpędził w bój.
 O wolnej Polsce zawsze śnił młody rycerski „Rój”.
 Nie zraził się, gdy padł mu brat rażony kulą wroga.
 W duszę mu wplótł się zemsty bat i zdrajców do dziś smaga.*

*On porwał Przasnysz i Ciechanów do walki ze zdrajcami.
 To on postrachem jest tyranów i drżę przed nim nocami.
 Konopki, Przasnysz i Gąsocin tam krwią swą drogi znaczył.
 Na każdym bił i psocił gdy tylko ich zobaczył.*

Zainteresowanych tą postacią odsyłam do tekstu dr. W. Łukaszewskiego, poświęconego „Rojowi”, opublikowanego w „Krasnosielckim Zeszycie Historycznym”¹²⁴.

Wracając do 1947 r., należy zauważyć, że zaczął się on tragicznie dla 4 członków podziemia antykomunistycznego. W dniu 14 I 1947 r., podczas sesji wyjazdowej w Makowie Mazowieckim, Wydział do Spraw Doraźnych Wojskowego Sądu Rejonowego w Warszawie skazał na karę śmierci czterech członków Narodowego Zjednoczenia Wojskowego: Ignacego Żebrowskiego i Czesława Krzyżewskiego, mieszkańców wioski Żebry-Perosy, Juliana Chojnowskiego z wioski Sadykierz i Waława Kowalewskiego z wioski Dyszobaba. Waław Kowalewski pełnił w tym czasie (bezpośrednio przed aresztowaniem) funkcję komendanta posterunku MO w Młynarzach. Został skazany na śmierć wraz z trzema ww. osobami za – jak to określono w wyroku – *udzielanie członkom N. Z. W. czynnej pomocy w ich zbrodniczej działalności przez udzielanie im informacji posiadanych z racji zajmowanego stanowiska komendanta posterunku MO*¹²⁵.

Rok 1947 nie był spokojny dla funkcjonariuszy komunistycznych w pow. makowskim. Oto najważniejsze z akcji dokonanych tylko w czerwcu 1947 r. przez zbrojne antykomunistyczne oddziały partyzanckie. W nocy z 21/22 VI 1947 r. patrol „Roja” dokonał napadu na PGR w Szlasach, skąd zabrał 5 koni i dwa wozy; natomiast w nocy z 22/23 VI 1947 r. na Spółdzielnię w Sypniewie dokonał napadu patrol „Dęba”, skąd zabrano 78000 zł. Ten sam patrol dokonał także napadu na wójta gminy Sypniewo w nocy z 23/24 czerwca.

W dniach 25–28 czerwca zbrojny antykomunistyczny oddział partyzancki, liczący ok. 30 ludzi, dowodzony przez Witolda Boruckiego „Dęba” lub kogoś z jego podkomendnych dokonał szeregu akcji w gm. Sieluń i Sypniewo, które tak odnotowały komunistyczne służby:

1. W dniu 25 06-47 r. o godz. 23 banda w sile ok. 30-tu ludzi uzbrojonych i umundurowanych dokonała napadu na posterunek MO w Młynarzach. Lokal posterunku został zdemolowany, oraz rozbrojono 3-ech milicjantów. Pościg za bandą prowadzony przez Komendę Pow. nie dał rezultatów.

2. W dniu 27-06-47 r. o godz. 24 kilku osobników należących do ww. bandy dokonało napadu rabunkowego na Spółdzielnię w Gąsewie, gm. Sypniewo.

3. W dniu 28-06-47 r. o godz. 5 rano funkcjonariusze posterunku MO Sypniewo w pościgu za bandą, która po obrabowaniu Spółdzielni w Gąsewie we wsi Mamino w sile 4-ech ludzi brała podwoły pod wsią Jarzyły wpadli w zasadzkę, zorganizowaną przez główne siły bandy w sile ok. 30 ludzi. W nierównej walce został zabity Komendant posterunku Sypniewo Kajetaniak Marian oraz rozbrojono trzech funkcjonariuszy MO. Pościg zorganizowany przez Powiatową Komendę MO i UB i KBW natknął się pod gajówką Wojskobiet na jedną część bandy, która jednak korzystając z zalesionego terenu zbiegła¹²⁶.

W sprawozdaniu za drugi kwartał 1947 r. odnotowano również dwa napady na Spółdzielnię w Dąbrówce, jeden na

Spółdzielnię w Sieluniu i jeden na Spółdzielnię w Rzewniu. W sprawozdaniu tym odnotowano także:

- napad na funkcjonariusza MO,
- napad na członka ORMO i odebranie mu broni i ubrania,
- pojawienie się „bandy” we wsi Sewerynowo, Janopole i w innych miejscowościach w powiecie,
- pobicie funkcjonariusza MO i rozbrojenie członka ORMO.

Jak zanotowano w sprawozdaniu, *przestępstw czysto politycznych w okresie sprawozdawczym na terenie powiatu makowskiego nie było, jednak opisane napady i rabunki dokonują bandy z pod znaku NZW*. Zapisano również, że UB prowadzi wywiady zmierzające do ujawnienia i likwidacji członków band dywersyjnych. Pochwalono się przy tym, że w ramach działalności UB w okresie sprawozdawczym został zabity d-ca grupy NZW grasującej na terenie powiatu Maków, Rudziński Czesław z Krzyżewa, gm. Płoniawy. W sprawozdaniu odnotowano również *najeżenie samochodem na człowieka przez żołnierzy Armii Czerwonej stacjonującej w Makowie*¹²⁷.

Jak wynika ze sprawozdań za trzeci i czwarty kwartał, również ten okres obfitował w pow. makowskim w liczne akcje antykomunistycznych oddziałów partyzanckich.

W dniu 10 VIII 1947 r. we wsi Gierwaty gm. Sieluń doszło do starcia między oddziałem antykomunistycznego podziemia z 3-osobowym patrolem, złożonym z dwóch milicjantów i ormowca. Oto, co zapisano o tym wydarzeniu w sprawozdaniu: *W dniu 10 sierpnia 1947 r. o godz. 13 na będących we wsi Gierwaty gm. Sieluń milicjantów Morawskiego, Dondery i członka ORMO Łepkowskiego banda w sile ok. 10-ciu ludzi urządziła zasadzkę. W wyniku walki milicjant Dondera został zabity, a ORMO-c Łepkowski ciężko ranny oraz lekko ranne zostało 10-letnie dziecko podsołtysa Olkowskiego Edwarda. Pościg i dochodzenie prowadzone przez Ref. Śledczy i UBP nie dało wyników*¹²⁸. Morawskiemu udało się uciec – biegnąc, rzucił do góry papiery trzymane przy sobie. W tym momencie Witold Borucki „Dąb”, który dowodził oddziałem partyzanckim, krzyknął do swoich ludzi, by przestali strzelać. Jeden z dokumentów rzuconych przez uciekającego stwierdzał fakt, że Morawski był w okresie okupacji niemieckiej więźniem Oświęcimia. Zaprzestano pogoni za nim. Dziesięcioosobowy oddział partyzancki, dowodzony przez „Dęba”, w chwili przybycia patrolu milicyjno-ormowskiego, był rozlokowany w stodole Edwarda Olkowskiego. Jeden z partyzantów stojący na czatach nagle dostrzegł nachodzący patrol. „Dąb” nakazał swoim ludziom otworzyć ogień¹²⁹. Wywiązała się walka, której efekt został opisany w ww. sprawozdaniu.

W dniu 16 XII 1947 r. w wiosce Rżaniec, należącej do gm. Sypniewo, doszło do potyczki jednostki KBW i MO z niezidentyfikowanym

¹²⁴ W. Łukaszewski, „Rój” – partyzant Północnego Mazowsza, „Krasnosielcki Zeszyt Historyczny”, 2016, 27, s. 180–184.

¹²⁵ APP, Starostwo Powiatowe w Makowie Mazowieckim 1945–1950, sygn. 33, k. 75–76.

¹²⁶ APP, Starostwo Powiatowe w Makowie Mazowieckim 1945–1950, sygn. 67, k. 113.

¹²⁷ APP, Starostwo Powiatowe w Makowie Mazowieckim 1945–1950, sygn. 30, k. 118.

¹²⁸ Tamże, k. 113.

¹²⁹ Relacja Zygmunta Glinki, mieszkańca wioski Gierwaty-Śledzie (w zbiorach autora).

oddziałem zbrojnego podziemia, o czym poinformował w swoim raporcie (zamieszczając w nim także inne wydarzenia) wójt gminy Sypniewo A. Batogowski¹³⁰.

W sprawozdaniu za czwarty kwartał 1947 r., pod pozycją „wypadki”, powiatowi działacze komunistyczni odnotowali: *Dnia 14 XI b.r. banda zatrzymała PKS i spaliła go oraz rozbroiła funkcjonariusza UB na szosie Maków – Przasnysz*¹³¹. Prawdopodobnie była to akcja któregoś z patroli „Roja”.

Jednym ze sposobów rozbicia zbrojnego podziemia niepodległościowego były amnestie ogłaszane przez władze komunistyczne – pierwsza z 2 VIII 1945 r., a druga z 22 II 1947 r. Jak z gorczycą napisał później B. Urbankowski, „akcje te dały więcej niż zwycięstwa w walnych bitwach. Tym bardziej że takich zwycięstw komuniści nie byli w stanie odnieść. Na pojednawcze intencje owych amnestii dali się nabrać wspaniali, lecz zbyt prostolinijni oficerowie: Jan Mazurkiewicz „Radosław”, gdy wezwał partyzantów do wyjścia z lasu, potem Delegat Sił Zbrojnych na Kraj, Jan Rzepecki, który w „geście dobrej woli” ujawnił nie tylko siebie, lecz i swoich podwładnych oficerów. Pierwsza z amnestii ujawniła i rozbroiła około 42 tysięcy ludzi, druga – według oficjalnych danych – 54,8 tys. Ujawniając się – żołnierze Podziemia składali automatycznie donosy na samych siebie, ujawniali adresy, stan rodzinny i pozbawiali się broni. W ciągu dwóch lat większość ujawnionych znajdzie się w więzieniu, niektórzy otrzymają kary śmierci. Straty komunistów w tej operacji będą żadne. W bitwach z zahartowanymi latami walki powstańcami ponosili znacznie większe szkody tracąc ludzi i sprzęt”¹³².

Również w pow. makowskim z tych pseudo-amnestii „skorzystało” wiele osób. Jedną z nich był **Bolesław Częścik „Orlik”**. Pochodził on z Woli Józefowa, pow. Maków Mazowiecki, gdzie jego rodzice posiadali 16-hektarowe gospodarstwo rolne. Wystarczyło to – jak się później okazało – by komuniści zaliczyli jego rodzinę do bogaczy wiejskich i rozparcelowali majątek. W czasie wojny Bolesław Częścik należał do konspiracji. Działal w Narodowych Siłach Zbrojnych pozostając na placówce Wola-Pienice. Doświadczenie konspiracyjne z wojny wykorzystał w pełni wraz z nadejściem Sowietów w 1945 r. Widząc zachowanie Rosjan, aresztowania kolegów z konspiracji, gwałty i grabieże, uznał, że jest to początek kolejnej okupacji. Wstąpił do oddziałów podziemia antykomunistycznego. Jako członek oddziału Romana Dziemiszkiewicza „Pogody” brał udział w akcji rozbicia aresztu UB w Krasnosielcu. Później przyłączył się do oddziału Romana Kraśnickiego „Burzy”. Brał udział w rozbijaniu posterunków MO w Róźnie, Baranowie, Chorzeli, Myszyńcu i Kolnie, a także w innych akcjach.

W dniu 22 IV 1947 r. Bolesław Częścik „skorzystał” z amnestii i ujawnił się w Warszawie. Następnie wyjechał na Ziemię Odzyskaną. Wrócił w rodzinne strony ze

względem na trwające prześladowania rodziny. Z dniem 13 IX 1950 r. „Orlik” zgłosił się do MO w Krasnosielcu, skąd chciał się dowiedzieć o przyczynach prześladowania swojej rodziny. Zamiast wyjaśnień został tam aresztowany pod zarzutem nieszczerości ujawnienia się. Następnie został poddany brutalnemu śledztwu. W dniu 7 IV 1951 r. Bolesław Częścik „Orlik” wraz z trzema innymi kolegami został skazany na karę śmierci. Po trzech miesiącach oczekiwania w celi śmierci w więzieniu w Warszawie został stracony 10 VII 1951 r.¹³³.

Innym partyzantem, który „skorzystał” z amnestii, był **Stanisław Olszewski „Czarny Kruk”**, pochodzący z Płoniaw. W okresie okupacji niemieckiej działał w konspiracji. Został aresztowany w kwietniu 1945 r. i był więziony w areszcie UB w Krasnosielcu, skąd, po jego rozbiciu przez partyzantów, został uwolniony. Po uwolnieniu przyłączył się do oddziału Romana Dziemiszkiewicza „Pogody”.

Po odezwie płk. Jana Mazurkiewicza „Radosława” Stanisław Olszewski ujawnił się, sądząc, że komuniści dotrzymają słowa. Udało mu się przeżyć zaledwie kilka miesięcy. Niedługo po ujawnieniu, w nocy z 22/23 I 1946 r., został uprowadzony z własnego mieszkania w Płoniawach i następnie w tajemniczych okolicznościach zamordowany. Wszystko wskazuje na to, że uprowadzenia i mordu dokonali agenci z UB. Ciało Stanisława Olszewskiego zostało odnalezione 2 IV 1946 r. w lesie koło Suchego, o czym w swoim poufnym meldunku poinformował Starosta Makowskiego wójt gm. Płoniawy¹³⁴.

Z amnestii „nie skorzystał” ani Witold Borucki „Dąb”, „Babinicz”, ani Mieczysław Dziemiszkiewicz „Rój”.

Nadszedł **rok 1948**. W styczniu patrol Mieczysława Dziemiszkiewicza „Roja” dokonał w pow. makowskim dwóch wyroków śmierci na konfidentach UB: 3 stycznia wykonał wyrok śmierci na Wacławie Lisowskim, konfidentie UB z Krasnosielca, a 20 stycznia na Władysławie Wasilewskiej, konfidentce UB z Ciepiewa¹³⁵.

Akcje antykomunistycznego podziemia nasiliły się w drugim kwartale 1948 r. W raporcie z 8 VI 1948 r. wójt gm. Sypniewo A. Batogowski poinformował Starostę Makowskiego o wyroku śmierci wykonanym przez niezidentyfikowanych sprawców na oficerze UB z Makowa, Kozłowskim. Ubowiec Kozłowski został zabity 10 IV 1948 r. w lesie pod wsią Przeźniska. W tym samym raporcie Batogowski napisał także o drugim przypadku zabójstwa: 18 V 1948 r. we wsi Glinki Rafały, gm. Sypniewo został zabity 26-letni Marian Nadwodny. Jak zapisał Batogowski, *zabity został przez nieznaną osobę ubraną po wojskowemu i uzbrojoną w automat*¹³⁶. Prawdopodobnie wyroki te wykonał patrol z oddziału „Dęba”.

Starosta makowski M. Bucylin pismem z 12

VII 1948 r., skierowanym do Urzędu Wojewódzkiego Warszawskiego w Pruszkowie, złożył raport opisujący sytuację w powiecie. Informował, że w drugim kwartale 1948 roku *stan bezpieczeństwa nie poprawił się. Na terenie powiatu grasują bandy. W miesiącu maju r. b. na teren powiatu przybyła jednostka wojskowa dla oczyszczenia elementu wrogo. W okresie sprawozdawczym na terenie powiatu były rozlepiane odezwy antyrządowe. Były również napady rabunkowe i zabójstwa dokonywane przez bandy. Jednostka wojskowa działająca na terenie powiatu makowskiego w czasie swojej działalności odnalazła u osób podejrzanych: 23 karabiny, 4 automaty, 4 pistolety, ok. 30 granatów, 1 moździerz, 1 wzmacniacz do radia i 10300 różnych naboje. W związku z tym zatrzymano 34 osoby podejrzane i współpracujące z bandą. Banda rekrutuje się z ludności włościańskiej – drobnych i większych rolników oraz bezrolnych z powiatów: makowskiego, ostrołęckiego, ciechanowskiego i przasnyskiego oraz z tzw. Brygady Wileńskiej. Stan bandy nie zmniejszył się, natomiast zmniejszył się stan współdziałających z bandą.*

W dalszej części tego pisma Bucylin poinformował ww. Urząd, że 7 VII 1948 r. Wojskowy Rejonowy Sąd w Warszawie na sesji wyjazdowej w Makowie Mazowieckim rozpatrywał w trybie doraźnym 10 oskarżonych osób i za przynależność do NZW oraz posiadanie broni skazał ich na wieloletnie więzienia. Skazanymi zostali:

1. Biedrzycki Andrzej Marian z Mamina – na 6 lat więzienia;
2. Bucinki Stanisław z Rzechowa Wielkiego – na 10 lat więzienia;
3. Kordowski Bolesław z Mamina – na 8 lat więzienia;
4. Piętkowski Kazimierz z Zabiela, gm. Sypniewo – na 6 lat więzienia;
5. Nakielski Adolf z wioski Żebry-Wierzchlas, pow. Ostrołęka – na 6 lat więzienia;
6. Mamiński Tadeusz z Zabiela, gm. Sypniewo – na 10 lat więzienia;
7. Mastyna Stanisław, gajowy z Gajówki Zambrzyckiej, gm. Sypniewo za rozlepianie ulotek antypaństwowych – na 4 lata więzienia;
8. Zabielski Bolesław, s. Józefa z Zabiela Wielkiego – na 10 lat więzienia;
9. Zabielski Bolesław, s. Ignacego z Zabiela Wielkiego – na 7 lat więzienia;
10. Glinka Stanisław z Żabina – Rzekuń, pow. Ostrołęka – na 6 lat więzienia.

Wszyscy wyżej wymienieni zostali dodatkowo skazani na pozbawienie praw obywatelskich i honorowych. Jak zaznaczył starosta Bucylin, *wszyscy oskarżeni przynależeli do winy, którą im udowodniono przewodem sądowym. Oskarżeni byli w bandzie „Dęba”*¹³⁷.

W trzecim i czwartym kwartale 1948 r. nastąpiły kolejne akcje antykomunistycznych oddziałów zbrojnych:

- 25 VIII 1948 r. został uprowadzony przodownik straży leśnej, ob. Ceglowski, członek PPR, mieszkaniec Nowej Wsi¹³⁸;

- 3 IX 1948 r., jak doniósł wójt A. Batogowski, doszło do potyczki oddziału podziemia antykomunistycznego z patroliem milicyjnym w wiosce Chelchy k. Sypniewa.

¹³⁰ APP, Starostwo Powiatowe w Makowie Mazowieckim 1945–1950, sygn. 68, k. 8.

¹³¹ APP, Starostwo Powiatowe w Makowie Mazowieckim 1945–1950, sygn. 30, k. 131.

¹³² B. Urbankowski, *Czerwona msza*..., s. 306.

¹³³ J. Karczewski, *Śladami niezłomnych*..., s. 165–168.

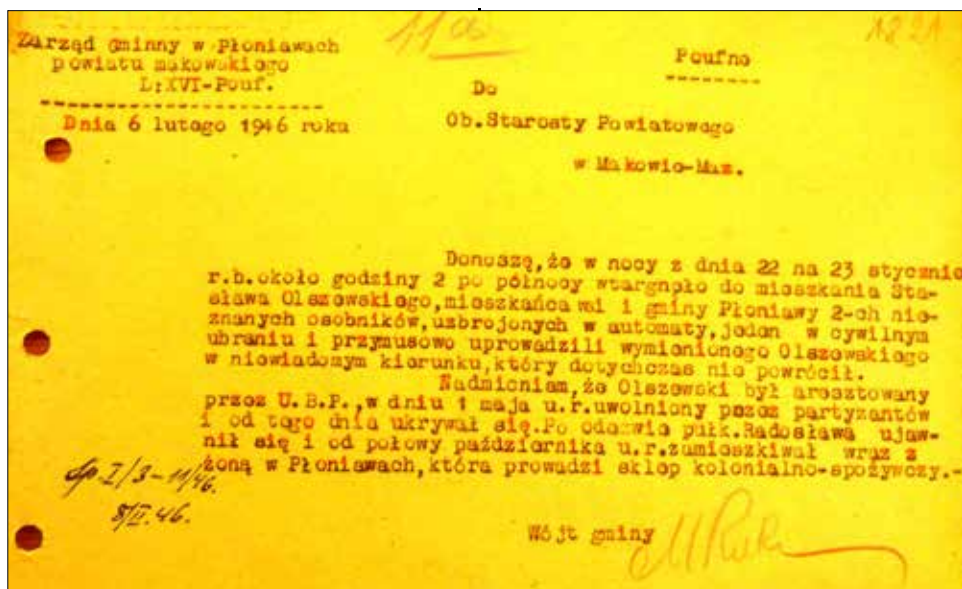
¹³⁴ APP, Starostwo Powiatowe w Makowie Mazowieckim 1945–1950, sygn. 33, k. 21, 43.

¹³⁵ W. Łukaszewski, „Rój” – partyzant Północnego Mazowsza..., s. 181.

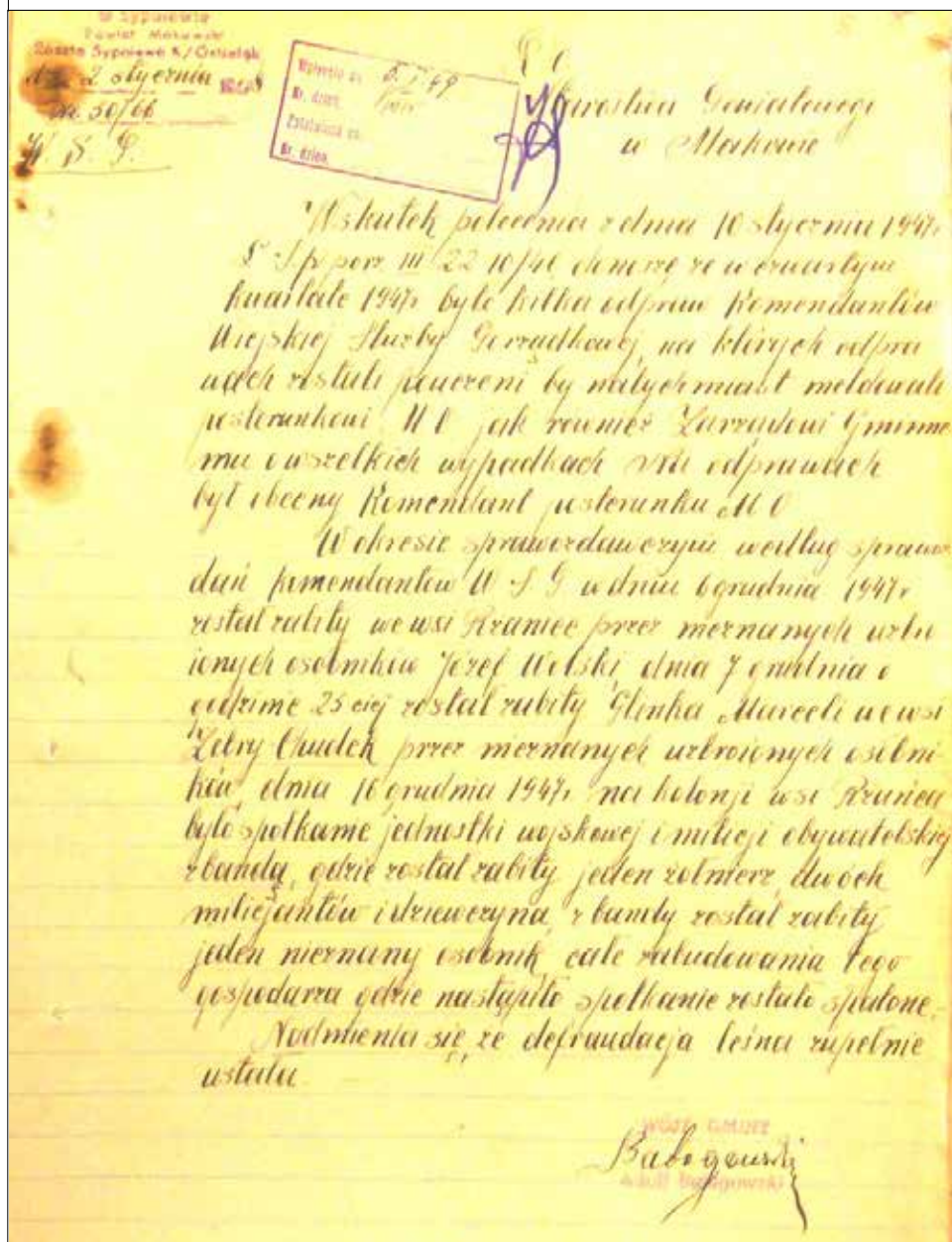
¹³⁶ APP, Starostwo Powiatowe w Makowie Mazowieckim 1945–1950, sygn. 68, k. 19.

¹³⁷ Tamże, k. 17–18.

¹³⁸ Tamże, k. 26.



Meldunek złożony przez wójta gminy Pioniawy do Starostwa Powiatowego w Makowie Mazowieckim w sprawie uprowadzenia i znalezienia zwłok Stanisława Olszewskiego. Źródło: APP, Starostwo Powiatowe w Makowie Mazowieckim 1945–1950, sygn. 33, k. 21.



Raport wójta gminy Sypniewo A. Batogowskiego donoszący o wydarzeniach, jakie zaszły w gminie Sypniewo w grudniu 1947 r. Źródło: APP, Starostwo Powiatowe w Makowie Mazowieckim 1945–1950, sygn. 68, k. 8.

W czasie potyczki została przypadkowo zabita 21-letnia Genowefa Mroczkowska z Chelch, a jeden z żołnierzy został ranny¹³⁹;

- 6 IX 1948 r. uprowadzony został przez nieznanych sprawców członek PPR, Eugeniusz Kreczmański, Inspektor Przeproszenie Rolnicze ze Szczecina, przebywający na urlopie we wsi Działyn, gm. Sypniewo¹⁴⁰;

- 7 IX 1948 r. uprowadzony został z posterunku MO w Karniewie milicjant Piekut Czesław¹⁴¹.

W poufnym piśmie z 12 I 1949 r., skierowanym do Urzędu Wojewódzkiego Warszawskiego, starosta Bucylin złożył sprawozdanie ze stanu bezpieczeństwa w pow. makowskim za czwarty kwartał 1948 r. Stwierdził na wstępie, że stan bezpieczeństwa nie poprawił się, bowiem w dalszym ciągu są różne przestępstwa. W piśmie poinformował m.in. o tym, że:

- dnia 12-X-48 r. o godz. 23 we wsi Gąsewo, gm. Sypniewo banda „Dęba” w liczbie trzech ludzi dokonała napadu rabunkowego na Spółdzielnię, gdzie zniszczyli centralę telefoniczną;

- dnia 23-X-48 r. o godz. 20 we wsi Retka, gm. Pioniawy banda dokonała zabójstwa Nakielskiego Piotra, rolnika, członka PPR. Zabójstwa dokonali dwaj sprawcy z bandy „Dęba” z broni palnej;

- dnia 23-XI-48 r. o godz. 21 pod Szelkowem, na drodze do wsi Magnuszew, gm. Smrock nieznani sprawcy dokonali zabójstwa ob. mgr inż. Wierniewicz Mariana, członka SD, zamieszkałego we wsi Magnuszew, gm. Smrock. Nieznani sprawcy oddali do niego szereg strzałów z pistoletu TT lub automatu PP-sza;

- dnia 14-XI-48 r., w nocy banda w sile 4-ech ludzi wtargnęła do mieszkania ob. Grochowskiego Jana, zamieszkałego we wsi Głódki, gm. Smrock, któremu zabrali legitymację PPR;

- dnia 18-XI-48 r. o godz. 20 banda w sile 3-ech ludzi, uzbrojona dokonała napadu rabunkowego na ob. Morawskiego Wacława, zamieszkałego we wsi Ogony, gm. Sieluń, któremu zabrali 30000 zł i legitymację PPR, poza tym banda wtargnęła jeszcze do mieszkania wójta gminy Sieluń ob. Długoleckiego Franciszka, któremu zabrali legitymację SL;

- dnia 28-XI-48 r. o godz. 20 banda w liczbie 2-ech ludzi grasowała we wsi Długoleka, gm. Sieluń, gdzie zrabowała 4-em członkom PPR tymczasowe zaświadczenia;

- dnia 14-XI-48 r. we wsi Rupin, gm. Sieluń banda w sile 7-miu ludzi, umundurowana i uzbrojona napadła na dom ob. Żebrowskiego Honorata, u którego przebywał funkcjonariusz MO Piotrowski Leonard, którego banda rozbroiła i uprowadziła w niewiadomym kierunku.

W końcowej części tego sprawozdania Bucylin napisał, że w powiecie makowskim stacjonuje oddział KBW, który oczyszcza teren z elementów wrogich¹⁴².

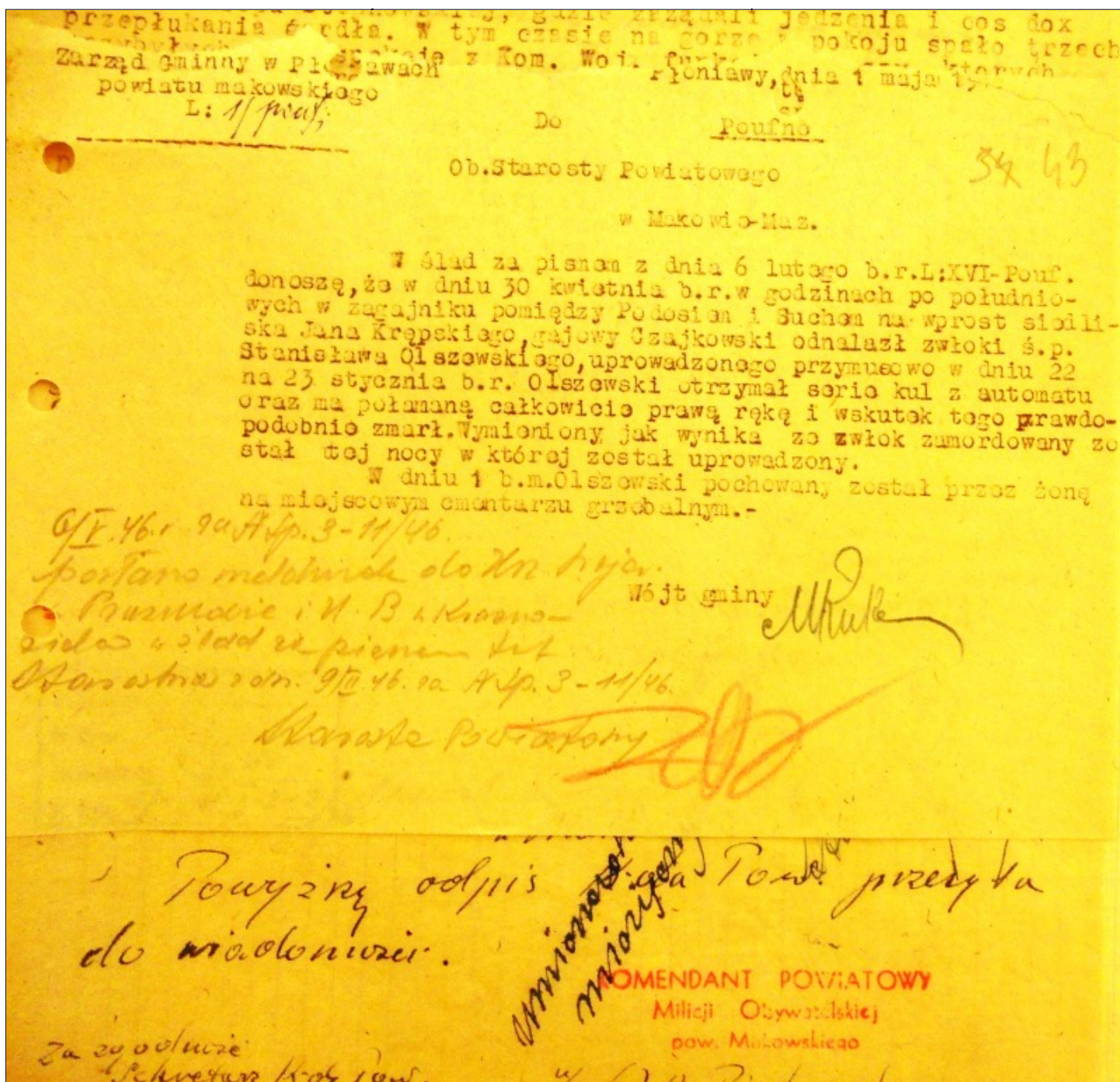
W 1949 r., podobnie jak w poprzednim,

¹³⁹ Tamże, k. 27.

¹⁴⁰ Tamże, k. 26.

¹⁴¹ Tamże.

¹⁴² APP, Starostwo Powiatowe w Makowie Mazowieckim 1945–1950, sygn. 69, k. 2.



Meldunek złożony przez wójta gminy Ploniewy do Starostwa Powiatowego w Makowie Mazowieckim w sprawie uprowadzenia i znalezienia zwłok Stanisława Olszewskiego. Źródło: APP, Starostwo Powiatowe w Makowie Mazowieckim 1945–1950, sygn. 33, k. 43.

nastąpiły w pow. makowskim liczne aresztowania osób podejrzanych przez UB o przynależność bądź współpracę z antykomunistycznym podziemiem zbrojnym. W sierpniu 1949 r. Sąd Rejonowy Wojskowy w Warszawie skazał jako przestępców politycznych 11 osób z pow. makowskiego. Karą było wieloletnie więzienie. Skazani zostali:

- Budny Henryk, s. Stefana i Józefy z d. Kania, mieszkaniec wioski Ruzieck, pow. Maków Mazowiecki, wyrokiem z dnia 11 VIII 1949 r. został skazany na karę 5 lat więzienia;
- Czujak Franciszek, s. Stanisława i Rozalii z d. Rekosz, sołtys wsi Raki, wyrokiem ww. Sądu został skazany na 10 lat więzienia;
- Długolecki Franciszek, s. Jana i Heleny z Rupińskich, mieszkaniec wioski Ogony, wójt gminy Sieluń, wyrokiem z 13 VIII 1949 r. został skazany na 10 lat więzienia;
- Kwiatkowski Marian, s. Antoniego i Rozalii

- z Biedrzyckich, mieszkaniec wioski Raki, wyrokiem z 20 VIII 1949 r. został skazany na 6 lat więzienia;
- Lewicki Franciszek, s. Franciszka i Marii z d. Kochanowicz, mieszkaniec wioski Grabowo, pow. Maków Mazowiecki, wyrokiem z 17 VIII 1949 r. został skazany na 5 lat więzienia;
- Ochenkowski Franciszek, s. Piotra i Ewy z Długoleckich, mieszkaniec wioski Długoleka, wyrokiem z 17 VIII 1949 r. został skazany na 10 lat więzienia;
- Olkowski Władysław, s. Franciszka, sołtys wsi Olki, wyrokiem z 5 XII 1949 r. został skazany na 10 lat więzienia;
- Orłowski Tomasz, s. Ignacego i Anny, mieszkaniec wioski Grądy, wyrokiem z 12 VIII 1949 r. został skazany na 7 lat więzienia;
- Plewa Mieczysław, s. Jana i Stefani, z d. Nadwodnej, mieszkaniec wioski Dylewo w pow. Maków Mazowiecki, wyrokiem z 17 VIII 1949 r. został skazany na 5 lat więzienia;

- Wilanowski Aleksander, s. Jana i Heleny, mieszkaniec wioski Zabiele Wielkie, wyrokiem z dnia 20 sierpnia został skazany na 5 lat więzienia;

- Żebrowski Roman, s. Czesława i Aleksandry z d. Załęskiej, mieszkaniec wioski Glinki, pow. Maków Mazowiecki, wyrokiem z 17 sierpnia został skazany na 5 lat więzienia¹⁴³.

W 1949 r., w tym samym dniu co Roman Żebrowski, aresztowane zostały cztery osoby z wioski Gierwaty-Śledzie: 23-letni Henryk Glinka, 18-letni Zygmunt Glinka (młodszy brat Henryka), Czesław Janyszko i Henryka Rupińska. Jak doszło do namierzenia i aresztowania tych osób?

Urząd Bezpieczeństwa posłużył się agentem Marianem Gadzińskim. Człowiek ten został zwierzbowany przez komunistów i skierowany

¹⁴³ APP, Starostwo Powiatowe w Makowie Mazowieckim 1945–1950, sygn. 33, k. 79–104.

do oddziału „Dęba”. Przebywając w oddziale partyzanckim, donosił do UB o jego przemieszczaniu się i podawał nazwiska jego członków. Jak się okazało w czasie śledztwa, Gadziński był dosyć przebiegły. Tam, gdzie przebywał, w mieszkaniach, gdzie kwaterował jego oddział, pod spodem krzesła lub taboretu na którym siedział, stawiał znaki kredą. W ten sposób uwiarygodniał późniejsze swoje zeznania składane przeciwko niedawnym kolegom z oddziału i osobom goszczącym partyzantów.

Po aresztowaniu wszyscy wyżej wymienieni zostali osadzeni na UB w Makowie Mazowieckim, gdzie poddani zostali brutalnemu śledztwu. Za przynależność do oddziału NZW, dowodzonego przez „Dęba”, i posiadanie broni skazany został na 15 lat więzienia Henryk Glinka. Obciążające zeznanie złożył przeciwko niemu agent Marian Gadziński, który był świadkiem, jak przekazywano mu broń. Henryk Glinka odsiedział w więzieniu 6 lat i 8 miesięcy i na mocy amnestii w 1956 r. został wypuszczony na wolność.

Młodszy brat Henryka – 18-letni Zygmunt Glinka – został poddany brutalnemu śledztwu. Makowscy funkcjonariusze UB liczyli na to, że jako młody chłopak Glinka załamię się w śledztwie i wyda wszystkie znane mu osoby należące lub współpracujące z partyzantami. Ubowiec prowadzący śledztwo, chcąc wymusić zeznania, bił go pięściami i kopał, gdzie popadnie. Po dwóch godzinach „przesłuchania” zalanego krwią, zmasakrowanego i nieprzytomnego wyciągano za nogi do celi. „Przesłuchania” takie, połączone z biciem do nieprzytomności, odbywały się co drugi dzień. Trwało tak przez tydzień. Zygmunt Glinka nie ugiął się, nie załamał i nikogo nie wydał. Po miesiącu pobytu w ubowskiej katowni został wypuszczony na wolność.

Przez kilka lat od wyjścia z więzienia był inwigilowany. Obserwowano jego zachowanie się, a sąsiedzi byli wypytywani przez funkcjonariuszy, co robi. Śledzono każdy jego krok. W 1952 r. Zygmunt Glinka został zmobilizowany do wojska i skierowany do górniczych oddziałów wojskowych. Nie był to przypadek. Do górniczych batalionów wojskowych kierowano wtedy osoby albo z rodzin „kułackich”, albo z rodzin, gdzie któryś z członków rodziny należał do podziemia antykomunistycznego lub walczył w armii Andersa, albo też z innych, politycznie podejrzanych rodzin. Zygmunt Glinka pracował jako żołnierz-górnik w kopalni „Wujek” przez prawie dwa lata. Został zwolniony do cywila w 1954 r.

Pozostali mieszkańcy Gierwat-Śledzi, zarówno Czesław Janyszko, jak i Henryka Rupińska, skazani zostali na 1,5 roku więzienia. Odsiedzieli w więzieniu cały zasądzony wyrok¹⁴⁴.

W nocy z 2 na 3 VI 1949 r. w miejscowości Wólka Rakowska w gm. Krasnosielc jednostki UB, KBW i MO dokonały zakrojonej na szeroką skalę obławy na patrolu Witolda Boruckiego „Dęba”, „Babinicza”. W chwili obławy znajdowała się tam również Komenda

Okręgu „Tęcza” i patrol „Wiosna” i „Błękit”. Obława zakończyła się niepowodzeniem jednostek resortu bezpieczeństwa, ponieważ większości z okrążonych żołnierzy antykomunistycznego podziemia udało się przebić przez pierścień okrążenia. Nie udało im się dopaść „Babinicza”. W ręce komunistów wpadła jednak Jadwiga Królikowska ps. „Danuta”, sanitariuszka, pełniąca funkcję szefowej służby medycznej Okręgu „Tęcza” dowodzonego przez Witolda Boruckiego. Danuta Królikowska pochodziła z wioski Krzyżewo Marki w gm. Płoniawy, gdzie jej rodzice prowadzili gospodarstwo rolne. W szeregach antykomunistycznego NZW wstąpiła na początku czerwca 1948 r. Po aresztowaniu poddana została długotrwałemu i ciężkiemu śledztwu. Po jego zakończeniu odbył się proces. Jadwiga Królikowska została skazana na 15 lat więzienia¹⁴⁵.

Nie mogąc pokonać w walce Witolda Boruckiego, ubecy postanowili powołać specjalną grupę operacyjną, złożoną ze sprawdzonych agentów, której celem miała być likwidacja Komendanta Okręgu. Użyto grupy agenturalnej o kryptonimie „V Kolumna”, złożonej z członków Podziemia – agentów Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, mordujących na zlecenie resortu dawnych towarzyszy broni¹⁴⁶. Agenci ci zostali wysłani w teren w celu wytopienia Witolda Boruckiego. W dniu 19 VIII 1949 r. w wiosce Żebry-Wierzchlas Witold Borucki „Dąb”, „Babinicz” został przez nich skrytobójczo zamordowany podczas snu¹⁴⁷. Był to duży cios dla antykomunistycznego podziemia.

Po śmierci Komendanta XVI Okręgu „Tęcza” Witolda Boruckiego struktura okręgu przestała istnieć. Jednak walkę kontynuowały dalej pojedyncze oddziały i patrol z tego okręgu, w tym oddział „Wisła” dowodzony przez Mieczysława Dziemieszkiewicza „Roja” i oddział „Wiosna”, którego dowódcą był sierż. Edward Lipiński „Mrówka”.

Edward Lipiński pochodził z wioski Budne Sowieta w gm. Baranowo. Przed wojną ukończył siedem klas szkoły podstawowej, a następnie szkołę rolniczą. Od 1940 r. działał w konspiracji. Należał do AK w obwodzie przasnyskim, pełniąc tam funkcję łącznika. Zagrożony aresztowaniem został przeniesiony do Generalnego Gubernatorstwa i włączony w struktury wywiadowcze. W styczniu 1944 r. został zatrzymany przez Niemców i skierowany na 1,5 roku na przymusowe roboty do obozu pracy w Niemczech, skąd udało mu się uciec. Niedługo po tym został przez Niemców ponownie aresztowany i zesłany do obozu karnego w Działdowie, skąd 1 VIII 1944 r., po brawurowej ucieczce, udało mu się wydostać. Wrócił w rodzinne strony i wstąpił do oddziału partyzanckiego AK operującego w obwodzie przasnyskim.

Po tzw. „wyzwoleniu”, od 1945 r. Edward Lipiński działał w strukturach podziemia antykomunistycznego, należąc do NSZ, a później do NZW. W czerwcu 1948 r., kiedy to powołana została przez Witolda Boruckiego nowa Komenda XVI Okręgu „Tęcza”, Edward

Lipiński został dowódcą KP „Wiosna”. Jego oddział działał na terenie pow. przasnyskiego, gdzie „Mrówka” przeprowadził wiele skutecznych akcji. Do rozpracowania i likwidacji patrolu Edwarda Lipińskiego zostali skierowani ci sami agenci z V Kolumny, którzy zlikwidowali Witolda Boruckiego „Babinicza”. Jak pisał J. Karczewski, „agenci „Jan” i „Prawdziwy” wpadli na trop oddziału i przekazali UB informację o trasie przemieszczania się pięcioosobowej grupy. Po uzyskaniu tej informacji, 15 X 1949 r. Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego zorganizował zasadzkę na patrol „Mrówki” w miejscowości Olszewka w gm. Jednorzec. Będąc w beznadziejnej sytuacji, okrążony patrol nie zamierzał się poddać. Podczas walki z wielokrotnie liczniejszym oddziałem KBW zginął cały pięcioosobowy patrol, razem z jego dowódcą Edwardem Lipińskim¹⁴⁸.

UB i KBW likwidowała kolejnych dowódców i ich patrol. Sytuacja resztek oddziałów antykomunistycznego podziemia stawała się beznadziejna. Z Komendy XVI Okręgu „Tęcza” najdłużej bronił się przed komunistami oddział „Wisła” dowodzony przez **Mieczysława Dziemieszkiewicza „Roja”**. Jednak i jego w końcu szczęście opuściło. Na „Roja” doniosła do UB jego dziewczyna Alina Burkacka. UB zwerbował ją do współpracy. Obiecano jej, że za cenę informacji o miejscu przebywania „Roja” zwolnią z więzienia jej rodziców, skazanych na kilkuletnie więzienia za współpracę z partyzantami. Alina Burkacka wybrała swoich rodziców i wydała „Roja”, zdradzając jego miejsce zakwaterowania. Jak pisał dr W. Łukaszewski, „I Brygada KBW, w skład której wchodziło 270 żołnierzy oraz oddziały UB i MO okrążyły potrójnym pierścieniem tyraliery gospodarstwo rodziny Burkackich w kolonii Szyszki (gm. Kozłowo, pow. pułtuski), w którym kwaterował „Rój” oraz Bronisław Gniazdowski „Mazur”. Operacja była również wspierana przez samolot oświetlający teren. Po kilkugodzinnej akcji, okrążeni partyzanci chcąc przedostać się przez pozycje przeciwnika dostali się w epicentrum kanonady karabinów maszynowych. Tak oto zginął „Rój” największy i najbardziej wytrwały partyzant północnego Mazowsza¹⁴⁹.

Partyzanci zbrojnego podziemia antykomunistycznego nie byli bandytami, jak ich mieli w zwyczaju określać funkcjonariusze z UB, MO i działacze „władzy ludowej”. Niektórzy z nich byli przedwojennymi żołnierzami, tworząc w antykomunistycznym podziemiu trzon dowódczy. Obowiązywała ich przysięga wojskowa złożona na wierność Ojczyzny. Nie uznawali komunistycznego rządu narzuconego Polsce przez Stalina i podporządkowania Polski Związkowi Radzieckiemu. Inni, nie będący żołnierzami, włączyli się do walki z „czerwoną zarazą” w reakcji na prześladowania niewinnych ludzi, liczne aresztowania dokonywane przez Sowietów, gwałty na kobietach i nieustanne kradzieże. Młodzi ludzie, będąc zmuszeni do obrony, chwycili za broń. Zarówno jedni, jak i drudzy marzyli o wolnej, niepodległej Polsce. Niektórzy zdecydowani byli walczyć do końca

¹⁴⁵ J. Karczewski, *Śladami niezłomnych...*, s. 209–212.

¹⁴⁶ K. Krajewski, T. Łabuszewski, *Mieczysław Dziemieszkiewicz „Rój”...*, s. 10.

¹⁴⁷ J. Karczewski, *Śladami niezłomnych...*, s. 63.

¹⁴⁸ Tamże, s. 255–258.

¹⁴⁹ W. Łukaszewski, „Rój” — partyzant Północnego Mazowsza..., s. 184.

¹⁴⁴ Relacja Zygmunta Glinki, mieszkańca wioski Gierwat-Śledzie (w zbiorach autora).



Bolesław Cześnik „Orlik”. Źródło: J. Karczewski, *Śladami niezłomnych...*, s. 171.

o wolność Ojczyzny. Jeden z żołnierzy „Mrówki”, 19-letni Ignacy Długolecki, wstępując w 1947 r. do NZW tak napisał w swoim życiorysie: *Jako szczerzy Polak, patrząc na obecny ustrój komunistyczny, z całą zapalczywością wstąpiłem jako ochotnik do oddziału KP „Mściciel” by toczyć walkę z komuną, która zaczęła zakradać się w Naród Polski. (...) Duch mój rwie się, by mścić wroga bezlitośnie, zadając mu ciosy i przeszkadzając na każdym kroku. Stać będę na straży, by bronić honoru Polaka, wolności, wiary i Ojczyzny. Tak mi dopomóż Bóg*¹⁵⁰. Te i inne tego typu przykłady niezłomności charakterów oraz tragiczne losy żołnierzy podziemia antykomunistycznego na Mazowszu opisał w swojej pięknej książce *Śladami niezłomnych* Jacek Karczewski, dyrektor Muzeum Żołnierzy Wyklętych w Ostrołęce.

W reakcji na podłe i kłamliwe określanie żołnierzy podziemia niepodległościowego „bandytami”, WIN-owskie podziemne pismo „Szydło” zamieściło w swoim pierwszym numerze (z 20 IX 1946 r.) anonimową balladę pt. *Bandyci*:

*Za carskich czasów, wiemy to sami
Byliśmy zwani wciąż bandytami
Każdy, kto Polskę ukochał szczerze,
Kto pragnął zostać przy polskiej wierze,
Kto nie chciał lizać moskiewskiej lapy,
Komu obrzydły carskie ochłapy
I wstrętnym było carskie koryto
Był „miateżnikiem” – polskim bandytą.*

*„Polskich bandytów” smutne mogiły
Tajgi Sybiru liczne pokryły.*

*Przyszłł bolszewik – znów piosenka
stara*

Czerwonych synów białego cara.

Polak, co nie chciał zostać Kainem,

Że chciał być wiernym ojczyźnie synem,

Chciał jej wolności w słońcu i chwale,

A że śmiał mówić o tym zuchwale,

Że nie chciał by go więziono, bito,

Był „reakcyjnym polskim bandytą”.

I znów Sybiru tajgi pokryły

„Polskich bandytów” smutne mogiły

(...)

Teraz, gdy w gruzach Germania legła,

*Jest Polska „Wolna i Niepodległa”,
Jest wielka, młoda, swobodna, śliczna.
I nawet mówią – „demokratyczna”.
Cóż z tego, kiedy kto Polskę kocha,
W kim pozostało sumienia trochę,
Komu niemiłe sowieckie myto,
Jeszcze raz został „polskim bandytą”.
I znów polskości tłumią zapęły
Tortury UB, lochy, podwały.*

*O Boże, Chciałbym zapytać Ciebie,
Jakich Polaków najwięcej w niebie?
(głos z góry)*

*Plaszczem mej chwały, blaskiem
okryci*

*Są tutaj wszyscy polscy
bandyci*¹⁵¹.

W dniu 15 VIII 1990 r., po mszy świętej za duszę śp. Wenantego Wiszowatego – Szefa Organizacyjnego Narodowych Sił Zbrojnych na terenie pow. makowskiego, przemówienie wygłosił były Szef Sztabu Okręgu II NSZ, mjr Stanisław Borodziej.

Oto fragmenty tego przemówienia: *Bóg pozwolił mi dożyć, by dziś uczestniczyć we Mszy św. za duszę św. pamięci Wenantego Wiszowatego – Szefa Organizacyjnego Narodowych Sił Zbrojnych na terenie powiatu makowskiego. (...) Po wojnie, tj. po wejściu wojsk sowieckich na nasze tereny, ówczesny Komendant Okręgu Mazowsza Północ ppłk Józef Żbikowski – ps. „Grzymała”, wraz z całym sztabem stał na stanowisku, że należy się powstrzymać od jakichkolwiek walk z ówczesną władzą komunistyczną, licząc na to, że stosunki – w miarę upływu czasu – unormują się. Tak jednak się nie stało. Stalinowscy sługusi nie tylko, że sprzedawali Ojczyznę czerwonemu reżimowi, ale coraz bardziej krwawo rozprawiali się z żołnierzami AK i NSZ. Wywożenie na Sybir, aresztowania, zabójstwa w śledztwie zmusiły nas do podjęcia obrony. 1 maja 1945 r. poleciłem rozbić więzienie w Krasnosielcu pow. Maków. Przygotowanie akcji i dowództwo nad nią poleciłem por. Romanowi Dziemiszkieviczowi – ps. „Adam”, „Pogoda”. Był to najzdolniejszy oficer, jakiego można sobie wyobrazić. Zastępcą jego został ppor. Czesław Czaplicki ps. „Ryś”. W błyskawicznym natarciu oddziału żołnierzy NSZ w ilości ok. 60 osób udało się rozbroić Urząd Bezpieczeństwa i wypuścić 42 żołnierzy AK i NSZ (...). W kilka dni potem rozbroiliśmy kilka posterunków milicji w powiatach Okręgu i zabraliśmy kilku donosicieli ubowskich. Nad wszystkimi zatrzymanymi odbywały się sądy wojskowe i winni swoich zbrodni ponieśli zasłużoną karę.*

Pragnę tu zapewnić, że nasza walka nie była chaotyczna i nie kierowaliśmy się jakkolwiek zemstą. Wywiad nasz miał prawidłowe rozeznanie. Wiedzieliśmy kogo i na czyj rozkaz

aresztowano, wywieziono do Rosji czy sfalszowano wyroki oraz nad kim się znęcano. Jesienią 1945 r. na terenie Mazowsza Północ zjawiała się nowa organizacja niepodległościowa – Narodowe Zjednoczenie Wojskowe – kierowana na szczęblu Komendy Głównej w Polsce przez generała Tadeusza Danilewicza ps. „Kossak”, b. Szefa Organizacyjnego Komendy Głównej Narodowych Sił Zbrojnych. Walki z komunizmem prowadzone przez żołnierzy NZW trwały do 1951 r. Jednym z odważnych



Witold Borucki „Dąb” „Babinicz”. Źródło: <https://wilczetropy.ipn.gov.pl/wt/biogramy/13541,Chor-Witold-Borucki-Dab-Babinicz.html> (dostęp 6 X 2018 r.)

i dobrych dowódców na terenie powiatów: ciechanowskiego, pułtuskiego, makowskiego i przasnyskiego był Mieczysław Dziemiszkievicz ps. „Rój”. Był to oficer o nieprzeciętnych zdolnościach przewidywania, wielki patriota, odważny i zdecydowany na wszystko.

My, żołnierze Narodowych Sił Zbrojnych – ludzie głęboko wierzący, pragniemy przebaczyć wszystkim naszym byłym wrogom, a jednocześnie zanosimy modlitwy do Stwórcy Świata, by zechciał otoczyć swą boską opieką wszystkich, którzy zginęli w walce o Polskę, a nam dał jeszcze siły by pracować i żyć dla dobra naszej ukochanej Ojczyzny¹⁵². Tymi słowami zakończył swoje przemówienie żołnierz niezłomny, mjr Stanisław Borodziej „Wara”.

Oby pamięć o partyzantach z Armii Krajowej i Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, którzy do końca walcząc o wolność naszej Ojczyzny, oddali za nią swoje życie, pozostała w nas wiecznie żywa. Pamiętajmy o naszych lokalnych bohaterach.

Tadeusz Suski

¹⁵⁰ J. Karczewski, *Śladami niezłomnych...*, s. 258.

¹⁵¹ B. Urbankowski, *Czerwona msza czyli uśmiech Stalina*, t. 4, Warszawa 2014, s. 257–258.

¹⁵² Cz. Czaplicki (vel Chodkowski, vel Rylski) *Poszukiwany listem gończym...*, s. 303.

Powrót taty

- jak Franek Kaczorek z niewoli do domu wracał

*Tato nie wraca; ranki i wieczory
We łzach go czekam i trwodze;
Rozlały rzeki, pełne zwierza bory
I pełno zbójców na drodze.*
Adam Mickiewicz, Powrót taty

Agnieszka Leszczyńska

Wymyślił to niewielka miejscowość w okolicach Krasnosielca, tuż przy szosie na Ostrołękę. To tutaj 25 X 1903 r. urodził się Franciszek Kaczorek, czwarte z sześciorga dzieci Jana Kaczorka i Franciszki z Ferenców. Matka zmarła, kiedy Franciszek miał niespełna dwa lata. Ojciec powtórnie się ożenił. Z drugiego małżeństwa urodziło się kolejnych siedmiu dzieci.

Franek chodził do szkoły oddziałowej w Krasnosielcu. Uczył się dobrze i zdał egzamin do Gimnazjum w Pułtusku. Ojciec załatwił mu nawet stancję, ale macocha się nie zgodziła, żeby pasierb dalej się uczył, bo uważała, że bardziej przyda się w gospodarstwie, zwłaszcza, że chłopak był bardzo zręczny do koni i innych zwierząt gospodarskich. Poza tym do Pułtusza trzeba było dowozić i zawozić produkty, które były umówione za stancję. W tamtych czasach za stancję najczęściej płacono się płodami rolnymi, masłem, jajkami, mięsem, słoniną. Tak więc póki co młody Franek zakończył swoją edukację i zajął się pracą w gospodarstwie.

W wieku lat około 19 chłopak zgłosił się na ochotnika do wojska. Co go do tego skłoniło? Nie miał co ze sobą zrobić, bo do gospodarstwa było trzech starszych braci i kilkoro młodszego rodzeństwa, a rzemiosło było wtedy w rękach krasnosielckich Żydów. A może myślał o karierze wojskowej, zwłaszcza po chwalebnych wydarzeniach 1920 r.? Ponieważ był ochotnikiem, trafił do I Pułku Szwoleżerów im. Piłsudskiego w Warszawie. Dowództwo uznało, że Franek dobrze rokuje, bo został wysłany do szkoły podoficerskiej, którą ukończył z bardzo dobrym wynikiem.

Konie naszego pułku były trzymane w tej samej stajni, co dwa piękne rumaki samego Józefa Piłsudskiego. Jego żona z córkami często przychodziły te konie oglądać i przynosiły im cukier. A nam, młodym, niebogatym chłopakom, aż języki do tego cukru chodziły. Wtedy wojsko, jak na samym początku zgłaszało się na przydział, wyglądało bardzo nędźnie – umundurowanie pochodziło z najróżniejszych armii: niemieckiej, austriackiej, rosyjskiej i trochę z polskiej. Podobnie było z uzbrojeniem. Jak na 11 listopada wojsko przygotowywało się do defilady, to myśmy tylko ze stajni przez okna mogli się przyglądać, bo wstydzieli się nas pokazać.

W wojsku Franciszek Kaczorek był najpierw kapralem, a potem został awansowany na plutonowego.

Po śmierci ojca Franek wrócił do rodzinnego domu i zajął się gospodarstwem. W 1927 r.



ożenił się z dziewczyną z sąsiedniej wsi – Walentyną Mackiewicz. Razem pracowali i powiększali niewielki, bo 3 morgowy majątek (ok. 1,5 ha). Szło im na tyle dobrze, że w 1939 r. ich gospodarstwo liczyło sobie już 9 ha. Ich praca została doceniona przez samego Prezydenta Ignacego Mościckiego, który w 1935 r. odznaczył Franciszka Brązowym Krzyżem Zasługi za to, że w czasach kryzysu, kiedy duża część polskich majątków trafiała w ręce Żydów, on ciężką, uczciwą pracą sprawiał, że jego gospodarstwo tak dobrze prosperowało. Jego praca na roli przerywana była szkoleniami wojskowymi w Ostrołęce, na które wzywany był sześć razy.

Franek został powołany do wojska w sierpniu 1939 r. w stopniu plutonowego i miał zająć się umundurowaniem nowo przybyłych rekrutów. Jego grupę skierowano na koncentrację do Wołkowyska (dzisiejsza Białoruś). Spodziewali się frontu od zachodu, tymczasem 17 IX 1939 r. utworzył się drugi front na wschodzie. Polscy żołnierze mieli rozkaz nie walczyć z Rosjanami, chyba że dojdzie do prowokacji. Nie wiadomo, czy Franek miał okazję chociaż raz brać udział w bitwie z Niemcami, bo dostał się do niewoli sowieckiej. Już tam, w Wołkowysku, myślał o ucieczce, bo jeńcy nie byli jeszcze tak bardzo pilnowani, ale porzucił tę myśl, czekając na rozwój wypadków. Schował tylko swoje dokumenty pod mchem w lesie. Rosjanie podejrzewali, że był podoficerem, ale nie mieli dowodów. Sprawdzali ręce, czy były delikatne;

był też wielokrotnie przesłuchiwany.

Rosjanie powiedzieli, że zawiozą Polaków do Warszawy, więc wszyscy chcieli jak najszybciej wsiąść do podstawionych wagonów bydlęcych. Tymczasem Sowietów zabezpieczyli drzwi wagonów drutem i wywieźli jeńców do Kozielska. Tam tworzyli listy więźniów, zapisując nazwiska. Wynikło z tego wiele pomyłek, bo Polacy może nie zawsze wyraźnie wymawiali nazwiska, a Rosjanie często nie potrafili ich poprawnie zapisać. Listy więźniów były odczytywane podczas rozdzielania racji żywnościowych, a ci, których nazwisk nie odczytano (bo były przekręcone), nie dostawali jeść. Kiedy sytuacja powtarzała się przez kilka dni, ludzie ci wręcz mówili: „Albo nas zastrzelcie, albo dajcie nam jeść!”. Wtedy Rosjanie brali polskich oficerów, żeby zapisywali i odczytywali nazwiska po polsku.

A wyżywienie w obozie było straszne. Więźniowie dostawali tylko raz dziennie zupę z brukwi. Również strażnicy ją jadali, tyle że częściej, bo co który przyprowadził grupę więźniów, to z nią zjadł. Panował głód i krwawa dyzenteria. Oficerowie przetrzymywani byli w innym pomieszczeniu, ale przyprowadzali ich do tej samej kuchni.

Franek, człowiek zahartowany w trudnych warunkach na gospodarstwie, po miesiącu pobytu w Kozielsku był już tak słaby, że nie mógł sam wejść na prycę. Poza tym więźniom doskwierało też dotkliwie zimno. Z dniem 9 października, kiedy przyjechali, to na rzecę nieopodal łódź była już taka, że kamienie go nie przebiwały. Mieszkali w budynkach poklasztornych. Panował ziąb, nie bardzo mieli czym się okryć.

Pomimo bardzo trudnych warunków więźniowie mieli nadzieję, że wcześniej czy później odzyskają wolność. Ich powrót stał się możliwy na mocy porozumienia sowiecko-niemieckiego. Rosjanie mieli oddać Polaków z terenów zajętych przez Niemców, czyli mniej więcej do Bugu, a Niemcy ludzi zza Bugu, którzy jakoś znaleźli się na terenach okupowanych. W dniu 25 października nadzieja polskich więźniów zaczęła przybierać realne kształty. Rosjanie załadowali polskich żołnierzy (z wyjątkiem oficerów) do wagonów. Transport zatrzymał się w Smoleńsku, gdzie po całym miesiącu głodu dostali wreszcie do syta jeść. Żołnierze jedli tak łapczywie, że niektórzy z nich odchorowali tę ucztę na odjeżdżne. A Rosjanie, przechadzając się między nimi, przypominali: „Jedziecie do Niemców, ale idee komunistyczne to żebyście na brzegu języka mieli”.

Było powiedziane, że transport jedzie do Warszawy. Tam wszyscy mieli dostać dokumenty i pieniądze na dojazd do domów. Tymczasem po dotarciu do Brześcia nad Bugiem pociągi zatrzymały się. Mieszkańcy Brześcia tłumnie przychodzili i przynosili uwięzionym żołnierzom jedzenie. Zrobiło się zamieszanie. Niemcy, obawiając się ucieczek, zaczęli strzelać do cywilów. Ci, uciekając, wrzucali do pociągów przez okna to, co przynieśli.

W Brześciu miała nastąpić wymiana jeńców. Niemcy podwieźli swoich do granicy, a kiedy przyjęli transporty jadące z Rosji, zapakowali wszystkich do pociągów i przez Austrię wywieźli na roboty przymusowe do Niemiec, łamiąc tym samym wcześniejsze ustalenia. Polacy oczywiście o niczym nie wiedzieli. Kiedy pociąg minął Warszawę, a potem Kuluszki, zrobił się popłoch. Jedni płakali, inni klęli, jeszcze inni wyrwali deski z podłogi wagonów. Niektórym nawet udało się wydostać, ale nie wiadomo, czy przeżyli. Za Częstochową pociąg zatrzymał się w polu. Niemcy kazali wszystkim wysiąść i zapowiedzieli, że jeśli z któregoś wagonu ktoś ucieknie, to wszyscy z tego wagonu zostaną rozstrzelani. Od tej pory jedni pilnowali drugich.

Transport więźniów dotarł do stalagu¹⁵³ w Austrii, gdzie najpierw ich odwieźli i oczyścili z robactwa, ale nie tylko z tego. Niemcy kazali im pozdejnować wszystko i zabrali ubrania do dezynfekcji. Jak więźniowie dostali je z powrotem, to w kieszeniach już nie było. Poza tym zostali tylko w jednym ubraniu, nie mieli koców, a przecież była już zima.

Następnym przystankiem był stalag koło Magdeburga. Więźniów przywieźli tam jak bydło na sprzedaż i odbył się swego rodzaju targ. Przyjeżdżali Niemcy z okolicznych folwarków i wybierali sobie takich rzemieślników, jakich im akurat brakowało: kowali, stolarzy, dekarzy itd. Ci natomiast, którzy zostali, byli przydzielani do folwarków do pracy na roli.

Franek trafił do pracy w gospodarstwie w Kalitz niedaleko Loburga, gdzie spędził prawie 3 lata. Zajmował się tam końmi. W grupie 20 Polaków, którzy tam zostali przydzieleni, był jedynym podoficerem. Pomimo że byli po cywilnemu, to hierarchia wojskowa nadal była respektowana. Franka zatem traktowano jak dowódcę – to on łagodził animozje wśród współtowarzyszy, organizował codzienne życie i rozstrzygał w spornych sprawach.

W końcu zdecydował się, że ucieknie. Musiał to zrobić tak, żeby inni nie wiedzieli, bo jeszcze ktoś mógłby się wygadać – jeśli nie specjalnie, to przypadkiem. O planowanej ucieczce powiedział tylko najbliższemu przyjacielowi, Tomaszowi Mackiewiczowi, z którym znali się jeszcze z wojska. Jednak tamten nie chciał ryzykować.

Ucieczki z robót przymusowych odbywały się wtedy w różny sposób. Jedni szli tylko z nożem albo z jakąś zdobyczną bronią, a jak kogoś napotkali na swojej drodze, to likwidowali. Franek wymyślił to sobie inaczej.

Realizację jego planów umożliwiła mu zmiana sposobu traktowania jeńców, którzy z czasem zaczęli funkcjonować jak robotnicy najemni. W soboty i w niedziele mogli się oddalić do 10 km od miejsca zakwaterowania. Jeździli więc do Loburga, niewielkiego miasteczka znajdującego się niedaleko. Przed Wielkanocą dostawali nawet konie do dyspozycji, żeby mogli jechać do kościoła.



Polaków w tym folwarku pracowało 20. Oprócz nich było tam też ok. 50 Włochów, ale ci byli pracownikami najemnymi i mieli dosyć duży przydział żywnościowy. Natomiast polscy robotnicy do jedzenia dostawali głównie ziemniaki i odciganą mleko – tego było pod dostatkiem. Posiłki przygotowywała im starsza kobieta – Jugosławianka. Natomiast chleba zawsze było mało. Jeńcy chodzili nawet do dziedzica, żeby im pozwolił przemleć trochę ziarna na mąkę w śrutowniku, to sami sobie chleb upieką. Ale dziedzic się nie zgodził, tłumacząc, że on sam ma chleb na kartki. Jedynym źródłem lepszego jedzenia były otrzymywane z domu paczki, które były jednak sprawdzane przez strażników, podobnie jak listy.

Ponieważ wtedy Polacy dostawali już jakieś pieniądze za swoją pracę, to Franek zbierał każdy grosz, odmawiając sobie prawie wszystkiego. W końcu kupił sobie dobre ubranie, typowe dla Niemca, czyli ładną jesionkę, spodnie i buty. Dodatkowo nabył cygaro i niemiecką gazetę. Przez 3 lata pobytu na folwarku trochę nauczył się niemieckiego.

Wystrojony w nowe ubranie Franek wsiadł do pociągu do Magdeburga, a potem miał przesiąść się na pociąg do Berlina. W czasie, kiedy trafił do Magdeburga, wojska alianckie prowadziły bombardowanie tego miasta i pociąg znacznie się opóźnił. Kiedy Franek był jeszcze w Kalitz, pilnie przysłuchiwał się temu, co mówili Polacy przyjeżdżający z innych folwarków. Czasem byli to pracownicy najemni, którzy przyjeżdżali do Niemiec na tzw. „saksy”, bo w Polsce nie było dla nich pracy. Oni też mogli jeździć do kraju w odwiedziny. Franek podpytywał ich mimochodem o podróż i tak sobie przygotowywał grunt. Stąd kiedy znalazł się w Magdeburgu, dobrze wiedział, gdzie ma iść.

Dopiero, kiedy dotarł do Berlina, to się pogubił. Trzeba było przejechać Berlin metrem, wysiąść na określonej stacji i stamtąd dopiero odchodził pociąg do Wrocławia. Niestety Franek o tym nie wiedział. Powoli zaczął wpadać w panikę. Jeździł metrem od jednej stacji do drugiej. W końcu łamaną niemiecką zaczął pytać o drogę przechodniów. Podszedł do pewnego człowieka, a tamten odzywa się do niego po polsku: „Nie rozglądaj się, bo cię wszyscy widzą. Czego ci potrzeba?”. Nieznajomy okazał się Polakiem, pracownikiem cywilnym jeszcze sprzed wojny. Franek powiedział mu, dokąd chce jechać. Idąc, obaj udawali śmiech, a kiedy ktoś się zbliżał, wtrącali jakieś niemieckie zdania. Polak wytłumaczył Frankowi, gdzie i jak ma jechać, kupił mu bilet i pokazał, do którego pociągu wsiąść. Życzył mu szczęśliwej drogi i zniknął. „Anioł Stróż, czy co?” – pomyślał Franek.

Zrobił, jak mu kazali nieznajomy. Wszystko było tak, jak tamten mówił. Dojechał do Wrocławia, gdzie musiał się przesiąść w pociąg do Katowic. Wsiadł do wagonu, a tam pełno niemieckich żołnierzy jadących na front wschodni. Kazali mu wyjść, więc niewiele myśląc, wycofał się i stanął przy barierce na zewnątrz. Pociąg gna, ziąb, bo to luty, a Niemcy tylko się dopytują, czy mu zimno, jakby mieli z tego uciechę i satysfakcję.

Franek wysiadł w Katowicach i przesiadł się na pociąg do Zawiercia. Po dotarciu na miejsce czekało go przejście przez granicę Generalnej Guberni. Pierwsza próba się nie powiodła. Kolejny raz przeprowadzała go dziewczyna, która za odpowiednią sumę pieniędzy zgodziła się mu pomóc. Tym razem się udało. Dalej musiał iść kawał drogi pieszo, a potem wsiąść do pociągu jadącego przez Częstochowę do Warszawy. Siedząc w wagonie, stwierdził, że w porównaniu z innymi pasażerami wygląda zbyt dobrze. Kurczył się więc, żeby za bardzo nie rzucać się w oczy.

Po drodze przyłączył się do niego młody chłopak, też uciekinier. Z jednej strony Frankowi było go żal i nie chciał go wyganiać, ale z drugiej bał się i kazał mu iść za sobą w pewnym oddaleniu. „Jak ja wpadnę, to ty chociaż się uratujesz” – mówił. Na szczęście obu im się udało. Co prawda kontrola w pociągu była, ale Niemcy szukali tylko walizek z przemycaną żywnością, a dokumenty ich nie interesowały.

W Warszawie drugi „anioł stróż” się trafił. Franek miał zamiar jechać przez Ciechanów, miał nawet już kupiony bilet. Idąc na peron, spotkał znajomego z Sypniewa, który zajmował się szmuglem. Miał na nazwisko Lipka. Dostarczał ze wsi jedzenie do Warszawy. Część z tego szła nawet do getta, za dobre pieniądze oczywiście. Jedzenie wymieniał albo na pieniądze, albo na kosztowności. Na widok znajomego z rodzinnych stron bardzo się ucieszył. Kiedy poznał jego plany, bardzo mu odradzał podróż tamtędy:

- Nie ma mowy o tamtej trasie! Zapomnij! W Pomiechówku nie dasz rady przejść. Granica III Rzeszy – bardzo pilnują. Jedź na Wileński, stamtąd będziesz miał pociąg do Ostrołęki. Musisz wysiąść w Goworowie, a dalej to już trafisz. Ja tamtędy nie jeden raz jeżdżę.

¹⁵³ Stalag – w czasie II wojny światowej niemiecki obóz jeniecki dla szeregowców i podoficerów.

Tak też Franek zrobił – wysiadł w Goworowie... i tu byłby wpadł. Musiał przejść przez wioskę o nazwie Rembiszew, potem była odkryta dolina, za nią las, dalej łąki i podejście do Narwi. Kiedy razem z przewodnikiem mieli przejść przez dolinę, do wioski przyjechali Niemcy, ułokowali się w jednej z chałup, skąd mieli dobry widok i obserwowali rozciągający się poniżej teren. Dopiero kiedy Niemcy poszli na obiad, Franek odważył się ruszyć przez dolinę. Najpierw biegł, potem już tylko szybko szedł.

Nagle patrzy, jakiś człowiek saniami jedzie. Chciał go zatrzymać, ale chłop tylko pognął konie batem. Nie można mu się było dotknąć, bo za wzięcie uciekiniera groził przynajmniej obóz. Franek wskoczył mu na sanie i pyta, w którą stronę do Narwi. Ten mu na to, żeby szedł wyjeżdżoną drogą. Zeskoczył więc z sań i zrobił, jak mu chłop powiedział. Wychodzi zza zakrętu, patrzy, a tam bryczką jadą Niemcy z psem. Dobrze, że dokoła był las, to zdążył się schować za krzakami jałowca. Na jego szczęście niedaleko drogi ludzie wybierali ziemniaki z kopca i pies pobiegł w tamtą stronę. Kiedy Niemcy przejechali, Franek podszedł do pracujących ludzi, żeby zapytać o drogę do Narwi. Ci pokierowali go i tym razem mu się udało.

Naraw przechodził nocą, po lodzie, sprawdzając przed sobą kawałkiem kija, czy lód wytrzyma. Po drugiej stronie rzeki musiał odszukać dom człowieka, z którym razem pracował w folwarku w Niemczech. Jednak tamten został zwolniony przez lekarza, bo miał padaczkę, a żeby nie spowodował w gospodarstwie jakiegoś wypadku i związanych z tym szkód, to odesłali go do domu. Odszukanie jego chałupy w nocy, w nieznanym terenie, było bardzo trudne, ale się udało. Człowiek ten przywiózł Franka do Pienic. Stamtąd uciekinier pieszo dotarł wreszcie do domu na Wymysłach. Jakaż była radość, kiedy wreszcie po 3 latach wrócił do domu.

Kiedy 24 VIII 1939 r. Franek odchodził do wojska, zostawiał w domu 4-dniową córeczkę Irenę, 3,5 letniego syna Zygmunta i dwóch starszych synów: 7-letniego Jurka i 9-letniego Romualda. Żona sama musiała zająć się 9-hektarowym gospodarstwem i całym inwentarzem, który składał się z 2 koni, 3 krów, kilku owiec i świń oraz domowego ptactwa. Po wodę trzeba było jeździć do oddalonych o kilometr Biernat albo do Orzyca. Przy tym nie było jej za bardzo w czym jej wozić. Na szczęście rodzice i bracia żony Franka, Walentyny, mieszkali niedaleko, w Chłopiej Łące i często jej pomagali. Przychodził stamtąd też najemny chłopak do pracy. Nazywał się Mundek Szewczak.

Życie wtedy było bardzo trudne. Brakowało wszystkiego. Nie było świec ani nafty, więc używano lamp karbidowych swojej roboty. Latem dni wypełnione były ciężką pracą. Matka zajmowała się inwentarzem, piekła chleb, gotowała, prała, przędła. Starsze dzieci pasły krowy i pomagały w obejściu. Najgorsze były długie zimowe wieczory. Oświetlenie było słabe, więc nie dawało się przy nim czytać, a poza tym nie wolno było mieć książek ani polskich gazet. Radio również było zakazane. Czas wypełniała rodzinie modlitwa o powrót taty. Matka często też

dzieciom śpiewała, a robiła to naprawdę pięknie. Najczęściej śpiewała „Powrót taty” Mickiewicza. Ta skromna, prosta kobieta, która ukończyła tylko kilka klas tajnej szkoły, znała na pamięć bardzo wiele utworów polskiej literatury. Śpiewała też dzieciom piosenki patriotyczne i legionowe. Jej mąż wykazywał się hartem ducha, uciekając z niewoli, a ona zmagając się z trudną wojenną rzeczywistością.

Franek pobyl w domu zaledwie trzy miesiące, kiedy z folwarku, w którym pracował w Niemczech, przyszedł list gończy. Wtedy ten człowiek, który przebył pół Europy, żeby wrócić do swoich bliskich, cały czas wymykając się Niemcom, został złapany niedaleko swojego domu, w Wygodzie. Przechodził przez ulicę, kiedy jechał patrol, który miał go zabrać z domu. Franek przyspieszył kroku, a potem gwałtownie skręcił za pobliskie zabudowania. Wzbudził tym podejrzenia przejeżdżających Niemców.

Kiedy Franek szedł pod eskortą do Krasnosiela, spotkał znajomego ze szkolnych lat o nazwisku Rychter. Był to Polak niemieckiego pochodzenia, który w Krasnosielcu był dosyć znaną osobą, bo handlował zbożem, a poza tym organizował straż pożarną. Kiedy Franka prowadzili, Rychter stał akurat na skraju drogi i nadzorował orkę. Pyta się:

- Za co cię aresztowali?

Franek mu na to:

- Z Prus uciekłem.

A tamten coraz bardziej wzburzony:

- Z Prus uciekłeś! Jak do polskiego wojska, toś na ochotnika sam leciał! Ja bym cię zabił!

- A pan się dziwi? Trzy lata w niewoli. W domu żona, dzieci zostały.

- Ja tyle lat u was w niewoli byłem! – powiada tamten.

A potem obóz w Makowie Mazowieckim. Tam czekała Franka ciężka praca, dużo bicia, a na koniec wywiezienie z powrotem do Niemiec na przymusowe roboty, ale już nie w to samo miejsce.

Najgorszy w obozie był jeden Polak – Jastrzębski z Sypniewa. Był kapo¹⁵⁴, z upodobaniem wyżywał się na współwięźniach, bijąc ich bez powodu. Również Frankowi dostało się od niego na powitanie. W obronie nowego więźnia stanął żandarm, który go przywiózł do obozu.

Drugim wachmanem, który był dla Franka stosunkowo dobry, był jego kolega z wojska, pochodzący z Sulichy Radacz. Byli w jednym oddziale, ale tamten był sanitariuszem, a Franek prowiantowym. Razem trafili do sowieckiej niewoli. Potem, kiedy przyjechali z transportem do Brześcia, to się ich tam pytali, kto ma pochodzenie niemieckie. A jakiś daleki krewny tego człowieka był Niemcem, dlatego

¹⁵⁴ Kapo – oznaczenie funkcji pełnionej przez więźniów w niemieckich obozach koncentracyjnych. Kapo był nadzorcą komanda. Na kierownicze funkcje wybierano często pospolitych kryminalistów i sadystów. Kapo mimo że był więźniem, cieszył się wieloma przywilejami. W zamian za pełnioną funkcję dostawał m.in. dodatkowe porcje żywienia. Miał bardzo dużą władzę nad podległymi więźniami – za pobicie, odebranie jedzenia, czy nawet zabicie więźnia nie groziły mu żadne kary. Niektórzy słynęli z dużego sadyzmu, zdarzali się jednak wśród nich członkowie obozowego ruchu oporu.

go puścili. Jego rodzina była bardzo biedna, więc kiedy zmienił się układ, Radacz wykorzystał szansę na awans społeczny i został wachmanem w obozie w Makowie. Czasem, jadąc na kolację do restauracji, zabierał Franka ze sobą jako woźnicę. I żeby mu dokuczyć mówił:

- No, na co to przyszło? Żeby to Kaczorek ze swoimi morgami i Radacza był furmanem.

Jeszcze kiedy obaj byli w obozie w Kozielsku, Franek, widząc metody działania Sowietów, pewnego dnia powiedział:

- Dałby Bóg, żeby te nasze tereny zajęli Niemcy, a nie Rosjanie.

Jednak miał na myśli takich Niemców, jakich pamiętał z czasów I wojny światowej. Wtedy mieli oni ludzkie oblicze. Nawet nie podejrzewał, jak przez 30 lat pod wpływem ideologii zmieniła się mentalność tego narodu. Radacz słyszał wtedy modlitwę Franka i potem mu to wypominał:

- A pamiętasz, jakieś się modlił, żeby Niemcy przyszli?

W obozie w Makowie Franek spędził trzy miesiące. Dzięki temu, że Niemcy byli łasi na pieniądze, uniknął ponownej wywózki do Niemiec. Przez odpowiednich ludzi jego żonie udało się dotrzeć do kierownika obozu i po przekazaniu sporej sumy pieniędzy Franka zwolniono.

Kiedy wrócił do domu, o mało znów nie wpadł, tym razem za żarna. W czasie wojny posiadanie żaren i przemiał zboża na mąkę bez zezwolenia był zakazany. Ale ludzie radzili sobie, jak mogli, bo przecież chleb z czegoś trzeba było upiec. Na podwórku u Kaczorków konie chodziły w kieracie połączonym z nielegalnymi żarnami. Nagle na podwórko wchodzi żandarm, ten sam, który aresztował Franka kilka miesięcy wcześniej, i mówi:

- To jeszcze ci Kaczorek mało było?!

Jakoś na litość go ubłagali, żeby im darował. Żandarm kazał młynek wywieźć do sołtysa, a tamten pozważył Frankowi chociaż na noc sprzęt zabierać i mleć na nim zboże na mąkę.

Franek jako jeden z braci przeżył niewolę sowiecką i niemiecką. Przeżył wojnę. Tym, co trzymało go przy życiu i dawało siłę do działania i podejmowania ryzykownych decyzji, było jego przywiązanie do Boga i rodziny. Natomiast jego brata Jana Kaczorka z Przytułu Niemcy zastrzelili na jego własnym podwórku prawdopodobnie za to, że nie był akurat przy kopaniu rowów przeciwpancernych. A człowiek chwilę wcześniej wrócił z podwodów zleconych przez okupanta. Dwóch innych braci, którzy byli w AK, Niemcy również zamordowali – Czesława w Starych Jabłonkach pod Ostródą, a Bronisława w Żabikowie pod Poznaniem.

Franciszek Kaczorek zmarł 31 I 1993 r. w wieku 90 lat. Historię tego niezwykłego człowieka opowiedział mi jego syn Zygmunt. Niestety jego barwnej opowieści tekst ten nie oddaje nawet w połowie. Żywe słowo ma przewagę nad pisaniem, niestety jest też bardziej ulotne. Dlatego postanowiłam poznać i zapisać tę rodzinną historię, bo Franciszek Kaczorek był rodzonym bratem mojego pradziadka Jana Kaczorka, którego Niemcy zastrzelili na podwórku.

Agnieszka Leszczyńska

Siostra Stanisława Joanna Majkowska (1912–1993) /Gabriela od Matki Boskiej Bolesnej/

...Tu Ciebie nie ma, lecz Jesteś przecież...
I pozostaniesz w jasnym świetle,
Jest coś, co mrokom się opiera, Jest Pamięć.
A ona NIE UMIERA...

Zbigniew ZĘGOTA

Dwudziestego marca 2018 r. minęło już 25 lat od śmierci śp. siostry Stanisławy Joanny Majkowskiej (1912–1993). Pragnę więc przypomnieć wszystkim historię skromnej zakonnicy, pochodzącej z Ziemi Krasnosielckiej.

Siostra Stanisława Joanna Majkowska urodziła się 25 XI 1912 r. we wsi Wola Pienicka, parafia Krasnosielc, diecezja plocka (po 1992 r. diecezja łomżyńska). Sakramenty inicjacji chrześcijańskiej przyjęła w kościele parafialnym pw. św. Jana Kantego w Krasnosielcu.

Rodzice Joanny – Bogusław i Władysława z domu Gadomska – posiadali duże gospodarstwo rolne – półtorej włóki ziemi (1 włoka = 16,8 ha). Matka dwukrotnie wychodziła za mąż, miała 13 dzieci, z których kilkoro zmarło w okresie niemowlęstwa. Z pierwszego małżeństwa przeżyło dwoje. Joanna była najmłodszym dzieckiem z drugiego małżeństwa. Przy życiu pozostały trzy siostry: Stefania (z męża Dzielińska, †1991), Leokadia (z męża Rakowska) i Feliksa (z męża Rakowska, †1949), oraz brat Józef.

Przez cztery lata Joanna pobierała naukę w szkole zorganizowanej w jej rodzinnej wiosce. Z obowiązkami szkolnymi musiała godzić zajęcia domowe. Ją i pozostałe dzieci często można było spotkać przy pracach polowych. Rodzice przykładali wiele starań do spraw religijnych. Wychowanie dzieci Majkowscy oparli na trwałych wartościach katolickich, wiara była wpleciona nierozdzielnie w codzienność i w pracę. Takie podłoże było glebą, na której wzrastało powołanie Joanny.

Od młodości Joanna utrzymywała kontakt ze zgromadzeniem sióstr w jej rodzinnej parafii. To tam nie tylko uczyła się szcucia, ale też obserwowała modlitwę i zaangażowanie społeczne. Brała czynny udział w przedstawieniach religijnych, które z dziewczętami organizowała s. Aniela Kawiecka. Ona to miała wielki wpływ na życie duchowe parafian i była otaczana wielkim szacunkiem, była autorytetem.

Joanna odkryła tu tajemnicę własnego powołania, tej najgłębszej relacji z Bogiem. Chciała na nie odpowiedzieć za wszelką cenę. Potrafiła walczyć o realizację woli Bożej w swoim życiu. Rozumiała, że kiedy musi wybierać między wolą rodziców, presją środowiska a wolą Boga, powinna słuchać Boga.

Ta dziewiętnastoletnia dziewczyna – mimo

sprzeciwu ojca – obrała drogę życia zakonnego, które realizowała w Zgromadzeniu Sióstr Służek Najświętszej Maryi Panny Niepokalanej, popularnie zwanych służkami, z Domem Generalnym w Mariówce w diecezji plockiej. W dniu wyjazdu do Płocka ojciec poszedł do pracy w polu i nie pożegnał się z córką. Po roku s. Joanna, jako postulanka, pojechała go odwiedzić, był już bardzo chory. Bała się, że rodzice mogą ją teraz zatrzymać w domu. Przy spotkaniu ojciec zapytał tylko, czy jest zadowolona z wybranej drogi życia. S. Joanna wyraziła swą radość, a wówczas ojciec pobłogosławił ją i zaniemowił. Wkrótce zmarł.

S. Joanna była przyjęta do Zgromadzenia 10 VI 1931 r., do nowicjatu zaś 21 VII 1932 r. Pierwsze śluby złożyła w Mariówce 24 VII 1934 r., a profesję wieczystą 30 IX 1941 r.

Wspominała, że po wstąpieniu do Zgromadzenia Siostra Przełożona Prowincjalna proponowała jej dalszą naukę, ale nie miała wtedy na to ochoty. Będąc już w zgromadzeniu, ukończyła roczny kurs ogrodniczy w Płocku.

Idąc śladami założyciela zgromadzenia, bł. Honorata Koźmińskiego, żyła cicho, ale radośnie. Była pracowita i umiała wykonywać różne prace, od żadnej nigdy się nie uchylała, w niesieniu pomocy innym i w dostrzeganiu ich potrzeb nie szczędziła sił, zabiegając o to, by o nikim nie mówić źle, by szukać tego, co łączy i prowadzi do jedności. Nie koncentrowała się na sobie, ale troszczyła się o innych, służąc im z pełnym oddaniem. Była przez tych, którzy ją znali, bardzo kochana. Modlitwą uświęcała czas pracy i chwile odpoczynku, trwała przy Bogu i czerpała z niej siły do radosnego dawania siebie bliżnim w codziennej ofiarnej służbie, pełnionej cicho i bez rozgłosu. Wyrażała miłość i przywiązanie do Rodziny Zakonnej; częstą intencją jej modlitwy była prośba o nowe powołania. Powierzała wstawiennictwu Matki Bożej swoją rodzinę, którą ceniła i bardzo kochała, a także sprawy tych wszystkich, których stawiał Bóg na drodze jej życia i powołania. Bardzo ceniła sobie odwiedziny i była często odwiedzana przez Przełożone Wyższe, siostry z sąsiednich domów, znajomych, dziewczęta i dzieci.

W ciągu swego 62-letniego życia zakonnego s. Joanna pracowała m.in. w Płocku, Pułtusk, Podolszycach, Czerwińsku, Uniejowie, a od czerwca 1975 r. w Skępem. Placówki, do których została posyłana, wymagały zaangażowania się w nowe zadania. Siostra podejmowała je z pełną gotowością,

z zamiłowaniem i z dużym poczuciem odpowiedzialności. Pracowała ofiarnie i z poświęceniem.

Ostatnie lata jej życia naznaczone były chorobą, którą przyjęła w duchu posłuszeństwa woli Bożej. Zmarła w Skępem 20 III 1993 roku. Przeżyła 80 lat.

W uroczystościach pogrzebowych s. Joanny, które odbyły się w Sanktuarium Matki Bożej Skępskiej 23 III 1993 r. mimo deszczu – jak to określiła Matka Przełożona – „symbolu Bożych Łask”, uczestniczyło wielu tamtejszych parafian. Były też obecne siostry w liczbie 22, przybyłe pod przewodnictwem Matki Generalnej i Przełożonej Prowincjalnej.

Na zakończenie Mszy św. pogrzebowej głos zabrała Siostra przełożona dziękując, w imieniu Zmarłej, za wszelkie dobro świadczane Jej – szczególnie wspólnocie Ojców Bernardynów. Podziękowała za każdą komunię świętą przynoszoną do łóżka Chorej przez prawie dwa lata, za życzliwe słowo umocnienia na drodze krzyża oraz za serdeczny stosunek do całej wspólnoty siostrzanej za „codziennność”.

S. Joanna pozostała w pamięci sióstr jako Ta – jak wspomniała Matka Przełożona Maria Floryn – która żyła logiką wiary, a Jej życie, które często wspominamy, buduje nas przykładem wierności i stąd możemy dziękować Bogu za Jego paschalne zwycięstwo w człowieku.

S. Joanna stanęła przed Boskim Sędzią, ale zarazem przed Umiłowanym Panem, w którego wierzyła i któremu poświęciła swoje ziemskie życie z ogromem zasług.

Choć w tym roku minęło już 25 lat od Jej śmierci, ufamy, że jest bardzo szczęśliwa i cieszy się pełnią Bożej Miłości razem ze świętym Ojcem Założycielem i razem z innymi siostrami, które doszły już do celu ziemskiego pielgrzymowania.

Zbigniew Zęgota

W artykule wykorzystano wspomnienia s. Teresy Tańskiej, służki.





Wspomnienie o Mieczysławie Napiórkowskim

*Winniśmy umierać tam, gdzie byliśmy szczęśliwi.
Aleksander Dumas (ojciec), Hrabia Monte Christo*

Zenobia NAPIÓRKOWSKA

Mieczysław Napiórkowski urodził się 25 III 1946 r. w Pienicach w gm. Krasnosielc. Tu spędził dzieciństwo. Miał liczne rodzeństwo: trzy siostry (Teresę, Zofię, Urszulę) i dwóch braci (Kazimierza i Dionizego). Jego Rodzice (Stanisław Napierkowski i Cecylia z d. Grabowska) oraz przodkowie zajmowali się głównie rolnictwem. Jako młody chłopak chętnie pomagał w pracach polowych.

Szkołę podstawową ukończył w Pienicach i zdał pomyślnie egzamin do Liceum Ogólnokształcącego w Pułtusk, które ukończył z wyróżnieniem. Jego ulubionym przedmiotem była matematyka, z którą bardzo się związał.

W 1967 r. ukończył Studium Nauczycielskie w Ciechanowie, a następnie został skierowany przez władze oświatowe do pracy w szkole podstawowej w Amelinie. Obok matematyki uczył tam i innych przedmiotów. Tu poznał swoją przyszłą żonę Zenobię Bryską, która została zatrudniona w tej szkole po ukończeniu Studium Nauczycielskiego w Siedlcach. W 1968 r. zawarł z nią związek małżeński w kościele parafialnym w Krasnosielcu.

Musicie od siebie wymagać, nawet gdyby inni od was nie wymagali (...). Każdy z was znajduje też w życiu (...) jakiś wymiar zadań, które trzeba podjąć i wypełnić. Jakąś słuszną sprawę, o którą nie można nie walczyć. Jakiś obowiązek, powinność, od której nie można się uchylić (...). Wreszcie - jakiś porządek prawd i wartości, które trzeba w sobie i wokół siebie (...) obronić - dla siebie i dla innych.

Jan Paweł II

Po dwóch latach pracy władze oświatowe zatrudniły oboje w szkole podstawowej w Pienicach. Tu pracowali do 1973 r. i gdy organizowano Zbiórce Szkoły Gminne, dołączyli do grona pedagogicznego w Krasnosielcu.

Pracę w Szkole podstawowej w Krasnosielcu M. Napiórkowski rozpoczął 1 IX 1973 r. jako nauczyciel matematyki. Przygotowywał uczniów m.in. do konkursów matematycznych. Dzięki Jego sumienności uczniowie zostawali laureatami.

Z niepokojem obserwował warunki nauki w tej szkole. Kiedy po raz pierwszy w 1977 r. został dyrektorem szkoły, miał okazję bliżej poznać jej problemy i uwarunkowania funkcjonowania. Nie mógł pogodzić się z faktem, że trzecia co do wielkości szkoła w pow. makowskim i największa w gminie



Lata 50. XX w., Pienice. Lata szkolne.

pracuje w tak trudnych warunkach. Jednak na stanowisku dyrektora pozostał tylko do 1 IX 1980 r., by następnie zostać zastępcą gminnego

dyrektora szkoły i wicedyrektorem szkoły.

Trudne warunki nauki i pracy w szkole znane były w całym środowisku, ówczesny dyrektor sygnalizował je także władzom gminy i oświatowym. Wielokrotnie przymierzano się do remontu kapitalnego, a nawet budowy nowej szkoły. Opracowywano kolejne plany, ale żaden z nich nie mógł doczekać się realizacji.

W 1989 r. ponownie został powołany na stanowisko dyrektora Szkoły Podstawowej w Krasnosielcu. Stara, wybudowana w latach 1933–1938 i oddana na rok przed wybuchem drugiej wojny światowej przez rodziców, szkoła nie wytrzymała presji czasu. Budynek był niedograny (ogrzewanie piecowe), brak sanitariatów, zajęcia z wychowania fizycznego na korytarzu, dziurawe okna to tylko niektóre mankamenty, z którymi uczniowie i nauczyciele borykali się na co dzień. Wszystko zaczęło się od nieformalnych rozmów z przewodniczącą Komitetu Rodzicielskiego Hanną Bielawską. Rozmów było wiele, a pomysłów też niemało (np. żeby dobudować sanitariaty). W końcu wypracowano koncepcję rozbudowy szkoły. Pomysł przedstawiono wójtowi gminy Krasnosielc Mirosławowi Glince oraz rodzicom i nauczycielom.



Lata 60. XX w., Ciechanów. Czasy nauki w Studium Nauczycielskim, Mieczysław Napiórkowski w środku.

Mieczysław Napiórkowski jako radny i przewodniczący Rady Gminy liczył na wsparcie radnych i sołtysów, ale zdawał sobie sprawę, że nie wszyscy radni będą przychylni tym pomysłom, ponieważ potrzeb było bardzo dużo, a środki na wykonanie zadań inwestycyjnych zgłaszanych przez radnych daleko niewystarczające. Najpierw spotkał się z sołtysami i radnymi z obwodu szkoły. Na spotkanie zaproszony został wójt; pomysł chwycił. Zawiązał się Społeczny Komitet Rozbudowy i Modernizacji Szkoły Podstawowej, którego przewodniczącym został Janusz Rykaczewski. Jesienią 1992 r. zakupiono pierwsze materiały. Zakup sfinansowała gmina, a transport i rozładunek zabezpieczyli rodzice. Rozbudowa szkoły byłaby niemożliwa bez wsparcia Kuratorium Oświaty w Ostrołęce i Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska. Zainteresowanie rozbudową w środowisku było ogromne, ale i niedowierzanie, że to się uda, jeszcze większe. Członkowie Komitetu Rozbudowy odwiedzali niemal każdy dom w Krasnosielcu, aby zainteresować mieszkańców i uzyskać konieczną pomoc, chociażby przy rozładunku materiałów. Rodzice również sami organizowali się do pomocy.

Rozbudowa ruszyła w kwietniu 1993 r. Wcześniej został opracowany projekt modernizacji i rozbudowy szkoły. W czasie prowadzenia inwestycji warunki pracy w szkole nie tylko nie polepszyły się, ale odczuwano wiele utrudnień. Zagrożone było bezpieczeństwo uczniów, hałas pracujących urządzeń przenosił się do izb lekcyjnych, wielokrotnie zalewane były pomieszczenia znajdujące się w bezpośrednim sąsiedztwie nowo dobudowywanej części. Zrozumienie dla tych utrudnień ze strony uczniów i nauczycieli było zdumiewające. Pomimo że na budowie nasz bohater przebywał całymi dniami, a niektóre sytuacje były dla niego bardzo stresujące jako dla osoby bezpośrednio odpowiedzialnej za szkołę, wspominał ten okres jako najpiękniejszy w swojej karierze zawodowej. We wszystkich działaniach wspierany był przez mgr Halinę Pałabus, która była wieloletnim wicedyrektorem szkoły

podstawowej.

Inwestycja przebiegała pomyślnie, aczkolwiek występowały problemy finansowe. We wrześniu 1996 r. zostały oddane do użytku nowo dobudowane części szkoły. Pomimo że inwestycja nie była zakończona, warunki pracy w szkole uległy znaczącej poprawie – przybyło 7 pomieszczeń do nauki, uczniowie mogli korzystać z sanitariatów wewnątrz budynku i pięknej szatni, a cały budynek był ogrzewany z kotłowni olejowej.

Do nowo oddanych pomieszczeń zakupiono pełne wyposażenie, nowe stoliki, krzesła oraz wiele ciekawych pomocy naukowych. W dniu rozpoczęcia roku szkolnego widać było na twarzach uczniów i nauczycieli ogromne zadowolenie. Napiórkowski był dumny, że to, co przez wiele lat pozostawało tylko w sferze jego marzeń, zostało urzeczywistnione.

To było ostatnie rozpoczęcie roku szkolnego na placu przed szkołą, bowiem w następnym roku do użytku została oddana piękna hala sportowa, dobrze urządzona i wyposażona wraz z zapleczem: pokój dla nauczycieli, magazynki, rozbieralne, natryski i sala zastępcza. W ten sposób zostały stworzone warunki prowadzenia zajęć wychowania fizycznego, a warunki pracy nauczycieli wychowania fizycznego były wręcz komfortowe.

W kolejnych latach przystąpiono do modernizacji pomieszczeń w starej części szkoły: sufity podwieszane, wymiana tynku, cyklinowanie i lakierowanie podłóg, wymiana instalacji elektrycznej. Wcześniej w starej części szkoły wymieniono okna. Na całym budynku położono gustownie dobrano elewację, co pozwoliło na zaoszczędzenie znacznych środków na zakupie paliw.

Napiórkowski zawsze dostrzegał dobro dziecka, dbał o personel pedagogiczny oraz pomocniczy. Często nawet podczas urlopu chodził do szkoły, aby dopiąć wszystko na ostatni guzik.

Jako dyrektor szkoły intensywnie się doksztalał. W 1981 r. ukończył studia magisterskie z matematyki. W 1988 r. zdobył drugi stopień specjalizacji zawodowej, a w 2003 r. został nauczycielem dyplomowanym. Uczestniczył w różnych formach doskonalenia



Początek lat 60. XX w. Czasy nauki w Liceum Ogólnokształcącym.



Wiosna 1970 r., Pienice. Mieczysław Napiórkowski z żoną Zenobią i synem Januszem.



Budynek szkoły w Pienicach.

zawodowego, następnie zdobył wiedzę i doświadczeniem dzielił się z nauczycielami czy prowadził szkolenia dla kadry kierowniczej. Przeszkolił 21 dyrektorów w rejonie Maków Mazowiecki z trzech gmin celem organizacji pomiaru dydaktycznego. Następnie swoje spostrzeżenia przekazał nauczycielom szkoły macierzystej łącznie z nauczycielami punktów filialnych.

Pracował nie tylko z uczniem zdolnym, ale również ze słabym - organizował zespoły wyrównawcze. W latach 1994-1999 był wychowawcą i wspomagał klasy autorskie. Pomagał wielokrotnie przy organizacji Sesji Ekologicznych, m.in. Kampanii Ozonowej,



1987 r., syn Wojtek kończy szkołę podstawową w Krasnosielcu.

która działalność została opublikowana w czasopiśmie „Kampania-Polska”, 1995, s. 21–24. Organizował cykle spotkań z młodzieżą, rodzicami i radą pedagogiczną dotyczących rozwiązywania problemów alkoholowych.

W dniu 29 V 1994 r. Minister Edukacji Narodowej prof. Aleksander Łuczak podczas Świąt Ludowego w Krasnosielcu wręczył M. Napiórkowskiemu Medal Komisji Edukacji Narodowej za szczególne osiągnięcia w rozwoju oświaty. W 1997 r. otrzymał Złotą Odznakę Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Sprawy wsi nie były mu obce. Z wielkim zaangażowaniem działał w Polskim Stronnictwie Ludowym, którego członkiem był od 1967 r. Odpowiadał mu charakter Stronnictwa Ludowego, które jako jedyna

partia utrzymuje bezpośredni kontakt z ludźmi i jest pozytywnie aktywna na szczeblu lokalnym, czego przykładem jest zaangażowanie działaczy PSL w Ochotniczych Strażach Pożarnych, czyli w działaniach, z których społeczność lokalna ma realne korzyści. Doceniał to, że PSL skupia ludzi nie wstydzących się swojej lokalnej wspólnoty i swojego wiejskiego pochodzenia. W dniu 6 V 2005 r. otrzymał Medal za Zasługi dla Ruchu Ludowego im. Wincentego Witosa.

Na szczególną uwagę zasługuje współpraca M. Napiórkowskiego z ochotniczymi strażami pożarnymi w gminie. Przez wiele lat pełnił funkcję Prezesa Zarządu Gminnego Ochotniczych Straży Pożarnych. Jako prezes dużo czasu poświęcał na właściwe funkcjonowanie poszczególnych jednostek

ochotniczych straży pożarnych. W styczniu i lutym wspólnie z wójtem Mirosławem Glinką uczestniczył codziennie w zebraniach OSP w poszczególnych miejscowościach w celu udoskonalania pracy tych jednostek, oceny potrzeb i planowania zakupu niezbędnego sprzętu. Uchwałą Prezydium Zarządu Wojewódzkiego Związku Ochotniczych Straży Pożarnych Rzeczypospolitej Polskiej uhonorowany został medalem „Za zasługi dla Pożarnictwa”.

W latach 1990–1998 był radnym i jednocześnie przewodniczącym Rady Gminy Krasnosielc. Ponadto przez wiele lat był Radnym Rady Powiatu oraz członkiem Rady Nadzorczej Szpitala Rejonowego w Makowie Mazowieckim.

W latach 1988–1992 był Radnym Wojewódzkiej Rady Narodowej w Ostrołęce. Był ławnikiem w Sądzie Rejonowym w Ostrołęce i Przasnyszu, dzięki czemu rozwiązywał trudne problemy gminy i rejonu.

Był dumny z sukcesów, a martwił się porażkami swoich najbliższych.

Jego żona Zenobia to magister biologii, nauczyciel dyplomowany ze specjalizacjami z biologii i nauczania początkowego. Miała duże osiągnięcia w konkursach przedmiotowych z uczniem zdolnym, licznych finalistów i laureatów.

Jego dzieci: Agnieszka, Wojtek i Janusz motywowały się do działania, obserwując jego zaangażowanie i pasję. Syn Janusz jest lekarzem, specjalistą chorób wewnętrznych i kardiologiem. W każdym miesiącu przyjeżdża na kilka dni w nasze strony. Przyjmuje pacjentów w Róźnie i Makowie Mazowieckim. Syn Wojtek ukończył studia lekarskie i stomatologiczne, zdobył specjalizację z chirurgii stomatologicznej. Cóрка Agnieszka jest lekarzem stomatologiem.

W życiu codziennym M. Napiórkowski był wzorowym mężem, ojcem i dziadkiem. Kochał bardzo swoje wnuki: Anię, Zuzię, Milenkę, Zosię i Arka.

Zawsze z utęsknieniem wyczekiwał na ich przyjazd. Zawsze wspierał i dawał dobry przykład swoim najbliższym.

Odszedł od nas 7 I 2018 r. po długiej, nieuleczalnej chorobie.

*To nie koniec podróży.
Śmierć to tylko kolejna
ścieżka, którą wszyscy
musimy podążać. Znika
szara, deszczowa zasłona
tego świata i wszystko
spowija srebrzysty blask.
A potem widzisz... Białe
wybrzeże. I to, co za nim...
daleką zieloną krainę,
skąpaną w blasku
wschodzącego słońca.*

J.R.R. Tolkien

Zenobia Napiórkowska



Szkoła Podstawowa w Krasnosielcu przed rozbudową i modernizacją, 1993 r.

**Glosa do artykułu
„Bitwa pod Mławą”,
„Komunikaty Mazursko-Warmińskie”, 1977, 3–4,
s. 542–549**

**Przemarsz dywizjonu pancernego
podczas kampanii wrześniowej przez Krasnosielec
Józef DREŹEK**

Szanowna Redakcjo!

W „Komunikatach Mazursko-Warmińskich” nr 3 z roku 1976 ukazał się artykuł Ryszarda Juszkiewicza pt. *Bitwa pod Mławą*, w którym autor, zaczynając od założeń obronnych 20 dywizji piechoty, Nowogrodzkiej i Mazowieckiej Brygady Kawalerii, opisuje zmagania w walkach obronnych z najeżdżącą hitlerowskim na ziemi mazowieckiej we wrześniu 1939 roku.

Ponieważ we wrześniu 1939 roku walczyłem w szeregach Mazowieckiej Brygady Kawalerii w 11 dywizjonie pancernym i walki te doskonale pamiętam dzień po dniu do dzisiaj, z przykrością stwierdzam, że w opisie walk Mazowieckiej Brygady Kawalerii autor w oparciu o mylne źródła, opracowane przez innych autorów, popełnił pomyłkę i niesłusznie twierdzi, iż Brygada po stoczonych walkach na granicy Prus Wschodnich z korpusem „Wodrig” w dniu 1 września, wieczorem, wycofała się na pozycję Rzęnowo-Rudno Jeziorowe-Lanięta, na której miała ona trzymać się najdłużej, natomiast 3 września staczała walki na południe od Przasnysza pod Rostkowem.

W związku z powyższą nieścisłością wyjaśniam, że Mazowiecka Brygada Kawalerii w pasie granicznym walczyła dłużej i nie opuściła tego terenu tak szybko, jak to podają mylnie opracowane źródła. Wyjaśnienie swoje o jej walkach opieram na skrócie na walkach będącego w jej składzie 11 dywizjonu pancernego, w którym walczyłem; ponadto nie tylko na wspomnieniach z tych walk, ale również na robionych przeze mnie w czasie działań wojennych notatkach (od granicy Prus Wschodnich poprzez wzgórze 195 koło Borowych Chrzanów, Węgły, Jastrzębiec, Mchówko, Chojnowsk, Krasnosielec, Przasnysz, Nasielsk, Rembertów, Stoczek Łukowski, Starą Miłosną, Otwock, Garwolin, Potasznik, Ryki, Dęblin, Kraśnik, aż po ostatnią bitwę pod Tomaszowem Lubelskim), które dzięki szczęśliwemu losowi po żmudnych poszukiwaniach w dobrze czytelnym stanie odnalazłem i te mnie przy pisaniu sprostowań i twierdzeń nie zawiodą, pozwalając na sprostowanie pomyłek, jakie wkładły się w opis walk Mazowieckiej Brygady Kawalerii. Ponadto wyjaśniam i stwierdzam, że kompania czołgowa, w której pełniłem funkcję zastępcy dowódcy plutonu, i przy której przebywał cały czas dowódca 11 dywizjonu pancernego, stała w Borowych Chrzanach bez żadnych przesunięć w czasie działań wojennych od godzin popołudniowych 30 sierpnia do godz. 15 w dniu 4 września 1939 roku.

Obsada odcinka pod granicą¹⁵⁵

Mazowiecka Brygada Kawalerii, która miała bronić odcinka granicy na lewym skrzydle armii „Modlin”, osiągnęła rejon koncentracji 30 sierpnia i zgodnie z założeniem obronnym dowódcy armii „Modlin” była usytuowana na pozycji:

a/ 11 pułk ułanów Legionowych – na zachód od Chorzel do miejscowości Janowo. Szwadron kawalerii tego pułku w Janowie miał do dyspozycji pluton Straży Granicznej;



Tankietka TK-3

b/ 1 pułk szwoleżerów – w rejonie Chorzel i w prawo od Chorzel. Czaty pułku były wysunięte o niecały kilometr pod granicę, a placówki jeszcze bliżej granicy. Pułk na tym odcinku miał do dyspozycji pluton Straży Granicznej;

c/ 3 Batalion Strzelców Rembertowskich znajdował się na stanowiskach na północ od Krzynowłogi Małej. Jedna kompania strzelecka na wzgórzu 145 usytuowana frontem na kierunek Chorzele. Druga kompania strzelecka – skraj lasu Fw. Wiśniówek, frontem na Grabowo-Skorupki-Janowo. Trzecia kompania w odwodzie i dowódca Batalionu w Krzynowłodzie Małej¹⁵⁶;

d/ 7 pułk ułanów w odwodzie w miejscowości Lanięta;

e/ 1 Dywizjon Artylerii Konnej, rozlokowany na pozycjach wsparcia ogniowego 11 pułku ułanów i 1 pułku szwoleżerów;

f/ kompania czołgowa 11 dywizjonu pancernego w odwodzie 3,5 kilometra na południe od Krzynowłogi Małej we wsi Borowe Chrzany, w której został ulokowany

drugi i trzeci pluton czołgowy. Pierwszy pluton czołgowy wraz z sekcją motocyklową został ulokowany w zabudowaniach Borowe Gryki, gdzie z uwagi na małą ilość zabudowań (4 zabudowania), czołgi zostały zamaskowane przed obserwacją lotniczą w stodołach i szopach.

Zgodnie z rozkazem dowódcy armii „Modlin” z nocy 25 sierpnia 1939 roku (dzień mobilizacji 11 dywizjonu), szwadron samochodów pancernych został pozostawiony w m. Różan, skąd miał prowadzić rozpoznanie i ubezpieczenie po szosie Różan-Ostrołęka.

31 sierpnia w późnych godzinach popołudniowych drugi pluton samochodów pancernych pod dowództwem chorążego Stefana Wojcieszaka został ściągnięty z m. Różan do rejonu postoju dowódcy 11 dywizjonu pancernego. Z powodu niewystarczającej ilości zabudowań gospodarskich w Borowych Chrzanach (10 zabudowań), szwadron samochodów pancernych został ulokowany i zamaskowany czasowo około 350 metrów od

Borowych Chrzanów na zachód, w lasku przy drodze z tej wsi na Rudno Jeziorowe.

Po północy z 31 sierpnia na 1 września drugi pluton samochodów pancernych został wysłany do Chorzel na rozpoznanie i wsparcie walk 1 pułku szwoleżerów. O tej samej porze pluton czołgowy trzeci (5 czołgów TK) pod dowództwem chorążego Spiridiona Ślęzakiewicza i sekcja motocyklowa pod dowództwem plutonowego pancernego Józefa Banach¹⁵⁷ wyjechały pod granicę do miejscowości Janowo w celu zasilenia 11 pułku ułanów w wypadku napaści Niemców. Pierwsze załogi pancerne, wyjeżdżające na przedpole nadchodzącej walki, były żegnane przez dowódcę 11 dywizjonu, kapitana Stanisława Spodenkiewicza, i pozostającą załogę w odwodzie przez uścisk dłoni i wzajemne oddanie sobie honorów. Tu i ówdzie w hałasie pracy motorów, zagłuszających ciszę nocną, dały się słyszeć słowa „Do zobaczenia!” A u niejednego pancernego w świetle księżyca było widać rękę skrycie wycierającą spłoniąle oczy. Nikt w tak napiętej sytuacji nie wiedział, co przyniesie poranek, skoro część załogi pancernej została wysłana pod granicę.

¹⁵⁵ Rozmieszczenie Brygady zostało nam podane przez dowódcę 11 dywizjonu na odprawie w dniu 31 sierpnia w Borowych Chrzanach (zbiory autora).

¹⁵⁶ W odniesieniu do 3 Batalionu Strzelców Rembertowskich to samo potwierdza mjr Stefan Bocianowski (zbiory autora).

¹⁵⁷ Plutonowy panc. Józef Banach potwierdza to samo listem z 14 V 1976 r. (zbiory autora).



Szlak przemieszczania się kompanii czołgowej Mazowieckiej Brygady Kawalerii w dniach 5–7 IX 1939 r. Wyjazd z Mchówka w godzinach popołudniowych 5 września poprzez Bartniki, Dębiny, Gajówka Klin, Grądy, Przytuły w rejon Krasnosielec przez most koło Przytuły do folwarku Sypniewo. W dniu 6 IX 1939 r. przemarsz do Przasnysza przez: Pienice, Biernaty, groblę koło Przytuły, folwark Krasnosielec, Łazy, Rogowo i Karwacz. Rano 7 września o godzinie 9-tej, zgodnie z rozkazem, ruszyli szosą przez Serock w lasy wyszkowskie do leśniczówki Leszczydół.

Bitwa

1 września – piątek.

O świcie wszyscy zostali zbudzeni, a wiadomość o napadzie Niemców na Polskę rozeszła się wśród załogi błyskawicznie. Po ochłonięciu z pierwszego wrażenia, staraliśmy się uchwycić odgłosy walki, toczącej się nad samą granicą. Tego dnia, od wczesnej godziny rannych, pojawiły się liczne grupy cywilnych uchodźców wraz z całym dobytkiem gospodarskim, wycofujących się w głąb kraju. O godz. 8-mej zostali przywiezieni pierwsi jeńcy niemieccy, wzięci do niewoli przez załogę drugiego plutonu samochodów pancernych. Chorąży Stefan Wojcieszak przyjechał ranny w głowę w rejonie Chorzeli. Przed zmrokiem pierwsze załogi pancerne powróciły z pola walki do Borowych Chrzanów. Koledzy do późnych godzin w nocy opowiadali swoje wrażenia z ich pierwszej walki z Niemcami. Wszyscy stwierdzali, że Niemcy po przekroczeniu granicy i otrzymaniu pierwszych strzałów, zalegli w łąkach i krzakach, i że żaden Niemiec ze strachu nie

ruszał się do przodu, strzelając na ślepo, bo nasi ułani byli dobrze zamaskowani i ukryci w terenie. A ci co próbowali podrywać się i iść naprzód byli rażeni ogniem. Wszyscy pancerni z podziwem wyrażali się, jak dzielnie odpierali pierwsze ataki Niemców nasi ułani. Wszyscy byli zadowoleni, że sobie solidnie postrzelali do Niemców. Szwadron samochodów pancernych powrócił do miejsca postoju w miejscowości Różan.

2 września – sobota.

Przez cały dzień kompania pozostawała wcałym składzie w dalszym ciągu w Borowych Chrzanach i Grykach. Od samego rana do godzin popołudniowych słychać było wyraźnie artyleryjskie strzały. Grupy cywilnych uchodźców były rzadsze. Wieczorem siedzieliśmy na skraju wsi i obserwowaliśmy łuny palących się wsi. Mieliliśmy wiadomości, że Niemcy niewiele posunęli się w głąb naszego terytorium.

3 września – niedziela.

Kompania pozostaje nadal w tym samym miejscu. Od rana pełnię służbę w kompanii.

Okolo godziny 10-tej dowódca dywizjonu, kpt. Stanisław Spodenkiewicz, informuje mnie, że z por. Janem Żebrowskim jedzie do Krzynowłogi Małej i żebym wiedział, gdzie ich szukać w razie nagłej potrzeby. Po ich powrocie zostaliśmy poinformowani, że walki trwają w rejonie na północ od Krzynowłogi Wielkiej i na północ od Grabowa-Skorupek, i że Niemcy wolno posuwają się naprzód. Porucznik Jan Żebrowski poinformował, że Francja i Anglia wypowiedziały Niemcom wojnę, i że ludność Warszawy urządza spontaniczne, radosne manifestacje. Wiadomość ta została przyjęta przez załogę pancerną z wielkim entuzjazmem i nadzieją szybkiego zakończenia wojny. Wielu pancernych cieszyło się ze zwycięskiej defilady w Berlinie. Po południu artyleryjska kanonada wzmożła się. Trzeci pluton czołgowy wyjeżdża przez Chmielów Wielki na przedpole do rejonu Kawęczyno. Tam z ukrytych stanowisk ogniowych ostrzeliwał nacierających Niemców. Po powrocie do Borowych Chrzanów plut. pan Alfred Głowiński opowiada, że dzisiaj miał szczęście, bo o mały włos byłby został rozbity artyleryjskim

paciskiem, który wybuchł koło niego. Plut. panc. Józef Banach meldował, że w lesie janowskim zginął od bomby jego kierowca, st. strz. panc. Jan Paciorkowski. Porucznik Jan Żebrowski, który wizytował pluton na pozycji w Kawiężynie, po powrocie wieczorem meldował dowódcy dywizjonu (byłem obecny jako służbowy), że Niemcy posuwają się naprzód pod Kawiężyno i Krajewo i że linia frontu jest załamana. Dalej meldował, że jak wracał drogą powrotną przez Dzierzgowo, bo chciał dowiedzieć się o sytuacji na lewym skrzydle 20 dywizji

piechoty, to w uliczkach

Dzierzgowo od strony północno-zachodniej toczyła się walka z niemieckim

patrolem. Wówczas przywiózł podaną po linii wiadomość z Nowogródzkiej Brygady Kawalerii o przesuwaniu przez Niemców

o zachodzie słońca z rejonu Tczewa marszem

pozafrontowym oddziałów broni pancerniej na kierunek

Mazowieckiej

Brygady Kawalerii i Samodzielnej Grupy Operacyjnej

„Narew”. Ruch pośpiesznego marszu niemieckiej broni pancerniej był określany na podstawie unoszącego się w powietrzu kurzu, widzianego z wysokich punktów obserwacyjnych na niektórych otwartych odcinkach naszego frontu. Tej nocy nikt nie spał. Wszyscy w grupkach siedzieli na skraju wsi i prowadzili dyskusje o zwycięskim zakończeniu wojny z uwagi na to, iż nasi sojusznicy walczą na drugim froncie na zachodzie.

4 września – poniedziałek.

W tym dniu kompania pozostaje nadal w Borowych Chrzanach i Grykach. Żołnierze pancerni z pierwszego plutonu, stacjonującego w Borowych Chrzanach i Grykach, meldowali o przejściu o świcie przez drogę z Krzynowłogi Małej do Borowych Chrzanów baterii 1 dywizjonu artylerii konnej z rejonu Marianowa na nasze lewe skrzydło. Od rana na pierwszej linii walk Mazowieckiej Brygady Kawalerii wzmógł się silny ogień artylerii po obu stronach. Około południa zapanowała cisza, w związku z czym zaczęliśmy dyskutować, iż pod naporem naszej kawalerii Niemcy wycofują się. Radość nasza nie trwała długo. O godzinie 14-tej ponownie rozgorzała walka.

O godzinie 15-tej dowódca 11 dywizjonu pancernego nagle wezwał dowódców plutonów i ich zastępców na odprawę, na której poinformował nas, że Niemcy silnie atakują cały odcinek Mazowieckiej Brygady Kawalerii i podchodzą na kierunku Krzynowłogi Wielkiej pod rzekę Ulatówkę. O godz. 17-tej kompania rusza do przeciwdzierzenia i wsparcia walk 11 pułku ułanów i 1 pułku szwoleżerów, ponieważ

na styk tych pułków, wypadający na północ od wzgórza 195, Niemcy silnie atakują i jest zagrożenie przerwania linii obrony. Zgodnie z rozkazem dowódcy Brygady (dypl. płk. Jana Karcza), 7 pułk ułanów został przesunięty z odwodu w Łanietach do lasu koło miejscowości Łoje. Kompania czołgowa o godz. 16:30 zajęła pozycję wyjściową w lasu na wzgórzu 195 przy drodze Krzynowłoga Mała-Borowe Chrzany. W czasie dojazdu do pozycji wyjściowej koło stanowisk okopanej baterii 1 dywizjonu artylerii konnej



Czołg TKS. Źródło: TKS: <https://pl.wikipedia.org/wiki/TKS> (dostęp 24 X 2018 r.)

przed wzgórzem 195 w zagajnikach leśnych artylerzyści podrzucali z radości hełmy do góry, że czołgi jadą do akcji.

Na stoku wzgórza 195 czołgowi, w którym jechał por. Żebrowski, pękają obie gąsiennice. Przesiada się do następnego i jedzie dalej z kompanią. Po dojechaniu drugiego plutonu do unieruchomionego czołgu dostaje polecenie od por. Edwarda Sokoppa zatrzymania się i dania pomocy unieruchomionej załodze czołgu. W czasie wciągania czołgu na gąsiennice, pękają moje. Nadjeżdża pluton trzeci; na moją prośbę chorąży Spiridion Ślęzakiewicz pozostawia nam pomoc. Po kilku minutach pracy zauważamy nad nami niemiecki samolot obserwacyjny i zawieszony czarny dym, a na kierunku Krzynowłogi Małej balon na uwięzi. W kilka sekund potem ostrzeliwuje nas niemiecka artyleria wiązkowym ogniem, próbując nas zniszczyć.

Po uciszeniu się ognia artylerii, który trwał około 5 minut, kończymy łączenie gąsiennic i dołączamy do kompanii, która po wykonaniu przeciwdzierzenia i zadaniu strat Niemcom wycofywała się o zmroku z pola w alki. Jesteśmy informowani, że Niemcy zatrzymali atak z uwagi na zapadający zmrok i cofnęli się.

Wycofując się z pola walki przez pola w kierunku na Żaboklik do osady Węgły w lasu pomiędzy Borowym i Chrzanami a Rudnem Jeziorowym, z powodu poważnych uszkodzeń technicznych i przedarcia się przez Borowe Chrzany Niemców, niszczymy dwa własne czołgi (jeden z pierwszego, drugi z drugiego plutonu). Fakt ten meldowałem dowódcy dywizjonu. Pocieszył nas, że we Lwowie dostaniemy nowe, amerykańskie 30-

tonowe czołgi typu „Sherman”, które na nas tam czekają. Mnie przydzielił funkcję do specjalnych jego zadań i mam być wyłącznie do jego dyspozycji. Resztę załogi oddał do dyspozycji szefa kompanii czołgowej.

Po chwilowym postoju trzeciego plutonu w osadzie Węgły, wycofaliśmy się przez pole obsadzone burakami cukrowymi i do drogi polnej, prowadzącej z Żaboklika do Pawłówka i dołączyliśmy z dowódcą dywizjonu do reszty kompanii, zgrupowanej na skrzyżowaniu drogi z Rudna Jeziorowego-Kmiece z szosą

Rzęgnowo-

Przasnysz.

W tym miejscu podczas dyskusji i wymiany wrażeń z walk w całym zgrupowaniu

kompanii już o zmroku, nagle usłyszeliśmy na przedpolu strzały z działek ppanc.

Wycofujący się ułani 7 pułku ułanów meldowali o

pojawieniu się na północ od wsi

Jastrzębiec niemieckich

czołgów. Na skutek tych meldunków,

dowódca 11 dywizjonu

pancernego, kpt. Stanisław

Spodenkiewicz

wysłał 4 czołgi TK do wsparcia 7 pułkowi ułanów. Z czołgami jedzie jako ochotnik por. Michał Nahorski, który w tym czasie przyjechał motorem „Sokół-600” po rozkazy dla szwadronu samochodów pancernych w Różanach na dzień następny. W kilka minut po odjeździe czołgów TK z por. Nahorskim, nagle usłyszeliśmy na drodze z Rudna Jeziorowego strzały z pistoletów maszynowych do wycofujących się w dalszym ciągu ułanów do Pawłówka. Na tę niespodziewaną okoliczność, dowódca dywizjonu poleca najbliższej załodze czołgowej zbadać, co to za strzelanina i co się tam dzieje. W kilka minut po odjeździe czołgu słyszymy odgłosy w alki. Dowódca wysłał drugi czołg, lecz gdy ten dojechał do miejsca walki pierwszego – około 400 metrów od nas – zaległa cisza. Gdy oba czołgi powróciły, dowódca czołgu pierwszego meldował, w jaki sposób zlikwidował w kartofliskach po prawej stronie drogi w kierunku na Kmiece broniących się dwóch Niemców i trzeciego na drodze, broniącego się zza samochodu. W wyniku zabicia ich i przeprowadzenia rewizji rzeczy znajdujących się w samochodzie przywiózł teczkę z dokumentami mapami (na których była naniesiona dyslokacja bojowa) oraz czapkę zabitego majora niemieckiego. W czasie przeglądu map i notatek ustaliliśmy, że był to major niemiecki Otto Korvin von Wierzbicki. Zdobyte sztabowe mapy niemieckie odwiózł do sztabu Brygady, do dypl. płk. Jana Karcza, plut. panc. Józef Banach. Czapka zabitego majora była przez długi czas wożona w kompanii i dopiero w lesie wyszkowskim została zniszczona.

Po powrocie czterech czołgów TK z pomocniczej walki, udzielonej 7 pułkowi ułanów, por. Nahorski meldował, że walkę staczał pluton działek ppanc. powyższego pułku i że starszy wachmistrz Władysław Tibinkowski, jako zastępca dowódcy plutonu, zniszczył 4 niemieckie czołgi i on tylko tą groźną sytuację ratował. Właściwa walka z niemieckim i czołgam i odbywała się na północ od skrzyżowania już omawianych dróg w Łąkach około 500 metrów za w się Jastrzębiec. Po odczekaniu około 45 minut i upewnieniu się, że ten odcinek nie będzie atakowany, oraz ożywionej dyskusji na temat tego wydarzenia, kompania zgodnie z rozkazem dowódcy Brygady odjechała stamtąd do Mchówka na nocleg i czaty. A porucznik Nahorski, żegnany przez załogę, odjechał motorem z rozkazami do Różana. W czasie opuszczania skrzyżowania mieliśmy wiadomości, że nasza kawaleria jest na przedpolu.

5 września – wtorek.

Noc i do południa tego dnia staliśmy na czatach w Mchówku. Przed nami były oddziały własne w miejscowości Łanięta, Rzęnowo, Żaboklik, Drażdzewo. Na przedpolu panowała dziwna cisza. Nie było słychać odgłosów artylerii i jakiejś walki. Około południa otrzymaliśmy rozkaz dowódcy Brygady przejścia trasą: Bartniki, Dębiny, Gajówka Klin, Grądy, Przytuł w rejon Krasnosielec przez most koło Przytuł, ponieważ dwa mosty na rzece Orzyc w Krasnosielcu były zaminowane. Po osiągnięciu nakazanego rejonu już o zmroku kompania czołgowa zgodnie z zadaniem zajęła wieś: pierwszy pluton w miejscowości Chojnowo, drugi pluton w miejscowości Zamość Włościański, trzeci pluton – zabudowania folwarku Sypniewo. Noc, podczas której padał niewielki deszcz, spędziliśmy w zabudowaniach gospodarskich opuszczonych przez ludność cywilną; niemiłosiernie w nocy pogryzły nas pluskwy.

6 września – środa.

Rano z postoju we wsi Chojnowo o godzinie 9-tej obserwowaliśmy po raz pierwszy na tym odcinku nasz samolot obserwacyjny, krążący nad Pułtuskim. Około godziny 13-tej drugi i trzeci pluton czołgowy z tego rejonu, a szwadron samochodów pancernych z Różan wykonały pościg za dwoma niemieckimi samochodami, załadowanymi wojskiem niemieckim, które próbowały wdrzeć się do Różana po szosie z Ostrołki. Pościg za nimi był prowadzony przez plutony czołgowe aż do przedmieść Ostrołki, tj. około 20 kilometrów, o czym meldowali por. Edward Sokopp, chorąży Spiridion Ślaziakiewicz i załogi czołgowe. Przed wieczorem otrzymaliśmy rozkaz przejścia przez: Pienice, Biernaty, groblę k. Przytuł, Fw. Krasnosielec, Łazy, Rogowo, Karwacz do Przasnysza. Przed wyruszeniem kompania zbierała się na drodze koło Pienic. Wieczorem 6 września osiągnęliśmy rynek w Przasnyszu, w którym mieliśmy półgodzinny postój. Tam w opuszczonych sklepach podoficer

gospodarczy zaopatrzył się w dwie beczki zasolonego masła i wiele produktów spożywczych. Mieliśmy wiadomość, że 11 pułk ułanów znajduje się w lesie pod Rostkowem, usytuowany na kierunku Grudusk-Ciechanów i że zaprzęgi 3 batalionu strzelców rembertowskich z braku nadzoru najechały na założone miny. W wyniku tego wypadku byli ranni. Dowiedzieliśmy się też, że pluton saperów Mazowieckiej Brygady Kawalerii minował ulice wlotowe od północy do Przasnysza i że jakieś oddziały kawalerii znajdują się w koszarach Przasnysz. Po



Samochód pancerny wz. 34 „Citroen”. Źródło: Wikipedia.

przerwie ruszyliśmy drogami polnym i do stacji kolejowej Nasielsk na nocleg i postój. Po wyjechaniu z Przasnysza widzieliśmy na kierunku Ciechanów-Grudusk palące się stogi ze zbożem i zagrody wiejskie. Widok ten w świetle księżyca wyglądał tragicznie. Po osiągnięciu stacji kolejowej Nasielsk zajęliśmy kwatery noclegowe w budynkach stacyjnych, opuszczonych przez personel kolejowy. Tam w przyległych do stacji ogrodach i zaroślach spotkaliśmy rozbite oddziały 8 dywizji piechoty.

7 września – czwartek.

Rano tego dnia o godzinie 9-tej, zgodnie z rozkazem, ruszyliśmy szosą przez Serock w lasy wyszkowskie do leśniczówki Leszczycół, skąd wieczorem słyszeliśmy bardzo dalekie strzały artylerii jeszcze trwającej walki załogi w Wiźnie.

* * *

W obsadzie personalnej 11 dywizjonu pancernego (s. 370), autor w oparciu o mylne opracowania historyczne i twierdzenie osób nie walczących w dywizjonie, wykazuje osoby nie będące w 11 dywizjonie pancernym. Jako uczestnik walk 11 dywizjonu pancernego stwierdzam, że dowódcą jego, od pierwszych godzin mobilizacyjnych w dniu 25 sierpnia 1939 roku w Centrum Wyszkozenia Broni Pancernych w Modlinie, aż po ostatnią bitwę pod Tomaszowem Lubelskim w dniu 18 września 1939 roku, był kapitan Stanisław Spodenkiewicz¹⁵⁸. Jego zastępcą, dowódca szwadronu samochodów pancernych – kpt. Mirosław Jarociński.

Oświadczam, że major Stefan Majewski II nie dowodził 11 dywizjonem pancernym na całym jego szlaku bojowym. Kpt. Zbigniewa

Brodzikowskiego, por. Jarosława Hermana, kpt. Tadeusza Weryho-Darowskiego oraz por. rez. płatnika Centrum Wyszkozenia Broni Pancernych w Mdlinie, Jana Lewońskiego, spotkaliśmy w składzie Warszawskiej Brygady Pancerno-Motorowej, w lesie, 15 kilometrów na południe od Kraśnika, do której dołączyliśmy – już tylko kompania czołgowa TK, bo szwadron samochodów pancernych wpadł w niemiecką zasadzkę w Łukowie 14 września 1939 roku. Tam płatnik Centrum Wyszkozenia Broni Pancernych, por. Jan Lewoński, na polecenie kpt. Stanisława Spodenkiewicza wypłacił nam ostatnie pensje i żołd żołnierzom.

Na str. 334, wiersz piąty od dołu, autor mylnie podaje ilościowy skład kompanii czołgowej. Wykazuje 9 czołgów TKS w plutonach plus czołg dowódcy kompanii. Na to mylne twierdzenie wyjaśniam i stwierdzam, że kompania czołgowa na tym odcinku miała w swoim składzie 15 (piętnaście) czołgów TK, po 5 czołgów w plutonie, plus jeden czołg TKS dowódcy kompanii, tj. razem 16 czołgów.

W przypisie 21 autor wykazuje mylne źródło E. Kozłowskiego, Wojsko Polskie 1936–1939, dotyczące uzbrojenia samochodu pancernego. Wyjaśniam, że samochód pancerny wz. 34 „Citroen” obsługiwała dwuosobowa załoga. Uzbrojenie: jedno działko 37 mm lub karabin maszynowy „Hotchkiss”. Samochód pancerny wz. 29 „Ursus” miał czterech ludzi załogi. Uzbrojenie: jedno działko 37 mm, 2–3 karabiny maszynowe „Hotchkiss”. Kierowca tylny obsługiwał karabin maszynowy, zainstalowany w tyle samochodu.

W przypisie 22 autor mylnie wyjaśnia stan załogi czołgu – podaje trzech ludzi. Wyjaśniam, że załogę czołgu TK stanowiło dwóch ludzi. Kierowca i dowódca czołgu, który równocześnie obsługiwał karabin maszynowy „Hotchkiss”. Jeśli chodzi o walki Mazowieckiej Brygady Kawalerii na ziemi mazowieckiej w pasie granicznym, jako uczestnik tych walk muszę stwierdzić, że Mazowiecka Brygada Kawalerii wykonała swoje zadanie więcej niż „celując”. Przykro jest czytać, że ta szara bracia żołnierska, która poległa na polu chwały na czele z jej dowódcą, dypł. Pułkownikiem Janem Karczem, ta szara bracia, dzisiaj oskarżana przed historią¹⁵⁹, że „nie wykonała zadania i przedwcześnie opuściła swoje stanowiska obronne i odsłoniła lewe skrzydło Armii „Modlin”.

Oskarżenie jest niesłuszne!

Józef Dręzek

*Od redaktora wydania:
artykuł powyższy odnalazł i przesłał do redakcji Apolinary Zapisek,
przygotował do wydania Sławomir Rutkowski.*

¹⁵⁹ Polskie Siły Zbrojne, wyd. Londyn i inne wydawnictwa krajowe, powołujące się na to opracowanie odnośnie walk Mazowieckiej Brygady Kawalerii.

¹⁵⁸ Oświadcza to również plutonowy panc. Józef Banach (zbiory autora).

Komplety nakryć stołu śniadaniowe i podwieczorkowe w życiu współczesnym

Praca dyplomowa, Studium Nauczycielskie im. M. Nowotki
Wydział Zaoczny w Ciechanowie
Kierunek: Zajęcia praktyczno-techniczne i wychowanie plastyczne

Pikulina

pod kierunkiem: G. prof. Barbara Gorzko, czerwiec 1967r.

Od Redaktora wydania

Praca ta, pisana z myślą o obronieniu dyplomu, który zapewne stał się przepustką do nowego lepszego życia autorki, dokumentuje ówczesne wyobrażenia o nowym, upragnionym stylu życia. Z całą pewnością autorka skrywająca się pod pseudonimem Pikulina, nie sądziła, że stanie się również dokumentem obrazującym przeszłość oddaloną o pół wieku od nas, czytelników.

Autorka urodziła się już po wojnie i zna jej straszne oblicze jedynie ze wspomnień zapewne starszych członków rodziny. To nowe pokolenie przestawało już żyć w cieniu wojny i okupacji, chciało żyć pełnią życia. Lata sześćdziesiąte to już zapomniany stalinizm i okres jeszcze nie pełen relatywnego dobrobytu czasu Gierka. Władze PRL zdławiły skutecznie wszystkie nurty społeczne pragnące innej, w pełni wolnej Polski. Socjalistyczna nowomowa mająca na celu tworzenie „nowego socjalistycznego człowieka” obecna jest i w tym tekście. Pikulina, sięgając do historii spożywania posiłków, i to dość odległej historii, nie mogła nawet w takim opracowaniu nie podporządkować się do uzależnienia od „jedynie słusznej linii partii”. Opisy krytykują dawny porządek klasowy i brak sprawiedliwości społecznej, chwając, niemal „pod niebiosą”, ówczesną terażniejszość socjalistyczną.

Tekst ten polecam ku refleksji tym, którzy wybrzydzą obecnie, chwalą dawne „dobre czas”. Niezaprzeczalnym walorem pracy tej jest natomiast odpowiedź, jak z prostych materiałów i bez nakładów finansowych upiększyć własny dom.

Poniżej zamieszczam plan pracy:

1. Krótki rys historyczny nakryć i zastaw stołu.
2. Analiza programu zajęć praktyczno-technicznych w ośmioletniej szkole podstawowej (życie i gospodarstwo domowe).
3. Estetyka życia codziennego.
4. Opis pracy praktycznej.
5. Wnioski.

Dziękując Pani Alinie Białczak za inicjatywę i współpracę, polecam drogi Czytelniku tekst noszący znak trudnych czasów.

*Z poważaniem
Sławomir Rutkowski*



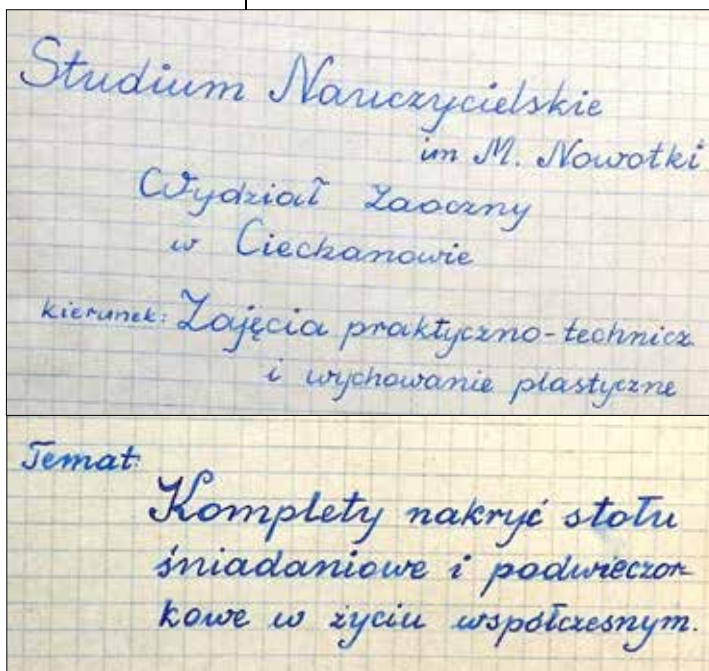
Krótki rys historyczny nakryć i zastaw stołu

Stół ma swoją tradycję i przeszłość. Przy stole godzą się zwaśnione rodziny, narody, odbywają się uroczystości rodzinne, a najważniejszym przeznaczeniem to jest kulturalny, skromny, estetyczny stół, przy którym domownicy siadają do codziennych posiłków.

Już w czasach pierwotnych, kiedy ludzie nie znali stołu, zbierali się wspólnie przy zdobyczy, dzieląc się nią i zającą. Z czasem ludzie zaczęli wносить do ich codziennego życia ulepszenie przekazywane z dorobkiem z pokolenia w pokolenie. Zaczynają prowadzić życie osiadłe. Budują chaty, a w nich prymitywne urządzenia: wspólne łóżko, kuchnia, na środku izby duży prosty stół, naczynie z wodą i bochen chleba. Możliwe, że przy stole tym nie zbierali się jeszcze wszyscy do codziennych posiłków, ale jakże wymowna była ich gościnność. Z chwilą, kiedy się trafił jakiś gość, wszyscy zebrani okazali mu życzliwość, stawiali wszystkie przysmaki na stół.

Z czasem ze wspólnoty pierwotnej wytwarzają się starzy. Na zamkach kwitnie życie towarzyskie. Urządzają wyprawy wojenne, igrzyska, łowy, które zawsze kończyły się biesiadą. Zwykle zamki rycerskie były budowane dostatnio. Wnętrza podzielone

na komnaty, z których każda miała swoje przeznaczenie: obszerna izba posiłków, na środku stół, dokoła ławy okryte kilimkami samodzielnymi albo skórami. Zaczynają uważać honorowe miejsca za stołem. W czasie



uczci rycerze usługują damom. Izba ta i stół w czasie uczyły nie zawsze wyglądały estetycznie. Nie było tam wyszukanej zastawy, utartych obyczajów o zachowaniu się przy stole. Po prostu wnosili ugotowane potrawy na misach wyrabianych we własnym zakresie, stawiając je na prostej ławie, którą po spożyciu posiłku przesuwano pod ścianę i służyła do siedzenia.

O zachowaniu się przy stole w czasach średniowiecznych dowiadujemy się z wiersza Słoty *O zachowaniu się przy stole i czci dla niewiast*. Autor tego wiersza poucza, jak należy sprawować się przy jedzeniu, przestrzega przed rwaniem się do misy, zajmowaniem pierwszych miejsc.

Powoli na dwór królewski (czasy Jagiellonów) zaczyna się wprowadzać nakrycia, specjalną obsługę przy stole, mycie rąk przed posiłkiem. Obsługa obnosi naczynia z wodą. Na piersi zakładają serwetki. Stoły nakrywane są tkaninami zamorskimi. Naczynia na stole też zmieniają swój wygląd. Na miejsce prostych glinianych lub cynowych mis zjawiają się wykwintne zamorskie zastawy.

Za Sasów do głosu dochodzi ziemiaństwo, które zaczyna otaczać się zbytkiem, żyje przyjemnie i wygodnie. Stół też zmienia się swoje oblicze, zjawiają się na nim słynne wazy i porcelany saskie, wyszukane potrawy. Treścią życia były huczne biesiady, suto zastawiony stół. *W całym kraju pędzono życie na wesołości i Luszykach, wyjąwszy małą garstkę skromnych napoju. Stoły zastawiono wielkimi misami, które u wielkich panów były srebrne, u mniejszych – prócz wazów i serwisów – cynowe talerze także podług pana – srebrne albo cynowe. Od połowy panowania Augusta III nastaly talerze farfururowe, dalej porcelanowe, nareszcie cała służba stołowa składała się u wielkich panów z porcelany: wazy, serwisy, misy, półmiski, salatyjerki, talerze, solniczki, karafinki, trzonki nawet u nożów i widelców porcelanowe; ale że ta mate ryja była natenczas droższa od srebra a przy tym prędkiemu słuczeniu podległa, przeto bardzo rzadko się nią popisywano, chyba w dni bardzo uroczyste*¹⁶⁰.

A sam sposób zachowania się przy stole: Serwety także i odmienianie talerzy za każdą potrawą nie zaraz nastalo; a gdy nastalo, to oboje najprzód tylko używane było do środka stołu nie zasięgając końców, podawali go posługaczowi jakiemu, aby zruciwszy gdzie w kąt owe graty czymkolwiek talerz ochędożył lub – w niedostatku rychłego posługacza – sami nieznacznie pod stół obiedziny zrzucając, talerz sobie do innych potraw uwalniali i chlebową skórką czyścili¹⁶¹.

Komu nie dostało serwety, zaslonił się chustką od nosa, choć czasem utabaczoną, co nic gospodarza domu ani współników bankietu nie obchodziło. Z jednej szklanki pili za kolejną lub z jednego pucharu, nie brzydząc się kroplami napoju, które z wąsów jednego spadały w puchar podawany drugiemu¹⁶².

(...) przy całym stole od końca do końca kładziono talerze, a nawet noże i widelce przepłukując je w wodzie¹⁶³.

Liberia służyła do stołu podając i odbierając talerze przez serwetę, a żeby gołą ręką niezgrabną na czas lokaj lub hajduk pieszczonemu smakowi nie sprawił obrzydzenia¹⁶⁴.

Póki nie znano kawy, rzemieślnik musiał dać czeladnikowi kieliszek gorzałki, który kosztował trzy grosze, potem chleba z masłem – to drugie trzy grosze; więc śniadanie jednej osoby kosztowało go sześć groszy, którego sam nie kosztował. Gdy zaś kawa weszła w zwyczaj rzemieślnik kupił kawy już palonej i mielonej w sklepie korzennym za sześć groszy, cukru lodowatego za drugie sześć groszy, mleka pół garca za trzecie sześć groszy; w tym mleku

uogotował ową trochę kawy, za sześć groszy kupioną dał każdemu po kawałku cukru lodowatego, przez który w zęby wzięty pili ową kawę, po każdym łyku przejadając chleba z masłem cienkie kromki. I takim sposobem odbył śniadanie swoje, żony, dzieci, czeladzi¹⁶⁵.

Jeśli weźmiemy przeciętny dwór polski, to wszyscy żyli na jednakowej stopie. Bardzo przestrzegali utartych zasad obyczajowych. W każdym dworze była obszerna izba jadalna, na ścianach portrety przodków, wielki kredens obficie zaopatrzony, pośrodku olbrzymi stół, przy którym zbierano się do posiłków. W zamożnych dworach polskich do stołu podawał lokaj w białych rękawiczkach, przestrzegając obyczajowych przepisów. Stół był zawsze nakrywany obrusem, honorowe miejsce przy stole były dla najstarszych członków rodziny lub zacnych gości. Bogate zastawy zagraniczne serwisy, tace. Wszyscy chcieli prześcignąć się w kunszcie sporządzania posiłków, nakrywania stołu, stąd słynne powiedzenie „zastaw się, a postaw się”.

Inne obyczaje panowały u szlachty. Obraz obyczajów na dworze szlacheckim doskonale przedstawił Mickiewicz. Po mistrzowsku pokazał sposób przyrządzania posiłku, podawania do stołu, zachowania się podczas posiłków:

Jakoż po wszystkich izbach panował ruch wielki, Roznoszono potrawy, sztuczce i butelki;

Mężczyźni, tak jak weszli, w swych zielonych strojach, Z talerzami, z szklankami chodząc po pokojach,

Jedli, pili lub wsparci na okien uszakach

Rozprawiali o flintach, chartach i szarakach;

Podkomorstwo i Sędzia przy stole; a w kątku

Panny szeptały z sobą; nie było porządku,

Jaki się przy obiadach i wieczarach chowa,

Była to w staropolskim domu moda nowa;

Przy śniadaniach pan Sędzia, choć nierad, pozwalał

Na taki nieporządek lecz go nie pochwalał.

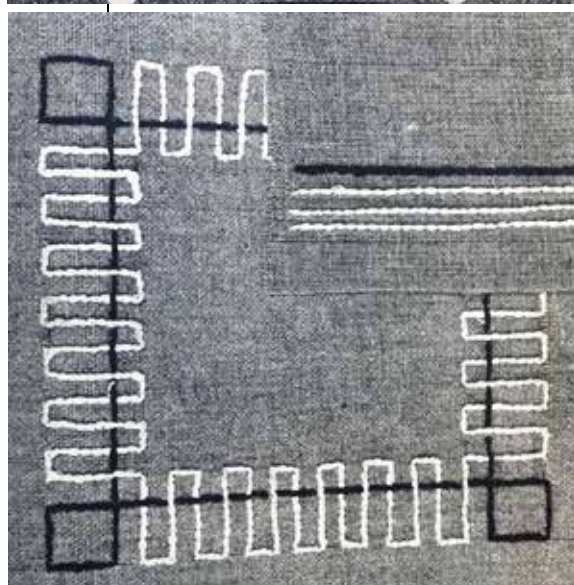
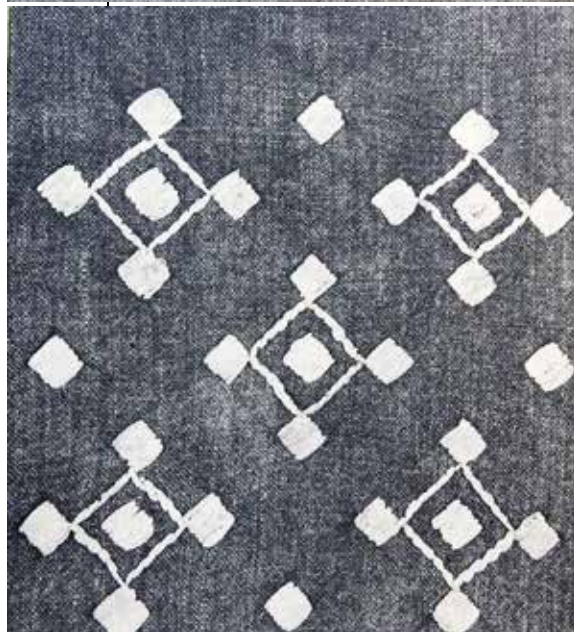
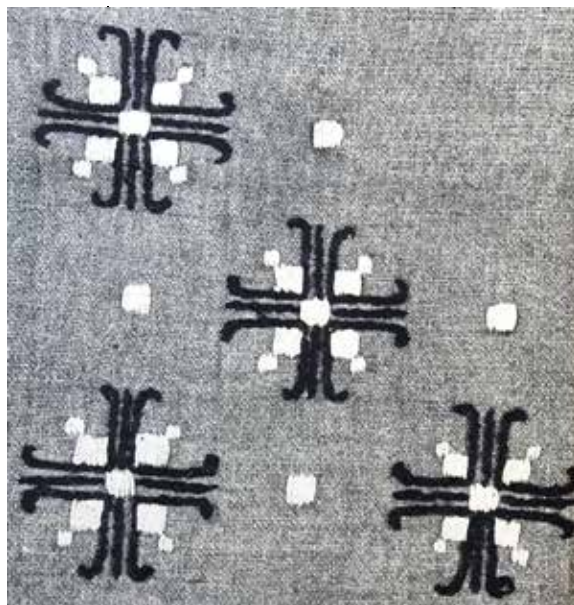
Różne to były dla dam i mężczyzn potrawy

Tu roznoszono tace z całą służbą kawy.

Tace ogromne, w kwiaty ślicznie malowane,

Na nich kurzące wonnie imbryki blaszane

I z porcelany saskiej złote filiżanki,



Motywy dwubarwnego haftu wykonanego na ciemnym lnianym płótnie, możemy ozdobić większe lub mniejsze serwetki. Ściegi: atłasek, sznureczek.

Na szarym lub kolorowym płótnie rytmicznie powtarzające się motywy. Nici białe, mulina lub bawełna do cerowania. Ściegi: atłasek i sznureczek.

Na szarym płótnie różnie ułożone linie sznureczka. Nici w dwu kolorach.

¹⁶⁰ J. Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, Wrocław 1962, s. 429–430.

¹⁶¹ Tamże, s. 431.

¹⁶² Tamże, s. 431–432.

¹⁶³ Tamże, s. 432.

¹⁶⁴ Tamże, s. 433.

¹⁶⁵ Tamże, s. 466.

Przy każdej garnuszek mały do śmietanki.
Takiej kawy jak w Polsce nie ma w żadnym kraju

W Polsce w domu porządnym, z dawnego zwyczaju,

*Jest do robienia kawy osobna niewiasta,
Nazywa się kawiarka; ta sprowadza z miasta
Lub z Wicin bierze ziarna w najlepszym gatunku,*

*I zna tajne sposoby gotowania trunku,
Który ma czarność węgla, przejrzyście bursztynu,*

*Zapach moki i gęstość miodowego płynu.
Wiadomo, czym dla kawy jest dobra śmietana;
Na wsi nie trudno o nią, bo kawiarka z rana,
Przestawiwszy imbryki odwiedza mleczarnię
I sama lekko świeży nabiału kwiat garnie
Do każdej filiżanki w osobny garnuszek,
Aby każdą z nich ubrać w osobny kożuszek.
Panie starsze już wcześniej wstawszy piły kawę,*

*Teraz drugą dla siebie zrobiły potrawę
Z gorącego, śmietaną bielonego piwa,
W którym twaróg gruzłami posiekany pływa
Zaś dla mężczyzn wędliny leżą do wyboru:
Półgęski tłuste, kumpia, skrzydliki ozoru,
Wszystkie wyborne, wszystkie sposobem domowym*

*Uwędzone w kominie dymem jałowcowym;
W końcu wniesiono zrazy na ostatnie danie
Takie bywało w domu Sędziego śniadanie*¹⁶⁶.

Szlachta zastawy stołu i kunszt kulinarny czerpie z książek, z których korzystano przy sporządzaniu posiłków na dworach królewskich i w wielkich magnackich domach. Do stołu podawali najlepsi mistrzowie sztuki kulinarnej. Te tradycyjne obyczaje porządku i kultury przy stole widzimy w ostatniej uczcie staropolskiej:

*I wnet zaczęli wchodzić parami lokaje
Roznoszący potrawy: barszcz królewskim zwany*

*I rosół staropolski sztucznie gotowany,
Do którego pan Wojski z dziwnymi sekretami
Wrzucił kilka perełek i sztukę monety
(Taki rosół krew czyści i pokrzepia zdrowie)
Dalej inne potrawy, a któż je wypowie!*

*Kto zrozumie nieznane już za naszych czasów
Te półmiski kontuzów, arkasów, blemasów,
Z ingrediencyjami pomuchl, figatelów,*

*Cybetów, piżm, dragantów, pinelów, brunelów;
Owe ryby! Łososie suche, dunajeckie,
Szczuki główne i Szczuki pogłówne, łokietne,*

*Flądry i karpie ćwiki, i karpie szlachetne!
W końcu sekret kucharski ryba nie krojona,
U głowy przysmażona, we środku pieczona,
A mająca potrawkę z sosem u ogona.*

*Goście ani pytali nazwiska potrawy,
Ani ich zastanowił ów sekret ciekawy,
Wszystko prędko z żołnierskim jedli apetytem,
Kieliszki napelniając węgrynem obfitym*¹⁶⁷.

Na przestrzeni rozwoju kultury i estetyki urządzenia mieszkań, spożywania posiłków, doszły do smaku i wykwintu sfery ziemiańskie, w ustroju kapitalistycznym – kapitaliści. Każdy bogaty dom szczylił się serwisami ze srebra i z góry ustalonymi nakryciami. Brak było indywidualności i prostoty. Znikła dawna serdeczna gościnność. Na przyjęciach siedziały często napuszone damy, zerkające na

smaczniejsze potrawy. Patrząc na wieśniaczka chatę polską, ta nie ma kultury obyczajów, dorobku i smaku w urządzeniu mieszkania.

Lud polski czuł swoje poniżenie i biedę. Czasem patrzył na przyjemne i wystawne życie dworu przez nędzne okna swoich chat albo posługując na dworze, o czym dowiadujemy się z baśni i opowiadań.

Kulturę bycia biedoty przedstawiają pisarze w swoich utworach: *Tam dostawał od matki kawał chleba, drewnianą łyżkę i trochę barszczu w ogromnej donicy, z której jadło sześć osób. Siadał na ziemi, matka stawiała mu donicę między nogi, potem odchodziła zmywać statki*¹⁶⁸.

W okresie 20-lecia międzywojennego jedynie klasy rządzące mogły poszczycić się jakimś dorobkiem estetycznego i kulturalnego spożywania posiłków. Ludzie biedni mieszkający w suterrenach i skromnych lepiankach nie mają warunków na elegancję. Ich prostota polegała na jedzeniu z jednej miski, na nienakrytym stole, którego sam ogólny wygląd nie przysparzałby nam dzisiaj apetytu. A ile to razy jeszcze nasi ojcowie z garnka jedli.

A dziś? Ustrój ludowy likwiduje krzywdzące różnice, chce wynagrodzić odwieczne zaniedbanie ludzi pracy. Stara się otoczyć się specjalną opieką, stworzyć warunki miłego i kulturalnego pobytu w domu zarówno ludzi miast, jak i wsi. Nie ma hrabianek i Walusiów, wszyscy mają jednakowe prawa, równy start.

A przyjemny i estetyczny wygląd wnętrza mieszkania, nakrycia stołu do posiłków i odpowiednie zachowanie się w różnych sytuacjach to najważniejsze rzeczy do kulturalnego spędzania dnia lub wieczoru w gronie bliskich nam osób.

Analiza programu zajęć praktyczno-technicznych w ośmioletniej szkole podstawowej (szycie i gospodarstwo domowe)

Pod koniec XIX wieku rozumiano pedagogiczne znaczenie zajęć związanych z organizacją bytu w rodzinie. Przede wszystkim podkreślono rolę szycia i gospodarstwa domowego dla praktycznego przygotowania młodzieży, oraz rolę haftu, szydełkowania dla wychowania estetycznego. Powstaje pytanie, jakie jest miejsce tych zajęć w ośmioletniej szkole podstawowej?

Ważnym zadaniem zajęć praktyczno-technicznych jest kształcenie politechniczne wyrażające się w potrzebie pogłębienia wiedzy ogólnotechnicznej. Chodzi tu o kształcenie umiejętności planowania i organizacji życia rodzinnego, o stronę ekonomiczną tych problemów, o umiejętność korzystania z osiągnięć nauki i produkcji dla bardziej estetycznego, bardziej wygodnego życia. Jednym z zadań zajęć praktyczno-technicznych jako przedmiotu nauczania w szkole

podstawowej jest kształtowanie socjalistycznego stosunku do pracy i wysiłku ludzkiego, rozwijanie zmysłu oszczędności i świadomej dyscypliny społecznej, gospodarności, sumienności i wytrwałości; budzenie i rozwijanie estetycznej wrażliwości, poczucia ładu i porządku¹⁶⁹.

W ustroju socjalistycznym dążymy do podniesienia kultury codziennego życia szerokich mas, chcemy stworzyć lepsze warunki, nagradzając krzywdę, jaka im się działa przez wieki. Do tej reformy stanęła cała inteligencja, a zwłaszcza nauczyciele, którzy, chcąc wykonać dobrze swoje zadania, muszą podnieść własne kwalifikacje, umieć spojrzeć krytycznie w przeszłość i wywiązać się z powierzonych obowiązków. Nauczyciel musi umieć widzieć współczesnego człowieka. Obok zaznajamiania uczniów z wytworami współczesnej techniki należy ich wyposażać w nawyki kulturalnego obycia. Już w przedszkolu wdrażamy dzieci do przyswajania ogólnych norm kulturalnego zachowania się przy stole, na spacerze, na grzędce i w innych pomieszczeniach przedszkolnych. Należy uczyć, jak podawać posiłki i jak ma przebiegać ich konsumpcja.

W szkole należy w dalszym ciągu realizować zamierzenia przedszkola. Jeśli w szkole nie ma dożywiania, można to czynić na zajęciach praktyczno-technicznych już w klasach młodszych. Dzieci przygotowują sobie prowizoryczną zastawę z kartonu (talerzyki, łyżki, łyżeczki, filiżanki lub kubeczki można uformować z masy papierowej, dobrze jest wykorzystać serwetki z bibułki – kupić gotowe, albo zrobić z papieru) i pogłębiają zdobyte wiadomości i umiejętności nakrywania, podawania i zachowania się przy stole.

Analizując program zaj. prakt.-tech. klas VII–VIII, [dochodzimy do wniosku, że] szkoła ma przygotować z zakresu gotowania najprostszych posiłków, podawania potraw, nakrywania stołu. Szkoła powinna wyrobić smak i podnieść wymagania w urządzeniu domu z zakresu estetyki i kultury, znieść nagminne na wsi prostactwo, z jakim jeszcze dzisiaj się spotykamy. Młodzież musi umieć widzieć, że nie gazeta, na której stoi patelnia, nie patyki pod osmolonym garnkiem są ozdobą i dekoracją w czasie codziennego śniadania, a prosta lniana serweta bez pracochłonnych wzorów lub kolorowy obrus nadadzą wspólnemu posiłkowi apetyczny i estetyczny wygląd.

Młodzież kończąca osiem klas szkoły podstaw. musi być obeznana z urządzeniami technicznymi: pralką, kuchenką elektryczną, lodówką, odkurzaczem, telewizorem, froterką. Znać sposoby kulturalnego utrzymania otoczenia domu – odpowiednie rozmieszczenie grządek warzywnych i kwiatowych. Mieć ogólną znajomość przyrządzania tanich i smacznych posiłków i umieć estetycznie podać je do stołu. W klasie VII i VIII trzeba tak pokierować młodzieżą i organizacją zajęć, by każda uczennica wychodząca ze szkoły miała własny komplet serwetek śniadaniowych lub podwieczorkowych i żeby wiedziała, jak

¹⁶⁶ A. Mickiewicz, *Pan Tadeusz*, Wrocław 1950, s. 51–52.

¹⁶⁷ Tamże, s. 293–294.

¹⁶⁸ Walek, [w:] *Czytanka dla kl. IV*, Warszawa 1958, s. 175.

¹⁶⁹ Program Nauczania 8-klasowej szkoły podstawowej. Zajęcia prakt – tech. Kl. V–VIII, Uwagi wstępne.



wykorzystać go w życiu codziennym. Ściegów ozdobnych uczymy już od klasy III. Wykorzystanie tych ściegów znajdzie doskonałe zastosowanie w serwetkach. Jak niewiele pracy wymaga najskromniejsza serwetka, a ile uroku dodaje leżąc na odpowiednim miejscu – na stole. Serwetka na stole to jeszcze nie wszystko, ona też musi odpowiadać pewnym wymogom, musi być czysta, musi mieć świeży wygląd. Bo z poplamionej i wygniecionej lepiej zrezygnować. W te ogólne wiadomości należy wyposażać uczniów. Pewnie, że niejedni przyjmą to obojętnie, innych cokolwiek zaciekawia, ale znajdują się i tacy, którzy będą widzieli w tym coś dla siebie, coś, co można wykorzystać w przyszłości.

Dzisiaj wiele się mówi o estetyce dnia codziennego. Więc do walki z dawnymi obyczajami musi stanąć szkoła, dom i środowisko. Musi być jednakowe oddziaływanie domu i środowiska, wtedy i praca nauczyciela da pożądane efekty. Młodzież, mająca ogólny zasób wiedzy wymaganej programem, będzie mogła prowadzić tryb życia kulturalny nawet w najbardziej skromnych warunkach.

A oto jak wyobrażam sobie lekcję zajęć praktyczno-technicznych, na której uczniowie zrobią serwetki śniadaniowe lub podwieczorkowe.

Kl. VII

Temat: Zastosowanie ściegów ozdobnych w kompletach nakryć stołowych. Analiza procesu wykonania.

Forma pracy: Praca indywidualna

Cel wych.: Wyrabianie w dzieciach poczucia odpowiedzialności za wykonanie powierzonych im pracy

Cel kształ.: Zastosowanie i wykorzystanie pracy w życiu codziennym

Metoda: Praca pod kierunkiem nauczyciela

Jednostka metodyczna złożona z 6 jednostek lekcyjnych.

Tok lekcji

1. Przygotowanie do lekcji

Wyjąć potrzebne materiały, rozdać przybory, narzędzia.

2. Powtórzenie materiału z poprzednich klas i nawiązanie do nowego tematu.

Rodzaje ściegów zwykłych i ozdobnych: ścieg przed igłą, ścieg za igłą, gałązkowy, dziergany, sznureczkowy, krzyżykowy. (Tablica ściegów) Pokazuję np.: trzy (różne wzory i kształty) serwetki i pytam do czego służą, jak jest ich przydatność. Proponuję narysować na kartkach kilka wzorów serwetek.

3. Podanie tematu, analiza zadania, plan pracy.

Dzieci mówią, z jakiego materiału serwetki są wykonane, jakimi ściegami ozdobione, jak wykonane. Omawiam, w jaki sposób zrobią swoje serwetki, dobór kolorowych nici. Rodzaj i splot płótna.

Plan pracy

a) Ustalenie wymiarów i kształtów serwetek

1. kwadratowe 25x25 cm

2. prostokątne 17x25 cm

3. okrągłe o średnicy 20 cm

b) cięcie materiału wg ustalonych wymiarów

c) wykończenie boków ściegiem: dziergany, obrzucany, na maszynie

d) rozmieszczenie ściegów ozdobnych (praca samodzielna)

e) omówienie pracy

4. Praca uczniów: napisanie tematu i planu pracy w zeszytach przedmiotowych opracowanie wzoru serwetki w zeszycie (korekta nauczyciela).

Realizacja planu pracy.

5. Omówienie wyników pracy, ocena, wniosek.

6. Czynności końcowe: złożenie zeszytów materiałów i przyborów.

Uczennice nie muszą robić 6 serwetek. Wystarczającą ilością będą 3-4. Kształt ich musi być jednakowy, ale każda wykonana innymi ściegami. Załączam kilka wzorów serwetek, które można wykonać z dziewczętami kl. VII-VIII na zaj. pr. tech.

Estetyka życia codziennego

Niekiedy odczuwamy nagle ochotę, aby przełamać rutynę w codziennym podawaniu

posiłków i z większą troską, a jednocześnie niekonwencjonalnie i nieszablonowo, nakryć stół. Okazja do takiej odmiany może się nadarzyć każdego dnia, a najczęściej kiedy się oczekuje gości. Przyjęcia organizowane w domu mają różny charakter, uzależniony od okoliczności, która skłoniła nas do urządzenia spotkania towarzyskiego, pory dnia, sezonu, możliwości finansowych, a także umiejętności kulinarnych. Okazją do urządzenia przyjęcia w domu bywają najczęściej uroczystości rodzinne: narodziny nowego członka rodziny, ślub dorosłej córki lub syna, rocznica ślubu rodziców, przyznanie członkowi rodziny odznaczenia, uzyskanie dyplomu naukowego, powrót kogoś z rodziny z dłuższej podróży i inne. Przyjęcia takie odbywają się zwykle w terminie wcześniej wyznaczonym przez gospodarzy, po starannym przemyśleniu całej organizacyjnej imprezy. Tradycyjne doroczne święta, a ponadto imieniny domowników lub obchodzone przez wiele osób rocznice urodzin skłaniają nas do przyjęcia u siebie gości.

Okazją do urządzenia przyjęcia dla dzieci i młodzieży jest – poza imieninami – pomyślnie zakończenie roku szkolnego uwieńczone promocją do następnej klasy. Terminy tych kategorii przyjęć w zasadzie narzuca nam kalendarz, jednak stosujemy pewne odchylenia dogodne zarówno dla gospodarzy, jak i zapraszanych gości. Spotkania na ogół organizuje się w sobotę lub w niedzielę czy też w dni świąteczne. W dni te łatwiej oderwać się od monotonii codzienności dla pogawędzenia z bliskimi.

Ogólnie istnieją przyjęte zwyczaje podejmowania gości śniadaniem, obiadem, podwieczorkiem lub kolacją.

Śniadaniem podawanym o godz. 12-tej możemy przyjąć gości np.: podczas dorocznych świąt lub w niedzielę. Wszyscy, zarówno goście, jak i gospodarze dysponują wówczas czasem i mogą się zjawić o tej porze dnia. Zaproszenie gości na śniadanie w dzień powszedni możliwe jest wtedy, gdy zaproszone osoby nie są związane ścisłymi godzinami pracy. Zaproszenie na drugie śniadanie powinno nastąpić wcześniej, aby każdy w swoich planach przewidział czas na



spotkanie. Najbardziej popularną porą przyjęć są godziny popołudniowe 16.30–8.00.; jest to czas podawania podwieczorku. Organizując przyjęcie w tej porze dnia, umożliwiamy gospodyni wcześniejsze przygotowanie wszystkiego i przez cały czas towarzyszenie swoim gościom.

Na podwieczorek podajemy słodkie ciasta, ciasteczka lub tort, kawę czarną lub herbatę, ewentualnie wino, a ponadto sezonowe owoce.

zwalczyć fałszywą ambicję. To ona właśnie każe nam się wstydić tego, czego się wcale wstydić nie trzeba: skromnego, estetycznego poczęstunku i mieszkania. Oczywiście, gdy mamy gości – a szczególnie zaproszonych – trzeba podać coś do zjedzenia. Nie należy w żadnym przypadku doprowadzać gościnności do przesady. To, co podamy, uzależnione jest od tego, kto do nas przychodzi.

Serdecznych przyjaciół i znajomych, którzy wpadli na chwilę, bez zaproszenia można poczęstować cukierkami, herbatą, kawą – tym, co akurat jest w domu.]

Najlepiej zestawiony jadłospis, najsmaczniej przyrządzone potrawy, to jeszcze nie wszystko. Jedzenie, które ma przynieść pożytek i korzyści, musi sprawiać

przyjemność. Przyjemność jedzenia można dobrowolnie zepsuć, można ją również zwielokrotnić. Aby ładnie nakryć stół, wystarczy nieco staranności i dobrej woli. Wcale nie jest konieczne posiadanie cennego serwisu, kryształów, sreber.

Prostota naczyń z fajansu czy kamionki bez pęknięć i szczerb, gliniane dzbanki, pleciony koszyczek na chleb i zwykła deska, na której podajemy sery, proste, gładkie szkło, czysty lniany obrus – nadadzą naszemu stołowi bardzo estetyczny wygląd.

Jeśli przyjmujemy 2–4 osoby, a zwłaszcza jeśli podajemy tylko herbatę albo kawę i ciasto lub drobne ciasteczka, wystarczą małe serwetki z lnu lub trzcinki. Do śniadań i podwieczorków używa się też serwet kolorowych. Takie nakrywanie stołu wygląda bardzo efektownie, szczególnie na jasnym stole i co dla gospodyni jest bardzo ważne – znacznie łatwiej uprać i uprasować nawet sześć małych serwetek niż jeden duży obrus. W chatkach wiejskich stoły przykrywane są ceratą i na niej zastawiane całodzienne posiłki.

Ze względów praktycznych jest to polecane, gorzej wygląda wtedy stół pod względem estetycznym. Ale czy kobieta pracująca w gospodarstwie, pełniąca obowiązki w domu, obarczona kilkorgiem dzieci, może pozwolić sobie na rozkładanie serwetek podczas

śniadania czy innego posiłku? Ona może wie, że jej stół by wtedy ładniej wyglądał, ale to luksus na warunki wiejskie, można sobie na niego pozwolić w czasie niedzielnego lub świątecznego przyjęcia. Lepszą sytuację mają kobiety mieszkające w mieście i niepracujące zawodowo. One mają czas na dokładne przyrządzenie posiłku i należyte jego podanie.

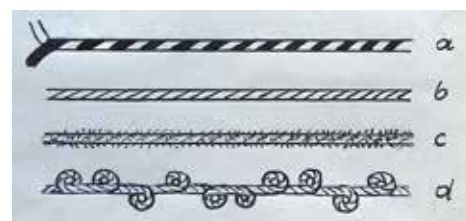
A co należy jeszcze wiedzieć o serwetkach? Serwetki zarówno na co dzień, jak i przy odświętnym nakryciu układa się jak najprościej. Wszelkie ozdobne figury, wachlarze z płóciennych serwet są niemodne, bo po rozłożeniu serwetka jest pomięta, zgnieciona i nieświeża. Jedzenie, nawet skromne, lepiej smakuje, gdy stół jest ładnie, estetycznie nakryty, nie tylko od święta, nie tylko gdy są goście, ale i na co dzień.

Jak można nakryć do śniadania? Stół nakrywamy kolorowym obrusem albo pod każdym nakryciem kładziemy plastikowe lub lniane kolorowe serwetki. Na każdej serwetce stawiamy talerzyk, obok filiżanki i spodki są z jednego kompletu. Najtańsze a efektowne są kolorowe fajansowe. Talerzyki deserowe też powinny być jednakowe, niekoniecznie z tego samego kompletu co filiżanki. Po prawej stronie talerzyka kładziemy nóż, przed talerzykiem łyżeczkę.

Jeśli podajemy na śniadanie zupę, stawiamy na talerzyku głęboki talerz i obok noża kładziemy łyżkę. Na środku stołu stawiamy talerz lub koszyczek z cienko pokrojonym chlebem, maselnickę z masłem lub margaryną, cukierniczkę z łyżeczką, stoik z dżemem lub miodem.

Jeżeli na śniadanie podajemy wędliny (ułożone w kawałkach na półmisku), trzeba po lewej stronie talerzyków położyć widelce.

Świeże kwiaty będą na stole wspaniałą ozdobą, wniosą klimat wiosenny i radosny. Mogą to być gałązki kwitnącej jabłoni lub wiśni, mogą być kaczęce, nawet bukieciki fiołków czy stokrotek w małych dzbanuszkach wystarczą, aby na stole zapanowała wiosenna świeżość.



Podwieczorki mają mniej oficjalny charakter, co pozwala na wytworzenie swobodniejszego nastroju wśród zebranych.

Jeśli mamy ogródek przy mieszkaniu, taras lub balkon, w porze letniej możemy tam podać podwieczorek, co praktycznie jest niemożliwe w odniesieniu do śniadań, obiadów czy kolacji. Organizując przyjęcie w porze podwieczorku dla osób bardziej zżytych, zbliżonych wiekiem do gospodarzy, możemy wykorzystać altankę na działce. W otoczeniu drzew i krzewów, wśród zieleni i kwiatów, wszyscy doskonale odpoczną po trudach całodziennej pracy.

Jeszcze i teraz wielu paniom domu przyjmowanie gości sprawia duży kłopot i wolą z nikim nie utrzymywać stosunków towarzyskich. Jest kilka przyczyn tego stanu rzeczy: warunki mieszkaniowe, trudności finansowe i fałszywa ambicja, utrudnia tak zwane „bywanie”. W naszych małych i zagęszczonych mieszkaniach, trudno urządzić huczne przyjęcie dla wielu osób. Jednak nawet w najskromniejszym pokoju można przyjąć dwoje czy troje dobrych przyjaciół. Ponieważ wizyty nie polegają na jedzeniu i piciu alkoholu, lecz stanowią okazję do wymiany myśli, rozmowy, rozrywki i kulturalnego odpoczynku, względy finansowe nie powinny stanowić poważnej przeszkody. Najtrudniej



Komplet podwieczorkowy wykonany z kolorowego lnianego płótna i ozdobiony motywami białego haftu.
Serwetki z płótna, można je ozdobić haftem w dwu kolorach.
Obrus lniany ozdobiony białym haftem.

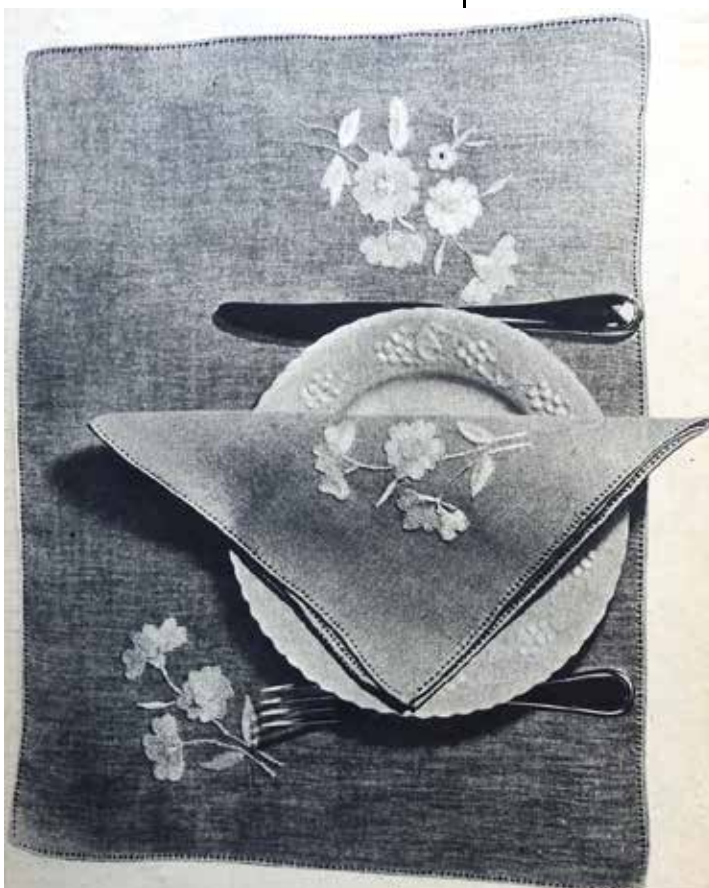
Opis pracy praktycznej

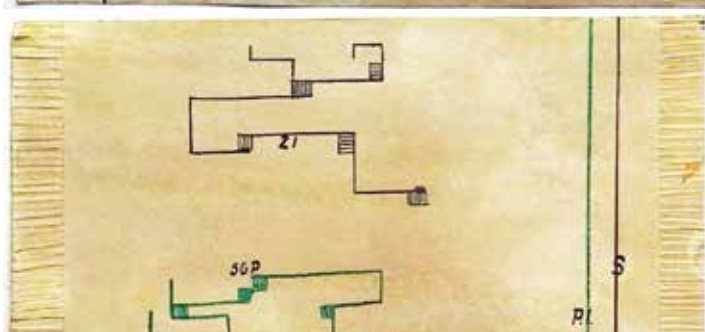
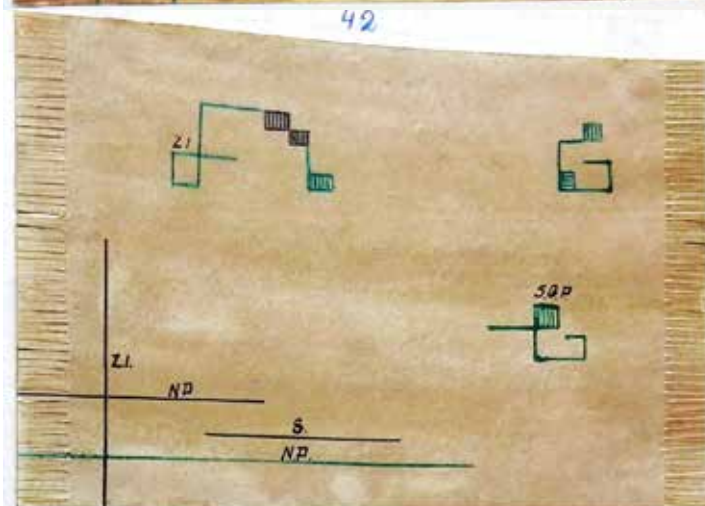
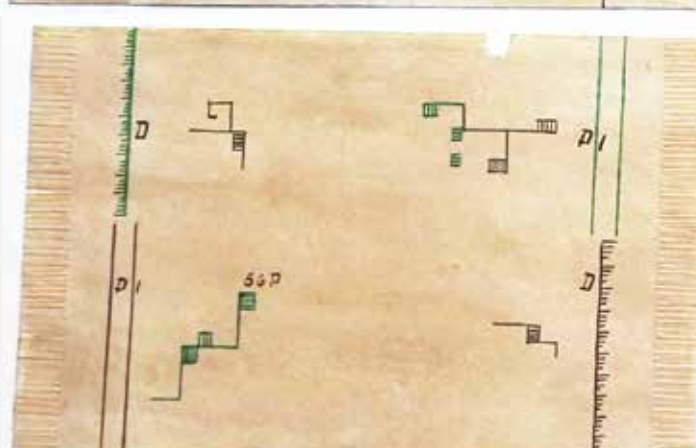
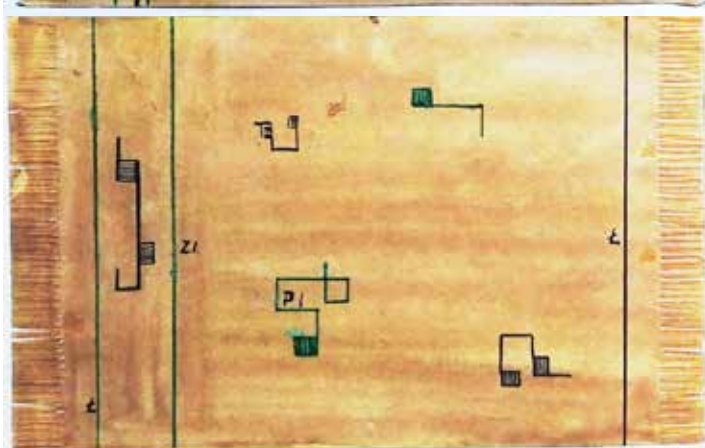
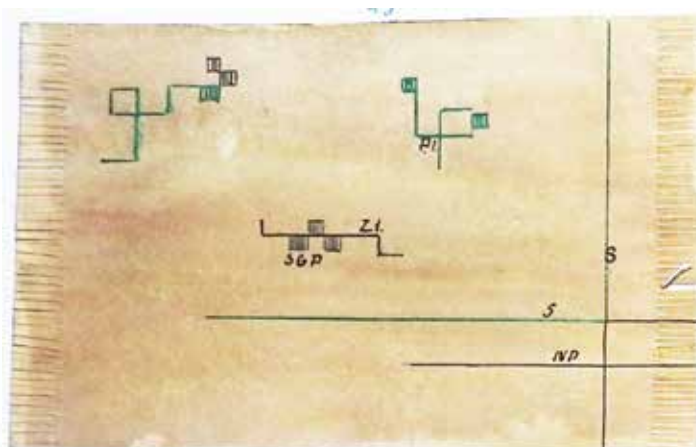
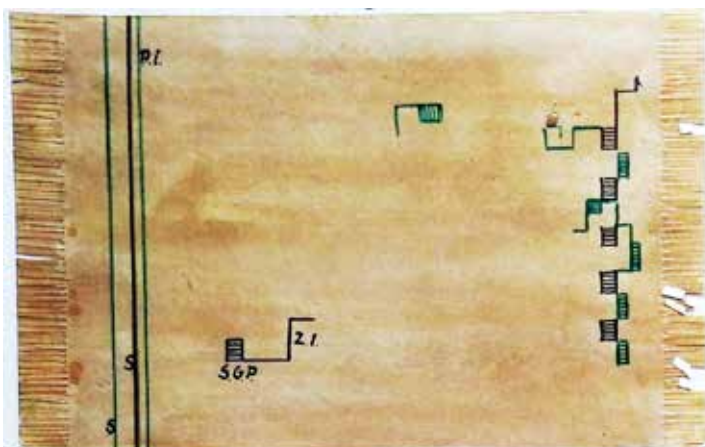
Len od dawna słynął z włókna łykowego. Najwcześniej był znany w Azji Mniejszej, później w Egipcie (tkaniny, w które owijano mumie były lniane), Babilonii, Izraelu, wreszcie w Grecji i Rzymie. W czasie wędrówek ludów uprawa lnu

rozpowszechniła się w całej Europie. W Polsce len znany był również od najdawniejszych czasów, a przemysł lniany powstał w Jaworzu na Śląsku już w XVI wieku.

Len jest najważniejszą w kraju rośliną włóknodajną i ma dość duże znaczenie gospodarcze. Do najważniejszych ośrodków przemysłu lnianego zaliczamy: Częstochowę, Bielsko-Wilamowice, Jelenią Górę, Wałbrzych, Nową Sól, Żary, Żyrardów.

Len rozwija się najlepiej w klimacie umiarkowanym, chłodnym, sieje się go wiosną. W Polsce najlepszym terenem uprawy lnu jest Pojezierze Mazurskie oraz Śląsk i Podkarpacie. Uprawa lnu jest bardzo pracochłonna. Zbiór na ogół ręczny. Słoma lniana musi przejść długie etapy przeróbki: kruszenie, trzepanie, tarcie, klepanie, rosznienie, czesanie by odłączyć łyko od zdrewniałej części rośliny i otrzymać długie proste włókna lnu.





Serwetka prostokątna o wymiarach 19x30. Boki dłuższe obszyte na maszynie. Jakimi ściegami ozdobiona? S – sznureczek, P.I. przed igłą, Z.I. – za igłą, S.G.P. – ścieg gobelinowy pionowy, Ł – łańcuszek (pozostałe ściegi jak wyżej), N.P. – nitka przeciągana, D – ścieg dziergany. Ścieg gobelinowy pionowy składa się z niewielkich (na wysokość 3-6 nitki materiału) ściegów pionowych oddalonych od siebie o jedną nitkę. Komplet nr 1 – 6 serwetek tego samego kształtu o różnie ułożonych elementach zdobionych w kolorach brązu i zieleni. Serwetka w kształcie kwadratu. Wykończone brzegi na maszynie. Elementy ozdobne w kształcie kół: SG – ścieg gałązkowy, S – sznureczek. Tkanina w trzech kolorach. Komplet nr 2 – 6 serwetek z jednakowymi wzorami. Obydwa komplety serwetek wyszywane są muliną (2 nitki).

Z przędzy lnianej wyrabia się różnego rodzaju tkaniny, począwszy od cienkich batystów lnianych poprzez tkaniny pościelowe i ręcznikowe do grubych płócien workowych i żaglowych. Poszczególne gatunki przędzy

różnią się między sobą kierunkiem skrętu, ilością nitki, siłą skrętu oraz dodatkowymi efektami, jak zgrubienia, pętle pęczki itp. Jest kilka rodzajów przędzy:

- Dwunitkowa,
- Czesankowa,
- Zgrzebna,
- d Pętlicowa.

Tkaninę otrzymujemy przez wzajemne przeplatanie dwóch gęsto ułożonych prostopadłych do siebie szeregów nici. Nici biegnące wzdłuż tkaniny noszą nazwę osnowy, zaś nici prostopadłe do nich – wątku. Proces powstawania tkaniny nazywa się tkactwem, maszyny do wytwarzania tkanin – krosnami.

Sposób przeplatania nie wątku z niemi osnowy nazywa się splotem. Od rodzaju splotu zależy moc tkaniny oraz jej wygląd. Jest wiele odmian splotów stosowanych przy wytwarzaniu tkanin, jednak wszystkie dadzą się sprowadzić do trzech podstawowych wzorów, do splotów: prostych, skośnych, atlasowych.

Tkaniny z przędzy lnianej mają przeważnie splot prosty-płócienny. Powstaje on w ten sposób, że nitka wątku przebiega kolejno raz nad, a raz pod pojedynczymi nitkami osnowy, przy czym z powrotem biegnie pod tymi nitkami osnowy, nad którymi biegła w pierwszym przebiegu. Utkane płótno lniane przechodzi proces bielenia i barwienia. Bielenie tkanin odbywa się w specjalnych pomieszczeniach. Jako środka bielącego używa się podchlorynu wapnia, następnie związek ten neutralizuje się słabym roztworem kwasu siarkowego i dokładnie się tkaninę płucze wodą.

Barwienie może nastąpić poprzez farbowanie tkaniny lub nitek przędzy, albo drukowanie /patrz powyżej/.

Załączony komplet serwetek nr 1 jest przykładem farbowania (nasycania tkaniny roztworem barwnika), komplet nr 2 przykładem drukowania (pokrywanie powierzchni tkaniny farbą drukarską). Do obydwu sposobów użyto barwników syntetycznych. Uzyskane barwy tkanin są trwałe, odporne na działanie światła, wody, kwasów, jak również na pranie, gotowanie i prasowanie. W zależności od czasu, jakim dysponujemy można wykonać sobie kilka zestawów serwetek lub większych serwet o różnych kształtach i różnie ozdobionych.

Wnioski

Obserwując rolę kobiety na przestrzeni wieków i obecnie jej zadania, gdzie kobieta ma taki sam start życiowy, jak i mężczyzna, pracuje zawodowo lub jako naukowiec, ma dostęp do stanowisk kierowniczych, nie wolno jej zapominać, że jest kobietą, matką i żoną. Obok prac zawodowych musi prowadzić dom tak, żeby domownikom było w nim wygodnie, miło i przytulnie. Musi umieć sporządzić smacznie, zdrowo, szybko i estetycznie wszystkie posiłki. Umieć korzystać z przepisów sztuki kulinarnej. Aby tego dopiąć, kobieta musi mieć przygotowanie, a na tym polu są jeszcze duże braki. Chcąc je uzupełnić, nasze państwo stara się organizować kursy z zakresu racjonalnego żywienia, na których uczestnicy zdobędą ogólną wiedzę o nakryciu stołu na każdą sytuację, o podaniu do stołu, o znaczeniu niektórych potraw w życiu człowieka.

Wiedzę swoją można pogłębić przez korzystanie z czasopism „Kobieta i Życie”, „Gospodyni Wiejska”, „Przyjaciółka”, „Nowa Wieś”. Często na łamach tych pism są „rozgrzane” ciekawe problemy. Nawet program Polskiego Radia przewidywał audycję „Estetyka życia codziennego”. Audycja ta jest udostępniona wszystkim zainteresowanym. Program telewizyjny też nie przechodzi obojętnie obok tych problemów. Często przedstawiane są wnętrza nowoczesnych mieszkań, a w nich kulturalny sposób bycia. Właśnie przez pośredni lub bezpośredni kontakt z kulturalnym otoczeniem wiele można się nauczyć.

Dość szerokie zastosowanie w obecnej dobie serwetek śniadaniowych i podwieczorkowych i ich praktyczna strona, zmusiły mnie do podjęcia takiego tematu pracy. Wiedziałam, że mam w tej dziedzinie jeszcze duże braki. Po przekonsultowaniu i dokładnym ustaleniu tematu pracy z Panią prof. B. Gorzko, po omówieniu pracy praktycznej i teoretycznej jej strony, doszłam do wniosku, jak bardzo może mi się przydać w codziennym użyciu taki komplet serwetek. Nie praktykowałam do tej pory na swoim stole wytworów pracy własnych rąk. Czasem może nawet z zazdrością patrzyłam na serwety czy serwetki moich koleżanek. Myślałam i o czymś podobnym dla siebie. W warszawskiej CPLiA zainteresowały mnie różne zestawy serwetek, poczynawszy od

regionalnych bardzo misternie wykonanych na płótnie do plecionek słomkowych prostych, a estetycznie wykonanych. W tekstylnych sklepach można kupić serwetki z gotowym wzorem fabrycznym. W sklepach ludowego wzornictwa też można nabyć serwetki o różnych wzorach i kształtach wypracowane ręcznie przez ludowych twórców tej sztuki, ale czyż nie większą wartość mają prace wykonane własnoręcznie, które w zależności od okoliczności zdobią nasz stół?

W czasie dwuletniej nauki w Studium wiele się nauczyłam, poszerzyłam zakres zagadnień mi znanych. Słowa wdzięczności za trud należące się naszym miłym opiekunom i wykładowcom, którzy podjęli się tak trudnego zadania, jakim jest kształcenie kadr nauczycielskich.

Bibliografia

Źródła:

Kitowicz J., *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, Wrocław 1962;
Mickiewicz A., *Pan Tadeusz*, Wrocław 1950;

Program Nauczania 8-klasowej szkoły podstawowej. Zajęcia prakt – tech. Kl. V–VIII;

Tygodniki: „Przyjaciółka”, „Gospodyni Wiejska”, „Nowa Wieś”, „Kobieta i Życie” z dodatkiem „Wykroje i wzory”.

Walek, [w:] *Czytanka dla kl. IV*, Warszawa 1958, s. 175.

Opracowania:

Chołowiecka K., *Gospodarstwo domowe i racjonalne żywienie*, [w:] *Kuchnia Polska*, red. S. Berger i in., Warszawa 1955;
Gaik A., *Surowce włókiennicze*, Warszawa 1958;
Gumowska I., *My i nasz dom*, Warszawa 1956;
Homolacs K., *Rękodzielnictwo jako sztuka*, Warszawa 1948;
Mikołajczyk H., *Materiałoznawstwo włókiennicze*, Warszawa 1960.

Pikulina

Przepisała z rękopisu: Anna Ziółkowska
z d. Różańska.

Od Redaktora wydania:

Imię i nazwisko Autorki znane Redakcji.

Drogi Czytelniku

Jeśli masz w swojej szufladzie lub w komputerze, spisane wspomnienia lub wartościowe materiały archiwalne, które ktoś może wykorzystać do opracowania tekstu historycznego, to zachęcam do kontaktu z Redakcją Krasnosielskich Zeszytów Historycznych.

Doradzimy, pomożemy ...

Z poważaniem:

Sławomir Rutkowski, 796 030 115 rutkowski.plus@gmail.com

Maria Weronika Kmoch, 973 065 172 mariakmoch@wp.pl

Gawędy o sześciu epokach

Marian Bartosiak

Anna SKONIECZNA

Wspomnień mojego wujka (szwagra mojej mamy) wysłuchałam w 2000 r. Ukazał się na łamach Makowskiej Gazety Powiatowej w zapoczątkowanym przeze mnie cyklu „Gawędy o sześciu epokach”, który opatrzyłam wstępem: „Pod tym hasłem będę prezentować Państwu sylwetki i wspomnienia najstarszych mieszkańców naszego powiatu. Ludzi, którzy urodzili się w początkach mijającego XX wieku i doczekali obecnych czasów. Ich życiorysy to prawdziwe bogactwo przeżyć w kilku „epokach” historycznych narodu polskiego. – Początek XX wieku - to końcówka smutnego okresu pod zaborami. Lata 1914–18 - to czas tragicznej I wojny światowej – dla Polaków szczególnie ważny okres, bo budzący nadzieję na zrzucenie jarzma zaborców. Wreszcie narodziny wolnej II Rzeczypospolitej zaledwie na dwadzieścia lat. 1939–1945 - to znów tragiczny czas II wojny światowej i okupacji. Następnie lata 1945–89 obejmują epokę Polski Ludowej. I wreszcie dzisiejsze czasy 1989–2000 młodej demokracji”.

Marian Bartosiak urodził się w 1915 r. w Żabinie Karniewskim w gminie Karniewo i z tą wioską związał całe swoje życie. Stąd w 1940 r., gdy tylko wyleczył żołnierskie rany po klęsce wrześniowej, wziął za żonę Stanisławę Przybysz. Tu urodziło się jego dwóch synów i córka oraz większość wnucząt i prawnucząt.

Całe życie był rolnikiem. Pobudował cztery domy i zasadził kilkadziesiąt drzew. Od pierwszych lat po zniszczeniach wojennych mój bohater był tym, któremu się raczej wiodło. Z jego obejścia gospodarskiego najszybciej znikały ślady pożogi wojennej. Myślę, że jeszcze dziś każdy starszy mieszkaniec Żabina przyzna, że pan Bartosiak to porządny gospodarz, zawsze zapobiegliwie troskliwy o sprawy ziemi, gospodarstwa i rodziny. Wysłuchując wspomnień sędziwego wujka, będąc w otoczeniu jego najbliższych, czułam niezwykle klimat tego domu, gdzie mojego rozmówcę troskliwie nazywano „dziadziusiem”. Senior, mimo swoich 85 lat, ma wspaniałą pamięć, cieszy się dobrym zdrowiem i jest przepełniony, nie pozbawionym poczucia humoru gawędziarzem.

Z okresu pierwszej wojny światowej nie mogę nic powiedzieć, bo byłem za mały – wspomina. – Mam jednak takie nie swoje wspomnienie: miałem trzy, może cztery lata, jak mój wujek Stanisław Sierzan wrócił z tej wojny i opowiadał, jak walczył w wojsku carskim przeciwko Niemcom. W jakimś starciu przebił bagnietem jednego Niemca, a ten, konając

wyszeptał: „Jezus Maria”. Wujek zrozumiał wtedy, że zabił Polaka, który tak jak on był wcielony do obcego wojska, tyle że zaborcy pruskiego. Wujek mój bardzo to przeżywał, że musiał zabić rodaka. Był już mężczyzną po czterdziestce, ale płakał, gdy o tym mówił do swojej mamy, a mojej babci.

Z czasów międzywojennych mam dużo wspomnień, bo to okres mojego dorastania, młodości, ale nie wiem, co by się nadawało powiedzieć, aby było interesujące. Było nas w domu sześcioro rodzeństwa. Ojciec mój był soltysem przez 17 lat, aż do drugiej wojny. Skończyłem siedem oddziałów szkoły powszechnej w Karniewie.

Może takim najważniejszym przeżyciem była śmierć mojej 42-letniej matki. Miałem wtedy 15 lat, najmłodszy brat miał ledwie 2,5 roku. Na szczęście moja najstarsza siostra Jadzia była już dorosłą panną i, poświęciwszy szczęście osobiste, zajęła się domem i rodzeństwem. Ojciec mój żył jeszcze długo, ale nie ożenił się powtórnie. Mamusia zmarła na zapalenie płuc. Takie to były czasy. Ludzi ze wsi nie wozilo się do szpitala, jak dzisiaj. Chyba że jakiś straszny wypadek się zdarzył, to w konika wiozło się do Pułtuska albo Przasnysza. Tu, w Makowie, nie było szpitala. Na zapalenie płuc ludzie wtedy często umierali. Pamiętam, że dwa razy brat Zygmunt przywoził do mamy felczera z Makowa. Nazywał się Brodowski. Rozkładał ręce, że już nie ma ratunku, bo woda w boku. Mamusia zmarła 28 stycznia, ojciec mój też zmarł 28 stycznia, tylko kilkanaście lat później. A jeszcze tak się złożyło, że ja ślub brałem też 28 stycznia. Pamiętam, że przy mojej mamie w ostatniej godzinie zeszły się sąsiadki, ciotka Ciakowa zapaliła gromnicę i żeśmy się wszyscy modlili. Mamusia na naszych oczach oddała ducha Bogu i nastał wielki lament sześcioro dzieci i ojca.

Jesienią 1937 r. zostałem powołany do służby wojskowej do Przasnysza. Po miesiącu zrobiono nam jakieś specjalistyczne badania psychologiczne. Okazało się, że dobrze wypadłem i wraz z trzema innymi poborowymi zostałem przeniesiony do 11 Pułku Ułanów Legionowych im. Marszałka Rydza-Śmigłego w Ciechanowie, do szwadronu szkolnego na tzw. szkołę. Zaliczyłem ją z bardzo dobrą lokatą i otrzymałem pierwszą dystynkcję, tzn. belkę. Wkrótce zostałem przydzielony na dowódcę sekcji. W czerwcu '39 r. było święto pułkowe i dostałem drugą belkę.

Do domu miałem stosunkowo blisko i przyjeżdżałem dość często. Na jesieni, gdy miałem już wyjść do rezerwy, wybuchła wojna i zamiast do rezerwy poszedłem na front.

Gdy już było wiadomo, że wojna wybuchnie, zostaliśmy przemieszczeni pod granicę niemiecką, do Janowa koło Chorzela i tam chyba cały sierpień robiliśmy okopy i umocnienia. Pamiętam, jak przed wrześniem stawiliśmy się całym pułkiem na przygranicznej polanie i nasz dowódca pułkownik Mączyński przemawiał do nas. Po chwili zeszło się mnóstwo cywilnych ludzi z okolicy, którzy też słuchali pułkownika i płakali, bo to było bardzo dramatyczne i wzruszające przemówienie o tym, że wojna to straszne okrucieństwo, ale jest nieunikniona.

No i wojna wybuchła. Pierwszego września o szóstej rano zaczął się bój. Pierwszy chrzest bojowy miałem akurat w wygranej bitwie. Mój szwadron kawalerii przerzucono na wzgórze, gdzie była luka, nie było piechoty i my to zajęliśmy. Tam pierwszy raz zetknąłem się z ogniem niemieckim. Rzeź i bój były straszne pod olszynami. Mieliśmy wtedy dużo karabinów maszynowych; rżnęliśmy w te olszyny niemiłosiernie i zmusiliśmy Niemców do wycofania.

Taki był mój chrzest bojowy, zakończony sukcesem, ale później to już niestety było głównie tak, że to myśmy się wycofywali... Na drugi dzień cofnęliśmy się do Krzynowłogi. Itak coraz bardziej na Przasnysz i w głąb kraju. Codziennie było starcie z wrogiem i codziennie było nas niestety trochę mniej. Ze znajomych koło Przasnysza we wsi Trzcianka zginął przy mnie Kazimierz Cackowski z Karniewa. Zmarł na rękach sanitariusza makowskiego. Każdy żołnierz miał na piersiach taką aluminiową tabliczkę z nazwiskiem i adresem. Jak który poległ, a myśmy cofali się dalej, to ludzie cywilni grzebali tych poległych bohaterów. Z tej tabliczki wiedzieli, kto to jest i co napisać na krzyżu. Czasem, jak była możliwość, dawali znać rodzinie, jeśli polegli pochodził z bliskich stron.

Kiedy przejeżdżaliśmy przez pułtusi most, ja akurat wiozłem sztandar pułkowy. Byłem odpowiedzialny za sztandar i był to dla mnie wielki honor. Gdy wycofaliśmy się za Bug do miejscowości Popowo koło Serocka, dowódca szwadronu zebrał oficerów i podoficerów (ja byłem podoficerem sekcyjnym) i powiedział, że Niemcy zmobilizowali wszystkich mężczyzn do 65. roku życia i tyle dywizji mają na samych Prusach Wschodnich, ile my wszystkich w całej Polsce. Niemieckie siły są tak potężne ilościowo i z nowoczesnym uzbrojeniem, że nie mamy szans dać im rady, ale nie wolno dezerterować. Musimy honorowo walczyć do końca!

I znów codzienne starcia i cofanie. To było przykre, ale duch bojowy w polskich żołnierzach był wielki. Na razie wierzyliśmy w pomoc Francji i Anglii, ale wkrótce dowódca powiedział nam takie rzeczy, że i tej nadziei zabrakło.

Gdy się wycofaliśmy za Wyszaków, znów doszło do starcia. Cały dzień trzymaliśmy Niemców pod Lochowem. Walka była straszna i dużo z nas poległo, więc w nocy znów musieliśmy wykonać manewr do tyłu. W trakcie cofania z lasu Niemcy jeszcze otworzyli do nas ogień z moździerzy i karabinów. Będąc tym sekcyjnym w pierwszym plutonie pierwszej sekcji, zawsze byłem blisko dowódców. Padł rozkaz: do walki pieszo z koni. Środkowy żołnierz był zawsze tzw. koniowodą – miał za zadanie wycofać się z końmi na tyły, ukryć się, a my na tyralierkę i skokami na ten las, skąd Niemcy otworzyli do nas ogień. Rakiet spadochronowe świeciły w górę. Zrobiło się widno jak w dzień. Moździerze się rwały, kule świsnęły gęsto jak nigdy dotąd. Straszliwy to był bój, bo z zaskoczenia, w nocy, kiedy nikt już nie spodziewał się i my spokojnie szykowaliśmy się do odwrotu. Musieli być w pewnym momencie bardzo blisko, bo usłyszałem wyraźnie niemiecką mowę. Tam gdzieś w dali słychać też było polskie „huraaa!” i zaraz Niemcy skierowali ogień w naszą stronę.

Nareszcie nasz dowódca też krzyknął „Huraaa! Bagnet na broń!”. Zerwaliśmy się i biegniemy. Ja też zerwałem się biec i nagle... bach! Nie wiedziałem, co się stało. Tak jakbym spadał z wysokiego dachu. Nic mnie nie bolało, nie straciłem przytomności, słyszałem straszny świst pocisków i krzyki. Wszyscy biegli przed siebie, a ja nie mogłem. Czulem tylko, że cały jestem mokry i nie mogę się podnieść. Przybiegł do mnie porucznik. Stwierdził, że jestem ranny i powiedział, że weźmie mój karabin, bo jemu zaciął się pistolet. Pobiegł z moją bronią, a ja zacząłem sprządać, w co jestem ranny. Sprawdziłem, czy mam nogi i ręce. Nie czulem prawej ręki. Pomyślałem, że mi ją urwało. Po dokładniejszym obmacaniu rozumiałem, że ta ręka jest na miejscu, tylko zalana krwią. Nie czulem żadnego bólu.

W tym momencie przybiegł do mnie kolega Kazimierz Jakubiak z Sońska. Ucieszył się, że żyję i pomógł mi się podnieść. Niewładną rękę włożyłem za pas od ładownicy. Ta ładownica uchroniła mnie, bo moja rana mogła być dużo groźniejsza. Byłem trafiony odłamkiem granatu, który po ładownicy omknął się na staw barkowy. Odnaleźliśmy hełm, który spadł mi przy upadku. Karabinu już nie miałem. Później dowiedziałem się, że porucznik, który mi go wziął, też został ranny. Pociski latały, co chwilę padaliśmy z kolegą. Dopiero teraz, orzeźwiony z oszołomienia, zacząłem czuć ból. Kolega odprowadził mnie na tyły do miejscowości Dobrze. I tak skończyła się dla mnie wojna.

Położyłem się na wozie. Dopiero nad ranem przyszli sanitariusze i opatrzyli mnie. Miałem złamane i częściowo zerwane prawe ramię. Dzięki Bogu, miałem dobrą krzepliwość krwi. Jakoś szybko zasklepiła mi się taka bania krwi i nie zdążyłem się wykrwawić. Brakowało mi dużego kawała skóry, to potem zrobiono mi przeszczep. Odwieziono mnie do szpitala w Rudce. Mój pułk poszedł dalej, na Zamość. Niedługo potem szpital zajęli Niemcy, ale wcześniej była najpierw straszna walka

w okolicy. Szpital obsługiwali głównie zakonnice. Z leków była głównie woda utleniona. Dopiero później Niemcy dostarczyli lekarstwa.

Po miesiącu pobytu w szpitalu, chociaż ręką nie władałem dobrze, zdecydowałem się iść o własnych siłach do domu, bo tęsknota za bliskimi była wielka. Siostry zakonne dały mi na drogę prowiant i błogosławieństwo. W wojskowym ubraniu dotarłem do rodziny w Słomiankach pod Wyszakowem. Dla większego bezpieczeństwa (bo Niemcy wylapywali polskich żołnierzy) ubrali mnie w cywilne rzeczy i ruszyłem dalej. Szedłem piechotą. Dopiero przed Pułuskim ukryłem się na chłopskiej furmance ze słomą, bo w Pułusku było dużo Niemców i strach było iść. W tej słomie przejechałem przez miasto aż do Dzierżanowa. Dalej to już było łatwo, bo to moje rodzinne strony. Znałem dobrze okolice, bo jako wyrostek chodziłem z bratem na zarobek, pracując przy budowie domów w wielu wioskach.

Do domu w Żabinie zaszedłem już po ciemku. Nastąpiła niesamowita radość – nie tylko ojca i rodzeństwa. Dużo osób z sąsiedztwa przybiegło. Radowali się i obcałowowali mnie wszyscy. Okazało się, że mój ojciec dostał wiadomość, że ja poległem za Pułuskim w czasie odwrotu wojsk. Ojciec jeździł za Pułusk szukać mojego ciała.

Takie to były te moje wojenne losy. Wróciłem w październiku, czyli mniej więcej o takim czasie, co bym i tak wyszedł z wojska poborowego, gdyby nie wybuchła wojna.

Wspomnieć tu jeszcze pragnę o naszym sztandarze pułkowym. Jak już było bardzo niebezpiecznie i mogło dojść do kapitulacji, to pod Węgrowem zakopaliśmy w skrzyni nasz sztandar. To było na moich oczach i było przykre. Od Węgrowsa nasz pułk już szedł bez sztandaru. Trzeba było to zrobić, bo sztandar to takie godło pułkowe i nie chcieliśmy, aby wpadł w niemieckie ręce. Będąc po wojnie w Warszawie, udałem się do muzeum i zapytałem kustosa, czy wśród wielu sztandarów znajduje się sztandar 11 Pułku Ułanów z Ciechanowa. Bardzo się ucieszyłem, że jest. Ucałowałem go ze łzami w oczach.

Jeśli chodzi o okres okupacji, był to dłuższy czas, ale nie działa się już tak wiele. Ożeniłem się. Urodził mi się pierwszy syn. I chociaż żyło się w napięciu, to byłem szczęśliwy. Każdy drżał, bał się, bo żandarmi weszli i za byle co można było trafić do obozu. Żeby nie podpaść, trzeba było zajmować się tylko rolnictwem i rodziną. Politykowaliśmy tylko w zaufanym gronie. Należałem do Batalionów Chłopskich, ale to było w wielkiej tajemnicy. Zastanawialiśmy się, gdzie już jest front i jak to będzie, gdy do nas dotrze. Trafiali się niestety i donosiciele, ale więcej takich to porobiło się dopiero za komuny. Wstyd wspominać, jak życie potrafili utrudniać niejednokrotnie bliscy ludzie.

Epoka Polski Ludowej to najdłuższy okres, nie wiem jednak, czy coś takiego działa się w moim skromnym życiu, żeby się nadawało do opowiedzenia. Po wojnie nie było nic. Dosłownie ruina. Ani budynków, ani maszyn, a zwierzęta gospodarskie najczęściej były każdemu zabrane przez wojska. Człowiek jednak cieszył się, że przeżył i miał zapal do odbudowy, dorabiania się. Ja pracy nigdy się nie bałem, ani moja młoda żona. A miałem

jeszcze do pomocy teściową i jej dorastające dwie córki. Od małego miałem, jakby to powiedzieć, taki zmysł ekonomiczny. Umiałem kalkulować, co się opłaca, co zasieć i wyhodować, aby wyjść na tym z zyskiem. I tak, pracując ciężko, pomału dźwignąłem gospodarstwo z ruiny. Jestem rolnikiem z powołania i ziemię kocham nade wszystko. Jak tylko nadarzała się okazja, to dokupowałem ziemię. Jeszcze w zeszłym roku doradziłem wnuczkowi i dokupił kolejne dwa hektary.

Kiedy Gomulkę wypuścili z więzienia, zrobiło się o tyle lepiej, że już nie groził nam kolchoz. W 1956 r. w przemówieniu Gomulka ogłosił, że wszystkie kolchozy utworzone na siłę trzeba rozwiązać. W naszych stronach takie kolchozy były np. w Zalesiu, Czarnostowie. Wszystko się rozwiązało ku radości ludzi. Takie pogrobowce w postaci budynków kolchozowych jeszcze tam stoją. Gomulka zrobił wolność dla rolników indywidualnych. Kto pracował na roli, poczuł się bezpiecznie, budował się i dorabiał.

Za Gierka to już gospodarzył mój syn i wiodło się naprawdę dobrze. Były takie lata, że mieliśmy największą produkcję rolną w okolicy. Jednak Gierek strasznie zadłużył kraj i doszło do kryzysu gospodarczego.

Takim najboleśniejszym przeżyciem lat siedemdziesiątych była dla mnie śmierć mojego pierwszotnego syna Stanisława. Zmarł na serce. Gospodarstwo jednak tą ciężką próbę przetrzymało. Wnuk, który teraz gospodaruje, miał wówczas tylko dziesięć lat. Gdy doszedł do pełnoletności, były już trudne czasy kryzysu lat osiemdziesiątych. Wspólnie ze mną udało mu się ponownie postawić gospodarstwo na wysokim poziomie.

Wnuk ożenił się z dobrą dziewczyną. Doczekałem od nich czworo prawnucząt. Bawię się z nimi, popilnuję, gdy oni mają pracę lub jakiś wyjazd. Zdrowie, dzięki Bogu, mam. Moje jedyne lekarstwa to rumianek i siemę. Żaluję tylko bardzo, że wszyscy moi bliscy: żona, rodzeństwo, szwagrowie, mimo że młodszy ode mnie, już zmarli. Brak mi ich strasznie. Syn i córka, mieszkający w Pruszkowie, odwiedzają mnie, ale to nie to samo przecież, co odwiedziły tamtych, z którymi biegło mi całe życie.

Teraz [2000 r. – przyp. red.] ja żyję w tej ostatniej epoce historycznej XX w. Chciałbym doczekać tego udostępnienia teczek. Wiem, że ja mam też swoją teczkę i jestem ciekaw, co przeczytam. Chociaż pragnąłem tej zmiany ustrojowej, nie podoba mi się, co rząd robi z rolnictwem. Pośrednicy głaszczą się po opastach brzuchach, a producenci żywności cierpią biedę. To nie jest demokracja, a rabunek tego, co ludzie wypracowali w poprzedniej epoce, pod dyktando. Przed wojną też przecież był wolny rynek, ale polityka rynkowa inna. Jak np. doktor miał dwa złote za wizytę, to nie było mowy, aby wziął więcej. Wtedy to było ćwierć kwintala żyta. Teraz doktor ma za wizytę 50 złotych, czyli kwintal pszenicy. To tylko taki jeden przykład. Tak się teraz porobiło, że praca rolnika nie ma opłacalności ani uszanowania. To piękny, ale ciężki zawód. Niedobrze się dzieje, gdy państwo nie dba o żywicieli narodu. Marian Bartosiak zmarł w wieku 89 lat. Pochowany na cmentarzu parafialnym w Karniewie. Cześć jego pamięci.

Anna Skonieczna



Nasza Polska Pani z Gietrzwałdu

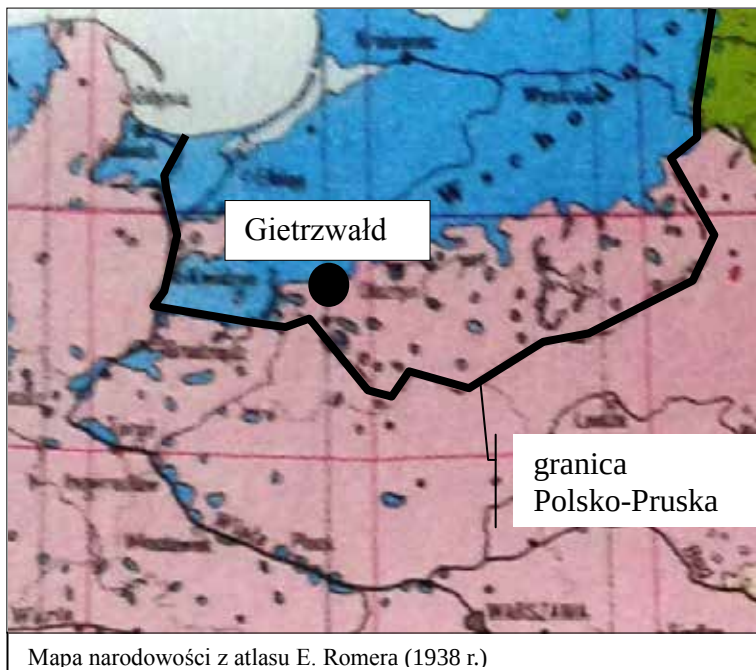
Jolanta Śliżewska-Rogala

Wszystko, co dotyka spraw boskich, jest piękne. Miejsce, które obrała Matka Boża na objawienia w 1877 r., ziemia, którą od końca już XIII w. zamieszkiwało dużo Polaków, a która na mocy traktatu w 1446 r. toruńskiego stała się polską, jest również piękne.

Miejscowość Gietrzwałd – miejsce objawień¹⁷⁰, malowniczo wkomponowana

¹⁷⁰ Przypis Redakcji: Objawienia w Gietrzwałdzie – seria jedynych zatwierdzonych przez Kościół objawień w Polsce, które wydarzyły się we wsi Gietrzwałd (na Warmii) w roku 1877, kiedy to od 27 czerwca do 16 września, na przykościelnym klonie, Matka Boża objawiała się dwóm dziewczynkom. Objawienia były badane przez władze kościelne w trakcie ich trwania. Maryja miała powiedzieć, że Kościół na ziemiach polskich nie będzie prześladowany, a polskich kapłanów będzie więcej, jeśli ludzie będą się modlić i odmawiać różaniec. Przemawiała do nich po polsku, w gwarze warmińskiej. Wzmocniło to ruch polski na Warmii, zacieśniło więzi między Kościołem katolickim a polskim ruchem patriotycznym, a także utrwaliło kult maryjny w Polsce.

Wizjonerkami były trzynastoletnia Justyna Szafrzyńska i dwunastoletnia Barbara Samulowska. Obie pochodziły z biednych polskich rodzin. Pierwsza ujrzała ją Justyna, wracająca właśnie z matką z egzaminu przed przystąpieniem do pierwszej komunii. Po 3 dniach, 30 czerwca, w czasie odmawiania różańca, pod klonem przed kościołem, objawienia doznała Barbara, która wizję opisała tak: „Matka Boska siedziała na tronie wśród aniołów z Jezusem na kolanach”. Dziewczynki zadały objawionej postaci różne pytania i twierdziły, że uzyskały odpowiedzi, o czym potem opowiadały: pytanie: „Kto Ty Jesteś?”, odpowiedź: „Jestem Najświętsza Panna Maryja Niepokalanie Poczęta!”. Na pytanie: „Czego żądasz, Matko Boża?” odpowiedź brzmiała: „Życzę sobie, abyście codziennie odmawiali różaniec!”. Między wieloma pytaniami o zdrowie i zbawienie różnych osób, dzieci przedłożyły i takie: „Czy Kościół w Królestwie Polskim będzie oswoobodzony?”, „Czy osierocone parafie na południowej Warmii wkrótce otrzymają kapłanów?”. Odpowiedź w ich relacji brzmiała następująco: „Tak, jeśli ludzie gorliwie będą się modlić, wówczas Kościół nie będzie prześladowany, a osierocone parafie otrzymają kapłanów!”. Te pytania wynikały z ówczesnych prześladowań Kościoła katolickiego przez carat w Królestwie Polskim po powstaniu styczniowym i ograniczania jego wpływów w zaborze pruskim w okresie Kulturkampfu. Władze pruskie odnosiły się do objawień negatywnie. Odpowiedzi Matki Boskiej przekazane przez wizjonerki przyniosły wtedy pocieszenie Polakom. Rozpowszechniło się przekonanie, że przepowiednie się wypełniły. Dlatego też Polacy ze wszystkich dzielnic rozbiorowych gromadnie pielgrzymowali do Gietrzwałdu. Ostatniego dnia objawień wizjonerki opowiadały, że Matka Boska pobłogosławiła pobliskie źródło, z którego to woda po dziś dzień podobno uzdrawia chorych. W miejscu objawień



Mapa narodowości z atlasu E. Romera (1938 r.)

w otaczającą ją przyrodę, położona jest pośród pagórków morenowych południowej części Warmii. Na najwyższym wzniesieniu zbudowano w końcu XV w. kościół w stylu gotyckim p.w. Narodzenia Najświętszej Maryi Panny.

Pierwotna osada „Gudikus”, wydzielona wraz z nadaniem jej prawa chełmińskiego z obszaru zwanego Ziemią Gudikus w 1352 r., stanowi początek Gietrzwałdu. Historia Warmii na przestrzeni wieków przedstawia bolesne jej dzieje, których skutki trwają do czasów współczesnych.

W bieżącym roku ukazała się ciekawa publikacja księdza dr. hab. Krzysztofa Bielawnego, historyka – *Niepodległość wyszła z Gietrzwałdu*, której celem jest „wydobycie wątków historycznych, które w sposób znaczący przyczyniły się do odzyskania przez Polskę niepodległości poprzez objawienia

postawiono kapliczkę z wizerunkiem Matki Boskiej. Z kłonu zachował się tylko kawałek drewna, z którego wykonano krzyż.

Do Sanktuarium Maryjnego w Gietrzwałdzie co roku przybywają liczne grupy pielgrzymów (w ostatnich latach łącznie około 1 miliona rocznie).

10 września 1967 roku, na dziewięćdziesięciolecie objawień, prymas Polski, kardynał Stefan Wyszyński koronował obraz Matki Bożej. W 1977 roku Kościół zatwierdził treść objawień jako autentyczną. 2 lutego 1970 roku papież Paweł VI nadał kościołowi w Gietrzwałdzie tytuł i godność Bazyliki Mniejszej. *Objawienia w Gietrzwałdzie*: https://pl.wikipedia.org/wiki/Objawienia_w_Gietrzwałdzie (dostęp 24 X 2018 r.).

maryjne w Gietrzwałdzie”. Praca oparta jest na dokładnej kwerendzie materiałów źródłowych z lat 1772–1885. Najważniejsze znaczenie miała prasa polskojęzyczna wydawana w zaborze pruskim, a ponad to uwzględniono prasę polską wydawaną w zaborze austro-węgierskim. Wnikliwa analiza

materiałów rzuca nowe światło na wiele wydarzeń historycznych.

Publikacja ukazuje sytuację społeczno-polityczną na początku XIX w. i okresie powstań listopadowego i styczniowego oraz sytuację Polaków po ich klęsce. Polska po rozbiorach zniknęła z mapy świata. Nastąpiło osłabienie gospodarcze, pojawiły się konflikty i trudności w życiu społecznym. Zaborcy germanizowali i rusyfikowali ludność polską. Konspiracyjna działalność niepodległościowa powodowała represje ze strony zaborców. Wybuch powstania listopadowego zakończony klęską spowodował napiętnowanie powstańców przez wielu przywódców państw europejskich „jako tych, którzy wprowadzają zamęt, burząc porządek społeczny i polityczny Europy”. Cesarz Mikołaj I „prorokował”, że Polacy przestaną istnieć a papież Grzegorz XVI wzywał biskupów „do posłannictwa pokoju”. W wyniku powstania nastąpiły dalsze dotkliwe represje we wszystkich dziedzinach życia na dawnych ziemiach polskich, szczególnie skupiając się na Kościele rzymskokatolickim.

Po klęsce powstania styczniowego w 1864 r. w zaborze rosyjskim, w którym wielokrotnie wspierał ludność polską papież Pius IX, rozpoczęła się akcja odwetowa. Tysiące ludzi stracono, nastąpiła wysyłka na katorgę lub na Sybir, wcielanie do karnej armii carskiej oraz masowa rusyfikacja ludności polskiej. Bardzo ostro potraktowano Kościół katolicki i unicki. W zaborze pruskim rozpoczął się czas walki z tożsamością narodową – tzw. Kulturkampf.

Ograniczono działalność Kościoła, represjonowano księży i działaczy społecznych, germanizowano ludność i prowadzono kolonizację ziem polskich.

Jeśli chodzi o późniejsze wydarzenia, w publikacji bardzo pięknie i wyczerpująco opisane jest znamienne wydarzenie, które miało miejsce w 1877 r., poprzedzające objawienia w Gietrzwałdzie. Chodzi o pielgrzymkę Polaków do Rzymu na przełomie maja i czerwca 1877 r. z okazji złotego jubileuszu biskupstwa Piusa IX. W czasie audiencji u Ojca Świętego w Watykanie, na którą przybyło ponad 600 Polaków, „Ojciec Święty prosił, by Polacy dążyli do odzyskania wolności w sposób pokojowy, by droga była usłana modlitwą, największym bowiem wrogiem ich jest grzech”. Ojciec Święty w swoim przemówieniu do Polaków wypowiedział także te słowa:

„Błogosławie Koronie Polskiej i proszę Boga, aby to błogosławieństwo spłynęło na całą ziemię Waszą”. Na spotkaniu obecny był „wygnaniec” z Polski, prymas kard. Mieczysław Ledóchowski. Była to pierwsza narodowa pielgrzymka Polaków z trzech zaborów, która podniosła na duchu uciemiężony naród polski.

Wypowiedziana niejako proroczco prośba Ojca Świętego do pielgrzymów, by nie przemocą, tylko modlitwą przemoc odierać i starać się usunąć przyczynę niedoli, którą jest grzech, znalazła potwierdzenie w orędziu Matki Bożej przekazanym dwóm dziewczynkom w objawieniach w Gietrzwałdzie trwających od 27 VI do 16 IX 1877r. Autor publikacji „przybliża wydarzenia gietrzwałdzkie w czasie objawień maryjnych, prezentując fragmenty orędzia gietrzwałdzkiego odnoszące się do przemówienia Piusa IX z 6 czerwca 1877 r., oraz ukazuje sylwetki wizjonerek Justyny Szafryńskiej i Barbary Samulowskiej”.

Matka Boża, rozmawiając z dziewczynkami w języku polskim, zalecała modlitwy, a życzenie, by odmawiano różaniec, było wypowiedziane przez Matkę Bożą na początku i na końcu objawień. Licznie przybywający pielgrzymi modlili się z dziewczynkami i nieśli to przesłanie do swoich stron.

„W odpowiedzi na kolejne zadanie, o którym mówił Pius IX w przemówieniu do Polaków, że największym naszym wrogiem jest grzech, w orędziu gietrzwałdzkim otrzymujemy katalog grzechów, m.in. alkoholizm, rozwiązłość itp.”.

Cudowne objawienia Maryi spowodowały spontaniczny napływ pielgrzymów do Gietrzwałdu z różnych stron dawnej Polski ale także z Niemiec, Holandii, Włoch, Rusi, Litwy i Francji. W latach 1877–1880 Gietrzwałd przyjął ponad milion osób. Autor przedstawia przebieg ruchu pielgrzymkowego do czasów współczesnych. Na szczególną uwagę zasługuje opis trudnych warunków, w jakich podróżowali pątnicy, prezentacja represji

i zakazów administracyjnych w czasach zaborów. Ówczesna prasa opisywała gorliwość pątników z zaboru rosyjskiego w taki oto sposób: *gdy się patrzyło na ten lud tłumnie z poza kordonu moskiewskiego z taką pokorą, pobożnością i ufnością ku Matce Boskiej na to święte miejsce dążący, nie pomny na trudności najrozmaitsze, niepogody i niewygody w podróży, o głodzie i pragnieniu*. Autor, podsumowując opis wydarzeń związanych z ruchem pielgrzymkowym, stwierdza, że w ich wyniku Polacy odzyskiwali ducha i wiarę.

W publikacji nie pominięto prób zdyskredytowania objawień gietrzwałdzkich. W liberalnych mediach ośmieszano te wydarzenia, starając się osłabić ruch pątniczy. Władze pruskie wydawały przepisy administracyjne dotyczące ograniczania napływu pątników. Więżono i szkalowano

karczmy. Kapucyn o. Honorat Koźmiński, który przyczynił się do rozpowszechniania objawień gietrzwałdzkich, założył Zgromadzenie Sióstr Służek Najświętszej Maryi Panny, które od 1996 r. posługują w sanktuarium w Gietrzwałdzie. „Praca u podstaw w wielu parafiach i poprzez wiele zgromadzeń zakonnych przygotowywała Naród do podjęcia w przyszłości wielu zadań i budowy nowego porządku społeczno-politycznego w Polsce”.

Spontaniczny ruch pielgrzymkowy przyczynił się do budowania jedności Polaków rozdzielonych granicami zaborców. *Napływ ludu ze wszystkich stron kraju naszego, mimo ciągle słoty i deszcze, jest nadzwyczajny. Warmiacy, Kaszubi, i Mazurzy, mieszkańcy Wielkopolski i Litwy mimo kordony ich rozgraniczające bratnie sobie podali ręce tu na świętym miejscu, gdzie Królowa korony polskiej wierny swój lud z pokorą kłęczący błogostawie – donosiła ówczesna prasa.*

Zgnębieni represjami zakonnicy na Jasnej Górze pod wpływem wieści zaniesionych przez pątników z Gietrzwałdu zmobilizowali się do działania duszpasterskiego. Liczne publikacje oraz znamienne wydanie powstania „Gazety Olsztyńskiej” przyczyniły się do popularyzacji cudownych objawień. Wszystko to spowodowało budzenie się świadomości narodowej Polaków i dążenie do odzyskania swojej tożsamości narodowej. Pięknie apelował do Polaków o. Honorat Koźmiński w wydanym ostatnio rękopisie „Przesłanie z Gietrzwałdu” – nawoływał do przebudzenia się, bo Matka Boża przychodzi na pomoc w najtrudniejszych chwilach ich dziejów.

Prezentowaną publikację kończy podsumowanie i bogato zaprezentowana bibliografia.

Praca przenosi nas w odległe czasy, ale jej przesłanie jest wciąż aktualne. Cierpliwością, stałością, odwagą, a przede wszystkim modlitwą, nie zapominając o roztropności, winniśmy pokonywać trudności, które nas spotykają. Matka Boża czuwa nad narodem polskim, bowiem na

pożegnanie powiedziała dziewczynkom w Gietrzwałdzie: „Nie smućcie się, bo ja zawsze będę przy was”. Wzruszająco piękny jest język polski, spotykany we fragmentach cytowanych materiałów źródłowych. Wzruszająca jest również wiara i kult Matki Bożej wyrażany przez autorów.

Pożądanym jest, powtarzając za autorem omawianej publikacji, stworzenie pięknej opowieści filmowej o tych cudownych wydarzeniach na ziemi polskiej, bo, jak powiedział Papież Pius IX, dowiedziawszy się o nich: *Teraz Polacy mogą razem za św. Elżbietą zawołać: Skądże mi to, że Matka mojego pana przychodzi do mnie?*

Jolanta Śliżewska-Rogala
Warszawa



duchownych, jednak „wiara ludu polskiego w objawienia była tak wielka, że nic nie mogło stanąć na drodze, by dotrzeć do Królowej, Pani Gietrzwałdzkiej, a także by przyjąć orędzie do niego skierowane i ruszyć w powrotną drogę, dzieląc się z innymi swoimi przeżyciami”.

W dalszej części pracy ks. Krzysztof Bielawny podejmuje temat odrodzenia życia religijnego i budzenia polskiej świadomości narodowej w wielu rejonach Warmii, Polski i Europy w wyniku objawień w Gietrzwałdzie. Nastąpił renesans modlitwy różańcowej, powstało bowiem wiele wspólnot i bractw różańcowych, a młodzież wstępowała w szeregi kongregacji mariańskich. Powstawały bractwa trzeźwości na terenach nieistniejącej Polski, chociaż zaborca przez dziesięciolecia rozpijał ludność polską, płacąc za pracę alkoholem i mnożąc po wsiach



Zarys dziejów Chłopiej Łąki cz. 1

Dariusz Wojciech BUDNY

Każdy z Nas ma swoją małą ojczyznę, czyli miejsce, w którym się urodziliśmy i wychowaliśmy, a poza tym znamy je jak swoją „własną kieszeń”. Dla mnie, autora niniejszego artykułu, tą małą ojczyzną była, jest i będzie malownicza miejscowość położona nad rzeką Orzyc - Chłopia Łąka.

Pierwotnie historia mojej rodzinnej miejscowości miała być tematem mojej pracy magisterskiej, jednak ze względu na „braki archiwalne” mój promotor poradził mi napisanie pracy magisterskiej o Krasnosielcu. Jednak jako zawodowy historyk regionalista przez ostatnią dekadę gromadziłem materiały o mojej małej ojczyźnie, które zamierzam opublikować na łamach „Krasnosielckiego Zeszytu Historycznego”. Niniejszy artykuł jest niejako wstępem do dziejów miejscowości Chłopia Łąka. W kolejnych przedstawię zamierzam burzliwe losy mieszkańców mojej małej ojczyzny, począwszy od powstania wioski na przełomie XV i XVI w. po czasy współczesne.

Przeszłość geologiczna Chłopiej Łąki

Każdy z nas wie, że geolodzy wiek naszej planety oceniają na ok. 4,6 mld lat. Aby ułatwić sobie wyobrażenie tak długiego czasu, proponuję porównać go do roku kalendarzowego, obejmującego zaledwie 12 miesięcy.

Zgodnie z tym porównaniem najstarsze skały w Polsce, które mają ponad 560 mln lat,



„Niewielki” glaz narzutowy o wymiarach 1,5x1,7x1,5 m. Fot. D. Budny.

powstały w listopadzie mojego porównawczego roku. Z kolei człowiek określany jako homo sapiens pojawił się na Ziemi dopiero 190 tys. lat temu, czyli, wracając do mojego porównawczego kalendarza, dopiero 31 grudnia! Natomiast dzieje Chłopiej Łąki, podobnie jak historia Polski, rozpoczynają się, zgodnie z moim porównawczym kalendarzem, około północy.

Aby ułatwić podział dziejów naszej planety, geolodzy zaproponowali podział na ery i okresy. Wyróżniamy trzy ery w dziejach naszej planety: najstarszą paleozoiczną, środkową mezozoiczną i najmłodszą kenozoiczną. Owe ery poprzedzone były prekambrem, czyli okresem ok. 4 mld lat. 145 mln lat temu ziemie zajmowane pod budynkami dzisiejszej Chłopiej Łąki zalane były, podobnie jak obszar całej Polski, przez głębokie morze, nazwane Oceanem Tetydy. Obecnie Chłopia Łąka w całości położona jest na platformie wschodnioeuropejskiej.

Skandynawscy przybysze w Chłopiej Łące

Na początku czwartorzędu, w epoce zwanej plejstocenem, nastąpiło gwałtowne ochłodzenie klimatu. Na Półwyspie Skandynawskim zgromadziły się wtedy ogromne masy śniegu, które pod wpływem długoterminowego utrzymywania się ujemnej temperatury powietrza przekształciły się w lód. W ten sposób powstał lądolód skandynawski, który zaczął się rozprzestrzeniać zwłaszcza w kierunku południowym. Jego zasięg zmienił się w zależności od zmian klimatu; im było zimniej, tym większy zasięg lądolodu.

Chłopia Łąka została objęta kilkoma zlodowaceniami, w tym dwoma ostatnimi, czyli zlodowaceniem południowopolskim i północnopolskim. Lądolód skandynawski opuścił nasze tereny ok. 12 tys. lat temu. Niektórzy klimatolodzy twierdzą, że ok. roku 7050 nasze tereny ponownie objęte zostaną zlodowaceniem.

W wyniku działalności lądolodu skandynawskiego do Chłopiej Łąki dotarły

znaczne pokłady piasku, żwiru, gliny oraz eratyki, czyli glazy narzutowej. Owe glazy stanowią duży problem dla współczesnych rolników. Przykład takiego skandynawskiego przybysza odnaleziono w Chłopiej Łące znajduje się na zdjęciu obok. Ów glaz leży przy wjeździe do miejscowości (jadąc od



Struktury geologiczne Polski: północny-wschód zajmują obszary fałdowań prekambryjskich, pogórze karpackie po widły Wisły i Sanu - mezozoicznych i kenozoicznych, reszta kraju to pofałdowania paleozoiczne.

strony Krasnosielca).

Praktycznie na każdym polu w Chłopiej Łące można znaleźć masę mniejszych kamieni, które trafiły na nasze tereny wraz z lądolodem skandynawskim, czasami trafić można na prawdziwy okaz. Kamienie z chłopiałackich pól wykorzystywane były w budownictwie, w tym np. posłużyły do brukowania ulic w pobliskim Krasnosielcu. Jeden z najokazalszych stoi na placu kościelnym w pobliskim Drążdzewie Małym, upamiętniając od roku 2012 pobyt w tej miejscowości poety, Zygmunta Krasieńskiego.

Poza glazami narzutowymi istnieją tzw. „górkę” – to świetny przykład zepchnięcia przez cielsko lądolodu dużych pokładów „żółtego piasku”, wykorzystywanego od wieków przez mieszkańców wioski w budownictwie. Kolejny skandynawski przybysz w Chłopiej Łące, czyli glina, przyczyniła się do powstania wielu zabudowań wykonanych z czerwonej cegły. Do niedawna prawie w 70% domów mieszkalnych w miejscowości było łatwo zauważalne wykorzystanie tego surowca. Gлина przez wiele

wieków służyła jako idealny surowiec do wytwarzania naczyń kuchennych oraz masa łącząca kafle w piecach kaflowych i tradycyjnych wiejskich kuchniach. Z kolei pokłady żwiru wykorzystywane były w budownictwie oraz do budowy dróg żwirowych.

Owych skandynawscy przybysze, którzy przed wiekami dotarli do Chłopiej Łąki, czyli: glina, żwir i piasek, zaliczamy do skał osadowych okruchowych. Jak powszechnie wiadomo, na każdej skale tworzy się gleba. Na skałach macierzystych, takich jak piach i żwir, powstały słabe gleby, które dominują w strukturze gleb miejscowości.

Rozwój osadnictwa w ziemi ciechanowskiej pod koniec średniowiecza

W średniowieczu Chłopia Łąka położona była w ziemi ciechanowskiej, w powiecie przasnyskim. Pod koniec XV w. ponad 30% powierzchni tego powiatu zajmowała puszcza, której pozostałości przetrwały do dzisiaj pomiędzy dolinami Orzyca i Omulwi. Puszcza rozciągała się od Omulwi poprzez całą północno-wschodnią część ziemi ciechanowskiej, dochodząc do Przasnysza. Dziś jej pozostałości występują pod nazwą Puszczy Myszynieckiej, zwanej również Zagajnicą. W XVI w. tak o niej pisano: *Ta puszcza, którą zowią Zagajnicą poczyną się od mostu, który jest na Pisi, za Kolnem, a kończy się aż pod Przasnyszem.*

Część owej puszczy wysunięta najbardziej na zachód zwała się Puszcza Janowska, część wokół Chorzel Puszcza Mazuch, natomiast część dochodząca do Przasnysza Puszcza Przasnyska. Już pod koniec XVI w., jak podają lustratorzy, rubieże Puszczy Zagajnicy były mocno zniszczone głównie przez okoliczne ziemiaństwo. Postępujący rozwój osadnictwa powodował nie tylko zmniejszenie się obszaru puszczy, ale także zmianę jej charakteru. Na terenie dawnej Puszczy Zagajnicy możemy obecnie zaobserwować pozostałości tzw. borów suchych, gdzie dominuje sosna z niewielką domieszką dębu i jarzębiny oraz tzw. bory świeże, w których dominuje również sosna, lecz z większą domieszką brzozy, dębu, osiki, a także świerku.

W północno-wschodniej części ziemi ciechanowskiej, zwłaszcza w okolicach Orzyca, występowały bory wilgotne, w których rosła sosna, brzoza, osika oraz wierzba.

W Chłopiej Łące na przełomie XV i XVI w. występowała charakterystyczna dla borów wilgotnych zwierzyzna w postaci saren, jeleni, zajęcy, łosi oraz głuszcy i cietrzewi. Dla rozwoju osadnictwa w rejonie Sielca kluczową rolę odgrywał Orzyc wraz ze swoimi dopływami, czyli m.in. Bramurą, Trylogą, Węgierką. Pierwsza z wymienionych rzek była naturalną granicą pomiędzy osadnictwem w ziemi krasnosieleckiej oraz płoniawskiej. Natomiast rzeka Tryloga była istotna przy powstaniu takich miejscowości jak Bagienice, Grabowo oraz Chłopia Łąka. Szczególnie widoczne jest to na przykładzie Bagienic, które do dnia dzisiejszego nazywane są Trylogą.

Kluczowym momentem w historii naszej

gminy jest erygowanie parafii w Sielcu, czyli dzisiejszym Krasnosielcu. Wydarzenie to miało

czyli Jaciążek, Podoś Stary, Zawady, Suche, Zblich, Rogowo, Chodkowo, Bobino,



Kościół parafii Drażdzewo, a przed nim głaz z tablicą upamiętniającą Zygmunta Krasieńskiego. Fot. Sławomir Rutkowski, 25.10.2018 r. Współczesne lasy w Chłopiej Łące. Fot. D. Budny.

miejsce w maju 1386 r. Dla rozwoju osadnictwa w ziemi krasnosieleckiej oprócz warunków naturalnych istotne znaczenie miała polityka osadnicza realizowana przez księcia mazowieckiego Siemowita III oraz jego synów, zwłaszcza przez Janusza I Starszego. Intensywne zasiedlanie ziem nad Orzycem przypada na wiek XIV, po zwycięstwie odniesionym przez wojska polskie nad Jaćwingami i zawarciu sojuszu z Litwą. Wynikiem rozwoju tego osadnictwa był napływ ludności, lokowanie wsi oraz rozwój sieci parafialnej. W tym miejscu należy pamiętać, że za rządów księcia Janusza I Starszego powstało mnóstwo nowych parafii na Mazowszu; sam książę zaś zbudował i uposażył ok. 20 kościołów parafialnych.

Nad Orzycem w pierwszej kolejności zasiedlane były żyzniejsze ziemie, dlatego też już w roku 1377 biskup płocki Dobiesław erygował kościół parafialny w Płoniawach. W skład parafii Płoniawy weszły wszystkie wsie leżące między Orzycem oraz Bramurą,

Sątrząską, a także leżące nad Węgierką Wielodrzóz, Karwacz i Bartniki.

Wszystkie te wsie występują w dokumentach już w XIV w., natomiast wsie znajdujące się na przeciwnym brzegu Orzyca, wchodzące w skład dzisiejszej gminy Krasnosielec, były lokowane w większości pod koniec XIV i na początku XV w.

„Również w Krasnosielcu nad Orzycem, w województwie mazowieckim, ziemi ciechanowskiej w powiecie przasnyskim w dekanacie pułtuskim została utworzona przed 600 laty nowa parafia”. Parafię w Krasnosielcu erygował 10 V 1386 r. biskup Scibor z Rządymina herbu Ostoję. Wieś Sielec była wówczas własnością chorążego warszawskiego Pawła z Radzanowa herbu Prawdzic. W skład ówczesnej parafii powstałej w roku 1386 wchodziły: Sielec, Drażdzewo, oboje Trylogi Piotra i Strachomira, oboje Pienice Piotra i Biernata. Źródłem utrzymania plebana i świątyni była dziesięcina płacona przez ludność z tych wsi. Z biegiem lat

następował intensywny rozwój parafii, przybywało nowych wsi. W XV w. w parafii Krasnosielc pojawiają się takie wsie jak Grądy, Raki, Niesułowo, Perzanki, Przykuty, Przytuły, Bagienice, Sławki, Wola Pienicka oraz Chłopia Łąka.

Najstarsza wieś w parafii Krasnosielc, czyli Sielc, powstaje przed rokiem 1374, a jej pierwszym sołtysiem był Tomasz Michałowicz, będący jednocześnie bartnikiem książęcym i przewodnikiem po puszczy. Już w roku 1418 dwaj bracia z Grabowa Jan i Bartłomiej otrzymali od księcia Janusza mazowieckiego 30 włók ziemi nad rzeką Trlogą na prawie chełmińskim z czynszem 8 groszy od włóki. Należy pamiętać, że włoka chełmińska to średniowieczna jednostka pomiaru gruntów.

Tak więc Jan i Bartłomiej z Grabowa otrzymali od księcia blisko 540 ha ziemi położonej nad Orzycem i Trylogą. Przybycie osadników do Grabowa wpłynęło bez wątpienia na powstanie i rozwój innych okolicznych wsi, w tym Chłopiej Łąki.

Proces rozdrabniania majątków szlacheckich i jego wpływ na rozwój osadnictwa

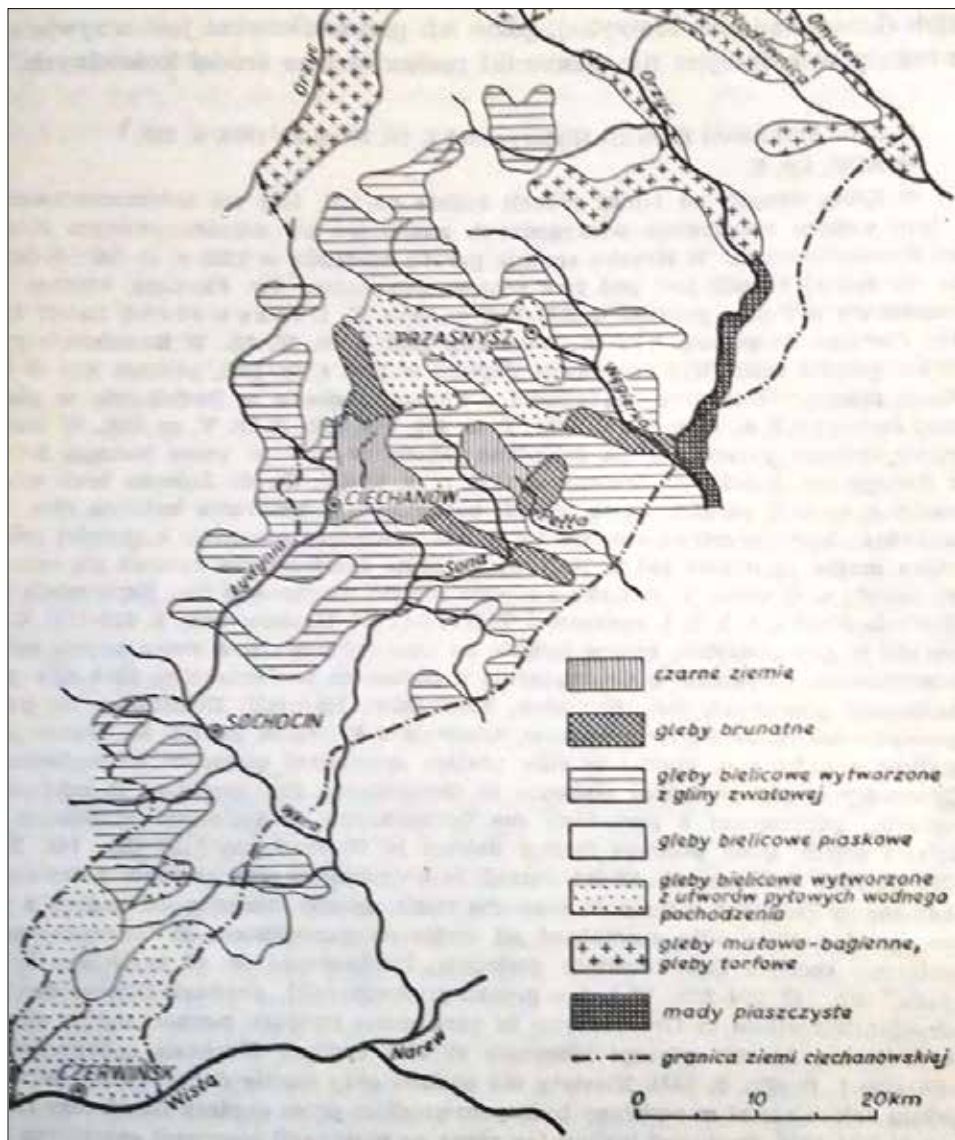
Główną siłą osadniczą na naszym terenie była drobna szlachta, która emigrowała z obszarów bardziej zaludnionych w tereny puszczańskie, zagospodarowując je często własnymi siłami, bądź poprzez rozdrabnianie pierwotnej własności tworzyła wsie cząstkowe.

Musimy pamiętać, że w średniowieczu w większości wsie stanowiły własność szlachecką, duchowną lub książęcą. Najbardziej żyzne ziemie były w posiadaniu duchowieństwa lub wchodziły w skład domeny książęcej. Włoki lasu nadane przez księcia były bardzo często sprzedawane drobniejszym właścicielom, a za uzyskaną sumę kupowało się wieś zagospodarowaną. Nowe wsie zakładane przez właścicieli szlacheckich były oczywiście liczniejsze od tych zakładanych przez księcia, jak i duchowieństwo. Zdarzały się również przypadki, kiedy zamożni sołtysi prowadzili akcję kolonizacyjną, zakładając własne wsie. Drobny szlachcic oraz zamożny kmiotek to ci, dzięki którym odbywa się w XV w. intensywna kolonizacja tak wewnątrz, jak i poza granicami ziemi ciechanowskiej.

W przywilejach nadawczych często obok określenia *nobilis* mamy określenia *terrigena*, *miles*, *heres*, *noster fidelis*. Są to określenia w zasadzie równoznaczne, lecz ich zróżnicowanie sugeruje, że wśród odbiorców przywilejów związanych z lokacją wsi mogli znajdować się przedstawiciele nie tylko warstwy szlacheckiej.

Przebieg lokowania średniowiecznej wsi

W średniowiecznej Polsce większość ludności naszego państwa mieszkała na wsi, a jej głównym źródłem dochodów była uprawa ziemi. Należy podkreślić to, że w tej epoce miarą majątności danego człowieka była ilość posiadanych łanów. Aby uzyskiwać większe



Gleby Ziemi Ciechanowskiej.

plony, pod koniec średniowiecza w rolnictwie zaczęto używać nowych narzędzi ułatwiających prace polowe. Po raz pierwszy na ziemiach polskich zastosowano wtedy pług z żelaznym lemieszem oraz bronę.

W hodowli zwierząt systematycznie zwiększano liczbę hodowanych zwierząt, szczególnie zaś koni, bydła, wołów i owiec. Zwierzęta dostarczały cennego nawozu naturalnego, którego zastosowanie skutecznie zwiększało plony. Do prac polowych wykorzystywano głównie woły.

Jednak w wyniku długotrwałej uprawy ziemia ulegała wyczerpaniu i dawała coraz mniejsze plony. Zmniejszyło to dochody nie tylko chłopów, lecz przede wszystkim właścicieli ziemi, którzy otrzymywali od użytkowników ziemi, czyli chłopów mniej renty feudalnej. Dla książąt piastowskich oraz dla możnowładców ważne stało się więc zagospodarowywanie pustek osadniczych, czyli terenów niezamieszkałych, lecz nadających się pod uprawę.

Przebieg zakładania, czyli lokowania danej wsi, był skomplikowany. W pierwszej kolejności grupa chłopów po przybyciu na nie zasiedlone jeszcze tereny zawierała z właścicielem gruntu umowę. Owa umowa określała prawa i obowiązki osadników oraz prawa i obowiązki pana feudalnego, czyli możnowładcy świeckiego lub duchownego, który najczęściej za usługi w służbie księcia otrzymywał w nagrodę nadanie ziemskie. W imieniu osadników dokument lokacyjny

przyjmował zasadzca stojący na czele wsi. Zgodnie z ustaleniami każdy z przybyszów otrzymywał jeden łan ziemi, czyli ok. 17 ha. Należy pamiętać o tym, że zasadzca jako najważniejsza osoba w nowo zakładanej wsi otrzymywał z reguły najżyźniejsze działki o powierzchni od 2 do 4 łanów, czyli od 30 do 60 ha ziemi.

Założycielowi nowej wsi przysługiwał tytuł sołtysa. Ta ważna funkcja była dziedziczna przez potomków zasadzcy. Sołtys jako przedstawiciel pana feudalnego w danej wsi miał wiele obowiązków, m.in. zbieranie czynszu oraz przewodniczenie obradom sądu wiejskiego, zwanego ławą wiejską. Sołtysom z racji pełnionej funkcji przysługiwała część pobieranego czynszu oraz część pobieranych kar nakładanych na chłopów.

W pierwszych latach funkcjonowania nowych wsi ich mieszkańcy mieli czas na zagospodarowanie i byli zwolnieni z opłat czynszowych. Okres ten nazywano wolnizną. Aby niepiśmiennym chłopom zobrazować, ile wolnizny im nadano, w centrum nowo powstałej wsi wbijano tyle drewnianych pali, ile lat zwolnień z powinności na rzecz pana feudalnego przysługiwało mieszkańcom danej wsi.

Analizując średniowieczne dokumenty można zauważyć, że okres wolnizny trwał od kilku do nawet kilkunastu lat. Po upływie tego korzystnego dla osadników okresu chłopci zaczęli płacić czynsz właścicielowi wsi, a jego wysokość została ustalona w umowie lokacyjnej.

Oprócz pieniędzy chłopci często musieli składać na rzecz właściciela wsi daniny w postaci płodów rolnych. Poza tym zobowiązani byli wykonywać prace na rzecz pana.

Zróżnicowanie stanu chłopskiego

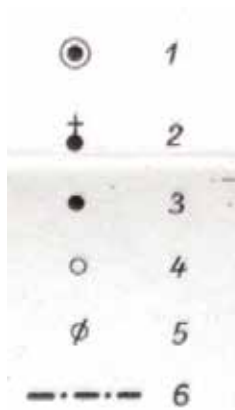
Na przełomie XVI i XV w. ważną rolę na polskiej wsi odgrywali kmiecie, czyli chłopci posiadający własne gospodarstwo rolne o powierzchni co najmniej jednego łanu. Kmiecie stanowili zdecydowaną większość ludności wieśniaczej, należeli też do pełnoprawnych uczestników wspólnoty wiejskiej.

Odrębną grupę społeczności wiejskiej stanowili zagrodnicy. Była to uboga ludność, która przybywała do wsi razem z kmieciami. Zagrodnicy, nie posiadając wystarczających środków produkcyjnych, zadawali się niewielkimi działkami ziemi, często o powierzchni 1/4 łanu, czyli ok. 4 ha. Gospodarstwa tej grupy społeczności wiejskiej nie wystarczały, aby wyżywić rodzinę, dlatego też wynajmowali się oni do pracy w gospodarstwie kmieciom lub sołtysim. Zagrodnicy przy zagospodarowywaniu często otrzymywali pomoc od pana wsi. Oprócz zagrodników pana wsi istnieli również zagrodnicy sołtysa, a nawet zagrodnicy bogatych kmieci.

Do pracy najemnej wykorzystywani byli również bezrolni mieszkańcy wsi. Byli wśród nich posiadający własne domostwa chałupnicy oraz komornicy, czyli osoby nie posiadające własnej chaty. Licznie występowały też wolni robotnicy rolni, którzy wynajmowali się sezonowo do prac polowych.

Na przełomie średniowiecza i nowożytności ludność wieśniacza cieszyła się wolnością osobistą. Oznaczało to, że mogła opuszczać użytkowane gospodarstwa i przenosić się w inne miejsce. Prawo wychodu obejmowało wszystkie grupy: kmieci, zagrodników, komorników, czeladź i rzemieślników. Warunkiem skorzystania z tego prawa było najczęściej spełnienie wszystkich powinności wobec pana feudalnego. Zdarzały się jednak przypadki, że opuszczający wieś kmiotek musiał postarać się o zastępcę. Opuszczenie wsi wbrew prawu i obowiązującym zwyczajom traktowane było jak zbiegostwo i podlegało surowej karze. Winny przyjęcia zbiega ponosił również konsekwencje finansowe.

W XV w. gospodarstwo wiejskie przeżywało kryzys, który związany był z systematycznym spadkiem cen artykułów rolnych. Spadkowi cen towarzyszyło zmniejszenie się dochodów panów feudalnych. Spowodowało to rozwarstwienie wsi. Z jednej strony wzrosła liczba gospodarstw dużych, w których spadek cen produktów rolnych był rekompensowany przez większy areal ziemi uprawnej. W owym



okresie wzrosła liczba gospodarstw półłanowych, zapewniających i egzystencję rodzinie i zmniejszenie obciążeń czynszowych o połowę.

Pewnym ratunkiem dla ludności chłopskiej okazała się zmiana czynszu na pańszczyznę, czyli przymusową, nieodpłatną pracę chłopca na polu należącym do pana feudalnego. Taka forma renty feudalnej jawiła się chłopom w dobie kryzysu jako o wiele atrakcyjniejsza niż czynsz. Zamiast sprzedawać swoje produkty na opłacenie czynszu chłopci zaczęli sprzedawać swoją pracę. Ta możliwość powodowała, że kmiecie przenosili się tam, gdzie można było skorzystać z takiego sposobu wywiązywania się ze zobowiązań.

Kryzys panujący na wsi oraz możliwość zamiany czynszu na pańszczyznę była bez wątpienia jednym z czynników przyczyniających się do powstania małej wioski, jaką na przełomie XV i XVI w. była Chłopia Łąka.

Układ przestrzenny średniowiecznej wsi na przykładzie Chłopiej Łąki

W średniowieczu niewielkie osady, do których bez wątpienia w owym czasie należy zaliczyć Chłopią Łąkę, powstawały głównie w pobliżu rzek, jezior lub stawów. W okresie intensywnej kolonizacji ziem polskich, przypadającej na XII–XV w., zaczęto tworzyć osiedla zgodnie z określonym planem. Wytaczano wówczas działki pod budowę domostwa oraz dbano o regularny układ pól. Ostatecznie w wyniku kolonizacji ukształtowały się trzy typy wsi: okolnice, owalnice i łańcuchówki.

Pierwszym typem wsi ukształtowanym w okresie intensywnej kolonizacji na prawie niemieckich jest owalnica. W owalnicach zabudowania były zgrupowane wokół charakterystycznego owalnego placu.



Chłopia Łąka jest uwzględniana na mapach przedstawiających rozwój osadnictwa ziemie ciechanowskiej w XV wieku. Opis: 2 - kościół parafialny, 3 - osada wiejska występująca przed 1429 rokiem, 4 - osada wiejska występująca przed 1429 rokiem, 6 - granice Ziemi.

Najczęściej tym placem był cmentarz zlokalizowany w pobliżu kościoła.

Drugim typem średniowiecznych wsi są okolnice. Są to zazwyczaj niewielkie wsie, w których domostwa skupiały się wokół wewnętrznego placu lub jeziora. Do okolicznych prowadziła zazwyczaj jedna droga, a cała osada była otoczona fosą bądź zasiekami, czyli zaporami z drewnianych pali.

Trzecim najczęściej występującym typem układu przestrzennego średniowiecznych wsi są łańcuchówki, zwane również ulicówkami. Typową łańcuchówką jest Chłopia Łąka.

Łańcuchówki są rodzajem wsi, w których za każdą zagrodą propostopadłe do drogi ciągnął się łąn pola. Łańcuchówka, określana jest



Schemat łańcuchówki.

często jako wieś leśno-łanowa. Oznacza to, że do każdej zagrody przyporządkowany był łąn pola oraz fragment lasu. Należy przy tym pamiętać, że pierwotnie Chłopia Łąka położona była w innym miejscu niż obecnie. Zabudowania, pola uprawne oraz łąki znajdowały się nad Orzycem, a las zajmował dużą powierzchnię, obejmując m.in. tzw. „górki”.

Założenie Chłopiej Łąki

Do dnia dzisiejszego jednoznacznie nie możemy określić, kiedy dokładnie powstała Chłopia Łąka. Z całą pewnością miejscowość ta została założona pomiędzy rokiem 1386, kiedy powstaje parafia w Sielcu, a rokiem 1526, kiedy Mazowsze zostało wcielone do Korony. Nie odnalazłem na chwilę obecną dokumentu lokacyjnego miejscowości.

Chłopia Łąka jest uwzględniana na mapach przedstawiających rozwój osadnictwa ziemi ciechanowskiej w XV w. Z prezentowanej tu mapy wynika, że Chłopia Łąka była miejscowością, która powstała po roku 1429, a przed rokiem 1501.

Kolejna wzmianka o Chłopiej Łące zachowana w tekstach źródłowych pochodzi z roku 1512, kiedy to odnotowano, że *in villis Biernathi, Pienicze, Przythuli... Raki et Chlopiala in clave Makovieniensis consistentes*. Zacytowany fragment pochodzi z aktu wizytacji biskupiej parafii Krasnosielc, która odbyła się w roku 1781. Z akt wizytacji biskupiej możemy dowiedzieć się, że w roku 1512 został wystawiony dokument, na mocy którego na mieszkańców Chłopiej Łąki nałożono obowiązek odprowadzania dziesięciny na rzecz wikariuszy pułtuskich, a ściślej mówiąc owe dziesięciny przeznaczone były na funkcjonowanie klasztoru makowskiego. W związku z powyższym można jednoznacznie stwierdzić, że Chłopia Łąka istniała już przed rokiem 1512.

W XVI w. w zachowanych zapiskach spotykamy następujące nazewnictwo miejscowości będącej przedmiotem artykułu: *Chlopiala, Chlopialanka, Chlopialąka*. Nazwa miejscowości wywodzi się od słów chłop (chłopi) oraz łąka (należąca do chłopów).

Warunki życia mieszkańców Chłopiej Łąki w średniowieczu

W średniowieczu mieszkańcy każdej wsi ściśle ze sobą współpracowali. Wszyscy chłopcy rozpoczynali prace polowe o tej samej porze. Głównym miejscem spotkań okolicznej ludności był kościół w Sielcu. Tam mieszkańcy Chłopiej Łąki i innych okolicznych wiosek przybywali na chrzciny, śluby, pogrzeby oraz na niedzielne nabożeństwa. W sąsiedztwie świątyni często odbywały się targi, na których kupowano, sprzedawano lub wymieniano towary.

Nasi przodkowie mieszkali w drewnianych chatach. W średniowieczu nie miały one kominów, a dachy budynków pokrywano słomą. Duże skupienie blisko siebie zabudowań chłopskich, wykonanych z materiałów łatwopalnych, takich jak drewno i słoma, sprzyjały wybuchom częstych pożarów. Uboższe domostwa składały się zazwyczaj z jednej izby, natomiast zamożniejsze – z dwóch pomieszczeń przedzielonych sienią. Dużym luksusem jak na owe czasy było posiadanie kamiennej lub glinianej podłogi – taka gliniana podłoga pełniła również funkcję klepiska.



Drewniana stodoła kryta strzechą, znajdująca się w Chłopiej Łące. Fot. D.W. Budny.

W pomieszczeniach jedynymi meblami były drewniane ławy, stoły i skrzynie. Te ostatnie służyły do przechowywania przedmiotów codziennego użytku, narzędzi, a także broni.

Obok domostw znajdowały się sady i ogródki, w których uprawiano owoce oraz warzywa. Bardzo często zdarzało się, że w domach oprócz licznej rodziny, trzymano również zwierzęta. Szczególnie w okresie zimowym chłopcy w swoich domach chronili bezcenny inwentarz przed mrozami. Bogatsi mieszkańcy Chłopiej Łąki wznosili budynki gospodarcze, takie jak obory dla zwierząt i szopy do magazynowania zboża. W późniejszych wiekach pojawiły się drewniane stodoły kryte strzechą, podobne do tej, którą widać na poniższym zdjęciu.

W średniowieczu polscy chłopcy ubierali się zazwyczaj w lniane koszule oraz długie wełniane sukmany z rozciętymi rękawami, gospodynie zaś nosiły ręczne tkanasie, czyli obszerne fartuchy. W zimie ubierano się w kozuchy oraz wełniane kaftany. Do wytwarzania odzieży wykorzystywano len, wełnę, konopie oraz skóry zwierząt. Biedniejsi chłopcy swoje obuwie wykonywali najczęściej z łyka, tylko nieliczni stać było na zakup skórzanych butów.

Każdy z nas zastanawia się, jak w średniowieczu wyglądało menu mieszkańców naszej ojczyzny, w tym Chłopiej Łąki. Posiłki chłopskie w tamtym czasie były bardzo skromne, składały się głównie z kasz oraz żytniego chleba. Spożywano dużo warzyw takich jak rzepa, fasola, bób, cebula, czosnek. W okresie letnim w jadalnisie znaleźć można były grzyby, jagody, maliny.

Dopiero w XVI w. pojawiły się w Europie ziemniaki, które początkowo sadzono wokół domów jako kwiaty ozdobne. Bardzo często na miedzach sadzono grusze, które w czasie żniw dostarczały cienia oraz owoców. Spożywano też dużo mleka i sera. Aby zaspokoić pragnienie pito wodę, a w czasie świąt piwo oraz miód pitne. Jedzenie podawano najczęściej w drewnianych lub glinianych naczyniach. Jedzono rękoma bądź drewnianymi łyżkami. Istotne znaczenie miało przechowywanie produktów w taki sposób, aby uchronić je przed zepsuciem. Mięso, ryby

i sery wędzono, a warzywa kwaszono. Zamożniejsi do konserwowania żywności używali soli.

Praca naszych przodków w średniowieczu należała do bardzo wyczerpujących i mało wydajnych. Mimo stopniowego wprowadzania w rolnictwie licznych ulepszeń większość wykorzystywanych wówczas narzędzi była prymitywna.

Pierwsze wieki istnienia miejscowości są słabo udokumentowane w źródłach historycznych, ponieważ Chłopia Łąka w początkach swojego istnienia była niewielką miejscowością składającą się początkowo zaledwie z kilku domostw. W kolejnych wiekach nastąpił intensywny rozwój miejscowości, który przedstawię w kolejnym artykule.

Dariusz Budny

Bibliografia:

Źródła:

Lustracja dóbr królewskich województwa mazowieckiego 1565, cz. 2, wyd. I. Gięsztorowa, A. Żaboklicka, Warszawa 1968.

Opracowania:

Borkiewicz-Celińska A., *Osadnictwo ziemi ciechanowskiej w XV wieku*, Wrocław 1970;
Budny D.W., *Z dziejów Krasnosielca i okolic*, praca magisterska, Pułtusk 2010;
Grzybowski M.M., *Jubileusz 600-lecia parafii w Krasnosielcu 1386–1986*, „Studia Płockie”, 15 (1987), s. 203–214;
Kostrowicki J., *Środowisko geograficzne Polski*, Warszawa 1968;
Kowalczyk E., *Krasnosielc - najstarszy epizod z dziejów wsi*, „Rocznik Mazowiecki”, 15 (2003), s. 165–167;
Rymut K., *Nazwy miejscowe Polski*, Kraków 1997;
Szczur S., *Historia Polski. Średniowiecze*, Kraków 2002;
Zubert M., *Planeta Nowa*, Warszawa 2010.



Rodzina Krajewskich z powiatu makowskiego

Pierwszy zamiar, aby zrobić drzewo genealogiczne, zrodził się w szkole średniej. Przepytałem rodziców i zanotowałem zdobyte informacje na kartce z zeszytu. W 2015 r. oboje rodzice zmarli, a ja zostałem z pudełkiem zdjęć i dokumentów, które niewiele mi mówiły. Do porządkowania dokumentacji pozostałej po rodzicach zabrałem się dopiero w 2017 r. i wtedy też znalazłem naszkicowane w latach szkolnych drzewo, co skłoniło mnie do ponownego zajęcia się poszukiwaniem przodków.

Początki były trudne, bardzo pomogła mi moja znajoma z Warszawy, wprowadzając w tajniki poszukiwań internetowych, wskazując właściwe strony, pomagając odszukać akta, do których nie miałem dostępu. W lutym 2018 r. dowiedziałem się o chorobie najstarszej mojej siostry stryjecznej, która mieszkała w Radomsku. Niestety zmarła już w marcu 2018 r. Tym samym odeszła kolejna po moich rodzicach osoba, która, jak mi się wydawało, miała wiedzę na temat przodków mojego ojca. Po zmarłej siostrze dostałem album ze zdjęciami rodzinnymi. W przeciwieństwie do tych odziedziczonych po rodzicach, te były opisane, co wniosło nowe informacje i pozwoliło na częściową identyfikację zdjęć będących już w moim posiadaniu.

W przypadku przodków mojego ojca poszukiwania przebiegały w miarę sprawnie, może dlatego, że rodzina Gryc wywodziła się i mieszkała przez kilka pokoleń w Leszczycie (parafia Wyszków). Dopiero mój dziadek osiedlił się w Pułtusku. Najstarszy dokument dotyczący rodziny ojca pochodzi z roku 1724 i jest to akt urodzenia brata mojego pra... dziadka. Chciałbym nadmienić, że jako pewne uznaję tylko te informacje, które uda mi się potwierdzić istniejącym dokumentem.

Szukając przodków mojej mamy Krystyny Wiesławy Gryc z d. Krajewskiej, napotkałem na trudności w zdobyciu dokumentów, potwierdzających uzyskane od mojego ciotecznego rodzeństwa informacje. Dzięki uprzejmości redakcji „Krasnosielskiego Zeszytu Historycznego” i wyrażeniu zgody na publikację historii mojej rodziny liczę, że znajdę mieszkające jeszcze na terenie pow. makowskiego osoby, które są związane z moją rodziną i będą w stanie pomóc mi w rozwiązaniu kilku zagadek z przeszłości.

Dokumentem, od którego zacząłem



Piotr Krajewski. Archiwum J. Gryca.



Julian Krajewski

Jarosław Paweł GRYC

poszukiwania, był akt ślubu moich rodziców. W akcie nr 90 z 1946 r. jest zapis, że moja mama Krystyna Wiesława Krajewska była córką Juliana i Stanisławy z Sokołowskich.

Krajewski Julian i Stanisława z d. Sokołowska – moi dziadkowie

Krajewski Julian syn Stanisława i Józefy z d. Kulczyńska (ur. 7/19 IX 1880 r., akt 121, Miastkowo – zm. 2 IV 1934 r., akt 62, Pułtusk)

Krajewska Stanisława z d. Sokołowska córka Józefa i Anny z d. Chrzanowska (ur. 26 IV 1890 r. Różan – zm. 15 VI 1968 r., akt 108/1968/5, Pułtusk)

Zawarli związek małżeński 13 IX 1908 r., akt 33, Różan

Ich dzieci:

1. Maksymilian Edward (ur. 8 VI 1909 r., akt 77, Sypniewo – zm. 3 I 1966 r., Gdańsk);
2. Konstanty Jerzy (ur. 19 XI 1911 r., akt 253, Różan – zm. 21 XI 1911 r., akt 182, Różan);
3. Stanisław Józef (ur. 19 XI 1911 r., akt 254, Różan – zm. 21 XI 1911 r., akt 181, Różan);
4. Jadwiga Stanisława (ur. 30 III 1915 r., akt 49, Szelków – zastrzelona przez sowietów 17 I 1945 r., Rzeczki k. Ciechanowa);
5. Maria (ur. 6 III 1918 r., Homel? – zm. 17 VII 1990 r., Piaseczno);
6. Krystyna Wiesława (ur. 18 V 1923 r., Szelków – zm. 10 II 1915 r., Pułtusk).

Krajewski Stanisław Antoni i Józefa z d. Kulczyńska – moi pradiadkowie

Krajewski Stanisław Antoni syn Andrzeja i Katarzyny z d. Janowska (ur. prawdopodobnie w 1840 r. Romany gm. Stawiski, brak danych o śmierci)

Krajewska Józefa z d. Kulczyńska córka Stanisława i Marianny z d. Rachubka (ur. prawdopodobnie w 1848 r., Bartkowizna, brak danych o śmierci)

Zawarli związek małżeński 23 X 1866 r., akt 19, Miastkowo



Zdjęcia przedstawiają Bolesława Krajewskiego z rodziną, który wyemigrował do USA. Bolesław i Karolina Krajewscy 13 XI 1946 r. Córki Bolesława i Karoliny Krajewskiej 13 XI 1946 r., od lewej Brońcia, Mania i Jadzia 13 XI 1946 r., od lewej Józef Maj, mąż Jadzi, Jadzia, Mania i jej mąż Robert Wenski.



Pracownicy samorządowi pow. makowskiego w okresie wizyty I. Mościckiego w 1930 r. Rząd pierwszy od lewej: Piotr Krajewski – sekretarz gminy Sielc, Franciszek Zwaliński – wójt gminy Sielc, Feliks Gawryszewski – wójt gminy Smrock, Tomasz Zduniak – wójt gminy Krasnosielc, Hilary Gadomski – wójt gm. Płoniawy, Jan Głazewski – wójt gm. Sieluń, Stanisław Glinka – wójt gm. Sypniewo. Rząd II od lewej: Jan Modzelewski – wójt gm. Perzanowo, Chryzostom Owsiewski – p.o. sekretarza gm. Krasnosielc, Tadeusz Jabłoński – sekretarz gm. Sypniewo, na górze Julian Krajewski – sekretarz gm. Smrock, na dole Kazimierz Żytowiecki – sekretarz gm. Płoniawy, Karol Lachowski – sekretarz gm. Krasnosielc, Leopold Pichalski – sekretarz gm. Sieluń, Ludwik Małkowski – sekretarz gm. Perzanowo. Źródło: „Przebój”, 2 (1930), 10, s. 38.]



Pracownicy samorządowi pow. makowskiego pomiędzy 1922 a 1934 r. – w dolnym rzędzie drugi od lewej Piotr Krajewski.

Ich dzieci:

1. Marianna (ur. 1871 r., akt 74, Miastkowo – brak danych o śmierci);
2. Marcin (ur. prawdopodobnie w 1873 r., Miastkowo – zmarł prawdopodobnie w Róźnie lub Makowie Mazowieckim przed 1919 r.);
3. Wiktor (ur. 12/23 XII 1876 r., akt 150, Miastkowo – brak danych o śmierci);
4. Bronisława (ur. 8/20 IV 1879 r., akt 30, Miastkowo – brak danych o śmierci);
5. Julian (ur. 7/19 IX 1880 r., akt 121, Miastkowo – zm. 2 IV 1934 r., akt 62, Pułtusk);
6. Justyna – brak danych;
7. Bolesław – brak danych;
8. Piotr – brak danych;

Pkt 6,7,8 – informacja od mojej siostry ciotecznej nie potwierdzona dokumentami.

Śluby ich dzieci:

1. Marcin Krajewski i Chmielińska Władysława, córka Jordana i Franciszki z d. Jakubowskiej, 1903 r., akt 31, Maków Mazowiecki. Ich syn – Stanisław Zachariasz (ur. 1904 r., akt 241, Różan – zm. 1904 r., akt 147, Różan);
2. Władysława Krajewska z d. Chmielińska (wdowa po Marcinie Krajewskim) i Zwoliński Zenon Marian, 1919 r., akt 49, Maków Mazowiecki.

Krajewski Andrzej i Katarzyna z d. Janowska – moi prapradziadkowie

Krajewski Andrzej (ur. prawdopodobnie w 1821 r. – zm. przed 1866 r.)

Krajewska Katarzyna z d. Janowska (ur. prawdopodobnie w 1821 r. – zm. po 1866 r.)

Ich dzieci:

1. Zuzanna (ur. brak danych – zm. 18 IX 1841 r., akt 99, Kuczyny, parafia Romany);
2. Stanisław Antoni – (ur. Romany, brak danych o śmierci);
3. Adolf (ur. brak danych – zm. 18 II 1854 r., akt 14, Romany);
4. Władysław (ur. brak danych – zm. 17 VII 1857 r., akt 74, Romany);
5. Anna (ur. brak danych – zm. 16 VII 1857 r., akt 73, Romany).



Piotr Krajewski z żoną.

Wszystkie wyżej wymienione akty zawierają cenne wskazówki do poszukiwań dalszych przodków, stąd też wiem, że część rodziny Krajewskich była ściśle związana z pow. makowskim. Akt zgonu mojego dziadka Juliana Krajewskiego zawiera informację o tym, że jedną z osób zgłaszających zgon był *Piotr Krajewski sekretarz z Krasnosielca powiatu Makowskiego*. Szukając danych o Piotrze Krajewskim, znalazłem informację o rozstrzelaniu w dniu 22 I 1945 r. 33 więźniów pochodzących z okolic Makowa Mazowieckiego na cmentarzu w Żabikowie – jednym z nich był Piotr Krajewski z Krasnosielca. Kolejną informację o Piotrze Krajewskim znalazłem w „Krasnosielckim Zeszycie Historycznym”, 2017, 32–35, str. 19–23 – w artykule M.W. Kmoch pt. *Wizyta Ignacego Mościckiego w powiecie makowskim w 1930 roku* jest zamieszczone zdjęcie pracowników samorządowych pow. makowskiego w okresie wizyty I. Mościckiego w 1930 r., a na nim w górnym rzędzie pierwszy od lewej Piotr Krajewski – sekretarz gminy Sielc.

Kolejne zdjęcie przedstawia Piotra Krajewskiego razem z żoną, niestety nie znam jej imienia, daty ślubu, ani nie wiem, czy mieli dzieci i czy żyją ich potomkowie do dziś.

Inne zdjęcie, na którym jest Piotr Krajewski, to zdjęcie przedstawiające pracowników samorządowych pow. makowskiego pomiędzy 1922 a 1934 r. – w dolnym rzędzie drugi od lewej Piotr Krajewski. Na tym zdjęciu rozpoznałem jeszcze burmistrza Makowa w latach 1922–1934, Mariana Kossakiewicza – górny rząd pośrodku. Pozostałe osoby są dla mnie zagadką.

W artykule o wizycie prezydenta I. Mościckiego na wspomnianym zdjęciu jest też mój dziadek Julian Krajewski – sekretarz gminy Smrock, dokładnie pośrodku zdjęcia.

Z informacji uzyskanych od mojej siostry, ale nigdzie nie potwierdzonych, wynika, że Piotr Krajewski miał dwie córki: Lilkę i Wiesię, które prawdopodobnie mieszkały w Krasnosielcu. Justyna Krajewska, córka Stanisława i Józefy z d. Kulczyńskiej, wyszła za mąż za Laskowskiego z Miastkowa i mieli córkę.

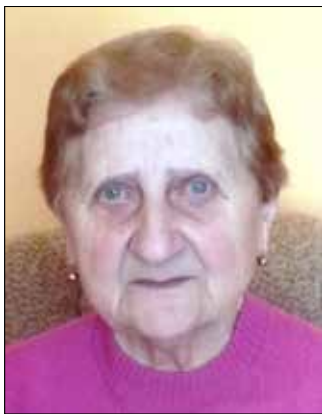
Tyle informacji udało mi się zdobyć. Liczę na pomoc Czytelników Krasnosielckich Zeszytów Historycznych w identyfikacji osób ze zdjęcia grupowego pracowników samorządowych pow. makowskiego, a także na pomoc w dotarciu do rodziny Piotra Krajewskiego, Marcina Krajewskiego i być może innych żyjących jeszcze moich krewnych. Za wszelkie informacje dotyczące rodziny Krajewskich z góry serdecznie dziękuję.

Proszę o kontakt:

Jarosław Paweł Gryc
ul. Białowiejska 44, 06-100 Pułtusk
radaros@poczta.onet.pl
tel. 886 403 230

Fot. u góry: wykonana z okresie okupacji wykonana w Pniewie /pomiedzy Pułtuskim i Wyszkowem/, na środku w chustce na głowie Jadwiga Pietrzak zd. Krajewska, przed nią jej dzieci Krystyna i Andrzej, z informacji uzyskanej od Krystyny wynika, że było to jedno z tajnych zebrań konspiracyjnych w czasie II wojny. Poniżej 2 fot. z pogrzebu Wiktora Krajewskiego w Łomży, data





Urodziłam się w Polsce ... , dziś oderwanej od macierzy ... , w czasach ludobójstwa

Zofia Danuta SOBKOWICZ z domu Woźniak
(materiał spisany na podstawie wielu rozmów przeprowadzonych przez syna Krzysztofa,
ku pamięci i przestroze pokoleniom)

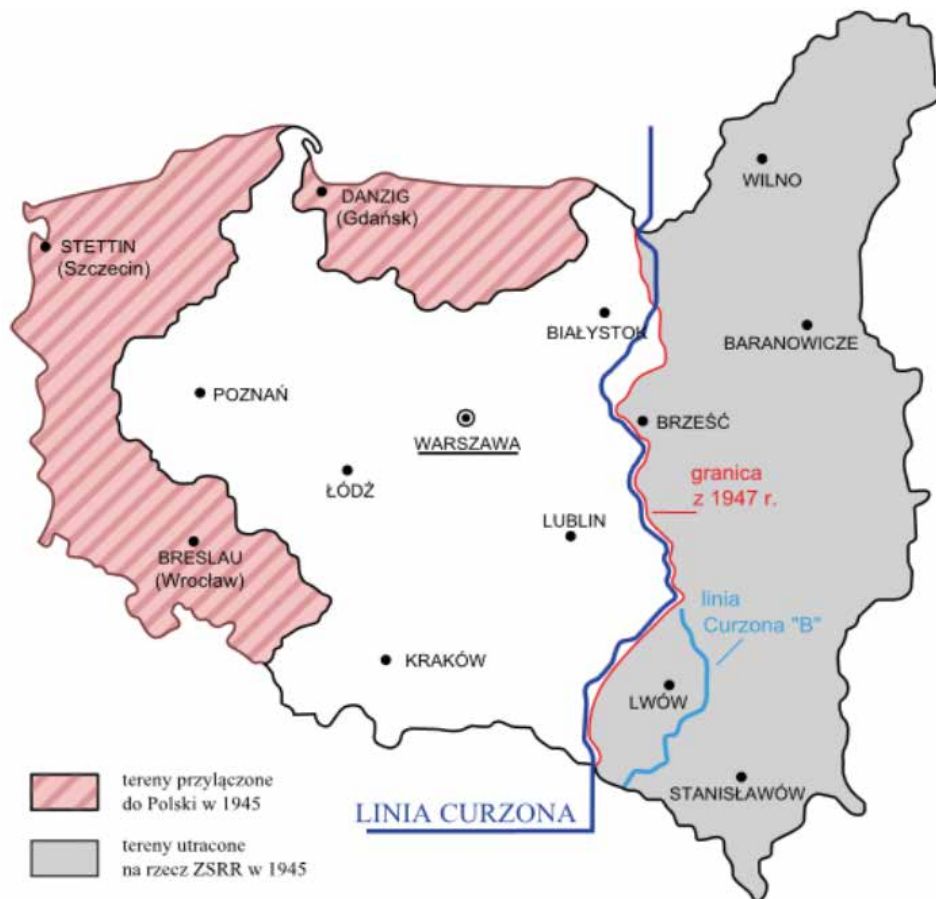
Zofia Danuta SOBKOWICZ
spisał i opracował syn **Krzysztof SOBKOWICZ**

Urodziłam się 11 V 1939 r. w Młyniskach, powiat Trembowla, województwo tarnopolskie. Moimi rodzicami byli Józef Woźniak¹⁷¹ i Aniela z domu Baranek¹⁷². Cała moja rodzina żyła z uprawy pola, rodzice mieli 10 morgów (5 hektarów) ziemi. Miałam niespełna 4 miesiące, gdy mój ojciec Józef, tak jak i inni mężczyźni w tym czasie, 1 IX 1939 r. poszedł na wojnę, z której już nigdy nie powrócił.

Mieszkaliśmy w domu moich dziadków, czyli rodziców mojej mamy, jak to w tamtych czasach bywało – w domu wielopokoleniowym, czyli razem ze mną i moimi rodzicami mieszkali jeszcze z nami moi dziadkowie – Paulina z domu Hawryluk i Teodor Baranek, rodzice mojej mamy, i jej starsza siostra Stanisława, która była jeszcze panną.

Wszystko z tamtych czasów pamiętam, bardzo dobrze pamiętam. Miałam wtedy pięć lat – to pamiętam. Przed drugą wojną światową na terenach Polski oderwanych od Macierzy ludzie żyli w zgodzie ze sobą i przyjaźni, bez względu na narodowość czy wyznanie. Normą było, że powstawały mieszane związki małżeńskie (polsko-ukraińskie, ukraińsko-polskie), a katolicy księża przyjaźnili się z prawosławnymi popami.

Jak Polak brał za żonę Ukrainkę, to musiała się ona przechrzcić na katoliczkę. I odwrotnie. Bywało, że w tym samym czasie polska procesja wychodziła naprzeciw procesji z cerkwi i po uroczystym przywitaniu się razem szły na świętego Jordana chrzcić wodę (na



pamiętkę chrztu Jezusa w Jordanie)¹⁷³. Część ludzi z mieszanych małżeństw obchodzili razem wszystkie święta (prawosławne i katolickie).

Nastaly trudne czasy i doszło do rozłamu między społecznościami. Powodem rozłamu było to, że Ukraińcy chcieli niepodległej i suwerennej Ukrainy. Ukraińska Powstańcza Armia przy czynnym udziale miejscowej cywilnej ludności ukraińskiej najpierw zabrała

się za wypędzanie i mordowanie Żydów. Banderowcy zabronili Ukraińcom i Polakom pomagać Żydom (nocować, przechowywać, karmić) pod groźbą kary śmierci, jeżeliby zostali na tym przyłapani. Żydzi za udzieloną pomoc byli skłonni oddać wszystko, co mieli; aby żyć, oddawali zegarki i inne cenne rzeczy. Uciekając, Żydzi mówili Polakom, że „Ukraińcy nami rozczynią, a wami zamiszą” (zarobią), tak jak się robi ciasto – i tak się w rzeczywistości w niedalekiej przyszłości stało.

Po eksterminacji i zagładzie ukraińskich Żydów ukraińscy nacjonaliści rozpoczęli akcję wypędzania Polaków. Mówili wówczas: „Polaczki za San!”¹⁷⁴. Przejawiało się to tym, że banderowcy palili całe polskie wioski, mordowali Polaków, nie oszczędzając dzieci, kobiet i starców – wypędzali ich na siłę. Mordowali tak, żeby zadać jak najwięcej cierpienia: odcinali uszy, nosy, wykluwali oczy, odcinali języki, rąbali siekierami, przekuwali widłami... [płacz]. Skąd tyle nienawiści w nich się wzięło? Jeszcze do niedawna żyliśmy razem po sąsiedzku, płot w płot.

¹⁷¹ Tato Józef miał starszą siostrę Joannę i młodszych braci Stanisława i Pawła.

¹⁷² Aniela Baranek, córka Teodora i Pauliny z domu Hawryluk. Mama Aniela, najmłodsza z całego swojego rodzeństwa, miała według starszeństwa: dwóch braci, Franciszka i Jana, oraz trzy siostry – Marię, Emilię, Stanisławę. Maria wyszła za mąż za Polaka (imienia nie pamiętam), który wyjechał do pracy do Kanady. Gdy pracował przy wyrębie lasu, przysięgnął go drzewo i zginął. Tam został pochowany (ciała nie ściągano). Nie było dzieci z tego związku. Po pewnym czasie Maria wyszła drugi raz za mąż za Ukraińca o imieniu Fecko i mieli dwoje dzieci, córkę Józefę i syna Piotra. Wszyscy mieszkali w miejscowości Papiernia. Emilia zamieszkała po wojnie w Rudzie Śląskiej. Tam spotkała swojego przyszłego męża Józefa, który wracał z wojny, i tam postanowili zostać. Franciszek, brat mojej mamy Anieli, wraz z żoną Józefą z domu Woźniak i dwojgiem dzieci – córką Bronisławą i synem Zygmuntem – przybyli na tereny obecnej Polski, do Hanuszowa, wcześniejszym transportem. Ich trzeci syn Władysław urodził się już w Hanuszowie. Jan umarł młodo, w wieku 26 lat, na gruźlicę.

¹⁷³ „Święto Jordanu” jest to jedno z największych świąt w Kościele wschodnim. Obchodzone jest na pamiętkę chrztu Jezusa w Jordanie i łączone z uroczystością Objawienia Pańskiego. W dzień święta sprawowana jest uroczysta liturgia, po której następuje procesja nad brzeg rzeki – symboliczny Jordan. Gdy w okolicy nie ma rzeki, wierni udają się nad jezioro lub staw. Ważne, by woda została poświęcona w swoim naturalnym środowisku. Do V w. uroczyste poświęcenie wody celebrowano tylko nad historycznym Jordanem. Istniała też dawna tradycja udzielania katechumenom chrztu w dniu święta Jordanu lub w jego wigilię”. Grekokatolicy obchodzą Święto Jordanu: <http://info.wiara.pl/doc/414639.Grekokatolicy-obchodza-Swieto-Jordanu> (dostęp 29 I 2018 r.).

Polacy, jak wyjeżdżali, ułożyli taką piosenkę:

*Żegnajcie wioski i nasze podola,
może wyjedziemy tam na czyste pola,
może będziemy w ziemiankach siedzieć,
lecz nas swe oczy banderów nie widzieć.
(...) (dalej nie pamiętam).*

Z tamtych czasów wspominam takie sytuacje:

1. Banderowcy wioskę Młyniska, w której się urodziłam, spalili w jedną noc. Mama ze mną poszła się ukryć do zaprzyjaźnionej sąsiadki o imieniu Poluśka. Myślała, że tam banderowcy nie przyjdą, bo Poluśka była Ukrainką. Mimo to banderowcy w nocy przyszli do niej i zaczęli się dobijać do drzwi domu. My ze strachu schowałyśmy się do komórki przy kominie. To samo zrobiły inne matki Polki z dziećmi, które przyszły się tam ukryć tak jak my.

Banderowcy w trakcie przeszukania domu znaleźli nas wszystkich w tej komórce. Kazali nam wychodzić i stawiali nas pod ścianę. Każda matka tuliła swoje dziecko. Myślały, że jak będą mordować, to wszystkich razem, żeby osierocone dzieci tułały się same po świecie i w jeszcze gorszych męczarniach nie ginęły. Mogło nas tam być nawet pięć matek z dziećmi.

Banderowców było dużo, tak że nie wszyscy weszli do domu, większość stała na podwórku. Przez długi czas naradzali się, co z nami zrobić – czy zabić, czy zostawić. W pewnym momencie jeden z banderowców powiedział: jak pokichnu automatom, budete żywały jak sołoma („jak pociągnę automatem, to będziecie leżeć jak słoma”), ale tego nie zrobił i nas zostawił, tylko zapytali, która to hadziakka¹⁷⁴. Jak Poluśka powiedziała, że ona, to powiedzieli: ano dawaj świnie, uprzęż, konia i to wszystko jej zabrali. Następnego dnia rano, gdy wróciliśmy na swoje gospodarstwo, to wszystko było spalone, gdzieś tam dopalały się jeszcze zgliszcza. Zostały tylko plody rolne na polu i przeżyła krowa, która się pasła na wolnym wybiegu. Nie było do czego wracać, zostaliśmy z tym, co mieliśmy na sobie – wszystko zostało spalone.

Owej tragicznej nocy babcia Paulina od strony mamy chowała się po polu, po zaroślach, a dziadek Teodor chciał się ukryć w gospodarstwie polskich sąsiadów, którzy się bronili – mieli karabiny, ale go nie wpuścili do siebie, bo się bali; myśleli, że go banderowcy nasłali, więc schował się do obory, wchodząc pod żłób, i tam spędził całą noc. Na szczęście oboje przeżyli. Tej nocy, podczas której banderowcy spalili nasz dom oraz pozostałą polską część wioski (ukraińskich domostw nie ruszali), zabili również teścia mojej mamy, Jana¹⁷⁵.

Dziadek Teodor zdecydował, że wyjeżdżamy do rodziny do Janowa. Mieszkaliśmy tam do



Franciszek Sobkowicz, ur. 1 I 1899 r. (dziadek Krzysztofa Sobkowicza). Jest to fotografia wyrwana z książeczki wojskowej. W umundurowaniu Ludowego Wojska Polskiego w stopniu kaprala. Odznaczenia, które posiada to (patrząc od strony zapięcia munduru):

1. Krzyż zasługi. 2. Medal „Zasłużony na Polu Chwały” – dziadek Franciszek brał udział w bitwie pod Lenino i tam był ranny. 3. Odznaczenie niepewne, dostał je za to, że został ranny na froncie. 4. Medal „Za Wyzwolenie Warszawy”. 5. Medal Zwycięstwa i Wolności 1945 nadany przez Krajową Radę Narodową.

źniw. Dziadkowie i mama chcieli zebrać plody rolne, aby mieć za co żyć i na podróż pociągiem w głąb Polski, więc jeździli z Janowa do Młynisk zbierać plony, aby mieć cokolwiek.

2. Gdy mieszkaliśmy w Janowie, był taki przypadek, że banderowcy złapali pod lasem dwóch Polaków, którym kazali kopać dół. Jak to zrobili, kazali jednemu z nich się rozbierać i położyć w tym dole na plecach. Gdy to uczynił, banderowcy zaczęli po nim skakać – po brzuchu, po głowie, aż mu oczy wylazły z tego bólu, a z ust, nosa i uszu zaczęła tryskać krew – i tak go zamęczyli. Drugi Polak stał z boku i patrzył na to wszystko. Cały czas chodziła mu po głowie myśl, że będzie uciekał.

Banderowcy po zamęczeniu pierwszego z Polaków kazali rozbierać się i kłaść do dołu temu drugiemu. Ten drugi Polak był w trzewikach. Wyczekiwał na odpowiedni moment. Podczas ściągania drugiego buta nagle uderzył jednego z banderowców z całej siły w twarz butem, który miał już ściągnięty, tak że krwią się zalał, po czym, korzystając z zamieszania, zaczął uciekać. Biegł tak szybko, że prawie ziemi nie dotykał. Banderowcy za

nim strzelali, na szczęście żadna kula go nie dosięgła. Wbiegł do wioski w samych kałesonach – ludzie myśleli, że to jakiś wariat biegnie, a to on tak uciekał. Później opowiadał, że wolął zginąć od kuli, niż zostać zamęczony, tak jak ten pierwszy. Tym sposobem się uratował i o wszystkim opowiedział we wsi Janowo. Co dalej się z nim działo, nie wiem.

3. Było lato, mieszkaliśmy jeszcze w Janowie. Mama chodziła paść krowę, którą zabrała ze sobą do Janowa (później zabrała ją również do Polski), była to krowa żywicielka. Mama chodziła ją paść niedaleko, w pobliżu małego lasku, koło którego płynęła rzeczka. Rzeczka ta miejscami była głęboka, a miejscami płytka, tak że można było przez nią przejść na drugą stronę. W tym lesie ukrywał się jeden banderowiec, był tzw. czajką. Czajki byli to banderowcy, którzy wyłapywali pojedynczo Polaków i ich mordowali.

Mama tę krowę pasła razem ze znajomą Ukrainką pochodzącą z Janowa. W pewnym momencie Ukrainka zapytała

mamę, czy nie chce się napić wody ze studzienki, która znajdowała się na skraju lasu. Mama się zgodziła, więc razem poszły w tamtą stronę.

Gdy były już prawie na miejscu, nagle z lasu wyszedł banderowiec trzymający w ręce automat przykryty szynelom (wojskowym zimowym welnianym płaszczem). Złapał mamę za rękę i zaczął ją wciągać do lasu. Mama się broniła, krzyczała, nie chciała iść. Banderowiec jedną ręką trzymał mamę, a drugą ją bił po twarzy, po głowie, pytając ją, jaka jej nacja, jak się nazywa. Mama wymyśliła najbardziej ukraińskie imię. A on powiedział: „job twoju mać, po twarzy poznać, że ty Polka” (że ona kłamie). W czasie tego bicia mama zaczęła się szamotać.

Nagle takiej siły dostała, że mu się wyrwała. Biegła jak szalona, tak że ziemi prawie nie dostawała, w kierunku rzeczki. Pomyślała sobie wtedy, że się woli utopić niż dać się mordować, gwałcić, ręce łamać czy oczy wydłubywać. Udało się. Banderowiec chciał ją zastrzelić, ale chyba automat mu się zaciął, bo nie wystrzelił. Mama zakrwawiona, posiniaczona, wystraszona wróciła do wioski

¹⁷⁴ Właścicielka domu, gospodyni.

¹⁷⁵ Teściowa zmarła wcześniej, zanim jeszcze moja mama wyszła za mąż za tatę. Jan ożenił się drugi raz z Franciszką i dochowali się dwójki dzieci – Michaliny (która zamieszkała po wojnie w Szybowicach koło Prudnika) i Władysława (mówili na niego Sławek), który zamieszkał po wojnie w Szczecinie.



Fot. po lewej: Bronisław Sobkowicz w wieku pomiędzy 12 i 15 rokiem życia (ojciec Krzysztofa Sobkowicza) wraz z rodzicami – zdjęcie wykonane w Nysie w okresie, gdy mieszkali już w Stobicach.

Fot. po prawej: Bronisław Sobkowicz w wieku ok. 18 lat – stoi wraz z rodzicami. Fot. wykonane w Stobicach.

i o wszystkim opowiedziała. Ukrainka, z którą mama pasła krowę, podczas zamieszania w lesie wzięła obie krowy i przypędziła je do wioski, i również opowiedziała o całym zajściu. W wiosce byli tzw. strubci (coś na wzór policji), którzy zrobili obławę na banderowca i go złapali. On sam się przyznał, że nabył gilku (pobił pannę). Banderowiec prawdopodobnie został zabity.

Po tym całym zajściu, a był to koniec zniw, wyjechaliśmy późną jesienią do Trembowli na dworzec kolejowy, gdzie czekaliśmy na pociąg do Polski powojennej. Ludzi tam było tyle! Na początku każdy się ociągał, nikt nie chciał wyjeżdżać, ale jak banderowcy zaczęli rzeź, to wszyscy się nie pomieścili naraz do jednego pociągu. W związku z tym podstawiane były kolejne, na które trzeba było czekać.

My po ostatecznym zdecydowaniu się czekaliśmy trzy tygodnie i wyruszyliśmy dopiero w grudniu. Do jednego wagonu było przydzielane po kilka rodzin z dobytkiem i tak wyruszyliśmy na tulaczkę jako repatrianci z Kresów wschodnich do powojennej rzeczywistości. Z tyłu pociągu były wagony dla zwierząt, tylko jak ktoś miał kozę, to mógł ją wziąć do wagonu, którym jechali ludzie. Mama i dziadek, jak tylko pociąg stawał, szybko biegli narwać jakieś trawy i dać swojej krowie, aby nie padła w czasie transportu.

Wagony były towarowe, przykryte

plandekami, a był grudzień. Nie było odpowiednich warunków bytowych. Jak ktoś miał małe dziecko, to rozwieszał mokre ubranka na plecach mężczyzn, żeby wyschły. Lubiałam siadać na workach ze zbożem i śpiewałam:

siedzi ona przy małym stoliku, białe orły
wyszywa

(...) (dalej nie pamiętam).

Albo:

popatrz, popatrz, moja najmilejsza, jaka
wojna zawzięta

(...) (dalej nie pamiętam).

Nie znalazłam całych piosenek, tylko to, co zasłyszałam, powtarzałam w kółko.

W czasie transportu kolejowego (wyjazd w grudniu) zmarła ciocia Stanisława (starsza siostra mojej mamy). W Krakowie wzięli ją z transportu w stanie agonalnym do szpitala, gdzie umarła z niedożywienia, wycieńczenia i przeziębienia. Podczas transportu w wagonie umarli też dziadek Teodor i babcia Paulina (zmarli tego samego dnia, o tej samej godzinie). Jak umarł dziadek, moja mama Aniela bardzo rozpaczala. Babcia Paulina powiedziała jej: „Nie płacz, Aniela, nam z dziadkiem droga jedna, a ty masz dziecko, musisz żyć, opamiętaj się”, po czym umarła.

W miejscowości Wolsztyn wyciągnięto ich

ciała z wagonu w celu pochowania. Pociąg tyle stał na stacji, że moja mama razem z siostrą miłosierdzia (siostrą zakonną) zanieśli ciało mojego dziadka na noszach do trupiarni (kostnicy). Babci nie zdążyła zanieść, bo pociąg ruszał. Mama nie wiedziała, co ma robić, bo ja zostałam w wagonie. Siostra zakonna powiedziała do mojej mamy, aby wsiadła, bo dziecko jest w wagonie, a ona sobie kogoś znajdzie do pomocy przy zanieśieniu kolejnych zwłok do trupiarni.

Pociąg ruszył, mama w ostatniej chwili wsiadła do ostatniego wagonu. Ja nie wiedziałam o tym i cały czas krzyczałam, płakałam, że mamy nie będę miała, że zostałam sama na tym świecie i co ja zrobię. Ludzie z wagonu próbowali mnie uspokoić, ale przede mną się świat zawalił [płacz]. Stan ten trwał do następnej stacji, gdzie pociąg się zatrzymał, i mama przysła. Czułam się wtedy, jakby jakiś anioł do mnie przyszedł, przestałam krzyczeć i płakać, wtuliłam się w mamę i długo jej nie puszczałam.

Stamtąd przysła informacja (karta pośmiertna) do Nowej Soli (przystanku końcowego), tam kazano nam wysiadać – pociąg już dalej nie jechał. Razem z drugą rodziną (towarzyszami niedoli) zamieszkaliśmy w miejscowości Karolat (obecnie Siedlisko) koło Nowej Soli i tam mieszkaliśmy do chwili, aż brat mamy Franciszek Baranek wrócił



Rodzinny dom Bronisława w Kobyłowlókach, w którym się urodził. Zdjęcie wykonane w latach siedemdziesiątych XX w. Ojciec zawsze chciał tam kiedyś wrócić i zobaczyć rodzinny dom. W latach siedemdziesiątych było mu to dane, tzn. w tamtych latach był tam przejazdem. W domu tym mieszkała rodzina ukraińska, Łemkowie, którzy w ramach Akcji „Wisła” zostali tam przesiedleni. Ojciec z nimi nie rozmawiał, nie wchodził do środka, tylko zdjęcie z zewnątrz zrobił. Nie mam wiedzy, czy pokrycie dachu blachą jest na zdjęciu oryginalne, czy wcześniej dom był pokryty strzechą, a po wojnie blachą dom został pokryty.

z wojny i dowiedział się od krewnych, że jesteście w Karolacie. Przyjechał po nas i zabrał stamtąd do miejscowości Janowice (obecnie Hanuszów) koło Nysy. Wówczas przyszła informacja o miejscach pochówków dziadzia i babci oraz cioci Stasi.

Razem z nami pojechała towarzysząca niedoli Jawdocha (Antonina) z córką, które bardzo nas prosiły, aby zabrać je ze sobą. Poznałyśmy się w wagonie, którym przyjechałyśmy do Nowej Soli. Po przyjeździe do Hanuszowa odłączyły się od nas i zamieszkały w Złotogłowicach.

W Hanuszowie wyczekiwałyśmy powrotu mojego taty z wojny. Niestety chwila ta nigdy nie nastąpiła. Trwały poszukiwania przez Czerwony Krzyż – niestety nie było żadnej wiadomości. Gdy pytałam mamę, gdzie jest mój tata, to ona zawsze mi odpowiadała, że poszedł na wojnę. Ja bardzo chciałam tatę, móc się do niego przytulić, ukochać i w ogóle... Bardzo go

kochałam. Jeszcze na początku, gdy pisywał listy do mamy, zawsze pisał też i do mnie. Nazywał mnie wtedy swoją gwiazdką z nieba, różyczką, kwiatuszkiem, a ja za nim bardzo wtedy tęskniłam. Rano i wieczorem gorąco się modliłam do Pana Boga o to, aby mój tata wrócił z wojny:

Do Ciebie, Boże, rączki podnoszę
o zdrowie mamy i taty proszę
i mnie też na każdym kroku
od złego aniołki strzegę.

Niestety tata z wojny nie powrócił.

W Hanuszowie mieszkaliśmy w domu, w którym mieszkały cztery rodziny: moja mama ze mną, wujek Franciszek Baranek z rodziną, szwagierka (siostra żony) wujka Franciszka z rodziną i Maria Sobkowicz z rodziną.

Później do rodziny Marii Sobkowicz dojechał

Mieczysław Olejnik, który wrócił z wojny. Jego mama i Maria Sobkowicz to były rodzone siostry. Pochodził z mieszanego małżeństwa, jego mama była Polką, a ojciec Ukraińcem. Podczas wojny służył w ukraińskiej armii, później, czując się Polakiem, przeszedł do Wojska Polskiego, z którym brał udział w bitwie o Berlin. Za swoje bohaterstwo został odznaczony m.in. orderem Virtuti Militari, a jego nazwisko było zapisane wśród nazwisk osób, które zasłużyły się w tej bitwie. W wojsku odpowiadał za łączność na pierwszej linii ognia. Jeżeli łączność została przerwana, to wysyłali go z kołowrotem z nawiniętym kablem w celu przywrócenia łączności. Często był pod ostrzałem wroga. Walki o Berlin trwały długo i były bardzo zacięte. Mówił, że „momentami świata nie było widać”. Po wojnie nie mógł już wrócić na Ukrainę. Chciał ściągnąć do Polski swoją żonę Annę i córkę Lubę, do których pisywał listy. Jego żona nie chciała przyjechać, ponieważ czuła się Ukrainką, i odpisała, że woli umrzeć, niż przyjechać do Polski.

Podczas mieszkania pod jednym dachem moja mama poznała Mieczysława Olejnika, który pracował jako szewc. Nie doczekawszy się na powrotu swoich współmałżonków, postanowili zamieszkać razem i utworzyć rodzinę. Wówczas takie były to czasy, że dużo było takich rozbitków życiowych, którzy postanowili połączyć siły po wojnie i ułożyć sobie życie na nowo. Po roku mieszkania w Hanuszowie razem zamieszkaliśmy w Rusocinie koło Nysy i tam rozpoczęliśmy normalne życie. W Rusocinie poszłam do drugiej klasy, bo pierwszą skończyłam w Hanuszowie.

Jak zamieszkaliśmy już w Rusocinie i mężczyźni zaczęli wracać do swoich rodzin, nie mogłam zrozumieć, dlaczego do innych wracają, a do mnie mój tata nie chce wrócić. Kiedy wróci i mój? Przecież pisał, że tak bardzo mnie kocha. Pisał w swoich listach, że jestem dla niego kwiatuszkiem, słoneczkiem na niebie, różyczką... Wtedy mama tłumaczyła mi, że tata zginął na froncie, mówiła, że nie wrócił przez Hitlera. Wówczas taki wielki żal i złość mnie ogarnęły, że tak czekałam na tatę i się nie doczekałam, i że to wszystko przez tego Hitlera, że zaczęłam śpiewać sobie wcześniej podsluchaną piosenkę:



*Marsz, marsz, Hitlerze,
niech cię лихо bierze,
niech cię piorun trzaśnie,
niech twe imię zgaśnie
(...) (dalej nie pamiętam).*

Po siedmiu latach urodziła się moja przyrodnia siostra Halina, a po kolejnych dwóch brat Jerzyk.

Wcześniejszym transportem ze swoją rodziną przyjechał do Hanuszowa również Bronisław Sobkowicz¹⁷⁶. Oni też mieszkali w domu, w którym mieszkały cztery rodziny – naprzeciwko naszego byłego domu. Jak byliśmy małymi dziećmi, to razem się bawiliśmy. Później oni przeprowadzili się do Strobic (koło Nysy). Nikt by wówczas nie przypuszczał, że to będzie mój przyszły mąż.

Na początku lat dziewięćdziesiątych pojechałam z mężem i najstarszym synem Edwardem na Ukrainę, w odwiedziny do rodziny męża do Kobyłówek (niedaleko Młynisk), skąd mąż pochodził. Syn z kuzynem Zenkiem w dzień pojechali do Zariża sprzedawać chusteczki na głowę. Gdy się o tym dowiedziałam, to mi włosy dęba stanęły. Zariże to była miejscowość, w której w tamtych złych czasach gromadziło się bardzo dużo banderowców. Na szczęście nic się nie stało synowi, ale strach pozostał.

Kuzynka mojego męża Jadwiga¹⁷⁷

opowiadała mi, że pomimo upływu tylu lat zdarzyła jej się sytuacja, że spotkała starego Ukraińca, który jak się dowiedział, że ona jest Polką, to powiedział: „dokąd te Polaczki będą po tej ziemi chodzić?”.

W nocy, gdy położyliśmy się już spać, kuzynka, idąc z mężem do swojego domu, będąc na dworze, zapukała w parapet, chcąc się nas jeszcze o coś zapytać. Traumatyczne przeżycia z okresu rzezi, jaka była dokonywana na Polakach z dawniejszych czasów, spowodowały w nas strach. Powiedziałam wówczas: „Bronek, ty słyszysz? Może jakieś banderowcy albo jakieś Ukraińcy dowiedzieli się, że my tutaj jesteśmy”. Mi od razu włosy dęba stanęły, po tylu latach, pomimo że tyle już czasu minęło po wojnie. Okazało się później, faktycznie, że to kuzynka z mężem.

Przeżycia tamtych lat spowodowały, że strach pozostał w nas i pozostanie już do końca naszych dni.

W 2016 r. byłem z moją mamą na filmie pt „Wołyń”. Przed rozpoczęciem seansu, gdy jeszcze świeciły się światła dało się zauważyć pełną salę wypełnioną starszymi ludźmi w towarzystwie swoich opiekunów (synowie, córki). W czasie oglądania filmu panowała cisza, nikt niczym nie szeleścił, nikt nic nie jadł jak to przeważnie bywa. Po zakończeniu seansu pomimo że leciały już tylko napisy ludzie ci wciąż siedzieli w swoich fotelach, wpatrzeni w ekran, nikt się nie spieszył. U większości z nich dało się zauważyć łzy w oczach. Gdy wyszedłem z mamą z sali kinowej na hol główny spostrzegłem, że w jednym miejscu ludzie ci zaczęli się zbierać i tworzyć jedną grupę. Poszliśmy z mamą i my. Ludzie ci zupełnie obcy dla siebie zaczęli rozmawiać ze

sobą tak jakby się znali od dawna. Łączyło ich jedno - wszyscy oni byli ofiarami tamtych czasów, pochodzący z różnych rejonów utraconej ojczyzny i choć byli wtedy małymi dziećmi dobrze pamiętają okropieństwa dokonywane na Polakach. Stojąc z boku słyszałem tylko: tak, to prawda, to wszystko prawda, i jeszcze więcej tego było okrucieństwa, tylko nie wszystko pokazali. Stojąc z boku, nie pospieszałem mamy, wiedziałem, że jest to dla niej ważne. Gdy przyszedł odpowiedni moment, zabrałem mamę do domu. Mama tego wieczoru była bardzo poruszona i smutna. Mając na uwadze dobro i zdrowie mamy, starałem się nie poruszać tego tematu, aby nie wywoływać u niej dalszych tak głębokich przeżyć, wiem dobrze, że gdy mama wspomina tamte czasy, kończy się to zawsze u niej płaczem.

Teraz, gdy jestem już stara i schorowana, co jakiś czas przypominają mi się słowa piosenki, którą jak byłem jeszcze małą nauczyła mnie moja mama i ciocia Stasia:

*W Polsce moja mama żyła
w Polsce ja się urodziłam
w Polsce mnie się młodość kończy
w Polsce Polką zamknę oczy
(...) (dalej nie pamiętam).*

*Zofia Danuta Sobkowicz
spisał i opracował syn Krzysztof Sobkowicz
(syn)*

*Przypis Redaktora Wydania: Wspomnienia te
nigdy wcześniej nie były publikowane.*

¹⁷⁶ Bronisław Sobkowicz, syn Franciszka i Anny z domu Podboraczyńskiej. Franciszek Sobkowicz, syn (ojca nie pamiętam) Marceli (z domu – nie pamiętam). Anna, córka Jana, imienia pierwszej matki nie pamiętam – młodo umarła, druga miała na imię Franciszka.

¹⁷⁷ Jadwiga Pikula z domu Podboraczyńska.



Krzysztof Sobkowicz (ur. 1975 r.) w mundurze oficera Państwowej Straży Pożarnej. Fot. z 2014 r.

Zofia Sobkowicz (ur. 1939 r.) z ulubionym psem Nikosiem. Fot. wykonana w 2018 r.



Konkret-Meble

Meble na wymiar:

- zabudowy kuchenne
- szafy wnękowe, garderoby
- meble łazienkowe
- meble wolnostojące
- inne projekty na życzenie Klienta

wstępna wycena

GRATIS

możliwe
RATY

Konkret-Meble

Jarosław Bakuła

tel. 602 116 435

507 683 778

e-mail:
konkret-meble@wp.pl

Wólka Drąždżewska 51
06-214 Krasnosielc

ekoinstal

kolektory słoneczne • instalacje solarne • ogniwa fotowoltaiczne

Panele fotowoltaiczne

Kolektory słoneczne

Turbiny wiatrowe

883 166 111
www.ekoinstal.org.pl

P.P.H.U. Ekoinstal Sebastian Dudek, Salon firmowy: ul. Baranowska 2, 06-300 Przasnysz.

**Krasnosielcki
Zeszyt
Historyczny**



bezpłatny dodatek specjalny
do społecznego miesięcznika
„Wieści znad Orzyc”, TPZK

Wydawca: Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Krasnosielckiej, 06-212 Krasnosielc, ul. Rynek 40a,

Nr konta TPZK: 29 8917 0001 0000 1544 2000 0010 Bank Spółdzielczy w Krasnosielcu

Redaktor wydania: Sławomir Rutkowski kom. 796 030 115 rutkowski.plus@gmail.com

Współpraca redakcyjna: Maria Weronika Knoch i Anna Ziółkowska.

Skład i korekta: Sławomir Rutkowski i Maria Weronika Knoch.

Redaktor wydania zastrzega sobie prawo do skracania i adiustacji publikowanych tekstów, a także opatrywania ich własnymi tytułami. Poglądy wyrażane w artykułach są poglądami ich autorów, a nie wydawcy. Wydawca może wykorzystywać powtórnie lub udostępniać materiały wcześniej opublikowane przez TPZK.

Nakład: 1 500 egz. Druk: Drukarnia J.J. Maciejewscy, Przasnysz ul. Gdańska 1